

**Cassandra Clare**

**Miasto  
SZKŁA**

**Tom III cyklu „Dary Anioła”**

**Przełożyła Anna Reszka**

**Wydawnictwo MAG**

**Warszawa 2012**

Tytuł oryginału:

*City of Glass. The Mortal Instruments – Book Three*

*Mojej matce.*

„Liczę tylko promienne godziny”.

# Podziękowania

Wspominając pisanie książki, nie można sobie nie uświadomić, że jest to zbiorowy wysiłek i że całe przedsięwzięcie zatonąłoby jak *Titanic*, gdyby nie pomoc przyjaciół. Mając to na względzie, dziękuję zespołowi NB i Massachusetts All-Stars. Dzięki dla Elki, Emily i Clio za godziny spiskowania, jak mi pomóc, i Holly Black za godziny cierpliwego czytania wciąż tych samych scen. Libby Bray za dostarczenie bajgli i kanapy do pisania, Robin Wasserman za zabawianie mnie urywkami „Gossip Girl”, Maureen Johnson za wpatrywanie się we mnie groźnym wzrokiem, kiedy próbowałam pracować, Justine Larbalestier i Scottowi Westerfieldowi za zmuszanie mnie do tego, żebym wstała z kanapy i poszła pisać w jakimś innym miejscu. Dziękuję również Ioanie za pomoc w rumuńskim (którego w ogóle nie znam). Jak zawsze dziękuję mojemu agentowi Barry’emu Goldblattowi; mojemu wydawcy Karen Wojtyle; zespołom w Simon&Schuster i Walker Books ukrywającym się za tą serią oraz Sarze Payne za wprowadzanie zmian długo po ostatecznym terminie. Oczywiście mojej rodzinie: matce, ojcu, Jimowi i Kate, klanowi Esonów i oczywiście Joshowi, który nadal uważa, że jest pierwowzorem postaci Simona (i może ma rację).

„Długa i trudna droga wiedzie ku światłości z piekieł”.

– John Milton, „Raj utracony”

# Część pierwsza

## Iskry z pożogi

„Bo człowiek rodzi się na niedolę, jak iskry z pożogi, aby wysoko wzlatać”.

– Księga Hioba 5:7

## Brama

Skończyły się chłody panujące w poprzednim tygodniu; słońce świeciło jasno, kiedy Clary spieszyła przez zakurzone podwórko Luke'a. Na głowę naciągnęła kaptur bluzy, żeby włosy nie chłostały jej po twarzy. Może i się ociepliło, ale wiatr wiejący od East River nadal był przykry. Niósł ze sobą chemiczne odory zmieszane z brooklyńskim zapachem asfaltu, benzyny i palonego cukru z opuszczonej fabryki mieszczącej się w sąsiedztwie.

Simon czekał na nią na ganku, rozwalony w fotelu z połamanymi sprężynami. Na kolanach trzymał Nintendo i zawzięcie dźgał ekran rysikiem.

– Punkt – pochwalił się, kiedy Clary weszła po schodach. – Wymiatam w Mario Kart.

Clary odrzuciła kaptur, strzepnęła włosy z oczu i zaczęła grzebać w plecaku w poszukiwaniu klucza.

– Gdzie byłeś? Dzwoniłam do ciebie od rana.

Simon wstał i schował mrugające urządzenie do torby.

– U Erica. Próba zespołu.

Clary przestała majstrować kluczem w zamku – zawsze się zacinał – i spojrzała na przyjaciela, marszcząc brwi.

– Próba zespołu? To znaczy, że nadal jesteś...

– W zespole? A dlaczego miałbym nie być? – Simon wyciągnął rękę. – Pozwól, że ja spróbuję.

Clary stała bez ruchu, podczas gdy Simon z wprawą i odpowiednią siłą przekreślił klucz, otwierając stary, uparty zamek. Gdy przypadkiem musnął ręką jej dłoń, Clary zadrzała; jego skóra była zimna jak powietrze na dworze. Tydzień wcześniej zrezygnowali z chodzenia ze sobą na poważnie, więc nadal czuła się skrępowana w jego obecności.

– Dzięki. – Wzięła klucz, nie patrząc na Simona.

W salonie było gorąco. Clary powiesiła kurtkę na kołku w przedpokoju i skierowała się do pokoju gościnnego. Zmarszczyła brwi. Na łóżku leżała jej walizka, otwarta jak muszla, wszędzie walały się ubrania i szkicowniki.

– Myślałem, że jedziesz do Idrisu tylko na parę dni – powiedział Simon, z lekką konsternacją patrząc na bałagan.

– Tak, ale zupełnie nie wiem, co spakować. Nie mam żadnych sukien ani spódnic. A jeśli nie będę mogła tam nosić spodni?

– Dlaczego miałabyś nie móc nosić spodni? To inny kraj, a nie inny wiek.

– Ale Nocni Łowcy są tacy staroświeccy, a Isabelle zawsze chodzi w sukniach... – Clary westchnęła. – Tak naprawdę to po prostu przenoszę niepokój o mamę na swoją garderobę. Porozmawiajmy o czymś innym. Jak próba? Nadal nie macie nazwy dla zespołu?

– Dobrze. – Simon usiadł na biurku. – Rozważamy nowe motto. Coś ironicznego, na przykład: „Widzieliśmy milion twarzy i rozpaliliśmy osiemdziesiąt procent z nich”.

– Powiedziałaś Ericowi i reszcie, że...

– Że jestem wampirem? Nie. Takich rzeczy nie wyznaje się w pogawędce.

– Może, ale przecież oni są twoimi przyjaciółmi. Powinni wiedzieć. Poza tym, na pewno uznają cię za rockowego boga, kogoś takiego jak wampir Lester.

– Lestat – poprawił ją Simon. – Wampir Lestat. Tylko że on jest fikcyjną postacią. Tak czy inaczej, jakoś nie widzę, żebyś biegła do swoich przyjaciół i mówiła im, że jesteś Nocnym Łowcą.

– Do jakich przyjaciół? Ty jesteś moim przyjacielem. – Rzuciła się na łóżko i zmierzyła go wzrokiem. – A tobie powiedziałam, prawda?

– Bo nie miałaś wyboru. – Simon przekrzywił głowę i przyjrzał się jej uważnie. Światło lampki nocnej nadawało jego oczom srebrne zabarwienie. – Będę za tobą tęsknił.

– Ja za tobą też – zapewniła Clary, choć skóra aż ją mrowiła od nerwowego oczekiwania, które sprawiało, że trudno było się jej skupić, a umysł śpiewał: „Jadę do Idrisu! Zobaczę rodzinny kraj Nocnych Łowców i Miasto Szkła. Uratuję matkę.

I będę z Jace'em”.

Oczy Simona zabłyśły, jakby usłyszał jej myśli, ale kiedy się odezwał, jego głos był łagodny.

– Powtórz mi jeszcze raz, dlaczego musisz jechać do Idrisu? Dlaczego Madeleine i Luke nie mogą bez ciebie załatwić sprawy?

– Czar, który wprowadził ją w stan śpiączki, mama dostała od Ragnora Fella. Madeleine twierdzi, że jeśli chcemy go odwrócić, musimy znaleźć czarownika. Niestety, on nie zna Madeleine, tylko moją mamę, ale podobno mi zaufa, bo jestem bardzo do niej podobna. Luke nie może jechać ze mną.

Do Idrisu tak, ale bez zgody Clave nie wejdzie do samego Alicante, a na pewno jej nie dostanie. I, proszę, nie poruszaj przy nim tego tematu, bo on naprawdę jest nieszczęśliwy, że nie może ze mną jechać. W ogóle by mnie nie puścił, gdyby wcześniej nie znał Madeleine.

– Ale przecież będą tam Lightwoodowie. I Jace. Pomogą ci. Jace obiecał, że ci pomoże, prawda? Nie ma nic przeciwko temu, że przyjeżdżasz?

– Jasne, że mi pomoże. I oczywiście nie ma nic przeciwko mojemu przyjazdowi. Wręcz przeciwnie.

Dobrze jednak wiedziała, że to kłamstwo.

\*\*\*

Po rozmowie z Madeleine w szpitalu Clary poszła prosto do Instytutu. Jace był pierwszą osobą, nawet przed Lukiem, której powiedziała o sekrecie Jocelyn. A on tylko stał i gapił się na nią, coraz bledszy, jakby nie mówiła o ratowaniu matki, tylko z powolnym okrucieństwem utaczała mu krwi.

– Nigdzie nie jedziesz – oświadczył, kiedy skończyła. – Nawet gdybym musiał cię związać i siedzieć na tobie, aż zapomnisz o tym szalonym kaprysie.

Clary poczuła się, jakby ją spoliczkował. Myślała, że będzie zadowolony. Biegła przez całą drogę ze szpitala do Instytutu, żeby się podzielić z nim nadzieją, a teraz on stał w holu i łypał na nią groźnym wzrokiem.

– Ale ty jedziesz – przypomniała.

– Tak, jedziemy, bo musimy. Clave wezwało wszystkich aktywnych członków do Idrisu na walne zgromadzenie. Będzie głosowanie, co robić w związku z Valentine'em, a ponieważ jesteśmy ostatnimi, którzy go widzieli...

– Więc dlaczego ja nie mogę jechać z wami? – przerwała mu Clary.

Jej bezpośrednie pytanie jeszcze bardziej go rozgniewało.

– Bo to nie jest bezpieczniejsze miejsce dla ciebie.



– Tak? A tutaj jest? W zeszłym miesiącu omal nie zginęłam kilkanaście razy, choć przez cały czas byłam w Nowym Jorku.

– To dlatego, że Valentine’owi zależało na dwóch Darach Anioła, które się tutaj znajdowały – rzucił Jace przez zęby. – Teraz skupi się na Idrisie. Wszyscy wiemy, że...

– Niczego nie jesteśmy pewni – powiedział ktoś.

Nie zauważyli, że za drzwiami korytarza stoi Maryse Lightwood. Gdy wyszła z cienia, ostre światło podkreśliło na jej twarzy zmarszczki spowodowane wyczerpaniem. Jej mąż Robert Lightwood, zatruty przez jad demona podczas zesłotygodniowej bitwy, wymagał stałej opieki. Clary potrafiła sobie wyobrazić, jak zmęczona jest Maryse.

– Clave chce poznać Clarissę. Przecież wiesz, Jace.

– Clave może się wypchać.

– Jace! – skarciła go Maryse rodzicielskim tonem. – Uważaj na język.

– Clave dużo chce, ale niekoniecznie musi wszystko dostać – poprawił się Jace.

Maryse posłała mu spojrzenie wyrażające dezaprobatę.

– Clave często ma rację – stwierdziła. – To rozsądne z ich strony, że chcą porozmawiać z Clary po tym wszystkim, co przeszła. Ona może im wiele wyjaśnić.

– Ja też mogę im dużo powiedzieć – oświadczył Jace.

Pani Lightwood westchnęła i skierowała spojrzenie niebieskich oczu na Clary.

– Chcesz jechać do Idrisu?

– Tylko na kilka dni, nie będę sprawiać kłopotów – zapewniła Clary, patrząc błagalnie na Maryse, którą Jace piorunował wzrokiem. – Przysięgam.

– Nie chodzi o to, że będziesz sprawiać kłopoty. Pytanie brzmi: czy zechcesz spotkać się z Clave? Oni chcą z tobą porozmawiać. Jeśli odmówisz, wątpię, czy dostanę pozwolenie, żeby cię z nami zabrać.

– Nie... – zaczął Jace.

– Spotkam się z Clave – przerwała mu Clary. Poczowała zimny dreszcz na plecach. Jediną wysłanniczką Clave, którą do tej pory poznała, była Inkwizytorka, niezbyt przyjemna osoba.

Maryse pomasaowała skronie.

– A zatem ustalone. – Nie mówiła jednak zbyt pewnym tonem. Wydawała się spięta jak za mocno naciągnięta struna. – Jace, odprowadź Clary, a potem przyjdź do mnie do biblioteki. Muszę z tobą porozmawiać.

Oddaliła się bez słowa pożegnania. Patrząc za nią, Clary czuła się, jakby została oblana lodowatą wodą. Alec i Isabelle szczerze lubili matkę, Maryse nie była złą osobą, ale z pewnością nie emanowała ciepłem.

Jace miał usta zaciśnięte w wąską kreskę.

– I zobacz, co narobiłaś.

– Muszę jechać do Idrisu, nawet jeśli ty nie rozumiesz po co – oświadczyła Clary. – Muszę to zrobić dla mojej matki.

– Maryse za bardzo ufa Clave – stwierdził Jace. – Wierzy, że są doskonali, a ja nie mogę jej uświadomić, że nie są, bo... – Urwał raptownie.

– Bo coś takiego powiedziała by Valentine.

Spodziewała się wybuchu, ale Jace tylko rzucił:

– Nikt nie jest doskonały. – Wcisnął przycisk windy. – Nawet Clave.

Clary skrzyżowała ramiona na piersi.

– Czy naprawdę dlatego nie chcesz, żebym jechała do Idrisu? Bo nie jest tam bezpiecznie?

Przez twarz Jace'a przemknął wyraz zaskoczenia.

– O co ci chodzi? Jaki miałbym inny powód?

Clary przełknęła ślinę.

– Bo...

Bo powiedziałeś mi, że już nie żywisz do mnie żadnych uczuć, co było bardzo niezręczne, ponieważ ja nadal je dla ciebie mam. I założę się, że o tym wiesz.

– Bo nie chcę, żeby moja siostrzyczka wszędzie za mną łąziła? – Oprócz ostrej, lekko drwiącej nuty w jego głosie było coś jeszcze.

Winda zatrzymała się ze zgrzytem. Clary rozsunęła drzwi, weszła do środka i odwróciła się do Jace'a.

– Nie jadę do Idrisu dlatego, że ty tam będziesz. Chcę pomóc matce. Naszej matce. Muszę jej pomóc. Nie rozumiesz? Jeśli tego nie zrobię, ona może nigdy się nie obudzić. Mógłbyś przynajmniej udawać, że choć trochę cię to obchodzi.

Jace położył dłonie na jej ramionach. Kiedy palcami musnął szyję przy kołnierzyku, Clary przeszedł dreszcz. Mimo woli zauważyła, że Jace ma pod oczami cienie i zapadnięte policzki. Czarny sweter podkreślał posiniaczoną skórę. I ciemne rzęsy. Jace był studium kontrastów,

postacią namalowaną różnymi odcieniami czerni, bieli i szarości, z plamkami złota w oczach, jedynymi kolorowymi akcentami...

– Pozwól, że ja to zrobię. – Jego głos był cichy, ton nagłący. – Ja jej pomogę. Powiedz mi, gdzie mam jechać, kogo zapytać. Zdobędę to, czego potrzebujesz.

– Madeleine uprzedziła, że tylko ja mogę pojechać do tego czarownika. On będzie oczekiwał córki Jocelyn, a nie jej syna.

Jace mocniej zacisnął dłonie na jej ramionach.

– Więc powiedz jej, że nastąpiła zmiana planów. Ja pojedę, nie ty. Nie ty.

– Jace...

W tym momencie winda szarpnęła i ze zgrzytaniem powiozła ją w dół, w mroczną ciszę katedry.

\*\*\*

– Ziemia do Clary. – Simon pomachał rękami. – Śpisz?

– Przepraszam. – Usiadła prosto, potrząsając głową.

Wtedy po raz ostatni widziała Jace'a. Później nie odbierał telefonu, więc ułożyła plan, żeby pojechać do Idrisu z Lightwoodami, wykorzystując Aleca jako niechętnego i zakłopotanego pośrednika. Biednego Aleca, który zawsze starał się zrobić to co najważniejsze, rozdarty między Jace'em a matką.

– Mówiłeś coś?

– Tylko to, że chyba wrócił Luke – odparł Simon i zeskoczył z biurka, kiedy otworzyły się drzwi sypialni. – Oto i on.

– Cześć, Simon. – Luke mówił spokojnym, może trochę zmęczonym głosem.

Miał na sobie zniszczoną dzinsową kurtkę i stare sztruksy wetknięte w buty, które wyglądały, jakby ich najlepsze czasy minęły dziesięć lat temu. Okulary zsunął na kasztanowe włosy – Clary wydawało się, że z każdym dniem dostrzega w nich coraz więcej siwych pasemek. Pod pachą trzymał kwadratowy pakunek przewiązany zieloną wstążką.

– Coś na podróż.

– Nie musiałeś! – zaprotestowała Clary. – Już tyle dla mnie zrobiłeś...

Myślała o ubraniach, które kupił, kiedy wszystkie jej rzeczy uległy zniszczeniu. Podarował jej nowy telefon i przybory malarskie, bez proszenia. Prawie wszystko, co miała, było prezentem od Luke'a.

I nawet nie okazujesz niezadowolenia, że jadę.

Ta ostatnia myśl zawisła między nimi niewypowiedziana.

– Wiem. Ale zobaczyłem to i pomyślałem o tobie. – Wręczył jej pudełko.

Rzecz znajdująca się w środku była zawinięta w kilka warstw bibułki. Clary rozerwała je i namacała coś miękkiego, jak kocie futerko. Gwałtownie wciągnęła powietrze na widok zielonego aksamitnego płaszcza, staromodnego, ze złotą jedwabną podszewką, mosiężnymi guzikami i dużym kapturem. Położyła go sobie na kolanach i z zachwytem pogładziła miękką tkaninę.

– Podobny do tego, który nosi Isabelle! – wykrzyknęła. – Zupełnie jak płaszcz podróżny Nocnych Łowców.

– Właśnie – potwierdził Luke. – W Idrisie będziesz ubrana tak jak oni.

Clary podniosła na niego wzrok.

– Chcesz, żebym wyglądała jak oni?

– Przecież jesteś jedną z nich. – Uśmiech Luke'a był zabarwiony smutkiem. – Poza tym wiesz, jak oni traktują obcych. Skoro możesz się dostosować...

Simon wydał dziwny dźwięk. Clary zerknęła na niego zawstydzona. Niemal zapomniała o jego obecności. Przyjaciel ostentacyjnie spojrział na zegarek.

– Powinienem już iść.

– Przecież dopiero przyszedłeś! – zaprotestowała Clary. – Myślałam, że gdzieś razem wyjdziemy, obejrzymy film albo...

– Musisz się spakować. – Simon posłał jej uśmiech promienny jak słońce po deszczu. – Przyjdę później, żeby się z tobą pożegnać.

– Och, daj spokój. Zostań...

– Nie mogę. – Ton Simona był stanowczy. – Umówiłem się z Maią.

– Aha – mruknęła Clary. – Świetnie.

Maia była miła. Bystra. I ładna. Była również wilkołakiem. Wilkołakiem zakochanym w Simonie. I może dobrze. Jego nowa przyjaciółka powinna być Podziemną. Ostatecznie on również teraz należał do Świata Cieni. Właściwie w ogóle nie powinien spędzać czasu z Nocnymi Łowcami.

– Chyba rzeczywiście lepiej, żebyś już poszedł.

– Chyba tak. – Ciemne oczy Simona pozostały nieprzeniknione. To było coś nowego. Wcześniej zawsze potrafiła w nich czytać. Ciekawe, czy to skutek uboczny wampiryzmu, czy coś zupełnie innego. – Do widzenia.

Nachylił się, jakby chciał pocałować ją w policzek, ale tylko odgarnął jej włosy do tyłu i zaraz cofnął się z niepewną miną. Clary zmarszczyła brwi zaskoczona, ale Simon odwrócił się i ruszył do wyjścia, mijając Luke'a. Po chwili trzasnęły drzwi frontowe.

– Dziwnie się zachowuje – stwierdziła Clary, tuląc do siebie aksamitny płaszcz. – Twoim zdaniem to dlatego, że jest wampirem?

– Raczej nie. – Luke wyglądał na lekko rozbawionego. – Gdy stajesz się Podziemnym, nie zmienia się twój sposób odczuwania. Daj mu trochę czasu. Niedawno z nim zerwałaś.

– Nie. To on zerwał ze mną.

– Bo go nie kochasz. Uważam, że dobrze sobie radzi w tej sytuacji. Wielu nastolatków boczyłoby się albo krążyło pod twoim oknem z radiem tranzystorowym.

– Teraz nikt nie ma radia tranzystorowego. To było w latach osiemdziesiątych. – Clary wstała z łóżka i włożyła płaszcz. Zapięła go pod szyję, rozkoszując się gładkością aksamitu. – Po prostu chciałabym, żeby Simon znowu był normalny. – Spojrzała na siebie w lustrze. Mile zaskoczona stwierdziła, że zieleń podkreśla rudą barwę jej włosów i dodaje blasku oczom. Odwróciła się do Luke'a. – I co sądzisz?

Oparty o framugę drzwi, z rękami w kieszeniach, popatrzył na nią uważnie i po jego twarzy przemknął cień.

– Twoja matka miała taki sam płaszcz, kiedy była w twoim wieku – powiedział.

Clary ścisnęła mankiety płaszcza, wbijając palce w miękką tkaninę. Wzmianka o matce w połączeniu ze smutkiem na twarzy Luke'a, sprawiła, że omal się nie rozpląkała.

– Odwiedzimy ją dzisiaj, dobrze? – zapytała. – Chcę się z nią pożegnać przed wyjazdem i powiedzieć... co zamierzam zrobić. I że wyzdrowieje.

Luke pokiwał głową.

– Dobrze. Clary?

– Co? – Bała się na niego spojrzeć, ale ku swojej uldze stwierdziła, że smutek zniknął z jego oczu.

– Normalność wcale nie jest taka dobra, jak się wydaje – rzucił z uśmiechem Luke.

\*\*\*

Simon spojrział na kartkę, którą trzymał w ręce, a następnie na katedrę, mrużąc oczy w popołudniowym słońcu. Instytut wznosił się wysoko w błękitne niebo – słup z granitu, z oknami o ostrych łukach, otoczony wysokim kamiennym murem. Z gzymsów lypały na Simona gargulce, jakby rzucały mu wyzwanie, żeby podszedł do frontowych drzwi. Budowla niczym nie przypominała tej, którą widział za pierwszym razem. Wtedy wyglądała jak ruina, ale na Podziemnych czary nie działały.

„To nie miejsce dla ciebie”. Słowa były surowe, ostre jak kwas. Simon nie był pewien, czy wypowiedział je gargulec, czy głos w jego głowie. „To jest kościół, a ty jesteś przeklęty”.

– Zamknij się – mruknął bez przekonania. – Poza tym, nie obchodzą mnie kościoły. Jestem Żydem.

W kamiennym murze była osadzona żelazna brama z filigranu. Simon położył rękę na zasuwie, spodziewając się, że poczuje piekący ból, ale nic się nie stało. Najwyraźniej sama brama nie była szczególnie święta. Pchnął ją i wszedł na popękana kamienną ścieżkę prowadzącą do frontowych drzwi. Znajdował się w połowie drogi, kiedy w pobliżu usłyszał głosy. Znajome.

A może wcale nie w pobliżu? Niemal zapomniał, jak bardzo wyostrzył mu się słuch i wzrok od czasu Przemiany. Wydawało się, że głosy dochodzą tuż z za rogu, ale kiedy wąską dróżką dotarł do bocznej ściany Instytutu, zobaczył grupkę ludzi stojących w drugim końcu zdziczałego ogrodu. Rozgałęziające się ścieżki, które biegły między zaniedbanymi krzewami różanymi, gęsto porastała trawa. Samotną kamienną ławkę oplatało zielsko. Kiedyś to był prawdziwy kościół, zanim przejęli go Nocni Łowcy.

Najpierw Simon zobaczył Magnusa. Czarownik, oparty o omszały kamienny mur, miał na sobie biały T-shirt w kolorowe plamy i tęcze skórzane spodnie. Wyróżniał się jak szklarniana orchidea wśród ubranych na czarno Nocnych Łowców. Alec był blady i miał ponurą minę, Isabelle, z włosami zaplecionymi w warkocze przewiązane srebrnymi wstążkami, stała obok małego chłopca, zapewne Maksa, najmłodszego z &nbsp;rodzeństwa, i matki, swojej starszej i bardziej kościstej wersji o takich samych długich, czarnych włosach. Obok nich Simon zobaczył kobietę, której nigdy wcześniej nie widział. W pierwszej chwili uznał ją za starą z powodu prawie białych włosów, ale kiedy się odwróciła, żeby coś powiedzieć do Maryse, stwierdził, że nieznajoma ma nie więcej niż trzydzieści pięć albo czterdzieści lat.

I był z nimi również Jace. Trzymał się w pewnej odległości od reszty grupy, jakby czuł się tam obco. Miał na sobie taki sam strój jak pozostali Nocni Łowcy. Kiedy Simon ubierał się

cały na czarno, wyglądał, jakby szedł na pogrzeb, natomiast Jace sprawiał wrażenie twardego i niebezpiecznego. W dodatku czerń podkreślała złotą barwę jego włosów. Simon poczuł, jak napinają mu się mięśnie pleców. Zastanawiał się, czy z czasem jego niechęć do Jace'a osłabnie. Nie chciał jej czuć, ale ciążyła mu jak kamień na jego niebijącym sercu.

Było coś dziwnego w tym zgromadzeniu... W tym momencie Jace odwrócił się, jakby wyczuł jego obecność, i Simon, nawet z tej odległości, dostrzegł białą bliznę na jego szyi, tuż nad kołnierzem. Jego uraza stopniała. Jace skinął lekko w jego stronę głową.

– Zaraz wracam – powiedział do Maryse tonem, jakiego Simon nigdy nie użyłby wobec swojej matki. Mówił jak dorosły do dorosłego.

Pani Lightwood machnęła z roztargnieniem ręką.

– Nie rozumiem, dlaczego to tak długo trwa – ciągnęła, patrząc na Magnusa. – To normalne?

– Nienormalny jest upust, który wam daję. – Czarownik postukał obcasem w mur. – Zwykle biorę dwa razy więcej.

– To tymczasowa Brama, która ma nas przenieść do Idrisu. Spodziewam się, że potem ją zamkniesz. Taka jest nasza umowa. – Maryse odwróciła się do stojącej obok niej kobiety. – Zostaniesz tutaj i dopilnujesz, żeby Bane to zrobił, Madeleine?

Madeleine. Przyjaciółka Jocelyn. Simon nie miał jednak czasu, żeby się jej przyjrzeć, bo Jace już wziął go za ramię i pociągnął na tyły kościoła, z dala od innych. Tutaj ogród był jeszcze bardziej zachwaszczony, po ścieżce wiły się węże korzeni. Jace pchnął Simona za duży dąb i rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy nikt za nimi nie idzie.

– W porządku. Tu możemy pogadać.

W tym miejscu rzeczywiście było ciszej, szum ruchu ulicznego dochodzący z York Avenue tłumilo gmaszysko Instytutu.

– To ty mnie zaprosiłeś – przypomniał Simon. – Kiedy dzisiaj rano się obudziłem, znalazłem twój liścik wetknięty w okno. Nie używasz telefonu jak normalni ludzie?

– Nie, jeśli mogę tego uniknąć, wampirze – odparł Jace, Przyglądał mu się uważnie, jakby czytał książkę. Na jego twarzy malowały się dwa sprzeczne uczucia: lekkie zdumienie i chyba rozczarowanie. – A więc to nadal prawda. Możesz chodzić w słońcu. Nawet w środku dnia cię nie pali.

– Tak. Ale przecież dobrze o tym wiesz. Byłeś tam. – Nie musiał uściślać, co oznacza „tam”. Widział po minie Jace’a, że pamięta rzekę, tył furgonetki, słońce wstające nad wodą, krzyczącą Clary.

– Myślałem, że może coś się zmieniło – powiedział Jace, ale nie wyglądało na to, żeby mówił poważnie.

– Jeśli zapragnę buchnąć płomieniem, zawiadomię cię. – Simon nigdy nie miał cierpliwości do Jace’a. – Zaprosiłeś mnie tutaj, żeby się na mnie pogapić jak na eksponat w muzeum osobliwości. Następnym razem przyślę ci zdjęcie.

– A ja je oprawię i postawię na stoliku nocnym – odparował Jace, ale nie włożył serca w tę ripostę. – Posłuchaj, zaprosiłem cię tutaj z konkretnego powodu. Niechętnie to przyznaję, ale mamy ze sobą coś wspólnego, wampirze.

– Świetne włosy? – podsunął Simon, choć nie był w nastroju do sarkastycznych uwag. Wyraz twarzy Jace’a przyprawiał go o niepokój.

– Clary – powiedział krótko Jace.

– Clary? – zdziwił się Simon.

– Clary – powtórzył Jace. – No, wiesz: niska, rudowłosa, porywczy charakter.

– Nie rozumiem, w jaki sposób Clary nas łączy – stwierdził Simon, niezgodnie z prawdą.

Nie miał ochoty na tego rodzaju pogawędki z Jace’em, teraz ani w przyszłości. Czyż nie istniało coś w rodzaju męskiego kodu, który wykluczał rozmowy o uczuciach?

Najwyraźniej nie.

– Obu nam na niej zależy – stwierdził Jace, mierząc go wzrokiem. – Jest ważna dla nas obu. Zgadza się?

– Pytasz mnie, czy mi na niej zależy? – Takie określenie wydało się Simonowi niewłaściwe. Jace stroił sobie z niego żarty? Byłoby to niezwykle okrutne, nawet jak na niego. Czyżby ściągnął go tutaj, by z niego drwić, że nie wyszło mu z Clary? Simon nadal miał nadzieję, że sytuacja się zmieni, że Jace i Clary zaczną czuć do siebie to, co powinno czuć wobec siebie rodzeństwo...

Spojrzał Jace’owi w oczy i poczuł, że jego nadzieja się rozwiewa. Na twarzy Nocnego Łowcy wcale nie malował się taki wyraz jak na twarzy brata rozmawiającego o siostrze. Z drugiej strony, stało się oczywiste, że Jace’owi nie chodzi o szydzenie z uczuć rywala. W jego oczach odbijał się smutek, który z pewnością był również wypisany na twarzy Simona.



– Nie myśl, że chętnie zadaję ci te pytania – rzucił burkliwie Jace. – Ale muszę wiedzieć, co zrobiłbyś dla Clary. Skłamałbyś dla niej?

– W jakiej sprawie? A w ogóle co się dzieje? – Simon dopiero teraz uświadomił sobie, co go zaniepokoiło w żywym obrazie, który ujrzał w ogrodzie. – Chwileczkę. Już wyjeżdżacie do Idrisu? Clary myśli, że ruszacie dopiero wieczorem.

– Wiem. I chcę, żebyś powiedział wszystkim w imieniu Clary, że ona nie wybiera się do Idrisu. Że się rozmyśliła. – W jego głosie brzmiało napięcie i jeszcze jakaś dziwna nuta, której Simon nie potrafił rozpoznać. Czyżby błaganie? – Uwierzą ci. Wiedzą... jacy jesteście sobie bliscy.

Simon pokręcił głową.

– Nie wierzę własnym uszom. Sugerujesz, że chcesz, żebym zrobił coś dla Clary, ale tak naprawdę chcesz, żebym zrobił coś dla ciebie. – Zaczął się odwracać. – Nie ma mowy.

Jace chwycił go za ramię i obrócił z powrotem.

– To dla Clary. Próbuję ją chronić. Pomyślałem, że przynajmniej będziesz zainteresowany tym, żeby mi pomóc.

Simon spojrzął znacząco na rękę Jace'a zaciśniętą na jego ramieniu.

– Jak mogę ją chronić, skoro mi nie mówisz, przed czym mam ją chronić?

Jace go nie puścił.

– Nie możesz mi uwierzyć, że to ważne?

– Nie rozumiesz, jak bardzo ona chce jechać do Idrisu – stwierdził Simon. – Jeśli mam do tego nie dopuścić, lepiej podaj mi cholernie dobry powód.

Jace wolno wypuścił powietrze z płuc i niechętnie uwolnił ramię Simona.

– Chodzi o to, co Clary zrobiła na statku Valentine'a – powiedział cicho. – Run otwierający narysowany na ścianie. Sam widziałeś, co się stało.

– Zniszczyła statek – powiedział Simon. – Uratowała nam wszystkim życie.

– Mów ciszej. – Jace rozejrzał się z niepokojem.

– Chyba nie twierdzisz, że nikt więcej o tym nie wie? – rzucił z niedowierzaniem Simon.

– Ja wiem. Ty wiesz. Luke wie. I Magnus. I nikt inny.

– A co według nich się stało? Statek po prostu rozpadł się w odpowiednim momencie?

– Powiedziałem im, że pewnie nie udał się Rytuał Konwersji.

– Okłamałeś Clave? – Simon nie mógł się zdecydować, czy być pod wrażeniem, czy odczuwać konsternację.

– Tak, okłamałem Clave. Isabelle i Alec wiedzą, że Clary potrafi tworzyć nowe runy, więc wątpię, czy będę w stanie utrzymać to w tajemnicy przed Clave czy nowym Inkwizytorem. Ale jeśli tamci się dowiedzą, że ona jest w stanie wzmacniać zwykle runy tak, że mają niewiarygodną moc niszczenia, będą chcieli zrobić z niej wojownika, broń. A ona nie jest do tego przygotowana. Nie została w ten sposób wychowana... – Urwał, kiedy Simon pokręcił głową. – Co?

– Jesteś Nefilim – powiedział Simon. – Czy nie powinienesz pragnąć tego, co najlepsze dla Clave? Jeśli wykorzystanie Clary...

– Chcesz, żeby wysłali ją na pierwszą linię w walce przeciwko Valentine'owi i jego armii?

– Nie. Nie chcę tego. Ale nie jestem jednym z was. Nie muszę się zastanawiać, kogo postawić na pierwszym miejscu, Clary czy swoją rodzinę.

Jace oblał się ciemnoczerwonym rumieńcem.

– To nie tak. Gdybym myślał, że to pomoże Clave... Ale tak nie będzie. Clary po prostu zostanie wykorzystana...

– Nawet gdybyś sądził, że to pomoże Clave, nie pozwoliłbyś, żeby dostali ją w swoje ręce – stwierdził Simon.

– Dlaczego tak twierdzisz, wampirze?

– Bo nie może jej mieć nikt oprócz ciebie – odparł Simon.

Kolory zniknęły z twarzy Jace'a.

– Więc mi nie pomożesz – powiedział z niedowierzaniem. – Nie pomożesz jej?

Simon się zawahał. Ale zanim zdążył odpowiedzieć, ciszę przerwał wysoki, przeraźliwy krzyk, straszny, pełen rozpacz. Najgorsza jednak była raptowność, z jaką ucichł. Jace się obrócił.

– Co to było?

Do pierwszego wrzasku dołączyły inne, a także ostre świdrujące uszy dzwonięcie.

– Coś się stało...

Jace już biegł ścieżką, chowając się za krzakami. Po chwili wahania Simon ruszył za nim. Już zapomniał, jak szybko potrafi biegać. Kiedy wypadli zza rogu kościoła i znaleźli się w ogrodzie, następował Jace'owi na pięty.

Przed sobą ujrzeli chaos. Ogród spowijała biała mgła, w powietrzu wisiał mocny zapach: intensywna woń ozonu i słodkawy nieprzyjemny odór. Wszędzie śmigały jakieś postacie. Simon widział tylko ich fragmenty, kiedy pojawiały się i znikwały w oparze. Dostrzegł Isabelle. Włosy podskakiwały wokół jej głowy jak czarne liny, smagnięcia bata tworzyły groźne, złote błyskawice. Walczyła z jakimś ogromnym i ciężkim przeciwnikiem, chyba demonem, choć wydawało się to niemożliwe, jako że był środek dnia. Kiedy Simon ruszył do przodu, zobaczył, że stwór ma humanoidalny kształt, ale jest garbaty i zniekształcony. W jednej ręce ścisnął grubą deskę i machał nią na oślep, próbując trafić Nocną Łowczynię.

Trochę dalej, przez szczelinę w kamiennym murze, Simon dostrzegł ruch uliczny na York Avenue. Niebo nad Instytutem było pogodne.

– Wyklęci – szepnął Jace. Jego twarz płonęła, kiedy wyciągnął zza pasa jeden z serafickich noży. – Dziesiątki. – Brutalnie odepchnął Simona na bok. – Zostań tutaj, rozumiesz? Nie ruszaj się stąd.

Simon stał przez chwilę jak wrośnięty, kiedy Jace skoczył w mgłę. Srebrzysty blask bijący od klingi rozjaśnił mrok, w którym tu i tam skakały ciemne postacie. Simon miał wrażenie, że patrzy przez matową szybę, i rozpaczliwie próbował zrozumieć, co się dzieje po drugiej stronie. Isabelle zniknęła. Pojawił się Alec z krwawiącą ręką, ciał przez pierś Wyklętego i patrzył, jak przeciwnik pada na ziemię. Za nim wyrósł kolejny, ale Jace już tam był, z nożami w obu rękach. Wskoczył w powietrze i opadł, tnąc powietrze błyskawicznym ruchem. Głowa demona stoczyła się z karku, trysnęła czarna krew. Simonowi ścisnął się żołądek. Krew pachniała gorzko, trująco.

Nocni Łowcy nawoływali się we mgle, natomiast Wyklęci w ogóle się nie odzywali. Nagle opar się rozstał i Simon zobaczył Magnusa stojącego pod murem Instytutu. Czarownik miał dziki wzrok i uniesione ręce, a między nimi przelatowały niebieskie iskry. W kamiennej ścianie powoli otwierała się kwadratowa czarna dziura. Nie była pusta ani ciemna, lśniła jak lustro z wirującym ogniem uwięzionym w szkłe.

– Brama! – krzyknął Bane. – Przechodźcie przez Bramę!

W tym momencie wydarzyło się jednocześnie kilka rzeczy. Z mgły wyłoniła się Maryse Lightwood niosąca Maksa na rękach. Zatrzymała się, zawołała coś przez ramię, po czym skoczyła w otwór w murze i zniknęła. Alec podążył za nią, ciągnąc Isabelle. Jej zakrwawiony bicz wlokł się po ziemi. Kiedy pchnął siostrę przez Bramę, coś wyskoczyło za nimi z mroku – wojownik Wyklętych, wymachujący obosiecznym nożem.

Simon w końcu się ruszył. Popędził przed siebie, wykrzykując imię Isabelle, ale potknął się i runął na ziemię z takim impetem, że zaparłoby mu dech, gdyby miał jeszcze jakieś powietrze w płucach. Usiadł z trudem i obejrzał się, żeby sprawdzić, o co zaczepił nogą.

To był trup. Ciało kobiety z poderżniętym gardłem i szeroko otwartymi oczami, niebieskimi i martwymi. Krew plamiła jej jasne włosy. Madeleine.

– Simon, rusz się! – wrzasnął Jace.

Simon podniósł wzrok i zobaczył, że Jace biegnie w jego stronę z zakrwawionymi serafickimi nożami w rękach. Potem ujrzał, że wojownik Wyklętych, który wcześniej atakował Isabelle, teraz majaczy nad nim, a jego twarz pokrytą bliznami wykrzywia zastygły grymas uśmiechu. Widząc, że opada na niego obosieczny nóż, Simon próbował się uchylić, ale choć miał teraz lepszy refleks, okazał się niedostatecznie szybki. Przeszył go piekący ból, a potem otoczyła go ciemność.

## Demoniczne wieże Alicante

Nie istnieje taka magia, która stworzyłaby nowe miejsca parkingowe na nowojorskich ulicach, pomyślała Clary, kiedy ona i Luke po raz trzeci okrążali kwartał. Nie było gdzie zatrzymać furgonetki, na połowie ulicy samochody stały w dwóch rzędach. W końcu Luke stanął przy hydrancie i z westchnieniem wrzucił luz.

– Idź – powiedział. – Pokaż się im, a ja przyniosę twoją walizkę.

Clary skinęła głową, ale zawahała się, zanim sięgnęła do klamki. Żołądek miała ściśnięty z niepokoju. Żałowała, nie po raz pierwszy, że Luke z nią nie jedzie.

– Zawsze myślałam, że kiedy pierwszy raz pojedę za granicę, będę przynajmniej miała paszport.

Luke miał poważną minę.

– Jesteś zdenerwowana, ale wszystko będzie dobrze – powiedział. – Lightwoodowie się tobą zaopiekują.

Mówiłam ci to tylko milion razy, pomyślała Clary.

Poklepała Luke'a po ramieniu i wyskoczyła z furgonetki.

– Zobaczymy się za chwilę.

Ruszyła popękaną kamienną ścieżką. Odgłosy ruchu ulicznego cichły, w miarę jak zbliżała się do drzwi kościoła. Tym razem minęła chwila, zanim odarła Instytut z czaru. Można było odnieść wrażenie, że do starej katedry dodano kolejne przebranie, niczym nową warstwę farby. Zdrapanie jej umysłem było trudne, nawet bolesne. W końcu czarodziejska powłoka zniknęła i Clary zobaczyła prawdziwą budowlę. Wysokie drewniane drzwi lśniły, jakby zostały dopiero co polakierowane.

W powietrzu unosił się dziwny zapach, jakby ozonu i spalenizny. Clary zmarszczyła brwi i sięgnęła ręką do gałki.

Jestem Clary Morgenstern, Nefilim, i proszę o wejście do Instytutu...

Drzwi się otworzyły. Clary wkroczyła do środka i rozejrzała się, mrugając. Próbowwała się zorientować, dlaczego wewnątrz katedry wydaje jej się inne.

Uświadomiła to sobie, kiedy drzwi zamknęły się za nią, więżąc ją w ciemności rozproszonej jedynie przez słabą poświatę, która padała z różowych okien osadzonych wysoko w górze. Przy wszystkich jej poprzednich wizytach Instytut był oświetlony dziesiątkami płomyków wymyślnych kandelabrow rozmieszczonych wzdłuż przejścia między ławkami.

Clary wyjęła z kieszeni magiczny kamień i go uniosła. Buchnęło z niego światło. Promienie, które wydostały się spomiędzy palców, rozjaśniły wewnątrz katedry, kiedy ruszyła do windy znajdującej się w pobliżu pustego ołtarza i niecierpliwie wcisnęła przycisk.

Nic się nie wydarzyło. Odczekała pół minuty i ponownie wcisnęła guzik. I tym razem bez skutku. Przyłożyła ucho do drzwi windy. Żadnego dźwięku. Instytut był ciemny i cichy jak mechaniczna lalka, której nakręcane serce stanęło.

Zaniepokojona Clary pobiegła nawą i otworzyła ciężkie drzwi. Stała na frontowych stopniach kościoła i rozejrzała się gorączkowo. Niebo ściemniało do koloru kobaltowego, powietrze jeszcze silniej cuchnęło spalenizną. Wybuchł pożar? Nocni Łowcy się ewakuowali? Katedra wyglądała na nietkniętą...

– To nie był pożar. – Głos był cichy, aksamitny i znajomy.

W cieniu zmaterializowała się wysoka postać. Włosy wokół jej głowy sterczały niczym korona z nierównych kolców. Była ubrana w jedwabny garnitur, lśniącą szmaragdową koszulę, a na palcach miała pierścienie z jasnymi kamieniami.

– Magnus? – wyszeptała Clary.

– Wiem, co sobie pomyślałaś – powiedział Bane. – Ale nie było żadnego pożaru. Ten zapach to piekielna mgła, coś w rodzaju zaczarowanego demonicznego dymu. Osłabia działanie pewnych rodzajów magii.

– Demoniczna mgła? A więc był...

– Atak na Instytut. Tak. Po południu. Wyklęci, kilkudziesięciu.

– Jace – wykrztusiła Clary. – Lightwoodowie...

– Przez ten piekielny dym nie mogłem skutecznie walczyć z Wyklętymi. Zresztą Nocni Łowcy również. Musiałem wysłać ich przez Bramę do Idrisu.

– Ale nikt nie został ranny?

– Madeleine. Zginęła. Przykro mi, Clary.

Clary osunęła się na stopnie. Nie знаła dobrze Madeleine, ale ta kobieta stanowiła jedyną więź z jej matką... tą prawdziwą. Twardą i dzielną Nocną Łowczynią, której córka wcześniej nie znała.

– Clary? – W zapadającym zmroku nadchodził ścieżką Luke. W ręce trzymał jej walizkę.  
– Co się dzieje?

Clary siedziała w milczeniu na schodach, obejmując ramionami kolana, podczas gdy Magnus wyjaśniał, co się stało. Oprócz bólu z powodu śmierci Madeleine czuła również ulgę i miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Jace'owi nic się nie stało. Lightwoodom nic się nie stało. Powtarzała to sobie w duchu. Jace'owi nic się nie stało.

– Wszyscy Wyklęci zostali zabici? – spytał Luke.

– Nie wszyscy. – Magnus pokręcił głową. – Kiedy wysłałem Lightwoodów przez Bramę, Wyklęci się rozproszyli. Nie byli mną zainteresowani. Gdy zamknąłem Bramę, wszyscy zniknęli.

Clary uniosła głowę.

– Brama jest zamknięta? Ale... możesz mnie wysłać do Idrisu, prawda? To znaczy, mogę przejść przez Bramę i dołączyć do Lightwoodów?

Luke i Magnus wymienili spojrzenia. Luke postawił walizkę na ziemi.

– Magnus? – Głos Clary zabrzmiał piskliwie w jej własnych uszach. – Muszę się tam dostać.

– Brama jest zamknięta, Clary...

– To otwórz następną!

– To nie takie łatwe – stwierdził czarownik. – Clave bardzo pilnie strzeże każdego magicznego wejścia do Alicante. Stolica jest dla nich świętym miejscem, to taki ich Watykan, Zakazane Miasto. Żaden Podziemny ani Przyziemny nie może tam wejść bez pozwolenia.

– Ale ja jestem Nocnym Łowcą!

– Ledwo – przypomniał Magnus. – Poza tym, wieże bronią bezpośredniego wstępu do miasta. Żeby otworzyć Bramę do Alicante, musiałbym kazać im czekać na ciebie po drugiej stronie. Gdybym spróbował wysłać cię samowolnie, naruszyłbym prawo, a ja nie chcę ryzykować dla ciebie, choćbym nie wiem jak bardzo cię lubił.

Clary przeniosła wzrok z pełnej żalu twarzy Magnusa na nieufną Luke'a.

– Ale ja muszę jechać do Idrisu. Pomóc matce. Musi istnieć jakiś sposób, żeby się tam dostać. Taki, żeby nie była potrzebna Brama.

– Najbliższe lotnisko jest w sąsiednim kraju – powiedział Luke. – Nawet gdybyśmy zdołali przekroczyć granicę, a to jest bardzo wątpliwe, czekałaby nas jeszcze długa i niebezpieczna podróż łądem przez terytoria różnych Podziemnych. Dotarcie na miejsce zajęłoby nam wiele dni.

Clary zapiekły oczy. Nie będę płakać, przykazała sobie. Nie będę.

– Skontaktujemy się w Lightwoodami. – Głos Luke’a był łagodny. – Dostarczymy im wszelkich informacji potrzebnych do tego, żeby wyleczyć Jocelyn. Odszukają Fella...

Clary wstała ze schodów, potrząsając głową.

– To muszę być ja. Madeleine powiedziała, że Fell nie będzie rozmawiał z nikim innym.

– Fell? – powtórzył Magnus. – Ragnor Fell? Spróbuję wysłać do niego wiadomość.

Uprzedzę go, żeby spodziewał się wizyty Jace’a.

Z twarzy Luke’a zniknęła odrobina niepokoju.

– Clary, słyszysz? Z pomocą Magnusa...

Ale Clary nie chciała więcej słuchać o pomocy Magnusa. Nie chciała słuchać żadnych obietnic. Myślała, że uratuje matkę, a teraz nie pozostało jej nic poza czekaniem przy szpitalnym łóżku, trzymaniem bezwładnej ręki Jocelyn i nadzieją, że ktoś inny, gdzieś indziej, zrobi to, czego ona nie może.

Zeszła po schodach i odepchnęła dłoń Luke’a, kiedy próbował ją zatrzymać.

– Muszę przez chwilę pobyć sama.

– Clary...

Słyszała, że Luke ją woła, ale pobiegła za katedrę. Dotarłszy do rozwidlenia kamiennej ścieżki, ruszyła w stronę małego ogrodu znajdującego się po wschodniej stronie Instytutu, w stronę zapachu spalenizny i popiołu oraz gęstego odoru, który się pod nimi krył. Odoru demonicznej magii. W ogrodzie nadal unosiła się mgła, jej strzępy były rozrzucone po krzewach różanych niczym smugi chmur albo ukryte pod kamieniem. Clary dostrzegła ziemię zrytą w czasie walki. I czerwoną plamę przy jednej z kamiennych ławek. Szybko odwróciła wzrok.

I zatrzymała się raptownie. Na murze katedry na szarym kamieniu jarzyły się blaknącym błękitem pozostałości runicznej magii. Coś w rodzaju kwadratowej świetlistej obwódki wokół na wpół otwartych drzwi...

Brama.



Clary poczuła ściskanie w żołądku. Pamiętała inne symbole, jarzące się groźnie na gładkim metalowym kadłubie. Pamiętała drżenie rozpadającego się statku, czarną wodę East River wlewającą się do środka.

To tylko runy, pomyślała. Symbole. Potrafię je rysować. Skoro moja matka potrafiła oddać istotę Pucharu Anioła na kawałku papieru, ja potrafię stworzyć Bramę.

Nogi same poniosły ją w stronę muru, ręka sięgnęła do kieszeni po stelę. Clary nakazała jej nie drżeć, po czym przytknęła czubek narzędzia do kamienia.

Zacisnęła powieki i po omacku zaczęła rysować w głowie kręte linie światła, wyobrażając sobie drzwi, latanie, powietrzne wiry, podróże i odległe miejsca. Linie zetknęły się ze sobą, tworząc znak wdzięczny jak ptak w locie. Clary nie wiedziała, czy ten znak istniał już wcześniej, czy ona go wymyśliła, ale teraz miała go przed oczami, jakby tak było zawsze.

Brama.

Zaczęła rysować. Znaki spływały z czubka steli, tworząc czarne linie. Kamień zasyczał, jej nozdrza wypełnił ostry zapach spalenizny. Pod zamkniętymi powiekami zajaśniało jaskrawe niebieskie światło. Clary poczuła żar na twarzy, jakby stała przed ogniem. Z cichym okrzykiem opuściła rękę i otworzyła oczy.

Znak, który narysowała, był niczym ciemny kwiat rozkwitający na kamiennym murze. W miarę jak patrzyła, linie rozmywały się i zmieniały, spływały łagodnie w dół, rozwijały się, przekształcały. Po chwili pojawił się zarys świetlistych drzwi, kilka stóp wyższych od niej.

Clary nie mogła oderwać od nich wzroku. Jarzyły się takim samym mrocznym światłem jak Brama za kurtyną u Madame Dorothei. Wyciągnęła rękę...

I cofnęła się raptownie. Przypomniała sobie, że chcąc skorzystać z Bramy, trzeba sobie wyobrazić miejsce, do którego chce się dostać. A ona nigdy nie była w Idrisie. Oczywiście opisywano jej tę krainę zielonych dolin, ciemnych lasów, jezior, gór i Alicante, miasta szklanych wież. Niestety, przy tego rodzaju magii sama wyobraźnia nie wystarczała. Gdyby tak...

Gwałtownie zaczerpnęła tchu. Przecież widziała Idris. We śnie. I skądś wiedziała, że ten sen jest prawdziwy. Co w tym śnie Jace powiedział o Simonie? Że nie może zostać, bo „to jest miejsce dla żywych”? Niedługo potem Simon umarł...

Wróciła pamięcią do tamtego snu. Tańczyła w sali balowej w Alicante. Ściany były złote i białe, a dach przezroczysty jak diament. Pośrodku znajdowała się fontanna – srebrna misa z

posągiem syreny – za oknami światełka rozwieszane na drzewach. Ona miała na sobie zielony aksamit, tak jak teraz.

Jakby nadal była we śnie, wyciągnęła rękę do Bramy. Jasne światło rozstało się pod dotykiem jej palców, drzwi otworzyły, ukazując jakieś oświetlone miejsce. Clary ujrzała przed sobą złoty wir, który z wolna zaczął przybierać trudno rozpoznawalne kształty. Wydawało się jej, że widzi zarys gór, kawałek nieba...

– Clary! – Luke pędził ścieżką w jej stronę. Na jego twarzy malowały się gniew i przerażenie. Za nim kroczył Magnus. W gorącym świetle Bramy, które skąpało ogród, jego kocie oczy lśniły jak metal. – Clary, stój! Czary są niebezpieczne! Zginiesz!

Ona jednak już nie mogła się zatrzymać. Złote światło widoczne za Bramą stawało się coraz intensywniejsze. Clary pomyślała o złotych ścianach ze snu i złotym świetle odbijającym się od ciętego szkła. Luke się mylił. Nie rozumiał jej daru, tego, jak on działa. Jakie znaczenie miały czary odstrasżające, kiedy można stworzyć własną rzeczywistość, jedynie ją rysując?

– Muszę iść! – krzyknęła, ruszając naprzód z wyciągniętymi rękami. – Luke, przepraszam...

Zrobiła krok do przodu, a Luke ostatnim susem pokonał odległość między nimi i chwycił ją za nadgarstek w chwili, kiedy Brama eksplodowała wokół nich. Niczym tornado wrywające drzewo z korzeniami, jakaś siła poderwała ich oboje z ziemi. Clary dostrzegła w przelocie samochody i budynki Manhattanu, a potem uniósł ją podmuch wiatru silny jak strzał z bicia i posłał ją, razem z Lukiem nadal ściskającym jej dłoń, w wirujący złoty chaos.

\*\*\*

Simona obudził rytmiczny plusk wody. Nagłe przerażenie ścisnęło jego pierś. Usiadł gwałtownie. Ostatnim razem, kiedy obudził go szum fal, był więźniem na statku Valentine'a. Cichy chłopot przeniósł go z powrotem do tamtego koszmaru tak raptownie, jakby ktoś chlusnął mu w twarz lodowatą wodą.

Ale nie. Kiedy rozejrzał się szybko, stwierdził, że jest w zupełnie innym miejscu. Po pierwsze, leżał pod miękkimi kocami na wygodnym łóżku w małym, czystym pokoju, którego ściany były pomalowane na bladoniebiesko. Przez szpary w ciemnych zasłonach zaciągniętych na okno przesączało się słabe światło, w zupełności wystarczające jego oczom wampira. Na podłodze leżał jasny dywan, pod ścianą stała komoda z lustrem.

Do łóżka był przysunięty fotel. Simon usiadł, koce opadły, a on uświadomił sobie dwie rzeczy jednocześnie. Po pierwsze, nadal miał na sobie te same dżinsy i T-shirt co w chwili, kiedy wyruszył do Instytutu na spotkanie z Jace'em. Po drugie, osoba siedząca w fotelu drzemała z głową opartą na ręce, a długie czarne włosy otulały ją niczym szal z frędzlami.

– Isabelle? – szepnął Simon.

Dziewczyna raptownie uniosła głowę i otworzyła oczy.

– Och, obudziłeś się! – Usiadła prosto, odgarnęła włosy z twarzy. – Jace'owi ulży. Byliśmy prawie pewni, że umrzesz.

– Że umrę? – powtórzył Simon. Czuł zawroty głowy i lekkie mdłości. – Dlaczego? – Rozejrzał się po pokoju, mrugając. – Jestem w Instytucie? – Już w chwili gdy zadawał to pytanie, zrozumiał, że to niemożliwe. – To znaczy... gdzie jesteśmy?

Przez twarz Nocnej Łowczyni przemknął wyraz niepokoju.

– Nie pamiętasz, co się stało w ogrodzie? – Isabelle zaczęła nerwowo szarpać szydełkowe obicie fotela. – Zaatakowali nas Wyklęci. Było ich wielu, a piekielna mgła utrudniała walkę z nimi. Magnus otworzył Bramę, właśnie w nią wskakiwaliśmy, kiedy zobaczyłam, że pędzisz w naszą stronę. Potknąłeś się...

o Madeleine. Tuż za tobą pojawił się Wyklęty. Ty go nie zauważyłeś. Jace próbował do ciebie dobiec, ale nie zdążył. Wyklęty dźgnął cię nożem. Krwawiłeś... bardzo mocno. Jace zabił Wyklętego i zawlókł cię do Bramy. – Isabelle mówiła tak szybko, że jej słowa się zlewały. Simon musiał się skupić, żeby ją zrozumieć. – Byliśmy już po drugiej stronie i powiem ci, że wszyscy bardzo się zdziwili, kiedy zjawił się Jace, ciągnąc cię całego zakrwawionego. Rada wcale nie była z tego zadowolona.

Simonowi zaschło w ustach.

– Wyklęty wbił we mnie nóż? – To wydawało się niemożliwe. Z drugiej strony, już raz cudownie ozdrowiał, kiedy Valentine poderznął mu gardło. Tyle że przynajmniej powinien cokolwiek pamiętać. Spojrzał na siebie, kręcąc głową. – Gdzie?

– Pokażę ci. – Ku zaskoczeniu Simona Isabelle usiadła obok niego na łóżku i położyła mu chłodne dłonie na brzuchu. Podciągnęła podkoszulek, obnażając bladą skórę przeciętą ciemną czerwoną kreską. – Tutaj – powiedziała, przesuwając palcami po świeżej bliźnie. – Boli?

– N... nie. – Kiedy Simon pierwszy raz ujrzał Isabelle i stwierdził, że jest piękna, pełna życia, witalności i energii, wydawało mu się, że w końcu znalazł dziewczynę, która przyćmi

obraz Clary wypalony na wewnętrznej stronie jego powiek. Mniej więcej w tym czasie Isabelle zmieniła go w szczura na przyjęciu u Magnusa Bane'a, a on zrozumiał, że być może Nocna Łowczyni świeci zbyt jasno jak na takiego zwykłego faceta jak on. – Nie boli.

– Ale moje oczy tak – dobiegł od drzwi zimny, ironiczny głos.

Jace wszedł tak cicho, że Simon nawet go nie usłyszał. Zamknąwszy za sobą drzwi, uśmiechnął się szeroko, gdy Isabelle szybko opuściła podkoszulek Simona.

– Molestujesz wampira, kiedy jest za słaby, żeby walczyć, Iz? Jestem pewien, że to narusza co najmniej jedno z Porozumień.

– Ja tylko mu pokazuję, gdzie został ranny – zaprotestowała Isabelle i szybko wróciła na fotel. – Co się dzieje na dole? Wszyscy dostają szału?

Uśmiech zniknął z twarzy Jace'a.

– Maryse poszła do Gard z Patrickiem. Malachi uznał, że będzie lepiej, jeśli.. wytłumaczy się osobiście w czasie posiedzenia Clave.

Malachi. Patrick. Gard. Nieznajome nazwy i imiona zawirowały w głowie Simona.

– Z czego się wytłumaczy?

Nocni Łowcy wymienili spojrzenia.

– Z ciebie – odparł w końcu Jace. – Musi wyjaśnić, dlaczego przyciągnęliśmy ze sobą wampira do Alicante, co, tak przy okazji, jest wbrew Prawu.

– Do Alicante? Jesteśmy w Alicante? – Simona ogarnęła panika. Chwilę później zgiął się wpół i gwałtownie zaczerpnął tchu, kiedy jego brzuch przeszył ból.

– Simon! – wykrzyknęła Isabelle z niepokojem w ciemnych oczach. – Dobrze się czujesz?

– Idź stąd, Isabelle. – Przyciskając pięści do brzucha, Simon spojrzał na Jace'a i rzucił błagalnie: – Każ jej wyjść.

Isabelle się zachnęła.

– Dobrze – rzuciła urażonym tonem. – Pójdę sobie. Nie musisz powtarzać mi tego dwa razy. – Zerwała się z fotela, wybiegła z pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Jace spojrzał na Simona. Jego bursztynowe oczy były bez wyrazu.

– Co się dzieje? Myślałem, że zdrowiejesz.

Simon uniósł rękę. W ustach czuł metaliczny posmak.

– Nie chodzi o Isabelle – wystękał. – Nie jestem ranny... tylko głodny. – Jego policzki płonęły. – Straciłem sporo krwi, więc... muszę ją uzupełnić.

– Oczywiście – powiedział Jace tonem kogoś, kto właśnie poznał interesujący, choć nieszczególnie potrzebny naukowy fakt. Z jego twarzy zniknął lekki niepokój, zastąpiony przez wyraz lekkiej pogardy połączonej z rozbawieniem.

W Simonie obudziła się wściekłość i gdyby nie był osłabiony przez ból, wyskoczyłby z łóżka i rzucił się na Nocnego Łowcę. Niestety, zdołał jedynie wykrztusić:

– Chrzań się, Wayland.

– Wayland? – Jace nie zmienił wyrazu twarzy, ale jego ręka powędrowała do zamka kurtki i zaczęła ją rozpinąć.

– Nie! – Simon skulił się na łóżku. – Nieważne, jak bardzo jestem głodny. Nie będę znowu pić twojej krwi.

Jace się skrzywił.

– Jakbym ci pozwolił. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął z niej szklaną butelkę do połowy napełnioną czerwonym płynem. – Pomyślałem, że możesz tego potrzebować. Wycisnąłem w kuchni sok z kilku funtów surowego mięsa. To najlepsze, co mogłem zrobić.

Kiedy Simon sięgał po butelkę, ręce trzęsły mu się tak bardzo, że Jace sam musiał ją odkręcić. Płyn znajdujący się w środku cuchnął. Był słony i za rzadki jak na krew i miał nieprzyjemny smak, który świadczył o tym, że mięso liczyło sobie kilka dni.

– Fuj! – Simon skrzywił się po kilku łykach. – Martwa krew.

Jace uniósł brwi.

– A nie każda jest martwa?

– Im dłużej zwierzę było martwe, tym gorzej smakuje jego krew – wyjaśnił Simon. – Świeża jest lepsza.

– Ale przecież ty nigdy nie piłeś świeżej krwi. Tak czy nie?

Simon też uniósł brew.

– Oczywiście nie licząc mojej – dodał Jace. – A jestem pewien, że smakowała fantastycznie.

Simon postawił pustą butelkę na poręcz fotela.

– Z tobą jest coś nie w porządku – stwierdził. – Mam na myśli psychikę. – W ustach został mu smak zepsutej krwi, ale ból zniknął. Czuł się lepiej, silniej, jakby krew była lekiem, który działał natychmiast, narkotykiem, który Simon musiał dostać, żeby przeżyć. Zastanawiał się, czy tak właśnie wygląda uzależnienie od heroiny. – Więc jestem w Idrisie.

– Dokładnie, w Alicante – odparł Jace. – W stolicy. A właściwie jedynym mieście. – Podszedł do okna i rozsunął zasłony. – Penhallowowie nie uwierzyli nam do końca. W to, że słońce ci nie szkodzi. Dlatego powiesili zasłony. Ale powinienesz to zobaczyć.

Simon wstał z łóżka, podszedł do okna i wytrzeszczył oczy.

Kilka lat wcześniej matka zabrała go razem z siostrą do Toskanii. Był to dla niego tydzień ciężkich, nieznanych dań z makaronu, niesłonego chleba, zbrązowiałego krajobrazu, matki, która pędziła wąskimi, krętymi drogami, i tylko cudem udawało się jej nie rozbić wypożyczonego fiata na pięknych starych budowlach. Pamiętał, jak zatrzymali się na wzgórzu naprzeciwko miasteczka San Gimignano, skupiska domów w kolorze rdzy i wysokich kamiennych wież sięgających nieba. Panorama, którą teraz ujrzał, trochę przypominała mu tamtą, a jednocześnie była zupełnie obca. Niczego podobnego wcześniej nie widział.

Wyglądał z okna wysokiego budynku. Nad sobą miał kamienne okapy i niebo. Naprzeciwko stał dom, niezbyt wysoki, a między nimi biegł wąski, ciemny kanał, przecięty tu i ówdzie mostami. To on był źródłem plusku, który go obudził. Dom chyba znajdował się na wzgórzu, bo poniżej Simon zobaczył kamienne budynki koloru miodu, stłoczone wzdłuż wąskich ulic, które opadały ku zielonemu kręgowi lasu otoczonego przez odległe wzgórza. Z tego miejsca wyglądały jak długie zielone i brązowe pasma, gdzieniegdzie ożywione jesiennymi barwami. Za nimi wyrastały poszarpane góry pokryte śniegiem.

Ale żadna z tych rzeczy nie była dziwna. Dziwne były, rozrzucone na pozór przypadkowo po mieście, wieże zwieńczone iglicami z odblaskowego białosrebrzystego materiału. Przewiercały niebo niczym lśniące sztylety. Simon nagle uświadomił sobie, gdzie wcześniej widział ten materiał. Z takiego samego robiono broń, którą nosili Nocni Łowcy: serafickie noże.

– To są demoniczne wieże – wyjaśnił Jace w odpowiedzi na niezadane pytanie Simona. – Podtrzymują czary chroniące miasto. Dzięki nim żaden demon nie może wejść do Alicante.

Powietrze wpadające przez okno było zimne i czyste. Takiego nigdy nie wdychało się w Nowym Jorku. Nie pachniało ani nie smakowało brudem, dymem, metalem. Simon wziął głęboki, niepotrzebny wdech – niektórych nawyków trudno się pozbyć – po czym spojrzał na Jace'a.

– Powiedz, że ściągnięcie mnie tutaj to był przypadek. Powiedz, że nie chciałeś w ten sposób powstrzymać Clary przed wizytą w Alicante.

Jace nie odwrócił głowy, ale jego pierś uniosła się szybko, jakby powstrzymywał westchnienie.

– Masz rację – rzucił ironicznie. – Stworzyłem bandę Wyklętych, kazałem im zaatakować Instytut i zabić Madeleine, naraziłem pozostałych na śmierć, żeby zatrzymać Clary w domu. I oto mój diaboliczny plan się powiódł.

– Na to wygląda – stwierdził Simon.

– Posłuchaj, wampirze. Plan polegał na trzymaniu Clary z dala od Idrisu. Nie zamierzałem cię tu sprowadzać. Przeniosłem cię przez Bramę, bo gdybym zostawił cię krwawiącego i nieprzytomnego, Wyklęci by cię zabili.

– Mogłeś zostać ze mną...

– Wtedy zabiliby nas obu. Z powodu piekielnej mgły nie mogłem nawet ocenić, ilu ich tam było. Nawet ja nie dałbym rady setce Wyklętych.

– Założę się, że z trudem ci przyszło to wyznanie – skomentował Simon.

– Jesteś dupkiem – odparł spokojnie Jace. – Nawet jak na Podziemnego. Uratowałem ci życie, łamiąc przy tym Prawo. Nie po raz pierwszy, mógłbym dodać. Powinieneś okazać mi trochę wdzięczności.

– Wdzięczności? – Simonowi zacisnęły się pięści. – Gdybyś nie ściągnął mnie do Instytutu, w ogóle by mnie tu nie było. Nigdzie się nie wybierałem.

– Owszem. Kiedy powiedziałeś, że zrobiłbyś wszystko dla Clary. To właśnie jest wszystko.

Zanim Simon zdążył coś odburknąć gniewnie, rozległo się pukanie do drzwi.

– Halo? – dobiegł z drugiej strony głos Isabelle. – Simon, już skończyłeś z fochami? Muszę porozmawiać z Jace'em.

– Wejdz, Izzy. – Jace nie odrywał wzroku od Simona.

W jego spojrzeniu był gniew i coś w rodzaju wyzwania. To sprawiło, że Simon miał ochotę uderzyć go czymś ciężkim.

Isabelle weszła do pokoju w wirze czarnych włosów i srebrzystych spódnic z falbanami. Gorset koloru kości słoniowej odkrywał ramiona poznaczone atramentowymi runami. Simon pomyślał, że to dla niej miła odmiana móc pokazać Znaki w miejscu, gdzie nikt nie uzna ich za coś niezwykłego.

– Alec idzie do Gard – oznajmiła bez wstępów. – Przedtem chce z tobą porozmawiać o Simonie. Możesz zejść na dół?

– Jasne. – Jace ruszył do drzwi. W połowie drogi zorientował się, że Simon idzie za nim. Odwrócił się i spiorunował go wzrokiem. – Ty zostajesz.

– Nie – sprzeciwił się Simon. – Jeśli zamierzacie rozmawiać o mnie, chcę przy tym być.

Jace poczerwieniał na twarzy i otworzył usta. Oczy mu zapłonęły. Przez chwilę wydawało się, że jego lodowaty spokój pierzchnie. Ale gniew zniknął równie szybko, jak się pojawił. Jace uśmiechnął się i rzucił przez zęby:

– Dobrze, chodź na dół, wampirze. Poznasz całą szczęśliwą rodzinę.

\*\*\*

Gdy Clary pierwszy raz przechodziła przez Bramę, miała uczucie latania, nieważkości, pędu. Tym razem było tak, jakby znalazła się w samym sercu tornada. Ze wszystkich stron szarpały ją ryczące wichry, wyrwały jej rękę z dłoni Luke'a i krzyk z ust. Wirując, spadała w głąb czarno-złotego leja.

Nagle przed nią wyrosło coś płaskiego, twardego i srebrzystego jak lustro. Runęła na to coś, wrzeszcząc i zasłaniając twarz rękami. Uderzyła w tę sztywną powierzchnię, przebiła się przez nią do świata dojmującego chłodu i uczucia duszenia. Tonęła w gęstej niebieskiej ciemności, próbowała nabrać tchu, ale zamiast powietrza wciągnęła w płuca jeszcze więcej mrozącego zimna...

Nagle coś chwyciło za tył jej płaszcza i szarpnęło ją w górę. Wymierzyła parę kopniaków, ale była za słaba, żeby się wyrwać. Jakaś siła ciągnęła ją coraz wyżej, aż ciemność koloru indygo przybrała barwę błękitu, a potem złota. Po chwili Clary wyskoczyła nad powierzchnię wody – bo to była woda – i zaczerpnęła haust powietrza.

W każdym razie próbowała. Zakrztusiła się, zaczęła kaszleć, przed oczami ujrzała czarne plamy. Coś wlokło ją szybko przez wodę, wodorosty chwytaly ją za nogi i ręce. Wywinęła się w uścisku i dostrzegła w przelocie straszny widok: nie całkiem wilka i nie całkiem człowieka, ze spiczastymi uszami i ostrymi białymi zębami obnażonymi w grymasie. Próbowała krzyknąć, ale z jej gardła wydobyła się tylko woda.

Chwilę później została wyciągnięta na brzeg i rzucona na wilgotną, ubitą glebę. Jakieś ręce zacisnęły się na jej ramionach i przewróciły ją twarzą do ziemi. Potem zaczęły uderzać ją po plecach, aż w końcu jej pierś się skurczyła spazmatycznie, a z ust trysnął strumień gorzkiej wody.



Wciąż jeszcze się krztusiła, kiedy ręce przetoczyły ją na plecy. Zobaczyła Luke'a, czarny cień na tle wysokiego, błękitnego nieba pokrytego gdzieniegdzie białymi chmurami. Z jego twarzy zniknęła cała łagodność, którą Clary tak dobrze знаła. Już nie wyglądał jak wilk, ale był wściekły. Dźwignął ją do pozycji siedzącej i zaczął potrząsać mocno, aż w końcu gwałtownie zaczerpnęła tchu i uderzyła go słabo.

– Luke! Przestań! To boli...

Ujął ją pod brodę i bacznie się jej przyjrzał.

– Wykaszałaś całą wodę?

– Chyba tak. – Głos wydobywający się z jej spuchniętego gardła był bardzo cichy.

– Gdzie twoja stela? – spytał Luke, a kiedy się zawahała, powtórzył ostrzejszym tonem: – Clary, twoja stela. Znajdź ją.

Uwolniła się od jego ręki i zaczęła grzebać w mokrych kieszeniach. Serce jej zamarło, kiedy palce namacały tylko wilgotny materiał. Spojrzała na Luke'a z żalną miną.

– Musiałam upuścić ją do jeziora. – Pociągnęła nosem. – Stela mojej matki...

– Jezu, Clary. – Luke wstał i splótł dłonie za głową. On też był cały przemoczony, woda spływała z jego dzinsów i ciężkiej flanelowej kurtki. Zgubił okulary. – Masz rację. To było w tym momencie niewłaściwie pytanie. Dobrze się czujesz?

Clary kiwnęła głową.

– Luke, co się dzieje? Dlaczego potrzebujemy steli?

Nie odpowiedział. Rozejrzał się, jakby wypatrywał pomocy. Clary podążyła za jego wzrokiem. Znajdowali się na szerokim brzegu sporego jeziora. Woda była błękitna, roziskrzona od słońca. Clary zastanawiała się, czy właśnie ona jest źródłem złotego światła, które dostrzegła przez na wpół otwartą Bramę.

Jezioro nie wyglądało groźnie teraz, kiedy znajdowała się nie w nim, tylko na lądzie. Otaczały je zielone wzgórza porośnięte drzewami, które właśnie zaczynały zmieniać barwy na rdzawą i złotą. Za wzgórzami wznosiły się wysokie góry o szczytach pokrytych śniegiem.

Clary zadrżała.

– Luke, kiedy byliśmy w wodzie... stałeś się częściowo wilkiem? Wydawało mi się, że...

– Moje wilcze ja potrafi pływać lepiej niż ludzkie – odparł krótko Luke. – I jest silniejsze. Musiałem wydostać się z wody, a ty mi raczej nie pomagałaś.

– Wiem. Przepraszam. Ty nie miałaś... za mną skoczyć.

– Gdybym tego nie zrobił, już byś nie żyła – stwierdził Luke. – Magnus ci mówił, że nie można skorzystać z Bramy, żeby dostać się do Miasta Szkła, jeśli nikt nie czeka na ciebie po drugiej stronie.

– Powiedział tylko, że to wbrew Prawu. Nie uprzedził, że jeśli tego spróbuję, narażę się na niebezpieczeństwo.

– Powiedział, że wokół miasta są rozmieszczone czary, które nie pozwalają na przejście przez Bramę. To nie jego wina, że postanowiłaś zabawić się magią, którą ledwo rozumiesz. To, że masz moc, nie oznacza, że wiesz, jak jej użyć. – Luke spochmurniał.

– Przepraszam – bąknęła Clary. – To tylko... Gdzie właściwie teraz jesteśmy?

– Nad jeziorem Lyn – odparł Luke. – Myślę, że Brama przeniosła nas w pobliże miasta i wyrzuciła tutaj. Znajdujemy się na obrzeżach Alicante. – Rozejrzył się, kręcąc głową na pół ze zdumieniem, na pół ze znużeniem. – Udało ci się, Clary. Jesteśmy w Idrisie.

– W Idrisie? – powtórzyła Clary, gapiąc się bezmyślnie na jezioro. Lyn mrugnęło do niej w odpowiedzi, niebieskie i niezakłócone. – Ale... mówiłaś, że jesteśmy na obrzeżach Alicante, a ja nigdzie go nie widzę.

– Dzielą nas od niego mile – powiedział Luke. – Widzisz tamte wzgórza w oddali? Musimy je pokonać. Miasto leży po drugiej stronie. Gdybyśmy mieli samochód, dotarlibyśmy tam w godzinę, a tak będziemy musieli iść pieszo, co prawdopodobnie zajmie nam całe popołudnie. – Zerknął na niebo. – Lepiej ruszajmy.

Clary spojrzała na niego z konsternacją. Perspektywa całodziennej wędrówki w mokrym ubraniu była mało zachęcająca.

– Nic innego...?

– Nie możemy zrobić? – W głosie Luke'a zabrzmiała ostra nuta. – Masz jakieś propozycje, Clary, skoro nas tutaj sprowadziłaś? – Wskazał poza jezioro. – Tam są góry. Można je przebyć tylko latem. Teraz zamarzlibyśmy wśród tych szczytów na śmierć. – Odwrócił się i wskazał palcem w przeciwnym kierunku. – Tam ciągną się całe mile lasów aż do granicy. Są niezamieszkane, przynajmniej przez ludzkie istoty. Może zdołalibyśmy wydostać się z Idrisu, ale i tak musielibyśmy przejść przez miasto. Miasto, muszę dodać, w którym Podziemni tacy jak ja nie są mile widziani.

Clary popatrzyła na niego z otwartymi ustami.

– Luke, nie wiedziałam...

– Oczywiście, że nie wiedziałas. Nic nie wiesz o Idrisie. Tak naprawdę Idris niewiele cię obchodzi. Po prostu, jak dziecko, wpadłaś we wściekłość, że cię zostawili. I w rezultacie jesteśmy tutaj. Zagubieni, zmarznięci i... – Luke urwał i po chwili rzucił z zaciętą miną: – Ruszajmy.

Clary podążyła za nim brzegiem jeziora Lyn. Po pewnym czasie słońce wysuszyło jej włosy i skórę, ale aksamitny płaszcz nasiąkł wodą jak gąbka. Wisiał na niej niczym ołowiana osłona, kiedy brnęła przez błoto i potykała się o kamienie, usiłując dotrzymać kroku Luke'owi. Kilka razy próbowała zacząć rozmowę, ale on milczał z uporem. Nigdy wcześniej się nie zdarzyło, żeby przeprosiny nie złagodziły jego gniewu. Tym razem było inaczej.

W miarę jak posuwali się naprzód, urwiska wokół jeziora stawały się coraz wyższe, poznaczone plamami ciemności niczym rozbryzgami czarnej farby. Gdy Clary przyjrzała się im uważniej, stwierdziła, że to są jaskinie w skałach. Niektóre wyglądały na bardzo głębokie i kręte. Gdy wyobraziła sobie nietoperze i pełzające stworzenia ukryte w mroku, zadrzała.

W końcu wąska ścieżka biegnąca między wzniesieniami doprowadziła ich do szerokiej drogi z pokruszonymi kamieniami po obu stronach. Jezioro, koloru indygo w słońcu późnego popołudnia, zostało za nimi. Szlak przecinał płaską trawiastą równinę, która wznosiła się ku falującym wzgórzom widocznym w oddali. Miasta nadal nie było widać.

Luke popatrzył na wzgórza z wyrazem konsternacji na twarzy.

– Jesteśmy dalej, niż sądziłem. Tyle czasu minęło...

– Może gdybyśmy znaleźli normalną drogę, złapalibyśmy autostop albo... – podsunęła Clary.

– W Idrisie nie ma samochodów. – Widząc jej zaskoczoną minę, Luke zaśmiał się bez cienia wesołości. – Z powodu czarów nie działa tutaj większość urządzeń: komórki, komputery i tak dalej. Samo Alicante jest oświetlane głównie przez czarodziejskie światło.

– Aha – mruknęła Clary. – No więc jak daleko od miasta jesteśmy?

– Daleko. – Luke przeczesał rękami swe krótkie włosy, nie patrząc na nią. – Lepiej od razu coś ci powiem.

Clary zeszywniała. Wcześniej chciała, żeby Luke z nią rozmawiał, teraz już nie.

– Dobrze...

– Zauważyłaś, że na Lyn nie ma żadnych łodzi, ptactwa, niczego, co wskazywałoby, że jezioro jest wykorzystywane przez mieszkańców Idrisu? – spytał Luke.

– Pomyślałam, że chodzi o odległość.

– Jezioro wcale nie jest takie odległe od Alicante. To tylko kilka godzin marszu. Rzecz w tym, że Lyn... – Luke westchnął. – Zauważyłaś wzór na podłodze biblioteki w Instytucie?

Clary zamrugła.

– Tak, ale nie wiedziałam co to jest.

– Anioł wyłaniający się z jeziora, z pucharem i mieczem w rękach. To powtarzający się motyw w dekoracjach Nefilim. Legenda głosi, że Razjel wstał z jeziora Lyn, kiedy po raz pierwszy objawił się Jonathanowi Nocnemu Łowcy, pierwszemu Nefilim, i wręczył mu Dary Anioła. Od tamtej pory jezioro jest...

– Święte? – podsunęła Clary.

– Przekłete. Jego woda jest trująca dla Nocnych Łowców. Podziemnym nie wyrządza krzywdy. Faerie ją piją, bo twierdzą, że dzięki niej mają prawdziwe wizje. Nazywają jezioro Lustrem Snów. Ale dla Nocnego Łowcy napicie się wody z niego bywa bardzo niebezpieczne. Powoduje halucynacje, gorączkę, może doprowadzić do obłądu.

Clary przebiegł dreszcz.

– To dlatego kazałeś mi wypluć wodę.

Luke pokiwał głową.

– I dlatego chciałem, żebyś znalazła stelę. Dzięki runowi uzdrawiającemu moglibyśmy zneutralizować działanie wody. Bez niego musimy jak najszybciej dotrzeć do Alicante. Tam są skuteczne leki i zioła, a ja znam kogoś, kto je ma.

– Lightwoodowie?

– Nie Lightwoodowie – odparł zdecydowanym tonem. – Ktoś inny.

– Kto?

Luke pokręcił głową.

– Miejmy nadzieję, że ta osoba nie wyprowadziła się z miasta w ciągu ostatnich piętnastu lat.

– Myślałam, że Podziemnym nie wolno wchodzić do Alicante bez pozwolenia.

Uśmiech na jego twarzy przypominał Clary dawnego Luke'a, który złapał ją, kiedy w dzieciństwie spadła z drabinek w małym gaju, Luke'a, który ją zawsze chronił.

– Niektóre prawa są po to, żeby je łamać.

\*\*\*

Dom Penhallowów przypominał Simonowi Instytut. Również wyglądał, jakby należał do innej epoki. Hole i klatki schodowe były wąskie, z kamienia i ciemnego drewna, wysokie, wąskie okna wychodziły na ulice miasta. Dekoracje kojarzyły się z Azją: na podeście pierwszego piętra stała przegroda shoji, a na parapetach lakierowane chińskie wazy. Na ścianach wisiały serigrafie ukazujące sceny z mitologii Nocnych Łowców, ale ze wschodnimi elementami. Dominowali na nich wodzowie dzierżący serafickie noże. Były tam również kolorowe smoki i pełzające demony o wyłupiastych oczach.

– Jia Penhallow prowadziła Instytut w Pekinie, teraz dzieli czas na Alicante i Zakazane Miasto – wyjaśniła Isabelle, kiedy Simon zatrzymał się przed jednym z rysunków. – Penhallowowie to stara rodzina. Bogata.

– Widzę – mruknął Simon, patrząc na żyrandole z kryształów w kształcie łez.

Jace stojący za nimi chrząknął.

– Ruszajcie się. Nie urządzamy tutaj wycieczki historycznej.

Simon zastanawiał się przez chwilę nad ciętą ripostą, ale uznał, że nie warto się trudzić. Pokonał resztę schodów w szybkim tempie i znalazł się w dużym pomieszczeniu, gdzie stare mieszało się z nowym. Panoramiczne okno wychodziło na kanał; ze stereo, którego Simon nie widział, dobiegała muzyka, ale nie było telewizora, zbioru płyt CD czy DVD, niezbędnych w nowoczesnych salonach. Był natomiast duży kominek, w którym trzaskał ogień. Wokół niego stało parę wyściełanych kanap.

Przy kominku stał Alec w ciemnym stroju Nocnego Łowcy i wkładał rękawiczki. Kiedy Simon wszedł do pokoju, podniósł wzrok i tradycyjnie łypnął na niego spode łba, ale nic nie powiedział.

Na kanapach siedziała dwójka nastolatków, których Simon nigdy wcześniej nie widział. Dziewczyna o oczach w kształcie migdałów, delikatnym podbródku zwężającym się jak koci pyszczek, lśniących czarnych włosach odgarniętych z twarzy i psotnej minie wyglądała na pół-Azjatkę. Właściwie nie była ładna, ale przykuwała uwagę.

Czarnowłosa chłopak siedzący obok niej był bardziej niż przystojny. Mniej więcej wzrostu Jace'a, sprawiał wrażenie wyższego, nawet kiedy siedział, smukły i muskularny, o bladej, szlachetnej, nerwowej twarzy, wydatnych kościach policzkowych i ciemnych oczach. Simon stwierdził, że jest w nim coś dziwnie znajomego, jakby już kiedyś go spotkał.

Dziewczyna odezwała się pierwsza.

– To ten wampir? – Zmierzyła Simona wzrokiem. – Nigdy wcześniej nie byłam tak blisko wampira... w każdym razie takiego, którego nie zamierzałam zabić. – Przekrzywiła głowę. – Milutki jak na Podziemnego.

– Musisz jej wybaczyć – powiedział z uśmiechem chłopak, wstając z kanapy. – Ma twarz anioła i maniery Molocha. – Wyciągnął rękę do Simona. – Jestem Sebastian. Sebastian Verlac. A to moja kuzynka Aline Penhallow. Aline...

– Nie ściskam dłoni Podziemnym – oświadczyła Aline, odchylając się na poduszki. – Wampiry nie mają dusz.

Uśmiech zniknął z twarzy Sebastiana.

– Aline...

– To prawda. Dlatego nie widzą siebie w lustrach ani nie wychodzą na słońce.

Simon zrobił krok do tyłu i stanął w plamie światła słonecznego wpadającego przez okno. Poczł ciepło na plecach, na włosach. Jego cień na podłodze, wyraźny, długi i ciemny, sięgnął niemal do stóp Jace'a.

Aline gwałtownie zaczerpnęła tchu, ale nic nie powiedziała. Natomiast Sebastian popatrzył z zaciekawieniem na Simona i rzekł:

– A więc to prawda. Lightwoodowie opowiadali, ale nie sądziłem...

– Że mówią prawdę? – Jace odezwał się po raz pierwszy, odkąd zeszli na dół. – Nie kłamałibyśmy w takiej sprawie. Simon jest... wyjątkowy.

– Raz go pocałowałam – oznajmiła Isabelle, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Aline uniosła brwi.

– Naprawdę pozwalają wam w Nowym Jorku robić to, co chcecie? – rzuciła na pół ze zgrozą, na pół z zazdrością. – Ostatnim razem, kiedy cię widziałam, Izzy, nawet nie przysłoby ci do głowy...

– Ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, Izzy miała osiem lat – przypomniał Alec. – Wszystko się zmienia. Ale do rzeczy. Mama musiała wyjechać w pośpiechu, więc ktoś musi zanieść jej notatki i nagrania do Gard. Tylko ja mam osiemnaście lat, więc tylko ja mogę tam pójść, kiedy obraduje Clave.

– Wiemy – powiedziała Isabelle, opadając na kanapę. – Już nam to mówiłeś jakieś pięć razy.

Alec, z ważną miną, zignorował jej uwagę.

– Jace, ty sprowadziłeś tutaj wampira, więc ty jesteś za niego odpowiedzialny. Nie wypuszczaj go z domu.

Wampira, pomyślał Simon.

Jakby Alec nie znał jego imienia, a przecież on uratował mu kiedyś życie. Teraz stał się „wampirem”. Nawet jak na Aleca, który miał skłonność do wpadania w ponury nastrój, to było wstrętne. Może miało coś w wspólnego z pobytem w Idrisie. Może Alec czuł tutaj większą potrzebę podkreślenia, że jest Nocnym Łowcą.

– Po to mnie ściągnęliście na dół? Żeby nie wypuszczał wampira z domu? I tak bym tego nie zrobił. – Jace usiadł na kanapie obok Aline, która sprawiała wrażenie zadowolonej. – Lepiej się pospiesz i wracaj szybko. Kto wie, do jakich deprawacji może tutaj dojść pod twoją nieobecność.

Alec zmierzył Jace’a wzrokiem ze spokojem i wyższością.

– Postarajcie się zachowywać grzecznie. Wracam za pół godziny.

Ruszył w stronę długiego korytarza. Po chwili z daleka dobiegło szcęknięcie zamykanych drzwi.

– Nie powinieneś się z nim drażnić – stwierdziła Isabelle, rzucając Jace’owi surowe spojrzenie. – Oni naprawdę zostawili nas pod jego opieką.

Simon zauważył, że choć na kanapie jest dużo miejsca, Aline siedzi tak blisko Jace’a, że ich ramiona się stykają.

– Nie uważacie, że w poprzednim życiu Alec był starą kobietą z dziewięćdziesięcioma kotami, wrzeszczącą na dzieciaki z sąsiedztwa, żeby uciekały z jej trawnika? – rzucił Jace. Aline zachichotała. – To, że tylko on może iść do Gard...

– Co to jest Gard? – zapytał Simon.

Jace spojrział na niego z chłodną, nieprzyjazną miną. Rękę trzymał na dłoni Aline spoczywającej na jej udzie.

– Siadaj – powiedział, wskazując głową na fotel. – Chyba że zamierzasz zwiesić się w kącie jak nietoperz?

Świetnie. Zaczynają się żarty o nietoperzach. Simon usadowił się w fotelu.

– Gard to oficjalne miejsce spotkań Clave – wyjaśnił Sebastian, który najwyraźniej zlitował się nad Simonem. – Tam ustanawia się prawo, tam rezydują Konsul i Inkwizytor. Tylko dorośli Nocni Łowcy są wpuszczani na jego teren, kiedy obraduje Clave.

– Obraduje? – Simon przypomniał sobie to, co wcześniej na schodach powiedział Jace. – Chyba nie z mojego powodu?

Sebastian się roześmiał.

– Nie. Z powodu Valentine’a i Darów Anioła. Dlatego wszyscy są tutaj. Zastanawiają się, co teraz zrobi Valentine.

Jace się nie odezwał, ale na dźwięk imienia Valentine’a jego twarz stężała.

– Pewnie pójdzie po Lustro – stwierdził Simon. – Trzeci z Darów Anioła, tak? Jest w Idrisie? To dlatego wszyscy są tutaj?

Przez chwilę panowała cisza, aż wreszcie odezwała się Isabelle:

– Rzecz w tym, że nikt nie wie, gdzie jest Lustro. Prawdę mówiąc, nikt nie wie, co to w ogóle jest.

– Lustro, no wiecie, takie szkło odbijające obraz – rzucił Simon. – Ale to tylko moje przypuszczenie.

– Isabelle ma na myśli to, że nikt nie wie o Lustrze – wtrącił Sebastian. – W historii Nocnych Łowców jest wiele wzmianek o nim, ale żadnych szczegółów, gdzie ono się znajduje ani jak wygląda, a co ważniejsze, jak działa.

– Przypuszczamy, że Valentine chce je zdobyć, ale to niewiele nam pomaga, bo nikt nie ma pojęcia, gdzie ono jest – powiedziała Isabelle. – Cisi Bracia może coś wiedzieli, ale Valentine zabił ich wszystkich.

– Wszystkich? – spytał zaskoczony Simon. – Myślałem, że tylko tych z Nowego Jorku.

– Miasto Kości tak naprawdę nie znajduje się w Nowym Jorku – odparła Isabelle. – To tak jak... pamiętasz wejście do Jasnego Dworu w Central Parku? Tam było wejście, co nie oznacza, że sam Dwór mieści się pod parkiem. Podobnie jest z Miastem Kości. Są różne wejścia, ale samo miasto... – Isabelle urwała, kiedy Aline uciszyła ją szybkim gestem.

Simon przeniósł wzrok z jej twarzy na Jace’a i Sebastiana. Wszyscy mieli takie same czujne miny, jakby właśnie sobie uświadomili, że zdradzają sekrety Nefilim Podziemnemu. Wampirowi. Nie wrogowi, ale z pewnością osobnikowi, któremu nie można ufać.

Aline pierwsza przerwała milczenie. Utkwiła spojrzenie ładnych, ciemnych oczu w Simonie i zapytała:

– Jak to jest być wampirem?



– Aline! – Isabelle była wyraźnie zbulwersowana. – Nie można tak po prostu pytać ludzi, jak to jest być wampirem.

– Nie rozumiem, dlaczego – powiedziała Aline. – Nie jest wampirem aż tak długo, żeby nie pamiętać, jak to jest być człowiekiem, prawda? – Odwróciła się do Simona. – Czy krew nadal smakuje ci jak krew? Czy jak coś innego, na przykład sok pomarańczowy? Bo ja myślę, że smak krwi byłby...

– Smakuje jak kurczak – odparł szybko Simon, żeby ją uciszyć.

– Naprawdę? – Aline zrobiła zdumioną minę.

– On się z ciebie nabija – odezwał się Sebastian. – I słusznie. Przepraszam jeszcze raz za moją kuzynkę, Simonie. Ci z nas, którzy wychowali się poza Idrisem, nie znają dobrze Podziemnych.

– Ale przecież ty nie wychowałeś się w Idrisie? – zauważyła Isabelle. – Myślałam, że twoi rodzice...

– Isabelle – przerwał jej Jace, ale było już za późno.

Sebastian spochmurniał.

– Moi rodzice nie żyją – powiedział. – Gniazdo demonów w pobliżu Calais. Ale wszystko w porządku, to było dawno temu. – Machnięciem ręki zbył próbę przeprosin Isabelle. – Moja ciotka, siostra ojca, wychowała mnie w Instytucie w Paryżu.

– Więc mówisz po francusku? – Isabelle westchnęła. – Chciałabym znać jakiś język. Niestety, Hodge uważał, że nie potrzebujemy uczyć się innych oprócz starożytnej greki i łaciny, choć nikt nimi nie mówi.

– Mówię również po rosyjsku, włosku i trochę po rumuńsku – dodał ze skromnym uśmiechem Sebastian. – Mógłbym nauczyć cię paru zwrotów.

– Po rumuńsku? – podchwycił Jace. – To imponujące. Niewielu ludzi zna ten język.

– A ty? – spytał Sebastian.

– Niezupełnie – odparł Jace, z uśmiechem tak rozbrajającym, że Simon od razu wyczuł kłamstwo. – Mój rumuński ogranicza się do kilku zwrotów, takich jak: „Czy te węże są jadowite?” i „Wygląda pan zbyt młodo jak na policjanta”.

Sebastian się nie uśmiechnął. Simon stwierdził, że wyraz jego twarzy budzi w nim czujność. Odnosił wrażenie, że pod pozornym spokojem i łagodnością tego chłopaka coś się kryje.

– Lubię podróżować – wyznał Sebastian, patrząc na Jace’a. – Ale dobrze jest wrócić do domu, prawda?

Jace bawił się przez chwilę palcami Aline.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– To, że nigdzie nie jest tak jak w Idrisie, nawet jeśli my, Nefilim, urządzamy sobie domy gdzie indziej. Zgadzasz się?

– Dlaczego mnie pytasz? – Spojrzenie Jace’a było lodowate.

Sebastian wzruszył ramionami.

– Cóż, mieszkałeś tutaj w dzieciństwie, prawda? Minęły lata, zanim wróciłeś. A może się mylę?

– Nie mylisz się – odezwała się niecierpliwie Isabelle. – Jace lubi udawać, że nie o nim mowa, nawet jeśli wie, że tak jest.

– Jasne. – Jace piorunował go wzrokiem, ale Sebastian wydawał się nieporuszony. Simon poczuł coś w rodzaju niechętej sympatii do ciemnowłosego Nocnego Łowcy. Rzadko spotykało się kogoś, kto nie reagował na zaczepki Jace’a. – Ostatnio w Idrisie wszyscy tylko o tym mówią. O tobie, o Darach Anioła, o twoim ojcu, siostrze...

– Clarissa miała przyjechać z tobą, prawda? – spytała Aline. – Chciałam ją poznać. Co się stało?

Choć wyraz jego twarzy się nie zmienił, Jace zabrał rękę z dłoni Aline i zwinął w pięść.

– Nie chciała opuścić Nowego Jorku. Jej matka leży w szpitalu. – Nigdy nie mówi „nasza” matka, pomyślał Simon. To zawsze jest „jej” matka.

– To dziwne – stwierdziła Isabelle. – Myślałam, że naprawdę chce przyjechać.

– Chciała – odezwał się Simon. – Właściwie...

Jace wstał tak szybko, że Simon nawet tego nie zauważył.

– Przypomniałem sobie, że muszę o czymś porozmawiać z Simonem. Na osobności. – Skinieniem głowy wskazał na podwójne drzwi w drugim końcu pokoju. W jego oczach jarzyło się wyzwanie. – Chodź, wampirze. – Powiedział to takim tonem, że odmowa prawdopodobnie skończyłaby się jakimś rodzajem przemocy. – Porozmawiajmy.

## 3

### Amatis

Późnym popołudniem Luke i Clary zostawili jezioro daleko za sobą i ruszyli przez na pozór bezkresną, płaską równinę porośniętą wysoką trawą. Rozsiane tu i ówdzie łagodne wzniesienia przechodziły w wysokie wzgórza zwieńczone czarnymi skałami. Clary była wyczerpana po wspinaniu się na kolejne góry. Jej buty ślizgały się na wilgotnej trawie jak po marmurze. Gdy w końcu weszli na wąską gruntową drogę, ręce miała poplamione trawą i zakrwawione.

Luke kroczył przed nią z determinacją i zawziętą miną. Od czasu do czasu wskazywał na różne ciekawe rzeczy i ponurym głosem, jak przewodnik w głębokiej depresji, wyjaśniał, co to jest.

– Właśnie przecięliśmy Równinę Brocelind – oznajmił, kiedy wspięli się na kolejne wzniesienie i ujrzeli rozległą połąć ciemnych drzew, ciągnącą się ku zachodowi, gdzie słońce stało nisko na niebie. – Kiedyś większość tutejszych nizin pokrywała puszcza. Dużą jej część wycięto, żeby zrobić miejsce dla miasta oraz przepędzić stada wilków i wampirów, które się tam gromadziły. Las Brocelind zawsze był kryjówką dla Podziemnych.

Przez jakiś czas w milczeniu brnęli naprzód drogą, która przez kilka mil biegła wzdłuż lasu, a potem skręciła raptownie. Teren zaczął się podnosić, a kiedy pokonali wysokie wzgórze, które przed nimi wyrosło, Clary osłupiała na widok zabudowań. Rzędy małych białych domków stały równiutko jak w wiosce Munchkinów.

– Jesteśmy na miejscu! – wykrzyknęła i przyspieszyła kroku. Kiedy stwierdziła, że Luke'a nie ma obok niej, zatrzymała się gwałtownie.

Odwróciła się i zobaczyła, że Luke stoi pośrodku zakurzonej drogi i kręci głową.

– Nie, to nie jest miasto – powiedział, kiedy się z nią zrównał.

– Miasteczko? Mówiłeś, że tutaj nie ma żadnych miasteczek...

– To cmentarz. Miasto Kości. Myślałaś, że Miasto Kości w Nowym Jorku to nasze jedyne miejsce pochówku? – W głosie Luke’a brzmiał smutek. – W tej nekropolii chowamy wszystkich, którzy zmarli w Idrisie. Sama zobaczysz, bo musimy przez nią przejść, żeby dotrzeć do Alicante.

Clary nie była na cmentarzu od nocy, kiedy umarł Simon. Tamto wspomnienie przyprawiało ją o silny niepokój, kiedy szła wąskimi alejkami, które biegły między mauzoleami niczym białe wstęgi. Ktoś dbał o to miejsce. Marmur lśnił jak świeżo wypolerowany, trawa była równo przycięta. Tu i ówdzie na grobach leżały białe bukiety. Clary w pierwszej chwili myślała, że to lilie, ale te kwiaty miały korzenny, nieznany zapach. Doszła więc do wniosku, że to jakiś tutejszy gatunek. Każdy grób wyglądał jak mały domek, niektóre miały nawet metalowe albo drucziane bramy. Nad drzwiami były wyryte nazwiska rodów Nocnych Łowców: Cartwright, Merryweather, Hightower, Blackwell, Midwinter. Clary zatrzymała się przy jednym z nich. Napis na nim brzmiał: Herondale.

Odwróciła się do Luke’a.

– To nazwisko Inkwizytorki.

– To jej rodzinny grobowiec. Spójrz.

Na szarym marmurze obok drzwi były wyryte białe litery. Nazwiska. Marcus Herondale. Stephen Herondale. Obaj umarli w tym samym roku. Choć Clary nienawdziła Inkwizytorki, poczuła ukłucie żalu. Stracić jednocześnie męża i syna. Pod imieniem Stephena widniały trzy łacińskie słowa: *Ave Atque Vale*.

– Co to znaczy? – zapytała Clary.

– „Witaj i żegnaj”. To z pieśni Katullusa. Weszło w zwyczaj, że Nefilim wypowiadają te słowa na pogrzebach albo kiedy ktoś ginie w bitwie. Chodźmy. Lepiej nie zastanawiać się zbyt długo nad takimi rzeczami.

Luke wziął ją za ramię i delikatnie odciągnął od grobowca.

Może ma rację, pomyślała Clary. Może teraz lepiej nie rozmyślać za dużo o śmierci i umieraniu. Kiedy wychodzili z cmentarza, odwracała wzrok od nagrobków. Znajdowali się prawie przy żelaznej bramie w drugim końcu nekropolii, gdy dostrzegła mniejsze od innych mauzoleum, które wyrastało jak biały grzyb w cieniu liściastego dębu. Nazwisko wyryte nad drzwiami rzuciło się jej w oczy, jakby zostało napisane światłem.

Fairchild.

– Clary...

Luke sięgnął po jej rękę, ale ona już ruszyła w stronę grobu. Z westchnieniem podążył za nią w cień drzewa, gdzie Clary stanęła niczym urzeczona i zaczęła czytać nazwiska dziadków i pradziadków, których nigdy nie znała. Aloysius Fairchild. Adele Fairchild, B. Nightshade. Granville Fairchild. A pod nimi: Jocelyn Morgenstern, B. Fairchild.

Przebiegł przez nią zimny dreszcz. Widok nazwiska matki był jak powrót do nawiedzających ją czasem koszmarów – że jest na pogrzebie i nikt jej nie mówi, co się stało ani jak zmarła Jocelyn.

– Ale przecież ona żyje – powiedziała, patrząc na Luke’a. – Ona nie...

– Clave o tym nie wiedziało – przerwał jej Luke.

Clary gwałtownie wciągnęła powietrze. Już nie widziała Luke’a ani nie słyszała jego głosu. Przed nią wznosiło się poszarpane górskie zbocze, czarne nagrobki sterczały z ziemi jak obnażone kości. Na jednym z nich były wyryte nierówne litery: Clarissa Morgenstern, ur. 1991, zm. 2007. Pod nimi widniał prymitywny, dziecięcy rysunek czaszki z pustymi oczodołami. Clary z krzykiem odskoczyła do tyłu.

Luke chwycił ją za ramiona.

– Clary, co się stało? O co chodzi?

Pokazała ręką.

– Tam... spójrz...

Obraz zniknął. Przed nią ciągnęła się trawa, zielona i przystrzyżona, oraz równe rzędy białych mauzoleów.

Przeniosła wzrok na Luke’a.

– Widziałam własny grób – powiedziała. – Było na nim napisane, że umrę w tym roku. – Zadrżała.

Luke spochmurniał.

– To woda z jeziora. Zaczynasz mieć halucynacje. Chodźmy. Zostało nam niewiele czasu.

\*\*\*

Jace poprowadził Simona schodami na górę, a potem krótkim korytarzem z drzwiami po obu stronach. Zatrzymał się przed jednymi i otworzył je z ponurą miną.

– Wchodź – powiedział, wpychając Simona do środka. Okazało się, że jest to biblioteka z rzędami półek, długimi kanapami i fotelami. – Tutaj będziemy mieli trochę prywatności...

Urwał raptownie, kiedy z jednego z foteli poderwała się jakaś postać. Był to mały chłopiec o kasztanowych włosach, w okularach. Miał drobną, poważną twarz, w ręce trzymał książkę. Simon na tyle znał czytelnicze zwyczaje Clary, żeby z daleka rozpoznać tomik mangi.

Jace zmarszczył brwi.

– Przepraszam, Max. Potrzebujemy tego pokoju. Rozmowa dorosłych.

– Izzy i Alec wygonili mnie z salonu, żeby przeprowadzić rozmowę dorosłych – poskarżył się Mac. – Gdzie mam teraz iść?

Jace wzruszył ramionami.

– Do swojego pokoju? – Wskazał kciukiem na drzwi. – Czas wypełnić obowiązek wobec kraju, dzieciaku. Zmykaj.

Obrażony Max przemaszerował obok nich z książką przyciśniętą do piersi. Simonowi zrobiło się go żal. Chłopiec miał przechlapane. Był na tyle duży, że ciekawiło go, co się dzieje, ale na tyle mały, że zawsze odprawiano go do dziecięcego pokoju. Przechodząc obok, Max miał lekko wystraszone, podejrzliwe spojrzenie. To jest wampir, mówiły jego oczy.

– Chodź.

Jace zamknął drzwi na klucz i pociągnął Simona w głąb biblioteki. W pomieszczeniu zrobiło się ciemno nawet jak dla wampira. Pachniało kurzem. Jace przeciął pokój i rozsunął zasłony. Wysokie okno panoramiczne wychodziło na kanał. Za ledwie kilka stóp niżej, pod kamiennymi balustradami ozdobionymi zwietrzałym wzorem z runów i gwiazd, chlupotała woda.

Jace z posępną miną odwrócił się do Simona.

– Jaki, do diabła, masz problem, wampirze?

– Ja mam problem? Przecież to ty wyciągnęłaś mnie z salonu za włosy.

– Bo zamierzałaś im powiedzieć, że Clary wcale nie zrezygnowała z wizyty w Idrisie. Wiesz, co by się wtedy stało? Skontaktowaliby się z nią i zorganizowali jej przybycie. A ja już ci mówiłem, że do tego nie może dojść.

Simon pokręcił głową.

– Nie rozumiem – powiedział. – Czasami zachowujesz się, jakby zależało ci na Clary, a potem tak, jakby...

Jace wbił w niego wzrok. W powietrzu tańczyły drobinki kurzu, tworząc między nimi migotliwą kurtynę.

– Jak?

– Flirtowałaś z Aline. Nie wyglądało na to, że zależy ci tylko na Clary.

– Nie twoja sprawa – odburknął Jace. – Poza tym, Clary jest moją siostrą. Dobrze wiesz.

– Byłem również na dworze faerie – przypomniał Simon. – Pamiętam, co powiedziała królowa. „Dziewczynę uwolni tylko pocałunek, którego ona najbardziej pragnie”.

– Nie wątpię, że pamiętasz. Wryło ci się to w umysł, prawda, wampirze?

Simon wydał dziwny dźwięk z głębi gardła. Nawet nie wiedział, że jest do takiego zdolny.

– O, nie, nie zamierzam się kłócić – oświadczył. – Nie walczę z tobą o Clary. To niedorzeczne.

– Więc dlaczego zacząłeś mówić takie rzeczy?

– Dlatego. Jeśli chcesz, żebym okłamał twoich przyjaciół Nocnych Łowców, jeśli chcesz, żebym twierdził, że Clary sama nie chciała tu przyjechać, jeśli mam udawać, że nic nie wiem o jej mocy ani o tym, co ona naprawdę potrafi, musisz coś dla mnie zrobić.

– Dobrze – zgodził się Jace. – Czego chcesz?

Simon milczał przez chwilę, patrząc na rząd kamiennych domów stojących wzdłuż roziskrzonego kanału. Ponad ich dachami widział lśniące szczyty demonicznych wież.

– Zrób wszystko, co trzeba, żeby przekonać Clary, że nic do niej nie czujesz. I nie mów mi, że jesteś jej bratem. Już to wiem. Zostaw ją w spokoju, skoro wiesz, że to, co jest między wami, nie ma przyszłości. Nie mówię tak dlatego, że chcę ją dla siebie. Mówię to, bo jestem jej przyjacielem i nie chcę, żeby cierpiała.

Jace przez dłuższą chwilę patrzył na swoje dłonie i nic nie odpowiadał. Były to chude ręce o palcach i kostkach pokrytych zgrubieniami i cienkimi białymi bliznami po starych Znakach. Były to dłonie żołnierza, a nie nastolatka.

– Już to zrobiłem – rzekł w końcu Jace. – Powiedziałem jej, że chcę jedynie być jej bratem.

– Aha. – Simon spodziewał się oporu i kłótni, a nie tego, że Jace tak łatwo się podda. Ustępliwy Jace był dla niego czymś nowym, niemal wzbudził w nim wstyd i poczucie winy. „Clary nawet mi o tym nie wspomniała”, chciał powiedzieć, ale z drugiej strony, dlaczego miałaby mu się zwierzać? Prawdę mówiąc, ostatnio na każdą wzmiankę o Jasie milkła i zamykała się w sobie. – Cóż, to chyba załatwia sprawę. Ale jest jeszcze jedna, ostatnia rzecz.

– Tak? – mruknął Jace bez szczególnego zainteresowania. – Jaka?

– Co powiedział Valentine na statku, kiedy Clary narysowała znak? Brzmiało to jak z obcego języka. *Meme* coś tam...?

– *Mene mene tekel upharsin* – wyrecytował ze słabym uśmiechem Jace. – Nie poznajesz tych słów? Pochodzą z Biblii, wampirze. Starej. To twoja księga, prawda?

– To, że jestem Żydem, nie oznacza, że znam na pamięć Stary Testament.

– Taki napis pojawił się na ścianie. „Bóg policzył dni twojego panowania i doprowadził je do końca. Jesteś zważony na wadze i znaleziony lekkim”. Był zapowiedzią zagłady, upadku imperium.

– Ale co te słowa mają wspólnego z Valentine’em? – zdziwił się Simon.

– Nie tylko z Valentine’em. Z nami wszystkimi. Z Clave i Prawem. To, co potrafi Clary, wywraca do góry całą ich dotychczasową wiedzę. Żadna ludzka istota nie potrafi tworzyć nowych runów. Tylko aniołowie mają taką moc. A ponieważ Clary też to umie... cóż, wygląda to na znak. Rzeczy się zmieniają. Prawo się zmienia. Stare zwyczaje tracą znaczenie. Podobnie jak bunt aniołów położył kres dawnemu światu, podzielił niebo i stworzył piekło, może teraz zbliża się koniec Nefilim. To nasza wojna w niebie, wampirze, i tylko jedna strona w niej zwycięży. A mój ojciec chce, żeby to była jego strona.

\*\*\*

Choć powietrze nadal było chłodne, Clary aż się gotowała w mokrym ubraniu. Pot ściekał jej po twarzy strumykami i moczył kołnierz płaszcza, kiedy Luke, trzymając dłoń na jej ramieniu, popędzał ją drogą pod szybko ciemniejącym niebem. Już widzieli Alicante. Miasto leżało w płytkiej dolinie, rozdzielone srebrzystą rzeką, która wpływała do niego na jednym końcu, znikiała i wypływała z drugiej strony. Pod urwistym wzgórzem tłoczyły się budynki koloru miodu z czerwonymi dachami, zbocze przecinała płatanina stromych, krętych uliczek. Na szczycie wzniesienia stała ciemna, wysoka, kamienna budowla z kolumnami i lśniącymi wieżami w czterech rogach. Między domami były rozrzucone takie same wąskie szklane wieże, skrzące się jak kwarc. Wyglądały jak igły przesywając niebo. Gasnący blask słońca, który odbijał się od ich powierzchni, tworzył tęczowe iskry. Był to widok piękny i zarazem bardzo dziwny.

Nie widziało się miasta, dopóki nie zobaczy się szklanych wież Alicante.

– Co to było? – zapytał Luke. – Co mówiłaś?

Clary nie zdawała sobie sprawy, że wypowiedziała te słowa na głos. Gdy powtórzyła je zakłopotana, Luke spojrział na nią ze zdziwieniem.



– Gdzie je słyszałaś?

– Od Hodge’a.

Luke przyjrzał się jej uważnie.

– Masz rumieńce – stwierdził. – Jak się czujesz?

Clary była cała rozpalona, w ustach miała sucho i bolała ją szyja.

– Dobrze. Chodźmy już.

– W porządku.

Luke pokazał ręką. Na skraju miasta, gdzie kończyły się budynki, Clary zobaczyła łuk zbiegający się w ostry czubek. W jego cieniu pełnił wartę Nocny Łowca w ciemnym stroju.

– To jest Północna Brama. Przez nią Podziemni mogą legalnie wchodzić do miasta, pod warunkiem, że mają dokument.

Strażnicy stoją tam dzień i noc. Jeśli przybywamy w sprawach służbowych albo mamy pozwolenie, możemy wejść.

– Ale wokół miasta nie ma żadnych murów – zauważyła Clary. – Brama też nie wydaje się niedostępna.

– Czary są niewidoczne, ale są. Wytwarzają je demoniczne wieże, które liczą sobie tysiące lat. Poczujesz to, kiedy przez nie przejdiesz. – Luke znowu spojrzął z troską w oczach na jej rozplamioną twarz. – Jesteś gotowa?

Clary kiwnęła głową. Ruszyli wzdłuż wschodniej strony miasta, gdzie budynki były gęściej stłoczone. Luke pokazał jej gestem, żeby zachowała milczenie, i pociągnął ją w stronę wąskiego przejścia między dwoma domami. Clary zamknęła oczy, jakby się spodziewała, że wpadnie na niewidzialną ścianę, gdy tylko wejdą na ulicę Alicante. Tak się nie stało. Poczowała tylko nagły wzrost ciśnienia, jakby znajdowała się w spadającym samolocie. Zatkęły jej się uszy, ale wrażenie szybko minęło. Zobaczyła, że stoją w zaułku między budynkami.

Podobnie jak zaułki w Nowym Jorku – i wszystkie inne na świecie – ten również cuchnął kocimi sikami.

Clary wyjrzała za róg. W górę zbocza ciągnęła się większa ulica z małymi warsztatami i domami po obu stronach.

– Nikogo nie ma – stwierdziła z lekkim zdziwieniem.

W zapadającym mroku twarz Luke’a wyglądała na szarą.

– Zapewne w Gard trwa zebranie. To jedyna rzecz, która sprawia, że z ulic natychmiast wszyscy znikają.

– To niedobrze? Dzięki temu nikt nas nie zobaczy.

– Dobrze i źle. To prawda, że ulice są opustoszałe, ale każdy, kto się na nich znajdzie, zwróci na nas uwagę.

– Mówiłeś, że wszyscy są w Gard.

Luke uśmiechnął się słabo.

– Niedosłownie, Clary. Miałem na myśli większość miasta. Dzieci, nastolatki i wykluczeni nie biorą udziału w zgromadzeniu.

Nastolatki. Clary pomyślała o Jasie i puls natychmiast jej przyspieszył, jak koń wypadający z boksów startowych na wyścigach.

Luke zmarszczył brwi, niemal jakby czytał w jej myślach.

– Teraz łamię Prawo, przebywając w Alicante bez zameldowania się przy bramie. Jeśli ktoś mnie rozpozna, znajdziemy się w prawdziwych tarapatach. – Spojrzał na wąski pas rdzawego nieba widoczny między dachami. – Musimy zniknąć z ulic.

– Myślałam, że idziemy do domu twojego przyjaciela.

– Idziemy. Właściwie ona nie jest przyjaciółką.

– A kim...?

– Chodź.

Luke zanurkował w pasaż między dwoma domami, tak wąski, że można by dotknąć palcami obu ścian. Idąc nim, dotarli na brukowaną, krętą ulicę ze sklepami. Budynki wyglądały jak przeniesione z gotyku skrzyżowanego ze światem bajek dla dzieci. Kamienne fasady były ozdobione rzeźbami najróżniejszych stworzeń z mitów i legend. Głównymi elementami dekoracyjnymi okazały się głowy potworów, skrzydlate konie, domy na kurzych nóżkach, syreny i oczywiście anioły. Z każdego rogu sterczały gargulce o wykrzywionych pyskach. I wszędzie widniały runy: namalowane na drzwiach, ukryte w abstrakcyjnych rzeźbieniach, zawieszane na cienkich metalowych łańcuchach, które skręcały się na wietrze jak dzwoneczki wiatrowe. Runy ochrony, powodzenia, dobrych interesów. Patrząc na nie, Clary poczuła lekkie zawroty głowy.

Szli w milczeniu, trzymając się cieni. Brukowana ulica była pusta, drzwi sklepów zamknięte i zakratowane. Kiedy je mijali,

Clary spoglądała w okna. W jednym zobaczyła wystawę z drogich dekorowanych czekolad, w następnym równie bogatą kolekcję groźnie wyglądającej broni: kordów, maczug, pałek najeżonych gwoździami i serafickich noży wszelkich rozmiarów.

– Żadnych pistoletów – zauważyła. Własny głos wydawał się jej bardzo odległy.

Luke zerknął na nią z ukosa.

– Co?

– Nocni Łowcy. Nigdy nie używają pistoletów.

– Runy nie pozwalają na zapłon prochu – wyjaśnił Luke. – Nikt nie wie dlaczego. Mimo to Nefilim od czasu do czasu używali strzelb przeciwko likantropom. Nie trzeba runów, żeby nas zabić, wystarczą srebrne kule. – Luke nagle uniósł głowę. W nikłym świetle łatwo było sobie wyobrazić, że jego uszy sterczą jak u wilka. – Głosy. Chyba skończyło się posiedzenie w Gard.

Wziął ją za ramię i sprowadził z głównej ulicy. Po chwili wyszli na mały plac ze studnią pośrodku. Tuż przed nimi ciągnął się wąski kanał spięty ceglany mostem. W słabym świetle woda wyglądała niemal na czarną. Teraz Clary również usłyszała głosy dochodzące z pobliskich ulic. Były podniesione, gniewne. Mocniej zakręciło się jej w głowie, ziemia przekrzywiła się pod nogami. Clary oparła się o mur, żeby nie upaść. Oddychała ciężko.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się Luke.

Głos miał zachrypnięty, dziwny. Clary na niego spojrzała i zaparło jej dech. Uszy Luke'a zrobiły się długie i spiczaste, zęby ostre jak szpikulce, oczy żółte...

– Luke – wyszeptała. – Co się z tobą dzieje?

Wyciągnął do niej dziwnie wydłużone ręce o ostrych paznokciach koloru rdzy.

– Co się stało? – spytał.

Odsunęła się od niego z krzykiem. Sama nie wiedziała, dlaczego jest taka przerażona. Już wcześniej widywała Przemianę, a Luke nigdy jej nie skrzywdził. Mimo to nie potrafiła zapanować nad strachem. Luke chwycił ją za ramiona, a ona wyrwała mu się, żeby uciec jak najdalej od jego żółtych, zwierzęcych oczu, choć uciszał ją swoim zwykłym, ludzkim głosem.

– Clary, proszę...

– Puść mnie! Puść mnie!

Nie puścił.

– Masz halucynacje. Wytrzymaj jeszcze trochę. – Na pół wlokąc, pociągnął ją w stronę mostu. Clary czuła, że po jej twarzy spływają łzy, chłodząc rozpalone policzki. – To nie jest prawda. Trzymaj się, proszę.

Pomógł jej wejść na most. Clary poczuła zapach wody, zielonej i stęchłej. Pod jej powierzchnią poruszały się jakieś stworzenia. W pewnym momencie z kanału wyłoniła się czarna macka o gąbczastym czubku najeżonym ostrymi zębami. Clary próbowała rzucić się do ucieczki, niezdolna nawet do krzyku. Z jej gardła wydobył się tylko cichy jęk.

Gdy ugięły się pod nią kolana, Luke złapał ją i wziął na ręce. Nie nosił jej, odkąd skończyła pięć albo sześć lat.

– Clary... – Reszta jego słów zlała się w niezrozumiały ryk.

Pobiegł z nią wzdłuż rzędu wysokich, wąskich budynków, które przypominały Clary czynszówki Brooklynu... a może tylko miała halucynacje? Powietrze wokół nich jakby migotało, światła domów jarzyły się jak pochodnie, kanał skrzył się upiornym fosforyzującym blaskiem. Clary miała wrażenie, że jej kości się rozpuszczają.

– Tutaj. – Luke zatrzymał się przed domem stojącym nad kanałem.

Z krzykiem kopnął w pomalowane na jaskrawoczerwony kolor drzwi. Znajdował się na nich pojedynczy złoty znak. W miarę jak Clary na niego patrzyła, rozplątał się i przybrał kształt straszliwej wyszczerzonej czaszki.

„To nie dzieje się naprawdę”, powiedziała sobie i stłumiła krzyk, gryząc pięść, aż poczuła smak krwi w ustach. Ból rozjaśnił jej w głowie.

W tym momencie drzwi się otworzyły. Stała w nich kobieta w ciemnej sukni, o twarzy wykrzywionej w grymasie gniewu i zaskoczenia. Włosy miała szpakowate, długie, niesforne, splecione w dwa warkocze. Niebieskie oczy wydawały się znajome. W ręce trzymała magiczny kamień.

– Kto tam? – zapytała. – Czego chcecie?

– Amatis. – Luke wszedł w krąg czarodziejskiego światła, niosąc Clary na rękach. – To ja.

Kobieta zbladła i przytrzymała się ręką framugi.

– Lucian?

Luke próbował wejść do środka, ale kobieta... Amatis zagroziła mu drogę, potrząsając głową tak gwałtownie, że jej warkocze skakały w tę i z powrotem.

– Jak możesz tutaj przychodzić, Lucianie? Jak śmiesz tutaj przychodzić?

– Nie miałem wyboru.

Gdy Luke przytulił ją mocniej, Clary z trudem zdusiła okrzyk. Całe jej ciało płonęło. Bolał ją każdy nerw.

– Musisz odejść – oświadczyła Amatis. – Jeśli natychmiast stąd...

– Nie zjawilem się tutaj ze względu na siebie. Chodzi o dziewczynę. Ona umiera. – Widząc minę kobiety, dodał: – Amatis, proszę. To córka Jocelyn.

Zapadła długa cisza. Amatis stała w progu jak posąg, zupełnie bez ruchu, zmartwiała z zaskoczenia albo przerażenia. Clary zacisnęła pięść – dłoń miała lepka od krwi w miejscu, gdzie wbiły się w nią paznokcie – ale teraz nawet ból jej nie pomógł. Świat rozpadał się na łagodne kolory, puzzle dryfujące po powierzchni wody. Ledwo słyszała głos Amatis, kiedy ta odsunęła się od drzwi i powiedziała:

– Dobrze, Lucianie. Możesz ją wnieść do środka.

\*\*\*

Kiedy Simon i Jace wrócili do salonu, zobaczyli, że Aline tymczasem przyniosła jedzenie i postawił je na niskim stoliku między kanapami. Był tam chleb, ser, kawałki ciasta, jabłka i nawet butelka wina, którego Maksowi nie pozwolono tknąć. Chłopiec siedział w kącie z talerzem ciasta i otwartą książką na kolanach. Simon mu współczuł. W tej roześmianej, rozgadanej grupce czuł się równie samotnie jak zapewne Max.

Zauważył, że sięgając po jabłko, Aline muska palcami nadgarstek Jace'a. Stwierdził, że ogarnia go złość. Przecież tego właśnie chcesz, pomyślał, ale jakoś nie mógł pozbyć się uczucia, że takie zachowanie uwłacza Clary.

Jace napotkał jego wzrok nad głową Aline i posłał mu uśmiech pełen ostrych zębów, choć nie był wampirem. Simon odwrócił wzrok i rozejrzał się po pokoju. Zauważył, że muzyka, którą wcześniej słyszał, nie pochodzi ze stereo, tylko ze skomplikowanego mechanicznego wynalazku.

Przyszło mu do głowy, żeby pogadać z Isabelle, ale ona już gawędziła z Sebastianem, który z uwagą pochylał ku niej głowę. Jace kiedyś śmiał się z zauroczenia Simona Isabelle, ale wyglądało na to, że Sebastian bez trudu sobie z nią poradzi. Ostatecznie Nocni Łowcy byli wychowywani tak, żeby radzić sobie ze wszystkim. Zdziwił go jednak wyraz twarzy Jace'a, kiedy mówił, że zamierza być tylko bratem Clary.

– Skończyło się nam wino – oznajmiła Isabelle, odstawiając ze stukiem butelkę na stół. – Pójdę po więcej. – Mrugnęła do Sebastiana i ruszyła do kuchni.

– Ośmielę się zauważyć, że jesteś trochę milczący – zagaił Sebastian. Opierał się o tył fotela Simona i patrzył na niego z rozbijającym uśmiechem. Jak na kogoś o tak ciemnych włosach skórę miał bardzo jasną, jakby niewiele wychodził na słońce. – Wszystko w porządku?

Simon wzruszył ramionami.

– Nie bardzo wiem, jaki temat poruszyć. Rozmawiacie głównie o polityce Nocnych Łowców albo o ludziach, o których nigdy nie słyszałem. Albo o jednym i drugim.

Uśmiech zniknął z twarzy Sebastiana.

– Potrafimy być zamkniętym kręgiem, my, Nefilim. Tak to jest z tymi, którzy są odcięci od reszty świata.

– Nie uważasz, że sami się odcinacie? Gardzicie zwykłymi ludźmi...

– „Gardzimy” to trochę za mocne słowo – stwierdził Sebastian. – A ty naprawdę myślisz, że świat ludzi chciałby mieć cokolwiek z nami wspólnego? Jesteśmy wszyscy żywym przypomnieniem tego, że sami się okłamują, wmawiając sobie, że tak naprawdę nie ma wampirów, demonów ani potworów pod łóżkiem. – Odwrócił głowę i spojrzał na Jace’a, który od kilku minut gapił się na nich w milczeniu. – Nie zgadzasz się z tą opinią?

Jace się uśmiechnął.

– *De ce crezi că vă ascultam conversația?*

Sebastian popatrzył na niego z zainteresowaniem.

– *M-ai urmărit de când ai ajuns aici* – odparł. – *Numi dau seama dacă nu mă placi ori dacă ești atât de bănuitor cu toată lumea.* – Wstał z kanapy. – Doceniam ćwiczenia z rumuńskiego, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę zobaczyć, co Isabelle tak długo robi w kuchni.

Gdy szedł przez pokój, Jace z zaskoczoną miną odprowadzał go wzrokiem.

– O co chodzi? – zapytał Simon. – Jednak nie mówi po rumuńsku?

– Przeciwnie. – Między oczami Jace’a pojawiła się mała zmarszczka. – Mówi całkiem dobrze.

Zanim Simon zdążył zadać następne pytanie, do pokoju wszedł Alec. Był tak samo pochmurny jak wtedy, kiedy wychodził. Zawiesił na chwilę wzrok na Simonie z lekkim wyrazem zmieszania w niebieskich oczach.

– Tak szybko wróciłeś? – rzucił Jace.

– Nie na długo. – Alec wziął ze stołu jabłko, nie zdejmując rękawiczki. – Wróciłem po... niego. – Wskazał na Simona. – Chcą, żeby przyszedł do Gard.

– Naprawdę? – zdziwiła się Aline.

Tymczasem Jace już wstawał z kanapy.

– Po co? – zapytał z niebezpiecznym spokojem w głosie. – Mam nadzieję, że przynajmniej się tego dowiedziałeś, zanim obiecałeś go przyprowadzić.

– Oczywiście, że spytałem – warknął Alec. – Nie jestem głupi.

– Och, daj spokój – odezwała się Isabelle, która w tym momencie stanęła w drzwiach razem z Sebastianem trzymającym w ręce butelkę wina. – Czasami jesteś trochę głupi, sam wiesz. – Gdy Alec rzucił jej mordercze spojrzenie, dodała pospiesznie: – Ale tylko troszeczkę.

– Odsyłają Simona z powrotem do Nowego Jorku – oznajmił Alec. – Przez Bramę.

– Ale przecież on dopiero co się tu zjawił! – zaprotestowała Isabelle, wydymając usta. – To nie jest zabawne.

– Wcale nie ma być zabawne, Izzy. Simon pojawił się tutaj przypadkiem, więc Clave uważa, że najlepiej będzie odesłać go do domu.

– Świetnie – powiedział Simon. – Może moja matka nie zdąży zauważyć, że mnie nie ma. Jaka jest różnica czasowa między Alicante a Manhattanem?

– To ty masz matkę? – spytała ze zdumieniem Aline.

Simon postanowił ją zignorować.

– Mówię serio – zapewnił, kiedy Alec i Jace wymienili spojrzenia. – Wszystko w porządku. Naprawdę chcę się stąd wydostać.

– Pójdiesz z nim? – zapytał Jace, zwracając się do Aleca. – I upewnisz się, że wszystko jest w porządku?

Obaj Nocni Łowcy popatrzyli na siebie w sposób dobrze znany Simonowi. Tak samo on i Clary czasami wymieniali zakodowane spojrzenia, kiedy nie chcieli, żeby ich rodzice wiedzieli, co knują.

– Co jest? – Przeniósł wzrok z jednego Nocnego Łowcy na drugiego. – Co się stało?

Alec odwrócił oczy, a Jace uśmiechnął się do Simona z obojętną miną.

– Nic. Wszystko w porządku. Gratulacje, wampirze, wracasz do domu.

## Chodzący za Dnia

Noc zapadła nad Alicante, kiedy Simon i Alec opuścili dom Penhallowów i skierowali się w stronę Gard. Ulice były wąskie i kręte, wiły się w górę w blasku księżyca niczym jasne kamienne wstęgi.

Ochłodziło się, ale Simon nie czuł zimna.

Alec maszerował w ponurym milczeniu przodem, jakby udawał, że jest sam. W poprzednim życiu Simon musiałby się zasapać, żeby dotrzymać mu kroku, ale teraz odkrył, że mógłby przegonić Nocnego Łowcę, tylko trochę przyspieszając.

– Ale kanał – odezwał się w końcu. – Mówię o eskortowaniu mnie.

Alec wzruszył ramionami.

– Mam osiemnaście lat. Jestem dorosły, więc muszę brać na siebie odpowiedzialność. Tylko ja mogę wchodzić do Gard, kiedy są obrady, a poza tym Konsul mnie zna.

– Jaki Konsul?

– Ktoś w rodzaju wysokiego urzędnika Clave. Liczy głosy rady, interpretuje Prawo, doradza Inkwizytorowi. Jeśli prowadzisz Instytut i masz kłopoty, których nie potrafisz rozwiązać, możesz wezwać Konsula.

– Doradza Inkwizytorowi? Myślałem, że... Inkwizytorka nie żyje?

Alec prychnął.

– Owszem, nie żyje. Ale mamy nowego Inkwizytora. Nazywa się Aldertree.

Simon spojrział w dół, na ciemną wodę kanałów. Zostawili miasto za sobą i teraz szli wąską drogą między cienistymi drzewami.

– Powiem ci, że inkwizycja jakoś źle się kojarzy mojemu ludowi. – Widząc puste spojrzenie Aleca, dodał: – Nieważne. To taki żart z historii Przyziemnych. Dla ciebie mało interesujący.



– Nie jesteś Przyziemnym – powiedział Alec. – To dlatego Aline i Sebastian aż się palili, żeby cię poznać. Co prawda, po Sebastianie nie było tego widać. On zawsze zachowuje się tak, jakby już wszystko w życiu widział.

– Czy on i Isabelle... jest coś między nimi? – wypalił bez zastanowienia Simon.

Alec parsknął śmiechem.

– Isabelle i Sebastian? Mało prawdopodobne. Sebastian to miły gość, a Isabelle lubi się umawiać tylko z niewłaściwymi chłopcami, którzy na pewno nie spodobają się naszym rodzicom. Z Przyziemnymi, Podziemnymi, drobnymi oszustami...

– Dzięki – rzucił Simon. – Cieszę się, że zostałem zaliczony do elementów przestępczych.

– Myślę, że ona to robi, żeby zwrócić na siebie uwagę – stwierdził Alec. – Poza tym jest jedyną dziewczyną w rodzinie, więc musi udowodniać, jaka jest twarda. Albo przynajmniej tak uważa.

– A może próbuje odciągnąć uwagę od ciebie – podsunął od niechcenia Simon. – No wiesz, skoro twoi rodzice nie mają pojęcia, że jesteś gejem i w ogóle...

Alec zatrzymał się na środku drogi tak raptownie, że Simon omal na niego nie wpadł.

– Ale najwyraźniej wszyscy inni wiedzą.

– Z wyjątkiem Jace'a – powiedział szybko Simon. – On nie wie, prawda?

Alec wziął głęboki wdech. Był blady albo taki się wydawał w blasku księżyca, który wszystko pozbawiał koloru. Jego oczy wydawały się czarne w ciemności.

– Naprawdę nie rozumiem, co cię to obchodzi. Chyba że próbujesz mi grozić.

– Grozić? – Simon osłupiał. – Ja nie...

– Więc dlaczego? – spytał Alec z bólem w głosie. – Po co poruszasz ten temat?

– Bo tak. Zdaje się, że mnie nienawidzisz. Nie biorę tego osobiście, mimo że uratowałem ci życie. Wygląda to tak, jakbyś nienawidził całego świata. Poza tym nie mamy nic ze sobą wspólnego. Ale widzę, jak patrzysz na Jace'a, i wiem, jak sam patrzę na Clary, więc domyślam się, że jednak coś nas łączy. I może mógłbyś trochę mniej mnie nie lubić.

– Więc nic nie powiesz Jace'owi? – zapytał Alec. – To znaczy... wyznałeś Clary, co czujesz i...

– I to nie był najlepszy pomysł – przyznał Simon. – Teraz przez cały czas się zastanawiam, jak wszystko odwrócić. Czy jeszcze kiedykolwiek możemy być przyjaciółmi, czy

to, co nas łączyło, rozpadło się na kawałki. Nie z jej powodu, tylko z mojego. Może gdybym znalazł kogoś innego...

– Kogoś innego – powtórzył Alec i ruszył szybko przed siebie, wpatrując się w drogę.

Simon przyspieszył kroku, żeby go dogonić.

– Wiesz, co mam na myśli. Sądzę, na przykład, że Magnus Bane naprawdę cię lubi. I jest całkiem spoko. Wydaje świetne przyjęcia. Nawet jeśli na jednym z nich zmieniałem się w szczura.

– Dzięki za radę. – Ton Aleca był suchy. – Nie sądzą jednak, żeby lubił mnie aż tak bardzo. Prawie w ogóle ze mną nie rozmawiał, kiedy przyszedł otworzyć Bramę w Instytucie.

– Może powinieś do niego zadzwonić – podsunął Simon, starając się nie myśleć o tym, że udzielanie rad łowcy demonów w kwestii randek z czarownikiem jest dość dziwne.

– Nie mogę – powiedział Alec. – W Idrisie nie ma telefonów. Zresztą, nieważne. Jesteśmy na miejscu. Oto Gard.

Przed nimi wznosiła się wysoka ściana z osadzoną w niej ogromną bramą, na której były wyryte zawijasy z runów. Choć Simon nie potrafił ich odczytać tak jak Clary, złożoność tych wzorów oszałamiała. Emanowała z nich moc. Bramy strzegły po obu stronach posągi kamiennych aniołów o twarzach groźnych i pięknych. Każdy trzymał w ręce rzeźbiony miecz, a u ich stóp leżały zwinięte stworzenia – skrzyżowanie szczura, nietoperza i jaszczurki z paskudnymi, ostrymi zębami. Simon patrzył na nie przez dłuższą chwilę. Domyślał się, że to demony, ale równie dobrze mogły to być wampiry.

Alec pchnął bramę i skinął na Simona. W środku Simon rozejrzał się oszołomiony. Odkąd stał się wampirem, jego nocne widzenie bardzo się wyostrzyło, ale dziesiątki pochodni umieszczonych wzdłuż dróżki biegnącej do drzwi Gard rozsiewało magiczne światło, białe i tak ostre, że zacierały się w nim wszystkie szczegóły. Alec poprowadził go wąską kamienną ścieżką, która jaśniała odbitym blaskiem. W pewnym momencie Simon zobaczył, że ktoś na niej stoi i zagradza im drogę uniesionym ramieniem.

– Więc to jest ten wampir? – Głos zabrzmiał jak warczenie z głębi gardła.

Gdy Simon podniósł wzrok, światło zakłuło go w oczy. Gdyby to było możliwe, napłynęłyby do nich łzy. Pali mnie czarodziejskie światło, pomyślał, anielskie światło. I nic dziwnego.

Człowiek, który przed nimi wyrósł, był bardzo wysoki, o ziemistej skórze naciągniętej na wydatne kości policzkowe. Miał krótko ścięte czarne włosy, wysokie czoło, haczykowany nos.

Kiedy patrzył z góry na Simona, na jego twarzy malował się taki wyraz, jak u pasażera metra, który obserwuje, jak duży szczur biega tam i z powrotem po torach, i ma nadzieję, że nadjeżdżający pociąg go zmiążdży.

– To jest Simon – powiedział Alec trochę niepewnym tonem. – Simonie, to Konsul Malachi Dieudonné. Brama gotowa, proszę pana?

– Tak – odparł Malachi surowym głosem, z lekkim akcentem. – Wszystko gotowe. Chodź, Podziemny. – Skinął na Simona. – Im szybciej będzie po wszystkim, tym lepiej.

Simon ruszył w stronę urzędnika, ale Alec go zatrzymał, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Chwileczkę – powiedział. – Zostanie odesłany bezpośrednio na Manhattan? Ktoś będzie na niego czekał po drugiej stronie?

– Owszem – zapewnił Malachi. – Czarownik Magnus Bane. Ponieważ niemądrze wpuścił wampira do Idrisu, bierze na siebie odpowiedzialność za jego powrót.

– Gdyby Magnus nie przepuścił go przez Bramę, Simon by zginął – zauważył ostrym tonem Alec.

– Może. Tak twierdzą twoi rodzice, a Clave postanowiło im wierzyć. Prawdę mówiąc, wbrew mojej opinii. W każdym razie nie sprowadza się tak beztróska Podziemnych do Miasta Szkła.

– Nie było w tym nic beztróskiego. – W piersi Simona zapłonął gniew. – Zaatakowano nas.

Malachi przeniósł na niego wzrok.

– Będiesz mówił, kiedy ktoś się do ciebie zwróci, Podziemny, nie wcześniej.

Alec zacisnął dłoń na ramieniu Simona. Na jego twarzy malowało się wahanie i jednocześnie podejrzliwość, jakby wątpił, czy przyprowadzenie tutaj Simona było mądrym posunięciem.

– Konsulu, doprawdy! – Głos niosący się przez dziedziniec był wysoki i lekko zdyszany.

Okazało się, że należy do niskiego, okrągłego mężczyzny, który spieszył ścieżką w ich stronę. Miał na sobie luźny szary płaszcz narzucony na strój Nocnego Łowcy, jego łysa głowa lśniła w blasku magicznego światła.

– Nie ma potrzeby straszyć naszego gościa.

– Gościa? – oburzył się Malachi.

Mały człowieczek zatrzymał się z promiennym uśmiechem przed Alekiem i Simonem.

– Tak się cieszymy, że postanowiłeś z nami współpracować w kwestii twojego powrotu do Nowego Jorku. To ułatwia sprawę. – Mrugnął do Simona, który gapił się na niego skonfundowany. Nie sądził, że kiedyś spotka Nocnego Łowcę, który będzie zadowolony, że go poznał, zwłaszcza teraz, kiedy zmienił się w wampira. – Och, niemal zapomniałem! – Mężczyzna klepnął się w czoło. – Powiniem się przedstawić. Jestem Inkwizytorem, nowym Inkwizytorem. Nazywam się Aldertree.

Wyciągnął rękę, a Simon ujął ją zakłopotany.

– Ty masz na imię Simon?

– Tak. – Simon szybko zabrał rękę. Dłoń Inkwizytora była nieprzyjemnie wilgotna i lepka. – Nie ma potrzeby dziękować mi za współpracę. Chcę jedynie wrócić do domu.

– Z pewnością, z pewnością! – Choć ton Aldertree’ego był jowialny, przez jego twarz przemknął wyraz, którego Simon nie potrafił odszyfrować. Zaraz potem Inkwizytor uśmiechnął się i wskazał na wąską ścieżkę biegnącą wzdłuż Gard. – Tędy, Simonie, proszę.

Simon ruszył przed siebie. Alec zrobił krok, jakby zamierzał podążyć za nim, ale Inkwizytor uniósł rękę.

– To wszystko, czego od ciebie potrzebowaliśmy, Alexandrze. Dziękujemy ci za pomoc.

– Ale Simon... – zaczął Alec.

– Wszystko będzie dobrze – uspokoił go Inkwizytor. – Malachi, odprowadź Alexandra, proszę. I daj mu czarodziejski kamień runiczny, jeśli nie wziął żadnego ze sobą. Ta ścieżka potrafi być nocą zdradliwa.

Z dobrotliwym uśmiechem ponaglił Simona machnięciem ręki, zostawiając Aleca samego.

\*\*\*

Świat rozbłysnął wokół Clary i natychmiast zmienił się w zamazaną plamę, kiedy Luke przeniósł ją przez próg i ruszył długim korytarzem. Amatis spieszyła przed nimi z czarodziejskim światłem. Półprzytomna Clary miała wrażenie, że korytarz robi się coraz dłuższy, zupełnie jak w koszmarze.

Potem nagle świat przekręcił się na bok, a ona leżała na zimnej powierzchni i jakieś ręce wyglądały na niej koc. Patrzyły na nią niebieskie oczy.

– Wygląda na bardzo chorą, Lucianie – stwierdziła Amatis głosem zniekształconym jak na starym nagraniu. – Co się jej stało?

– Wypiła pół jeziora Lyn.

Na chwilę wzrok Clary się wyostrzył. Leżała na zimnej kuchennej podłodze wyłożonej płytkami. Gdzieś nad jej głową Luke grzebał w szafce. Kuchnia miała łuszczące się żółte ściany i staromodny żelazny piec. Za kratą skakały płomienie, od których rozboleły ją oczy.

– Anyżek, belladonna, ciemiernik. – Luke odwrócił się od szafki z naręczem szklanych pojemników. – Może by je zagotować razem, Amatis? Przenieś ją bliżej pieca. Cała się trzęsie.

Clary próbowała powiedzieć, że wcale nie musi się ogrzać, bo płonie, ale z jej ust wydobyły się dziwne dźwięki. Usłyszała własne skomlenie, kiedy Luke ją podniósł. Następnie poczuła żar na lewym boku. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że jest zmarznięta. Zęby szczękały jej tak mocno, że poczuła krew w ustach. Świat wokół zaczął drżeć jak woda wstrząśnięta w szklance.

– Jeziora Snów? – Ton Amatis był pełen niedowierzania. Clary nie widziała jej wyraźnie, ale kobieta chyba stała blisko pieca. Z długą drewnianą łyżką w dłoni. – Co tutaj robisz? Czy Jocelyn wie, gdzie...

Kuchnia z żółtymi ścianami i miłym ogniem za kratą zniknęła, a zamiast niej Clary ujrzała wody jeziora Lyn i płomienie odbijające się w niej jak w kawałku wypolerowanego szkła.

Po tym szkle chodziły anioły o połamanych i zakrwawionych białych skrzydłach, a każdy z nich miał twarz Jace'a. Później pojawiły się inne anioły, o czarnych skrzydłach, zaczęły dotykać ognia i śmiać się...

– Wciąż woła brata. – Głos Amatis brzmiał głucho, jakby dobiegał z bardzo wysoka. – Jest z Lightwoodami, tak? Zatrzymali się u Penhallowów na Princewater Street. Mogłabym...

– Nie – przerwał jej ostro Luke. – Nie. Lepiej, żeby Jace o tym nie wiedział.

Wołałam Jace'a? Dlaczego miałabym to robić? – zastanawiała się Clary, ale ta myśl szybko pierzchła. Wróciła ciemność, znowu dopadły ją halucynacje. Tym razem śniła o Alecu i Isabelle. Oboje wyglądali jak po zażartej bitwie. Twarze mieli brudne, ze śladami łez. Potem zniknęli, a w jej śnie pojawił się mężczyzna bez twarzy, z czarnymi skrzydłami wyrastającymi z pleców jak u nietoperza. Kiedy się uśmiechnął, z ust pociekła mu krew. Clary mocno zacisnęła powieki, modląc się, żeby te wizje ustąpiły...

Minęło dużo czasu, zanim znowu wychylnęła na powierzchnię i usłyszała nad sobą głosy.

– Wypij to – mówił Luke. – Clary, musisz to wypić.

Poczuła dłonie na plecach i płyn ściekający do jej ust z namoczonej szmatki. Smakował okropnie. Zakrztusiła się i zaczęła kaszleć, ale ręce trzymały ją mocno. Przełknęła gorzki napój mimo bólu w spuchniętym gardle.

– No, teraz powinno być lepiej – powiedział Luke.

Clary powoli otworzyła oczy. Obok niej klęczeli Luke i Amatis. Ich niemal identyczne niebieskie oczy wypełniała podobna troska. Clary przeniosła wzrok dalej i nic nie widziała – żadnych aniołów ani diabłów ze skrzydłami nietoperzy, tylko żółte ściany i jasnoróżowy imbryk do herbaty stojący na samym brzegu parapetu.

– Umrę? – wyszeptała.

Luke uśmiechnął się ze znużeniem.

– Nie. Minie trochę czasu, zanim wrócisz do formy, ale... przeżyjesz.

– To dobrze. – Była zbyt wyczerpana, żeby czuć coś więcej oprócz ulgi. Miała wrażenie, że usunięto jej wszystkie kości, tak że została tylko skóra luźna jak kombinezon. Patrząc przez rzęsy, stwierdziła sennym tonem: – Twoje oczy są takie same.

Luke zamrugał.

– Takie same jak co?

– Jak jej – powiedziała Clary, przenosząc spojrzenie na skonsternowaną Amatis. – Tak samo niebieskie.

Po twarzy Luke'a przemknął cień uśmiechu.

– Cóż, to nic zaskakującego, zważywszy na okoliczności – powiedział. – Nie miałem szansy przedstawić was sobie wcześniej jak należy. Clary, oto Amatis Herondale. Moja siostra.

\*\*\*

Inkwizytor umilkł w chwili, kiedy Alec i urzędnik znaleźli się poza zasięgiem słuchu. Simon szedł za nim wąską ścieżką oświetloną przez czarodziejski kamień i starał się nie mrużyć oczu przed blaskiem. Czuł, że Gard wznosi się wokół niego jak burty statku na oceanie. W oknach paliły się światła, rzucając na niebo srebrzystą poświatę. Na poziomie gruntu też znajdowały się okna, zakratowane i ciemne.

Wreszcie dotarli do łukowatych drewnianych drzwi, osadzonych z boku budynku. Gdy Aldertree sięgnął do zamka,

Simonowi ścisnął się żołądek. Odkąd stał się wampirem, zauważał, że ludzie pachną różnie w zależności od nastroju. Inkwizytor wydzielał zapach gorzki i mocny jak kawa, ale o

wiele bardziej nieprzyjemny. Simon poczuł mrowienie w szczęce, które oznaczało, że jego kły zaczynają się wysuwać. Wchodząc w drzwi, odsunął się od Inkwizytora.

Znaleźli się w długim korytarzu, który wyglądał jak tunel wyciosany w białej skale. Czarodziejskie światło odbijało się od ścian. Jak na człowieka o krótkich nogach Inkwizytor poruszał się imponująco szybko. Idąc, rozglądał się i marszczył nos, jakby wąchał powietrze. Simon musiał przyspieszyć, żeby dotrzymać mu kroku. Kiedy mijali wielkie podwójne drzwi, szeroko otwarte jak skrzydła, dostrzegł amfiteatr z rzędami krzeseł. Jedno z nich zajmował Nocny Łowca odziany na czarno. Ze środka dobiegały liczne głosy, gniewnie podniesione. Simon wychwycił strzępy rozmów. Słowa zlewały się ze sobą, jakby mówiący się przekrzykiwali.

– Nie wiemy tak naprawdę, czego chce Valentine. Nie przekazał nikomu swoich żądań...

– A jakie ma znaczenie to, czego on chce? Jest zdrajcą i kłamcą. Naprawdę myślicie, że próba ugłaskania go przyniesie nam korzyści?

– Wiecie, że patrol znalazł martwe dziecko wilkołaka na obrzeżach Brocelind? Pozbawione krwi. Wygląda na to, że Valentine dopełnił rytuału tutaj, w Idrisie.

– Mając w swoim posiadaniu dwa Dary Anioła, jest potężniejszy niż jakikolwiek Nefilim. Możemy nie mieć wyboru...

– Mój kuzyn zginął na tamtym statku w Nowym Jorku! Nie możemy pozwolić, żeby Valentine'owi uszło na sucho to, co zrobił! Musi być kara!

Simon zwolnił na chwilę, żeby usłyszeć więcej, ale Inkwizytor zabrzęczał mu przy uchu jak tłusta, wściekła osa.

– Chodź, chodź – popędził go, machając przed sobą czarodziejskim światłem. – Nie mamy czasu. Powinienem jak najszybciej wracać na posiedzenie.

Simon niechętnie ruszył dalej korytarzem. Słowo „kara” nadal dźwięczało mu w uszach. Wspomnienie nocy na statku było nieprzyjemne. Kiedy dotarli do drzwi z wrytym na nich pojedynczym czarnym znakiem, Inkwizytor otworzył je kluczem i szerokim gestem zaprosił Simona do środka.

Pokój był prawie pusty, ozdobiony jedynie gobelinem z postacią anioła wstającego z jeziora, z mieczem w jednej ręce i pucharem w drugiej. Dopiero kiedy Simon usłyszał szcęk zamka, uświadomił sobie, że Inkwizytor zamknął za nimi drzwi.

W pomieszczeniu nie było żadnych mebli oprócz ławy i niskiego stolika, na którym stał ozdobny srebrny dzwonek.

– Brama... jest tutaj? – zapytał Simon, rozglądając się niepewnie.

– Och, Simonie, Simonie. – Aldertree zatarł ręce, jakby oczekiwał przyjęcia urodzinowego albo innego przyjemnego wydarzenia. – Naprawdę tak ci się spieszy? Jest kilka pytań, które chciałbym ci zadać, nim...

– W porządku. – Simon wzruszył ramionami. – Proszę mnie pytać, o co pan chce.

– Jaki chętny do współpracy! Cudownie! – Aldertree się rozpromienił. – Od jak dawna jesteś wampirem?

– Jakieś dwa tygodnie.

– I jak to się stało? Zostałeś zaatakowany na ulicy czy może w nocy w swoim łóżku? Wiesz kto cię Przemienił?

– Niezupełnie.

– Ależ, chłopcze! – wykrzyknął Inkwizytor. – Jak możesz czegoś takiego nie wiedzieć? – Mężczyzna był szczerze zaciekawiony.

Wydaje się taki nieszkodliwy, pomyślał Simon. Jak dziadek albo zabawny stary wujek. Ten gorzki zapach pewnie mu się przywidział.

– To naprawdę nie było takie proste.

Zaczął opowiadać o swoich dwóch wyprawach do Dumort, jedną pod postacią szczura, drugą pod wpływem przymusu tak silnego, że czuł się, jakby zawlokły go tam wielkie szczypce.

– I widzi pan, w chwili kiedy wszedłem do tamtego hotelu, zostałem zaatakowany. Nie wiem, który z wampirów mnie Przemienił. Może wszyscy po trochu.

Inkwizytor cmoknął.

– No, no, niedobrze. To bardzo irytujące.

– Też tak uważam – zgodził się Simon.

– Clave nie będzie zadowolone.

– A co Clave obchodzi, w jaki sposób stałem się wampirem? – zapytał Simon, zbity z tropu.

– Cóż, byłoby inaczej, gdyby zaatakowano cię z nienacka – powiedział Aldertree przeproszającym tonem. – Ale ty poszedłeś tam dobrowolnie, rozumiesz? Wygląda to trochę tak, jakbyś chciał zostać wampirem.



– Nie chciałem! Nie dlatego poszedłem do hotelu!

– Oczywiście, oczywiście. – Głos Inkwizytora był kojący. – Przejdźmy do następnego tematu, dobrze? – Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Jak to jest, że wampiry pozwoliły ci przeżyć, młody Simonie? Zważywszy na to, że naruszyłeś ich terytorium, normalną procedurą byłoby żywienie się tobą, aż umrzesz, a potem pogrzebanie twojego ciała, żebyś nie zmartwychwstał.

Simon już miał powiedzieć Inkwizytorowi, jak Raphael zaniósł go do Instytutu, a Clary, Jace i Isabelle przenieśli go na cmentarz i strzegli, póki nie odkopał się z własnego grobu. W ostatniej chwili ugryzł się w język. Miał słabe pojęcie o tym, jak działa Prawo, ale wątpił, żeby czuwanie Nocnych Łowców nad budzącymi się wampirami i dostarczanie im krwi na pierwszy posiłek, było akceptowanym postępowaniem.

– Nie wiem – rzekł w końcu. – Nie mam pojęcia, dlaczego mnie Przemienili, zamiast zabić.

– Ale jeden z nich musiał pozwolić ci wypić swoją krew, bo inaczej nie byłbyś... tym, czym jesteś teraz. Twierdzisz, że nie wiesz, kto był twoim rodzicem?

Rodzicem? Simon nigdy nie myślał w ten sposób o swojej sytuacji. Spróbował krwi Raphaela właściwie przez przypadek. I trudno mu było uznać go za rodzica, zwłaszcza że chłopak wyglądał młodziej od niego.

– Obawiam się, że nie.

– No, cóż. – Inkwizytor westchnął. – To bardzo niefortunne.

– Co jest niefortunne?

– Że mnie okłamujesz, chłopcze. – Aldertree pokręcił głową. – A miałem nadzieję, że będziesz współpracował. To straszne, po prostu straszne. Nie zechciałbyś jednak wyznać mi prawdy? W ramach przysługi?

– Mówię prawdę!

Inkwizytor oklapł jak niepodlewany kwiat.

– Jaka szkoda. – Westchnął ponownie. – Jaka szkoda. – Przeciął pokój i mocno zabębnił w drzwi, dalej kręcąc głową.

– Co się dzieje? – W głosie Simona pobrzmiwały strach i dezorientacja. – Co z Bramą?

– Bramą? – Aldertree zachichotał. – Chyba nie myślałeś, że tak po prostu pozwolimy ci odejść, co?

Zanim Simon zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadli Nocni Łowcy w czarnych strojach. Kiedy mocne ręce zacisnęły się na jego ramionach, zaczął walczyć. Na głowę zarzucono mu kaptur. Kopnął na oślep i kogoś trafił. Usłyszał przekleństwo.

Potem brutalnie szarpnięto go do tyłu i ktoś warknął mu do ucha:

– Zrób to jeszcze raz, wampirze, a wleję ci święconą wodę do gardła i będę patrzył, jak rzygasz krwią.

– Wystarczy! – Rozległ się cienki, zaniepokojony głos Inkwizytora. – Żadnych więcej gróźb! Ja tylko próbuję dać nauczkę naszemu gościowi. – Chyba przesunął się bliżej, bo Simon znowu poczuł dziwny, gorzki zapach. – Simonie, Simonie. Tak się cieszyłem, że cię poznałem. Mam nadzieję, że noc w celach Gard wywrze pożądany skutek i rano będziesz trochę bardziej skłonny do współpracy. Nadal widzę dla nas jasną przyszłość, gdy już pokonamy tę drobną przeszkodę. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Zabierzcie go na dół, Nefilim.

Simon wrzasnął, ale jego krzyki stłumił kaptur. Nocni Łowcy wywlekli go z pokoju i popędzili niekończącą się serią krętych korytarzy. Gdy dotarli do schodów, został popchnięty z taką siłą, że pośliznął się na stopniach. Nie potrafił stwierdzić, gdzie się znajdują, ale czuł wokół siebie zapach wilgotnego kamienia. W miarę jak schodzili w dół, powietrze robiło się coraz zimniejsze, piwniczne.

Gdy w końcu się zatrzymali, rozległ się zgrzyt żelaza po kamieniu i Simona znowu pchnięto do przodu. Wylądował na rękach i kolanach na twardej ziemi. Usłyszał głośny, metaliczny szczęk, jakby zatrzaśnięto drzwi, a potem odgłos oddalających się kroków. Gdy ich echo ucichło, Simon dźwignął się na nogi. Ściągnął kaptur z głowy i z ulgą cisnął go na ziemię. Z trudem zwalczył impuls, żeby zaczerpnąć tchu, którego wcale nie potrzebował. Wiedział, że to tylko odruch, ale pierś go bolała, jakby naprawdę brakowało mu powietrza.

Znajdował się w kwadratowym, nagim, kamiennym pomieszczeniu z pojedynczym zakratowanym oknem osadzonym w murze nad małym, twardym łóżkiem. Przez niskie drzwi widział maleńką łazienkę ze zlewem i toaletą. Zachodnia ściana celi była zakratowana. Grube żelazne pręty biegingy od podłogi do sufitu. Część z nich tworzyła drzwi na zawiasach z mosiężną gałką, na której widniał czarny znak. Również na wszystkich prętach były wyryte znaki. Nawet kraty w oknie znaczyła ich pajęczna sieć.

Simon wiedział, że drzwi celi są zamknięte, ale nie mógł się powstrzymać. Podeszedł do nich i chwycił za gałkę. Jego dłoń przeszył piekący ból. Simon krzyknął, gwałtownie zabrał rękę,

popatrzył na nią zaskoczony. Na skórze był wypalony skomplikowany wzór, z którego unosiły się cienkie smużki dymu. Wyglądał trochę jak Gwiazda Dawida wpisana w okrąg, z delikatnymi runami w każdej z pustych przestrzeni między liniami.

Simon zwinął dłoń w pięść, powstrzymując okrzyk.

– Co to jest? – wyszeptał, choć wiedział, że nikt nie może go usłyszeć.

– Pieczęć Salomona – odpowiedział mu jakiś głos. – Podobno zawiera jedno z prawdziwych imion Boga. Odstrasza demony... i twój rodzaj również. To zasada twojej wiary.

Simon podskoczył, niemal zapominając o bólu.

– Kto tu jest?

Na chwilę zapadła cisza.

– Jestem w celi obok, Chodzący za Dnia. – Simon usłyszał głos dorosłego mężczyzny, lekko ochrypli. – Strażnicy przez pół dnia się zastanawiali, jak uniemożliwić ci ucieczkę, więc na twoim miejscu nie próbowałbym otwierać drzwi. Lepiej oszczędzaj siły, póki się nie dowiesz, czego chce od ciebie Clave.

– Nie mogą mnie tu trzymać – zaprotestował Simon. – Nie należę do tego świata. Moja rodzina zauważy, że mnie nie ma... nauczyciele...

– O tym też pomyśleli. Są proste czary, które podtrzymają w twoich rodzicach złudzenie, że istnieje całkowicie uzasadniony powód twojej nieobecności. Wycieczka szkolna. Wizyta u rodziny. Nawet początkujący czarownik sobie z tym poradzi. – W głosie nie było groźby ani smutku, tylko rzeczowość. – Myślisz, że nigdy wcześniej się nie zdarzyło, że Podziemny zniknął bez śladu?

– Kim jesteś? – Simonowi załamał się głos. – Też Podziemnym? To tutaj nas trzymają?

Tym razem nie było odpowiedzi. Simon zawołał ponownie, ale współtowarzysz najwyraźniej uznał, że powiedział już wszystko, co chciał. W sąsiedniej celi panowała cisza.

Ból w ręce ustąpił. Skóra już nie wyglądała na poparzoną, ale na dłoni pozostał ślad Pieczęci, jak narysowany atramentem. Simon spojrział na kraty celi. Dopiero teraz zauważył, że nie wszystkie symbole są runami. Między nimi były wyryte Gwiazdy Dawida i wersy z Tory po hebrajsku. Znaki wyglądały na nowe.

„Strażnicy przez pół dnia się zastanawiali, jak uniemożliwić ci ucieczkę”.

Śmieszne, ale wymyślili ten sposób nie tylko dlatego, że był wampirem, ale również dlatego, że był Żydem. Pół dnia spędzili na ryciu Pieczęci Salomona na gałce u drzwi. Poświęcili dużo czasu i trudu, by wykorzystać zasady jego wiary przeciwko niemu.

Z jakiegoś powodu ta myśl załamała go całkowicie. Opadł na łóżko i ukrył głowę w dłoniach.

\*\*\*

Kiedy Alec wrócił z Gard, Princewater Street była ciemna – okna domów zasłonięto żaluzjami i kotarami. Tylko tu i ówdzie czarodziejskie latarnie rzuciły białą poświatę na bruk. Dom Penhallowów okazał się najjaśniejszy w całym kwartale. W oknach paliły się świece, a frontowe drzwi były lekko uchylone, tak że na chodnik padała smuga żółtego światła.

Na niskim kamiennym murku, który otaczał frontowy ogród Penhallowów, siedział Jace. Jego włosy były bardzo jasne w blasku najbliższej lampy ulicznej. Gdy Alec się zbliżył, podniósł wzrok i zadrzał lekko. Miał na sobie tylko cienką kurtkę, a po zachodzie słońca wyraźnie się ochłodziło. W rześkim powietrzu unosił się lekki zapach róż.

Alec usiadł obok niego.

– Czekałeś na mnie przez cały czas?

– A kto mówi, że czekałem na ciebie?

– Poszło dobrze, jeśli o to się martwiłeś. Zostawiłem Simona z Inkwizytorem.

– Zostawiłeś go? Nie upewniłeś się, czy wszystko jest w porządku?

– Było w porządku – odparł Alec. – Inkwizytor powiedział, że osobiście zaprowadzi Simona do Bramy i odeśle go do...

– Inkwizytor powiedział, Inkwizytor powiedział – przerwał mu z rozdrażnieniem Jace. – Inkwizytorka, którą ja poznałem, nadużyła władzy. Gdyby nie zginęła, Clave zwolniłoby ją ze stanowiska, może nawet przeklęło. Kto wie, czy Aldertree też nie jest nadgorliwy?

– Wydawał się całkiem miły – zapewnił Alec. – Był bardzo uprzejmy wobec Simona. Posłuchaj, Jace, tak właśnie działa Clave. Nie mamy kontroli nad wszystkim. Ale trzeba im ufać, bo inaczej zapanuje chaos.

– Ostatnio dużo rzeczy schrzanili, musisz przyznać.

– Może – zgodził się Alec. – Ale jeśli zaczniesz uważać, że jesteś mądrzejszy niż Clave, w czym będziesz lepszy od Inkwizytora? Albo od Valentine'a?

Jace drgnął, jakby Alec go uderzył.

– Przepraszam. – Alec wyciągnął do niego rękę. – Nie chciałem...

W tym momencie na ogród padł snop jasnego żółtego światła. Alec podniósł wzrok i zobaczył Isabelle stojącą w otwartych drzwiach. Choć widział tylko jej sylwetkę na tle blasku wylewającego się z domu, po jej postawie od razu poznał, że jest zirytowana.

– Co wy tutaj robicie?! – zawołała. – Wszyscy się zastanawiają, gdzie jesteście.

Alec odwrócił się z powrotem do przyjaciela.

– Jace...

Ale Jace już wstał, ignorując jego wyciągniętą rękę.

– Obyś miał rację co do Clave – powiedział tylko.

Alec odprowadził go wzrokiem. W jego głowie rozbrzmiał, nieproszony, głos Simona. „Teraz przez cały czas się zastanawiam, jak wszystko odwrócić. Czy jeszcze kiedykolwiek możemy być przyjaciółmi, czy to, co nas łączyło, rozpadło się na kawałki. Nie z jej powodu, tylko z mojego”.

Frontowe drzwi się zamknęły. Alec został sam w ciemnym ogrodzie. Gdy zamknął na chwilę oczy, pod jego powiekami ukazała się twarz. Ale nie Jace’a. Oczy były zielone, o wąskich źrenicach. Kocie.

Sięgnął do worka i wyciągnął z niego pióro i kawałek papieru wyrwany z kołonoatnika, którego używał jako dziennika. Napisał na nim kilka słów, a potem stelą nakreślił run ognia na dole stronicy. Kartka zajęła się ogniem szybciej, niż sądził. Wypuścił płonący papier w powietrze, jak świetlik. Wkrótce został z niego tylko drobny popiół, który niczym biały proszek obsypał krzewy róż.

## Kłopoty z pamięcią

Clary obudziło popołudniowe światło, blady promień, który padł bezpośrednio na jej twarz, zabarwiając wewnętrzne strony powiek na gorący róż. Poruszyła się niespokojnie i ostrożnie otworzyła oczy.

Gorączka ustąpiła, podobnie jak wrażenie, że kości jej się roztopiają i łamią. Usiadła i rozejrzała się z ciekawością. Znajdowała się w gościnnym pokoju Amatis, małym, pomalowanym na biało, z łóżkiem nakrytym ręcznie tkanym jasnym kocem. Koronkowe zasłony na okrągłych oknach wpuszczały do środka kręgi światła. Clary usiadła powoli, spodziewając się zawrotów głowy. Nic się nie stało. Czuła się zdrowa, wypoczęta. Wstała z łóżka i spojrzała na siebie. Ktoś ubrał ją w wykrochmaloną białą piżamę, teraz już wymiętą i o wiele za dużą; rękawy zakrywały palce.

Podeszła do jednego z okrągłych okien i wyjrzała. Na zboczu wzgórza tłoczyły się domy z kamienia w kolorze starego złota, kryte gontem, który wyglądał jak zrobiony z brązu. Ta strona budynku wychodziła nie na kanał, tylko na wąski ogród, który już zmienił barwy na jesienne brązy i żółcie. Po jego ścianie pięła się kratownica. Wisiała na niej ostatnia róża o zbrązowiałych płatkach.

Nagle zagrzechotała gałka u drzwi. Clary pospiesznie wróciła do łóżka, zanim do pokoju weszła Amatis z tacą. Gospodyni uniosła brwi, kiedy zobaczyła, że jej gość już nie śpi, ale nic nie powiedziała.

– Gdzie jest Luke? – zapytała Clary, naciągając na siebie koc. Amatis postawiła tacę na szafce obok łóżka. Stał na niej kubek czegoś gorącego i talerz z paroma kawałkami chleba z masłem.

– Powinnaś coś zjeść – stwierdziła. – Poczujesz się lepiej.

– Czuję się dobrze – oświadczyła Clary. – Gdzie jest Luke? Amatis usiadła na krześle z wysokim oparciem, złożyła dłonie na kolanach i zmierzyła ją spokojnym wzrokiem. W świetle dnia wyglądała na starszą od matki Clary o wiele lat, choć nie mogło być między nimi dużej

różnicy wieku. Kasztanowe włosy miała poprzetykane siwizną, oczy zaczerwienione, jakby płakała.

– Nie ma go.

– Czy to znaczy, że wyskoczył do sklepu za rogiem po dietetyczną colę i pączki, czy nie ma go, bo...

– Wyszedł o świcie po nocy spędzonej przy tobie. Jeśli chodzi o cel podróży, nie podał żadnych szczegółów. – Ton Amatis był suchy i gdyby Clary nie czuła się tak podle, mogłaby z rozbawieniem zauważyć, że brzmi bardzo podobnie jak głos Luke'a. – Kiedy tutaj mieszkał, zanim opuścił Idris po... Przemianie... dowodził stadem wilków, które mieszkało w Lesie Brocelind. Teraz napomknął, że wraca do nich, ale nie wyjaśnił, po co ani na jak długo. Oznajmił tylko, że wróci za kilka dni.

– Czyli po prostu mnie tutaj zostawił? A ja mam siedzieć i czekać na niego?

– Cóż, raczej nie mógł zabrać cię ze sobą, nie sądzisz? I nie będzie ci łatwo wrócić do domu. Przybywając tutaj, złamałaś Prawo. Clave nie przymknie na to oczu ani wspaniałomyślnie nie pozwoli ci odejść.

– Nie chcę wracać do domu. – Clary próbowała się opanować. – Zjawiłam się tutaj, żeby... się z kimś spotkać. Muszę coś zrobić.

– Luke mi o tym wspomniał. Pozwól, że dam ci radę. Znajdziesz Ragnora Fella tylko wtedy, gdy on tego będzie chciał.

– Ale...

– Clarisso. – Amatis spojrzała na nią z powagą. – W każdej chwili spodziewamy się ataku Valentine'a. Prawie wszyscy Nocni Łowcy z Idrisu są w mieście, chronionym przez czary. Pozostanie w Alicante jest dla ciebie najbezpieczniejszym wyjściem.

Clary siedziała bez ruchu. Słowa Amatis brzmiały rozsądnie, ale nie uciszyły w niej głosu, który krzyczał, że nie może czekać. Musiała znaleźć Ragnora Fella. Musiała ratować matkę. Teraz, natychmiast. Zwalczyła panikę i zagaiła niedbałym tonem:

– Luke nigdy mi nie mówił, że ma siostrę.

– I nic dziwnego. Nie byliśmy ze sobą blisko.

– Luke powiedział, że pani nazywa się Herondale. Takie nazwisko nosiła Inkwizytorka, prawda?

– Tak. – Twarz Amatis stężała, jakby te słowa ją zabolały. – Była moją teściową.

Co takiego Luke opowiadał o Inkwizytorce? Że miała syna, który ożenił się z kobietą z „niewłaściwymi koneksjami rodzinnymi”.

– Była pani żoną Stephena Herondale’a?

Amatis zrobiła zaskoczoną minę.

– Znasz jego nazwisko?

– Tak. Luke mi o nim wspomniał, ale myślałam, że jego żona nie żyje. Sądziłam, że to dlatego Inkwizytorka była taka... – Chciała powiedzieć „straszna”, ale określenie wydało się jej zbyt okrutne. – Zgorzkniała.

Amatis sięgnęła po kubek. Jej ręka lekko drżała.

– Tak. Umarła. Zabiła się. Celine, druga żona Stephena. Ja byłam pierwszą.

– Rozwiedliście się?

– Coś w tym rodzaju. – Amatis podała jej kubek. – Wypij to. Powinnaś mieć coś w żołądku.

Clary wzięła z roztargnieniem naczynie i spróbowała łyk gorącego napoju. Okazał się gęsty i słony. To nie była herbata, tylko zupa.

– Co się wydarzyło? – zapytała.

Amatis spojrzała w dal.

– Kiedy Luke... kiedy stało się z nim to, co się stało, Valentine potrzebował nowego porucznika. Wybrał Stephena. Oboje niedawno wstąpiliśmy do Kręgu. Gdy Valentine wybrał Stephena, uznał, że żoną jego najbliższego przyjaciela i doradcy nie może być kobieta, której brat jest...

– Wilkołakiem.

– Użył innego słowa. – Amatis mówiła z goryczą w głosie. – Przekonał Stephena, żeby unieważnił nasze małżeństwo i poślubił kobietę, którą on sam dla niego wybrał. Celine była taka młoda... całkowicie posłuszna.

– To straszne.

Amatis zaśmiała się gorzko i potrząsnęła głową.

– To było dawno temu. Stephen zachował się przyzwoicie. Zostawił mi ten dom i wrócił do rezydencji Herondale’ów.

Zamieszkał tam z rodzicami i Celine. Potem już nigdy go nie widziałam. Oczywiście opuściłam Krąg. Już mnie w nim nie chcieli. Tylko Jocelyn nadal mnie odwiedzała. Mówiła mi



nawet, kiedy idzie na spotkanie z Lukiem... – Amatis odgarnęła włosy za uszy. – O śmierci Stephena dowiedziałam się wiele dni po fakcie. A Celine.... Nienawidziłam jej, ale jednocześnie współczułam. Pocięła sobie nadgarstki. Mówili, że wszędzie była krew. – Wzięła głęboki wdech. – Później widziałam Imogen na pogrzebie Stephena, kiedy składali jego ciało w mauzoleum Herondale'ów. Nawet mnie nie poznała. Niedługo potem zrobili ją Inkwizytorką. Clave uznało, że nikt inny nie będzie tropił byłych członków Kręgu z większą zajadłością niż ona. I mieli rację. Gdyby mogła ich krwią zmyć wspomnienia o Stephenie, zrobiłaby to z rozkoszą.

Clary pomyślała o zimnych oczach Inkwizytorki, o jej twardym spojrzeniu, i próbowała wzbudzić w sobie współczucie.

– Myślę, że rodzinna tragedia doprowadziła ją do szaleństwa – stwierdziła. – Prawdziwego szaleństwa. Wobec mnie była okropna, ale jeszcze gorsza wobec Jace'a. Zupełnie jakby chciała jego śmierci.

– To zrozumiałe – zgodziła się Amatis. – Jesteś podobna do matki, ona cię wychowała, natomiast twój brat... – Przekrzywiła głowę. – Jest podobny do Valentine'a tak jak ty do Jocelyn?

– Nie. Jace to Jace. – Na myśl o nim Clary przeszedł dreszcz. – Teraz jest w Alicante. Gdybym mogła się z nim zobaczyć...

– Nie – ucięła szorstko Amatis. – Nie możesz wyjść z domu ani z nikim się spotkać. Zwłaszcza z bratem.

– Mam nie wychodzić z domu? – Clary była wstrząśnięta. – Czy to znaczy, że tutaj utknęłam? Jak więzień?

– Tylko na dzień albo dwa – odparła Amatis. – Poza tym nie jesteś całkiem zdrowa. Musisz dojść do siebie. Woda z jeziora omal cię nie zabiła.

– Ale Jace...

– Jest jednym z Lightwoodów. Nie możesz tam pójść. Gdy tylko cię zobaczą, powiadomią Clave, że tu jesteś. A wtedy nie tylko ty będziesz miała kłopoty z Prawem. Luke również.

Ale Lightwoodowie nie wydadzą mnie Clave. Nie zrobiliby tego...

Słowa zamarły jej na ustach. Nie miała jak przekonać Amatis, że Lightwoodowie, których znała piętnaście lat temu, nie istnieją, że Robert i Maryse już od dawna nie są zaślepienymi fanatykami. Ta kobieta może i była siostrą Luke'a, ale nie jej. Zresztą brat też nie widział Amatis

od szesnastu lat, nigdy nawet nie wspomniał o jej istnieniu. Clary odchyliła się na poduszki, udając zmęczenie.

– Ma pani rację – powiedziała. – Nie czuję się dobrze. Chyba lepiej się prześpię.

– Dobry pomysł. – Amatis wyjęła pusty kubek z jej ręki. – Jeśli chcesz wziąć prysznic, łazienka jest po drugiej stronie korytarza. A w nogach łóżka stoi kufer z moimi starymi ubraniami. Zdaje się, że jesteś mniej więcej moich rozmiarów, kiedy byłam w twoim wieku, więc mogą na ciebie pasować. W przeciwieństwie do tej piżamy.

Posłała jej słaby uśmiech, ale Clary go nie odwzajemniła. Z całej siły starała się zwalczyć impuls, żeby z frustracji zacząć bić pięściami w materac.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za Amatis, wyskoczyła z łóżka i poszła do łazienki. Miała nadzieję, że kiedy postoi pod gorącą wodą, rozjaśni jej się w głowie. Z ulgą stwierdziła, że mimo całej swojej staroświeckości Nocni Łowcy wierzą w nowoczesne instalacje i bieżącą wodę, zimną i ciepłą. Znalazła nawet mocno perfumowane mydło cytrusowe. Zmyła nim z włosów zapach jeziora Lyn. Kiedy wyszła spod prysznica owinięta w dwa ręczniki, czuła się dużo lepiej.

W sypialni przejrzała kufer Amatis. Ubrania leżały w nim starannie złożone i oddzielone warstwami bibułki. Clary trafiła na mundurki szkolne: swetry z wełny merynosów, z wyszytym na piersi insygnium w kształcie czterech liter C zwróconych brzuskami do siebie, plisowane spódnice, koszule zapinane na guziki, z wąskimi mankietami. Była tam też biała suknia, chyba ślubna. Clary ostrożnie odłożyła ją na bok. Pod nią znajdowała się kreacja uszyta ze srebrzystego jedwabiu, na ozdobionych drogimi kamieniami wąskich ramiączkach, podtrzymujących jej pajęczy ciężar. Clary nie potrafiła wyobrazić sobie w niej Amatis, ale... Taki strój mogłaby nosić moja matka, kiedy tańczyła z Valentine'em. Schowała suknię z powrotem do kufra, rozkoszując się dotykem chłodnej, delikatnej tkaniny.

Na samym dnie znajdował się strój Nocnych Łowców.

Clary wyjęła go i z ciekawością rozłożyła na kolanach. Kiedy pierwszy raz ujrzała Jace'a i Lightwoodów, mieli na sobie ryszturnek bojowy: dopasowane góry i spodnie z mocnego, ciemnego materiału. Z bliska zobaczyła, że jest to cienka skóra, nierozciągliwa, ale tak dobrze wyprawiona, że stała się elastyczna. Kurtka była zapinana na zamek błyskawiczny, spodnie miały mnóstwo pętli i pasów przeznaczonych do noszenia broni.

Powinna oczywiście włożyć sweter i może spódnicę. Pewnie taki właśnie ubiór miała na myśli Amatis. Ale najbardziej korcił ją strój bojowy. Zawsze była ciekawa, zawsze się zastanawiała, jak by się w nim czuła...

Kilka minut później ręczniki wisiały na poręczy łóżka, a Clary z zaskoczeniem i rozbawieniem oglądała się w lustrze. Strój na nią pasował, był ciasny, ale nie za ciasny, dopasowany na piersiach i nogach. Szczerze mówiąc, wyglądała w nim, jakby miała krągłości, co okazało się dla niej nowiną. Nie mógł sprawić, żeby budziła respekt, ale przynajmniej wydawała się wyższa, a jej włosy na tle czarnego materiału były niezwykle błyszczące. Wyglądam jak moja matka, pomyślała ze zdziwieniem.

I rzeczywiście tak było. Pod lalkowatym wyglądem Jocelyn zawsze kryła się stalowa wola i twardość. Clary często się zastanawiała, co ją taką uczyniło – silną, nieugiętą, upartą i pozbawioną strachu. „Czy twój brat jest podobny do Valentine’a tak jak ty do Jocelyn?” – zapytała Amatis, a Clary chciała odpowiedzieć, że wcale nie jest podobna do matki, bo jej matka jest piękna, a ona nie. Ale Jocelyn, którą znała Amatis, spiskowała przeciwko Valentine’owi, w tajemnicy doprowadziła do sojuszu między Nefilim i Podziemnymi, a w rezultacie do likwidacji Kręgu i uratowania Porozumień. Tamta Jocelyn nigdy nie zgodziłaby się zostać w domu i czekać, aż jej świat się rozpadnie.

Clary bez namysłu przeszła przez pokój i zasunęła zasuwę w drzwiach. Następnie otworzyła okno. Kratownica przylegała do kamiennej ściany jak... „...drabina. Zupełnie jak drabina, a drabiny są całkowicie bezpieczne”.

Odetchnęła głęboko i wdrapała się na parapet.

\*\*\*

Strażnicy przyszli po Simona następnego ranka i obudzili go z niespokojnego snu pełnego dziwnych marzeń sennych. Tym razem, prowadząc go na górę, nie założyli mu opaski na oczy, więc przez zakratowane drzwi rzucił szybkie spojrzenie do sąsiedniej celi. Miał nadzieję, że zobaczy właściciela ochryplego głosu, który mówił do niego w nocy, ale się rozczarował. Jedynym, co zobaczył, był stos szmat leżących na podłodze.

Strażnicy potrząsali nim, kiedy za długo patrzył w jedną stronę w czasie marszu przez ciąg szarych korytarzy. W końcu zatrzymali się w pokoju wyłożonym tapetą. Na ścianach wisiały portrety mężczyzn i kobiet w strojach Nocnych Łowców. Ich ramy były ozdobione wzorami z

runów. Pod jednym z największych obrazów stała czerwona kanapa. Siedział na niej Inkwizytor ze srebrnym pucharem w ręce. Wyciągnął go do Simona.

– Krwi? – zapytał. – Na pewno jesteś głodny.

Podsunał mu naczynie. Widok czerwonego płynu w środku poruszył Simona równie mocno jak zapach. Jego żyły łaknęły krwi, napięte jak sznurki marionetki. Uczucie było nieprzyjemne, niemal bolesne.

– To... ludzka?

Aldertree zachichotał.

– Nie bądź śmieszny, chłopcze! To krew jelenia. Świeżutka.

Simon nic nie powiedział. Dolna warga zapiekła go w miejscach, gdzie zawadziły je kły, które wysunęły się z osłon. Poczł własną krew w ustach. Ogarnęły go mdłości.

Twarz Aldertree'ego pomarszczyła się jak wysuszona śliwka.

– No, no. – Inkwizytor przeniósł wzrok na strażników. – Zostawcie nas teraz, panowie.

Strażnicy natychmiast spełnili polecenie. Tylko Konsul zatrzymał się przy drzwiach i obejrzał na więźnia z wyrazem niesmaku na twarzy.

– Nie, dziękuję – wykrztusił Simon. – Nie chcę krwi.

– Twoje kły mówią coś innego, młody Simonie – odparł Aldertree dobrotliwym tonem. – Masz, weź to. – Ponownie wyciągnął w jego stronę rękę z pucharkiem.

Zapach krwi wypełnił pokój niczym woń róż napływająca z ogrodu.

Kły, teraz pełnej długości, boleśnie wbiły się w wargę. Simon zrobił krok do przodu, niemal wbrew własnej woli, i wyrwał naczynie z ręki Aldertree'ego. Opróżnił je trzema haustami, a kiedy uświadomił sobie, co zrobił, opadł na poręcz kanapy. Trzęsły mu się dłonie. Inkwizytor jeden, ja zero, pomyślał.

– Mam nadzieję, że noc spędzona w celi nie była zbyt nieprzyjemna? To nie są izby tortur, chłopcze, chodzi raczej o miejsce do wymuszonej refleksji. Uważam, że refleksja jest bardzo pożyteczną rzeczą, nie sądzisz? Mam nadzieję, że trochę myślałeś. Wyglądasz mi na rozsądnego młodego człowieka. – Inkwizytor przekrzywił głowę. – Sam zaniósłem tam koc, wiesz? Nie chciałem, żebyś zmarł.

– Jestem wampirem – przypomniał Simon. – My nie marzniemy.

– Aha. – Inkwizytor wyglądał na rozczarowanego.

– Ale doceniam Gwiazdy Dawida i Pieczęć Salomona – dodał sucho Simon. – Zawsze to miło, gdy ktoś interesuje się moją religią.

– O, tak, oczywiście, oczywiście! – Aldertree się rozpromienił. – Cudowne te rytzy, nie uważasz? Absolutnie czarujące i oczywiście niezawodne. Sądzę, że każda próba dotknięcia drzwi celi skończyłaby się stopieniem skóry na dłoni! – Zachichotał, najwyraźniej rozbawiony tą myślą. – No, dobrze. Mógłbyś się trochę cofnąć, młody człowieku? To tylko przysługa, czysta przysługa, rozumiesz.

Simon zrobił krok do tyłu.

Nic się nie stało, ale oczy Inkwizytora się rozszerzyły.

– Rozumiem – wyszeptał.

– Co pan rozumie?

– Spójrz, gdzie stoisz, młody Simonie. Rozejrzyj się.

Simon się rozejrzał... i nie dostrzegł żadnych zmian w pokoju. Minęła chwila, zanim się zorientował, co Aldertree ma na myśli. Stał w jasnym kręgu światła słonecznego, które wpadało ukośnie przez okno znajdujące się wysoko nad jego głową.

Aldertree aż się skręcał z podniecenia.

– Stoisz w słońcu, a ono wcale na ciebie nie działa. Nie wierzyłem... to znaczy, mówiono mi o tym oczywiście, ale nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

Simon milczał. Nie miał nic do powiedzenia.

– A teraz pytanie do ciebie – ciągnął Inkwizytor. – Czy wiesz, dlaczego tak się dzieje?

– Może po prostu jestem miłszy niż inne wampiry – odparł Simon i natychmiast pożałował swoich słów.

Aldertree zmrużył oczy, żyła na jego na skroni nabrzmiała jak tłusty robak. Najwyraźniej nie lubił żartów, które rzucał ktoś inny.

– Bardzo zabawne, bardzo zabawne. Pozwól, że zapytam: byłeś Chodzącym za Dnia już w chwili, kiedy wstałeś z grobu?

– Nie. – Simon ostrożnie dobierał słowa. – Nie. Z początku słońce mnie paliło. Nawet mam na skórze ślad.

– Istotnie. – Aldertree energicznie pokiwał głową. – Więc kiedy pierwszy raz zauważyłeś, że możesz przebywać w dziennym świetle?

– Rankiem po wielkiej bitwie na statku Valentine'a...

– W czasie której Valentine cię uwięził, tak? Złapał cię i trzymał na statku, żeby użyć twojej krwi do dopełnienia Rytuału Piekielnej Konwersji.

– Chyba pan już wszystko wie – stwierdził Simon. – Wcale pan mnie nie potrzebuje.

– Ależ nie, wcale nie! – wykrzyknął Aldertree, wyrzucając ręce w górę. Miał tak małe dłonie, że wyglądały wręcz śmiesznie na końcu jego pulchnych przedramion. – Masz dużo do dodania, mój drogi chłopcze! Na przykład, nie mogę przestać się zastanawiać, co takiego wydarzyło się na statku, że cię zmieniło. Przychodzi ci coś do głowy?

Wypiłem krew Jace'a, pomyślał Simon i miał ochotę powtórzyć to Inkwizytorowi z czystej złośliwości, ale raptem uświadomił sobie zaskoczony: Wypiłem krew Jace'a. Czy właśnie ona go zmieniła? Czy to w ogóle było możliwe? I czy mógł powiedzieć Inkwizytorowi, co zrobił Jace? Chronić Clary to jedno, ale przecież Jace'owi nic nie był winien.

Tyle że to niezupełnie była prawda. Jace dał mu swoją krew do wypicia, uratował mu życie. Czy inny Nocny Łowca zrobiłby coś takiego dla wampira? A nawet jeśli Jace postąpił tak ze względu na Clary, jakie to miało znaczenie? Simon wspomniał własne słowa: „Mogłem cię zabić”. I odpowiedź Jace'a: „A ja bym ci pozwolił”. Trudno było przewidzieć, w jakie kłopoty wpadłby Jace, gdyby Clave się dowiedziało, że uratował Simonowi życie. I w jaki sposób.

– Nie pamiętam niczego ze statku – oświadczył. – Myślę, że Valentine podał mi narkotyk albo coś w tym rodzaju.

Aldertree'emu zrzęda mina.

– To straszna wiadomość. Straszna. Bardzo mi przykro.

– Mnie również – odparł Simon, choć wcale nie było mu przykro.

– Więc nie pamiętasz zupełnie nic? Ani jednego barwnego szczegółu?

– Pamiętam tylko, że zemdlałem, kiedy Valentine mnie zaatakował, a potem obudziłem się... w furgonetce Luke'a. Jechałem do domu. Nie pamiętam nic więcej.

– No, cóż. Zdaje się, że Lightwoodowie dosyć cię polubili, ale inni członkowie Clave nie są tacy... wyrozumiali. Zostałeś schwytyany przez Valentine'a i wyszedłeś z tej konfrontacji z dziwną nową właściwością, której wcześniej nie miałeś. W dodatku znalazłeś drogę do samego serca Idrisu. Zdajesz sobie sprawę, jak to wygląda?

Gdyby serce Simona było zdolne do bicia, teraz by zaczęło galopować.

– Myślicie, że jestem szpiegiem Valentine'a.

Aldertree udał wstrząśniętego.

– Mój chłopcze, mój chłopcze. Wierzę ci, oczywiście. Wierzę bez zastrzeżeń! Ale Clave... o, tak, obawiam się, że Clave potrafi być bardzo podejrzliwe. Mieliśmy nadzieję, że będziesz w stanie nam pomóc. Widzisz... nie powinienem ci tego mówić, ale czuję, że mogę ci zaufać, drogi chłopcze. Clave jest w strasznym kłopotcie.

– Clave? – Simon poczuł się zdezorientowany. – Ale co to ma wspólnego z...

– Otóż Clave jest podzielone – ciągnął Aldertree. – W stanie wojny z samym sobą, można powiedzieć, tak, w stanie wojny. Poprzedni Inkwizytor i inni popełnili błędy... ale może lepiej się w to nie zagłębiać. Teraz kwestionuje się autorytet Clave, Konsula i Inkwizytora. Wydaje się, że Valentine jest zawsze krok przed nami, jakby znał nasze plany. Rada nie chce słuchać rad moich ani Malachiego, po tym, co się wydarzyło w Nowym Jorku.

– Myślałem, że Inkwizytorka...

– To Malachi ją mianował. Oczywiście nie miał pojęcia, że ona oszaleje...

– Ale pozostaje kwestia, jak to wygląda w oczach innych – dokończył kwaśno Simon.

Na czole Aldertree'ego znowu nabrzmiała żyła.

– Bystry jesteś. I masz rację. Pozory są ważne, zwłaszcza w polityce. Zawsze można wpłynąć na tłum, oczywiście jeśli ma się dobrą historię. – Pochylił się i utkwiał spojrzenie w Simonie. – Pozwól, że opowiem ci pewną historię. Otóż Lightwoodowie należeli kiedyś do Kręgu. W pewnym momencie wyrzekli się dawnych poglądów i zostali ułaskawieni, pod warunkiem, że będą się trzymać z dala od Idrisu. Pojechali do Nowego Jorku i prowadzili tam Instytut. Dzięki nienagannemu postępowaniu zaczęli odzyskiwać zaufanie Clave. Ale przez cały czas wiedzieli, że Valentine żyje. Przez cały czas byli jego lojalnymi sługami. Wzięli do siebie jego syna...

– Przecież nie wiedzieli...

– Cicho! – warknął Inkwizytor. – Najpierw pomogli Valentine'owi w zdobyciu Darów Anioła, a potem przy Rytuale Piekielnej Konwersji. Kiedy Inkwizytorka odkryła, co Lightwoodowie knują w tajemnicy, zaaranżowali jej śmierć w czasie bitwy na statku. A teraz przybyli tutaj, do serca Clave, żeby nas szpiegować, zdradzać nasze plany Valentine'owi i w końcu nagiąć wszystkich Nefilim do jego woli. Zabrali ze sobą ciebie, wampira, któremu nie szkodzi blask słońca, żeby odwrócić naszą uwagę od ich prawdziwych zamiarów: przywrócenia Kręgowi dawnej chwały i zniszczenia Prawa. – Świńskie oczka Inkwizytora płonęły. – Co sądzisz o tej historii, wampirze?

– Myślę, że jest szalona – odparł Simon. – Ma więcej dziur niż Kent Avenue na Brooklynie, która, tak się składa, od lat nie była naprawiana. Nie wiem, co pan ma nadzieję osiągnąć...

– Nadzieję? – powtórzył Aldertree. – Ja nie mam nadziei, Podziemny, ja wiem. Wiem, że moim uświęconym obowiązkiem jest ratować Clave.

– Kłamstwami?

– Opowiastką. Wielcy politycy snują opowieści, żeby inspirować swój lud.

– Nie ma nic inspirującego w obwinianiu Lightwoodów o wszystko...

– Niektórych trzeba poświęcić – przerwał mu Aldertree. Jego twarz lśniła od potu. – Gdy Rada będzie miała wspólnego wroga, Clave znowu stanie się jednością. Czym jest wobec takiego celu los jednej rodziny? Zresztą nie sądzę, żeby dzieciom Lightwoodów stała się krzywda. One nie zostaną o nic obwinione. No, cóż, może najstarszy chłopak, ale pozostali...

– Nie może pan tego zrobić. Nikt nie uwierzy w tę bajeczkę.

– Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, a Clave pragnie kogoś obwinić. Mogę im to dać, ale potrzebuję ciebie.

– Mnie? Co to wszystko ma wspólnego ze mną?

– Chodzi o wyznanie. – Twarz Inkwizytora zrobiła się szkarłatna z podniecenia. – Ujawnij, że jesteś sługą Lightwoodów i że wszyscy jesteście w zмовie z Valentine'em. Powiedz prawdę, a ja okażę ci pobłażliwość. Odeślę cię do swoich. Przysięgam. Ale potrzebuję twojego wyznania, żeby Clave mi uwierzyło.

– Chce pan, żebym skłamał – stwierdził Simon. W głowie mu wirowało. Nie był w stanie uchwycić ani jednej myśli. Przed jego oczami przesuwaly się twarze Lightwoodów: zasapany Alec na ścieżce prowadzącej do Gard; czarne, rozwiane włosy Isabelle; Max pochylony nad książką.

I Jace. On też należał do tej rodziny. Inkwizytor nie wymienił jego imienia, ale Simon wiedział, że Jace poniósłby karę razem z pozostałymi. A gdyby on ucierpiał, ucierpiałaby również Clary. Jak to się stało, że przywiązał się do ludzi, którzy uważali go za zwykłego Podziemnego, a w najlepszym razie za półczłowieka?

Podniósł wzrok na Inkwizytora. Poczłł się tak, jakby patrzył w ciemność; oczy Aldertree'ego były czarne jak węgiel.

– Nie – powiedział. – Nie zrobię tego.



– Następną porcję krwi dostaniesz dopiero wtedy, gdy udzielisz mi innej odpowiedzi – uprzedził Aldertree. W jego głosie nie było ani krzty łaskawości, nawet fałszywej. – Jeszcze się zdziwisz, jak bardzo można być spragnionym.

Simon milczał.

– Zatem czeka cie kolejna noc w celi – stwierdził Inkwizytor, sięgając do dzwonka. – Na dole jest bardzo cicho, prawda? Spokojna atmosfera pomoże ci w drobnych kłopotach z pamięcią, nie sądzisz?

\*\*\*

Clary wydawało się, że pamięta drogę, którą przebyła z Lukiem poprzedniej nocy, okazało się jednak, że to niezupełnie prawda. Uznała, że najlepiej będzie skierować się do centrum, ale kiedy znalazła kamienny dziedziniec z nieczynną studnią pośrodku, nie mogła sobie przypomnieć, czy skręcić w lewo, czy w prawo. Poszła w lewo i trafiła na labirynt krętych uliczek, tak do siebie podobnych, a po każdym kolejnym zakręcie gubiła się coraz bardziej.

W końcu dotarła do szerszej ulicy ze sklepami. Chodnikami po obu stronach spieszyli przechodnie, ale żaden nie zwrócił na nią uwagi. Kilkoro miało na sobie stroje bojowe, ale ponieważ było zimno, dominowały długie, staromodne płaszcze. Wiał chłodny wiatr. Clary z żalem pomyślała o swoim płaszczu z zielonego aksamitu, wiszącym w gościnnej sypialni Amatis.

Luke nie kłamał, kiedy mówił, że na zgromadzenie zjechali się Nocni Łowcy z całego świata. Clary minęła Hinduskę we wspaniałym złotym sari, z parą zakrzywionych noży zatkniętych za opasujący ją łańcuch. Wysoki ciemnoskóry mężczyzna o azteckich rysach gapił się na wystawę sklepową pełną broni; na nadgarstkach miał bransoletki zrobione z tego samego twardego, lśniącego metalu co demoniczne wieże. Trochę dalej człowiek w stroju nomady studiował mapę. Na jego widok Clary zebrła się na odwagę i podeszła do kobiety w ciężkim brokatowym płaszczu, żeby spytać ją o drogę na Princewater Street. Właśnie w takich okolicznościach mieszkańcy Alicante byli najmniej podejrzliwi wobec obcych nieznających miasta.

Instynkt jej nie zawiódł. Kobieta bez śladu wahania udzieliła jej pospiesznych wskazówek.

– Na końcu Oldcastle Canal w prawo, potem przez kamienny most i tam już będzie Princewater. – Uśmiechnęła się do Clary. – Idziesz do kogoś z wizytą?

– Do Penhallowów.

– A, to ten niebieski dom ze złotymi zdobieniami, stojący tyłem do kanału. To wielki budynek, nie przegapisz go.

Miała rację w połowie. Dom istotnie był wielki, ale Clary go minęła. Gdy uświadomiła sobie swój błąd, zawróciła i przyjrzała mu się jeszcze raz. W rzeczywistości okazał się raczej barwy indygo niż niebieskiej, ale z drugiej strony nie wszyscy aż tak zwracali uwagę na kolory jak ona. Większość ludzi nie dostrzegała różnicy między cytrynowym a szafranowym. Tak jakby w ogóle istniało między nimi jakieś podobieństwo! A zdobienia na budynku wcale nie były złote, tylko brązowe. Miały ładny ciemny odcień brązu, jakby dom stał tutaj od wielu lat. I prawdopodobnie tak właśnie było. Wszystko tutaj wydawało się takie stare...

Dość tego, skarciła się Clary. Zawsze kiedy była zdenerwowana, jej umysł zaczynał błądzić w różnych przypadkowych kierunkach. Wytarła spocone dłonie o spódnie. Materiał był szorstki i suchy jak skóra węża.

Wspięła się po schodach i sięgnęła do kołatki w kształcie pary anielskich skrzydeł. Kiedy ją opuściła, usłyszała dźwięk podobny do bicia wielkiego dzwonu. Chwilę później ciężkie drzwi się otworzyły i na progu stanęła Isabelle Lightwood. Na jej widok wytrzeszczyła oczy.

– Clary?

– Cześć, Isabelle – rzuciła Clary z bladym uśmiechem Nocna Łowczyni oparła się o framugę. Na jej twarzy odmalowała się konsternacja.

– O, cholera! – wykrztusiła.

\*\*\*

W celi Simon padł na łóżko i przez chwilę słuchał oddalających się kroków strażników. Kolejna noc w więzieniu, podczas gdy Inkwizytor będzie czekał, aż on sobie „przypomni”. „Sam rozumiesz, jak to wygląda”. W najgorszych koszmarach nigdy nie przyszło mu do głowy, że ktoś może podejrzewać go o znowę z Valentine’em, który był znany z tego, że nienawidził Podziemnych. To on dźgnął go nożem, utoczył mu krwi i zostawił rannego na pewną śmierć. Co prawda, Inkwizytor o tym nie wiedział.

Po drugiej stronie ściany rozległ się szelest.

– Przyznam, że zastanawiałem się, czy wrócisz. – Simon usłyszał ochryply głos, który pamiętał z poprzedniej nocy. – Domyślam się, że nie dałeś Inkwizytorowi tego, co chciał.

– Nie – odparł krótko Simon, zbliżając się do ściany. Przesunął palcami po kamieniu, jakby szukał w nim rysy, przez którą mógłby zajrzeć do sąsiedniej celi, ale nic takiego nie znalazł. – Kim jesteś?

– To uparty człowiek ten Aldertree. Będzie dalej próbował.

Simon oparł się o wilgotny mur.

– Więc pewnie posiedzę tutaj przez jakiś czas – skwitował.

– Nie przypuszczam, żebyś zechciał mi zdradzić, czego Inkwizytor od ciebie oczekuje?

– A dlaczego chcesz to wiedzieć?

Chichot nieznajomego zabrzmiał jak zgrzytanie metalu o kamień.

– Tkwię w tym lochu o wiele dłużej niż ty, Chodzący za Dnia, i powiem ci, że nie ma tu czym zająć umysłu. Każda rozrywka jest mile widziana.

Simon splótł ręce na brzuchu. Krew jelenia stępiła głód, ale mu nie wystarczyła. Ciało nadal bolało go z pragnienia.

– Wciąż mnie tak nazywasz. Chodzący za Dnia.

– Słyszałem, jak strażnicy o tobie mówią. O wampirze, który może chodzić w blasku słońca. Nikt wcześniej czegoś takiego nie widział.

– A jednak macie na to swoje określenie. Wygodne.

– To słowo z języka Podziemnych, nie Clave. Istnieją legendy o istotach takich jak ty. Dziwię się, że ich nie znasz.

– Właściwie od niedawna jestem Podziemnym – powiedział Simon. – A ty, zdaje się, dużo o mnie wiesz.

– Strażnicy lubią plotkować. A Lightwoodowie przybywający przez Bramę z zakrwawionym, umierającym wampirem... to dopiero plotka. Choć muszę przyznać, że nie spodziewałem się ciebie tutaj... dopóki nie zaczęli szykować celi. Jestem zaskoczony, że Lightwoodowie na to pozwolili.

– A dlaczego nie? – rzucił gorzko Simon. – Jestem nikim. Zwykłym Podziemnym.

– Może dla Konsula – odpowiedział sąsiad. – Ale Lightwoodowie...

– Co z nimi?

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza.

– Nocni Łowcy, którzy mieszkają poza Idrisem, zwłaszcza prowadzący Instytuty, zwykle są tolerancyjni. Natomiast miejscowe Clave jest dużo bardziej... konserwatywne.

– A ty? – zapytał Simon. – Jesteś Podziemnym?

– Podziemnym? – Simonowi wydawało się, że w głosie nieznajomego usłyszał nutę gniewu, jakby nie spodobało mu się pytanie. – Mam na imię Samuel. Samuel Blackburn. Jestem Nefilim. Lata temu byłem w Kręgu, razem z Valentine'em. Zabijałem Podziemnych w czasie Powstania. Nie jestem jednym z nich.

– Aha. – Simon przelknął ślinę. W ustach czuł smak soli. Członkowie Kręgu Valentine'a zostali schwytani i ukarani przez Clave, z wyjątkiem tych, którym udało się zawrzeć ugody albo którzy, tak jak Lightwoodowie, zgodzili się na wygnanie w zamian za wybaczenie. – Siedzisz tutaj od tamtej pory?

– Nie. Po Powstaniu zdążyłem uciec z Idrisu. Ukrywałem się przez lata, aż w końcu wróciłem jak ten głupiec, sądząc, że o mnie zapomniano. Oczywiście natychmiast mnie złapali. Clave ma swoje sposoby tropienia wrogów. Zaciągnęli mnie przed Inkwizytora i przesłuchiwali przez wiele dni. Potem wtrącili mnie do lochu. – Samuel westchnął. – W języku francuskim nazwa takiego rodzaju więzienia brzmi *oubliette*, czyli „zapomnienie”. Wrzucają tam śmieci, żeby zgniły, a oni nie musieli przejmować się smrodem.

– Świetnie. Więc jako Podziemny jestem śmieciem. Ale przecież ty jesteś Nefilim.

– Nefilim, który był w zмовie z Valentine'em, co czyni mnie nie lepszym od ciebie. A nawet gorszym. Jestem zdrajcą.

– Ale wielu Nocnych Łowców należało do Clave. Lightwoodowie, Penhallowowie...

– Oni wszyscy wyrzekli się swoich przekonań i odwrócili plecami do Valentine'a. Ja nie.

– Dlaczego?

– Bo bardziej boję się Valentine'a niż Clave – odparł Samuel. – Jeśli jesteś rozsądny, Chodzący za Dnia, ty też będziesz się bał.

\*\*\*

– Przecież miałaś być w Nowym Jorku! – wykrzyknęła Isabelle. – Jace mówił, że się rozmyśliłaś co do przyjazdu. Podobno chciałaś zostać z matką!

– Jace kłamał – stwierdziła Clary. – Nie chciał mnie tutaj, więc najpierw podał mi niewłaściwą godzinę wyjazdu, a potem wam wmówił, że zmieniłam zdanie. Pamiętasz, jak mówiłaś, że on nigdy nie kłamie? To nieprawda.

– Normalnie tego nie robi. – Isabelle zbladła. – Posłuchaj, zjawiłaś się tutaj... Czy to ma coś wspólnego z Simonem?

– Z Simonem? Nie, on jest w Nowym Jorku, dzięki Bogu. Choć będzie naprawdę wkurzony, że nie mógł się ze mną pożegnać. – Niewyraźna mina Nocnej Łowczyni zirytowała Clary. – Daj spokój, Isabelle. Wpuść mnie. Muszę zobaczyć się z Jace'em.

– Więc sama tutaj przybyłaś? Dostałaś pozwolenie od Clave? Proszę, powiedz, że miałaś pozwolenie Clave.

– Niezupełnie...

– Złamałaś Prawo? – Isabelle podniosła głos, ale zaraz go ściszyła i dalej mówiła prawie szeptem. – Jeśli Jace się dowie, wpadnie w szal. Clary, musisz wracać do domu.

– Nie, powinnam być tutaj – oświadczyła Clary, niepewna, skąd bierze się jej upór. – Muszę porozmawiać z Jace'em.

– Teraz nie jest dobra pora. – Isabelle rozejrzała się niespokojnie, jakby miała nadzieję, że ktoś jej pomoże. – Proszę, wracaj do Nowego Jorku.

– Myślałam, że mnie lubisz, Izzy. – Clary spróbowała wzbudzić w dziewczynie poczucie winy.

Isabelle przygryzła wargę. Miała na sobie białą suknię i włosy upięte do góry. Wyglądała młodziej niż zwykle. Za nią Clary widziała wysoki korytarz, pełen olejnych obrazów, które wyglądały na bardzo stare.

– Lubię cię. Chodzi o to, że Jace... O, Boże, co ty masz na sobie? Skąd wzięłaś ten strój bojowy?

Clary spojrzała na siebie.

– To długa historia.

– Nie możesz tu wejść tak ubrana. Jeśli Jace cię zobaczy...

– I co z tego, że mnie zobaczy? Zjawiłam się tutaj z powodu mojej matki, dla niej. Nawet jeśli Jace mnie tutaj nie chce, to nie może mnie zmusić, żebym wróciła do domu. Powinnam być tutaj. Matka oczekiwała, że to dla niej zrobię. Ty zrobiłabyś to dla swojej, prawda?

– Oczywiście, że tak. Ale, Clary, Jace ma swoje powody...

– Chętnie posłuchałabym, jakie. – Clary zanurkowała pod ramieniem Isabelle i wpadła do środka.

– Clary! – krzyknęła Isabelle i popędziła za nią.

Ale ona już znajdowała się w połowie holu. Częścią umysłu, która nie była skupiona na ucieczce, zauważyła, że dom jest podobny do domu Amatis, wysoki i wąski, ale dużo większy i

bogato urządzony. Korytarz zaprowadził ją do pokoju z dużymi oknami, które wychodziły na szeroki kanał. Pływały po nim białe łodzie, ich żagle wyglądały jak dmuchawce niesione przez wiatr. Na kanapie stojącej obok jednego z okien siedział ciemnowłosy chłopiec i czytał książkę.

– Sebastian! – zawołała Isabelle. – Nie wpuść jej na górę!

Chłopiec podniósł wzrok zaskoczony i... chwilę później znalazł się przy schodach, blokując drogę. Clary zatrzymała się raptownie... Jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś poruszał się tak szybko – z wyjątkiem Jace'a. Chłopak nawet się nie zasapał. Uśmiechał się do niej.

– A więc to jest ta słynna Clary. – Jego twarz się rozjaśniła.

Clary zapało dech. Przez lata tworzyła ilustrowaną opowieść o królewskim synu, na którym ciążyła klątwa, że każdy, kogo pokocha, umrze. Wymyśliła swojego ciemnowłosego, romantycznego, mrocznego księcia, a teraz on stał przed nią żywy: ta sama blada skóra, ta sama burza włosów, oczy tak ciemne, że źrenice niemal zlewały się z tęczęwkami. Takie same wydatne kości policzkowe i głęboko osadzone oczy ocienione długimi rzęsami. Nigdy wcześniej nie widziała tego chłopca, ale...

– Czy my się już spotkaliśmy? – spytał ze zdziwieniem.

Clary pokręciła głową.

– Sebastian! – Isabelle piorunowała ich wzrokiem. Jej włosy wysunęły się ze szpilek i opadły na ramiona. – Nie bądź dla niej miły. Nie powinno jej tu być. Clary, wracaj do domu.

Clary z wysiłkiem oderwała wzrok od Sebastiana i posłała jej gniewne spojrzenie.

– Do Nowego Jorku? Jak mam się tam dostać?

– A jak się tu dostałaś? – zapytał Sebastian. – Wśliznięcie się ukradkiem do Alicante to niezły wyczyn.

– Przeszłam przez Bramę! – odparła Clary.

– Bramę? – Isabelle osłupiała. – Przecież w Nowym Jorku nie została żadna Brama. Valentine zniszczył obie...

– Nie jestem ci winna żadnych wyjaśnień – przerwała jej Clary. – Dopóki ty mi czegoś nie wyjaśnisz. Po pierwsze, gdzie jest Jace?

– Nie ma go tutaj – odburknęła Isabelle i dokładnie w tym samym momencie Sebastian powiedział:

– Na górze.

– Zamknij się, Sebastian! – warknęła na niego Isabelle.

Chłopak zrobił zakłopotaną minę.

– Ale ona jest jego siostrą. Nie chciałby się z nią zobaczyć?

Isabelle otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Najwyraźniej zastanawiała się, czy wyjaśniać skomplikowane stosunki Clary i Jace'a całkowicie nieświadomemu Sebastianowi, czy pozwolić jej na zrobienie niemiłej niespodzianki Jace'owi. W końcu wyrzuciła ręce w górę w geście rozpaczy.

– Dobrze – powiedziała z niezwykłym jak na nią gniewem w głosie. – Idź i rób, co chcesz, nieważne kogo zranisz. Zawsze tak robisz, prawda?

Clary posłała jej karcące spojrzenie i przeniosła wzrok na Sebastiana, a on w milczeniu usunął się jej z drogi. Pędząc w górę po schodach, słyszała głosy dochodzące z dołu. To Isabelle krzyczała na biednego Sebastiana. Taki miała zwyczaj. Jeśli w pobliżu znajdował się jakiś chłopiec, na którego można było zrzucić winę, zawsze to robiła.

Gdy dotarła na podest z oknem wychodzącym na miasto, zobaczyła, że we wnęce siedzi chłopiec i czyta książkę. Słyszac kroki, podniósł wzrok i zaskoczony wytrzeszczył oczy.

– Znam cię – powiedział.

– Cześć, Max. Jestem Clary, siostra Jace'a. Pamiętasz mnie?

Max się rozpromienił.

– Pokazałaś mi, jak czytać *Naruto*. – Wyciągnął do niej rękę z książką. – Zobacz, mam następną, pod tytułem...

– Max, nie mogę teraz rozmawiać. Obiecuję, że później obejrzę twoją książkę. Wiesz, gdzie jest Jace?

Maxowi zrzędła mina.

– W tamtym pokoju. – Wskazał drzwi na końcu korytarza. – Chciałem z nim pójść, ale powiedział, że ma jakieś dorosłe sprawy. Wszyscy zawsze tak mi mówią.

– Przykro mi – rzuciła Clary.

Myślami była już gdzie indziej. Co powie Jace'owi, kiedy go zobaczy? I jak on na to zareaguje? Idąc korytarzem, postanowiła, że lepiej być przyjazną niż rozgniewaną. Jeśli będę na niego wrzeszczeć, on zacznie się bronić. Musi zrozumieć, że moje miejsce jest tutaj, podobnie jak jego. Nie trzeba mnie chronić jak delikatną porcelanę. Też jestem silna...

Otworzyła drzwi. Pokój wyglądał na bibliotekę. Wzdłuż ściany ciągnęły się półki pełne książek. Przez wysokie panoramiczne okno wpadało do wnętrza dużo światła. Na środku

pomieszczenia stał Jace. Nie był sam. W żadnym razie. Towarzyszyła mu ciemnowłosa dziewczyna, której Clary nigdy wcześniej nie widziała. Oboje byli spleceni w namiętym uścisku.



## 6

### Zła krew

Clary zakręciło się w głowie, jakby z pokoju zostało wysane całe powietrze.

Próbowała się wycofać, ale potknęła się i uderzyła ramieniem w drzwi, a one zatrzasnęły się z hukiem. Jace i dziewczyna odskoczyli od siebie i spojrzeli na intruza.

Clary zamarła. Zauważyła, że dziewczyna ma ciemne proste włosy do ramion i jest wyjątkowo ładna. Górne guziki koszuli miała rozpięte, widać było pasek koronkowego stanika. Clary poczuła mdłości.

Dłonie dziewczyny powędrowały do bluzki, szybko zapięła guziki. Nie wyglądała na zadowoloną.

– Przepraszam, kim jesteś? – spytała, marszcząc brwi.

Clary nie odpowiedziała. Patrzyła na Jace'a, który gapił się na nią z niedowierzaniem. Jego twarz była pozbawiona koloru, pod oczami miał sińce.

– Aline. – W głosie Jace'a nie było ani krzty ciepła. – To moja siostra Clary.

– Aha. – Z twarzy dziewczyny zniknęło napięcie, a pojawił się na niej lekko zakłopotany uśmiech. – Przepraszam! Ale spotkanie. Cześć, jestem Aline.

Zbliżyła się do Clary z wyciągniętą ręką, nadal uśmiechnięta. Nie mogąc jej dotknąć, pomyślała Clary z mdlącym uczuciem przerażenia. Jace chyba czytał w jej oczach, bo kiedy na niego spojrzała, nachylił się do Aline i powiedział jej coś do ucha. Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę, wzruszyła ramionami i bez słowa skierowała się do drzwi.

Clary została sam na sam z Jace'em, który patrzył na nią, jakby ożył jego najgorszy senny koszmar. Zrobiła krok w jego stronę.

– Jace.

Cofnął się przed nią jak przed upiorem.

– Co tu robisz, Clary, w imię Anioła?

Szorstkość jego głosu mimo wszystko raniła.

– Mógłbyś przynajmniej udawać, że cieszysz się moim widokiem. Choć trochę.

– Bo wcale się nie cieszę, że cię widzę – powiedział. – Ani trochę.

Na twarz wrócił mu kolor, lecz sińce pod oczami nadal wyglądały jak ciemne smugi. Clary czekała, aż Jace jeszcze coś powie, ale on tylko patrzył na nią z nieskrywaną konsternacją. Zauważyła, że czarny sweter wisi na nim i że paznokcie ma obgryzione do skóry.

– To nie jesteś ty – stwierdziła Clary. – Nienawidzę, kiedy tak się zachowujesz...

– Nienawidzisz, tak? Więc lepiej przestanę się tak zachowywać, co? Bo przecież ty robisz wszystko, o co cię poproszę.

– Nie miałeś prawa zrobić tego, co zrobiłeś! – warknęła Clary, nagle rozzłoszczona. – Okłamać mnie w taki sposób. Nie miałeś prawa...

– Miałem wszelkie prawo! – wrzasnął. Wcześniej nigdy na nią nie krzyczał. – Miałem wszelkie prawo, ty głupia dziewczyno. Jestem twoim bratem i...

– I co? Masz mnie na własność? Nie masz mnie na własność, czy jesteś moim bratem, czy nie!

W tym momencie drzwi biblioteki otworzyły się gwałtownie. Stał w nich Alec, ubrany w długą, granatową kurtkę. Miał w nieładzie włosy, ubłocone buty i wyraz niedowierzania na zwykle spokojnej twarzy.

– Co się tutaj dzieje, do licha? – zapytał, przenosząc zdumiony wzrok z Jace'a na Clary. – Próbujecie się pozabijać?

– Ależ skąd – odpowiedział Jace. Jakby pod wpływem czarów z jego twarzy zniknęły wściekłość i panika, a wrócił na nią lodowaty spokój. – Clary właśnie wychodziła.

– To dobrze, bo muszę z tobą porozmawiać – skwitował te słowa Alec.

– Czy w tym domu nikt nie mówi: „Cześć, miło cię widzieć”? – spytała retorycznie Clary.

– Dobrze cię widzieć, Clary – rzucił Alec. – Choć nie powinno cię tutaj być. Isabelle powiedziała mi, że sama tu jakoś dotarłaś. Jestem pod wrażeniem...

– Mógłbyś nie dodawać jej otuchy? – odezwał się Jace.

Alec go zignorował.

– Ale ja naprawdę muszę o czymś porozmawiać z Jace'em. Możesz dać nam kilka minut?

– Ja też muszę z nim porozmawiać – oświadczyła Clary. – O naszej matce...

– Nie mam ochoty na żadne rozmowy – uciął Jace. – Szczerze mówiąc, z żadnym z was.

– Owszem, masz – sprzeciwił się Alec. – O tym naprawdę chcesz ze mną porozmawiać.

– Wątpię – mruknął Jace i skierował spojrzenie na Clary. – Nie weszłaś do Alicante sama, prawda? – zapytał z namysłem, jakby sobie uświadomił, że sytuacja jest jeszcze gorsza, niż sądził. – Kto był z tobą?

Nie było sensu kłamać.

– Luke.

Jace zbladł.

– Przecież Luke jest Podziemnym. Wiesz, co Clave robi z Podziemnymi, którzy wchodzą do Szklanego Miasta bez pozwolenia? Dostanie się do Idrisu to jedna rzecz, ale wkroczenie do Alicante? Bez powiadomienia kogokolwiek?

– Nie mam pojęcia – bąknęła prawie szeptem Clary. – Ale wiem, co zamierzasz powiedzieć...

– Że się przekonasz sama, jeśli ty i Luke natychmiast nie wrócicie do Nowego Jorku?

Przez chwilę Jace milczał, mierząc ją wzrokiem. Zaskoczyła ją rozpacz malująca się na jego twarzy. Przecież to on jej groził, a nie na odwrót.

– Jace. – Alec przerwał ciszę z nutą paniki w głosie. – Nie zastanawiałeś się, gdzie byłem przez cały dzień?

– Ten nowy płaszcz, który masz na sobie – odparł Jace, nie patrząc na przyjaciela. – Domyślam, się, że byłeś na zakupach. Tylko nie mam pojęcia, dlaczego aż tak się palisz, żeby mi o tym opowiedzieć.

– Nie byłem za zakupach – rzucił ze złością Alec. – Poszedłem...

Nagle drzwi otworzyły się znowu i do środka wpadła Isabelle, szeleszcząc białą suknią. Spojrzała na Clary i potrzasnęła głową.

– Mówiłam ci, że wpadnie w szal, tak czy nie?

– No, tak, „a nie mówiłam”, odzywka z klasą – skomentował Jace.

Clary spojrzała na niego z oburzeniem.

– Jak możesz żartować? Właśnie groziłeś Luke’owi, który cię lubi i ci ufa. Bo jest Podziemnym. Co z tobą?

Isabelle osłupiała.

– Luke jest tutaj? Clary...

– Nie ma go. Wszedł dziś rano, a ja nie wiem dokąd. Ale teraz rozumiem, dlaczego zniknął. – Ledwo mogła patrzeć na Jace’a. – Świetnie, wygrałeś. Nie powinniśmy byli tu się zjawiać. Nie powinnam była tworzyć Bramy...

– Stworzyłaś Bramę? – Na twarzy Isabelle odmalowało się zdumienie. – Clary, tylko czarownicy to potrafią. A nie ma ich wielu. Jedyna Brama w Idrisie znajduje się w Gard.

– Właśnie o tym muszę z tobą porozmawiać – syknął Alec do Jace’a. – O sprawie, którą wczoraj załatwiałem w Gard...

Clary stwierdziła z zaskoczeniem, że Jace wygląda jeszcze gorzej niż przed chwilą. Sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał zemdleć.

– Alec, przestań. Przestań! – W głosie Jace’a brzmiała taka desperacja, że Alec wytrzeszczył oczy i zamknął usta.

Ale Jace nie zwracał na niego uwagi. Patrzył na Clary. Jego spojrzenie było twarde jak szkło. W końcu się odezwał.

– Masz rację – powiedział zdławionym głosem, jakby z trudem wydobywał z siebie słowa. – Nie powinnaś była się tu zjawiać. Mówiłem ci, że w Alicante nie jest bezpiecznie, ale to nie była prawda. Prawda jest taka, że nie chcę cię tutaj, bo jesteś kaptana w gorącej wodzie, bezmyślna i zawsze wszystko psujesz. Właśnie taka jesteś. Brak ci ostrożności, Clary.

– Wszystko psuję? – Clary zabrakło powietrza w płucach, żeby mogła wydobyć z siebie coś więcej niż szept.

– Och, Jace – odezwała się Isabelle ze smutkiem, jakby to on został zraniony.

Jednak Jace nawet na nią nie spojrział. Wzrok miał utkwiony w Clary.

– Zawsze pędzisz przed siebie, nie myśląc o konsekwencjach. Sama dobrze o tym wiesz, Clary. Nie trafilibyśmy do Dumort, gdyby nie ty.

– I Simon byłby martwy! To według ciebie nie ma znaczenia? Może postąpiłam pochopnie, ale...

– Może? – Jace podniósł głos.

– Ale przecież nie każda moja decyzja była zła! Po tym, co zrobiłam na łodzi, sam powiedziałeś, że uratowałam wszystkim życie...

Z twarzy Jace’a zniknęła resztką koloru.

– Zamknij się, Clary, zamknij! – wybuchnął.

– Na łodzi? – Alec przesunął po nich wzrokiem, oszołomiony. – Co się wydarzyło na łodzi? Jace...

– Mówiłem ci, żebyś przestał jęczeć! – krzyknął Jace, a potem cały gniew skierował na Clary, tak że jego fala omal nie zwała jej z nóg. – Jesteś dla nas nieszczęściem, Clary! Jesteś Przyziemną i zawsze nią pozostaniesz. Nigdy nie będziesz Nocnym Łowcą. Nie umiesz myśleć tak jak my, nie zastanawiasz się, co jest najlepsze dla wszystkich. Myślisz tylko o sobie! Teraz toczy się wojna, a ja nie mam czasu ani ochoty chodzić za tobą krok w krok i pilnować, żeby któreś z nas przez ciebie nie zginęło!

Clary nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź. Mogła tylko na niego patrzeć. Jace nigdy tak jej nie traktował. Nie sądziła, że to w ogóle jest możliwe. W przeszłości nieraz go zdenerwowała, ale nigdy nie mówił do niej w taki sposób, jakby jej nienawidził.

– Wracaj do domu, Clary – powiedział. Wydawał się bardzo zmęczony, jakby wyznanie tego, co naprawdę czuje, pozbawiło go sił.

Jej plany runęły. Rozwiała się nieśmiała nadzieja, że odzuka Fella i uratuje matkę albo że znajdzie Luke'a. Wszystko straciło znaczenie. Nawet nie wiedziała, co powiedzieć. Ruszyła do drzwi. Alec i Isabelle odsunęli się, żeby ją przepuścić. Żadne na nią nie patrzyło. Odwracali spojrzenia, na ich twarzach malowało się zakłopotanie. Clary powinna czuć się upokorzona i zła, ale tak nie było. Po prostu czuła się martwa w środku.

Przy drzwiach zatrzymała się i odwróciła. Jace patrzył na nią. Przez okno znajdujące się za nim wpadało światło, ale jego twarz pozostawała w cieniu. Clary widziała tylko drobinki słońca, które przyprószyły jego jasne włosy niczym okruchy szkła.

– Kiedy mi powiedziałeś, że Valentine jest twoim ojcem, nie uwierzyłam ci – powiedziała. – Nie dlatego, że nie chciałam, żeby to była prawda, ale dlatego, że zupełnie nie byłeś do niego podobny. Tak sądziłam do tej pory, ale teraz widzę, że jednak jesteś do niego podobny. Jesteś.

Wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

\*\*\*

– Chcą mnie zagłodzić – powiedział Simon.

Leżał na zimnej kamiennej podłodze celi, bo tylko pod tym kątem widział przez okno kawałek błękitu. Po tym, jak został wampirem i zrozumiał, że nigdy więcej nie zobaczy światła dziennego, wciąż myślał o słońcu i niebie. O tym, jak zmienia się jego kolor w ciągu dnia: od

blądego lazuru wczesnym rankiem przez intensywnie niebieski w południe po kobaltowy o zmierzchu. Przewracając się bezsenne w ciemności, wyobrażał sobie wszystkie te barwy. Teraz, wyciągnięty na plecach w lochu pod Gard, zastanawiał się, czy po to odzyskał blask dnia i wszystkie odcienie niebieskości, żeby spędzić krótką i nieprzyjemną resztę życia w tej maleńkiej przestrzeni i oglądać tylko skrawek nieba widoczny przez pojedyncze zakratowane okno.

– Słyszałeś, co powiedziałem? – Simon podniósł głos. – Inkwizytor zamierza zagłodzić mnie na śmierć. Żadnej więcej krwi.

Za ścianą rozległ się szelest, a po nim głośnie westchnienie.

– Słyszałem – odezwał się w końcu Samuel. – Po prostu nie wiem, czego ode mnie oczekujesz. – Milczał przez chwilę. – Przykro mi, jeśli coś ci to pomoże.

– Nie za bardzo – przyznał Simon. – Inkwizytor chce, żebym skłamał. Mam powiedzieć, że Lighthwoodowie są w zмовie z Valentine'em. Wtedy odeśle mnie do domu. – Przetoczył się na brzuch. – Zresztą nieważne. Nie wiem, dlaczego ci to wszystko opowiadam. Pewnie nie masz pojęcia, o czym mówię.

Samuel ni to zachichotał, ni zakaszłał.

– Tak się składa, że wiem. Znałem Lightwoodów. Byliśmy razem w Kręgu. Lightwoodowie, Waylandowie, Pangbornowie, Herondale'owie, Penhallowowie. Wszystkie znamienite rody Alicante.

– I Hodge Starkweather – dodał Simon. – On też, prawda?

– Tak. Ale jego rodzina nie należała do zbyt szanowanych. W Hodge'u kiedyś pokładano nadzieje, ale obawiam się, że ich nie spełnił. – Samuel umilkł na chwilę. – Aldertree od dzieciństwa nienawidził Lightwoodów. Nie był bogaty, bystry ani atrakcyjny, a oni nie traktowali go dobrze. Nie sądzę, żeby przebolewał to z czasem.

– Bogaty? – powtórzył Simon. – Myślałem, że wszyscy Nocni Łowcy są opłacani przez Clave jak... nie wiem, w komunizmie albo coś w tym rodzaju.

– Teoretycznie wszyscy Nocni Łowcy są sownie i równo opłacani – powiedział Samuel. – Ci, którzy mają wysoką pozycję w Clave albo pełnią ważne funkcje, na przykład prowadzą Instytuty, dostają wyższe pensje. Inni decydują się żyć poza Idrisem i zarabiać pieniądze w świecie Przyziemnych. To nie jest zabronione, dopóki odprowadzają część zarobków do Clave. Ale... – Samuel się zawahał. – Widziałeś dom Penhallowów, prawda? Co o nim sądzisz?

Simon zastanawiał się przez chwilę.

– Bardzo okazały.

– To jeden z najwspanialszych domów w Alicante. Penhallowowie mają jeszcze rezydencję na wsi, tak jak większość bogatych rodów. Bo widzisz, istnieje również inny sposób zdobycia majątku przez Nefilim, nazywany „udziałem w łupach”. Wszystko, co należało do demona albo Podziemnego, staje się własnością Nocnego Łowcy, który go zabił. Tak więc jeśli bogaty czarownik złamie Prawo i zostanie zabity przez Nefilim...

Simon zadrżał.

– Czyli że zabijanie Podziemnych to lukratywny interes?

– Może nim być – przyznał Samuel z goryczą. – Jeśli nie jest się zbyt wybrednym co do tego, kogo się zabija. Teraz rozumiesz, skąd taki sprzeciw wobec Porozumień. One uderzają ludzi po kieszeniach, bo trzeba być ostrożnym z mordowaniem Podziemnych. Może dlatego dołączyłem do Kręgu. Moja rodzina nigdy nie była bogata, a kiedy patrzy się na ciebie z góry dlatego, że nie przyjmujesz krwawych pieniędzy...

– Ale Krąg też mordował Podziemnych – zauważył Simon.

– Bo jego członkowie uważali, że to ich uświęcony obowiązek. Nie kierowali się chciwością. Choć teraz nie pojmuję, dlaczego kiedyś też tak myślałem. – Samuel mówił znużonym głosem. – Chodziło o Valentine’a. Posiadał charyzmę. Potrafił przekonać do wszystkiego. Pamiętam, jak stałem obok niego z rękami umazanymi krwią, patrzyłem na ciało martwej kobiety i uważałem, że postąpiłem słusznie, bo tak powiedział Valentine.

– Martwej Podziemnej?

Przez dłuższą chwilę z drugiej strony ściany dobiegał tylko urywany oddech Samuela.

– Musisz zrozumieć, że zrobiłbym wszystko, o co Valentine poprosił. Każdy z nas. Lightwoodowie też. Inkwizytor właśnie to próbuje wykorzystać. Ale ty powinieneś wiedzieć, że jeśli ulegniesz i zrzucisz winę na Lightwoodów, on prawdopodobnie i tak cię zabije, żeby zamknąć ci usta. Zależy, czy spodoba mu się myśl o byciu miłosiernym.

– To nie ma znaczenia, bo nie zdradzę Lightwoodów – oświadczył Simon.

– Naprawdę? – Simon nie wydawał się przekonany. – Dlaczego? Aż tak bardzo ci na nich zależy?

– Wszystko, co bym mu o nich powiedział, byłoby kłamstwem.

– Ale to może być kłamstwo, które on pragnie usłyszeć. Chcesz wrócić do domu, prawda?

Simon wbił wzrok w ścianę, jakby mógł przez nią zobaczyć człowieka znajdującego się po drugiej stronie.

– A ty jak byś postąpił? Skłamałbyś?

Samuel zaniósł się kaszlem, mokrym, świszczącym. W lochu było wilgotno i zimno, co na Simonie nie robiło wrażenia, ale normalnemu człowiekowi z pewnością szkodziło.

– Na twoim miejscu nie polegałbym na moim moralnym osądzie – odparł w końcu Samuel. – Ale tak, pewnie właśnie tak bym zrobił. Zawsze na pierwszym miejscu stawiałem własną skórę.

– Nie wierzę.

– A jednak. Pierwsze, czego się nauczysz, gdy dorośniesz, Simonie, to to, że kiedy ludzie mówią ci o sobie coś nieprzyjemnego, zwykle jest to prawda.

Ale ja nigdy nie dorosnę, pomyślał Simon. Na głos natomiast powiedział:

– Po raz pierwszy nazwałeś mnie Simonem, a nie Chodzącym za Dnia.

– Chyba tak.

– A co do Lightwoodów, nie jest tak, że jakoś szczególnie ich lubię. To znaczy lubię Isabelle. Aleca i nawet Jace’a. Chodzi o dziewczynę. Jace jest jej bratem.

– Zawsze jest jakaś dziewczyna. – W głosie Samuela po raz pierwszy zabrzmiało szczere rozbawienie.

\*\*\*

Gdy tylko za Clary zamknęły się drzwi, Jace oparł się o ścianę, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Na jego poszarzałej twarzy malowało się przerażenie, szok i coś, co wyglądało niemal na... ulgę, jakby o mały włos uniknął katastrofy.

– Jace, naprawdę myślisz...? – Alec zrobił krok w jego stronę.

– Wynoście się oboje – przerwał mu Jace.

– Bo co? – obruszyła się Isabelle. – Jeszcze bardziej zrujnujesz sobie życie? O co właściwie ci chodziło?

Jace potrząsnął głową.

– Odesłałem ją do domu. To będzie dla niej najlepsze.

– Zrobiłeś, do cholery, dużo więcej, niż tylko odesłałeś ją do domu. Ty ją zniszczyłeś. Widziałeś jej minę?

– Warto było – rzekł z uporem Jace. – I tak nie zrozumiesz.



– Może dla niej tak – stwierdziła Isabelle. – Mam nadzieję, że dobrze skończy się również dla ciebie.

– Zostaw mnie w spokoju, Isabelle – powiedział Jace. – Proszę.

Isabelle rzuciła bratu zaniepokojone spojrzenie. Jace nigdy nie mówił „proszę”. Alec położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie przejmuj się, Jace, na pewno nic jej nie będzie – pocieszył przyjaciela.

Jace uniósł głowę i spojrzał na niego pustym wzrokiem.

– Nie sądzę. Ale spodziewałem się tego. W każdym razie możesz mi teraz powiedzieć to, co zamierzałeś. Zdaje się, że chodziło o coś bardzo ważnego.

Alec zdjął rękę z ramienia siostry.

– Nie chciałem mówić przy Clary...

Jace w końcu skupił wzrok na Alecu.

– Czego nie chciałeś powiedzieć przy Clary?

Alec się zawahał. Rzadko widywał przyjaciela tak zdenerwowanego i mógł sobie tylko wyobrazić, jaki wpływ będą na niego miały dalsze nieprzyjemne niespodzianki. Niestety, nie było sposobu, żeby ukryć prawdę. Jace musiał wiedzieć.

– Wczoraj, kiedy zaprowadziłem Simona do Gard, Malachi obiecał mi, że Magnus Bane będzie czekał na Simona po drugiej stronie nowojorskiej Bramy. Tak więc wysłałem ognistą wiadomość do Magnusa. Dziś rano dostałem od niego odpowiedź. Nie odebrał Simona w Nowym Jorku. W rzeczywistości w Nowym Jorku nie ma aktywnej Bramy, odkąd przeszła przez nią Clary.

– Może Malachi się myli? – podsunęła Isabelle na widok spopielalej twarzy Jace’a. – Może ktoś inny czekał na Simona po drugiej stronie. A Magnus może się mylić co do aktywności Bramy...

Alec pokręcił głową.

– Poszedłem dziś rano z mamą do Gard. Zamierzałem sam spytać Malachiego, o co chodzi, ale kiedy go zobaczyłem, schowałem się za róg, nie wiem dlaczego. Nie potrafiłem stanąć z nim twarzą w twarz. Potem usłyszałem, jak rozmawia ze strażnikami. Kazał im zaprowadzić wampira na górę, bo Inkwizytor znowu chce z nim rozmawiać.

– Na pewno mieli na myśli Simona? – zapytała bez przekonania w głosie Isabelle. – Może...

– Rozmawiali o tym, jaki głupi był Podziemny, sądząc, że bez przesłuchania odeślą go z powrotem do Nowego Jorku. Jeden z nich nie mógł uwierzyć, że ktoś miał tyle czelności, żeby w ogóle przemycać go do Alicante. Na to Malachi powiedział: „A czego można oczekiwać po synu Valentine’a?”.

– O, mój Boże – wyszeptała Isabelle. – Jace...

Jace zacisnął dłoń. Oczy miał zapadnięte, jakby wepchnięte w głąb czaszki. W innych okolicznościach Alec położyłby mu dłoń na ramieniu, ale w tym momencie powstrzymał go wyraz twarzy przyjaciela.

– Gdybym to nie ja ściągnął tu Simona, może po prostu puściliby go do domu – stwierdził Jace cichym, odmierzonym głosem, jakby coś recytował. – Może uwierzyliby...

– Nie – przerwał mu Alec. – To nie twoja wina, Jace. Uratowałeś mu życie.

– Uratowałem po to, żeby Clave mogło go torturować – odparował Jace. – Też mi przysługa. Kiedy Clary się dowie... – Pokręcił głową. – Pomyśli, że sprowadziłem go tutaj celowo i oddałem Clave, choć wiedziałem, co z nim zrobią.

– Clary na pewno tak nie pomyśli. Nie będzie miała powodu.

– Może, ale po tym, jak ją właśnie potraktowałem...

– Nikt nie pomyśli, że mógłbyś zrobić coś takiego – orzekła z przekonaniem Isabelle. – Nikt, kto cię zna. Nikt...

Jace odwrócił się i podszedł do okna wychodzącego na kanał. Stał tam przez chwilę, a światło wpadające przez szyby barwiło końce jego włosów w złoto. Potem wykonał ruch, tak szybki, że Alec nawet nie zdążył zareagować. Kiedy zobaczył, co się dzieje, i rzucił się, żeby temu zapobiec, było już za późno.

Rozległ się trzask i w dół posypało się rozbite szkło, niczym prysznic z gwiazdowego pyłu. Jace spojrzał z klinicznym zainteresowaniem na swoją lewą rękę, na szkarłatne kostki, gdy na podłogę u jego stóp zaczęły kapać grube czerwone krople.

Isabelle przeniosła wzrok z Jace’a na dziurę w szybie, na rozchodzące się od niej rysy, na pajęczynę cienkich srebrzystych pęknięć.

– Och, Jace. – Jej głos był miękki jak nigdy. – Jak, u licha, wyjaśnimy to Penhallowom?

\*\*\*

Clary wydostała się z domu, choć nie wiedziała jak. Schody i korytarze były zamazaną plamą. Gdy wybiegła przez drzwi na frontowe stopnie, przez chwilę bała się, że wymiotuje w różane krzewy Penhallowów. Czuła bolesne skurcze żołądka.

W końcu jakoś nad sobą zapanowała, zeszła po schodach i ruszyła do bramy. Nie pamiętała, z której strony przyszła ani jak ma wrócić do Amatis, ale uznała, że to bez znaczenia. Nie paliło się jej do powrotu i konieczności wyjaśnienia Luke'owi, że muszą opuścić Alicante, bo inaczej Jace wyda ich Clave.

Może Jace miał rację. Może była w gorącej wodzie kąpana i bezmyślna. Może nigdy rzeczywiście nie pomyślała, w jaki sposób jej działania wpływają na ludzi, których kocha. Przed jej oczami przesunęła się twarz Simona, ostra jak na fotografii, potem Luke'a...

Zatrzymała się i oparła o latarnię. Szklane urządzenie przypominało lampy gazowe przed czynszówkami na Park Slope. Ten widok, o dziwo, dodał jej otuchy.

– Clary!

Słyszac chłopięcy, zaniepokojony głos, odwróciła się gwałtownie.

Ale to nie był Jace – tylko Sebastian, ciemnowłosy chłopiec z salonu Penhallowów. Był lekko zasapany, jakby za nią biegł.

Ogarnęło ją takie samo uczucie jak wtedy, gdy pierwszy raz go zobaczyła. Miała wrażenie, że go zna, a poza tym coś ją do niego przyciągało, choć to nie była ani sympatia, ani niechęć. Może chodziło o jego wygląd? Był piękny jak Jace, ale podczas gdy Jace wydawał się cały złoty, u Sebastiana dominowały bladeść i cienie. Jednakże teraz, kiedy przyjrzała mu się uważniej, stwierdziła, że jego podobieństwo do wymyślanego księcia nie jest aż takie, jak sądziła. Po prostu było coś w kształcie jego twarzy, postawie, tajemniczości ciemnych oczu...

– Dobrze się czujesz? – zapytał Sebastian cichym głosem. – Wybiegłaś z domu jak... – Zawiesił głos, mierząc ją wzrokiem. Clary nadal kurczowo trzymała się słupa latarni. – Co się stało?

– Pokłóciłam się z Jace'em – odparła Clary, siląc się na spokój. – Wiesz jak to jest.

– Właściwie nie. – Mówił niemal przeprasającym tonem. – Nie mam braci ani sióstr.

– Szczęściarz z ciebie – skomentowała Clary. Zaskoczyła ją gorycz, którą usłyszała we własnym głosie.

– Na pewno tak nie myślisz. – Zrobił krok w jej stronę i w tym momencie latarnia rozbliłyła, oblewając ich białym magicznym światłem. Sebastian się uśmiechnął. – To znak.

– Znak czego?

– Że powinnaś pozwolić, żebym odprowadził cię do domu.

– Ale ja nie mam pojęcia, gdzie to jest. Wymknęłam się ukradkiem i nie pamiętam drogi.

– U kogo się zatrzymałaś?

Clary się zawahała.

– Nie powiem nikomu – uspokoił ją Sebastian. – Przysięgam na Anioła.

Clary wytrzeszczyła oczy. To była mocna przysięga w ustach Nocnego Łowcy.

– Dobrze – powiedziała, zanim zdążyła przemyśleć swoją decyzję. – Zatrzymałam się u Amatis Herondale.

– Świetnie. Wiem dokładnie, gdzie ona mieszka. – Sebastian podał jej ramię. – Idziemy?

Clary udało się uśmiechnąć.

– Jesteś arogancki, wiesz.

Wzruszył ramionami.

– Mam słabość do dam w opałach.

– Nie bądź seksistą.

– Wcale nie jestem. Moje usługi są również dostępne dla dżentelmenów w opałach. Oni mają u mnie równe szanse. – Zamaszystym gestem ponownie zaoferował jej ramię.

Tym razem Clary je przyjęła.

\*\*\*

Alec zamknął za sobą drzwi pokoju na poddaszu i odwrócił się do Jace'a. Jego oczy normalnie miały kolor jeziora Lyn, bladego, spokojnego błękitu, ale ich odcień zmieniał się zależnie od nastroju. W tej chwili kojarzył się raczej z East River w czasie burzy. Na twarzy również malowało się wzburzenie.

– Siadaj – rzucił krótko, wskazując na niskie krzesło stojące przy oknie. – Przyniosę bandaż.

Jace usiadł. Pokój, który dzielił z Alekiem na szczycie domu Penhallowów, był mały, z dwoma wąskimi łóżkami. Ich ubrania wisiały na rzędzie kołków wbitych w ścianę. Przez pojedyncze okno wpadało do środka blade światło. Na dworze już zapadał zmrok, niebo miało kolor indygo.

Alec ukląkł i wyciągnął spod łóżka worek marynarski. Otworzył go, pogrzebał w środku, aż w końcu wstał z pudełkiem w rękach. Jace rozpoznał apteczkę, której czasami używali, kiedy runy nie wystarczały. Znajdowały się w niej środki odkażające, bandaże, nożyczki, gaza.

– Nie zastosujesz znaku uzdrawiającego? – spytał Jace.

– Nie. Możesz po prostu... – Alec zaklął cicho i cisnął pudełko na łóżko.

Następnie podszedł do małego zlewu i zaczął myć ręce z taką energią, że woda pryskała na wszystkie strony. Jace obserwował go ze spokojem i zaciekawieniem. Zraniona dłoń pulsowała tęnym bólem.

Alec sięgnął po apteczkę, przyciągnął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Jace'a.

– Daj mi rękę.

Jace posłusznie spełnił polecenie. Musiał przyznać, że rana wygląda źle. Cztery kostki były głęboko rozcięte. Zasznięta krew przylgnęła do palców jak czerwono-brązowa rękawica.

Alec się skrzywił.

– Jesteś idiotą.

– Dzięki. – Jace obserwował cierpliwie, jak Alec wyciąga szczypcami odłamki szkła wbite w skórę. – Więc dlaczego nie?

– Co dlaczego nie?

– Dlaczego nie zastosujesz znaku uzdrawiającego? To nie jest demoniczna rana.

– Dlatego. – Alec sięgnął bo buteleczkę niebieskiego płynu odkażającego. – Myślę, że dobrze ci robi, jak poczujesz trochę bólu. Jeśli gojenie będzie powolne i brzydkie jak u Przyziemnych, może czegoś się nauczysz. – Wylał płyn na skaleczenie. – Choć bardzo w to wątpię.

– Zawsze sam mogę sobie narysować znak uzdrawiający – rzucił Jace.

Alec zaczął bandażować mu rękę.

– Proszę bardzo, jeśli chcesz, żebym powiedział Penhallowom, co naprawdę stało się z ich oknem, zamiast pozwolić im myśleć, że to był wypadek. – Zawiązał bandaż tak mocno, że Jace się skrzywił. – Wiesz, gdybym przewidział, że coś takiego zrobisz, nie powiedziałbym ci prawdy.

– Owszem, powiedziałbyś. – Jace przekrzywił głowę. – Nie sądziłem, że mój atak na okno tak cię zdenerwuje.

– To tylko... – Dokończywszy bandażowanie, Alec spojrział na rękę Jace’a, którą nadal trzymał w swoich dłoniach. Wyglądała teraz jak biała maczuga poplamiona krwią w miejscach, gdzie dotknęły jej jego palce. – Dlaczego robisz takie rzeczy? Nie chodzi mi o okno, tylko o to, jak rozmawiałeś z Clary. Za co tak się każesz? Nic nie poradzisz na to, co czujesz.

– A jak się czuję? – zapytał spokojnym głosem Jace.

– Widzę, jak na nią patrzysz. – Alec utkwiał nieobecne spojrzenie gdzieś poza Jace’em. – A nie możesz jej mieć. Pewnie do tej pory nie wiedziałeś, jak to jest pragnąć czegoś, czego nie można mieć.

Jace zmierzył go wzrokiem.

– Co jest między tobą a Magnusem Banem?

Alec wrócił do niego spojrzeniem.

– Ja nie... nie ma nic...

– Nie jestem głupi. Zwróciłeś się do Magnusa od razu po rozmowie z Malachim, zanim porozumiałeś się ze mną, Isabelle czy kimkolwiek innym...

– Bo tylko on potrafił odpowiedzieć na moje pytanie, oto dlaczego. Nie ma nic między nami – oświadczył Alec, a spostrzegłszy wyraz twarzy Jace’a, dodał z niechęcią: – Już nie. Nic nas nie łączy. W porządku?

– Mam nadzieję, że nie z mojego powodu.

Alec zbladł i cofnął się, jakby szykował się do odparowania ciosu.

– Co masz na myśli?

– Wiem, co myślisz, że czujesz coś do mnie – stwierdził Jace. – Ale tak nie jest. Po prostu mnie lubisz, ponieważ to bezpieczne. Nie ma ryzyka. Poza tym nigdy nie będziesz musiał angażować się w prawdziwy związek, bo zawsze możesz wykorzystać mnie jako wymówkę. – Jace wiedział, że jest okrutny, ale mało go to obchodziło. W takim nastroju, w jakim był teraz, ranienie ludzi, których kochał, działało prawie równie skutecznie jak ranienie siebie.

– Rozumiem. Najpierw Clary, potem twoja ręka, a teraz ja. Do diabła z tobą, Jace.

– Nie wierzysz mi? W porządku. Zatem, śmiało, pocałuj mnie.

Alec spojrział na niego z przerażeniem.

– Właśnie. Mimo mojego oszałamiającego wyglądu, wcale nie lubisz mnie w ten sposób. I jeśli zerwałeś z Magnusem, to nie z mojego powodu. Po prostu za bardzo się boisz powiedzieć komuś, że go naprawdę kochasz. Miłość czyni nas kłamcami. Powiedziała mi to królowa Jasnego

Dworu. Więc nie osądzaj mnie za to, że kłamię, mówiąc o tym, co czuję. Ty też tak robisz. – Wstał z krzesła. – I teraz chcę, żebyś znowu to zrobił.

Twarz Aleca była stężała.

– Co masz na myśli?

– Skłamałem dla mnie. – Jace zdjął kurtkę z kołka. – Zachodzi słońce. Wkrótce zaczną wychodzić z Gard. Powiedz wszystkim, że nie czuję się dobrze i dlatego nie zejść na dół. Powiedz im, że zemdlałem, przewróciłem się i niechcący stłukłem szybę.

Alec przekrzywił głowę i wbił w niego wzrok.

– Dobrze. Jeśli mi powiesz, dokąd naprawdę idziesz.

– Do Gard – odparł Jace. – Idę wydostać Simona z więzienia.

\*\*\*

Matka Clary zawsze nazywała porę między zmierzchem z zapadnięciem nocy „niebieską godziną”. Mówiła, że światło jest wtedy najsilniejsze i najbardziej niezwykle, więc jest to najlepsza pora do malowania. Clary nigdy tak naprawdę nie rozumiała, co matka ma na myśli, ale teraz, kiedy szła o zmroku przez Alicante, wreszcie pojęła.

Niebieska godzina w Nowym Jorku w rzeczywistości wcale nie była niebieska z powodu zbyt dużej liczby neonów i lamp ulicznych. Jocelyn zapewne chodziło o Idris. Tutaj światło padało smugami czystego fioletu na złote kamienie, wokół magicznych latarni tworzyły się okrągłe sadzawki białego blasku, tak jaskrawego, że zdawało się, iż wydziela ciepło. Clary żałowała, że nie ma przy niej matki. Jocelyn pokazałaby jej te części Alicante, które zachowała we wspomnieniach.

„Ale ona nigdy ci o tych rzeczach nie opowiadała. Celowo chowała je w sekrecie przed tobą. I teraz możesz nigdy ich nie poznać”. Ostry ból – w połowie gniew, w połowie żal – ścisnął jej serce.

– Jesteś strasznie milcząca – stwierdził Sebastian.

Akurat przechodzili przez most nad kanałem. Jego kamienne boki były pokryte runami.

– Tylko się zastanawiałam, jakie kłopoty czekają mnie po powrocie do domu. Musiałam wyjść przez okno, ale Amatis pewnie już zauważyła, że mnie nie ma.

Sebastian zmarszczył brwi.

– Dlaczego się wymknęłaś? Nie pozwolono by ci zobaczyć się z bratem?

– W ogóle nie powinno mnie być w Alicante – odparła Clary. – Powinnam siedzieć w domu i obserwować wszystko bezpiecznie zza kulis.

– Aha. To dużo wyjaśnia.

– Naprawdę? – Z ukosa rzuciła zaciekawione spojrzenie na Sebastiana. Na jego ciemnych włosach kładły się niebieskie cienie.

– Wszyscy bledli, kiedy pojawiał się twoje imię. Domyśliłem się, że między tobą a twoim bratem jest zła krew.

– Zła krew? Można to i tak określić.

– Nie lubisz go zbytnio?

– Lubić Jace'a? – Przez ostatnie tygodnie tak dużo się zastanawiała, czy kocha Jace'a Waylanda, że nawet nie pomyślała, czy go lubi.

– Przepraszam. On jest rodziną, więc nie jest istotne, czy go lubisz czy nie.

– Lubię go – powiedziała Clary, zaskakując samą siebie. – Lubię, ale on... doprowadza mnie do szału. Mówi mi, co mogę, a czego nie mogę robić.

– Zdaje się, że bezskutecznie – zauważył Sebastian.

– Co masz na myśli?

– Wygląda na to, że i tak robisz, co chcesz.

– Chyba tak. – Zdziwiło ją, że takie spostrzeżenie poczynił prawie obcy człowiek. – Ale tym razem rozgniewałam go bardziej, niż się spodziewałam.

– Jakoś to przeboleje – rzucił lekceważącym tonem Sebastian.

Clary spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Lubisz go?

– Lubię. Ale on mnie chyba niezbyt. – W głosie Sebastiana zabrzmiała uraza. – Wkurza go wszystko, co mówię.

Skręcili z ulicy na rozległy brukowany plac, otoczony wysokimi, wąskimi budynkami. Pośrodku stał brązowy posąg Anioła, który oddał swoją krew, żeby stworzyć rasę Nocnych Łowców. Na północnym końcu placu wznosiła się masywna budowla z białego kamienia. Kaskada szerokich marmurowych stopni prowadziła do arkady, za którą znajdowały się wielkie podwoje.



Ogólny efekt był w wieczornym świetle oszałamiający... i dziwnie znajomy. Clary przyszło do głowy, że już wcześniej widziała obraz tego miejsca. Może namalowała go jej matka?

– To Plac Anioła – powiedział Sebastian. – I Wielka Sala Anioła. Tutaj podpisano Porozumienia, bo Podziemnych nie wpuszczano do Gard. To główne miejsce spotkań, uroczystości, ślubów, tańców, tego rodzaju rzeczy. Centrum miasta. Mówi się, że wszystkie drogi prowadzą do Sali.

– Wygląda trochę jak kościół, ale wy nie macie kościołów, prawda?

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Sebastian. – Chronią nas demoniczne wieże. Nie potrzebujemy niczego więcej. Dlatego lubię przyjeżdżać do Alicante. Tu jest... tak spokojnie.

Clary spojrzała na niego zaskoczona.

– Więc nie mieszkasz tutaj?

– Nie. Mieszkam w Paryżu. Po prostu odwiedzam Aline, moją kuzynkę. Moja matka i jej ojciec, a mój wujek Patrick, to rodzeństwo. Rodzice Aline prowadzili przez lata Instytut w Pekinie. Wrócili do Alicante dziesięć lat temu.

– Penhallowowie nie należeli do Kręgu, prawda?

Przez twarz Sebastiana przemknął dziwny wyraz. Milczał, kiedy minęli plac i ruszyli przez labirynt ciemnych uliczek.

– Dlaczego pytasz?

– Cóż... bo Lightwoodowie należeli.

Gdy przechodzili pod uliczną latarnią, Clary zerknęła z ukosa na Sebastiana. W sadzawce białego światła, w długim ciemnym płaszczu i białej koszuli wyglądał jak wiktoriański dżentelmen z czarno-białej fotografii. Ciemne włosy kręciły mu się na skroniach w taki sposób, że zapragnęła narysować go piórkiem i atramentem.

– Musisz zrozumieć, że do Kręgu należała połowa młodych Nocnych Łowców z Idrisu i wielu tych, którzy mieszkali za granicą. Wujek Patrick był w Kręgu od samego początku, ale wystąpił z niego, kiedy zaczął sobie zdawać sprawę, jaki naprawdę jest Valentine. Rodzice Aline nie brali udziału w Powstaniu. Wujek pojechał do Pekinu, żeby uciec od Valentine'a, i w tamtejszym Instytucie poznał matkę Aline. Kiedy Lightwoodowie i inni członkowie Kręgu byli sądzeni za zdradę, Penhallowowie głosowali za łagodnym wyrokiem. Proponowali, żeby wysłać ich do Nowego Jorku, zamiast wyklinać. Dlatego Lightwoodowie zawsze byli im wdzięczni.

– A twoi rodzice? – zapytała Clary. – Byli w Kręgu?

– Niezupełnie. Moja matka była młodsza od Patricka. Kiedy wuj pojechał do Pekinu, ją posłał do Paryża. Tam poznała mojego ojca.

– Była?

– Nie żyje. Ojciec też. Wychowała mnie ciocia Elodie.

– Och. – Clary poczuła się niezręcznie. – Przykro mi.

– Nie pamiętam ich. Kiedy byłem młodszy, często żałowałem, że nie mam starszej siostry albo brata, kogoś, kto mógłby opowiedzieć mi o rodzicach. – Sebastian popatrzył na nią z zadumą. – Mogę cię o coś zapytać, Clary? Dlaczego w ogóle przybyłaś do Idrisu, skoro wiedziałaś, jak źle przyjmie to twój brat?

Zanim Clary zdążyła odpowiedzieć, wyszli z wąskiego zaułka na znajomy, nieoświetlony dziedziniec. Nieczynna studnia lśniła w blasku księżyca.

– Plac Cysterny – powiedział Sebastian z wyraźną nutą rozczarowania w głosie. – Dotarliśmy na miejsce szybciej, niż myślałem.

Clary spojrzała na ceglany most spinający pobliski kanał. Widziała w oddali dom Amatis. Wszystkie okna były rozświetlone. Westchnęła ciężko.

– Stąd sama trafię. Dziękuję.

– Nie chcesz, żebym cię odprowadził do...

– Nie. Chyba że ty też chcesz wpakować się w kłopoty.

– Myślisz, że wpakowałbym się w kłopoty? Za to, że byłem dżentelmenem i odprowadziłem cię do domu?

– Nikt nie powinien wiedzieć, że jestem w Alicante. To miał być sekret. I bez obrazy, ale jesteś dla mnie obcy.

– Szkoda. Chciałbym cię lepiej poznać. – Sebastian patrzył na nią z rozbawieniem i odrobiną nieśmiałości, jakby nie był pewien, jak zostanie przyjęte to, co powiedział.

– Cieszę się, że chcesz mnie poznać – powiedziała Clary z nagłym uczuciem obehwładniającego zmęczenia. – Ale po prostu nie mam teraz siły na rozmowy. Przykro mi.

– Nie chciałem...

Clary już szła w kierunku mostu. W połowie drogi obejrzała się na Sebastiana. Stojąc w blasku księżyca, z ciemnymi włosami opadającymi na twarz, wyglądał na dziwnie osamotnionego.

– Ragnor Fell – rzuciła Clary.

Sebastian wytrzeszczył oczy.

– Co?

– Pytałeś, dlaczego tu przybyłam, choć nie powinnam. Moja matka jest chora. Bardzo chora. Jedyną osobą, która może jej pomóc, jest czarownik Ragnor Fell. Tylko że ja nie mam pojęcia, gdzie go znaleźć...

– Clary...

Odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

– Dobranoc, Sebastianie.

\*\*\*

Trudniej było wspiąć się po kratownicy niż po niej zejść. Buty kilka razy pośliznęły się na wilgotnej kamiennej ścianie, i Clary poczuła ulgę, gdy w końcu podciągnęła się na parapet i na pół zeskoczyła, na pół spadła na podłogę sypialni.

Jej euforia nie trwała długo. Gdy tylko znalazła się w środku, rozbłysło światło i zalało pokój prawie dzienną jasnością.

Na brzegu łóżka siedziała Amatis, z wyprostowanymi plecami i magicznym kamieniem w ręce. Kamień płonął ostrym blaskiem, który podkreślał twarde rysy jej twarzy i zmarszczki w kącikach ust. Przez dłuższą chwilę gospodyni mierzyła w milczeniu Clary wzrokiem, aż w końcu powiedziała:

– W tym ubraniu wyglądasz zupełnie jak Jocelyn.

Clary dźwignęła się z podłogi.

– Przepraszam – bąknęła. – Że wyszłam ukradkiem...

Amatis zamknęła dłoń na magicznym kamieniu, gasząc jego blask. W pokoju nagle zapanował mrok.

– Przebierz się i zejź na dół do kuchni – poleciła. – I nawet nie myśl o tym, żeby znowu wymykać się przez okno, bo następnym razem, kiedy wrócisz do domu, będzie dla ciebie niedostępny.

Clary przełknęła ślinę i pokiwała głową.

Amatis wstała z łóżka i wyszła bez słowa. Clary szybko zrzuciła pożyczone ubranie i włożyła swoje stare rzeczy, wiszące na poręczu łóżka, wyprane i suche. Dzinsy okazały się

trochę sztywne, ale miło było włożyć znajomy T-shirt. Clary przeczesła palcami zmierzwiłone włosy i ruszyła na dół.

Ostatnim razem, kiedy widziała parter domu Amatis, była w gorączce i miała halucynacje. Pamiętała tylko długie korytarze ciągnące się w nieskończoność i wielki zegar pradziadka, którego tykanie brzmiało jak uderzenia umierającego serca. Teraz znalazła się w małym, przytulnym salonie z prostymi drewnianymi meblami i szmacianym dywanem na podłodze. Wielkością i jasnymi kolorami przypominał jej własny salon na Brooklynie. Przeszła przez niego cicho i zajrzała do kuchni. Zalewało ją ciepłe żółte światło, w piecu płonął ogień. Przy stole siedziała Amatis. Na ramiona miała narzucony niebieski szal, przy którym jej włosy wydawały się jeszcze bardziej szpakowate.

– Cześć. – Clary zawahała się w progu. Nie potrafiła stwierdzić, czy gospodyni jest zła, czy nie.

– Chyba nie muszę pytać, dokąd się wybrałaś – powiedziała Amatis, nie podnosząc na nią wzroku. – Poszłaś do Jonathana, prawda? Tego należało się spodziewać. Może gdybym miała dzieci, wiedziałabym, kiedy dziecko kłamie. Ale wierzyłam, że przynajmniej tym razem nie rozczaruję mojego brata.

– Luke’a?

– Wiesz, co się stało, kiedy został ugryziony przez wilkołaka? – Amatis patrzyła przed siebie. – Oczywiście stało się tak, bo Valentine zawsze głupio ryzykował, jeśli chodzi o siebie i swoich zwolenników, zatem była to tylko kwestia czasu, kiedy dojdzie do nieszczęścia... No więc, Luke przyszedł i wyznał mi wszystko. Był przerażony, że mógł złapać likantropię. A ja powiedziałam... powiedziałam...

– Amatis, nie musisz mi tego mówić...

– Krzyknęłam, żeby wynosił się z mojego domu i nie wracał, dopóki nie będzie pewien, że nie złapał choroby. Czuję do niego obrzydzenie i nic nie mogłam na to poradzić. – Jej głos drżał. – Luke oczywiście to zauważył. Wszystko było wypisane na mojej twarzy. Powiedział, że jeśli zachoruje i zmieni się w wilkołaka, Valentine pewnie każe mu się zabić, a ja odpowiedziałam... że może tak byłoby najlepiej.

Clary wyrwał się cichy okrzyk.

Amatis podniosła na nią wzrok. Na jej twarzy malowała się nienawiść do samej siebie.

– Luke zawsze był z gruntu dobry, nieważne, do czego próbował zmusić go Valentine – ciągnęła. – Czasami sądziłam, że on i Jocelyn są jedynymi dobrymi ludźmi, jakich znam. Dlatego nie mogłam znieść myśli, że zmieni się w potwora...

– Ale on taki nie jest. Nie jest potworem.

– Tego nie wiedziałam. Po jego Przemianie i ucieczce Jocelyn usilnie starała się mnie przekonać, że on w środku nadal pozostał tym samym człowiekiem, że nadal jest moim bratem. Gdyby nie ona, nigdy nie zgodziłabym się mu pomóc. Pozwoliłam mu tu zostać, kiedy przyszedł przed Powstaniem. Pozwoliłam mu ukryć się w piwnicy, ale czułam, że Luke nie do końca mi ufa po tym, jak odwróciłam się od niego. Myślę, że nadal mi nie ufa.

– Ufał ci dostatecznie, żeby tu przyjść, kiedy byłam chora – przypomniała Clary. – Ufał ci dostatecznie, żeby zostawić mnie z tobą...

– Nie miał gdzie pójść – powiedziała Amatis. – I zobacz, jak sobie z tobą poradziłam. Nawet nie potrafiłam zatrzymać cię w domu przez jeden dzień.

Clary drgnęła. Takie słowa były gorsze niż krzyki.

– To nie twoja wina. Okłamałam cię i wymknęłam się podstępem. Nic nie mogłaś zrobić.

– Och, Clary. Nie rozumiesz? Zawsze można coś zrobić. Tylko ludzie tacy jak ja wmawiają sobie coś innego. Wmówiłam sobie, że nic nie mogę zrobić dla Luke'a. Wmówiłam sobie, że nie jestem w stanie zatrzymać przy sobie Stephena. Nie chodzę nawet na zebrania Clave, bo wmawiam sobie, że w żaden sposób nie wpłynę na ich decyzje, nawet kiedy nie podoba mi się to, co robią. Ale kiedy już się czegoś podejmuję, to nawet tej jednej rzeczy nie potrafię zrobić dobrze. – Jej oczy lśniły, twarde i jasne w blasku ognia. – Idź do łóżka, Clary. Od tej pory możesz wychodzić i przychodzić, kiedy chcesz. Nie będę cię zatrzymywać, bo, jak sama stwierdziłaś, i tak nic nie mogę zrobić.

– Amatis.

– Nie. – Amatis pokręciła głową. – Po prostu idź do łóżka. Proszę. – W jej głosie zabrzmiał ton stanowczości. Odwróciła się i wbiła nieruchomy wzrok w ścianę, jakby Clary już nie było w kuchni.

Clary okręciła się na pięcie i pobiegła do schodów. W pokoju gościnnym kopniakiem zamknęła drzwi za sobą i rzuciła się na łóżko. Miała ochotę się rozplakać, ale łzy nie przychodziły. Jace mnie nienawidzi, pomyślała, Amatis mnie nienawidzi. Nie pożegnałam się z Simonem. Moja matka umiera. Luke mnie opuścił. Jestem sama. Jeszcze nigdy nie byłam taka

samotna, i to wszystko moja wina. Wpatrując się w sufit, doszła do wniosku, że może dlatego nie może płakać. Bo jaki był sens rozpaczać, skoro nie miał kto jej pocieszyć? I kiedy nawet samej siebie nie umiała pocieszyć?

## Tam, dokąd boją się iść anioły

Ze snu o krwi i świetle słonecznym obudził Simona głos wołający jego imię, a właściwie syczący szept.

– Simon. Simon, wstawaj.

Wstał – nadal zdumiewało go, jak szybko potrafi się poruszać – i rozejrzał się po ciemnej celi.

– Samuel? – wyszeptał cicho, wpatrując się w mrok. – Samuelu, to ty?

– Odwróć się, Simon. – W znajomym głosie dzwięczała nuta irytacji. – Podejdź do okna.

Simon w końcu się zorientował, kto go woła, i wyjrzał przez zakratowane okno. Zobaczył Jace'a, który klęczał na trawie z magicznym kamieniem w ręce i łypał na niego spode łba.

– Myślałeś, że dręczą cię koszmary?

– Chyba jeszcze się nie obudziłem. – Simonowi szumiało w uszach. Gdyby miał puls, pomyślałby, że to krew płynąca w jego żyłach, ale to było coś innego, mniej cielesnego.

Magiczny blask tworzył patchwork ze światła i cieni na bladej twarzy Jace'a.

– Więc tutaj cię wsadzili. Nie wiedziałem, że nadal korzystają z tych lochów. – Jace zerknął w bok. – Z początku wybrałem niewłaściwe okno. Przyprawilem twojego przyjaciela z sąsiedniej celi o niezły szok. Atrakcyjny gość, z tą brodą, w szmatach. Przypomina mi nowojorskich włóczęgów.

W tym momencie Simon uświadomił sobie, czym jest szum w uszach. Wściekłością. W jakimś odległym zakątku mózgu zarejestrował, że jego usta się rozchylają, kły wysuwają się i uwierają dolną wargę.

– Cieszę się, że uważasz moją sytuację za zabawną.

– Więc nie jesteś szczęśliwy, że mnie widzisz? Muszę powiedzieć, że mnie zaskoczyłeś. Zawsze mi mówiono, że moja obecność rozjaśnia każdy pokój. Można by sądzić, że wilgotny loch dwa razy bardziej.

– Wiedziałaś, co się stanie, prawda? Powiedziałaś: „Odeślą cię z powrotem do Nowego Jorku”. Żaden problem. Ale oni w ogóle nie mieli zamiaru tego robić.

– Nie wiedziałem. – Jace spojrzał na niego przez kraty czystym wzrokiem. – Wiem, że mi nie wierzysz, ale sądziłem, że mówię ci prawdę.

– Albo kłamiesz, albo jesteś głupi...

– W takim razie jestem głupi.

– Albo jedno i drugie – dokończył Simon. – Skłaniam się ku tej ostatniej możliwości.

– Nie mam powodu cię okłamywać. Nie teraz. – Jace nadal patrzył mu prosto w oczy. – I przestań obnażać kły. To mnie wyprowadza z równowagi.

– Dobrze. Jeśli chcesz wiedzieć, to dzieje się tak dlatego, że pachniesz krwią.

– To moja woda kolońska. – Jace uniósł lewą rękę owiniętą białymi bandażami, na kostkach zabarwionymi na czerwono.

Simon zmarszczył brwi.

– Myślałem, że wy nie miewacie takich ran.

– Włożyłem pięść w okno – wyjaśnił Jace. – Alec leczy mnie jak Przyziemnego, żeby dać mi nauczkę. Powiedziałem ci prawdę. Jesteś pod wrażeniem?

– Nie. Mam większe problemy niż ty. Inkwizytor wciąż zadaje mi pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć. Oskarża mnie, że moc Chodzącego za Dnia mam od Valentine’a. Albo że szpieguję dla niego.

W oczach Jace’a błysnął niepokój.

– Aldertree tak powiedział?

– Sugeruje, że całe Clave tak uważa.

– Będzie źle, jeśli uznają cię za szpiega. Wtedy nie obowiązują Porozumienia. Zwłaszcza kiedy stwierdzą, że złamałeś Prawo. – Jace rozejrzał się szybko i wrócił spojrzeniem do Simona.

– Lepiej się stąd wynośmy.

– A potem co? – Simon nie mógł uwierzyć, że mówi takie rzeczy. Bardzo chciał się stąd wydostać, ale nie potrafił powstrzymać słów wypadających z jego ust. – Gdzie zamierzasz mnie ukryć?

– W Gard jest Brama. Jeśli ją znajdziemy, mogę odesłać cię z powrotem...



– I wszyscy będą wiedzieli, że mi pomogłeś. Clave chodzi nie tylko o mnie. Właściwie wątpię, czy w ogóle interesuje ich jakiś Podziemny. Próbują udowodnić, że Lightwoodowie są nadal powiązani z Valentine’em. Że wcale nie opuścili Kręgu.

Nawet w ciemności można było dostrzec, że na policzki Jace’a wypływa rumieniec.

– Ależ to niedorzeczne! Przecież walczyli z Valentine’em na statku, Robert omal nie zginął...

– Inkwizytor uważa, że poświęcili innych Nefilim, którzy walczyli na statku, by pokazać, że są przeciwko Valentine’owi. Jednak stracili Miecz Anioła, a właśnie na nim Valentine’owi zależało. Posłuchaj, próbowałeś ostrzec Clave, a oni to zlekceważyli. Jeśli Inkwizytorowi uda się napiętnować twoją rodzinę jako zdrajców, nikt nie będzie winił Clave za to, co się stało, a on będzie mógł prowadzić swoją politykę bez żadnego sprzeciwu.

Jace ukrył twarz w dłoniach, długie palce zanurzył we włosach.

– Ale ja nie mogę cię tutaj zostawić. Jeśli Clary się dowie...

– Powinienem był się domyślić, że to jest twoje główne zmartwienie. – Simon zaśmiał się ochryple. – Więc nic jej nie mów. I tak jest w Nowym Jorku, dzięki... – Urwał raptownie. – Miałeś rację. Cieszę się, że jej tu nie ma.

Jace uniósł głowę.

– Co?

– Clave jest szalone. Kto wie, co by jej zrobili, gdyby wiedzieli, co potrafi. Miałeś rację – powtórzył Simon, a kiedy Jace milczał, dodał: – I ciesz się, że tak powiedziałem, bo pewnie nigdy więcej tego ode mnie nie usłyszysz.

Jace gapił się na niego pustym wzrokiem, a Simonowi przypomniał się nieprzyjemny widok, kiedy Nocny Łowca leżał zakrwawiony i umierający na metalowej podłodze statku.

– Więc mówisz, że zamierzasz tu zostać? – zapytał w końcu Jace. – W więzieniu? Do kiedy?

– Aż wymyślimy coś lepszego – odparł Simon. – Jest jeszcze jedna sprawa.

Jace uniósł brwi.

– Jaka?

– Krew. Inkwizytor próbuje mnie zagłodzić, żebym zaczął mówić. Już czuję się osłabiony. Do jutra... cóż, nie wiem, jak ze mną będzie. Ale nie chcę mu ulec. I nie wypiję

znowu twojej krwi ani niczyjej innej – dodał szybko, zanim Jace zdążył mu to zaproponować. – Zwierzęca wystarczy.

– Mogę ją zdobyć. – Jace się zawahał. – Czy... powiedziałaś Inkwizytorowi, że piłeś moją krew? Że cię uratowałem?

Simon pokręcił głową.

Oczy Jace'a zabłyśły odbitym światłem.

– Dlaczego?

– Pewnie nie chciałem pakować cię w większe kłopoty.

– Posłuchaj, wampirze. Chroń Lightwoodów, jeśli dasz radę. Ale nie chroń mnie.

– Dlaczego? – zapytał Simon.

– Bo...

Przez chwilę, patrząc przez kraty, Simon niemal mógł sobie wyobrazić, że jest na zewnątrz, a Jace w celi.

– Bo na to nie zasługuję.

\*\*\*

Clary obudził jakiś dźwięk – jakby o metalowy dach bębnił grad. Usiadła na łóżku i rozejrzała się zaspana. Od okna znowu dobiegło głośnie grzechotanie. Clary niechętnie odrzuciła koc i wstała z łóżka. Kiedy otworzyła okno, do środka wpadło chłodne powietrze i przeszło ją na wskroś. Clary zadrżała i wychyliła się przez parapet.

Ktoś stał na dole w ogrodzie. Zadudniło jej serce, kiedy zobaczyła smukłą, wysoką postać z rozczochranymi włosami. Potem ten ktoś uniósł głowę i Clary stwierdziła, że te włosy są ciemne.

I po raz drugi w ostatnim czasie uświadomiła sobie, że oczekiwała Jace'a, a w zamian dostała Sebastiana.

Trzymał w ręce garść kamyków. Uśmiechnął się, kiedy ją zauważył, wskazał na siebie i potem na kratownicę z różami. „Zejdź na dół”.

Clary pokręciła głową i wskazała na front domu. „Spotkajmy się przy drzwiach”.

Zamknęła okno i popędziła do schodów. Był późny ranek, przez okna wlewało się złote światło, ale w domu panowała cisza. Amatis pewnie jeszcze śpi, pomyślała.

Podeszła do frontowych drzwi i odsunęła zasuwę. Sebastian stał na najwyższym stopniu. Clary znowu odniosła to dziwne wrażenie, że skądś go zna, choć tym razem słabsze. Uśmiechnęła się do niego blado.

– Rzucałeś kamieniami w moje okno – powiedziała. – Myślałam, że ludzie robią tak tylko na filmach.

Sebastian uśmiechnął się szeroko.

– Ładna piżama. Obudziłem cię?

– Może.

– Przepraszam. – Nie wyglądał jednak na skruszonego. – Niestety, ta sprawa nie mogła czekać. A tak przy okazji, pobiegnij na górę i ubierz się, dobrze? Spędzimy cały dzień razem.

– O rany! Pewności siebie ci nie brakuje, co? – skomentowała Clary. Z drugiej strony, chłopcy o wyglądzie Sebastiana pewnie nie mieli powodów do nieśmiałości. Potrząsnęła głową.

– Przykro mi, ale nie mogę wyjść z domu. Nie dzisiaj.

Między brwiami Sebastiana pojawiła się lekka zmarszczka.

– Wczoraj wyszłaś.

– Wiem, ale to było, zanim.... – Zanim Amatis sprawiła, że poczułam się dwa cale wyżej. – Po prostu nie mogę. I, proszę, nie próbuj mnie przekonywać, dobrze?

– Dobrze. Nie będę cię namawiał. Ale przynajmniej powiem ci, z czym przyszedłem. Obiecuję, że potem sobie pójdę, jeśli nadal będziesz tego chciała.

– O co chodzi?

Gdy na nią spojrział, Clary się zdziwiła, jak to możliwe, że jego ciemne oczy jarzą się jak złote.

– Wiem, gdzie możesz znaleźć Ragnora Fella.

\*\*\*

Niecałe dziesięć minut zabrało Clary wbiegnięcie na górę, ubranie się, nabazgranie krótkiego liściku do Amatis i dołączenie do Sebastiana, który czekał na nią na brzegu kanału. Uśmiechnął się szeroko, kiedy przybiegła do niego zdyszana, z zielonym płaszczem przerzuconym przez ramię.

– Jestem – powiedziała, zatrzymując się gwałtownie. – Możemy iść?

Sebastian uparł się, że pomoże jej z okryciem.

– Nie sędzę, żeby ktoś wcześniej podawał mi płaszcz – stwierdziła Clary, uwalniając włosy, który uwięzły jej pod kołnierzem. – No, chyba że kelnerzy. Byłeś kiedyś kelnerem?

– Nie, ale zostałem wychowany przez Francuzkę – przypomniał Sebastian. – A to oznacza niezłe przeszkolenie.

Mimo zdenerwowania Clary się uśmiechnęła. Sebastian potrafił mnie rozbawić, zauważyła z lekkim zaskoczeniem.

– Dokąd idziemy? – spytała. – Dom Fella jest gdzieś blisko?

– Właściwie on mieszka za miastem – odparł Sebastian, ruszając w stronę mostu.

– To daleko?

– Za daleko, żeby iść pieszo. Będziemy musieli podjechać.

– Podjechać? Czym? – Clary się zatrzymała. – Musimy być ostrożni. Nie możemy zaufać nikomu ani zdradzić się, co robimy... co ja robię. To tajemnica.

Sebastian zmierzył ją wzrokiem.

– Przysięgam na Anioła, że przyjaciel, który nas podwiezie, nie piśnie nikomu ani słowa.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie.

Ragnor Fell, pomyślała Clary, kiedy szli zatłoczonymi ulicami. Idę na spotkanie z Ragnorem Fellem. Jej dzikie podniecenie mieszało się z lękiem. Ze słów Madeleine wynikało, że to straszny człowiek. A jeśli nie będzie miał dla niej cierpliwości ani czasu? A jeśli ona nie zdoła go przekonać, że jest tą osobą, za którą się podaje? A jeśli on nawet nie pamięta jej matki?

Nie pomagało jej, że za każdym razem, kiedy mijali jasnowłosego mężczyznę albo dziewczynę o długich ciemnych włosach, jej serce podskakiwało. Zaraz jednak nakazywała sobie spokój i myślała ponuro, że Isabelle pewnie by ją zignorowała, a Jace na pewno był u Penhallowów i obściskiwał się z nową dziewczyną.

– Martwisz się, że jesteśmy śledzeni? – zapytał Sebastian, kiedy skręcili w boczną uliczkę. Najwyraźniej zauważył, że Clary wciąż ogląda się za siebie.

– Wciąż mi się wydaje, że widzę znajome osoby – przyznała Clary. – Jace'a albo Lightwoodów.

– Jace chyba w ogóle nie wychodził od Penhallowów, odkąd tam się zjawił. Przeważnie siedzi w swoim pokoju. W dodatku wczoraj wieczorem niezłe zranił się w rękę...

– Zranił się w rękę? Jak? – Clary potknęła się o kamień. Droga, którą szli, zmieniła się z brukowanej w żwirową, a ona nawet tego nie zauważyła. – Au!

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Sebastian, zatrzymując się przed wysokim płotem z drewna i siatki.

Nie wiadomo kiedy zostawili za sobą dzielnicę mieszkaniową. W okolicy nie było widać żadnych domów, tylko płot po jednej stronie, a po drugiej żwirowe zbocze opadające w stronę lasu.

Furtka w płocie była zamknięta na kłódkę. Sebastian wyjął z kieszeni ciężki stalowy klucz i otworzył nim bramkę.

– Zaraz wracam.

Clary przyłożyła oko do sztachet i dostrzegła niską budowlę wyłożoną czerwonymi deskami, ale bez drzwi i okien...

Furtka się otworzyła i stanął w niej Sebastian, uśmiechnięty od ucha do ucha. W ręce trzymał wodze. Za nim stąpał potulnie wielki szarobiały koń z gwiazdą na czole.

– Koń? Twój? – Clary gapiała się na niego ze zdumieniem.

Sebastian czule pogłaskał zwierzę po grzbiecie.

– Wiele rodzin Nocnych Łowców z Alicante trzyma konie w stajniach. Jak pewnie zauważyłaś, w Idrisie nie ma samochodów. Wszelkie urządzenia źle działają przy tyłu czarach ochronnych. – Poklepał skórzane siodło ozdobione herbem, który przedstawiał węża wodnego wynurzającego się z jeziora. Pod nim widniało skreślone delikatnym pismem nazwisko Verlac. – Wsiadaj.

Clary się cofnęła.

– Nigdy w życiu nie jeździłam konno.

– Ja będę prowadził Wędrowca – uspokoił ją Sebastian. – Ty będziesz tylko siedzieć przede mną.

Koń parsknął cicho. Miał wielkie zęby. Zaniepokojona Clary wyobraziła sobie, że te zębiska zagłębiają się w jej nodze. Pomyślała o dziewczynach ze szkoły średniej, które chciały mieć kucyka. Musiały być szalone.

Bądź dzielna, przykazała sobie. Twoja matka by nie stchórzyła.

Wzięła głęboki wdech.

– Dobrze. Jedźmy.

\*\*\*

W postanowieniu, żeby być dzielną, wytrzymała do chwili, kiedy Sebastian, pomógłszy jej wsiąść na siodło, usadowił się za nią i wbił pięty w boki konia. Wędrowiec wystrzelił jak z procy i dudniąc kopytami, popędził zwirową drogą. Od wstrząsów Clary aż rozboleł kręgosłup. Chwyciła się łęku z taką siłą, że zostawiła na skórze ślady paznokci.

Gdy wyjechali z miasta, droga się zwężyła, po obu jej stronach gęsto rosły drzewa, ściany zieleni zasłaniające widok. Sebastian ściągnął wodze, koń przestał galopować jak szalony, serce Clary zwolniło, a ona sama wyraźnie uświadomiła sobie bliskość chłopca. Trzymał ręce po obu jej bokach, tworząc wokół niej coś w rodzaju klatki, żeby się nie bała, że zaraz spadnie. Nagle poczuła nie tylko twardość i siłę jego ramion, ale również tors, o który opierała się plecami. Pachniał czarnym pieprzem, nie mydłem i słońcem jak Jace, ale korzennie i całkiem przyjemnie. Słońce co prawda nie miało zapachu, ale gdyby było inaczej...

Zacisnęła zęby. Była z Sebastianem, w drodze do potężnego czarownika, a myślami błądziła przy Jasie. Zmusiła się do rozejrzenia wokół siebie. Zielony szpaler przeredził się, tak że teraz mogła podziwiać krajobraz po obu stronach. Był piękny na swój surowy sposób: dywan zieleni przecięty tu i ówdzie blizną z szarego kamienia albo czarnej skały wyrastającej z trawy. Kępy delikatnych białych kwiatów, takich samych jak te, które widziała na cmentarzu, pokrywały wzgórza jak śnieg.

– Jak się dowiedziałeś, gdzie można znaleźć Ragnora Fella? – spytała nagle.

– Od mojej cioci Elodie. Ma niezłą sieć informatorów. Zawsze wie, co dzieje się w Idrisie, choć sama nigdy tutaj nie przyjeżdża. Nienawidzi opuszczać Instytutu.

– A ty? Często przyjeżdżasz do Idrisu?

– Nie. Ostatnim razem byłem w Alicante w wieku pięciu lat. Od tamtej pory nie widziałem również cioci i wujka, więc się cieszę, że znowu tu jestem. Mam okazję nadrobić zaległości. Poza tym tęskniłem za Idrisem. Nie ma drugiego takiego miejsca na świecie. Kiedy się o tym przekonasz, też będziesz tęsknić.

– Wiem, że Jace tęsknił. Ale myślałam, że to dlatego, że tutaj się wychował i mieszkał przez wiele lat.

– W rezydencji Waylandów – powiedział Sebastian. – Niedaleko miejsca, do którego jedziemy.

– Wygląda na to, że wiesz wszystko.

– Nie wszystko. – Gdy Sebastian się roześmiał, Clary poczuła wibracje na plecach. – Idris działa na wszystkich, nawet na tych, którzy, jak Jace, mają powód, żeby go nienawidzić.

– Dlaczego tak uważasz?

– Został wychowany przez Valentine’a, prawda? To musiało być okropne.

– Nie wiem. – Clary się zawahała. – Prawda jest taka, że Jace ma mieszane uczucia. Myślę, że Valentine był strasznym ojcem pod pewnymi względami, a z drugiej strony, tę odrobinę miłości i dobroci, których Jace zaznał w życiu, dostał właśnie od niego. – Nagle ogarnął ją smutek. – Sądzę, że przez długi czas dobrze wspominał Valentine’a.

– Nie mogę uwierzyć, że Valentine kiedykolwiek okazywał Jace’owi miłość czy dobroć. To potwór.

– Tak, ale Jace jest jego synem. A wtedy był tylko małym chłopcem. Myślę, że Valentine kochał go na swój sposób...

– Nie – przerwał jej Sebastian ostrym tonem. – Uważam, że to niemożliwe.

Zaskoczona Clary omal nie odwróciła głowy, by na niego spojrzeć. Wiedziała jednak, że wszyscy Nocni Łowcy – pomyślała o Inkwizytorce i zadrżała w duchu – są trochę przewrażliwienia na punkcie Valentine’a. I nic dziwnego.

– Pewnie masz rację.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił nagle Sebastian i zeskoczył z konia.

Clary przez chwilę myślała, że czymś go obraziła, ale kiedy na nią spojrział, jego twarz rozjaśniał uśmiech.

– Mamy dobry czas. – Przywiązał wodze do najbliższego drzewa. – Lepszy, niż sądziłem.

Dał jej znak, żeby zsiadła. Po krótkiej chwili wahania Clary zsunęła się z siodła prosto w jego ramiona. Złapała się go kurczowo, bo po długiej jeździe niezbyt pewnie trzymała się na nogach.

– Przepraszam – wykrztusiła zawstydzona.

– Ja bym za to nie przeproszał. – Ciepłym oddechem musnął jej szyję, aż zadrżała. Zostawił dłonie chwilę dłużej na jej plecach, zanim niechętnie je opuścił.

To wszystko sprawiło, że Clary nadal miała nogi jak z waty.

– Dzięki – bąknęła, zła na siebie, że się rumieni, bo na jej jasnej skórze od razu było to widać. – Więc to tutaj? – Rozejrzała się. Znajdowali się w małej dolinie między niskimi

wzgórzami. Wokół rosły karłowate drzewa. Ich powykręcane gałęzie wyglądały jak rzeźby na tle stalowoniebieskiego nieba. Ale poza tym... – Tu nic nie ma – stwierdziła Clary, marszcząc brwi.

– Skup się.

– Masz na myśli czary? Ale ja zwykle nie muszę...

– Czary w Idrisie są silniejsze niż gdzie indziej. Trzeba się postarać bardziej niż zwykle. – Położył dłonie na jej ramionach i obrócił ją łagodnie. – Spójrz na polanę.

Clary wykonała w milczeniu mentalną sztuczkę, która pozwalała zdjąć czar z otaczającej ją rzeczywistości. Wyobraziła sobie, że rozciera terpentynę na płótnie, usuwa kolejne warstwy farby, odsłania prawdziwy obraz znajdujący się pod spodem. Po chwili ujrzała mały kamienny dom ze spadzistym dachem. Z komina snuł się dym. Do frontowych drzwi prowadziła kręta ścieżka wyłożona po obu stronach kamieniami. Na oczach Clary dym zaczął przybierać kształt falującego czarnego znaku zapytania.

Sebastian się roześmiał.

– Chyba to znaczy: „Kto tam?”.

Clary mocniej otuliła się płaszczem. Wiatr wiejący przez trawiastą równinę, nie był chłodny, ale poczuła lód w kościach.

– Wygląda jak chatka z bajki.

– Zimno ci?

Objął ją ramieniem. Tymczasem zamiast pytajnika z komina buchnęły lekko wykrzywione serca. Clary odsunęła się od Sebastiana. Czuła się zakłopotana i winna, jakby robiła coś złego.

Ruszyła ścieżką w stronę domu. Byli w połowie drogi, kiedy drzwi się otworzyły.

Od chwili, kiedy Madeleine powiedziała jej o Ragnorze Fellu, Clary miała obsesję na punkcie odnalezienia go, ale nie traciła czasu na wyobrażanie sobie, jak on może wyglądać. Gdyby w ogóle o tym myślała, założyłaby, że jest dużym mężczyzną w typie wikinga, brodatym i szerokim w barach.

Człowiek, który stanął w drzwiach, był wysoki i chudy, i miał krótkie, ciemne, nastroszone włosy. Miał na sobie złoty siatkowy podkoszulek i jedwabne spodnie od pizamy. Z umiarkowanym zainteresowaniem zmierzył Clary wzrokiem, pykając z ogromnej fajki. Wcale nie przypominał wikinga, ale od razu wydał się jej znajomy.

Magnus Bane.



– Ale... – Sebastian wydawał się równie zdumiony jak Clary. Gapił się na Magnusa z lekko otwartymi ustami i konsternacją na twarzy. W końcu wymamrotał:

– Ragnor Fell? Czarownik?

Magnus wyjął fajkę z ust.

– Na pewno nie tancerz egzotyczny Ragnor Fell.

– Ja... – Sebastianowi najwyraźniej zabrakło słów. Clary nie była pewna, czego się spodziewał, ale Magnus rzeczywiście robił wrażenie. – Mieliśmy nadzieję, że pan nam pomoże. Jestem Sebastian Verlac, a to Clarissa Morgenstern. Jej matka to Jocelyn Fairchild...

– Nie obchodzi mnie, kto jest jej matką – przerwał mu Magnus. – Nie można się ze mną zobaczyć bez umówienia. Przyjdźcie później. Najlepiej w marcu za rok.

– W marcu? – wykrztusił Sebastian.

– Masz rację, zbyt deszczowo – powiedział Magnus. – Co powiesz na czerwiec?

– Chyba nie rozumie pan, jakie to ważne...

– Sebastianie, daj spokój – wtrąciła się Clary ze zniecierpliwieniem. – On po prostu miesza ci w głowie. I tak nie może nam pomóc.

Chłopak zrobił jeszcze bardziej zdezorientowaną minę.

– Ale nie rozumiem, dlaczego...

– No, dobrze, wystarczy. – Magnus pstryknął palcami.

Sebastian zamarł z otwartymi ustami i wyciągniętą ręką.

– Sebastian! – Clary dotknęła go, ale był nieruchomy jak posąg. Tylko lekkie unoszenie się i opadanie piersi świadczyło, że jeszcze żyje. – Sebastian? – powtórzyła, choć wiedziała, że on jej nie widzi ani nie słyszy. Odwróciła się do Magnusa. – Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. Co ty wyprawiasz, do licha? Czy to, co jest w fajce, roztopiło ci mózg? Sebastian jest po naszej stronie.

– Ja nie stoję po niczyjej stronie, Clary, skarbie – oświadczył Magnus, machając fajką. – I tak naprawdę to twoja wina, że musiałem na chwilę go zamrozić. Omal mu nie powiedziałaś, że nie jestem Ragnorem Fellem.

– Bo nie jesteś Ragnorem Fellem.

Magnus wydychnął dym i zmierzył ją wzrokiem przez rzadką mgiełkę.

– Chodź. Pokażę ci coś.

Otworzył drzwi małego domku i gestem zaprosił ją do środka. Clary rzuciła ostatnie spojrzenie Sebastianowi i ruszyła za Magnusem.

W domu panował półmrok. Przez okna sączył się nikły dzienny blask, który nie rozpraszał cieni zalegających w kątach dużego pokoju. W powietrzu unosił się dziwny zapach, jakby palonych śmieci. Clary zaczęła się krztusić. Magnus ponownie pstryknął palcami i z ich czubków buchnęło jasnoniebieskie światło.

Clary omal nie krzyknęła. Pokój był zdemolowany: meble w drzazgach, wysunięte szuflady, ich zawartość rozrzucona na podłodze, okno rozbite. Wszędzie wały się kartki wyrwane z książek.

– Zeszłej nocy dostałem wiadomość od Fella – powiedział Magnus. – Prosił mnie o spotkanie. Gdy się tu zjawiłem, zastałem to. Wszystko zniszczone, w powietrzu odór demonów.

– Demonów? Przecież demony nie mogą wchodzić do Idrisu...

– Nie powiedziałem, że weszły do Idrisu – przerwał jej rzeczowym tonem Magnus. – Mówię tylko, że w środku cuchnęło czymś demonicznym. Na podłodze leżało ciało Ragnora. Nie był martwy, kiedy go zostawiali, ale już nie żył, gdy ja przybyłem. Kto wiedział, że go szukasz?

– Madeleine – wyszeptała Clary. – Ale ona nie żyje. Sebastian, Jace i Simon. Lightwoodowie...

– Aha – mruknął Magnus. – Skoro wiedzą Lightwoodowie, do tej pory może już wiedzieć Clave, a Valentine ma w Clave szpiegów.

– Powinam zachować tajemnicę, zamiast wszystkich o niego rozpytywać – stwierdziła z przerażeniem w głosie Clary. – To moja wina. Powinam była ostrzec Fella...

– Przypomnę ci, że nie mogłaś znaleźć Fella i właśnie dlatego pytałaś o niego ludzi. Posłuchaj, dla Madeleine i dla ciebie Fell był człowiekiem, który potrafiłby pomóc twojej matce, a nie obiektem zainteresowania Valentine'a. Jest jednak coś więcej. Valentine nie ma pojęcia, jak obudzić Jocelyn, ale najwyraźniej wie, że znalazła się w takim stanie w związku z czymś, czego on bardzo pragnie. Chodzi o pewną księgę czarów.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytała Clary.

– Bo Ragnor mi powiedział.

– Ale...

Magnus uciszył ją gestem.

– Czarownicy mają swoje sposoby komunikowania się, własny język. – Uniósł rękę. – Logos.

Na ścianach pojawiły się litery z płomieni, każdy o wysokości co najmniej sześciu cali, jakby zostały wryte w kamieniu płynnym ogniem. Po chwili ułożyły się w słowa, których Clary nie potrafiła odczytać. Odwróciła się do Magnusa.

– Co to znaczy?

– Te słowa napisał Ragnor, kiedy zrozumiał, że umiera. One wyjaśniają, co się stało. – Blask płonących liter rozświetlił kocie oczy Magnusa na złoto. – Został zaatakowany przez sługi Valentine’a, domagające się Białej Księgi. Oprócz Szarej Księgi jest to jeden z najsłynniejszych woluminów na temat zjawisk nadnaturalnych. Znajduje się w niej zarówno recepta na wywar, który wypła Jocelyn, jak i przepis na antidotum.

Clary rozdziawiła usta.

– Więc księga była tutaj?

– Nie. Należała do twojej matki. Ragnor jedynie doradził jej, gdzie ją ukryć przed Valentine’em.

– Więc...

– Jest w wiejskiej rezydencji Waylandów, bardzo blisko miejsca, gdzie mieszkali Jocelyn i Valentine. Waylandowie byli ich najbliższymi sąsiadami. Ragnor zaproponował, żeby twoja matka ukryła księgę w ich domu, bo tam Valentine na pewno by jej nie szukał. A dokładniej, w bibliotece.

– Ale przecież Valentine mieszkał potem przez lata w rezydencji Waylandów – przypomniała Clary. – Nie znalazłby jej?

– Była ukryta w innej książce. Takiej, po którą Valentine nigdy by nie sięgnął. – Magnus uśmiechnął się krzywo. – „Proste przepisy dla pań domu”. Trzeba przyznać, że twoja matka miała poczucie humoru.

– Więc poszedłeś do rezydencji Waylandów? Szukałeś księgi?

Magnus pokręcił głową.

– Clary, teren posiadłości chronią silne czary, które zatrzymują i wprowadzają w błąd wszystkich, ale w szczególności Podziemnych. Może gdybym miał czas nad nimi popracować...

– Więc nikt nie może wejść do rezydencji? – Rozpacz ścisnęła pierś Clary.

– Nie powiedziałem, że nikt. Przychodzi mi do głowy co najmniej jedną osobą, która mogłaby dostać się do tamtego domu.

– Masz na myśli Valentine’a?

– Mam na myśli syna Valentine’a.

Clary pokręciła głową.

– Jace mi nie pomoże. On mnie tutaj nie chce. Wątpię, czy w ogóle chciałby ze mną rozmawiać.

Magnus popatrzył na nią w zamyśleniu.

– Myślę, że nie ma takiej rzeczy, której Jace by dla ciebie nie zrobił, gdybyś go poprosiła.

Clary otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Pomyślała, że Magnus zawsze wiedział, co Alec czuje do Jace’a, a Simon do niej. Własne uczucia do Jace’a musiała mieć wypisane na twarzy, a Bane umiał z niej czytać. Odwróciła wzrok.

– Powiedzmy, że przekonam Jace’a, żeby wszedł ze mną do rezydencji i poszukał książki.

I co potem? Nie umiem rzucać czarów ani robić antidotum...

Magnus prychnął.

– Myślałaś, że udzielam ci tych wszystkich rad za darmo? Gdy już zdobędziesz Białą Księgę, chcę, żebyś od razu mi ją przyniosła.

– Chcesz ją dla siebie?

– To jedna z najpotężniejszych ksiąg czarów na świecie. Oczywiście, że ją chcę. Poza tym zgodnie z prawem ona należy do dzieci Lilith, a nie Razjela. To księga czarowników i powinna trafić w ręce czarownika.

– Ale ja jej potrzebuję, żeby wyleczyć matkę...

– Potrzebujesz z niej tylko jednej strony i możesz ją zatrzymać. Reszta jest moja. A w zamian ja przygotuję antidotum i zaaplikuję je Jocelyn. Nie zarzucisz mi, że to nieuczciwa umowa. – Wyciągnął rękę. – Zgoda?

Clary uścisnęła ją po chwili wahania.

– Lepiej, żebym tego nie żałowała.

– Mam nadzieję, że nie pożałujesz – rzekł Magnus z zadowoleniem i ruszył do drzwi. Ogniste litery na ścianach już zaczynały blednąć. – Żal to takie bezsensowne uczucie, nie sądzisz?

Po półmroku panującym w domu blask słońca wydawał się szczególnie silny. Clary mrugała przez chwilę, zanim odzyskała ostrość widzenia. W oddali majaczyły góry, Wędrowiec spokojnie skubał trawę, Sebastian stał z wyciągniętą ręką nieruchomo jak posąg.

– Mógłbyś go rozmrozić? – poprosiła Magnusa.

– Byłem zaskoczony, kiedy dostałem dziś rano wiadomość od Sebastiana, że zamierza wyświadczyć ci przysługę – powiedział z rozbawieniem Bane. – Jak go poznałeś?

– To kuzyn przyjaciół Lightwoodów albo ktoś w tym rodzaju. Jest miły, zapewniam cię.

– Miły, też coś! – prychnął Magnus, spoglądając marzycielsko w stronę Sebastiana. – Jest wspaniały. Powinnaś go tu zostawić. Mógłbym wieszać na nim kapelusz i inne rzeczy.

– Nie możesz go mieć.

– Dlaczego? Lubisz go? – Oczy Magnusa się rozjarzyły. – Zdaje się, że ty bardzo mu się podobasz. Widziałem, jak sięgał po twoją rękę. Zupełnie jak wiewiórka po orzech.

– Może porozmawiamy o twoim życiu miłosnym? – zaproponowała Clary. – Co z tobą i Alekiem?

– Alec odmawia przyjęcia do wiadomości, że coś nas łączy, więc ja nie przyjmuję do wiadomości jego istnienia. Niedawno przysłał mi ognistą wiadomość z prośbą o przysługę. Była adresowana do „czarownika Bane’a”, jak do kogoś obcego. Nadal czeka na Jace’a, choć ten związek nie ma przyszłości. Ale o takich problemach zapewne nie masz pojęcia...

– Och, zamknij się wreszcie. – Clary zmierzyła go wzrokiem. – Posłuchaj, jeśli nie rozmroczysz Sebastiana, nie będę mogła stąd odjechać, a ty nigdy nie dostaniesz Białej Księgi.

– No, dobrze, już dobrze. Ale mogę mieć do ciebie prośbę? Nie powtarzaj mu tego, co ci mówiłem, nieważne, czy jest przyjacielem Lightwoodów, czy nie. – Magnus z rozdrażnieniem pstryknął palcami.

Sebastian ożył jak na filmie wideo puszczonego po pauzie.

– ...nam pomóc. To nie jest jakiś drobny kłopot, tylko sprawa życia i śmierci.

– Wy, Nefilim, myślicie, że wszystkie wasze problemy to kwestia życia i śmierci – stwierdził Magnus. – Idź już sobie. Zaczynasz mnie nudzić.

– Ale...

– Idź – powtórzył Magnus z groźną nutą w głosie.

Z końców jego palców sypnęły się iskry, w powietrzu nagle rozszedł się ostry zapach, jakby spalenizny. Kocie oczy Magnusa zabłyśły. Choć Clary wiedziała, że to gra, nie zdołała się powstrzymać przed cofnięciem o krok.

– Chyba powinniśmy już iść, Sebastianie – stwierdziła.

Sebastian zmrużył oczy.

– Ale...

– Idziemy – rzuciła zdecydowanym tonem Clary.

Chwyliła go za ramię i pociągnęła w stronę Wędrowca. Sebastian niechętnie podążył za nią, mamrocząc coś pod nosem. Z westchnieniem ulgi Clary obejrzała się przez ramię. Magnus stał w drzwiach domu, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Dostrzegłszy jej spojrzenie, uśmiechnął się szeroko i mrugnął do niej.

\*\*\*

– Przepraszam, Clary. – Sebastian położył jedną rękę na jej ramieniu, drugą na talii, i pomógł jej dosiąść Wędrowca.

Clary uciszyła cichy głos w głowie, który ostrzegał ją, żeby nie wsiadała na konia. Przerzuciła nogę przez koński grzbiet i usadowiła się w siodle, wmawiając sobie, że balansuje na dużej, ruchomej kanapie, a nie na żywym stworzeniu, które w każdej chwili może się odwrócić i ugryźć ją w łydkę.

– Za co? – spytała, kiedy Sebastian usiadł za nią.

Irytująca była łatwość, z jaką to zrobił, ale jednocześnie ta swoboda dodawała otuchy. Najwyraźniej wie, co robi, pomyślała, kiedy, trzymając wodze, objął ją. Dobrze, że chociaż jedno z nich znało się na rzeczy.

– Za Ragnora Fella. Nie spodziewałem się, że będzie taki niechętny do pomocy. Chociaż czarownicy są kapryśni. Poznałaś już jednego, prawda?

– Tak, Magnusa Bane'a. – Clary obejrzała się na domek niknący w oddali. Z komina buchał dym w kształcie małych tańczących postaci. Magnusów? Nie potrafiła stwierdzić z tej odległości. – Wysokiego Czarownika Brooklynu.

– Jest podobny do Fella?

– Bardzo. Nie przejmuj się Fellem. Brałam pod uwagę możliwość, że nie zgodzi się nam pomóc.

– Ale ja obiecałem, że ci pomogę. – Sebastian wydawał się naprawdę poruszony. – Cóż, przynajmniej mogę ci coś pokazać, więc nasza wyprawa nie będzie kompletną stratą czasu.

– Co takiego? – Clary odwróciła głowę i na niego spojrzała. Słońce stało wysoko na niebie, barwiąc pasma jego ciemnych włosów na złoto.

Sebastian uśmiechnął się szeroko.

– Zobaczysz.

\*\*\*

W miarę jak oddalali się od Alicante, ściany zieleni po obu stronach drogi rzedyły, tak że coraz częściej ukazywał się ich oczom piękny krajobraz: niebieskie jeziora, zielone doliny, szare góry, srebrne wstęgi rzek i strumieni o brzegach porośniętych kwiatami. Clary zastanawiała się, jak to by było mieszkać w takim miejscu, bez wysokich budynków otaczających ją ze wszystkich stron. Nie chodziło o to, że nie było tutaj żadnych budowli – tu i ówdzie nad drzewami wyrastał dach dużego kamiennego domu. Sebastian wyjaśnił jej, krzyżąc do ucha, że są to wiejskie rezydencje bogatych rodzin Nocnych Łowców. Przypominały wielkie stare kamienice stojące wzdłuż Hudsonu w północnej części Manhattanu, gdzie zamożni nowojorczyki przed wielu laty spędzali letnie miesiące.

Droga zmieniła się ze żwirowej w gruntową. Clary została wyrwana z rozmyślań, kiedy wspięli się na wzgórze i Sebastian zatrzymał Wędrowca.

– To jest właśnie to – oznajmił.

Clary wytrzeszczyła oczy. „To” okazało się bezładną masą osmalonych kamieni układających się w zarys domu. Pusty komin sterczał w niebo, w innym miejscu zachował się kawałek muru z oknami bez szyb. Szerniałe fundamenty były porośnięte zielonymi chwastami.

– Nie rozumiem – powiedziała Clary. – Po co tu przyjechaliśmy?

– Nie wiesz? – zdziwił się Sebastian. – Tutaj mieszkali twoi rodzice. Tu urodził się twój brat. To rezydencja Fairchildów.

Clary usłyszała w głowie głos Hodge'a. „Valentine rozniecił wielki pożar i spalił się razem ze swoją rodziną, żoną i dzieckiem. Wszystko obróciło się w popiół. Nikt tam nic nie zbuduje. Mówią, że ta ziemia jest przeklęta”.

Bez słowa zeskoczyła z końskiego grzbietu. Usłyszała, jak Sebastian ją woła, ale ona już biegła i po chwili zsuwała się z niskiego wzgórza. W miejscu, gdzie kiedyś stał dom, teren był

płaski. Pod nogami Clary miała szerniałe i popękane kamienie dawnej ścieżki. Wśród zielska dostrzegła schody kończące się raptownie kilka stóp nad ziemią.

– Clary...

Sebastian szedł za nią przez chwasty, ale ona nie zwracała na niego uwagi, tylko rozglądała się powoli, chłonąc widok.

Zobaczyła spalone, na pół martwe drzewa, ciągnący się w dół zbocza, niegdyś ocieniony trawnik, a w oddali, tuż nad linią drzew, dach sąsiedniej rezydencji. Słońce odbijało się od kawałków wybitych szyb w jedynym ocalałym fragmencie ściany. Clary weszła w ruiny po półce z osmalonych kamieni. Ujrzała zarys pokojów, drzwi, lekko nadpaloną, przewróconą szafkę. Wokół niej leżała roztrzaskana porcelana, zmieszana z czarną ziemią.

Kiedyś to był prawdziwy dom, zamieszkały przez żywych ludzi. Tutaj mieszkała jej matka, tutaj wyszła za męża, urodziła dziecko. A potem zjawił się Valentine i obrócił wszystko w zgłiszcza, zostawił ją ze świadomością, że jej syn nie żyje, doprowadził do tego, że ukrywała przed córką prawdę o tym świecie... Clary ogarnął wielki smutek. W tym miejscu zostało zniszczone więcej niż jedno życie. Dotknęła twarzy i niemal z zaskoczeniem stwierdziła, że jest mokra. Płakała, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Clary, przepraszam. Pomyślałem, że chciałabyś to zobaczyć. – Sebastian szedł do niej przez gruzowisko, wzbijając tumany popiołu. Wyglądał na zmartwionego.

– Chcę. Chciałam. Dziękuję.

Sebastian uśmiechnął się smutno. Wiatr zdmuchnął mu na twarz ciemne kosmyki.

– Trudno rozmyślać o tym wszystkim, co się tutaj stało, o Valentine, o twojej matce... Miała niesamowitą odwagę.

– Wiem – powiedziała Clary. – Miała. Ma.

Sebastian lekko dotknął jej twarzy.

– Ty też.

– Nic o mnie nie wiesz.

– To nieprawda. – Uniósł drugą rękę i objął jej twarz, delikatnie, prawie nieśmiało. – Dużo o tobie słyszałem, Clary. O tym, jak walczyłaś z ojcem o Kielich Anioła, jak poszłaś do hotelu wampirów po swojego przyjaciela. Isabelle opowiedziała mi te historie, ale dotarły do mnie również plotki. I od chwili, w której usłyszałem twoje imię, chciałem cię poznać. Wiedziałem, że okażesz się niezwykłą.



Clary zaśmiała się niepewnie.

– Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt rozczarowany.

– Nie – wyszeptał Sebastian, muskając palcami jej brodę. – Wcale nie.

Uniósł jej twarz. Clary była zbyt zaskoczona, żeby się poruszyć, nawet kiedy nachylił się ku niej, a ona uświadomiła sobie z opóźnieniem, co Sebastian robi. Odruchowo zamknęła oczy, kiedy jego wargi musnęły delikatnie jej usta, przyprawiając ją o dreszcz. Nagle zapragnęła być tulona i całowana, żeby mogła zapomnieć o wszystkim. Oplotła rękoma jego szyję, przyciągnęła go do siebie bliżej.

Włosy Sebastiana załaskotały ją w dłonie, nie tak jedwabiste jak u Jace'a, ale równie miękkie i delikatne. Nie powinna myśleć o Jasie. Odepchnęła od siebie jego obraz, gdy Sebastian powiodł palcami po owalu jej twarzy. Jego dotyk był delikatny mimo zgrubień na opuszkach. Jace miał na rękach takie same stwardnienia od walki. Pewnie wszyscy Nocni Łowcy je mieli...

Odpędziła myśl o Jasie czy też raczej próbowała to zrobić, niestety, bez powodzenia. Widziała go nawet, kiedy miała zamknięte oczy: ostre rysy jego twarzy, której nigdy nie potrafiła właściwie narysować, choć w jej umysł wrył się każdy jej szczegół. Pamiętała jego ręce, skórę ramion pokrytą bliznami...

Silna tęsknota, która zniecała ją ogarnęła, teraz zgasła równie raptownie. Clary zdrętwiała, choć usta Sebastiana napierały na jej wargi, a dłonie powędrowały na kark. Zdrętwiała, bo poczuła, że dzieje się coś niewłaściwego. Coś było nie w porządku i nie chodziło o beznadziejną tęsknotę za kimś, kogo nie mogła mieć. Nagle dopadło ją przerażenie, jakby zrobiła ufny krok do przodu i runęła w czarną otchłań.

Odsunęła się od Sebastiana tak gwałtownie, że omal się nie potknęła. Upadłaby, gdyby jej nie przytrzymał.

– Clary. – Jego oczy błyszczały, policzki były zarumienione. – Clary, co się stało?

– Nic. – Własny głos brzmiał słabo w jej uszach. – Nic... to tylko, powinienam... nie jestem jeszcze gotowa...

– Za daleko się posunęliśmy? Możemy zwolnić... – Wyciągnął do niej rękę, ale ona cofnęła się odruchowo. Sebastian zrobił zaskoczoną minę. – Nie zamierzam zrobić ci krzywdy, Clary.

– Wiem.

– Coś się stało? – Odgarnął jej włosy z twarzy. Clary zwalczyła impuls, żeby odskoczyć.

– Czy Jace...

– Jace? – Czyżby wiedział, że myślała o Jasie, potrafił to dostrzec? A jednocześnie... – Jace to mój brat. Dlaczego o nim wspomniałeś? Skąd przyszedł ci do głowy?

– Ja tylko pomyślałem... – Sebastian pokręcił głową. Na jego twarzy mieszały się ból i zmieszanie. – Że może ktoś cię skrzywdził.

Dłoń nadal trzymał na jej policzku. Clary zdjęła ją delikatnie, ale zdecydowanie.

– Nie. Nic z tych rzeczy. Ja tylko... – Zawahała się. – Poczułam, że to jest złe.

– Złe? – Uraza zniknęła z jego twarzy, zastąpiona przez niedowierzanie. – Clary, coś nas łączy. Wiesz, że tak. Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem...

– Sebastianie, nie...

– Poczułem, że jesteś kimś, na kogo zawsze czekałem. Zauważyłem, że ty też to czujesz. Nie mów mi, że nie.

Ale Clary czuła coś innego. Niezbyt miłe zaskoczenie, jakby w obcym mieście skręciła za róg i nagle zobaczyła tuż przed sobą własną kamienicę. „Skąd ona się tutaj wzięła?”

– Nie – powiedziała.

Gniew, który zabłysnął w jego oczach – nagły, mroczny, niekontrolowany – trochę ją przestraszył. Sebastian mocno chwycił ją za nadgarstki.

– To nieprawda.

Próbowała się cofnąć.

– Sebastianie...

– To nieprawda. – Czerń tęczynek niemal pochłonęła jego źrenice. Twarz była jak biała maska, sztywna i nieruchoma.

– Sebastianie – powtórzyła Clary, siłąc się na spokojny ton. – Sprawiasz mi ból.

Puścił ją. Jego pierś unosiła się i opadała szybko.

– Przepraszam – bąknął. – Przepraszam. Myślałem...

Cóż, myliłeś się, chciała powiedzieć, ale się powstrzymała. Obawiała się znowu ujrzeć ten dziwny wyraz na jego twarzy.

– Powinniśmy wracać – stwierdziła. – Wkrótce będzie ciemno.

Sebastian skinął głową w odrętwieniu. Wydawał się równie wstrząśnięty swoim wybuchem jak ona. Odwrócił się i ruszył do Wędrowca, który skubał trawę w cieniu drzewa.

Clary wahała się przez chwilę, a następnie poszła za nim. Nic innego nie mogła zrobić. Idąc, zerknęła na swoje nadgarstki. W miejscach, gdzie Sebastian je ścisnął, widniały na nich czerwone ślady. Co dziwniejsze, czubki palców miała zabarwione na czarno jak od atramentu.

Pomagając jej wsiąść na Wędrowca, Sebastian milczał.

– Przepraszam, że coś sugerowałem na temat Jace’a – powiedział w końcu, kiedy Clary usadowiła się w siodle. – On nigdy nie zrobiłby ci krzywdy. Wiem, że to ze względu na ciebie odwiedził wampira uwięzionego w Gard...

Clary poczuła się tak, jakby świat nagle się zatrzymał. Słyszała własny oddech, widziała swoje ręce znieruchomiałe na łąku siodła.

– Uwięzionego wampira? – powtórzyła szeptem.

Sebastian spojrzął na nią zaskoczony.

– Tak. Simona. Tego wampira, którego sprowadzili z Nowego Jorku. Myślałem... to znaczy, byłem pewien, że wiesz. Jace ci nie powiedział?

## Jeden z żywych

Simon obudził się, kiedy blask słońca odbił się od przedmiotu wciśniętego między kraty okna. Wstał, cały obolały i cierpiący z głodu, i zobaczył, że jest to metalowa butelka wielkości termosu. Do szyjki była przyczepiona karteczka. Simon zerwał ją, rozwinął i przeczytał:

*Simon. To jest krowia krew, świeża, prosto od rzeźnika. Mam nadzieję, że będzie dobra. Jace powtórzył mi, co mówileś. Uważam, że to jest bardzo odważne z twojej strony. Wytrzymaj, a my pomyślimy, jak Cię stamtąd wydostać.*XOXOXOXO IsabelleSimon uśmiechnął się na widok ciągu X i O u dołu kartki. Dobrze wiedzieć, że ekspresja Isabelle nie ucierpiała w trudnej sytuacji. Odkręcił butelkę i przełknął kilka łyków. Chwilę później nagle mrowienie na plecach kazało mu się odwrócić.

Pośrodku celi spokojnie stał Raphael. Ręce trzymał splecione za plecami, wątle ramiona miał sztywno wyprostowane. Był ubrany w wyprasowaną białą koszulę i ciemną marynarkę. Na jego szyi lśnił złoty łańcuch.

Simon omal nie zakrztusił się krwią. Przełknął ją głośno, wytrzeszczając oczy.

– Ty... ty nie możesz być tutaj.

Wydawało mu się, że Raphael obnażył w uśmiechu kły.

– Nie panikuj, Chodzący za Dnia.

– Nie panikuję.

To nie całkiem była prawda. Simon czuł się tak, jakby połknął coś ostrego. Nie widział Raphaela od nocy, kiedy zakrwawiony i posiniaczony wydostał się z pospiesznie wykopanego grobu w Queensie. Dobrze pamiętał, jak wbił zęby w woreczki ze zwierzęcą krwią, które rzucił mu Raphael. Zupełnie jakby sam był zwierzęciem. Wolałby o tym zapomnieć i nigdy więcej nie widzieć tego wampira.

– Słońce jeszcze świeci. Jak się tu dostałeś?

– Nie dostałem się. – Głos Raphaela był łagodny. – Jestem projekcją. Spójrz. – Machnął ręką tak, że przeszła przez kamienną ścianę. – Jestem jak dym. Nie mogę zrobić ci krzywdy. Oczywiście, ty również nic mi nie zrobisz.

– Nie chcę robić ci krzywdy. – Simon odstawił butelkę na pryczę. – Chcę wiedzieć, po co się tu zjawileś.

– Opuściłeś Nowy Jork tak nagle, Chodzący za Dnia. Zdajesz sobie sprawę, że powinieneś poinformować przywódcę wampirów ze swojego regionu, że opuszczasz miasto?

– Przywódcę wampirów? Masz na myśli siebie? Sądziłem, że szefem jest ktoś inny...

– Camille jeszcze do nas nie wróciła – odparł Raphael. – Ja ją teraz zastępuję. Wiedziałbyś o tym, gdybyś raczył zaznajomić się z prawami swojego gatunku.

– Opuśczenie Nowego Jorku nie było z góry przeze mnie zaplanowane. I, bez obrazy, ale nie sądzę, żebyś należał do mojego gatunku.

– *Dios*. – Raphael opuścił głowę, jakby skrywał rozbawienie. – Jesteś uparty.

– Jak możesz to mówić?

– To wydaje się oczywiste, nie sądzisz?

– Chodziło mi o... – Simonowi ścisnęło się gardło. – To słowo. Możesz je wymówić, a ja nie...

Raphael uniósł wzrok. Rzeczywiście był rozbawiony.

– Wiek i praktyka – powiedział. – A także wiara. Albo jej brak. Zresztą, pod pewnymi względami są tym samym. Nauczysz się z czasem, złotodziebie.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Ale tym właśnie jesteś. Dzieckiem Nocy. Czy nie dla twojej krwi Valentine cię złapał? Z powodu tego, kim jesteś?

– Wydajesz się całkiem dobrze poinformowany – stwierdził Simon. – Może ty powinieneś odpowiedzieć na to pytanie.

Raphael zmrużył oczy.

– Słyszałem również plotki, że wypileś krew Nocnego Łowcy i dzięki temu zyskałeś dar. Chodzenia w blasku słońca. To prawda?

Simonowi zjeżyły się włosy na głowie.

– To niedorzeczne. Gdyby krew Nocnych Łowców rzeczywiście dawała wampirom możliwość chodzenia w świetle dnia, wszyscy już dawno by o tym wiedzieli. Krew Nefilim

stałaby się bezcennym skarbem. I już nigdy nie byłoby pokoju między wampirami a Nocnymi Łowcami. Dobrze więc, że to nie jest prawda.

W kącikach ust Raphaela pojawił się słaby uśmiech.

– Istotnie. A skoro mowa o skarbach, zdajesz sobie sprawę, że jesteś teraz cennym towarem, co? Nie ma na tym świecie Podziemnego, który nie chciałby dostać cię w swoje ręce.

– Łącznie z tobą?

– Oczywiście.

– A co byś zrobił, gdybyś dostał mnie w swoje ręce?

Raphael wzruszył szczupłymi ramionami.

– Chyba jestem odosobniony w swojej opinii, że możliwość chodzenia w świetle dziennym wcale nie jest takim darem, jak sądzą inne wampiry. Jesteśmy Dziećmi Nocy nie bez powodu. Być może uważam cię za taki sam wybryk natury, za jaki ludzie uważają mnie.

– I tak jest naprawdę?

– Możliwe. – Wyraz twarzy Raphaela był obojętny. – Myślę, że stanowisz zagrożenie dla nas wszystkich. Zagrożenie dla rodu wampirów, jeśli wolisz. Nie zostaniesz w tej celi na wieki, Chodzący za Dnia. W końcu będziesz musiał wyjść i znowu stawić czoło światu. Stawić czoło mnie. Ale mogę powiedzieć ci jedno: przysięgnę, że nie będę próbował cię szukać ani nie zrobię ci krzywdy, jeśli ty w zamian obiecasz, że się ukryjesz, kiedy Aldertree cię wypuści. Jeśli przyrzekniesz wyjechać tak daleko, że nikt cię nie znajdzie, i nie kontaktować się z tymi, których znałeś w śmiertelnym życiu. Nie mogę być bardziej uczciwy.

Ale Simon już kręcił głową.

– Nie zostawię rodziny. Ani Clary.

Raphael prychnął z irytacją.

– Już nie są częścią twojego życia. Teraz jesteś wampirem.

– Ale nie chcę nim być.

– Spójrz na siebie – powiedział Raphael. – Wciąż narzekasz na swój los, a przecież nigdy nie będziesz chorował, będziesz silny i wiecznie młody. Nigdy się nie zestarzejesz. Na co się skarżysz?

Wiecznie młody, pomyślał Simon. To brzmiało dobrze, ale czy ktoś naprawdę chciałby mieć zawsze szesnaście lat? Co innego być zamrożonym w wieku dwudziestu pięciu lat, ale

szesnastu? Zawsze być takim chudym, nigdy nie dorosnąć? Nie wspominając o tym, że z takim wyglądem nigdy nie wejdzie do baru i nie zamówi drinka.

– I nawet nie musisz rezygnować ze słońca – dodał Raphael.

– Słyszałem, jak rozmawiają o tobie w Dumort. Wiem, że w każdą niedzielę wieszasz na szyi krzyżyk i idziesz zobaczyć się z rodziną. Założę się, że oni nawet nie wiedzą, że jesteś wampirem. Więc nie proponuj mi, żebym wszystko zostawił. Nie zrobię tego, nie będę kłamał i niczego obiecywał.

Oczy Raphaela rozbliły.

– To, w co wierzy moja rodzina, nie ma znaczenia. Ważne jest, w co ja wierzę. A prawdziwy wampir wie, że jest martwy. Akceptuje swoją śmierć. Ale ty myślisz, że nadal jesteś jednym w żywych. I to właśnie czyni cię takim niebezpiecznym. Nie potrafisz przyjąć do wiadomości, że już nie żyjesz.

\*\*\*

Był zmierzch, kiedy Clary zamknęła za sobą drzwi domu Amatis i zaciągnęła zasuwę. Oparła się o framugę i przez dłuższą chwilę stała z przymkniętymi oczami w mrocznym przedpokoju. Nogi ją bolały, padała ze zmęczenia.

– Clary? – Ciszę przerwał głos Amatis. – To ty?

Clary nadal stała bez ruchu, dryfując w kojącej ciemności. Tak bardzo chciała być z powrotem w domu, że niemal czuła metaliczne powietrze ulic Brooklynu. Widziała matkę siedzącą na krześle przy oknie, zakurzone, bladeżółte światło wpadające przez otwarte okna na płótno, które malowała. Tęsknota ścisnęła jej wnętrzności.

– Clary. – Głos tym razem dochodził z bliska. Clary otworzyła oczy. Amatis stała przed nią, z włosami ściągniętymi do tyłu, z rękami na biodrach. – Twój brat chce się z tobą zobaczyć. Czeka w kuchni.

– Jace tutaj jest? – Clary próbowała ukryć wściekłość i zdumienie. Nie było sensu pokazywać gospodyni, jak bardzo jest zła.

Amatis popatrzyła na nią z ciekawością.

– Nie powinnam była go wpuszczać? Myślałam, że chcesz się z nim zobaczyć.

– Nie, w porządku – uspokoiła ją Clary, z trudem panując nad głosem. – Po prostu jestem zmęczona.

– Hm. – Amatis najwyraźniej jej nie uwierzyła. – Cóż, będę na górze, gdybyś czegoś potrzebowała. Muszę się zdrzemnąć.

Clary tylko kiwnęła głową i pokuśtykała korytarzem do kuchni. Pomieszczenie było jasno oświetlone. Na stole leżał bochenek chleba, obok niego masło i ser, stała misa owoców: pomarańczy, jabłek i gruszek, a obok niej talerz pełen... ciasteczek? Czyżby Amatis sama je upiekła?

Przy stole siedział Jace. Opierał się na łokciach, złote włosy miał zmierzwione, koszulę rozpiętą pod szyją. Clary dostrzegła czarne Znaki na jego obojczyku. W zabandażowanej dłoni trzymał ciastko. A więc Sebastian miał rację: Jace się zranił. Ale czy ją to obchodziło?

– Dobrze, że wróciłaś – powiedział. – Już zaczynałem się zastanawiać czy nie wpadłaś do kanału.

Clary popatrzyła na niego bez słowa. Jace odchylił się na oparcie krzesła, przerzucił niedbale jedną rękę przez poręcz. Gdyby nie przyspieszony puls widoczny na szyi, mogłaby niemal uwierzyć w jego obojętność.

– Wyglądasz na zmęczoną – stwierdził. – Gdzie byłaś przez cały dzień?

– Z Sebastianem.

– Z Sebastianem? – Wyraz zdumienia, który odmalował się na jego twarzy, sprawił jej satysfakcję.

– Wczoraj wieczorem odprowadził mnie do domu – powiedziała Clary. W jej głowie rozbrzmiewały słowa: „Od tej chwili będę twoim bratem, tylko bratem”. – Do tej pory jest jedyną osobą w tym mieście, która była dla mnie miła. Więc tak, byłam z Sebastianem.

– Rozumiem. – Jace odłożył ciastko na talerz. Przybrał obojętną minę. – Clary, przyszedłem cię przeprosić. Nie powinienem był tak do ciebie mówić.

– Nie powinienes.

– Przyszedłem również spytać, czy nie zastanowiłabyś się nad powrotem do Nowego Jorku.

– Boże, znowu...

– Tutaj nie jest dla ciebie bezpiecznie.

– Czego się boisz? – zapytała bezbarwnym głosem. – Że wtrącą mnie do więzienia tak jak Simona?



Wyraz twarzy Jace'a się nie zmienił, ale on sam odchylił się z krzesłem do tyłu, niemal jakby go popchnęła.

– Simona?

– Sebastian powiedział mi, co się stało – ciągnęła Clary tym samym beznamiętnym tonem. – Co ty zrobiłeś. Jak go tutaj sprowadziłeś, a potem postarałeś się, żeby zamknęli go w więzieniu. Robisz wszystko, żebym cię znenawidziła?

– A ty wierzysz Sebastianowi? – odparował Jace. – Ledwo go znasz.

Clary wytrzeszczyła oczy.

– A to nie jest prawda?

Spojrzał jej w oczy, ale twarz miał nieruchomą jak Sebastian, kiedy go odepchnęła.

– Prawda.

Chwyciła talerz ze stołu i cisnęła nim w Jace'a. Zrobił unik – krzesło się zakołysało, naczynie uderzyło w ścianę nad zlewem i roztrzaskało się w drobny mak. Jace zerwał się, kiedy Clary sięgnęła po następny talerz i rzuciła nim bez celowania. Ten odbił się od lodówki, spadł na podłogę u stóp Jace'a i rozpadł się na dwie równe części.

– Jak mogłeś? Simon ci ufał. Gdzie jest teraz? Co zamierzają z nim zrobić?

– Nic. Ma się dobrze. Widziałem go zeszłej nocy...

– Przed tym czy po tym, jak my się widzieliśmy? Przed tym czy po tym, jak udawałeś, że wszystko jest w porządku?

– I odeszłaś przekonana, że mam świetne samopoczucie? – Jace wydał z siebie odgłos przypominający chichot. – Muszę być lepszym aktorem, niż sądziłem. – Skrzywił się.

Ten krzywy uśmiezek jeszcze bardziej rozpałił gniew Clary. Że też on ma czelność się z niej naigrawać! Sięgnęła po tacę z owocami, ale stwierdziła, że to niewystarczająca broń. Odkopnęła krzesło z drogi i rzuciła się na Jace'a, wiedząc, że to ostatnie, czego on się po niej spodziewa.

Nagły atak zaskoczył Jace'a. Gdy Clary na niego wpadła, zatoczył się do tyłu i wpadł na brzeg blatu. Clary usłyszała jego cichy okrzyk, zrobiła szeroki zamach ręką, choć nie bardzo wiedziała, co zamierza uczynić...

Zapomniała, jaki jest szybki. Jej pięść nie trafiła go w twarz, tylko w uniesioną rękę. Jace chwycił jej dłoń, siłą opuścił jej ramię i przycisnął je do boku. Clary nagle uświadomiła sobie, jak blisko siebie stoją. Opierała się o niego, ciężarem ciała przyciskała go do blatu.

– Puść mnie.

– Uderzysz mnie, jeśli to zrobię? – Jego głos był cichy i zachrypnięty, oczy płonęły.

– Nie sądzisz, że zasłużyłeś?

Poczuła drżenie jego piersi, kiedy zaśmiał się bez krzty wesołości.

– Myślisz, że wszystko sobie zaplanowałem? Naprawdę myślisz, że zrobiłbym coś takiego?

– Nie lubisz Simona, prawda? Pewnie nigdy go nie lubiłeś.

Jace aż sapnął z niedowierzania i puścił jej dłoń. Gdy Clary się odsunęła, wyciągnął w jej stronę prawą rękę, skierowaną wnętrzem dłoni do góry. Minęła chwila, zanim się zorientowała, że Jace pokazuje jej nierówną bliznę na nadgarstku.

– Przeciąłem sobie nadgarstek, żeby twój przyjaciel wampir mógł się napić mojej krwi. – Mówił zdławionym głosem. – Omal mnie to nie zabiło. A teraz ty myślisz, że zostawiłem go własnemu losowi?

Clary spojrzała na bliznę, jedną z wielu na jego ciele.

– Sebastian powiedział, że ściągnąłeś tutaj Simona, a potem Alec zaprowadził go do Gard i oddał Clave. Musiałeś wiedzieć...

– Ściągnąłem go tutaj przez przypadek. Poprosiłem, żeby przyszedł do Instytutu, bo chciałem z nim porozmawiać. O tobie.

Pomyślałem, że może on cię przekona, żebyś nie przyjeżdżała do Idrisu. Jeśli to jest dla ciebie jakieś pocieszenie, nawet nie chciał się nad tym zastanawiać. Gdy tylko się tam zjawił, zaatakowali nas Wyklęci. Musiałem przeciągnąć go przez Bramę. Inaczej zostawiłbym go na pewną śmierć.

– Ale dlaczego oddałeś go w ręce Clave? Musiałeś wiedzieć...

– Wysłaliśmy go do Gard, bo tam znajduje się jedyna Brama w Idrisie. Obiecali nam, że odeślą go z powrotem do Nowego Jorku.

– I uwierzyłeś im? Po tym, co wyprawiała Inkwizytorka?

– Clary, ta Inkwizytorka była wybrykiem natury. Może to było twoje pierwsze doświadczenie z Clave, ale moje nie. Clave to my. Nefilim, którzy przestrzegają Prawa.

– Jak widać, nie zawsze.

– Masz rację – przyznał ze znużeniem Jace. – A najgorsze ze wszystkiego jest to, że pamiętam, jak Valentine rozprawiał o Clave. Że jest zepsute i koniecznie trzeba je oczyścić. I na Anioła, ja się z nim zgadzałem.

Clary milczała, bo nic mądrego nie przychodziło jej do głowy. Chwilę później Jace niemal bezwiednie wyciągnął ręce i przygarnął ją do siebie. A ona pozwoliła mu na to ku własnemu zaskoczeniu. Przez biały materiał jego koszuli widziała Znaki, czarne, wijące się po skórze niczym jężory ognia. Chciała oprzeć głowę o jego bark, chciała, by ją objął. Pragnęła tego tak bardzo jak powietrza, kiedy tonęła w jeziorze Lyn.

– Może Valentine ma rację, że pewne rzeczy trzeba naprawić – stwierdziła w końcu. – Ale nie ma racji co do sposobu, w jaki należy je naprawić. Rozumiesz to, prawda?

Jace przymknął oczy. Miał pod nimi cienie, pamiątkę po nieprzespanych nocach.

– Nie jestem pewien, czy cokolwiek rozumiem. Jesteś na mnie zła, i słusznie. Nie powinienem był ufać Clave. Za bardzo chciałem wierzyć, że Inkwizytorka działała na własną rękę, więc nadal mogę mieć zaufanie do Nocnych Łowców.

– Jace – wyszeptwała Clary.

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Stali tak blisko siebie, że stykały się nawet ich kolana, a Clary czuła bicie jego serca.

Odsuń się od niego, nakazała sobie, ale nogi nie chciały jej słuchać.

– O co chodzi? – zapytał cicho.

– Chcę zobaczyć Simona. Możesz mnie do niego zaprowadzić?

Puścił ją równie nagle, jak przytulił.

– Nie. W ogóle nie powinno cię być w Idrisie. Nie możesz tak sobie wejść do Gard.

– Ale Simon pomyśli, że wszyscy go opuścili. Pomyśli, że...

– Widziałem się z nim – przerwał jej Jace. – Zamierzałem go uwolnić. Gołymi rękami wyrwać kraty z okna. – Mówił rzeczowym tonem. – Ale on mi nie pozwolił.

– Nie pozwolił ci? Wolał zostać w więzieniu?

– Powiedział, że Inkwizytor węszy wokół mnie i mojej rodziny. Chce obwinić nas za to, co się stało w Nowym Jorku. Nie może zatrzymać jednego z nas i wydobyć informacji torturami, bo Clave by się to nie spodobało, ale próbuje wymusić na Simonie zeznanie, że byliśmy w zмовie z Valentine'em. Simon powiedział, że jeśli go uwolnię, Inkwizytor dowie się, że ja to zrobiłem, i jeszcze bardziej zaważmie się na Lightwoodów.

– To bardzo szlachetne z jego strony, ale jaki ma długofalowy plan? Zostać w więzieniu na zawsze?

Jace wzruszył ramionami.

– Tego właściwie nie omówiliśmy.

Clary westchnęła z irytacją.

– Chłopcy – prychnęła. – No, dobrze, posłuchaj. Potrzebujesz alibi. Zadbamy o to, żebyś znalazł się tam, gdzie wszyscy zobaczą ciebie i Lightwoodów, a potem nakłonimy Magnusa, żeby uwolnił Simona z więzienia i odstawił go z powrotem do Nowego Jorku.

– Niechętnie ci to mówię, Clary, ale nie ma mowy, żeby Magnus się zgodził. Nieważne, jak bardzo podoba mu się Alec. On nie wystąpi wprost przeciwko Clave, żeby oddać nam przysługę.

– Może zrobi to dla Białej Księgi – podsunęła Clary.

Jace zamrugał.

– Czego?

Clary szybko opowiedziała mu o śmierci Ragnora Fella, o przybyciu Magnusa do jego domu, o księżdzie czarów. Jace słuchał ze zdumieniem i uwagą.

– Demony? Magnus powiedział, że Fella zabił demony?

– Nie. Powiedział tylko, że dom cuchnie czymś demonicznym. I że Fell został zabity przez „sługi Valentine’a”. To wszystko.

– Niektóre odmiany czarnej magii zostawiają aurę, która cuchnie demonami – wyjaśnił Jace. – Jeśli Magnus nie wdawał się w szczegóły, to dlatego, że pewnie nie był zadowolony, że jakiś czarownik praktykuje czarną magię, łamiąc Prawo. Ale nie pierwszy raz Valentine zmusił dzieci Lilityh do zrobienia czegoś paskudnego. Pamiętasz czarownika, którego zabił w Nowym Jorku?

– Valentine wykorzystał jego krew do odprawienia Rytuału. Pamiętam. – Clary zadrżała.

– Jace, czy Valentine chce księgi z tego samego powodu co ja? Żeby obudzić moją matkę?

– Możliwe. Albo jeśli Magnus ma rację, po prostu chce jej dla władzy, którą dzięki niej zdobędzie. Tak czy inaczej, lepiej znajźmy ją przed nim.

– Myślisz, że może być gdzieś w posiadłości Waylandów?

– Wiem, że tam jest – oświadczył Jace ku jej zaskoczeniu. – Chodzi o tę książkę kucharską? „Przepisy dla pań domu” czy jakoś tak? Widziałem ją kiedyś w bibliotece. Oprócz niej nie było tam żadnych innych książek kucharskich.

Clary zakręciło się w głowie, ale jeszcze nie chciała uwierzyć, że to może być prawda.

– Jace... jeśli zabierzesz mnie do posiadłości Waylandów i zdobędziemy księgę, wrócę z Simonem do Nowego Jorku. Zrób to dla mnie, a natychmiast stąd zniknę.

– Magnus miał rację, że terenu posiadłości chronią czary mylące – powiedział. – Zaprowadzę cię tam, ale uprzedzam, że to daleko. Na piechotę droga zajmie nam pięć godzin.

Clary wyjęła stelę z pętli przy jego pasie. Uniosła ją, a ona zajaśniała słabym białym światłem podobnym do blasku szklanych wież.

– A kto mówi o chodzeniu na piechotę?

\*\*\*

– Masz dziwnych gości, Chodzący za Dnia – stwierdził Samuel. – Najpierw Jonathan Morgenstern, a teraz główny wampir Nowego Jorku. Jestem pod wrażeniem.

Jonathan Morgenstern?

Minęła chwila, zanim Simon sobie uświadomił, że chodzi o Jace’a. Siedział na podłodze pośrodku celi i leniwie obracał w rękach pustą butelkę.

– Chyba jestem ważniejszy, niż sądziłem.

– A Isabelle Lightwood przyniosła ci krew – dodał Samuel. – To dopiero doręczycielka.

Simon uniósł głowę.

– Skąd wiesz, że to Isabelle ją przyniosła? Nic nie mówiłem...

– Widziałem ją przez okno. Wygląda zupełnie jak jej matka przed laty. – Samuel umilkł na chwilę. – Wiesz, że to tylko tymczasowe rozwiązanie. Wkrótce Inkwizytor zacznie się dziwić, że jeszcze nie umarłeś z głodu. Jeśli zobaczy, że jesteś zdrowy, domyśli się wszystkiego, a wtedy cię zabije.

Simon spojrział w sufit. Wryte na nim runy nakładały się na siebie jak kamyki na plaży.

– Chyba po prostu będę musiał wierzyć, że Jace naprawdę znajdzie sposób, żeby mnie stąd wydostać. – Po chwili dorzucił: – Poproszę go, żeby ciebie również uwolnił, obiecuję. Nie zostawię cię tutaj.

Samuel wydał zdławiony dźwięk, podobny do śmiechu.

– Nie sędę, żeby Jace Morgenstern chciał mnie ratować. Poza tym, głód to najmniejszy z twoich problemów, Chodzący za Dnia. Wkrótce Valentine zaatakuję miasto, a wtedy prawdopodobnie wszyscy zginiemy.

– Skąd ta pewność?

– W swoim czasie byłem z nim blisko. Znałem jego plany. Jego cele. Valentine zamierza zniszczyć czary chroniące Alicante i uderzyć w samo serce Clave.

– Sądziłem, że demony nie mogą wejść do miasta. Myślałem, że czary są dla nich nie do przeniknięcia.

– Podobno. Trzeba demonicznej krwi, żeby unieszkodliwić czary, a można to zrobić tylko z samego Alicante. Ale żaden demon nie może przeniknąć przez czary, powstaje więc paradoks.

Valentine twierdził jednak, że znalazł sposób, żeby włamać się do miasta. I ja mu wierzę. Jestem przekonany, że wkroczy do Alicante ze swoją demoniczną armią i zabije nas wszystkich.

Pewność w głosie Samuela przyprawiła Simona o dreszcz.

– Wydajesz się zrezygnowany – zauważył. – Nie powinieneś czegoś zrobić? Ostrzec Clave?

– Ostrzegłem ich. Kiedy mnie przesłuchiwali. Wciąż im powtarzałem, że Valentine zamierza unieszkodliwić czary, ale nie chcieli mnie słuchać. Clave sądzi, że czary są nie do ruszenia, skoro wytrzymały tysiąc lat. Ale podobnie było z Rzymem, dopóki nie zjawili się barbarzyńcy. Wszystko kiedyś upada. – Samuel zachichotał, z goryczą i gniewem. – Uznaj to za wyścig, kto zabije cię pierwszy, Chodzący za Dnia: Valentine czy Clave.

\*\*\*

Dłoń Clary została wyrwana z ręki Jace'a. Kiedy Clary pochwycił huragan i cisnął na podłogę, upadła na nią sama, z impetem. Potoczyła się i zatrzymała z okrzykiem.

Usiadła powoli i rozejrzała się. Leżała na perskim dywanie w dużym pokoju o kamiennych ścianach. Białe prześcieradła zarzucone na meble zmieniały je w przygarbione duchy. Na wielkich oknach wisiały aksamitne zasłony, szarobiałe od kurzu; jego drobinki tańczyły również w powietrzu, w smugach księżycowego blasku.

– Clary? – Jace wyszedł zza masywnego mebla okrytego prześcieradłem, być może fortepianu. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Clary skrzywiła się lekko. Bolał ją łokieć. – Nie licząc tego, że Amatis pewnie mnie zabije, kiedy wrócimy. Stłukłam jej wszystkie talerze i otworzyłam Bramę w jej kuchni.

Jace podał jej rękę.

– Nie wiem, czy to coś dla ciebie znaczy, ale byłem pod wrażeniem – wyznał, pomagając jej wstać.

– Dzięki. – Clary się rozejrzała. – Więc tutaj dorastałeś? To świat jak z bajki.

– Ja uważałem raczej, że z horroru. Boże, minęły lata, odkąd widziałem to miejsce. Kiedyś nie było takie...

– Takie zimne? – Clary zadrżała.

Zapięła płaszcz, ale chłód panujący w rezydencji był nie tylko fizycznej natury. Można było odnieść wrażenie, jakby ten dom nigdy nie zaznał ciepła, światła czy śmiechu.

– Nie – powiedział Jace. – Tutaj zawsze było zimno. Chciałem powiedzieć „zakurzone”. – Wyjął z kieszeni magiczny kamień. Biały blask, który rozblysnął między jego palcami, oświetlił mu twarz od dołu, podkreślając cienie pod oczami i zapadnięte policzki. – To jest gabinet, a nam potrzebna jest biblioteka. Chodź.

Poprowadził ją długim korytarzem z dziesiątkami luster, w które odbijały się ich postacie. Clary nie zdawała sobie wcześniej sprawy, jak wygląda: płaszcz cały pokryty kurzem, włosy potargane od wiatru. Dyskretnie próbowała je wygładzić i w następnym lustrze dostrzegła uśmiech Jace'a. W grę musiała wchodzić jakaś tajemnicza magia Nocnych Łowców, bo jego fryzura była w idealnym stanie.

Wzdłuż korytarza ciągnęły się drzwi, niektóre otwarte. Clary widziała za nimi inne pokoje, równie zakurzone i od dawna nieużywane jak gabinet. Michael Wayland nie miał żadnych krewnych, więc pewnie nikt nie odziedziczył rezydencji po jego śmierci. Clary sądziła, że Valentine nadal tu mieszka, ale najwyraźniej się myliła. Cała rezydencja tchnęła smutkiem. W Renwick Valentine nazwał to miejsce domem i pokazał je Jace'owi w lustrzanej Bramie: wspomnienie zielonych pól i kamienia pokrytego patyną, ale okazało się, że to kolejne z jego kłamstw. Valentine zostawił dom, żeby niszczał, albo przyjeżdżał tu od czasu do czasu, żeby chodzić po mrocznych korytarzach jak duch.

Gdy dotarli do drzwi na końcu korytarza, Jace pchnął je ramieniem i usunął się na bok, żeby przepuścić Clary. Biblioteka bardzo przypominała tę w Instytucie: podobne szafy zastawione rzędami książek, takie same drabinki na rolkach, żeby można sięgnąć do wyższych półek. Tyle że tutaj sufit nie był stożkowy, tylko płaski i belkowany, i brakowało ogromnego biurka. Na oknach z zielonymi i niebieskimi szybkami lśniącoymi w blasku księżycy jak kolorowy

szron wisiały zielone aksamitne zasłony o fałdach pokrytych białym kurzem. Na zewnątrz panowały ciemności.

– To jest biblioteka? – spytała ściszym głosem, choć nie wiedziała, dlaczego szepcze. W wielkim, pustym domu zalegała grobowa cisza.

Jace patrzył w dal zamyślonym wzrokiem.

– Siadałem w oknie i czytałem to, co ojciec wyznaczył mi na dany dzień. Różne języki w różne dni, francuski w soboty, angielski w niedziele, ale nie pamiętam, w jaki dzień była łacina, we wtorek czy w poniedziałek...

Clary nagle ujrzała go jako małego chłopca, w wykuszu, z książką na kolanach, wyglądającego na... na co? Ogrody? Rozległy krajobraz? Wysoki, kolczasty żywopłot otaczający niczym mur zamek Śpiącej Królowej? Światło wpadające przez okno malowało niebieskie i zielone kwadraty na jego jasnych włosach, drobna twarz była bardzo poważna jak na dziesięciolatka.

– Nie pamiętam – powtórzył, wpatrując się w ciemność.

Clary dotknęła jego ramienia.

– To nie ma znaczenia, Jace.

– Pewnie nie. – Otrząsnął się ze wspomnień, jakby budził się ze snu, i ruszył przez pokój, oświetlając sobie drogę magicznym kamieniem. Ukucnął przy jednej z niższych półek i po chwili wyprostował się, trzymając w ręce książkę. – Jest. „Proste przepisy dla pań domu”.

Clary przebiegła przez pokój i wyrwała mu ją z ręki. Książka w niebieskiej oprawie wyglądała całkiem zwyczajnie. Kiedy Clary ją otworzyła, w powietrze wzbił się tuman kurzu.

W środku ziała duża kwadratowa dziura. Jak klejnot w oprawę był w nią wpasowany mniejszy tomik, z tytułem wydrukowanym złożonymi łańskimi literami na białej skórze. Clary rozpoznała słowa „biały” i „księga”, ale kiedy wyjęła książeczkę i ją otworzyła, ku własnemu zaskoczeniu zobaczyła, że stronice są pokryte cienkim, pajęczym pismem w języku, którego nie знаła.

– Greka – stwierdził Jace, zaglądając jej przez ramię. – Starożytna.

– Potrafisz to odczytać?

– Z trudem. Minęły lata. Ale sądzę, że Magnus będzie potrafił.

Zamknął tomik i wsunął go do kieszeni jej zielonego płaszcza, a potem odwrócił się do półek i zaczął przesuwając dłońią po rzędach książek, muskając palcami ich grzbiety.



– Chcesz coś stąd zabrać? – zapytała Clary łagodnie. – Gdybyś chciał...

Jace się roześmiał i opuścił rękę.

– Mogłem czytać tylko wyznaczone lektury – powiedział. – Niektórych półek w ogóle nie mogłem dotykać. – Wskazał na rzędy woluminów oprawionych w brązową skórę. – Gdy miałem sześć lat, sięgnąłem po jedną z nich, żeby się przekonać, o co tyle hałasu. Okazało się, że to dziennik, który prowadził mój ojciec. O mnie. Notatki o „moim synu Jonathanie Christopherze”. Wychłostał mnie pasem, kiedy odkrył, że je przeczytałem. Właściwie dopiero wtedy się dowiedziałem, że mam drugie imię.

Clary poczuła przyływ nienawiści do ojca.

– Cóż, teraz Valentine’a tu nie ma – zauważyła gniewnym tonem.

– Clary... – zaczął Jace z ostrzegawczą nutą w głosie, ale ona już wyciągnęła jedną z książek z zakazanej półki i cisnęła ją na podłogę. – Clary!

– Och, daj spokój! – Clary zrzuciła na ziemię następny tom, potem kolejny. W chwili upadku wzbijał się z nich kurz. – Teraz ty spróbuj.

Jace patrzył na nią przez chwilę, a potem uśmiechnął się kącikiem ust. Przesunął ręką wzdłuż półki, strącając resztę książek. Gdy z głośnym hukiem spadły na podłogę, wybuchnął śmiechem... i raptem ucichł. Przekrzywił głowę jak pies strzygący uszami.

– Słyszysz?

Clary już miała na końcu języka pytanie: „Co?”. Ale w tym momencie rozległ się głośniejszy dźwięk, wysoki, zgrzytliwy odgłos maszyny budzącej się do życia. Dochodził jakby z wnętrza ściany. Clary odruchowo cofnęła się o krok w chwili, kiedy fragment muru zaczął się przesuwac z jęklwym zawodzeniem. Za nim ukazał się otwór, coś w rodzaju drzwi topornie wyciosanych w kamieniu.

Za drzwiami znajdowały się schody prowadzące w ciemność.

## Winna krew

– Nie pamiętam, żeby tu była piwnica – powiedział Jace, patrząc na dziurę ziejącą w ścianie.

Gdy uniósł magiczny kamień, jego blask oświetlił tunel prowadzący w dół. Ściany były czarne i śliskie, z gładkiego czarnego kamienia, którego Clary nie знаła. Stopnie lśniły, jakby były mokre. Z otworu wydobywał się dziwny zapach: wilgoci i pleśni z metaliczną, niepokojącą nutą.

– Jak myślisz, co może być na dole?

– Nie wiem. – Jace postawił nogę na najwyższym stopniu, sprawdził go, po czym wzruszył ramionami, jakby podjął decyzję. Ostrożnie ruszył w dół. W połowie drogi obejrzał się na Clary. – Idziesz? Możesz tu na mnie zaczekać, jeśli chcesz.

Clary rozejrzała się po pustej bibliotece, zadrżała i pospieszyła za nim.

Schody wiły się coraz ciasniejszą spiralą, jakby szli przez wnętrze wielkiej muszli. Zapach również się nasilał. W końcu dotarli do dużego, kwadratowego pomieszczenia o kamiennych ścianach, pokrytych śladami wilgoci... i jeszcze innymi, ciemniejszymi plamami. Na podłodze były nabazgrane pentagramy i runy. Między nimi tu i ówdzie leżały białe kamienie.

Jace zrobił krok do przodu i coś zachrząściło mu pod stopami. Oboje jednocześnie spojrzeli w dół.

– Kości – wyszeptała Clary. To wcale nie były białe kamienie, tylko kości wszelkich kształtów i rozmiarów, rozrzucone po całej podłodze. – Co on tutaj robił?

W ręce Jace'a zapłonęło magiczne światło, oblewając pomieszczenie niesamowitym blaskiem.

– Eksperymenty – odparł z napięciem w głosie Jace. – Królowa Jasnego Dworu mówiła...

– Co to za kości? Zwierzęce?

– Nie. – Jace kopnął jeden ze stosików. – Nie wszystkie.

Clary poczuła ucisk w piersi.

– Chyba powinniśmy wracać.

Zamiast jej posłuchać, Jace uniósł magiczny kamień. Ten zapłonął jaśniej, oświetlając piwnicę ostrym białym blaskiem. Światło wydobyło z mroku najdalsze kąty pomieszczenia. Trzy z nich były puste. Czwarty zasłaniała szmata, a za nią majaczył przygarbiony kształt...

– Co to jest? – wyszeptała Clary.

Jace nie odpowiedział. W wolnej ręce trzymał seraficki nóż. Clary nawet nie zauważyła, kiedy go wyciągnął. Ostrze lśniło w magicznym świetle jak wyciosane z lodu.

– Nie...

Ale Jace już ruszył przed siebie. Czubkiem noża odsunął materiał, po czym chwycił go w garść i zerwał. Tkanina opadła w chmurze kurzu. Jace zatoczył się do tyłu, magiczny kamień wypadł mu z ręki. W czarodziejskim blasku Clary dostrzegła jego twarz, białą maskę przerażenia. Złapała kamień, nim zgasł, i uniosła go wysoko, żeby zobaczyć, co tak wstrząsnęło Jasie, nieporuszonym Nocnym Łowcą.

Z początku ujrzała jedynie zarys ludzkiej postaci, mężczyzny odzianego w brudną białą szmatę, kucającego na podłodze. Na kostkach i nadgarstkach miał kajdany, przyłączone do grubych metalowych klamer wbitych w kamienną posadzkę.

Jak to możliwe, że on żyje?

Runiczny kamień zadrżał w jej ręce, światło zatańczyło na postaci więźnia. Clary poczuła ściskanie w gardle na widok wychudzonych rąk i nóg, pokrytych bliznami po niezliczonych torturach. Głowa była zwrócona w jej stronę, w miejscach oczu ziały czarne oczodoły. Nagle rozległ się suchy szelest i wtedy Clary spostrzegła, że to, co wzięła za białą szmatę, to skrzydła, wznoszące się za plecami nieszczęśnika jak dwa białe półksiężycy, jedyne czyste rzeczy w brudnej celi.

Krzyknęła cicho.

– Jace, widzisz...

– Widzę. – Stojący za nią Jace mówił głosem, który chrzęścił jak potłuczone szkło.

– Mówiłeś, że nie ma aniołów, że jeszcze nikt żadnego nie widział...

Jace wymamrotał pod nosem coś, co zabrzmiało jak stek przekleństw. Ruszył chwiejnie w stronę postaci skulonej na podłodze i raptem zatoczył się do tyłu, jakby trafił na niewidzialną ścianę. Clary spojrzała w dół i zobaczyła, że anioł kuca obok pentagramu z połączonych runów wyrytych w podłodze i lekko fosforyzujących.

– Runy – wyszeptwała. – Nie możemy ich przekroczyć...

– Ale musi być coś... – powiedział Jace łamiącym się głosem – ...co moglibyśmy zrobić.

Anioł uniósł głowę. W Clary wezbrała litość na widok jego kręconych włosów, złotych jak u Jace'a. Ich kosmyki przykleiły się do wgłębień w czaszce. Pocięta bliznami twarz była jak piękny obraz zniszczony przez wandalów. Istota otworzyła usta i z jej gardła wydobył się dźwięk – nie słowa, tylko przejmująca melodia, pojedyncza śpiewna nuta, tak wysoka i piękna, że słuchanie jej aż bolało...

Clary nadal ścisnęła w ręce runiczny kamień, ale jego światło zgasło. Ona sama znajdowała się już nie tutaj, tylko w innym miejscu, gdzie zaczęły się przed nią przesuwające obrazy z przeszłości niczym we śnie na jawie: zdarzenia, kolory, dźwięki.

Była w piwnicy, pustej, czystej, z pojedynczym wielkim znakiem wyrytym na kamiennej podłodze. Obok niego stał mężczyzna. W jednej ręce trzymał otwartą książkę, w drugiej płonąca pochodnię. Kiedy uniósł głowę, Clary zobaczyła, że to Valentine: dużo młodszy, przystojny, o twarzy bez zmarszczek i ciemnych oczach, o spojrzeniu czystym i promiennym. W miarę jak śpiewał, znak buchnął ogniem, a kiedy płomienie zgasły, wśród popiołów leżała skulona postać: anioł z zakrwawionymi, rozpostartymi skrzydłami, niczym ptak strącony z nieba...

Potem scena się zmieniła. Valentine stał przy oknie, obok młodej kobiety o lśniących rudych włosach. Kiedy ją objął, na jego palcu zaśnił znajomy pierścień. Z ukłuciem bólu Clary rozpoznała matkę... Młoda Jocelyn o miękkich rysach miała na sobie białą koszulę nocną i była w ciąży.

– Porozumienia – mówił gniewnie Valentine – to nie tylko najgorszy pomysł Clary, ale też najgorsze, co mogło się przytrafić Nefilim. Związanie nas z Podziemnymi, z tymi stworami.

– Valentine, dość o polityce, proszę – powiedziała z uśmiechem Jocelyn.

Oplotła rękami jego szyję, z miłością w oczach. Jego twarz też wyrażała miłość, ale było na niej coś jeszcze. Coś, od czego Clary przeszedł dreszcz...

Valentine klęczał na polanie w kręgu drzew. Księżyc oświetlał pentagram narysowany na ziemi. Konary drzew tworzyły w górze gęstą sieć. Tam, gdzie sięgały nad pentagram, ich liście zwijały się i czerniały. Pośrodku pięcioramiennej gwiazdy siedziała kobieta o długich lśniących włosach. Miała smukłą sylwetkę, twarz ukrytą w cieniu, białe ramiona były nagie. Lewą rękę trzymała wyciągniętą przed sobą, a kiedy rozwarła palce, Clary zobaczyła, że z długiego

rozcięcia na dłoni cieknie krew i wąską strużką wpada do srebrnego pucharu stojącego na brzegu pentagramu. W blasku księżycy krew wyglądała na czarną. A może była czarna?

– Dziecko zrodzone z tej krwi – mówiła kobieta cichym, pięknym głosem – przewyższy mocą Wielkie Demony z otchłani między światami. Będzie potężniejsze niż Asmodeusz, silniejsze niż szedim. Jeśli zostanie należycie wyszkolone, będzie mogło zrobić wszystko. Ale ostrzegam cię, że ta krew wypali jego ludzkie cechy, tak jak trucizna wypala z niej życie.

– Dziękuję ci, lady Edom – powiedział Valentine.

A kiedy sięgnął po puchar z krwią, kobieta uniosła głowę i Clary zobaczyła, że choć jest piękna, zamiast oczu są w niej czarne dziury, z których wysuwają się macki, jak czułki badające powietrze. Clary stłumiła okrzyk...

Nocny las zniknął. Jocelyn stała przed kimś, kogo Clary nie mogła zobaczyć. Już nie była w ciąży, a jej jasne włosy wisiały w strąkach wokół ściągniętej, zrozpaczonej twarzy.

– Nie mogę z nim zostać, Ragnorze – mówiła. – Ani jednego dnia. Przeczytałam jego dziennik. Wiesz, co zrobił Jonathanowi?

Nie sądziłam, że Valentine jest do tego zdolny. – Jej ramiona się trzęsły. – Użył krwi demona. Jonathan już nie jest dzieckiem. Nie jest nawet człowiekiem, tylko potworem...

Ona też zniknęła. Valentine chodził niespokojnie wokół kręgu runów; seraficki nóż lśnił w jego dłoni.

– Dlaczego się nie odzywasz? Dlaczego nie dajesz mi tego, czego chcę? – Opuścił nóż.

Anioł zwinął się z bólu, złoty płyn wyciekł z jego rany jak rozlane światło słoneczne.

– Skoro nie udzielasz mi odpowiedzi, możesz dać mi swoją krew. Mnie i moim przyda się bardziej niż tobie.

Teraz znajdowali się w bibliotece Waylanda. Słońce wpadało przez okna z szybami w kształcie rombów, zalewając pokój błękitem i zielenią. Z drugiego pokoju dochodziły głosy: śmiech i pogawędki. Odbywało się przyjęcie. Jocelyn klęczała przy półce z książkami i rozglądała się wokół. W pewnym momencie wyjęła z kieszeni grubą książkę i wsunęła ją na półkę.

Znowu ukazała się piwnica, ta sama, w której teraz przebywała Clary. Na podłodze widniał ten sam pentagram, a w jego centrum leżał anioł. Valentine stał obok, z płonącym serafickim nożem w dłoni. Wyglądał teraz o wiele starzej, już nie był młodym mężczyzną.

– Ithurielu – mówił – jesteśmy starymi przyjaciółmi, prawda? Mogłem zostawić cię pogrzebanego żywcem w ruinach, ale nie, ja przyprowadziłem cię tutaj. Przez wszystkie te lata trzymałem cię blisko siebie, w nadziei że pewnego dnia powiesz mi to, co chcę, co muszę wiedzieć. – Zbliżył się z wyciągniętą bronią. W blasku ostrza runiczna bariera zamigotała. – Kiedy cię wezwałem, marzyłem, że powiesz mi, dlaczego Razjel stworzył nas, rasę Nocnych Łowców, ale nie dał nam mocy, które mają Podziemni: szybkości wilków, nieśmiertelności faerie, magii czarowników, wytrzymałości wampirów. Postawił nas przed piekielnymi zastępami nagich i bezbronych, nie licząc tych kresek namalowanych na skórze. Dlaczego ich moce są większe niż nasze? Dlaczego nie możemy mieć tego samego, co oni? Dlaczego?

Uwięziony w gwieździe anioł siedział w milczeniu, jak marmurowy posąg, bez ruchu, ze złożonymi skrzydłami. Jego oczy nie wyrażały nic oprócz straszliwego, cichego smutku. Valentine skrzywił usta.

– Dobrze. Milcz. I tak dostanę swoją szansę. – Uniósł nóż. – Mam Kielich Anioła, a wkrótce zdobędę Miecz, ale bez Lustra nie mogę rozpocząć wzywania. Potrzebuję już tylko Lustra. Powiedz mi, gdzie ono jest. Powiedz mi, gdzie ono jest, Ithurielu, a pozwolę ci umrzeć.

Obraz rozpadł się i w miarę jak zniknął, Clary ujrzała sceny, które znała ze swoich nocnych koszmarów: anioły o białych i czarnych skrzydłach, tafle lustrzanej wody, złote i krwawe... i Jace, który się od niej odwracał, zawsze się odwracał. Wyciągnęła do niego rękę i wtedy w jej głowie rozbrzmiał głos anioła przemawiającego do niej słowami, które mogła zrozumieć.

„To nie są pierwsze sny, które ci pokazałem”.

Przed jej oczami wybuchł jak fajerwerk obraz znaku. Takiego nigdy wcześniej nie widziała: był prosty, zwyczajny i mocny jak węzeł. Zniknął równie szybko, jak się pojawił, i jednocześnie ucichł śpiew anioła. Clary znalazła się z powrotem w swoim ciele. Chwiała się na nogach w brudnym, cuchnącym pomieszczeniu. Anioł milczał, znieruchomiał, ze złożonymi skrzydłami – symbol rozpacz.

Clary wypuściła powietrze z płuc.

– Ithurielu.

Ze ściśniętym sercem wyciągnęła do niego ręce, choć wiedziała, że nie może przejść przez runy. Przez lata anioł siedział tutaj w ciemności, samotny, skuty łańcuchami i zagłodzony, ale nie mógł umrzeć...

Po wstrząśniętej minie Jace'a zorientowała się, że też widział wszystko, co ona. Spojrzał na seraficki nóż, który trzymał w ręce, a potem z powrotem na anioła. Puste oczodoły więźnia były skierowane na niego w niemym błaganu.

Jace zrobił krok do przodu, potem drugi. Spojrzenie oczu, jasnych jak złote dyski pełne odbitego światła, miał utkwione w aniele. Wydawało się, że toczą rozmowę, której Clary nie mogła usłyszeć.

– Ithurielu – wyszeptał Jace.

Ostrze w jego dłoni zapłonęło jak pochodnia. Anioł uniósł głowę, jakby zobaczył ten oślepiający blask. Gdy wyciągnął ręce, łańcuchy pętające jego nadgarstki zagrzechotały.

Jace odwrócił się do Clary.

– Runy – powiedział krótko.

Runy. Przez chwilę patrzyła na niego zdezorientowana, ale ponaglił ją wzrokiem, więc oddała mu magiczny kamień, wyjęła z kieszeni stelę i uklękła. Znaki wyglądały jak wyłobione w kamieniu.

Clary spojrzała na Jace'a. Zaskoczył ją wyraz jego twarzy, płomień w oczach; były pełne wiary w nią i jej umiejętności. Czubkiem steli nakreśliła kilka linii na podłodze, zmieniając runy wiążące na runy uwolnienia. W miarę jak je rysowała, zaczynały płonąć, jakby przesuwiała zapalką po siarce.

Gdy skończyła zadanie, wyprostowała się, patrząc na rozjarzone runy. Jace stanął obok niej. Schował magiczny kamień i teraz trzymał w dłoni tylko jaśniejący seraficki nóż, nazwany imieniem anioła. Wyciągnął go i tym razem jego ręka przeszła przez runiczną barierę, jakby jej tam nie było.

Anioł wziął nóż od Jace'a i zamknął niewidzące oczy. Clary wydawało się przez chwilę, że dostrzegła uśmiech na jego twarzy. Obrócił broń tak, że jej ostry czubek spoczął tuż pod obojczykiem. Clary krzyknęła cicho i zrobiła krok do przodu, ale Jace chwycił ją za ramię i pociągnął do tyłu w chwili, kiedy anioł wbił nóż w pierś.

Głowa Ithuriela opadła w tył, dłonie zsunęły się z rękkojeści sterczącej z jego piersi w miejscu, gdzie powinno być serce... gdyby anioły miały serca. Z rany buchnęły płomienie, ciało anioła zajaśniało białym blaskiem, łańcuchy na nadgarstkach rozjarzyły się do czerwoności, jak żelazo zbyt długo trzymane w żarze. Clary pomyślała o średniowiecznych malowidłach, na

których święci płonęli w religijnym uniesieniu. Skrzydła anioła rozpostarły się i też zajęły się migotliwym ogniem.

Clary nie mogła dłużej na to patrzeć. Odwróciła się i ukryła twarz na ramieniu Jace'a. On objął ją mocno.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział z ustami w jej włosach.

Powietrze było pełne dymu, podłoga zakołysała się pod jej nogami. Dopiero kiedy Jace się zachwiał, Clary zrozumiała, że to nie jest skutek szoku. Grunt rzeczywiście zadrżał. Kamienie posadzki zaczęły ocierać się o siebie, z sufitu posypał się rzadki deszcz grudek ziemi. Anioł zmienił się w kolumnę dymu; runy wokół niego jarzyły się oślepiająco. Gdy Clary odczytała ich znaczenie, z przerażeniem spojrzała na Jace'a.

– Rezydencja... była związana z Ithurielem. Jeśli anioł umrze, dom...

Nie dokończyła zdania, bo Jace chwycił ją za rękę i popędził do schodów, ciągnąc ją ze sobą. Schody też się chwiały i wybrzuszały. Clary upadła i boleśnie rąbnęła kolaniem o stopień, ale Jace jej nie puścił, więc pobiegła dalej, nie zważając na ból w nodze. Płuca miała pełne duszącego pyłu.

Gdy wpadli do biblioteki, Clary usłyszała za plecami łoskot. To zawaliły się schody, po których przed chwilą wbiegli. Na górze sytuacja wcale nie wyglądała lepiej. Cały pokój się trząsł, książki spadały z półek, na podłodze leżała roztrzaskana rzeźba. Jace puścił rękę Clary, chwycił krzesło i zanim zdążyła go spytać, co robi, cisnął nim w witrażowe okno.

Krzesło wyleciało na zewnątrz wraz z kaskadą rozbitego szkła. Jace odwrócił się i wyciągnął do niej rękę. Za nim Clary dostrzegła trawnik zalany blaskiem księżyca i linię drzew w oddali. Nie skoczę tak daleko, pomyślała i już miała pokręcić głową, kiedy zobaczyła, że oczy Jace'a się rozszerzają, usta układają do ostrzegawczego krzyku. Przechylało się ku niej jedno z popiersi stojących na wyższych półkach. Clary uskoczyła w bok, a rzeźba uderzyła w podłogę kilka cali od niej i zrobiła sporą rysę w kamiennych płytkach.

Chwilę później Jace chwycił ją na ręce. Clary była zbyt zaskoczona, żeby stawić opór, kiedy niósł ją do wybitego okna, a następnie bezceremonialnie przez nie wyrzucił.

Spadła na trawę tuż pod oknem i potoczyła się po stromym zboczu, nabierając szybkości, aż uderzyła w niedużą górkę z taką siłą, że zaparło jej dech. Usiadła i zaczęła wytrzępywać suche źdźbła z włosów. Po chwili tuż obok zatrzymał się Jace. W przeciwieństwie do niej natychmiast zerwał się na równe nogi i spojrzał w górę na rezydencję.



Clary odwróciła się, ale on już ją chwycił i popchnął w zagłębienie między dwoma pagórkami. (Później odkryła na ramionach ciemne siniaki w miejscach, gdzie ją ścisnął). Zaskoczona, tylko gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy rzucił ją na ziemię i nakrył własnym ciałem. Rozległ się potężny łoskot, jakby rozstąpiła się ziemia albo wybuchł wulkan. W niebo wystrzelił słup białego dymu. Clary usłyszała głośne bębnienie. Przez chwilę myślała, że zaczęło padać, ale szybko się zorientowała, że to gruz, ziemia i rozbite szkło. Szczątki domu fruwały wokół nich jak śmiercionośny grad.

Leżąc na niej, Jace przycisnął ją mocniej do ziemi. Bicie jego serca było w jej uszach prawie tak głośne jak huk walących się murów.

\*\*\*

Łoskot ucichł powoli jak dym rozwiewający się w powietrzu. Zastąpiło go głośne ćwierkanie wystraszonych ptaków. Ponad ramieniem Jace'a Clary widziała je krążące na tle ciemnego nieba.

– Jace, chyba gdzieś zgubiłam stelę – powiedziała cicho.

Dźwignął się na łokciu i spojrzał na nią z góry. Nawet w ciemności Clary widziała swoje odbicie w jego oczach. Twarz miał pokrytą sadzą i brudem, kołnierz koszuli rozdarty.

– Nie szkodzi. Najważniejsze, że nic ci nie jest.

– Nic mi nie jest. – Bez zastanowienia uniosła rękę i lekko przesunęła palcami po jego włosach.

Poczuła, że mięśnie Jace'a się napinają. Jego oczy pociemniały.

– Miałaś trawę we włosach – wyjaśniła.

W ustach miała sucho. W jej żyłach krążyła adrenalina. Ostatnie wydarzenia – śmierć anioła, zawalenie się domu – wydawały się mniej realne niż to, co zobaczyła w oczach Jace'a.

– Nie powinnaś mnie dotykać – wyszeptał.

Zamarła z dłonią przytuloną do jego policzka.

– Dlaczego?

– Dobrze wiesz dlaczego. – Odsunął się od niej i przetoczył na plecy. – Widziałaś to, co ja, prawda? Przeszłość, anioła. Naszych rodziców.

Po raz pierwszy tak ich nazwał. Nasi rodzice. Clary przekręciła się na bok. Chciała wyciągnąć do niego rękę, ale nie była pewna, czy powinna. Jace popatrzył w niebo.

– Tak, widziałam.

– Wiesz, kim jestem. – Te słowa zostały wypowiedziane szeptem pełnym udręki. – W części demonem. Demonem. Rozumiesz to? – Jego spojrzenie przewiercało ją teraz na wskroś. – Widziałaś, co próbował zrobić Valentine. Wykorzystał krew demona, jeszcze zanim się urodziłem. Jestem potworem.

Clary przypomniały się słowa Valentine'a: „Powiedziała mi, że jej pierwsze dziecko zmieniłem w potwora”.

– Czarownicy też są w części demonami – zauważyła. – Jak Magnus. To nie czyni ich złymi...

– Ale nie mają w sobie krwi Wielkich Demonów. Słyszałaś, co mówiła tamta kobieta. „Ona wypali jego ludzkie cechy, tak jak trucizna wypala z niej życie”.

– To nieprawda. – Głos Clary drżał. – Niemożliwe. To nie ma sensu...

– Ale tak jest. – Na twarzy Jace'a malowały się wściekłość i rozpacz. Srebrny łańcuszek na jego nagiej szyi jarzył się białym blaskiem w świetle gwiazd. – To wszystko wyjaśnia.

– Wyjaśnia, dlaczego jesteś takim wyjątkowym Nocnym Łowcą? Dlaczego jesteś lojalny, nieustraszony, uczciwy i nie masz w sobie nic z demona?

– Wyjaśnia to, co czuję do ciebie – powiedział spokojnie Jace.

– Co masz na myśli?

Jace milczał przez dłuższą chwilę, patrząc na nią z niewielkiej odległości, która ich dzieliła. Choć jej nie dotykał, Clary czuła się tak, jakby nadal leżał tuż obok niej.

– Jesteś moją siostrą – rzekł w końcu. – Moją siostrą, moją krwią, moją rodziną. Powinienem cię chronić – zaśmiał się bez krzty wesołości – chronić przed chłopcami, którzy pragną robić z tobą to, co ja bym chciał.

Clary zaparło dech.

– Mówiłeś, że od tej pory chcesz być tylko moim bratem.

– Kłamałem. Demony kłamią, Clary. Wśród ran odnoszonych przez Nocnych Łowców, są również wewnętrzne, od demonicznej trucizny. Nie wiesz, co się dzieje z tobą złego, ale w środku powoli wykrwawiasz się na śmierć. Właśnie tak to jest być twoim bratem.

– A Aline...

– Musiałem spróbować. I zrobiłem to. – Jego głos był bez życia. – Ale Bóg wie, że nie pragnę nikogo oprócz ciebie. Nawet nie chcę pragnąć nikogo oprócz ciebie. – Wyciągnął rękę,

przesunął lekko palcami po jej włosach, musnął opuszkami policzek. – Teraz przynajmniej wiem dlaczego.

– Ja też nie chcę nikogo oprócz ciebie – wyszeptała Clary.

Na chwilę przestał oddychać. Powoli dźwignął się na łokciach. Spojrzał na nią z góry i jego twarzy się zmieniła. Pojawił się na niej wyraz, którego Clary nigdy wcześniej nie widziała, a w oczach dziwne światło. Zsunął dłoń z jej policzka na wargi, powiódł po nich czubkiem palca.

– Chyba nie powinnaś mi tego mówić.

Nic nie odpowiedziała. Nie chciała żądać, żeby przestał. Miała dość odmawiania Jace'owi. Tego, że nie pozwalała sobie czuć tego, co chciało czuć jej serce. Niezależnie od ceny.

Pochylił się, musnął ustami jej policzek... i nawet ten lekki dotyk sprawił, że przeszedł ją dreszcz.

– Jeśli chcesz mnie powstrzymać, zrób to teraz – wyszeptał Jace.

Kiedy milczała, przesunął wargami po jej skroni.

– Albo teraz. – Pocałował ją w policzek. – Albo teraz. – Jego usta znalazły się na jej ustach. – Albo...

Clary przyciągnęła go do siebie, tak że reszta jego słów zginęła w jej ustach. Pocałował ją delikatnie, ale ona nie pragnęła delikatności, nie teraz, nie po całym tym czekaniu. Zaciśnęła dłonie na jego koszuli, przygarnęła go mocniej. Jace jęknął cicho, z głębi gardła, objął ją, przytulił. Razem potoczyli się po trawie, spleceni, całując się. Clary bolała ręka po upadku z okna, w jej plecy wbijały się kamienie, ale na nic nie zwracała uwagi. Istniał tylko Jace. Czuła, oddychała, pragnęła i widziała tylko Jace'a. Nic innego się nie liczyło.

Żar jego ciała palił ją nawet przez grubą tkaninę płaszcza. Ściągnęła z niego kurtkę, potem koszulę. Dłońmi zaczęła badać jego ciało, tak jak ustami badała usta. Miękka skóra na smukłych mięśniach, szramy jak cienkie druciki. Dotknęła blizny w kształcie gwiazdy na ramieniu Jace'a. Była gładka i płaska, a nie wypukła jak inne. To były niedoskonałości, ale Clary nie odbierała ich w ten sposób. Były historią wypisaną na jego ciele, mapą życia poświęconego niekończącej się wojnie.

Drżącymi rękami Jace zaczął majstrować przy guzikach jej płaszcza. Clary chyba nigdy wcześniej nie widziała, żeby trzęsły mu się dłonie.

– Ja to zrobię – powiedziała i sięgnęła do ostatniego guzika. Kiedy się podniosła, coś zimnego i metalicznego wbiło się jej w obojczyk. Krzyknęła zaskoczona.

– Co się stało? – Jace zamarł. – Zrobiłem ci krzywdę?

– Nie. To było to. – Dotknęła srebrnego łańcuszka wiszącego na jego szyi. Na końcu wisiał mały krążek ze srebra. Przyjrzała mu się teraz uważniej.

Ten pierścień, zniszczona metalowa obrączka z wzorem w postaci gwiazd... Znała go.

Pierścień Morgensternów. Ten sam, który lśnił w ręce Valentine'a we śnie pokazanym im przez anioła. Należał do ojca Jace'a, a on, zgodnie z rodzinną tradycją, dał go synowi.

– Przepraszam. – Jace przesunął palcem po jej policzku, wpatrując się w nią rozpalonym wzrokiem. – Zapomniałem, że noszę tę przeklętą rzecz.

Clary nagle poczuła chłód w żyłach.

– Jace, nie – powiedziała cicho.

– Co nie? Mam nie nosić tego pierścienia?

– Nie, nie dotykaj mnie. Przestań na chwilę.

Jego twarz znieruchomiała, oczy zgasły, ale nic nie odpowiedział, tylko zabrał rękę.

– Jace, dlaczego? – zapytała Clary. – Dlaczego teraz?

Rozchylił usta ze zdziwienia. Clary dostrzegła ciemny ślad w miejscu, gdzie przygryzł dolną wargę – a może ona mu to zrobiła?

– Co teraz?

– Mówiłeś, że między nami nic nie ma. Że jeśli my... jeśli pozwolimy sobie czuć to, na co mamy ochotę, będziemy ranić wszystkich, na których nam zależy.

– Już ci powiedziałem, że kłamałem. – Jego oczy złagodniały. – Myślisz, że nie chcę...

– Nie. Nie jestem głupia. Wiem, że chcesz. Ale co miałeś na myśli, kiedy powiedziałeś, że teraz nareszcie rozumiesz, dlaczego czujesz do mnie to, co czujesz?

Musiała zapytać, usłyszeć to z jego ust.

Jace ujął ją za nadgarstki i uniósł jej dłonie do swojej twarzy, splótł palce z jej palcami.

– Pamiętasz, co powiedziałem u Penhallowów? Że najpierw coś robisz, a potem myślisz? Że niszczysz to, czego się tkniesz?

– Nie zapomniałam, ale dzięki, że mi przypomniałeś.

Jace nie zwrócił uwagi na sarkazm w jej głosie.

– Nie mówiłem o tobie, Clary, tylko o sobie. Taki właśnie jestem. – Gdy lekko obrócił głowę, jej palce przesunęły się po jego policzku. – Przynajmniej teraz rozumiem, dlaczego. Wiem, co jest ze mną nie tak. I może... może dlatego tak bardzo cię potrzebuję. Bo jeśli

Valentine uczynił mnie potworem, z ciebie pewnie zrobił coś w rodzaju anioła. A Lucyfer kochał Boga, prawda? Tak w każdym razie twierdzi Milton.

Clary wciągnęła z sykiem powietrze.

– Nie jestem aniołem. A ty nawet nie wiesz, do czego Valentine użył krwi Ithuriela. Może chciał jej dla siebie...

– Powiedział, że krew jest „dla mnie i moich” – przypomniał cicho Jace. – To wyjaśnia, dlaczego potrafisz to, co potrafisz, Clary. Królowa Jasnego Dworu powiedziała, że oboje jesteśmy eksperymentami. Nie tylko ja.

– Nie jestem aniołem – powtórzyła Clary. – Nie oddaję książek do biblioteki. Kradnę nielegalną muzykę w Internecie. Kłamię мамie. Jestem całkiem zwyczajna.

– Nie dla mnie. – Spojrzał na nią z góry. W wyrazie jego twarzy nie było śladu zwykłej arogancji. Clary jeszcze nigdy nie widziała, żeby wyglądał tak bezbronnie, ale nawet ta bezbronność była zmieszana z nienawiścią do samego siebie, głęboką jak rana. – Clary, ja...

– Zejdź ze mnie – powiedziała.

– Co?

Pragnienie w oczach Jace’a rozpadło się na tysiące kawałków jak lustro Bramy w Renwick. Przez chwilę na jego twarzy malowały się pustka i zdumienie. Clary nie mogła na niego patrzeć i wciąż mówić „nie”. Nawet gdyby nie była w nim zakochana, ta część jej, która czyniła ją nieodrodną córką Jocelyn, kochającej każdą piękną rzecz tylko dla jej urody, nadal by go pragnęła.

Ale właśnie dlatego, że była córką swojej matki, nie mogła nawet o tym myśleć.

– Słyszałeś. I puść moje ręce. – Wyszarpnęła je i zacisnęła w pięści, żeby przestały drżeć.

Jace się nie poruszył, tylko wykrzywił wargi. Przez chwilę Clary widziała w jego oczach znajomy drapieźny błysk, ale teraz połączony z gniewem.

– Pewnie nie zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego?

– Myślisz, że mnie pragniesz, tylko dlatego, że nie jesteś człowiekiem. Po prostu chcesz czegoś, za co mógłbyś siebie nienawidzić. Nie pozwolę, żebyś mnie wykorzystał do udowodnienia sobie, jaki jesteś bezwartościowy.

– Nigdy tego nie mówiłem. Nigdy nie mówiłem, że cię wykorzystuję.

– Dobrze. Powiedz mi teraz, że nie jesteś potworem. Powiedz, że z tobą jest wszystko w porządku. Powiedz, że pragnąłbyś mnie, nawet gdybyś nie miał w sobie demonicznej krwi.

Bo ja nie mam demonicznej krwi, a mimo to cię pragnę.

Ich spojrzenia się zwały – jego wściekle, jej wyzywające. Przez chwilę żadne z nich nie oddychało. Potem Jace zerwał się z niej i wstał. Chwytał koszulę z trawy i wciągnął ją przez głowę. Nadal rozgniewany, rozejrzał się za kurtką.

Clary też podniosła się z ziemi, trochę chwiejnie. Ostry wiatr przyprawiał ją o gęsią skórkę. Nogi miała jak ze stopionego wosku. Zdrętwiałymi palcami zapięła płaszcz, walcząc ze łązami. Płacz nic by teraz nie pomógł.

Powietrze było pełne kurzu i popiołu, cała trawa usłana gruzem, roztrzaskanymi meblami, stronicami książek fruującymi żalobnie na wietrze, drzazgami złoconego drewna, połową schodów, o dziwo, nieuszkodzonych. Clary spojrzała na Jace'a. Z dziką satysfakcją odkopywał śmieci na boki.

– Jesteśmy załatwieni – warknął.

Clary zamrugnęła. Nie takiej reakcji się spodziewała.

– Co?

– Pamiętasz, że zgubiłaś moją stelę? Teraz jest wykluczone, żebyś narysowała Bramę. – Mówił to z gorzką przyjemnością, jakby cała ta sytuacja go cieszyła. – Nie mamy jak wrócić. Będziemy musieli iść pieszo.

\*\*\*

Nawet w normalnych okolicznościach nie byłby to przyjemny spacer. Przyzwyczajona do miejskich świateł Clary nie mogła uwierzyć, jak ciemna potrafi być noc w Idrisie. Gęste czarne cienie ciągnące się po obu stronach drogi jakby się roiły od niewidocznych istot. Mimo magicznego światła Jace'a widziała tylko na kilka stóp przed sobą. Tęskniła za latarniami ulicznymi, za blaskiem reflektorów, za odgłosami miasta. Tutaj słyszała tylko chrzęst butów na żwirze i od czasu do czasu swój cichy okrzyk, kiedy potykała się o kamień.

Po kilku godzinach rozboleły ją stopy, usta miała suche jak pergamin. W dodatku bardzo się ochłodziło, tak że kuliła się, drżała i wciskała dłonie głęboko w kieszenie płaszcza. Ale nawet to wszystko byłoby do zniesienia, gdyby Jace z nią rozmawiał. Niestety, nie odezwał się, odkąd opuścili rezydencję, nie licząc burknień, gdzie skręcić na rozwidleniu, albo ostrzeżeń przed wybojami. Clary wątpiła, czy obeszłoby go, gdyby wpadła w dziurę, a jeśli nawet, to tylko dlatego, że opóźniłaby ich marsz.

W końcu niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć. Clary, która wlokła się na pół śpiąca, zaskoczona uniosła głowę.

– Za wcześnie jak na świt – zauważyła.

Jace spojrział na nią z lekceważeniem.

– Słońce nie wstanie jeszcze przez co najmniej trzy godziny. To są światła Alicante.

Czując wielką ulgę, że są blisko domu, Clary nie zwróciła uwagi na jego ton. Przyspieszyła kroku. Wkrótce znaleźli się na szerokiej gruntowej drodze, która biegła po zboczu wzgórza i znikła w oddali za kolejnym zakrętem. Choć miasta nie było jeszcze widać, zrobiło się jaśniej. Niebo barwiła dziwna czerwona poświata.

– Musimy być blisko – stwierdziła Clary. – Jest jakiś skrót ze wzgórza?

Jace zmarszczył brwi.

– Coś jest nie w porządku – powiedział nagle.

Zaczął niemal biec. Spod jego butów wzbijały się kłęby kurzu, które w osobliwym świetle połyskiwały ochrą. Clary pobiegła za nim, nie zważając na protesty stóp pokrytych pęcherzami. Gdy pokonali zakręt, Jace zatrzymał się tak raptownie, że Clary na niego wpadła. W innych okolicznościach mogłoby to być komiczne. Teraz nie było.

Czerwony blask oświetlał wzgórze, na którym stali, tak że zrobiło się jasno jak w dzień. Pióropusze dymu snuły się po dolinie niczym rozkładający się ogon czarnego pawia. Z tego ciemnego oparu wyrastały demoniczne wieże Alicante. Ich krystaliczne powłoki wyglądały jak ogniste strzały przeszywające zadymione powietrze. Clary dostrzegła skaczące tu i ówdzie w górę szkarłatne płomienie, rozrzucone po mieście jak lśniące klejnoty na czarnym płótnie.

Choć to wydawało się niewiarygodne, stali na wzgórzu nad Alicante, a w dole płonęło miasto.

# Część druga

## Mroczne światło gwiazd

ANTONIO:

Naprawdę musisz jechać? A może jednak wybiorę się z tobą?

SEBASTIAN:

Nie gniewaj się, ale nie. Moim życiem rządzą ciemne gwiazdy; złośliwość mojego losu mogłaby udzielić się twojemu; pozwól więc, że sam będę znosił swoje nieszczęścia. Gdybym któreś z nich zważył na ciebie – źle bym ci się odwdzieczył za przyjaźń.

– William Szekspir, „Wieczór trzech króli”

(przekład: Stanisław Barańczak)



## 10

### Ogień i miecz

– Jest późno – stwierdziła z niepokojem Isabelle, odsuwając koronkową zasłonę z wysokiego okna salonu. – Już powinien wrócić.

– Bądź rozsądna, Isabelle – rzucił Alec braterskim tonem wyższości, który sugerował, że ona jest podatna na histerię, a on zawsze całkowicie opanowany.

Nawet jego postawa – pólleżał w jednym z wyściełanych foteli przy kominku, jakby nic go nie obchodziło – miała świadczyć o jego stoickim spokoju.

– Jace zawsze tak robi, kiedy jest zdenerwowany. Wychodzi i się włóczy. Powiedział, że idzie na spacer. Wróci.

Isabelle westchnęła. Chciała, żeby rodzice już wrócili, lecz oni nadal przebywali w Gard. Nie wiadomo o czym dyskutowało Clave, ale spotkanie Rady bardzo się przeciągało.

– On zna Nowy Jork, a nie Alicante...

– Pewnie zna je lepiej niż ty – odezwała się Aline.

Siedziała na kanapie i czytała książkę oprawioną w ciemnoczerwonej skórze. Czarne włosy miała ściągnięte do tyłu i zaplecione we francuski warkocz, wzrok utkwiony w tomie rozłożonym na kolanach. Isabelle, która nie przepadała za czytaniem, zawsze zazdrościła innym umiejętności zatopienia się w lekturze. Było wiele rzeczy, których zazdrościła Aline. Po pierwsze, tego, że jest drobna, ładna i delikatna, i nie wygląda jak Amazonka, do tego tak wysoka, że na obcasach góruje nad prawie każdym chłopcem. Z drugiej strony, ostatnio Isabelle uświadomiła sobie, że niekoniecznie musi tylko nie lubić innych dziewczyn, zazdrościć im albo ich unikać. – Mieszkał tu przez dziesięć lat. Wy byliście tu tylko kilka razy z wizytą.

Isabelle zmarszczyła brwi i uniosła rękę do szyi. Wisiołek na łańcuszku zaczął ostro pulsować. Normalnie działało się tak tylko w obecności demonów, a przecież znajdowali się w Alicante, więc w pobliżu nie mogło być żadnych demonów. Może naszyjnik źle działał.

– Tak czy inaczej, nie sądzę, żeby się włóczył – powiedziała. – Myślę, że jest całkiem oczywiste, dokąd poszedł.

– Myślisz, że do Clary? – zapytał Alec.

– A ona jeszcze tu jest? Miała wrócić do Nowego Jorku. – Aline zamknęła książkę. – A gdzie właściwie się zatrzymała?

Isabelle wzruszyła ramionami.

– Zapytaj jego – odparła, spoglądając na Sebastiana.

Sebastian leżał na kanapie naprzeciwko Aline. Też trzymał w ręce książkę i pochylał nad nią ciemną głowę. Uniósł wzrok, jakby wyczuł, że Isabelle na niego patrzy.

– Mówiłaś o mnie? – zapytał łagodnie.

Wszystko w Sebastianie jest łagodne, pomyślała z lekką irytacją Isabelle. Z początku zrobił na niej wrażenie jego wygląd – ostro zarysowane kości policzkowe i czarne, niezgłębione oczy – ale teraz jego miła, życzliwa osobowość tylko ją drażniła.

Nie lubiła chłopców, którzy nigdy się nie złościли. W jej świecie wściekłość oznaczała namiętność, czyli dobrą zabawę.

– Co czytasz? – spytała tonem ostrzejszym, niż zamierzała. – To jeden z komiksów Maxa?

– Tak. – Sebastian spojrział na egzemplarz „Angel Sanctuary” leżący na poręczu kanapy. – Podobają mi się rysunki.

Isabelle sapnęła z irytacją. Alec zmierzył ją wzrokiem i powiedział:

– Sebastianie... czy Jace wie, gdzie dzisiaj byłeś?

– Masz na myśli wycieczkę z Clary? – Sebastian wyglądał na rozbawionego. – Posłuchaj, to żaden sekret. Powiedziałbym Jace’owi, gdybym go spotkał.

– Nie rozumiem, dlaczego miałoby go to obchodzić. – Aline odłożyła książkę. W jej głosie brzmiało napięcie. – Sebastian nie zrobił przecież nic złego. Co w tym dziwnego, że chciał pokazać Clarissie Idris przed jej powrotem do domu? Jace powinien być zadowolony, że jego siostra się nie nudzi.

– On potrafi być bardzo... opiekuńczy – stwierdził po lekkim wahaniu Alec.

Aline zmarszczyła brwi.

– Powinien się zastanowić. Taka opiekuńczość nie może być dla niej dobra. Gdy sobie przypomnę jej minę, kiedy się na nas natknęła... Zupełnie jakby nigdy wcześniej nie widziała, jak ktoś się całuje. Kto wie, może nie widziała.

– Widziała – zapewniła ją Isabelle, wspominając pocałunek Jace’a i Clary na Jasnym Dworze. Nie lubiła o tym myśleć. Nie bawiło jej rozpamiętywanie własnych smutków, a tym bardziej innych ludzi. – Nie o to chodzi.

– Więc o co? – Sebastian wyprostował się i odgarnął z oczu ciemny kosmyk. Isabelle coś dostrzegła na jego dłoni... czerwoną kreskę podobną do blizny. – Chodzi o to, że Jace mnie nienawidzi? Bo nie wiem...

– To moja książka – przerwał mu dziecięcy głos.

W drzwiach salonu stał Max. Miał na sobie szarą piżamę, jego brązowe włosy były potargane, jakby właśnie się obudził. Patrzył gniewnie na mangę leżącą obok Sebastiana.

– Ta? – Sebastian sięgnął po „Angel Sanctuary”. – Masz, dzieciaku.

Max przeszedł przez pokój i wyrwał mu książkę z ręki, łypiąc na niego spode łba.

– Nie nazywaj mnie dzieciakiem.

Sebastian roześmiał się i wstał z kanapy.

– Idę po kawę – oznajmił, kierując się do drzwi. W progu zatrzymał się i odwrócił. – Ktoś coś jeszcze chce?

Gdy usłyszał chór zaprzeczeń, wzruszył ramionami i zniknął w kuchni.

– Max, nie bądź niegrzeczny – upomniała go ostrym tonem siostra.

– Nie lubię, kiedy inni dotykają moich rzeczy. – Chłopiec przytulił komiks do piersi.

– Dorośnij, Max. – Isabelle mówiła głosem bardziej zirytowanym, niż zamierzała. Martwiła się o Jace’a i wiedziała, że wyżywa się na młodszym bracie. – Zresztą powinieneś być w łóżku. Jest późno.

– Na wzgórzu były hałasy. Obudziły mnie. – Max zamrugał. Bez okularów wszystko wydawało mu się zamazane. – Isabelle...

Siostra odwróciła się od okna.

– Co?

– Czy ludzie z jakiegoś powodu wchodzą na demoniczne wieże?

Aline podniosła wzrok.

– Na demoniczne wieże? – Roześmiała się. – Skąd taki pomysł? Po pierwsze, to nielegalne, a po drugie, po co ktoś miałby to robić?

Aline nie ma zbyt dużo wyobraźni, doszła do wniosku Isabelle. Ona sama znalazłaby wiele powodów, żeby wspiąć się na demoniczne wieże, choćby tylko po to, żeby splunąć gumą do żucia na przechodniów w dole.

Max zmarszczył brwi.

– Ale ktoś to robił. Widziałem...

– Pewnie tylko ci się przyśniło – stwierdziła Isabelle.

Chłopcu zrzędała mina. Widząc, co się święci, Alec wstał i wyciągnął rękę do brata.

– Chodź, Max – powiedział z czułością. – Zaprowadzę cię do łóżka.

– Wszyscy powinniśmy iść spać – oświadczyła Aline, wstając z kanapy. Podeszła do okna, stanęła obok Isabelle i stanowczym gestem zaciągnęła zasłony. – Już prawie północ. Nie wiadomo, kiedy wrócą z Rady. Nie ma sensu siedzieć...

Wisiołek na szyi Isabelle znowu zaczął mocno pulsować... Chwilę później okno roztrzaskało się z hukiem. Aline krzyknęła, kiedy przez ziejący otwór sięgnęły do środka ręce... a właściwie nie ręce, z przerażeniem stwierdziła Isabelle, tylko wielkie łapy pokryte łuskami, zbroszone krwią i czarnym płynem. Chwyciły dziewczynę i wyciągnęły ją na zewnątrz, zanim zdążyła wydać z siebie drugi okrzyk.

Isabelle skoczyła po bicz z elektrum leżący na stoliku przy kominku. Po drodze ominęła Sebastiana, który w tym momencie wypadł z kuchni.

– Weź broń! – wrzasnęła, widząc jego osłupiałą minę. – Rusz się! – Pobiegła do okna.

Stojący przy kominku Alec pociągnął do drzwi młodszego brata, który wyrывał mu się z krzykiem, próbując się uwolnić. Dobrze, pomyślała Isabelle. Zabierz stąd Maksa.

Przez wybite okno wpadało do środka zimne powietrze. Isabelle podciągnęła spódnicę i grubymi podeszwami butów wykopała resztę szkła z framugi. Następnie weszła na parapet i skoczyła. Z impetem wylądowała na kamiennym chodniku.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że ulica jest pusta. Wzdłuż kanału nie było latarni, oświetlenie pochodziło z okien pobliskich domów. Isabelle ostrożnie ruszyła naprzód, z batem zwiniętym przy boku. Miała go od tak dawna – był prezentem od ojca na dwunaste urodziny – że teraz niemal stanowił część jej ciała, płynne przedłużenie prawej ręki.

Cienie gęstniały, w miarę jak oddalała się od domu, kierując się w stronę mostu Oldcastle, który wznosił się łukiem nad kanałem Princewater. U jego podstawy zalegał mrok. Nagle coś się w nim poruszyło, coś białego i szybkiego.

Isabelle przedarła się przez niski żywopłot na końcu czyjegoś ogrodu i zeskoczyła na wąską ceglana dróżkę biegnącą pod mostem. Bat zajaśniał ostrym srebrzystym blaskiem i w jego poświacie zobaczyła Aline leżącą bezwładnie na brzegu kanału. Potężny łuskowaty demon przygniatał ją ciężarem jaszczurzego cielska i wciskał twarz w jej szyję...

Ale to nie mógł być demon. W Alicante nigdy ich nie było. Podczas gdy Isabelle patrzyła na niego z przerażeniem, stwór uniósł głowę i zaczął węszyć, jakby wyczuł jej obecność. Był ślepy. W miejscu, gdzie powinien mieć oczy, przez jego czoło, niczym zamek błyskawiczny, biegł gruby rząd żłobkowanych zębów. W dolnej części twarzy miał drugie usta, a w nich ociekające kły. Wąski ogon, którym machał na boki, połyskiwał. Kiedy Isabelle się zbliżyła, zobaczyła, że wzdłuż brzegów ogona ciągną się rzędy kości ostrych jak brzytwy.

Aline drgnęła i wydała z siebie zdławiony jęk. Isabelle załapała falą ulgi – była prawie pewna, że dziewczyna nie żyje – ale radość nie trwała długo. Kiedy Aline się poruszyła, Isabelle zobaczyła, że jej bluzka jest rozcięta z przodu. Na piersi widniały ślady pazurów. Drugą łapę stwór zaczepił o pasek jej dzinsów.

Isabelle ogarnęły mdłości. Demon nie próbował zabić Aline... Na razie. Bicz ożył w jej ręce niczym ognisty miecz anioła mściciela. Nocna Łowczyni rzuciła się przed siebie i smagnęła nim demona przez plecy.

Potwór zaskrzeczał i stoczył się z Aline. Natychmiast ruszył na przeciwniczkę, rozdziawiając obie paszcze, sięgając pazurami do jej twarzy. Isabelle zręcznie odskoczyła do tyłu i ponownie zamachnęła się batem. Cięła demona przez twarz, pierś i nogi. Na jego łuskowatej skórze pojawiły się liczne pręgi, ociekające krwią i posoką. Z górnych ust wystrzelił rozdwojony język, celując w twarz Nocnej Łowczyni. Na jego końcu znajdowało się coś w rodzaju żądła, jak u skorpiona. Isabelle lekko poruszyła nadgarstkiem i bat oplótł jadowity ozór pasami giętkiego elektrum. Demon zaczął wrzeszczeć, kiedy przeciwniczka mocniej zacisnęła zwoje i szarpnęła. Jęzor spadł z mokrym, nieprzyjemnym plaśnięciem na ceglana ścieżkę.

Isabelle zabrała bicz, a demon odwrócił się i uciekł, posuwając się naprzód szybkimi, węzowymi ruchami. Nocna Łowczyni pobiegła za nim. Demon znajdował się w połowie ścieżki, kiedy wyrósł przed nim ciemny kształt. Coś błysnęło w ciemności i stwór runął w drgawkach na ziemię.

Isabelle zatrzymała się gwałtownie. Nad leżącym demonem stała Aline z wąskim sztyletem w dłoni. Musiała nosić go przy pasie. Runy na ostrzu lśniły jak błyskawice, kiedy

zaczęła raz za razem wbijać nóż w drgające cielsko, aż potwór przestał się ruszać i po chwili zniknął.

Aline podniosła wzrok. Jej spojrzenie było puste. Dziewczyna nie sięgnęła do bluzki, żeby ją zapiąć na kilka ocalałych guzików. Z głębokich zadrapań na piersi ciekła krew.

Isabelle zagwizdała cicho.

– Aline, wszystko w porządku?

Dziewczyna wypuściła z ręki sztylet. Broń upadła ze szczękiem na ziemię, a Aline odwróciła się bez słowa i pobiegła w ciemność zalegającą pod mostem.

Zaskoczona Isabelle zaklęła cicho i popędziła za nią. Żałowała, że nie ma na sobie bardziej praktycznego stroju niż aksamitna suknia. Dobrze przynajmniej, że włożyła wysokie buty. Na obcasach raczej nie dogoniłaby Aline.

Po drugiej stronie ścieżki zaczynały się metalowe schody prowadzące na ulicę Princewater. Aline już dotarła na ich szczyt. Isabelle uniosła suknię i pobiegła za nią, stukając podszwami na stopniach. Na górze rozejrzała się za uciekinierką.

I wytrzeszczyła oczy. Znajdowała się u wlotu szerokiej ulicy, przy której stał dom Penhallowów. Już nie widziała Aline. Dziewczyna zniknęła w kłębiącym się tłumie ludzi. Nie tylko ludzi. Roily się tam również dziesiątki demonów, podobnych do jaszczurzych istot, jak ta, którą Aline zabiła pod mostem. Na ulicy leżały dwa albo trzy ciała, jedno zaledwie kilka stóp od Isabelle – mężczyzna z rozdartą klatką piersiową. Sądząc po siwych włosach, był stary. Oczywiście, pomyślała. Jej umysł pracował szybko mimo paniki. Wszyscy dorośli przebywali w Gard. W mieście zostały tylko dzieci, starzy i chorzy...

Powietrze o czerwonym zabarwieniu przesycił odór spalenizny, nocną ciszę rozdzierały krzyki i wrzaski. W całym szeregu domów wszystkie drzwi były otwarte. Wypadali z nich ludzie i zatrzymywali się w pół kroku na widok ulicy pełnej potworów.

To było niemożliwe, niewyobrażalne. Nigdy w historii Alicante ani jeden demon nie pokonał zabezpieczeń w postaci demonicznych wież. A teraz krążyły ich tutaj dziesiątki, setki, może więcej. Zalewały ulice jak trująca fala. Isabelle czuła się, jakby została schwytana w pułapkę o szklanych ścianach, przez które wszystko widziała, ale nie mogła nic zrobić. Patrzyła zmartwiała, jak demon chwyta biegnącego chłopca i wbija żłobkowane zęby w jego ramię.

Wrzaski chłopca zagłuszył narastający zgiełk: wycie demonów, nawoływania ludzi, tupot nóg, brzęk tłuczonego szkła. Ktoś wykrzykiwał słowa, których Isabelle nie mogła zrozumieć.

Coś o demonicznych wieżach. Spojrzała w górę. Wysokie iglice jak zawsze sterczały nad miastem, ale zamiast odbijać srebrne światło gwiazd albo chociaż czerwoną lunę nad płonącym miastem, były martwe i białe jak skóra trupa. Straciły cały blask. Po plecach Isabelle przebiegł dreszcz. Nic dziwnego, że ulice były pełne potworów. Jakimś cudem demoniczne wieże straciły moc. Czary, które chroniły Alicante przez tysiąc lat, przestały działać.

\*\*\*

Samuel zamilkł parę godzin wcześniej, ale Simon nadal nie spał. Wpatrywał się w ciemność, kiedy usłyszał krzyki.

Gwałtownie uniósł głowę i rozejrzał się niepewnie. Czyżby hałas mu się przyśnił? Nadstawił uszu, ale mimo dużo bardziej wrażliwego słuchu, nic nie usłyszał. Już miał położyć się z powrotem, kiedy znowu rozbrzmiały wrzaski, przeszywając jego uszy jak igły. Brzmiały tak, jakby pochodziły z zewnątrz Gard.

Stał na łóżku i wyjrzał przez okno. Zobaczył rozległy zielony trawnik, a w oddali lunę nad miastem. Zmrużył oczy. Coś było nie tak. Poświata wydawała się słabsza, niż zapamiętał, jakby przygaszona. Tu i ówdzie w mroku poruszały się jasne punkciki, jak igielki ognia sunące ulicami. Nad wieżami unosiła się jasna chmura, powietrze wypełniał zapach dymu.

– Samuel! – Simon usłyszał przestrach we własnym głosie. – Coś się stało.

Usłyszał trzask otwieranych drzwi i tupot nóg. Ochryple nawoływania. Przycisnął twarz do krat, kiedy za oknem zachrzęściły kamienie pod stopami. Nocni Łowcy przekrzykiwali się, pędząc w stronę miasta.

– Wieże nie działają! Wieże nie działają!

– Nie możemy opuścić Gard!

– Gard jest nieważne! Tam są nasze dzieci!

Głosy stawały się coraz słabsze. Simon odsunął się od okna.

– Samuelu! Czary...

– Wiem. Słyszałem. – Głos Samuela dochodzący zza ściany wcale nie był przestraszony, tylko zrezygnowany, może nawet lekko triumfujący. – Valentine zaatakował Clave w czasie obrad. Sprytne.

– Ale Gard jest ufortyfikowane. Dlaczego tutaj nie zostali?

– Słyszałeś. Bo w mieście są dzieci i starcy. Nie mogą ich tam zostawić.

Lightwoodowie. Simon pomyślał o Jasie, a zaraz potem o Isabelle, o jej drobnej, bladej twarzy pod czupryną czarnych włosów, o jej determinacji w walce, o dziecinnym X i O w liściku, który do niego napisała.

– Przecież uprzedzałeś ich, że tak się stanie. Dlaczego ci nie uwierzyli?

– Bo czary chroniące to ich religia. Nie wierzyć w ich moc to nie wierzyć, że są wyjątkowi, wybrani i strzeżeni przez Anioła. Równie dobrze mogliby uznać, że są zwykłymi Przyziemnymi.

Simon znowu wyjrzał przez okno, ale nic nie zobaczył przez gęstniejący dym. Już nie słyszał głosów na zewnątrz. Tylko z oddali dobiegały słabe krzyki.

– Chyba płonie miasto.

– Nie. – Głos Samuela był bardzo spokojny. – Myślę, że płonie Gard. To zapewne demoniczny ogień. Valentine wkrótce się tu zjawi.

– Ale... ktoś przyjdzie i nas wypuści, prawda? Konsul albo... Aldertree. Nie mogą nas tutaj zostawić na śmierć.

– Jesteś Podziemnym, a ja zdrajcą – przypomniał Samuel. – Naprawdę myślisz, że się o nas zatroszczą?

\*\*\*

– Isabelle! Isabelle!

Alec trzymał dłonie na ramionach siostry i potrząsał nią mocno. Isabelle powoli uniosła głowę. Na tle ciemności majaczyła blada twarz jej brata, zza jego prawego ramienia wystawał zakrzywiony łuk, ten sam, którym Simon zabił Wielkiego Demona Abaddona. Nie pamiętała, żeby widziała go na ulicy, nie pamiętała, żeby szedł w jej stronę. Było tak, jakby zmaterializował się przed nią niespodziewanie jak duch.

– Alec, przestań. – Mówiła wolno, niepewnie. – Przestań. Nic mi nie jest.

Odsunęła się od niego o krok.

– Nie wyglądasz dobrze. – Alec rozejrzał się i zaklął cicho. – Musimy się stąd wynosić. Gdzie Aline?

Isabelle zamrugała. Nigdzie nie było widać potworów. Ktoś siedział na frontowych stopniach domu naprzeciwko nich i wydawał z siebie głośne, zawodzące okrzyki. Ciało starca nadal leżało na ulicy, wszędzie unosił się odór demonów.



– Aline... jeden z demonów próbował... próbował... – Nabrała powietrza, zatrzymała je w płucach. Była Isabelle Lightwood. Nie wpadała w histerię, niezależnie od okoliczności. – Zabiłyśmy go, ale potem Aline uciekła. Próbowałam ją dogonić, ale nie dałam rady. – Spojrzała na brata. – W mieście są demony. Jak to możliwe?

– Nie wiem. – Alec potrząsnął głową. – Czary musiały zawieść. Kiedy wyszedłem z domu, natknąłem się na cztery demony Oni. Jeden czał się w krzakach. Inne uciekły, ale wróca. Chodź. Wracajmy do domu.

Osoba siedząca na ganku nadal rozpaczała. Płacz podążał za nimi, kiedy spieszyli do rezydencji Penhallowów. Na tej ulicy nie było demonów, ale słyszeli eksplozje, wrzaski i tupot stóp dochodzący z ciemnych zaułków. Kiedy dotarli do frontowych drzwi, Isabelle obejrzała się w chwili, kiedy z wąskiej przerwy między dwoma budynkami wystrzeliła długa wijąca się macka i porwała zawodzącą kobietę ze schodów. Jej szloch przeszedł w krzyk. Isabelle chciała rzucić się jej na ratunek, ale brat wepchnął ją przed sobą do domu, po czym zatrzaskał i zaryglował drzwi. W środku było ciemno.

– Zgasilem światła, żeby nie przyciągnąć więcej demonów – wyjaśnił Alec, popychając przed sobą Isabelle w stronę salonu.

Na podłodze przy schodach siedział Max, obejmując kolana ramionami. Sebastian stał przy oknie i polanami, które wziął z kominka, zabijał dużą dziurę ziejącą w szybie.

– No, powinno wytrzymać jakiś czas – stwierdził, cofając się i odkładając młotek na półkę z książkami.

Isabelle opadła na podłogę obok Maksa i pogłaskała go po głowie.

– Wszystko w porządku?

– Nie. – Oczy chłopca były wielkie i przestraszone. – Chciałem wyrzucić przez okno, ale Sebastian kazał mi się schować.

– Miał rację – powiedział Alec. – Na ulicy były demony.

– Nadal tam są?

– Nie, ale w mieście jest ich trochę. Musimy się zastanowić, co zrobić.

Sebastian zmarszczył brwi.

– Gdzie Aline?

– Uciekła – odparła Isabelle. – To moja wina. Powinnam była...

– To nie twoja wina – rzekł z naciskiem Alec. – Gdyby nie ty, już by nie żyła. Posłuchaj, nie mamy teraz czasu na samokrytycyzm. Idę poszukać Aline. Wy zostańcie tutaj. Isabelle, zajmij się Maksem. Sebastian, sprawdź cały dom.

– Nie chcę, żebyś szedł sam! – zaprotestowała Isabelle. – Weź mnie ze sobą.

– Jestem tu jedynym dorosłym. Ma być tak, jak mówię. Istnieje możliwość, że nasi rodzice w każdej chwili wrócą z Gard. Im więcej nas tu będzie, tym lepiej. Na zewnątrz coś mogłoby nas rozdzielić. Nie zamierzam ryzykować. – Przeniósł wzrok na Sebastiana. – Rozumiesz?

Sebastian już wyjmował stelę z kieszeni.

– Nałożę Znaki ochronne na dom.

– Dzięki. – Alec już był w połowie drogi do drzwi, ale odwrócił się jeszcze i spojrzał na siostrę. Przez chwilę na siebie patrzyli. Potem Alec wyszedł.

– Isabelle – odezwał się cichutko Max – twój nadgarstek krwawi.

Dziewczyna spojrzała na swą rękę. Nie pamiętała, żeby się zraniła, ale Max miał rację. Krew splamiła rękaw jej białej kurtki.

– Idę po stelę – oznajmiła Isabelle, wstając z podłogi. – Zaraz wrócę i pomogę ci z runami, Sebastianie.

Chłopak kiwnął głową.

– Przydałaby mi się pomoc. To nie moja specjalność.

Isabelle ruszyła na górę, nie pytając go, jaka jest jego specjalność. Czowała się potwornie zmęczona. W razie konieczności sama mogła sobie zrobić Znak dodający energii, ale Jace i Alec zawsze byli lepsi od niej w tego rodzaju runach.

Dotarłszy do swojego pokoju, zaczęła grzebać w rzeczach w poszukiwaniu steli i dodatkowej broni. Wsuwając w buty serafickie noże, pomyślała o Alecu i o spojrzeniu, które wymienili. Nie po raz pierwszy widziała, jak jej brat wychodzi, i miała świadomość, że może już nigdy go nie zobaczyć. Akceptowała to jako część swojego życia. W każdym razie tak było, dopóki nie poznała Clary i Simona. Wtedy zrozumiała, że dla większości ludzi śmierć nie jest stałym towarzyszem, zimnym tchnieniem na karku w najbardziej zwyczajne dni. Ona zawsze żywiła pogardę dla Przyziemnych, podobnie jak wszyscy Nocni Łowcy. Uważała, że są słabi, głupi, tchórzliwi, ale pełni samozadowolenia.

Teraz zastanawiała się, czy ta nienawiść nie brała się z zazdrości. Musiało być miło nie martwić się za każdym razem, kiedy ktoś z rodziny wychodził z domu.

Znajdowała się w połowie schodów, kiedy wyczuła, że coś jest nie w porządku. Salon był pusty. Na jednym z polan przybitych do roztrzaskanego okna widniał niedokończony Znak ochronny. Młotek zniknął.

Isabelle poczuła ucisk w żołądku.

– Max! – zawołała, obracając się w kółko. – Sebastian! Gdzie jesteście?

– Tutaj – dobiegł z kuchni głos Sebastiana.

Z ulgi aż zakręciło jej się w głowie.

– To nie jest zabawne – powiedziała, wchodząc do kuchni. – Myślałam, że...

Drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem. Tutaj było ciemniej niż w salonie. Isabelle wyczuła wzrok, ale zobaczyła tylko cienie.

– Sebastian? – Do jej głosu wkradła się niepewność. – Co tu robisz? Gdzie jest Max?

– Isabelle.

Wydawało się jej, że widzi jakiś ruch na tle jaśniejszych zasłon. Głos był cichy, miękki, niemal czuły. Nie zdawała sobie wcześniej sprawy, że jest taki piękny.

– Isabelle, przepraszam.

– Zachowujesz się dziwnie, Sebastianie. Przestań.

– Przykro mi, że to ty. Widzisz, z nich wszystkich ciebie lubiłem najbardziej.

– Sebastian...

– Z nich wszystkich – powtórzył tym samym cichym głosem. – Myślałem, że jesteś najbardziej podobna do mnie.

I opuścił rękę. Trzymał w niej młotek.

\*\*\*

Alec pędził przez ciemne, płonące ulice, wołając Aline. Kiedy zostawił za sobą dzielnicę Princewater i dotarł do centrum miasta, jego puls przyspieszył. Ulice wyglądały jak na płótnach Boscha, które nagle ożyły: pełne groteskowych, makabrycznych postaci i scen straszliwej przemocy. Obcy ludzie odpychali w panice Aleca na bok i pędzili przed siebie z krzykiem, na oślep. Powietrze cuchnęło dymem i demonami. Niektóre domy stały w płomieniach, inne miały wybite okna. Bruk zaścielało potłuczone szkło. Zbliżając się do jednego z budynków, Alec

zobaczył, że coś, co wziął za duży zacieł, to plama świeżej krwi na tynku. Rozejrzał się, ale nie zobaczył nic, co by tłumaczyło jej obecność. Tak czy inaczej, oddalił się pospiesznie.

Jako jedyny z młodych Lightwoodów pamiętał Alicante. Był niemowlęciem, kiedy stąd wyjechali, ale zachował wspomnienia lśniących wież, ulic pełnych śniegu w zimie, łańcuchów z magicznego światła oplatających sklepy i domy, fontanny z syreną przed Wielką Salą Anioła. Zawsze czuł ciepło w sercu na myśl o Alicante, nadzieję, że jego rodzina wróci kiedyś tam, gdzie jej miejsce. Zobaczyć miasto w takim stanie to był koniec wszelkiej radości. Kiedy skręcił w szerszy bulwar prowadzący do Sali Anioła, zobaczył stado Belialów, które uskoczyły pod arkady, sycząc i wyjąc. Ciągnęły coś za sobą po bruku. Alec puścił się za nimi biegiem, ale demony zniknęły. U podstawy kolumny leżał bezwładny kształt, obok niego rozlewała się kałuża krwi. Potłuczone szkło chrzęściło pod butami jak kamyki, kiedy Alec ukląkł i przewrócił ciało. Na widok fioletowej, wykrzywionej twarzy, zadrżał, ale jednocześnie odetchnął z ulgą, że to nikt znajomy.

Słyszac hałas, wstał. Wyczuł odór, zanim zobaczył zgarbiony, wielki cień sunący w jego stronę z drugiego końca ulicy. Wielki Demon? Nie czekał, żeby się o tym przekonać. Popędził do jednego z wyższych domów, wskoczył na parapet rozbitego okna. Kilka minut później wdrapywał się na dach. Ręce go bolały, kolana miał podrapane. Otrzeptał kurz z dłoni i spojrzal na Alicante.

Zniszczone demoniczne wieże górowały, ciemne i martwe, nad ulicami miasta, po których skakały, pełzały i biegały demony, jak karaluchy śmigające po pustym mieszkaniu. Inne czaiły się w cieniach między budynkami. Wiatr niósł krzyki, płacz i nawoływania mieszkańców, a oprócz nich wrzaski demonów, ich radosne wycie i skrzeczenie, które boleśnie raniło ludzkie uszy. Nad kamiennymi domami koloru miodu unosił się dym i spowijał iglice Wielkiej Sali Anioła. Spoglądając w kierunku Gard, Alec zobaczył Nocnych Łowców pędzących w dół ścieżką oświetloną przez magiczne światło. Clave szykowało się do bitwy.

Alec przeszedł na skraj dachu. Budynki stały tutaj bardzo blisko siebie, ich okapy niemal się stykały, więc zaczął po nich biec, przeskakując bez trudu z dachu na dach. Dobrze było czuć na twarzy chłodny wiatr, zabijający odór demonów.

Biegł przez kilka minut, zanim uświadomił sobie, że, po pierwsze, zbliżał się do białych iglic Sali Anioła, a po drugie, na placu między dwoma zaułkami dostrzegł, coś, co wyglądało jak

snop iskier. tyle że te były nie pomarańczowe, tylko ciemnoniebieskie. Już wcześniej widywał takie. Patrzył na nie przez chwilę, a potem przyspieszył kroku.

Dach domu stojącego najbliżej placu był bardzo spadzisty. Alec zsunął się po nim, zahaczając butami o luźne dachówki. Zawisł niebezpiecznie na jego brzegu i spojrzał w dół.

Pod nim znajdował się Plac Cysterny. Widok częściowo zasłaniał mu masywny metalowy słup sterczący z fasady w połowie budynku. Wisiał na nim drewniany szyld, huśtający się na wietrze. Plac roił się od Iblisów o żółtych płonących oczach, człekokształtnych, ale uformowanych z substancji podobnej do kłębiącego się czarnego dymu. Demony utworzyły szereg i zbliżały się wolno do człowieka w obszernym szarym płaszczu, zmuszając go do cofania się pod mur. Alec mógł tylko obserwować tę scenę. Wszystko w owej samotnej postaci było znajome: szczupłe plecy, strzecha ciemnych włosów, płomienie strzelające z palców jak roje świetlików.

Magnus. Czarownik miotał w Iblisy włócznie niebieskiego ognia. Jedna trafiła zbliżającego się demona w pierś. Stwór zadrżał, wydając dźwięk podobny do syku wody wylanej na płomienie, rozsypał się w popiół i zniknął. Jego miejsce zajęły inne – Iblisy nie były zbyt bystre – a Magnus cisnął w nie następną serię ognistych harpunów. Kilka stworów upadło, ale jeden z ich towarzyszy, bardziej przebiegły od pozostałych, zaszedł przeciwnika od tyłu i teraz szykował się do ataku...

Alec nie zastanawiał się ani chwili. Chwycił się brzegu dachu, skoczył prosto na metalowy pręt, złapał się go oburącz i na chwilę na nim zawisł, żeby spowolnić upadek. Następnie puścił drąg i opadł lekko na ziemię. Zaskoczony demon zaczął się odwracać. Jego oczy były jak jarzące się klejnoty. Alec zdążył tylko pomyśleć, że gdyby był Jace'em, rzuciłby jakąś dowcipną uwagę, zanim wyrwał seraficki nóż zza pasa i rzucił się na przeciwnika. Iblis wrzasnął i zniknął, a jego gwałtowne przejście do innego wymiaru sprawiło, że Aleca obsypał drobny popiół.

– Alec? – Magnus wytrzeszczył oczy. Zdążył się pozbyć pozostałych Iblisów, tak że na placu zostali tylko oni dwaj. – Czy ty... właśnie uratowałeś mi życie?

Alecowi przyszło do głowy, że powinien wygłosić tekst w rodzaju: „Oczywiście, bo jestem Nocnym Łowcą i wiem, co robię” albo: „To moja praca”. Jace właśnie coś takiego by powiedział. On zawsze potrafił znaleźć właściwe słowa. Natomiast gdy Alec się odezwał, zabrzmiało to jak skarga nadąsanego dziecka, nawet w jego własnych uszach.

– Nie oddzwoniłeś do mnie. Ja telefonowałem do ciebie wiele razy, a ty w ogóle nie odpowiedziałeś.

Magnus popatrzył na niego jak na wariata.

– Twoje miasto zostało zaatakowane. Czary ochronne przestały działać, ulice roją się od demonów, a ty chcesz wiedzieć, dlaczego do ciebie nie zadzwoniłem?

Alec zacisnął zęby.

– Tak, chcę wiedzieć, dlaczego do mnie nie oddzwoniłeś.

Magnus wyrzucił z irytacją ręce w górę. Alec zauważył, że przy tym geście kilka iskier wymknęło się z czubków jego palców, jak świetliki uciekające ze słoika.

– Jesteś idiotą.

– To dlatego do mnie nie zadzwoniłeś? Bo jestem idiotą?

– Nie. – Magnus ruszył w jego stronę. – Nie zadzwoniłem, bo mam dość tego, że interesuję cię tylko wtedy, gdy czegoś potrzebujesz. Mam dość tego, że jesteś zakochany w kimś innym. Kimś, kto nigdy ciebie nie pokocha. Tak jak ja.

– A ty mnie kochasz?

– Jesteś głupim Nefilim – stwierdził ze spokojem Magnus. – A co ja tutaj robię? Dlaczego przez kilka ostatnich tygodni wciąż leczę rany twoich dumnych przyjaciół? I ratuję was ze wszystkich niedorzecznych sytuacji, w jakie się pakujecie? Nie wspominając o tym, że pomogłem wam w bitwie z Valentine'em. I to wszystko za darmo!

– Nie patrzyłem na to w ten sposób – przyznał Alec.

– Oczywiście, że nie. Nie patrzysz na to w żaden sposób. – Kocie oczy Magnusa jarzyły się gniewem. – Mam siedemset lat, Alexandrze. Wiem, kiedy coś się nie układa. Nawet nie chcesz powiedzieć rodzicom o moim istnieniu.

Alec zmierzył go wzrokiem.

– Naprawdę masz siedemset lat? Myślałem, że trzysta!

– No, cóż, właściwie to osiemset – poprawił się Magnus. – Ale nie wyglądam na tyle. Zresztą nie w tym rzecz. Chodzi o to...

Alec nie dowiedział się, w czym rzecz, bo w tym momencie na placu pojawił się tuzin kolejnych Iblisów.

– Cholera – zaklął cicho.

Magnus podążył za jego wzrokiem. Demony o żółtych jarzących się oczach już otaczały ich półkolem.

– Niezły sposób na zmianę tematu, Lightwood.

– Wiesz, co ci powiem? – Alec sięgnął po drugi seraficki nóż. – Jeśli przeżyjemy, obiecuję, że przedstawię cię całej rodzinie.

Magnus uniósł ręce. Płomienie, które strzeliły z palców czarownika, rzuciły na jego twarz niebieską poświatę, oświetlając szeroki uśmiech.

– Umowa stoi.

## Wszystkie zastępy piekła

– Valentine – wyszeptał Jace.

Z pobladłą twarzą patrzył w dół na miasto. Clary wydawało się, że przez warstwy dymu widzi labirynt wąskich ulic, pełnych biegnących postaci, maleńkich czarnych mrówek śmigających rozpaczliwie tu i tam, ale kiedy spojrzała znowu, nie zobaczyła nic oprócz płomieni i gęstych chmur czarnego oparu.

– Myślisz, że to sprawka Valentine’a? – Gorzki dym drapał ją w gardle. – Wygląda mi to na pożar. Może sam wybuchł...

– Północna Brama jest otwarta, a jej nigdy tak się nie zostawia.

Jace wskazał ręką, ale Clary nic nie mogła dojrzeć z powodu odległości i dymu.

– Demoniczne wieże prawie całkiem straciły blask. Chyba przestały działać czary ochronne. – Wyjął zza pasa seraficki nóż i ścisnął go tak mocno, że jego kostki przybrały barwę kości słoniowej. – Muszę się tam dostać.

Clary ogarnął strach.

– Simon...

– Ewakuują go z Gard. Nie martw się. Pewnie ma lepiej niż wszyscy inni tam na dole. Demony raczej nie będą go atakować. One zostawiają Podziemnych w spokoju.

– Przepraszam – wyszeptała Clary. – Lightwoodowie... Alec... Isabelle...

– Jahael – powiedział Jace. Anielski sztylet rozjarzył się niemal dziennym blaskiem w jego lewej zabandażowanej dłoni. – Chcę, żebyś tu została. Wrócę po ciebie. – Gniew, który czaił się w jego oczach, odkąd opuścili dom Waylandów, teraz zniknął. W tym momencie Jace był tylko wojownikiem.

Clary potrząsnęła głową.

– Nie. Chcę iść z tobą.

– Clary... – Jace nagle cały zeszywniał.



Chwilę później Clary też usłyszała ciężkie, rytmiczne dudnienie. Nakładał się na nie dźwięk przypominający trzaskanie wielkiego ogniska. Minęło kilka sekund, zanim rozłożyła ten odgłos na części pierwsze jak utwór muzyczny na poszczególne nuty.

– To...

– Wilkołaki.

Clary podążyła za wzrokiem Jace'a i zobaczyła cień rozlewający się po najbliższym wzgórzu, rozświetlony tu i ówdzie przez płonące jasne oczy. Stado wilków, ogromne stado. Musiały być ich setki, może nawet tysięcy. Ich warczenie i wycie było tym dźwiękiem, który wzięła za trzask ognia. Narastał pośród nocy, ostry i niepokojący.

Żołądek podszedł Clary do gardła. Znała wilkołaki. Walczyła u ich boku. Ale to nie były wilki Luke'a, które miały przykazane nie robić jej krzywdy, tylko jej strzec. Pomyślała o straszliwej, zabójczej sile watahy Luke'a i raptem zaczęła się bać.

Jace zaklął pod nosem. Nie miał czasu sięgnąć po następną broń, więc przyciągnął Clary mocno do siebie, objął ją wolnym ramieniem, a drugą ręką uniósł Jahoela nad głowę. Światło ostrza było oślepiające.

Wilki już do nich dotarły. Było tak, jakby obok wielka fala rozbiła się o brzeg – nagły ogłuszający huk, pęd powietrza, płonące oczy, rozdziawione szczęki. Jace wbił palce w bok Clary...

A wilkołaki przepłynęły po obu ich stronach, o dobre dwie stopy omijając miejsce, w którym stali. Clary rozejrzała się z niedowierzaniem, kiedy dwa z nich – jeden smukły i zjeżony, drugi wielki i stalowoszary – opadły cicho na ziemię tuż za nimi, zatrzymały się na krótką chwilę i pobiegły dalej, nawet na nich nie patrząc. Wilki otaczały ich zewsząd, ale żaden ich nie tknął. Ich sierść połyskiwała srebrem w blasku księżyca, tak że wyglądały niemal jak rzeka cieni, która sunęła z hukiem w stronę Jace'a i Clary, a potem rozdzielała się i opływała ich z obu stron, jakby napotkała duży kamień. Nocni Łowcy równie dobrze mogliby być posągami, sądząc po tym, że wilkołaki zupełnie nie zwracały na nich uwagi, tylko pędziły przed siebie z otwartymi pyskami, wpatrzone w drogę.

Potem zniknęły. Zapadła cisza. Tylko z oddali dobiegały słabe odgłosy miasta.

Jace puścił Clary.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

– Co się stało? – wyszeptała Clary. – Te wilkołaki. One po prostu obok nas przebiegły...

– Pędzą do Alicante. – Jace wyjął zza pasa drugi seraficki nóż i podał go Clary. – Będzie ci potrzebny.

– Więc nie zostawisz mnie tutaj?

– To nie miałyby sensu. Nigdzie nie jest bezpiecznie. Ale... – Zawahał się. – Będziesz ostrożna?

– Będę – obiecała Clary. – Co teraz robimy?

Jace spojrział na płonące Alicante.

– Pobiegniemy.

\*\*\*

Nigdy nie było łatwo dotrzymać kroku Jace'owi, a teraz, kiedy biegł z prawie maksymalną szybkością, okazało się to niemożliwe. Clary wyczuła, że ze względu na nią Jace celowo zwalnia kroku, ale kosztuje go to dużo wysiłku.

U podstawy wzgórza teren się wyrównał i teraz droga wiała się przez zagajnik wysokich drzew o grubych konarach, tak że przypominała tunel. Gdy Clary dotarła do końca lasu, znalazła się pod Północną Bramą. Za jej łukiem widziała dym i skaczące płomienie. Jace czekał na nią z Jahoelem w jednej ręce i innym serafickim nożem w drugiej, ale nawet ich połączony blask wydawał się słaby przy łunie płonącego miasta.

– Strażnicy – wysapała Clary. – Dlaczego ich tu nie ma?

– Co najmniej jeden jest w zagajniku. – Jace wskazał brodą w kierunku, z którego przyszli. – W kawałkach. Nie, lepiej nie patrz. – Obrzucił ją krytycznym spojrzeniem. – Źle trzymasz nóż. Chwyć go tak. – Pokazał jej. – I musisz nadać mu imię. Może Cassiel?

– Cassiel – powtórzyła Clary i ostrze rozbłysło.

– Szkoda, że nie mam czasu, żeby cię podszkolić. Właściwie ktoś z tak niewielkim doświadczeniem nie powinien w ogóle używać serafickiego noża. Teraz, kiedy wiemy, co zrobił Valentine...

Clary nie chciała rozmawiać o tym, co zrobił Valentine.

– A może po prostu martwiłeś się, że jeśli mnie wyszkolisz, okażę się lepsza od ciebie.

Jace wykrzywił kącik usta w bladym uśmiechu.

– Cokolwiek się stanie, Clary, trzymaj się mnie – powiedział, patrząc na nią przez światło Jahoela. – Rozumiesz? – Jego oczy domagały się obietnicy.

Z jakiegoś powodu w pamięci Clary ożyło wspomnienie, jak całowali się na trawie w posiadłości Waylandów. Zdawało się, że to było miliony lat temu. I przydarzyło się komuś innemu.

– Będę przy tobie.

– Dobrze. – Jace odwrócił wzrok. – Chodźmy.

Przeszli wolno przez bramę, ramię przy ramieniu. Kiedy wkroczyli do miasta, Clary wyraźnie usłyszała odgłosy bitwy: ścianę dźwięku złożoną z ludzkich krzyków i nieludzkiego wycia, brzęku tłuczonego szkła i trzaskania ognia. Krew zaszumiała jej w uszach.

Dziedziniec tuż za bramą był pusty. Tu i ówdzie na bruku leżały nieruchome postacie. Clary starała się omijać je wzrokiem. Zastanawiała się, jak można stwierdzić, że ktoś jest martwy, nie przyglądając mu się uważnie. Martwe ciała nie są podobne do nieprzytomnych. Zawsze można wyczuć, że coś z nich uleciało, że brakuje iskry życia.

Jace ruszył przez dziedziniec – Clary zauważyła, że jej brat nie lubi otwartych, niechronionych przestrzeni – i dalej jedną z ulic, które od niego odchodziły. Tutaj było jeszcze więcej zniszczeń: okna sklepów rozbite, ich wnętrza splądrowane, towary rozrzucone po okolicy. W powietrzu unosił się zjełczały, mocny odór śmieci. Clary go znała. Świadczył o obecności demonów.

– Tędy – rzucił Jace.

Skręcili w kolejną, węższą ulicę. Na górnym piętrze jednego ze stojących przy niej budynków szalał pożar, choć domy po drugiej stronie wyglądały na nietknięte. Clary przypomniały się zdjęcia z londyńskich nalotów, kiedy to z nieba na chybił trafił spadała zagłada.

Uniosła głowę i zobaczyła, że forteca górująca nad miastem jest spowita gęstym czarnym dymem.

– Gard – powiedziała.

– Mówiłem ci, że ich ewakuują... – Jace urwał, kiedy dotarli do dużej alei.

Tutaj też leżały ciała, w tym kilka dziecięcych. Jace pobiegł w ich stronę, Clary podążyła za nim z wahaniem. Kiedy się zbliżyli, stwierdziła z ulgą – choć jednocześnie poczuła z tego powodu wyrzuty sumienia – że żadne z nich nie należy do Maksa. Obok ujrzeli trupa starszego mężczyzny z szeroko rozrzuconymi ramionami, jakby chronił dzieci własnym ciałem.

– Clary, odwróć się... powoli. – Jace miał stężałą twarz.

Posłuchała go. Tuż za nią znajdowało się rozbite okno sklepu. Lukrowane ciastka jeszcze niedawno zdobiące wystawę teraz wały się na ziemi pośród stłuczonego szkła. Bruk przecinały długie, różowe strugi krwi zmieszanej z lukrem. Ale nie przed tym ostrzegął ją Jace. Z okna wypełzało coś bezkształtnego, wielkiego i śliskiego. Wyposażonego w podwójny rząd zębów biegnących wzdłuż całego cielska oblepionego polewą i pokrytego tłuczonym szkłem niczym warstwą lśniącego cukru.

Demon wy dostał się z okna na bruk i zaczął pełznąć w ich stronę. Na jego widok Clary ogarnęły mdłości. Cofnęła się i omal nie wpadła na Jace'a.

– To Behemot – powiedział. – Zjadają wszystko.

– Jedzą...?

– Ludzi? Tak. Schowaj się za mnie.

Clary stanęła za Jace'em. Nie odrywała wzroku od Behemota. Było w nim coś, co budziło w niej wstręt większy niż inne demony, które do tej pory widziała. Wyglądał jak wielki, oślizły, bezoki ślimak z zębami. Ale przynajmniej nie poruszał się szybko. Jace nie powinien mieć z nim kłopotów.

Jakby ponaglony przez jej myśl, Jace skoczył do przodu i ciął Behemota serafickim nożem. Broń zagłębiła się w plecach stwora z takim dźwiękiem, jakby ktoś nadepnął przejrząły owoc. Demon wygiął się, zadrżał i raptem znalazł się kilka stóp od miejsca, gdzie był przed chwilą.

– Tego się obawiałem – mruknął Jace. – One są tylko w połowie cielesne. Trudno je zabić.

– Więc nie zabijaj. – Clary złapała go za rękaw. – Dobrze, że nie porusza się szybko. Wyośmy się stąd.

Jace niechętnie pozwolił odciągnąć się od przeciwnika. Zaczęli biec w kierunku, z którego przyszli...

Demon pojawił się przed nimi, blokując ulicę. Zdawało się, że jeszcze urósł. Wydobywał się z niego cichy głos, coś w rodzaju owadziego cykania.

– Chyba nie chce, żebyśmy sobie poszli – stwierdził Jace.

– Jace...

Ale on już biegł w stronę Behemota. Zrobił zamach Jahoelem, jakby chciał uciąć stworowi głowę, ale ten znowu zadrżał i zniknął. Tym razem zmaterializował się za Nocnym

Łowcą. Uniósł cielsko, pokazując brzuch jak u karalucha. Jace wykonał obrót i zadał silny cios serafickim nożem. Z rany trysnęła zielona ciecz, gęsta jak śluz.

Jace cofnął się o krok, krzywiąc się z odrazą. Behemot nadal wydawał z siebie ten sam cykający dźwięk. Nadal broczył zieloną ropą, ale nie wyglądał na cierpiącego. Ruszył na Nocnego Łowcę.

– Jace! – krzyknęła Clary. – Twój nóż...

Jace spojrzał w dół. Wydzielina demona pokrywała ostrze Jahoela, tłumiąc jego blask. Po chwili seraficki nóż zaskwierczał i zgasł jak ogień przysypany piaskiem. Jace zaklął i rzucił broń, żeby nie dotknąć paskudnej mazi.

Behemot znowu stanął pionowo, gotowy do ataku. Jace zrobił unik... i w tym momencie między niego i demona wskoczyła Clary, wymachując serafickim nożem. Dźgnęła stwora tuż pod rzędem zębów. Ostrze zanurzyło się w jego cielsku z mokrym, brzydkim dźwiękiem.

Clary odskoczyła gwałtownie, kiedy demon wpadł w drgawki. Wyglądało na to, że po każdej kolejnej ranie zmiana kształtu przychodzi mu z coraz większym trudem. Gdyby udało się im go ranić wystarczająco dużo razy...

Nagle kątem oka dostrzegła jakiś szybki ruch, błysk szarości i brązu. Nie byli sami na ulicy. Jace odwrócił się i wytrzeszczył oczy.

– Clary! – krzyknął. – Za tobą!

Clary okręciła się z płonącym Cassielem w ręce w chwili, kiedy wilk skoczył na nią z rozdziawioną paszczą, warcząc groźnie.

Jace coś krzyknął. Clary nie usłyszała co, ale zobaczyła dziki wyraz jego oczu. Uskoczyła w bok przed atakującym wilkiem, a ten przemknął obok niej z wyciągniętymi pazurami i ciałem wygiętym w łuk. Trafił w Behemota, powalił go na ziemię i zaczął szarpać zębami.

Demon wrzasnął czy też raczej wydał z siebie wysoki, zawodzący dźwięk, jakby z przekłutego balonu uszło powietrze. Wilk siedział na pokonanym wrogu, pysk miał zanurzony w jego oślizłym boku. Behemot zaczął się miotać w rozpaczliwym wysiłku, żeby zmienić kształt, ale napastnik mu na to nie pozwolił. Wbijał w niego szczęki i wrywał kawały galaretowatego ciała, nie zważając na śluzowatą wydzielinę. Behemot podjął ostatnią, desperacką próbę ratunku. Wpadł w takie drgawki, że aż szczękały jego złobkowane zęby... a potem zniknął, zostawiając po sobie trującą sadzawkę zielonego, parującego płynu.

Wilki wydał z siebie odgłos przypominający chrząknięcie i zmierzył spojrzeniem Nocnych Łowców. Jego oczy w blasku księżyca wyglądały na srebrne. Jace wyciągnął zza pasa następny nóż, uniósł go wysoko i nakreślił w powietrzu ognistą linię między nimi a wilkołakiem.

Wilki warknął, sierść na jego grzbiecie się zjeżyła.

Clary złapała Jace'a za ramię.

– Nie.

– To wilkołak...

– Zabił demona! Jest po naszej stronie!

Wyrwała się Jace'owi i zanim zdążył ją powstrzymać, zbliżyła się powoli do wilka z wyciągniętymi rękami. Przemówiła do niego cichym, spokojnym głosem.

– Przepraszam. Przepraszamy. Wiemy, że nie chcesz zrobić nam krzywdy. – Zatrzymała się przed wilkiem, który patrzył na nią pustym wzrokiem. – Kim jesteś? – spytała. Potem obejrzała się przez ramię na Jace'a i zmarszczyła brwi. – Możesz to odłożyć?

Jace zrobił taką minę, jakby chciał dobitnie oświadczyć, że w obliczu niebezpieczeństwa nie odkłada się płonącego serafickiego noża, ale zanim zdążył się odezwać, wilki zawarczał cicho i zaczął się podnosić. Jego nogi się wydłużyły, plecy wyprostowały, szczęka cofnęła. Po kilku sekundach stała przed nimi dziewczyna w poplamionej białej, luźnej sukni, z kręconymi włosami zaplecionymi w liczne warkoczyki, z blizną na szyi.

– Kim jesteś? – powtórzyła dziewczyna z urazą. – Nie mogę uwierzyć, że mnie nie rozpoznałaś. Przecież wilki nie wyglądają wszystkie tak samo. Ludzie!

Clary westchnęła z ulgą.

– Maia!

– To ja. Uratowałam wam tyłki, jak zwykle. – Uśmiechnęła się szeroko. Na wilczej sierści nie było tego widać, ale na brązowej skórze wyraźnie odznaczały się czarne i czerwone smugi od krwi i posoki. Maia położyła rękę na brzuchu. – Strasznie się spałam. Nie mogę uwierzyć, że pożałam całego demona. Mam nadzieję, że nie jestem alergiczką.

– Ale co ty tutaj robisz? – spytała Clary. – To nie znaczy, że nie cieszymy się na twój widok, ale...

– Nie wiesz? – Maia przeniosła zdumiony wzrok z Jace'a na Clary. – Luke nas tutaj sprowadził.

– Luke? – Clary wytrzeszczyła oczy. – Luke jest tutaj?

Maia pokiwała głową.

– Skontaktował się ze swoim stadem i paroma innymi, które przyszły mu na myśl. Powiedział nam, że musimy przybyć do Idrisu. Polecieliśmy do granicy i stamtąd ruszyliśmy pieszo. Inne stada przeszły przez Bramę do lasu i tam się spotkaliśmy. Luke wyjaśnił, że Nefilim będą potrzebowali naszej pomocy... – Zawiesiła głos. – Wiedzieliście o tym?

– Nie – odparł Jace. – I wątpię, czy Clave wie. Nie palą się do przyjmowania pomocy od Podziemnych.

Maia się wyprostowała. Jej oczy iskrzyły się gniewem.

– Gdyby nie my, wszyscy byście zginęli. Kiedy tu dotarliśmy, miasto nie było chronione...

– Daj spokój – przerwała jej Clary, karcąc Jace'a wzrokiem. – Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna, że nas uratowałaś, Maiu. Jace też, choć jest tak uparty, że wolałby wbić sobie serafickie ostrze w oko, niż to powiedzieć. I nie mów, że masz nadzieję, że tak zrobi – dodała pospiesznie, widząc minę dziewczyny. – Bo to wcale nam nie pomoże. Teraz musimy dotrzeć do domu Lightwoodów, a potem znaleźć Luke'a...

– Lightwoodów? Myślę, że są w Sali Anioła. Tam wszystkich ściągnęliśmy. W każdym razie widziałam Aleca. I czarownika również, tego z nastroszonymi włosami. Magnusa.

– Jeśli Alec tam jest, inni też muszą być.

Widząc ulgę na twarzy Jace'a, Clary chciała położyć dłoń na jego ramieniu, ale tego nie zrobiła.

– To rozsądne ściągnąć wszystkich do Sali Anioła. Jest strzeżona. – Wsunął seraficki nóż za pas. – Chodźmy.

\*\*\*

Clary rozpoznała wnętrze Wielkiej Sali Anioła w chwili, kiedy do niej weszła. Pamiętała ją ze snu. To właśnie tutaj tańczyła z Simonem, a potem z Jace'em.

Do tego miejsca próbowałam dotrzeć, kiedy przechodziłam przez Bramę, pomyślała, spoglądając na białe ściany i wysoki sufit z ogromnym świetlikiem, przez który widziała nocne niebo. Sala, choć bardzo duża, wydawała się mniejsza niż w jej śnie i dość obskurna. Stojąca pośrodku fontanna z syreną tryskała wodą, ale wyglądała na zaniedbaną. Prowadzące do niej schody były pełne ludzi, w tym wielu obandażowanych. Pomieszczenie roilo się od Nocnych

Łowców, biegających we wszystkie strony. Czasami zatrzymywali się, żeby spojrzeć w twarze mijanych osób, jakby szukali przyjaciół albo krewnych. Podłoga lepiała się od brudu, błota i krwi.

Ale najbardziej uderzyła Clary panująca tu cisza. Po kataklizmie w świecie Przyziemnych wszyscy wrzeszczeliby, zawadzili, nawoływali się nawzajem. Natomiast w Sali Anioła było prawie zupełnie cicho. Ludzie siedzieli w milczeniu, niektórzy z głowami ukrytymi w rękach, inni wpatrywali się w przestrzeń. Dzieci tuliły się do rodziców, ale żadne nie płakało.

Clary zauważyła coś jeszcze, kiedy szła przez salę z Jace'em i Maią. Przy fontannie stała w kręgu grupa niechłujnie wyglądających osób, które trzymały się z dala od reszty tłumu. Na ich widok Maia się uśmiechnęła.

– Moje stado! – wykrzyknęła i pobiegła do nich. Po paru krokach obejrzała się przez ramię na Clary. – Luke na pewno gdzieś tutaj jest. – Chwilę później zniknęła wśród swoich.

Clary zastanawiała się przez chwilę, co by się stało, gdyby przyłączyła się do kręgu wilkołaków. Powitaliby ją jako przyjaciółkę Luke'a czy byliby podejrzliwi jak wobec każdego Nocnego Łowcy?

– Nie – powiedział Jace, jakby czytał jej w myślach. – To nie jest dobry...

Ale Clary nie dowiedziała się, co nie jest dobre, bo rozległ się okrzyk „Jace!”. Obok nich pojawił się Alec zdyszany od przepychania się przez ciżbę. Ciemne włosy miał w nieładzie, w jego oczach malowała się ulga zmieszana z gniewem. Chwycił Jace'a za przód kurtki.

– Co się z tobą działo?

– Co mi się stało? – powtórzył urażonym tonem Jace.

Alec nim potrząsnął, wcale nie lekko.

– Powiedziałeś, że idziesz się przejść! Jaki spacer trwa sześć godzin?

– Długi?

– Mógłbym cię zabić – powiedział Alec, puszczając Jace'a. – Serio, myślę o tym.

– To by mnie niewiele nauczyło, nie sądzisz? – Jace się rozejrzał. – Gdzie są wszyscy?

Isabelle i...

– Isabelle i Max są u Penhallowów. Z Sebastianem. Mama i tata właśnie po nich tam idą. Aline jest tutaj, ze swoimi rodzicami, ale się nie odzywa. Miała przejścia z Rehabem przy jednym z kanałów. Izzy ją uratowała.

– A Simon? – zapytała Clary z niepokojem. – Widziałeś Simona? Powinien przyjść tutaj z innymi z Gard.



Alec potrząsnął głową.

– Nie widziałem go, ale Inkwizytora ani Konsula również. Pewnie jest z nimi. Może gdzieś się zatrzymali albo... – Urwał, kiedy nagle przez salę przebiegł szmer.

Clary zobaczyła, że grupa likantropów podnosi wzrok, czujna jak stado drapieżników, które wyczuły zdobycz. Odwróciła się...

I zobaczyła Luke'a. Zmęczony i zakrwawiony wchodził przez podwójne drzwi Sali Anioła.

Pobiegła do niego. W jednej chwili zapomniała, jak się zdenerwowała, kiedy ją zostawił, zapomniała, jaki on się na nią gniewał za to, że ich tutaj sprowadziła. Tak się ucieszyła na jego widok, że zapomniała o wszystkim. On przez chwilę patrzył na nią zaskoczony, a potem się uśmiechnął i wyciągnął ręce. Porwał ją w górę i uściśkał tak jak wtedy, kiedy była mała. Pachniał krwią, flanelą i dymem. Clary zamknęła oczy, myśląc o tym, jak Alec popędził do Jace'a, kiedy zobaczył go w Sali, bo człowiek tak robi, kiedy niepokoi się o członków rodziny. Chwyta ich w objęcia, mówi, jak bardzo go wkurzyli, ale że wszystko jest w porządku, bo nadal są dla niego najważniejsi. Powiedziała Valentine'owi prawdę. Luke był jej rodziną.

Postawił ją na ziemi, krzywiąc się lekko.

– Ostrożnie – syknął. – Demon Croucher zranił mnie w rękę przy moście Merryweather. – Położył dłonie na jej ramionach i przyjrzał się twarzy. – Ale tobie nic nie jest, prawda?

– Co za wzruszająca scena! – rozległ się zimny głos.

Clary się odwróciła. Luke nadal trzymał dłoń na jej ramieniu. Za nią stał wysoki mężczyzna w granatowym, obszernym płaszczu, sięgającym prawie do ziemi. Miał osłoniętą kapturą twarz: wydatne kości policzkowe, ostre rysy i oczy o ciężkich powiekach.

– Lucian – powiedział nieznajomy, nie patrząc na Clary. – Mogłem się domyślić, że to ty stoisz za tą... inwazją.

– Inwazją? – powtórzył Luke. Nagle otoczyło go stado, szybko i cicho, jakby pojawiło się znikąd. – To nie my napadliśmy na wasze miasto, Konsulu, tylko Valentine. My tylko staraliśmy się pomóc.

– Clave nie potrzebuje pomocy – warknął Konsul. – Nie od takich jak wy. Łamiecie Prawo, wchodząc bez pozwolenia do Szklanego Miasta. Na pewno o tym wiecie.

– Według mnie jest oczywiste, że Clave potrzebuje pomocy. Gdybyśmy się nie zjawili, wielu z was już by nie żyło. – Luke rozejrzał się po sali.

Kilka grupek Nocnych Łowców już szło w ich stronę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Niektórzy hardo odpowiadali na spojrzenie Luke'a, inni spuszczaali wzrok, jakby byli zawstydzeni.

Ale żaden z nich, stwierdziła Clary z zaskoczeniem, nie wyglądał na rozgniewanego.

– Zrobiłem to, żeby coś udowodnić, Malachi.

– Co takiego? – Głos Konsula był zimny.

– Że nas potrzebujecie. Żeby pokonać Valentine'a, potrzebujecie naszej pomocy. Nie tylko likantropów, ale wszystkich Podziemnych.

– A co mogą zdziałać Podziemni przeciwko Valentine'owi? – spytał z pogardą Malachi. – Przecież sam wiesz, Lucianie. Kiedyś byłeś jednym z nas. Zawsze występowaliśmy sami przeciwko wszelkim niebezpieczeństwom i strześliśmy świata przed złem. Teraz też będziemy walczyć z całą potęgą Valentine'a. Podziemni zrobią najlepiej, jeśli zejną nam z drogi. Jesteśmy Nefilim, sami stoczymy własne bitwy.

– To niezupełnie prawda – rozległ się aksamitny głos. To był Magnus Bane, w długim, błyszczącym płaszczu, z licznymi kółkami w uszach i szelmowską miną. Clary nie miała pojęcia, skąd się tutaj wziął. – W przeszłości nieraz korzystaliście z pomocy czarowników i sownie za to płaciliście.

Malachi sposepniał.

– Nie pamiętam, żeby Clave zapraszało cię do Miasta Szkła, Magnusie Bane.

– Nie zapraszało. Wasze czary przestały działać.

– Naprawdę? – Głos Konsula ociekał sarkazmem. – Nie zauważyłem.

Magnus zrobił zatroskaną minę.

– To straszne. Ktoś powinien cię poinformować. – Zerknął na Luke'a. – Powiedz mu, że czary nie działają.

Na twarzy Luke'a odmalowała się irytacja.

– Malachi, na litość boską, Podziemni są silni. Jest nas dużo. Mówiłem ci, że możemy pomóc.

– A ja ci mówiłem, że nie potrzebujemy ani nie chcemy waszej pomocy! – odparł podniesionym głosem Konsul.

– Magnusie – szepnęła Clary, przysuwając się do czarownika.

Była pewna, że nikt nie zwraca na nią uwagi. Wokół nich zdążył się zebrać mały tłumek i teraz przysłuchiwał się sporowi Luke'a z Konsulem.

– Porozmawiajmy, dopóki wszyscy są zajęci kłótnią.

Magnus posłał jej pytające spojrzenie, po czym skinął głową i odciągnął ją na bok, przebijając się przez zgromadzonych jak otwieracz do konserw. Żaden z Nocnych Łowców ani wilkołaków nie próbował stanąć na drodze wysokiemu czarownikowi o kocich oczach i uśmiechu szaleńca. Magnus popchnął ją w spokojniejszy kąt.

– O co chodzi?

– Mam księgę. – Clary wyjęła tomik z kieszeni pogniecionego płaszcza. Na okładce barwy kości słoniowej zostawiła swoje odciski palców. – Poszłam do rezydencji Valentine'a. Książka była w bibliotece, tak jak mówiłeś. I... – Pomyślała o uwięzionym aniele. – Mniejsza o to. – Podała czarownikowi swoją zdobycz. – Masz.

Magnus wyrwał Białą Księgę z jej ręki. Szybko przerzucił stronicę i jego oczy się rozszerzyły.

– To nawet lepsze, niż słyszałem – powiedział z radością. – Nie mogę się doczekać, kiedy wypróbuję te czary.

– Magnus! – Ostry głos Clary przywrócił go do rzeczywistości. – Najpierw moja mama. Obiecałeś.

– Dotrzymuję obietnic. – Czarownik z powagą pokiwał głową.

– Jest jeszcze coś – dodała Clary, myśląc o Simonie. – Zanim pójdziesz...

– Clary!

Słyszając za sobą zdyszany głos, odwróciła się i ze zdziwieniem stwierdziła, że obok niej stoi Sebastian. Miał na sobie strój Nocnego Łowcy, w którym wyglądał, jakby się w nim urodził. Podczas gdy wszyscy inni byli rozchełstani, potargani i zakrwawieni, on wyglądał nienagannie... nie licząc podwójnej linii zadrapań biegnących przez lewy policzek, jakby twarz przeorały mu pazury.

– Martwiłem się o ciebie. Po drodze zaszedłem do domu Amatis, ale ona mi powiedziała, że ciebie nie ma i że nie widziała cię...

– Ze mną wszystko w porządku. – Clary przeniosła wzrok na Magnusa, który trzymał Białą Księgę przy piersi, i z powrotem na Sebastiana. – A z tobą? Twoja twarz... – Wyciągnęła rękę. Zadrapania nadal krwawiły.

Sebastian wzruszył ramionami i delikatnie odsunął jej dłoń.

– Przy domu Penhallowów dopadł mnie demon. Ale nic mi nie jest. Co się tu dzieje?

– Nic. Właśnie rozmawiałam z Ma... Ragnorem. – Clary poprawiła się szybko, gdy z przerażeniem uświadomiła sobie, że Sebastian nie ma pojęcia, kim naprawdę jest Magnus.

– Maragnorem? – Sebastian uniósł brwi i z ciekawością spojrział na Białą Księżę. – Co to jest?

Clary była zła, że Magnus jej nie schował. W dodatku trzymał książkę w taki sposób, że wyraźnie było widać tytuł wytłoczony złotymi literami. Czarownik zmierzył Sebastiana wzrokiem.

– Księga czarów – odpowiedział po chwili. – Nic, co interesowałoby Nocnego Łowcę.

– Moja ciotka zbiera księgi czarów. Mogę zobaczyć? – Sebastian wyciągnął rękę.

W tym momencie Clary usłyszała, że ktoś woła jej imię. W ich stronę szli Jace i Alec, najwyraźniej niezbyt zadowoleni z obecności Sebastiana.

– Mówiłeś, że zostaniesz z Maksem i Isabelle! – zbeształ go Alec. – Zostawiłeś ich samych?

Sebastian powoli przeniósł wzrok z Magnusa na Aleca.

– Twoi rodzice wrócili do domu, tak jak zapowiadałeś. – Jego głos był zimny. – Wysłali mnie, żebym was uspokoił, że wszystko w porządku z nimi, z Izzy i Maksem. Są w drodze do Sali Anioła.

– Dzięki, że przekazałeś nam wiadomości od razu, jak tu dotarłeś – rzucił z sarkazmem Jace.

– Nie widziałem cię, kiedy tu przyszedłem – odparł Sebastian. – Zobaczyłem Clary.

– Bo jej szukałeś.

– Bo musiałem z nią porozmawiać. W cztery oczy.

Zaskoczyła ją intensywność jego spojrzenia. Chciała mu powiedzieć, żeby tak na nią nie patrzył, kiedy Jace jest obok, ale zabrzmiałoby to głupio, a poza tym, może rzeczywiście miał coś ważnego do omówienia.

– Clary?

Kiwnęła głową.

– Dobrze. Ale mam tylko chwilę – dodała, widząc minę Jace'a. Nie łypał spode łba, ale jego twarz stężała. – Zaraz wracam.

Lecz Jace nie patrzył na nią, tylko na Sebastiana.

Tymczasem on wziął ją za rękę i pociągnął w stronę najgęstszego tłumu. Clary obejrzała się przez ramię. Wszyscy za nią patrzyli, nawet Magnus. Zobaczyła, że czarownik kręci głową.

Zatrzymała się.

– Zatrzymaj się, Sebastianie. O co chodzi? Co masz mi do powiedzenia?

Odwrócił się do niej, nadal trzymając ją za nadgarstek.

– Myślałem, że wyjdziemy na zewnątrz. Porozmawiamy na osobności...

– Nie. Chcę zostać tutaj – oświadczyła Clary i usłyszała, że jej głos lekko drży, jakby nie była pewna, jak się zachować. A jednak była pewna. Wyrwała rękę z uścisku Sebastiana. – Co się z tobą dzieje?

– Ta książka – zaczął. – Fell trzymał... Białą Księgę. Wiesz, skąd ją ma?

– O tym chciałeś ze mną rozmawiać?

– To niezwykle potężna księga czarów – wyjaśnił Sebastian. – Wielu ludzi szukało jej od długiego czasu.

Clary sapnęła z irytacją.

– Posłuchaj, Sebastianie. To nie jest Ragnor Fell, tylko Magnus Bane.

– Ten Magnus Bane? – Sebastian obejrzał się przez ramię, a potem skierował na Clary oskarżycielski wzrok. – Wiedziałaś przez cały czas? Znasz Bane'a.

– Tak. Przepraszam. Magnus nie chciał, żebym powiedziała ci prawdę, a tylko on potrafi uratować moją matkę. Dlatego dałam mu Białą Księgę. Jest w niej czar, który może jej pomóc.

Coś błysnęło w oczach Sebastiana. Clary odniosła takie samo wrażenie jak wtedy, gdy ją pocałował: że coś jest nie w porządku. Jakby zrobiła krok do przodu, spodziewając się znaleźć solidny grunt pod nogami, a zamiast tego runęła w przepaść. Sebastian znowu chwycił ją za rękę.

– Oddałaś Białą Księgę czarownikowi? Brudnemu Podziemnemu?

Clary zeszywniała.

– Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś. – Spojrzała na jego dłoń zaciśniętą na jej nadgarstku. – Magnus jest moim przyjacielem.

Sebastian odrobinę rozluźnił chwyt.

– Przepraszam – bąknął. – Nie powinienem był tak mówić. Ja tylko... Jak dobrze znasz Magnusa Bane'a?

– Lepiej niż ciebie – odparła chłodno Clary.

Zerknęła w stronę Magnusa, który stał z Nocnymi Łowcami, i... osłupiała. Bane zniknął. Jace i Alec zostali sami i teraz patrzyli na nią. We wzroku Jace'a dostrzegła dezaprobatę.

Sebastian podążył za jej spojrzeniem. Jego oczy pociemniały.

– Wiesz, gdzie poszedł z twoją książką?

– To nie moja książka – odburknęła Clary. – Ja tylko mu ją dałam. I nie rozumiem, co ciebie to obchodzi. Posłuchaj, doceniam, że wczoraj zaproponowałeś mi pomoc w odnalezieniu Ragnora Fella, ale teraz naprawdę mnie przerażasz. Wracam do przyjaciół.

Zaczęła się odwracać, lecz Sebastian zastąpił jej drogę.

– Przepraszam. Nie powinienem był mówić takich rzeczy. Po prostu... nie wszystko wiesz.

– Więc mi powiedz.

– Wyjdź ze mną na zewnątrz, to ci powiem. – Był wyraźnie zdenerwowany. Mówił nagłym tonem. – Clary, proszę.

Potrząsnęła głową.

– Muszę zostać. Muszę poczekać na Simona. – Była to tylko częściowo prawda, a częściowo wymówka. – Wiem od Aleca, że przyprawdzą tutaj więźniów.

Sebastian pokręcił głową.

– Nikt ci nie powiedział? Zostawili więźniów w celach. Słyszałem, jak Malachi to mówił. Kiedy miasto zostało zaatakowane, ewakuowali Gard, ale nie wyprowadzili więźniów. Konsul stwierdził, że i tak obaj są w zмовie z Valentine'em. Zresztą wypuszczenie ich wiązałoby się ze zbyt dużym ryzykiem.

Clary poczuła się tak, jakby jej głowę wypełniła mgła. Zrobiło się jej słabo, ogarnęły ją mdłości.

– To nie może być prawda.

– Ale jest – zapewnił ją Sebastian. – Przysięgam. – Znowu mocniej ścisnął jej nadgarstek, gdy się zachwiała. – Mogę zaprowadzić cię do Gard. Pomogę ci go wydostać. Ale musisz mi obiecać, że...

– Ona nie musi ci niczego obiecywać – odezwał się Jace. – Puść ją, Sebastianie.

Zaskoczony Sebastian uwolnił Clary, a ona odsunęła się od niego i spojrzała na Jace'a i Aleca. Obaj mieli posępne miny. Dłoń Jace'a spoczywała na rękojeści serafickiego noża zatkniętego za pas.

– Clary może robić, co chce – stwierdził Sebastian. Na jego twarzy nie było zawziętości, tylko o wiele gorszy, dziwny, zastygły wyraz. – A teraz chce iść ze mną ratować swojego przyjaciela. Przyjaciela, którego wy wtrąciliście do więzienia.

Alec zbladł, natomiast Jace tylko potrząsnął głową.

– Nie lubię cię – oświadczył ze spokojem. – Wiem, że wszyscy inni cię lubią, Sebastianie, ale ja nie. Może dlatego, że za bardzo się starasz, żeby ludzie cię lubili. A może po prostu jestem przekornym draniem. W każdym razie nie lubię cię i nie podoba mi się, że zaczepiasz moją siostrę. Jeśli Clary chce iść do Gard i szukać Simona, w porządku. Pójdzie z nami, nie z tobą.

Sebastiana zachował kamienną twarz.

– To powinien być jej wybór, nie uważasz?

Obaj spojrzeli na Clary. Ona popatrzyła na nich, a potem na Luke'a, który nadal klócił się z Malachim.

– Chcę iść z moim bratem – oznajmiła w końcu.

Coś zabłysło w oczach Sebastiana, ale zniknęło zbyt szybko, żeby Clary mogła tę iskrę zinterpretować. Poczula jednak dreszcz na karku, jakby dotknęła go zimna dłoń.

– Oczywiście – powiedział Sebastian i odsunął się na bok.

Alec ruszył pierwszy, popychając Jace'a przed sobą. Znajdowali się w połowie drogi do drzwi, kiedy Clary uświadomiła sobie, że boli ją nadgarstek. Piekł, jakby się oparzyła. Spojrzała na swoją rękę, sądząc, że zobaczy ślad w miejscu, gdzie ścisnął ją Sebastian, ale niczego nie zauważyła. Oprócz plamki krwi na mankiecie, pamiątki po dotknięciu zadrapań na jego twarzy. Zmarszczyła brwi, obciągnęła rękaw i ze szczypiącym nadgarstkiem pospieszyła za Jace'em i Alekiem.

## De profundis

Simon miał ręce czarne od krwi.

Próbował wyrwać kraty w oknie i drzwiach celi, ale każde ich dotknięcie zostawiało ślady oparzeń na jego dłoniach. W końcu, dysząc, opadł na podłogę i w odrętwieniu patrzył na szybko gojące się rany. Poczerniała skóra łuszczyła się i wygładzała jak na przyspieszonym filmie puszczanym wstecz.

Po drugiej stronie ściany Samuel się modlił. „Jeśli spadnie na nas nieszczęście, miecz karzący, zaraza czy głód, to staniemy przed tą świątynią i przed twoim obliczem, gdyż twoje imię mieszka w tej świątyni, i będziemy wołać do ciebie z głębi naszego ucisku, a Ty wysłuchasz i ocalisz...”.

Simon nie mógł się modlić. Próbował tego wcześniej, lecz imię Boga paliło go w ustach i gardle. Zastanawiał się, dlaczego może je pomyśleć, ale nie wypowiedzieć. I dlaczego mógł stać w południowym słońcu, a nie był w stanie odmówić ostatnich modlitw.

Korytarzem zaczął się sączyć dym. Simon czuł odór spalenizny, słyszał trzask rozprzestrzeniającego się ognia, ale zachowywał spokój, wręcz obojętność. Myślał o tym, jak to dziwnie jest stać się wampirem, zyskać coś w rodzaju wiecznego życia, a potem i tak umrzeć w wieku szesnastu lat.

– Simon! – Jego uszy wychwyciły słaby głos ponad hukiem płomieni. Wcześniej żar był tłumiony przez dym. Teraz ten żar napierał na niego jak ściana. – Simon!

To był głos Clary. Simon poznałby go wszędzie. Czyżby umysł płatał mu figle, żeby wspomnienie tego, co kochał najbardziej w życiu, złagodziło proces umierania.

– Simon, ty głupi idioto! Jestem tutaj! W oknie!

Simon zerwał się na równe nogi. Wątpił, czy jego umysł potrafiłby stworzyć taką iluzję. Przez gęstniejący dym zobaczył coś białego za kratami w oknie. Kiedy się zbliżył, biały obiekt zmienił się w ręce ściskające pręty. Wskoczył na pryczę i wrzasnął, przekrzykując huk ognia.

– Clary?!



– Och, dzięki Bogu. – Jedna z rąk ścisnęła go za ramię. – Wydostaniemy cię stąd.

– Jak? – zapytał Simon, całkiem rozsądnie, ale w tym momencie dłonie Clary zniknęły, a na ich miejscu pojawiła się inna para. Te były większe, bez wątpienia męskie, z bliznami na kostkach i wąskimi palcami pianisty.

– Trzymaj się. – Głos Jace'a był spokojny, pewny, zupełnie jakby ucinali sobie pogawędkę na przyjęciu, a nie przez okno płonącego lochu. – Może zechcesz się cofnąć.

Zaskoczony Simon odsunął się na bok. Jace mocniej zacisnął ręce na kratkach, aż zbieleły mu kostki dłoni. Rozległ się przeciągły zgrzyt, kwadrat prętów wyrwany z muru spadł z brzękiem na podłogę obok pryczy. W dół posypał się duszącą białą chmurą kamienny pył.

W pustym otworze okiennym pojawiła się twarz Jace'a.

– Simon, chodź! – Nocny Łowca wyciągnął do niego ręce.

Simon chwycił je i poczuł, że ciągną go w górę. Złapał się framugi, dźwignął w wąski otwór i przecisnął przez niego jak wąż. Chwilę później leżał na wilgotnej trawie i patrzył w górę na krąg zaniepokojonych twarzy – Jace'a, Clary i Aleca.

– Wyglądasz jak nieszczęście, wampirze – stwierdził Jace. – Co się stało z twoimi dłońmi?

Simon usiadł. Rany od oparzeń się zagoiły, ale jego ręce nadal były czarne, w miejscach gdzie chwycił za kraty celi. Zanim zdążył odpowiedzieć, Clary porwała go w objęcia i uściskała.

– Simon – wyszeptala. – Nawet nie wiedziałam, że tu jesteś. Myślałam, że w Nowym Jorku. Dopiero wczoraj...

– Ja też nie wiedziałem, że ty tu jesteś. – Ponad jej ramieniem Simon spiorunował Jace'a wzrokiem. – Powiedziano mi, że cię tu nie ma.

– Niczego takiego nie mówiłem – zaprotestował Jace. – Ja tylko cię nie poprawiłem, kiedy wyciągnąłeś błędny wniosek. Tak czy inaczej, właśnie uratowałem cię przed spalaniem się żywcem, więc raczej nie powinieneś być wściekły.

Spalenie się żywcem. Simon odsunął się od Clary i rozejrzał. Znajdowali się w ogrodzie otoczonym z dwóch stron przez mury fortecy, a z pozostałych dwóch przez gęste drzewa. W dół zbocza biegła żwirowa ścieżka prowadząca do miasta, oświetlona przez magiczne pochodnie. Tylko kilka z nich się paliło, ich blask był lekko przymglony. Simon spojrzał w górę na Gard. Z tego miejsca trudno było nawet się zorientować, że szaleje tam pożar. W niebo buchał czarny

dym, światło w kilku oknach wydawało się nienaturalnie jasne, ale kamienne mury dobrze skrywały sekret.

– Samuel – powiedział Simon. – Musimy wydostać Samuela.

Clary spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Kogo?

– Więźnia z sąsiedniej celi.

– Mówisz o tej kupce szmat, którą widziałem przez okno? – przypomniał sobie Jace.

– Tak. Jest trochę dziwny, ale to porządny gość. Nie możemy go tam zostawić. – Simon wstał. – Samuel? Samuel!

Nie słysząc odpowiedzi, Simon podbiegł do niskiego okna obok tego, przez które niedawno sam wypełził. Przez kraty dostrzegł tylko kłębiący się dym.

– Samuel! Jesteś tam?

W dymie poruszyła przygarbiona postać.

– Zostaw mnie! Odejdź!

– Zginiesz tam, Samuelu. – Simon szarpnęła za kraty. Nawet nie drgnęły.

– Nie! Daj mi spokój! Chcę tu zostać!

Zdesperowany Simon obejrzał się i zobaczył obok siebie Jace'a.

– Rusz się – warknął Nocny Łowca.

Kiedy Simon usunął się na bok, Jace wymierzył silnego kopniaka w okno. Kraty wyrwane z zamocowań wpadły do celi. Więzień krzyknął ochryple.

– Samuel, jesteś cały? – Simonowi przesunęła się przed oczami wizja sąsiada przygniecionego przez spadającą kratę.

– Odejdź! – wrzasnął Samuel.

Simon zerknął na Jace'a.

– Chyba mówi serio.

Jace pokręcił z irytacją głową.

– Musiałeś w lochu zaprzyjaźnić się z szaleńcem? Nie mogłeś po prostu liczyć płytek na suficie albo oswoić myszy, tak jak robią normalni więźniowie? – Nie czekając na odpowiedź, Nocny Łowca położył się na ziemi i wpełznął w okienny otwór.

– Jace! – krzyknęła Clary, ale zanim dobiegła do niego razem z Alekiem, on już zeskoczył na podłogę celi. Clary rzuciła przyjacielowi gniewne spojrzenie. – Jak mogłeś mu na to pozwolić?

– Nie mógłby zostawić tego faceta na śmierć – odezwał się nieoczekiwanie Alec. – Mówimy o Jasie...

Urwał, kiedy z dymu wychynęły dwie ręce. Alec chwycił jedną, Simon drugą i razem wyciągnęli Samuela jak worek ziemniaków i położyli go na trawie. Chwilę później Simon i Clary w ten sam sposób pomogli wydostać się Jace'owi, z tym że on nie był bezwładny i zaklął, kiedy niechcący rąbnęli jego głową o framugę. Wyrwał się im, resztę drogi pokonał sam i padł na ziemię.

– Au! – syknął, patrząc w niebo. – Chyba sobie coś naciągnąłem. – Usiadł i spojrzał na Samuela. – Nic mu nie jest?

Samuel siedział zgarbiony na ziemi, rękami zasłaniając twarz. W milczeniu kołysał się w przód i w tył.

– Chyba coś z nim jest nie tak – stwierdził Alec i dotknął ramienia więźnia.

Samuel odsunął się tak gwałtownie, że omal się nie przewrócił.

– Zostaw mnie – poprosił łamiącym się głosem. – Proszę. Zostaw mnie, Alec.

Alec cały zeszywniał.

– Co powiedziałeś?

– Powiedział, żebyś go zostawił w spokoju – powtórzył Simon, lecz Alec nawet na niego nie spojrzał. Patrzył na Jace'a... który, nagle pobladły, zaczął wstawać z ziemi.

– Samuelu, zabierz ręce od twarzy. – Głos Aleca był dziwnie ochryply.

– Nie. – Więzień opuścił głowę. Jego ramiona się trzęsły. – Nie, proszę. Nie.

– Alec, nie widzisz, że on nie czuje się dobrze? – zaprotestował Simon.

Clary chwyciła go za rękaw.

– Simon, coś jest nie tak.

Wzrok – jak zwykle – miała utkwiony w Jasie, który podszedł do skulonej postaci i spojrzał na nią z góry. Czubki jego palców krwawiły. Kiedy odgarnął włosy z oczu, zostały czerwone ślady na jego czole, ale on tego nie zauważył. Usta miał zaciśnięte w gniewną kreskę.

– Nocny Łowco, pokaż nam twarz – zażądał groźnym tonem.

Po chwili wahania Samuel opuścił ręce. Simon nigdy wcześniej go nie widział, więc nie zdawał sobie sprawy, jaki wychudzony jest jego towarzysz i jak staro wygląda. Połowę twarzy zasłaniała mu gęsta siwa broda, oczy były okolone ciemnymi sińcami, policzki poorane bruzdami. Ale mimo to wydawał się dziwnie znajomy.

Usta Aleca się poruszyły, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. To Jace pierwszy się odezwał.

– Hodge.

– Hodge? – powtórzył osłupiały Simon. – To niemożliwe. Hodge był... a Samuel, on nie może być...

– Najwyraźniej Hodge'owi weszło to w krew – stwierdził Alec z goryczą. – Udawanie kogoś innego.

– Ale on mówił...

Dalsze słowa zamarły na ustach Simona, kiedy Clary zacisnęła dłoń na jego rękawie. Wystarczył mu wyraz twarzy Hodge'a. Ani poczucia winy, ani przerażenia, że został zdemaskowany, tylko straszliwy smutek, na który trudno było patrzeć.

– Jace, Alec – powiedział cicho stary nauczyciel. – Tak mi przykro.

Ruchem błyskawicznym jak wtedy, gdy walczył, Jace stanął przed nim z wyciągniętym nożem, ostrym czubkiem celując w jego gardło. Na ostrzu tańczył odbity blask ognia.

– Nie chcę twoich przeprosin. Chcę usłyszeć powód, dla którego nie powinienem cię zabić tu i teraz.

– Jace, zaczekaj. – Alec miał przerażoną minę.

Nagle rozległ się potężny huk i część dachu Gard pofrunęła w górę pośród pomarańczowych jęzorów ognia. Żar rozjaśnił noc. Clary widziała każde źdźbło trawy na ziemi, każdą zmarszczkę na wychudzonej, umorusanej twarzy Hodge'a.

– Nie – powiedział Jace.

Pusty wyraz jego oczu przypominał Clary inną twarz podobną do maski. Valentine'a.

– Wiedziałaś, co zrobił mi ojciec, prawda? Znałeś wszystkie jego brudne sekrety.

Alec popatrywał to na Jace'a, to na starego nauczyciela.

– O czym ty mówisz? Co się dzieje?

– Jonathanie... – zaczął nauczyciel.

– Zawsze wiedziałeś, a nigdy nic nie powiedziałaś. Przez wszystkie te lata w Instytucie nigdy nic nie powiedziałaś.

– Ja... nie byłem pewien – wyszeptał Hodge. – Kiedy nie widzi się dziecka od maleńkości... nie byłem pewien, kim jesteś, a tym bardziej, czym jesteś.

– Jace? – Alec przenosił wzrok z przyjaciela na nauczyciela i z powrotem, ale żaden z nich nie zwracał na niego uwagi.

Hodge wyglądał jak człowiek uwięziony w zaciskającym się imadle, jego ręce drgały po bokach, jakby z bólu, oczy były rozbiegane. Clary wróciła pamięcią do schludnie ubranego mężczyzny w bibliotece pełnej książek, który częstował ją herbatą i udzielał jej rad. Wydawało się, że od tamtej pory minęło tysiąc lat.

– Nie wierzę ci – oświadczył Jace. – Wiedziałaś, że Valentine żyje. Musiał ci powiedzieć...

– Nic mi nie powiedział – wykrztusił Hodge. – Kiedy Lightwoodowie poinformowali mnie, że zabierają do siebie syna Michaela Waylanda, od czasu Powstania nie miałem wieści od Valentine'a. Myślałem, że o mnie zapomniał. Modliłem się nawet, żeby nie żył, ale nie znałem prawdy. A potem, w noc przed twoim przybyciem przyleciał Hugo z wiadomością od Valentine'a. „Ten chłopiec to mój syn.” Ani słowa więcej. – Hodge wziął urywany oddech. – Nie miałem pojęcia, czy mu wierzyć. Myślałem, że będę wiedział, kiedy na ciebie spojrzę, ale nie było nic, dosłownie nic, co dałoby mi pewność. Pomyślałem, że to sztuczka Valentine'a, tylko jaka? Co próbował osiągnąć? Ty o niczym nie miałaś pojęcia, to było dla mnie jasne, natomiast jeśli chodzi o cel Valentine'a...

– Powinieneś mi powiedzieć, kim jestem – wyrzucił z siebie Jace. – Wtedy mógłbym coś zrobić. Może się zabić.

Hodge uniósł głowę i spojrzał na Jace'a przez zmierzwione, brudne włosy.

– Nie byłem pewien. I kiedy się zastanawiałem... myślałem, że może... że wychowanie znaczy więcej niż krew, że można cię nauczyć...

– Nauczyć czego? Jak nie być potworem? – Jace'owi trząsł się głos, ale nóż w ręce ani drgnął. – Powinieneś być mądrzejszy. Zrobił z ciebie tchórza, tak? Ale ty nie byłeś bezradnym małym dzieckiem. Mogłeś z nim walczyć.

Hodge opuścił wzrok.

– Starłem się, jak mogłem – powiedział, ale nawet dla Clary jego słowa nie miały mocy.

– Dopóki Valentine nie wrócił – przypomniał mu Jace. – Wtedy zrobiłeś wszystko, o co cię poprosił. Oddałeś mnie jemu jak psa, który kiedyś do niego należał i którego przekazał ci pod opiekę na kilka lat...

– A potem zniknąłeś – dodał Alec. – Zostawiłeś nas. Naprawdę myślałeś, że zdołasz się tutaj ukryć, w Alicante?

– Nie przybyłem tutaj, żeby się ukryć – odparł Hodge. – Zamierzałem powstrzymać Valentine’a.

– Chyba nie oczekujesz, że ci uwierzymy? – Alec znowu mówił gniewnym tonem. – Zawsze byłeś po stronie Valentine’a. Mogłeś go olać...

– Nie mogłem! – Hodge podniósł głos. – Twój rodzice dostali szansę na nowe życie, a ja nie! Utknąłem w Instytucie na piętnaście lat...

– Instytut był naszym domem! – obruszył się Alec. – Naprawdę tak źle ci się z nami mieszkało? Źle, że byłeś członkiem naszej rodziny?

– Nie chodziło o was. – Hodge’owi łamał się głos. – Kochałem was, ale byliście tylko dziećmi. A miejsce, którego nie wolno opuścić, nie może być domem. Czasami przez kilka tygodni nie zamieniałem ani słowa z innym dorosłym. Żaden Nocny Łowca mi nie ufał. Nawet wasi rodzice tak naprawdę mnie nie lubili, a jedynie tolerowali, bo nie mieli wyjścia. Nie mogłem się ożenić. Dochować własnych dzieci. Nie miałem normalnego życia. Wy wkrótce byście dorośli i odeszli, a ja musiałbym zostać. Żyłem w strachu, o ile w ogóle żyłem.

– Nie wzbudisz w nas litości – uprzedził go Jace. – Nie po tym, co zrobiłeś. I czego, do diabła, się bałeś, spędzając cały czas w bibliotece? Drobinę kurzu? To my wychodziliśmy na zewnątrz i walczyliśmy z demonami!

– Bał się Valentine’a – odezwał się Simon. – Nie rozumiecie, że...

Jace posłał mu jadowite spojrzenie.

– Zamknij się, wampirze. To nie twoja sprawa.

– Niezupelnie Valentine’a – powiedział Hodge, patrząc na Simona, chyba po raz pierwszy, odkąd został wyciągnięty z celi. W jego spojrzeniu było coś, co zaskoczyło Clary: oprócz znużenia dostrzegła sporo sympatii. – Własnej słabości wobec Valentine’a. Wiedziałem, że on któregoś dnia wróci. Wiedziałem, że znowu spróbuje sięgnąć po władzę, będzie chciał rządzić Clave. I wiedziałem, co mi proponuje. Uwolnienie od klątwy. Życie. Miejsce w świecie. Znowu mógłbym być Nocnym Łowcą w jego świecie, bo na pewno nie w tym. – W jego

głosie pobrzmiwała tęsknota, której słuchanie sprawiało ból. – I wiedziałem, że będę zbyt słaby, żeby mu odmówić.

– I spójrz, jakie życie zyskałeś – rzucił gniewnie Jace. – Gnicie w celi Gard. Warto było nas zdradzać?

– Znasz odpowiedź. – Hodge był wyczerpany. – Valentine zdjął ze mnie kłatwę. Przyrzekł, że to zrobi, i dotrzymał obietnicy. Myślałem, że przyjmie mnie z powrotem do Kręgu, ale tego nie zrobił. Nawet on mnie nie chciał. Wiedziałem, że w jego nowym świecie nie będzie dla mnie miejsca. I wiedziałem, że oddałbym wszystko za kłamstwo. – Spojrzał na swe zaciśnięte, brudne dłonie. – Pozostało mi tylko jedno, jedyna szansa, żeby całkiem nie zmarnować życia. Kiedy usłyszałem, że Valentine zabił Cichych Braci i zdobył Miecz Anioła, zrozumiałem, że teraz zaczniesz szukać Lustra Anioła, bo potrzebuje wszystkich trzech Darów. I wiedziałem, gdzie w Idrisie jest Lustro.

– Zaczekaj. – Alec uniósł rękę. – Lustro Anioła? Naprawdę wiesz, gdzie ono jest? Kto je ma?

– Nikt go nie ma – odparł Hodge. – Nikt nie może posiadać Lustra Anioła. Żaden Nefilim, żaden Podziemny.

– Naprawdę zwariowałaś w tej celi – stwierdził Jace, wskazując brodą na wypalone okna lochów.

– Jace. – Clary patrzyła z niepokojem na Gard zwieńczone czerwono-złotymi płomieniami. – Pożar się rozprzestrzenił. Powinniśmy stąd iść. Możemy rozmawiać w mieście...

– Byłem zamknięty w Instytucie przez piętnaście lat – ciągnął Hodge, jakby Clary w ogóle się nie odezwała. – Nie mogłem nawet wystawić nosa na zewnątrz. Cały czas spędzałem w bibliotece, szukając sposobów na zdjęcie kłatwy, którą nałożyło na mnie Clave. Dowiedziałem się, że niezbędne są do tego Dary Anioła. Czytałem książkę za książką o tym, jak Anioł wstał z jeziora z Darami i przekazał je Jonathanowi Nocnemu Łowcy, pierwszemu Nefilim. I o tym, jak wszystkie trzy: Kielich, Miecz i Lustro...

– Wszystko to wiemy – przerwał mu Jace. – Sam nas uczyłeś mitologii.

– Sądzicie, że wiecie wszystko, ale tak nie jest. Studiując różne wersje historii, wciąż trafiałem na tę samą ilustrację, ten sam obraz, który wszyscy znamy: Anioła wstającego z jeziora z Mieczem w jednej ręce i Kielichem w drugiej. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego nigdzie nie widać Lustra. Potem zrozumiałem, że Lustro to jezioro. Jezioro to Lustro.

Jace opuścił nóż.

– Jezioro Lyn?

Clary pomyślała o srebrzystej wodzie, która pędziła na jej spotkanie jak lustro, a potem roztrzaskała się pod wpływem uderzenia.

– Wpadłam do tego jeziora zaraz po przybyciu – powiedziała. – Luke twierdzi, że Lyn ma dziwne właściwości, a faerie nazywają je Lustrem Snów.

– Właśnie – potwierdził z zapalem Hodge. – I zrozumiałem, że Clave o tym nie wie, że ta wiedza zaginęła w czasie. Nawet Valentine nie miał pojęcia...

Przerwał mu łoskot wieży walącej się w drugim końcu Gard. W górę trysnęły fajerwerki z czerwonych iskier.

– Jace, musimy się stąd wynosić. – Zaniepokojony Alec uniósł głowę, a następnie złapał Hodge'a za ramię. – Wstawaj. Powtórzysz swoją opowieść przed Clave.

Nauczyciel dźwignął się z trudem. Jak to jest, pomyślała Clary, nagle zdjeta litością, wstydząc się nie tylko z powodu tego, co się zrobiło, ale również ze świadomością, że jeszcze raz popełni się takie same błędy? Hodge już dawno temu zrezygnował z lepszego czy innego życia. Jedyne, czego pragnął, to nie bać się, więc bał się przez cały czas.

– Chodź. – Alec popchnął Hodge'a do przodu, nadal trzymając go za ramię.

Jace zastąpił im drogę.

– Co się stanie, jeżeli Valentine dostanie Lustro Anioła? – spytał.

– Jace, nie teraz – zbeształ go Alec.

– Jeśli on powie to Clave, my nigdy nie dowiemy się prawdy – stwierdził Jace. – Dla nich jesteśmy tylko dziećmi. A Hodge jest nam coś winien. – Odwrócił się do starego nauczyciela. – Podobno zrozumiałeś, że musisz powstrzymać Valentine'a. Przed czym? Jaką moc da mu Lustro?

Hodge pokręcił głową.

– Nie mogę...

– I żadnych więcej kłamstw. – U boku Jace'a zaśnił nóż. – Bo za każde kłamstwo obetnę ci palec. Albo dwa.

Hodge skulił się z prawdziwym strachem w oczach. Alec wyglądał na wstrząśniętego.

– Jace, nie. Takie rzeczy robi twój ojciec. Ty jesteś inny.

– Nie masz pojęcia, jaki jestem naprawdę – rzekł Jace, nie patrząc na przyjaciela.



Alec spojrział w oczy Clary.

Nie potrafi zrozumieć, dlaczego Jace tak się zachowuje, pomyślała. On nic nie wie.

Zrobiła krok do przodu.

– Jace, Alec ma rację. Możemy zaprowadzić Hodge’a do Sali Anioła, a on powie Clave to, co właśnie powiedział nam...

– Gdyby chciał powiedzieć Clave, już by to zrobił – odparł Jace. – Fakt, że tego nie zrobił, dowodzi, że jest kłamcą.

– Clave nie można ufać! – zaprotestował Hodge. – Są w nim szpieczy Valentine’a. Nie mogłem im zdradzić, gdzie jest Lustro. Gdyby Valentine je znalazł...

Nie dokończył zdania.

Coś srebrnego zaśniło w blasku księżyca, promień światła w ciemności. Alec krzyknął. Hodge szeroko otworzył oczy i zachwiał się, chwytając za pierś. Kiedy runął do przodu, Clary zobaczyła, że z jego klatki piersiowej, niczym drzewce strzały, sterczy rękojeść długiego sztyletu.

Alec skoczył do przodu i chwycił upadającego nauczyciela. Delikatnie położył go na ziemi. Spojrział w górę bezradnie. Na twarzy miał krople krwi Hodge’a.

– Jace, dlaczego...

– Ja nie... – Jace był blady jak płótno. W ręce przyciśniętej do boku nadal trzymał nóż. – Ja...

Simon się odwrócił. Clary również spojrzała w ciemność. Pożar oświetlał trawę piekielną poświatą, ale między drzewami porastającymi wzgórze było czarno... Raptem coś wyskoczyło z tej czerni, niewyraźna postać o ciemnych, zmierzwionych włosach. Kiedy padło na nią światło, wyglądała, jakby jej ciemne oczy płonęły.

– Sebastian? – wykrztusiła Clary.

Oszołomiony Jace przeniósł wzrok z Hodge’a na Sebastiana stojącego niepewnie na skraju ogrodu.

– Ty. Ty to zrobiłeś?

– Musiałem – powiedział Sebastian. – Inaczej by cię zabił.

– Czym? – Głos Jace’a się załamał. – Nawet nie miał broni...

– Jace, chodź tutaj! – zawołał Alec. – Pomóż mi z Hodge’em.

– Zabiłby cię – powtórzył Sebastian. – On...

Ale Jace już klękał obok przyjaciela, chowając nóż za pas. Alec trzymał Hodge'a w ramionach. Przód koszuli miał zakrwawiony.

– Wyjmij stelę z mojej kieszeni – poprosił. – Spróbuj narysować *iratze*...

Clary, zeszywniała ze zgrozy, wyczuła obok siebie Simona. Gdy się odwróciła i na niego spojrzała, jego widok nią wstrząsnął. Przyjaciel był biały jak papier, nie licząc wypieków na policzkach. Żyłki wyraźnie odznaczały się pod jego skórą, wiły się jak węże.

– Krew – wyszeptał, nie patrząc na nią. – Muszę stąd odejść.

Clary chciała złapać go za rękaw, ale cofnął się gwałtownie.

– Nie, proszę. Puść mnie. Wszystko będzie dobrze. Wrócę. Ja tylko...

Był zbyt szybki, żeby mogła go powstrzymać. Zniknął w ciemności zalegającej między drzewami.

– Hodge... – W głosie Aleca brzmiała panika. – Hodge, nie ruszaj się...

Ale nauczyciel walczył, próbował mu się wyrwać, odsunąć od steli.

– Nie. – Jego twarz była koloru wosku. Oczy biegały od Jace'a do Sebastiana, który nadal trzymał się w cieniu. – Jonathanie...

– Jace. Mów mi Jace.

Hodge zatrzymał na nim spojrzenie. Clary nie potrafiła odczytać wyrazu jego oczu. Oprócz błagania i lęku było w nich coś jeszcze. Uniósł rękę.

– Nie ty – wyszeptał i z jego ust wylała się krew.

Na twarzy Jace'a odmalowała się uraza.

– Alec, ty narysuj *iratze*. On chyba nie chce, żebym go dotykał.

Dłoń Hodge'a zacisnęła się jak szpony na rękawie Jace'a. Jego oddech był chrapliwy.

– Ty... nigdy...

I umarł. Clary dokładnie widziała, kiedy życie go opuściło. Nie był to cichy, krótki moment jak na filmach. Najpierw ranny wydał z siebie charkot, wywrócił oczy do góry białkami, a potem zrobił się bezwładny i ciężki, znieruchomiał z ręką niewygodnie zgiętą pod ciałem.

Alec zamknął mu oczy.

– *Vale*, Hodge Starkweather.

– Nie zasłużył na takie pożegnanie – rzucił ostrym tonem Sebastian. – Nie był Nocnym Łowcą, tylko zdrajcą.

Alec gwałtownie uniósł głowę. Opuścił zmarłego na ziemię i wstał. Ubranie miał poplamione krwią. Jego niebieskie oczy były zimne jak lód.

– Nic o tym nie wiesz. Zabiłeś nieuzbrojonego człowieka. Nefilim. Jesteś mordercą.

Sebastian wykrzywił wargi.

– Myślisz, że nie wiem, kto to był? – Wskazał na Hodge'a. – Starkweather należał do Kręgu. Zdradził Clave i został za to wyklęty. Powinien umrzeć, ale Clave okazało mu pobłażliwość. I do czego to doprowadziło? Zdradził nas wszystkich, kiedy oddał Kielich Anioła Valentine'owi w zamian za zdjęcie klątwy, na którą zasłużył. – Sebastian oddychał ciężko. – Nie powinienem był tego robić, przyznaję, ale nie mówcie, że nie zasłużył na śmierć.

– Skąd tyle wiesz o Hodge'u? – zapytała Clary. – I co tutaj robisz? Myślałam, że zostałeś w Sali Anioła.

Sebastian się zawahał.

– Tak długo was nie było – odparł w końcu. – Martwiłem się. Pomyślałem, że możecie potrzebować mojej pomocy.

– Więc postanowiłeś nam pomóc, zabijając człowieka, z którym rozmawialiśmy? Bo uważałeś, że ma mroczną przeszłość? To bez sensu.

– Dlatego że on kłamie – odezwał się Jace. Patrzył na Sebastiana zimnym, czujnym wzrokiem. – I to kiepsko. Myślałem, że będziesz szybszy, Verlac.

Sebastian odpowiedział mu beznamiętnym spojrzeniem.

– Nie wiem co masz na myśli, Morgenstern.

– Jace ma na myśli, że jeśli uważasz swój czyn za usprawiedliwiony, nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby pójść z nami do Sali Anioła i wyjaśnić wszystko Radzie – powiedział Alec. – Tak?

Minęła chwila, zanim Sebastian się uśmiechnął. Ten uśmiech wcześniej oczarował Clary, ale teraz było w nim coś dziwnego i irytującego. Jak obraz wiszący krzywo na ścianie.

– Oczywiście, że nie. – Ruszył wolno w ich stronę, niemal spacerkiem. Jakby właśnie nie popełnił morderstwa. – Oczywiście, choć to trochę dziwne, że tak na mnie naskoczyliście, że zabiłem człowieka, skoro Jace zamierzał obciąć mu palce.

Alec zacisnął usta.

– Nie zrobiłby tego.

– Ty... – Jace spojrział na Sebastiana z nienawiścią. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– A może tak naprawdę jesteś zły dlatego, że pocałowałem twoją siostrę – dodał Sebastian. – Ponieważ mnie chciała.

– Nie – obruszyła się Clary, ale żaden z nich na nią nie patrzył. – To znaczy, wcale ciebie nie chciałam.

– Ona ma taki zwyczaj, no wiesz, gwałtownie nabiera powietrza, kiedy się ją całuje. Jakby była zaskoczona. – Sebastian zatrzymał się przed Jasie, uśmiechając się. – Urocze, ale pewnie sam to zauważyłeś.

Jace miał taką minę, jakby zbierało mu się na mdłości.

– Moja siostra...

– Twoja siostra. Naprawdę? Bo wcale nie tak się zachowujecie. Myślicie, że ludzie nie widzą, jak na siebie patrzycie? Że dobrze ukrywacie to, co czujecie? Że inni nie uważają tego za chore i nienaturalne? Bo takie właśnie jest.

– Wystarczy tego. – Na twarzy Jace'a odmalowała się żądza mordy.

– Dlaczego to robisz, Sebastianie? – zapytała Clary. – Dlaczego mówisz te wszystkie rzeczy?

– Bo nareszcie mogę. Nie masz pojęcia, jakie to było męczące przebywać z wami przez kilka ostatnich dni i udawać, że was toleruję. Że wasz widok nie przyprawia mnie o mdłości. – Ty – zwrócił się do Jace'a – kiedy nie wzdychasz do siostry, wciąż jęczysz, jak to tatuś cię nie kochał. Kto mógłby go winić? Ty, głupia suko – spojrzał na Clary – oddajesz bezcenną księgę półkrwi czarownikowi. Masz choć jedną komórkę mózgową w tym swoim małym łebku? A ty – posłał szyderyczy uśmiech Alecowi – myślę, że wszyscy wiemy, co jest z tobą nie w porządku. Nie powinni takich przyjmować do Clave. Jesteś odrażający.

Alec zbladł, ale wyglądał bardziej na zdumionego niż wściekłego. Clary wcale mu się nie dziwiła. Patrząc na Sebastiana, na jego anielski uśmiech, trudno było sobie wyobrazić, że jest w stanie mówić takie rzeczy.

– Udawać, że nas tolerujesz? – powtórzyła. – A dlaczego musiałeś udawać, jeśli... jeśli nas nie szpiegowałeś – dokończyła, uświadamiając sobie prawdę w chwili, kiedy wypowiedziała te słowa. – Jeśli nie byłeś szpiegiem Valentine'a.

Przystojna twarz Sebastiana wykrzywiła się w grymasie, pełne usta rozciągnęły się, podługne oczy zwęziły do szparek.

– Wreszcie dotarło – rzucił ironicznym tonem. – Przysięgam, że istnieją demony nie tak tępe jak wasza banda.

– Może nie jesteśmy bardzo bystrzy, ale przynajmniej żywi – odezwał się Jace.

Sebastian zmierzył go wzrokiem.

– Ja żyję.

– Już niedługo – odparł Jace.

Blask księżycy odbił się od ostrza jego noża, kiedy rzucił się na Sebastiana jak błyskawica. Clary jeszcze nigdy nie widziała, żeby człowiek poruszał się tak szybko.

Sebastian uskoczył w bok i złapał Jace'a za uzbrojoną rękę. Nóż upadł na trawę, zaatakowany chwycił Nocnego Łowcę za tył kurtki. Dźwignął go w górę i cisnął z niewiarygodną siłą. Jace pofrunął w powietrze, z wielkim impetem uderzył w mur Gard i osunął się na ziemię.

– Jace!

Clary rzuciła się na Sebastiana, gotowa go udusić, ale on usunął się na bok i niedbale machnął dłonią, jakby oganiał się od insekta. Trafił ją w bok głowy tak mocno, że zatoczyła się i upadła. Dźwignęła się z trudem, mruganiem próbując pozbyć się z oczu czerwonej mgły bólu.

Tymczasem Alec sięgnął po łuk z już nasadzoną strzałą. Wycelował w Sebastiana.

– Nie ruszaj się! – krzyknął.

Sebastian się roześmiał.

– Nie strzelisz do mnie. – Ruszył ku Alecowi swobodnym krokiem.

Alec zmrużył oczy. Uniósł łuk i napiął cięciwę. Strzała pomknęła ku Sebastianowi...

I nie trafiła w cel. Sebastian się uchylił. Strzała przemknęła obok niego i utkwiała w pniu drzewa. Alec zrobił zaskoczoną minę, a tymczasem Sebastian doskoczył do niego, wyrwał mu łuk i złamał go na pół. Clary skrzywiła się, słysząc trzask. Mimo bólu głowy usiłowała dźwignąć się do pozycji siedzącej. Jace leżał kilka stóp od niej. Próbowwała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Sebastian odrzucił złamany łuk i ruszył do ataku. Alec zdążył wyciągnąć seraficki nóż, ale Sebastian bez trudu odparował cios. Odsunął broń na bok i chwycił Nocnego Łowcę za gardło. Niemal uniósł go z ziemi i uśmiechnął się szeroko, kiedy Alec zaczął się dławić i miotać.

– Lightwood – wyszeptał. – Już zająłem się dzisiaj jednym z was. Nie spodziewałem się, że będę miał tyle szczęścia, żeby rozprawić się z drugim.

Nagle odskoczył do tyłu jak marionetka, którą pociągnięto za sznurki. Uwolniony Alec runął na ziemię, trzymając się za gardło. Clary słyszała jego charczący oddech, ale wzrok miała utkwiony w Sebastianie. Jego pleców uczeplił się jak pijawka czarny cień. Sebastian drapał szyję rękami, krztusił się i obracał, próbując złapać istotę, która go zaatakowała. Kiedy się odwrócił, w blasku księżycy Clary zobaczyła, że napastnikiem jest Simon.

Objął rękoma szyję Sebastiana, wysuwając białe kły. Clary widziała go jako wampira po raz pierwszy od tamtej nocy, kiedy wstał z grobu. Patrzyła na niego z przerażeniem i fascynacją, nie mogła odwrócić wzroku. Zatopił kły w przedramieniu Sebastiana, zostawiając na jego skórze długą, czerwoną ranę.

Sebastian wrzasnął i rzucił się do tyłu. Przetoczył się po ziemi razem z Simonem. Obaj rzucili się na siebie z pazurami, warcząc jak psy. Sebastian krwawił w kilku miejscach, kiedy wreszcie wstał chwiejnie i wymierzył napastnikowi dwa mocne kopniaki w zębra. Simon zgiął się wpół, chwytając za brzuch.

– Ty brudny mały kleszczu! – wrzasnął Sebastian, szykując się do następnego ciosu.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu – rozległ się cichy głos.

Clary tak gwałtownie uniosła głowę, że poczuła ostry ból za oczami. Kilka stóp od Sebastiana stał Jace. Twarz miał zakrwawioną, jedno oko podpuchnięte, ale chwyt ręki, w której trzymał seraficki nóż, był pewny.

– Jeszcze nigdy nie zabiłem nim żadnej ludzkiej istoty – powiedział. – Ale mam ochotę spróbować.

Sebastian się skrzywił. Popatrzył na Simona i splunął. Wymówił kilka słów pochodzących z języka, którego Clary nie rozpoznała, po czym skoczył przed siebie z taką samą zadziwiającą szybkością jak wtedy, kiedy zaatakował Jace'a, i zniknął w ciemności.

– Nie! – krzyknęła Clary.

Próbowała wstać, ale ból przeszył jej mózg. Skuliła się. Chwilę później pochylił się nad nią Jace. Spojrzała na niego zamglonym wzrokiem... musiał być zamglony, bo przecież nie mogłaby wymyślić sobie otaczającej go bieli, czegoś w rodzaju światła...

Usłyszała głos Simona, a potem Aleca. W ręce Jace'a błysnęła stela. Clary zapiekło ramię, a chwilę później ból zaczął ustępować. Zamrugła, patrząc na trzy pochyłone nad nią twarze.

– Moja głowa...

– Miałaś wstrząśnienie mózgu – powiedział Jace. – *Iratze* powinien pomóc, ale musimy zabrać cię do lekarza. Obrażenia głowy bywają zdradliwe. – Oddał stelę Alecowi. – Myślisz, że dasz radę wstać?

Clary kiwnęła głową i to był błąd. Znowu przeszył ją ból, ale czyjeś ręce pomogły jej wstać. Simona. Oparła się o niego z wdzięcznością, czekając, aż odzyska równowagę. Czowała, że w każdej chwili może upaść.

– Nie powinnaś była atakować Sebastiana w ten sposób – zbeształ ją Jace. – Nawet nie miałaś broni. Co sobie myślałaś?

– Co wszyscy sobie myśleliśmy? – W jej obronie nieoczekiwanie stanął Alec. – Rzucił tobą jak piłką, Jace. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś cię pokonał w taki sposób.

– Ja... zaskoczył mnie – mruknął niechętnie Jace. – Nie spodziewałem się tego. Musiał przejść jakieś specjalne szkolenie.

– Najwyraźniej. – Simon skrzywił się, dotykając klatki piersiowej. – Chyba wkopał mi do środka parę żeber. Wszystko w porządku, już się goją – dodał, widząc zatroskany wzrok Clary. – Ale Sebastian zdecydowanie jest silny. Naprawdę silny. – Spojrzał na Jace'a. – Jak myślisz, długo tak stał, kryjąc się w ciemności?

Jace z pośępnym wyrazem twarzy spojrział w stronę drzew, wśród których zniknął Sebastian.

– Cóż, Clave go złapie i ukarze. Chciałbym zobaczyć, jak rzucają na niego taką samą klątwę jak na Hodge'a. To byłaby pełna sprawiedliwość.

Simon odwrócił się i splunął w krzaki. Potem wytarł usta wierzchem dłoni, a na jego twarzy pojawił się grymas.

– Jego krew smakuje paskudnie... jak trucizna.

– Możemy to dodać do listy jego czarujących cech – skwitował Jace. – Zastanawiam się, co jeszcze dzisiaj planował.

– Musimy wracać do Sali Anioła. – Na twarzy Aleca malowało się napięcie. Widząc je, Clary przypomniała sobie, co Sebastian powiedział na temat innych Lightwoodów. – Możesz chodzić, Clary?

Odsunęła się od Simona.

– Tak. A co z Hodge'em? Nie możemy go tak zostawić.

– Musimy – zdecydował Alec. – Wrócimy po niego później, jeśli przeżyjemy tę noc.

Kiedy opuszczali ogród, Jace zatrzymał się, ściągnął kurtkę i przykrył nią nieruchomą twarz Hodge'a. Clary chciała do niego podejść i położyć mu dłoń na ramieniu, ale coś w jego postawie sprawiło, że tego nie zrobiła. Nawet Alec nie zbliżył się do przyjaciela, żeby zaproponować mu znak uzdrawiający, choć Jace utykał, kiedy schodzili ze wzgórza.

Szli razem krętą ścieżką, z wyciągniętą bronią, w gotowości, pod niebem rozjaśnionym przez płonący Gard. Nie widzieli żadnych demonów. Cisza i niesamowite światło przyprawiły Clary o bolesne pulsowanie w głowie. Czuła się jak we śnie. Wyczerpanie ścisnęło ją jak imadło. Stawianie nogi za nogą było jak dźwiganie cementowego bloku. Słyszała, że idący przed nią Jace i Alec rozmawiają, ale ich głosy wydawały się niewyraźne, choć znajdowali się tak blisko.

Alec mówił cicho, niemal błagalnie:

– Sposób, w jaki rozmawiałeś z Hodge'em, tam na górze... Nie możesz tak myśleć. To, że jesteś synem Valentine'a, nie czyni cię potworem. Cokolwiek ci zrobił, kiedy byłeś dzieckiem, czegokolwiek cię nauczył, nie powinienes uważać, że to twoja wina...

– Nie chcę o tym rozmawiać, Alec. Ani teraz, ani nigdy. Nie pytaj mnie o nic więcej. – Ton Jace'a był gwałtowny.

Alec umilkł. Clary niemal czuła jego urazę. Co za noc. Noc cierpienia dla wszystkich.

Starła się nie wspominać Hodge'a, błagalnego, żalosego wyrazu jego twarzy tuż przed śmiercią. Nie lubiła go, ale nie zasłużył na to, żeby zginąć z rąk Sebastiana. Nikt nie zasługiwał na taki los. Pomyślała o Sebastianie, o tym, jak błyskawicznie się poruszał. Nigdy nie widziała, żeby ktoś był taki szybki, z wyjątkiem Jace'a. Co mu się stało? Jak kuzyn Penhallowów mógł okazać się taki zły i jak to możliwe, że oni nic nie zauważyli? Sądziła, że chciał jej pomóc w ratowaniu matki, ale jemu chodziło jedynie o zdobycie Białej Księgi dla Valentine'a. Magnus się mylił. To nie od Lightwoodów Valentine dowiedział się o Ragnorze Fellu. Ona sama powiedziała o nim Sebastianowi. Jak mogła być taka głupia?

Wstrząśnięta, ledwo zauważyła, że ścieżka zmieniła się w aleję prowadzącą do miasta. Ulice były opustoszałe, domy ciemne, wiele ulicznych lamp rozbitych, na bruku leżało potłuczone szkło. Z oddali niosło się echo głosów, tu i ówdzie spomiędzy budynków dochodził blask pochodni, ale...

– Jest strasznie cicho – stwierdził Alec, rozglądając się ze zdumieniem. – I...

– I nie cuchnie demonami. – Jace zmarszczył brwi. – Dziwne. Chodźmy do Sali Anioła.



Choć Clary była przygotowana na atak, nie zobaczyli ani jednego demona. W każdym razie ani jednego żywego. Ale kiedy mijali wąski zaułek, dostrzegła grupkę trzech albo czterech Nocnych Łowców zebranych w kręgu wokół czegoś, co drgało i wiło się na ziemi. Kolejno dźgali to coś długimi, ostrymi kijami. Zadrżała i odwróciła wzrok.

Sala Anioła była rzęsiście oświetlona, magiczny blask wylewał się z drzwi i okien. Gdy wbiegali po schodach, Clary się potknęła. Miała coraz silniejsze zawroty głowy. Miała wrażenie, że świat wokół niej się kołysze, jakby stała w wielkiej obracającej się kuli. Gwiazdy były białymi pasami na niebie.

– Powinnaś się położyć – stwierdził Simon. Kiedy nie odpowiedziała, spojrzał na nią z zatroskaną miną. – Clary?

Z ogromnym wysiłkiem zmusiła się do uśmiechu.

– Nic mi nie jest.

Jace stojący w wejściu do Sali Anioła zmierzył ją wzrokiem. W ostrym świetle magicznych lamp krew na jego twarzy i spuchnięte oko nie wyglądały ładnie.

Z sali dochodził przytłumiony gwar setek głosów. W uszach Clary brzmiał jak bicie ogromnego serca. Blask pochodni osadzonych w uchwytych i magicznych lamp docierał wszędzie, kłuł ją w oczy, mącił wzrok. Widziała tylko zamazane kształty i kolory. Białe, złote, granat nocnego nieba. Która to godzina?

– Nie widzę ich. – Alec z niepokojem rozglądał się po pomieszczeniu. Jego głos brzmiał, jakby dochodził z odległości setek mil albo spod wody. – Powinni już tu być...

Clary w pewnym momencie przestała go słyszeć. Coraz mocniej kręciło się jej w głowie. Oparła się o najbliższą kolumnę.

Czyjaś dłoń dotknęła jej pleców. Simon. Mówił coś do Jace'a zaniepokojonym tonem. Jego głos nikał pośród dziesiątków innych, wznoszących się i opadających wokół niej jak fale.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Demony po prostu się odwróciły i zniknęły.

– Pewnie chodziło o wschód słońca. Boją się słońca, a już niedaleko do świtu.

– Nie, to coś więcej.

– Chyba nie myślisz, że wrócą następnej nocy albo kolejnej.

– Nie mów tak. Nie ma powodu, żeby tak mówić. Naprawią wieże.

– A Valentine znowu je popsuje.

– Może na to zasługujemy. Może Valentine miał rację. Może bratanie się z Podziemnymi oznacza, że straciliśmy błogosławieństwo Anioła.

– Cii. Miej trochę szacunku. Liczą zmarłych na Placu Anioła.

– Tam są! – wykrzyknął Alec. – Przy podium. Wygląda na to... – Ruszył w stronę podwyższenia, jego głos ucichł.

Clary zmrużyła oczy, ale widziała tylko plamy...

Jace głośno zaczerpnął tchu, po czym bez słowa zaczął przepychać się przez tłum za Alekiem. Clary puściła kolumnę, żeby za nim pójść, ale się zatoczyła. Simon ją podtrzymał.

– Musisz się położyć, Clary – powiedział.

– Nie – wyszeptała. – Chcę zobaczyć, co się stało...

Urwała w pół zdania. Simon patrzył za Jase'em. Wyglądał na poruszonego. Clary oparła się o kolumnę i stanęła na palcach, żeby spojrzeć ponad głowami ludzi...

Zobaczyła Lightwoodów. Maryse obejmowała szlochającą Isabelle, Robert Lightwood siedział na podłodze i trzymał coś... nie, kogoś. Clary wróciła pamięcią do chwili, kiedy pierwszy raz zobaczyła Maksa śpiącego na kanapie w Instytucie, z przekrzywionymi okularami i ręką zwieszoną na podłogę. „On może spać wszędzie”, powiedział wtedy Jace. Teraz też chłopiec wyglądał, jakby spał na kolanach ojca, ale Clary wiedziała, że tak nie jest.

Alec już klęczał obok ojca i trzymał dłonie Maksa, natomiast Jace zatrzymał się w miejscu i wyglądał na zagubionego, jakby nie miał pojęcia, gdzie jest ani co tu robi. Clary chciała do niego podbiec i objąć go, ale powstrzymał ją wyraz twarzy Simona i wspomnienie wiejskiej posiadłości Waylandów. Była ostatnią osobą na ziemi, która mogłaby w tej chwili pocieszyć Jace'a.

– Clary – powiedział Simon, ale ona odsunęła się od niego mimo bólu i zawrotów głowy.

Popędziła do drzwi Sali Anioła, otworzyła je, wypadła na schody i tam przystanęła, łapiąc hausty chłodnego powietrza. W oddali horyzont był zabarwiony czerwoną łuną, gwiazdy blakły na jaśniejącym niebie. Noc się kończyła. Nadchodził świt.

## Tam, gdzie smutek

Clary obudziła się gwałtownie ze snu o krwawiącym aniele, ciasno zawinięta w skręconą pościel. W gościnnej sypialni Amatis było duszno i ciemno jak w trumnie. Gdy wyciągnęła rękę i rozsunęła zasłony, do środka wlało się dzienne światło. Clary zmrużyła oczy i zaciągnęła je z powrotem.

Nocni Łowcy palili swoich zmarłych, tak że od chwili ataku demonów niebo na zachodzie miasta było zasnute dymem. Od spojrzenia przez okno Clary zrobiło się niedobrze, więc już nie odsuwała zasłon. W ciemnym pokoju zamknęła oczy i próbowała przypomnieć sobie sen. Były w nim anioły, znak, który pokazał jej Ithuriel, wciąż rozbłyskujący pod jej powiekami niczym zielone światło na sygnalizatorze. Był to prosty znak, podobny do węzła, ale nieważne, jak bardzo starała się skupić, nie mogła go odczytać, zrozumieć jego znaczenia. Wiedziała jedynie, że jest w jakimś sensie niekompletny, jakby ten, kto go stworzył, nie dokończył dzieła.

„To nie pierwsze sny, jakie ci pokazałem”, powiedział Ithuriel. Clary pomyślała o innych: o Simonie z krzyżami wypalonymi na rękach, o Jasie ze skrzydłami, o jeziorach skutych lodem, które lśniły jak lustro. Czyżby je również zesłał jej anioł?

Usiadła z westchnieniem. Sny nie były przyjemne, ale obrazy, które na jawie zaczęły przesuwać się przed jej oczami, okazały się nie lepsze. Isabelle szlochała na podłodze Sali Porozumień i z taką siłą szarpała czarne włosy, że omal ich sobie nie wrywała. Maryse krzyczała na Jię Penhallow, że zrobił to chłopak zaproszony do ich domu, ich siostrzeniec, a skoro był tak blisko związany z Valentine'em, co o nich opowiadał? Alec próbował uspokoić matkę, prosił Jace'a o pomoc, ale Jace stał bez ruchu, podczas gdy słońce wschodziło nad Alicante, a jego blask wpadał do Sali Anioła przez szklany sufit. „Już świt”, powiedział Luke, bardzo zmęczony. „Czas przynieść ciała”. I wysłał patrole, żeby zebrały martwych Nocnych Łowców i likantropów leżących na ulicach i ułożyły je na placu, przez który niedawno Clary szła z Sebastianem. Stwierdziła wtedy, że Wielka Sala Anioła wygląda jak kościół. W tamtym

momencie wydawało się jej, że jest to ładne miejsce, ze skrzynkami na kwiaty i odnowionymi sklepami. Teraz było pełne trupów.

A wśród nich znajdowało się ciało Maksa. Gdy pomyślała o chłopcu, który z taką powagą rozmawiał z nią o mandze, ścisnęło się jej serce. Obiecała mu kiedyś, że zabierze go do Forbidden Planet, ale już nigdy tak się nie stanie. Kupiłabym mu książki. Wszystkie, jakie tylko by zechciał.

Nie myśl o tym. Clary odrzuciła pościel i wstała. Po szybkim prysznicu przebrała się w dzinsy i sweter, który nosiła od chwili przybycia z Nowego Jorku. Zanim go włożyła, przycisnęła twarz do tkaniny, w nadziei, że poczuje zapach Brooklynu albo znajomego proszku do prania – coś, co przypomniałoby jej dom – ale teraz pachniał mydłem cytrynowym. Westchnęła i ruszyła na dół.

Dom był pusty, nie licząc Simona, który siedział na kanapie w salonie. Przez otwarte okna wpadało do środka dużo dziennego światła. On stał się jak kot, pomyślała Clary, który zawsze szuka plam słońca, żeby się w nich zwinąć w kłębek. A mimo to jego skóra zachowywała barwę kości słoniowej.

Clary wzięła jabłko z misy stojącej na stole, usiadła obok przyjaciela i podwinęła nogi pod siebie.

– Spałeś chociaż trochę?

– Trochę. – Simon spojrzał na nią z ukosa. – To raczej ja powinienem zadać ci takie pytanie. To ty masz cienie pod oczami. Koszmary?

Wzruszyła ramionami.

– Wciąż to samo. Śmierć, zniszczenie, złe anioły.

– Zupełnie jak w prawdziwym życiu.

– Tak, ale sny przynajmniej się kończą, kiedy się budzę. – Ugryzła jabłko. – Niech zgadnę. Luke i Amatis są w Sali Anioła na kolejnym zebraniu.

– Tak. Chyba się zebrali, żeby ustalić, kiedy zwołać następne posiedzenie. – Simon leniwie skubał frędzel poduszki. – Miałaś jakieś wieści od Magnusa?

– Nie.

Clary starała się nie myśleć o tym, że minęły już trzy dni od chwili, kiedy widziała Magnusa, a on od tamtej pory się nie odezwał. Ani o tym, że nic nie powstrzymałoby go przed

zabraniem Białej Księgi i zniknięciem w eterze. Zastanawiała się, dlaczego w ogóle zaufała komuś, kto nadużywał kredki do oczu.

Lekko dotknęła nadgarstka Simona.

– A ty? Co z tobą? Dobrze się tu czujesz?

Chciała, żeby Simon wrócił do domu, kiedy bitwa się skończyła. Do domu, gdzie było bezpiecznie. Ale on dziwnie się opierał. Wydawało się że chce tu zostać, nie wiadomo z jakiego powodu. Clary miała nadzieję, że nie poczuwa się do opieki nad nią. Omal mu nie powiedziała, że nie potrzebuje jego ochrony, ale nie zrobiła tego, bo nie mogła znieść myśli, że przyjaciel zniknie. Tak więc został, a ona w głębi duszy była zadowolona, choć jednocześnie dręczyły ją wyrzuty sumienia.

– Dostajesz to... no wiesz, czego potrzebujesz?

– Masz na myśli krew? Tak. Maia nadal codziennie przynosi mi butelki. Nie pytaj mnie, skąd je bierze.

Pierwszego ranka na schodach domu Amatis pojawił się uśmiechnięty likantrop z żywym kotem.

„To dla ciebie” – powiedział z silnym akcentem. „Świeża krew!”.

Simon mu podziękował, zaczekał, aż gość sobie pójdzie, i wypuścił kota, nieco zielony na twarzy.

„Cóż, skądś będziesz musiał brać krew” – stwierdził wtedy Luke, wyraźnie rozbawiony.

„Wykluczone” – odparł Simon. „Mam w domu kota”.

„Powiem Mai” – obiecał Luke.

Od tamtej pory krew przybywała w butelkach od mleka. Clary nie miała pojęcia, gdzie Maia ją zdobywa, i podobnie jak Simon, wołała nie pytać. Nie widziała dziewczyny od nocy bitwy. Likantropy obozowały w pobliżu lasu i tylko Luke został w mieście.

– O co chodzi? – Simon odchylił głowę do tyłu i spojrzał na nią przez rzęsy. – Wyglądasz, jakbyś chciała mnie o coś zapytać.

Było kilka spraw, o które Clary chciała go zapytać, ale zdecydowała się na jedną z bezpieczniejszych kwestii.

– Hodge. – Zawahała się. – Kiedy byłeś w celi, naprawdę nie zorientowałeś się, że to on?

– Nie widziałem go, tylko słyszałem przez ścianę. Rozmawialiśmy, dużo.

– I polubiłeś go? To znaczy, był miły?

– Miły? Nie wiem. Udręczony, smutny, inteligentny, czasami współczujący... tak, lubiłem go. Myślę, że w pewnym sensie przypominałem mu jego samego...

– Nie mów tak! – Clary usiadła prosto, omal nie upuszczając jabłka. – Wcale nie jesteś podobny do Hodge’a.

– Nie uważasz, że jestem udręczony i inteligentny?

– Hodge był zły, ty nie jesteś – oświadczyła Clary zdecydowanym tonem. – I tyle.

Simon westchnął.

– Ludzie nie rodzą się dobrzy albo źli. Rodzą się z pewnymi skłonnościami, ale liczy się sposób, w jaki żyją. I to, jakich ludzi poznają. Valentine był przyjacielem Hodge’a, a nie sądzę, żeby Hodge miał wcześniej w swoim życiu kogoś, kto stawiałby mu wyzwania albo czynił go lepszym człowiekiem. Gdybym ja miał takie życie, nie wiem, jaki bym się okazał. Ale ja mam rodzinę.

I ciebie.

Clary uśmiechnęła się do przyjaciela, ale jego słowa dzwoniły w jej uszach. „Ludzie nie rodzą się dobrzy albo źli”. Zawsze uważała, że to prawda, ale w obrazach, które pokazał jej Ithuriel, widziała, jak jej matka nazywa swoje dziecko potworem. Żałowała, że nie może powiedzieć o tym Simonowi, o wszystkim, co pokazał jej anioł. Niestety musiałaby wtedy również zdradzić, co odkryli w związku z Jace’em, a tego nie mogła zrobić. To był sekret Jace’a, a nie jej. Simon zapytał ją kiedyś, co miała na myśli Jace, kiedy w rozmowie z Hodge’em określił siebie jako potwora, a ona odpowiedziała, że zwykle trudno jest zrozumieć, co ma na myśli Jace. Nie była pewna, czy Simon jej uwierzył, ale nie spytał ponownie.

Teraz przed odpowiedzią uratowało ją głośne pukanie do frontowych drzwi. Clary zmarszczyła brwi i odłożyła ogryzek na stół.

– Ja otworzę.

Do środka wpadła fala zimnego, świeżego powietrza. Na schodach stała Aline Penhallow w ciemnoróżowym jedwabnym zakiecie, który niemal pasował kolorem do sińców pod jej oczami.

– Muszę z tobą porozmawiać – oznajmiła bez wstępów.

Zaskoczona Clary tylko skinęła głową i szerzej otworzyła drzwi.

– Dobrze, wejdź.

– Dzięki. – Aline precyzyjnie się obok niej bezceremonialnie i weszła do salonu. Zamarła na widok Simona siedzącego na kanapie. Rozchyliła usta ze zdumienia. – Czy to jest...?

– Wampir? – Simon uśmiechnął się szeroko, pokazując kły, trochę za ostre jak na człowieka. Clary wołałaby, żeby tego nie robił.

– Mogę porozmawiać z tobą na osobności? – spytała Aline, zwracając się do Clary.

– Nie. – Clary usiadła na kanapie obok Simona. – Cokolwiek masz do powiedzenia, możesz to powiedzieć nam obojgu.

Aline przygryzła wargę.

– Dobrze. Muszę coś powiedzieć Alecowi, Jace'owi i Isabelle, ale nie mam pojęcia, gdzie ich teraz znaleźć.

Clary westchnęła.

– Wprowadzili się do pustego domu. Mieszkająca w nim rodzina wyjechała na wieś.

Aline pokiwała głową. Dużo ludzi opuściło Idris po atakach demonów. Większość została – więcej, niż Clary się spodziewała – ale część spakowała się i wyjechała, zostawiając domy.

– Wszystko u nich w porządku, jeśli to chcesz wiedzieć. Posłuchaj, ja też ich nie widziałam od bitwy. Mogłabym przekazać wiadomość przez Luke'a, jeśli chcesz...

– Nie wiem. – Aline przygryzła dolną wargę. – Moi rodzice musieli powiedzieć ciotce Sebastiana, co zrobił. Naprawdę się zdenerwowała.

– Każdy by się zdenerwował, gdyby jego siostrzeniec okazał się tym złym – skomentował Simon.

Alice posłała mu mroczne spojrzenie.

– Oświadczyła, że to jest tak do niego niepodobne, że musiała zająć jakąś pomyłkę. Przysłała mi parę jego zdjęć. – Aline sięgnęła do kieszeni i wyjęła kilka pomiętych fotografii. Podała je Clary. – Spójrz.

Na zdjęciu ujrzała roześmianego ciemnowłosego chłopca, na swój sposób przystojnego, z krzywym uśmiechem i trochę za dużym nosem. Z kimś takim fajnie byłoby się umawiać. I w ogóle nie przypominał Sebastiana.

– To twój kuzyn?

– To jest Sebastian Verlac. Co oznacza...

– Że chłopiec, który przedstawiał się jako Sebastian, jest kimś zupełnie innym? – Clary z rosnącym podnieceniem jeszcze raz obejrzała fotografie.

– Myślałam... – Aline znowu zagryzła wargę. – Pomyślałam, że gdyby Lightwoodowie się dowiedzieli, że Sebastian – czy kim był ten chłopak – nie jest naszym kuzynem, może by mi wybaczyli. Wybaczyli nam.

– Na pewno wybaczą – pocieszyła ją Clary, siłąc się na uprzejmość. – Ale chodzi o coś więcej. Clave powinno wiedzieć, że Sebastian to nie jakieś zbłąkane dziecko Nocnych Łowców i że Valentine przysłał go tu jako szpiega.

– Był taki przekonujący – stwierdziła Aline. – Wiedział o rzeczach, o których wiedzą tylko członkowie rodziny. Znał szczegóły z naszego dzieciństwa...

– Człowiek zaczyna się zastanawiać, co się stało z prawdziwym Sebastianem – wtrącił się Simon. – Z twoim kuzynem. Wygląda na to, że opuścił Paryż, wyruszył do Idrisu, ale nigdy tu nie dotarł. Więc co się z nim stało po drodze?

– Valentine – podsunęła Clary. – Pewnie wszystko zaplanował. Wiedział, gdzie będzie Sebastian i jak go przechwycić po drodze. A jeśli tak z nim postąpił...

– Mogą być też inni – dokończyła Aline. – Trzeba poinformować Clave. I Luciana Graymarka. – Widząc zdziwione spojrzenie Clary, wyjaśniła: – Ludzie go słuchają. Moi rodzice tak twierdzą.

– Może powinnaś pójść do Sali Anioła razem z nami – zaproponował Simon. – Sama wszystko mu powiesz.

Aline pokręciła głową.

– Nie mogę stanąć przed Lightwoodami. Zwłaszcza przed Isabelle. Uratowała mi życie, a ja... ja po prostu uciekłam. Nie mogłam się opanować. Po prostu uciekłam.

– Byłaś w szoku. To nie twoja wina.

Aline nie wyglądała na przekonaną.

– A teraz jej brat... – Urwała i przygryzła wargę. – No, dobrze. Clary, muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

– Mnie? – zdziwiła się Clary.

– Tak. – Aline wzięła głęboki oddech. – Posłuchaj, kiedy zaskoczyłaś wtedy mnie i Jace'a, to nie było nic ważnego. Pocałowałam go, ale eksperyment się nie udał.

Clary poczuła, że się rumieni i że jest to prawdziwie widowiskowy rumieniec. Dlaczego ona mi to mówi?

– Wszystko w porządku – bąknęła. – To sprawa Jace'a, nie moja.



– Cóż, wtedy wyglądałaś na bardzo zdenerwowaną. – W kącikach ust Aline zatańczył uśmieшек. – I chyba wiem dlaczego.

Clary przełknęła ślinę. W ustach miała kwaśny smak.

– Naprawdę?

– Posłuchaj, twój brat jest bardzo... towarzyski. Wszyscy wiedzą, że umawia się z mnóstwem dziewczyn. Martwiłaś się, że jeśli będzie kręcił się koło mnie, wpadnie w kłopoty. Ostatecznie nasze rodziny są... były... zaprzyjaźnione. Ale nie musisz się martwić. On nie jest w moim typie.

– Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby jakaś dziewczyna tak mówiła – odezwał się Simon. – Myślałem, że Jace to facet, który jest w typie każdej.

– Ja też tak myślałam – powiedziała Aline. – I dlatego go pocałowałam. Chciałam się przekonać, czy w ogóle jakiś facet jest w moim typie.

To Aline pocałowała Jace'a, a nie on ją, pomyślała Clary. To ona go pocałowała. Napotkała wzrok Simona nad głową dziewczyny. Jej przyjaciel wyglądał na rozbawionego.

– I do jakiego wniosku doszłaś?

Aline wzruszyła ramionami.

– Jeszcze nie jestem pewna. Ale przynajmniej o Jace'a nie musisz się martwić.

Gdyby tak było.

– Zawsze muszę się o niego martwić.

\*\*\*

Wielka Sala Anioła całkiem zmieniła charakter od nocy bitwy. Po spaleniu Gard służyła teraz jako pokój Rady, punkt informacyjny dla ludzi szukających zaginionych członków rodziny, miejsce, gdzie można poznać najświeższe wieści. Fontannę wyłączono, po jej obu stronach, naprzeciwko podium znajdującego się w drugim końcu pomieszczenia ustawiono w rzędach długie ławy. Siedzieli teraz na nich niektórzy Nefilim, jakby trwało posiedzenie Rady, a pod arkadami, które otaczały salę, kręciły się dziesiątki innych Nocnych Łowców. Nie było to już miejsce, w którym urządzi się bale. Panowała w nim atmosfera napięcia i oczekiwania.

Mimo zebrania Clave odbywającego się pośrodku, wszędzie wokół toczyły się przyciszone rozmowy. Idąc z Simonem przez salę, Clary wychwytywała strzępy plotek. Demoniczne wieże znowu działały. Odnowiono czary, ale słabsze niż wcześniej, albo że Czary

odnowiono, ale silniejsze niż przedtem. Na wzgórzach na południe od miasta widziano demony. Porzucono wiejskie domy, jeszcze więcej rodzin opuściło miasto, niektórzy wystąpili z Clave.

Na podium, otoczony mapami miasta, stał Konsul górujący nad niskim, pulchnym mężczyzną całym ubranym na szaro, który gestykulował gniewnie i coś mówił, ale nikt nie zwracał na niego zbytnej uwagi.

– O, cholera, Inkwizytor – szepnął Simon do ucha Clary. – Aldertree.

– Jest Luke – powiedziała Clary, wypatrywszy go w tłumie.

Stał obok suchej fontanny, pogrążony w rozmowie z mężczyzną w mocno sfatygowanym ryszunku bojowym, z bandażem zakrywającym lewą połowę twarzy. Clary rozejrzała się w poszukiwaniu Amatis i dostrzegła ją po chwili. Siostra Luke'a siedziała w milczeniu na końcu ławy, z dala od innych Nocnych Łowców. Zauważyła Clary i zaczęła się podnosić ze zdziwioną miną.

Luke również spostrzegł Clary, zmarszczył brwi i powiedział coś cicho do rannego mężczyzny. Ruszył przez salę w stronę kolumny, przy której zatrzymali się Clary i Simon. W miarę jak się zbliżał, coraz bardziej pochmurniał.

– Co tutaj robicie? Wiecie, że Clave nie wpuszcza dzieci na swoje zebrania, a jeśli chodzi o ciebie... – Spiorunował wzrokiem Simona. – Chyba to nie jest najlepszy pomysł, żebyś pokazywał się Inkwizytorowi, nawet jeśli on nic nie może ci zrobić. – Uśmiech wykrzywił kącik jego ust. – Nie narażając sojuszu, który Clave być może zechce w przyszłości zawrzeć z Podziemnymi.

– Zgadza się. – Simon pomachał ręką do Inkwizytora, a Aldertree go zignorował.

– Simon, przestań – zbesztła go Clary. – Przyszliśmy tutaj z konkretnego powodu. – Podała Luke'owi zdjęcia. – To jest Sebastian Verlac. Prawdziwy Sebastian Verlac.

Luke sposepniał. Bez słowa przejrzał fotografie, podczas gdy Clary przekazywała mu rewelacje Aline. Tymczasem Simon wiercił się niespokojnie i łypał spode łba na Aldertreego. Inkwizytor nadal nie zwracał na niego uwagi.

– Prawdziwy Sebastian jest podobny do naszego oszusta? – zapytał w końcu Luke.

– Niezupełnie – odparła Clary. – Falszywy Sebastian był wyższy. I chyba jest blondynem, bo z całą pewnością farbuje włosy. Nikt nie ma aż tak czarnych. – I zeszła z nich farba, kiedy ich dotknęłam, pomyślała, ale zatrzymała to spostrzeżenie dla siebie. – W każdym razie Aline

chciała, żebyśmy pokazali zdjęcia tobie i Lightwoodom. Ma nadzieję, że kiedy się dowiedzą, że on nie jest spokrewniony z Penhallowami, wtedy...

– Nie powiedziała nic swoim rodzicom? – Luke wskazał na fotografie.

– Chyba jeszcze nie. Zdaje się, że przyszła prosto do mnie. Poprosiła, żebym wszystko ci przekazała. Twierdzi, że ludzie cię słuchają.

– Może niektórzy. – Luke zerknął na mężczyznę z zabandażowaną twarzą. – Właśnie rozmawiałem z Patrickiem Penhallowem. Valentine był kiedyś jego dobrym przyjacielem i możliwe, że przez te lata trzymał rękę na pulsie. Podobno Hodge mówił, że Valentine ma tu szpiegów. – Oddał zdjęcia. – Niestety, Lightwoodowie nie przyjdą dzisiaj na Radę. Rano odbył się pogrzeb Maksa. Pewnie są teraz na cmentarzu. – Widząc wyraz twarzy Clary, dodał: – To była skromna ceremonia. Tylko dla rodziny.

Ale przecież ja jestem rodziną Jace'a, odezwał się cichy głos w jej głowie. Potem rozległ się inny, głośniejszy, pełen rozgoryczenia. A on ci powiedział, że przebywanie w twojej obecności jest jak powolne wykrwawianie się. Naprawdę myślisz, że tego potrzebuje na pogrzebie Maksa?

– Więc może powiesz im wieczorem – zaproponowała Clary. – Myślę, że to będzie dla nich dobra wiadomość. To chyba ważne, że Sebastian nie jest spokrewniony z ich przyjaciółmi.

– Wiadomość byłaby lepsza, gdyby wiedzieli, kim on jest naprawdę – zauważył Luke. – Albo jakich jeszcze szpiegów ma tutaj Valentine. Musiało ich być co najmniej kilku, żeby unieszkodliwić wieże. Można to było zrobić tylko od wewnątrz.

– Hodge mówił, że Valentine wymyślił sposób – odezwał się Simon. – Trzeba krwi demona, żeby unieszkodliwić wieże, a przecież nie można jej zdobyć w mieście. Ale Valentine jakoś sobie poradził.

– Ktoś namalował demoniczną krwią znak na szczycie jednej z wież – powiedział z westchnieniem Luke. – Najwyraźniej Hodge miał rację. Niestety, Clave zawsze za bardzo wierzyło w swoje zabezpieczenia. A nawet najtrudniejsza zagadka ma rozwiązanie.

– Wydaje mi się, że trzeba do tego podobnego sprytu jak w grach – stwierdził Simon. – Kiedy bronisz fortecy czarem całkowitej niewidzialności, ktoś wymyśla, jak ją rozwalić.

– Simon, zamknij się – warknęła Clary.

– On wcale tak bardzo nie zbacza z tematu – wstawił się za nim Luke. – My po prostu nie wiemy, jak przemycili krew demona do miasta, nie uruchamiając alarmu. – Wzruszył ramionami.

– Ale to najmniejszy z naszych problemów. Czary ochronne znowu działają, choć już wiemy, że nie są niezawodne. Valentine może wrócić w każdej chwili z jeszcze większą siłą, a ja wątpię, czy damy radę odeprzeć atak. Nie ma dość Nefilim, a tym, którzy są tutaj, brakuje morale.

– A co z Podziemnymi? – zapytała Clary. – Mówiłeś Konsulowi, że Clave musi walczyć wspólnie z nimi.

– Mogę powtarzać to Malachiemu i Aldertreemu do znudzenia, ale to nie znaczy, że mnie posłuchają – rzekł ze znużeniem Luke. – Pozwalają mi tu zostać tylko dlatego, że Clave głosowało, żeby zatrzymać mnie jako doradcę. A to z kolei zrobili tylko dlatego, że moje stado uratowało życie niektórym z nich. Co nie oznacza, że chcą więcej Podziemnych w Idrisie...

W tym momencie ktoś krzyknął.

Amatis zerwała się z ławy, zakrywając usta ręką i patrząc w stronę drzwi. Stał w nich mężczyzna. W blasku słońca wpadającego do środka był tylko sylwetką, dopóki nie zrobił kroku, wchodząc do Sali Anioła. Wtedy Clary zobaczyła jego twarz.

Valentine.

Z jakiegoś powodu pierwszym, co zauważyła Clary, było to, że Valentine jest gładko ogolony. Wyglądał dzięki temu młodziej, prawie jak gniewny chłopiec ze wspomnień, które pokazał jej Ithuriel. Zamiast stroju bojowego miał na sobie elegancki garnitur w prążki i krawat. Był bez broni. Mógłby być jednym z mężczyzn idących ulicami Manhattanu. Czyimś ojcem.

Nie patrzył na Clary, w ogóle nie dostrzegł jej obecności. Idąc wąskim przejściem między ławami, wzrok miał utkwiony w Luke'u.

Jak on mógł pojawić się tutaj bez broni? – zdziwiła się Clary i chwilę później dostała odpowiedź na swoje pytanie. Inkwizytor Aldertree wydał z siebie ryk jak ranny niedźwiedź. Odsunął się od Malachiego, który próbował go zatrzymać, pobiegł przejściem i rzucił się na Valentine'a.

Przeszedł przez jego ciało jak nóż przez papier. Valentine odwrócił się i patrzył z zainteresowaniem, jak Aldertree zatacza się, wpada na kolumnę i niezdarnie pada na podłogę. Konsul, który pobiegł za nim, schylił się, żeby pomóc mu wstać. Na twarzy miał wyraz ledwo skrywanego niesmaku.

Po sali przebiegł słaby pomruk. Inkwizytor wrzasnął piskliwie i zaczął się miotać jak szczur w pułapce. Malachi trzymał go mocno za ramiona, podczas gdy Valentine szedł dalej, nie patrząc na żadnego z nich. Nocni Łowcy stłoczeni wokół ław rozstępowali się jak fale Morza

Czerwonego przed Mojżeszem, zostawiając wolną drogę przez środek sali. Clary zadrżała, kiedy Valentine zbliżył się do miejsca, gdzie stała z Lukiem i Simonem. To tylko projekcja, powiedziała sobie. Nie ma go tutaj naprawdę. Nie może zrobić ci krzywdy.

Simon też zadrżał. Clary wzięła go za rękę, kiedy Valentine zatrzymał się na stopniach podium, odwrócił się i spojrzał na nią. Pobieżnie powiódł po niej spojrzeniem, jakby brał miarę. Simona całkiem pominął i zatrzymał wzrok na Luke'u.

– Lucian – powiedział.

Luke bez słowa i z całkowitym spokojem odwzajemnił spojrzenie. Są razem w tym samym pomieszczeniu po raz pierwszy od Renwick, pomyślała Clary, a wtedy Luke był zakrwawiony i ledwo żywy po walce. Teraz łatwiej rzuciły się w oczy wszystkie różnice i podobieństwa między nimi. Luke był w podartej flanelowej koszuli i dżinsach, Valentine w pięknym i drogim garniturze. Luke miał jednodniowy zarost i siwiznę we włosach, Valentine wyglądał jak w wieku dwudziestu pięciu lat, tylko wydawał się chłodniejszy i twardszy, jakby mijające lata powoli obracały go w kamień.

– Słyszę, że Clave wprowadziło cię do Rady – ciągnął Valentine. – I dobrze, że Clave, słabe i zżarte przez korupcję, zostanie opanowane przez półkwi degeneratów. – Mówił głosem łagodnym, nawet wesołym, tak że trudno było wyczuć jad w jego słowach albo uwierzyć, że nie żartuje. Przeniósł wzrok na Clary. – Clarissa z wampirem, jak widzę. Kiedy sprawy się ułożą, koniecznie musimy porozmawiać o twoich wyborach.

Z gardła Simona wydobyło się ciche warczenie. Clary chwyciła go za rękę tak mocno, że kiedyś z bólu wyrwałby dłoń. Teraz nawet tego nie poczuł.

– Nie – szepnęła Clary. – Nie.

Ale Valentine już przestał się nimi interesować. Wspiął się po schodach na podium i spojrzał z góry na tłum.

– Tyle znajomych twarzy – stwierdził. – Patrick. Malachi. Amatis.

Amatis stała sztywno, w oczach miała nienawiść.

Inkwizytor nadal próbował uwolnić się z uścisku Konsula. Valentine skierował na niego lekko rozbawiony wzrok.

– Nawet ty, Aldertree. Słyszę, że jesteś niebezpośrednio odpowiedzialny za śmierć mojego starego przyjaciela Hodge'a Starkweathera. Szkoda.

Luke w końcu odzyskał głos.

– Przyznajesz więc, że to ty zniszczyłeś wieże i ty przysłałeś demony.

– Przysłałem – potwierdził Valentine. – I mogę przysłać więcej. Z pewnością Clave, nawet głupie Clave, musiało się tego spodziewać? Ty się spodziewałeś, prawda, Lucianie?

– Tak. – W niebieskich oczach Luke’a malowała się powaga. – Ale znam cię, Valentine. Przyszedłeś się układać czy chełpić?

– Ani jedno, ani drugie. – Valentine powiódł wzrokiem po milczącym tłumie. – Nie muszę się układać. – Choć mówił spokojnym tonem, jego głos niósł się po sali jak wzmocniony. – I nie mam potrzeby się chełpić. Nie bawi mnie powodowanie śmierci Nocnych Łowców. Już jest nas mało w świecie, który bardzo nas potrzebuje. Ale Clave taka sytuacja odpowiada, prawda? To kolejna z ich bezsensownych zasad, które stosują, żeby zwykłych Nocnych Łowców zetrzeć na proch. Zrobiłem to, co zrobiłem, bo musiałem. Zrobiłem to, co zrobiłem, bo to był jedyny sposób, żeby zmusić Clave do słuchania. Nocni Łowcy nie zginęli przeze mnie. Zginęli, bo Clave mnie zignorowało. – Przez chwilę przeszywał Inkwizytora spojrzeniem. Błądą twarz Aldertreego wykrzywił nerwowy tik. – Wielu z was było kiedyś w moim Kręgu. Mówię teraz do was i do tych, którzy wiedzieli o Kręgu, ale trzymali się od niego z daleka. Pamiętacie, co przewidziałem piętnaście lat temu? Że jeśli nie wystąpimy przeciwko Porozumieniom, miasto Alicante, nasza cenna stolica zostanie opanowana przez śliniących się mieszkańców, przez zdegenerowane rasy depreczące wszystko, co uważamy za drogie? I stało się tak, jak przewidziałem. Gard spłonęło do szczytu, Brama została zniszczona, nasze ulice roją się od potworów. Od półludzkiego motłochu, który chce nami rządzić. Tak więc, przyjaciele, wrogowie, bracia, pytam, wierzycie mi teraz? – Jego głos wzniósł się do krzyku. – Wierzycie?!

Powiódł spojrzeniem po sali, jakby oczekiwał odpowiedzi. Nie otrzymał żadnej. Przed sobą miał morze wpatrujących się w niego twarzy.

– Valentine. – Głos Luke’a, choć cichy, przerwał ciszę. – Nie widzisz, co zrobiłeś? Porozumienia, których tak się bałeś, nie zrównały Podziemnych z Nefilim. Nie zapewniły półludziom miejsca w Radzie. Wszystkie stare nienawiści przetrwały. Powinieneś się na nich oprzeć, ale tego nie zrobiłeś, nie mogłeś, i w ten sposób dałeś nam jedyną rzecz, która może nas zjednoczyć. – Wbił w niego wzrok. – Wspólnego wroga.

Po bladej twarzy Valentine’a przemknął rumieniec.

– Nie jestem wrogiem Nefilim. Ty nim jesteś. Ty próbujesz nakłonić ich do beznadziejnej walki. Myślisz, że demony, które widziałeś, to wszystkie, jakie mam? To tylko niewielka ich część.

– Nas też jest więcej – oświadczył Luke. – Nefilim i Podziemnych.

– Podziemni... – prychnął szyderczo Valentine. – Uciekną na pierwszy sygnał prawdziwego niebezpieczeństwa. Nefilim urodzili się, żeby być wojownikami, chronić świat, ale ten świat was nienawidzi. Nie bez powodu pali was czyste srebro, a Nocne Dzieci – światło dzienne.

– Mnie nie – odezwał się Simon twardym głosem, mimo że Clary ścisnęła jego rękę. – Właśnie stoję w blasku słońca...

Valentine tylko się roześmiał.

– Widziałem, jak się krztusisz, kiedy próbujesz wymówić imię Boga, wampirze. A jeśli chodzi o stanie w blasku słońca... – Uśmiechnął się szeroko. – Jesteś anomalią, wybrykiem natury, ale nadal potworem.

Potworem. Clary przypomniało się, co Valentine mówił na statku. „Twoja matka zarzuciła mi, że zmieniłem jej pierwsze dziecko w potwora. Odeszła, zanim zdążyłem to samo zrobić z drugim”.

Jace. Na myśl o nim poczuła ostry ból. A Valentine mówi o potworach po tym wszystkim, co zrobił...

– Jedyńm tutaj potworem jesteś ty – wyrwało jej się mimo postanowienia, żeby milczeć.

– Widziałam Ithuriela – dodała, kiedy spojrzał na nią zaskoczony. – Wiem wszystko...

– Wątpię. Gdybyś wiedziała, trzymałabyś buzię na kłódkę. Jeśli nie ze względu na siebie, to ze względu na brata.

„Nie waż się nawet wymieniać imienia Jace’a!” – chciała krzyknąć, ale uprzedził ją inny głos: chłodny, kobiecy, nieustraszony i pełen goryczy.

– A co z moim bratem? – Amatis stanęła u stóp podium i spojrzała w górę na Valentine’a. Luke drgnął osłupiały i pokręcił głową, ale siostra go zignorowała.

Valentine zmarszczył brwi.

– Co z Lucianem?

Pytanie Amatis wyraźnie go zaniepokoiło, a może chodziło o to, że odważyła się na konfrontację. Skreślił ją przed laty jako osobę słabą, niezdolną do tego, żeby rzucić mu wyzwanie. Nigdy nie lubił, kiedy ludzie go zaskakiwali.

– Oznajmiłeś, że już nie jest moim bratem. Zabrałeś mi Stephena. Zniszczyłeś moją rodzinę. Twierdzisz, że nie jesteś wrogiem Nefilim, ale nastawiasz nas przeciwko sobie nawzajem, bez skrupułów rujnujesz innym życie. Mówisz, że nienawidzisz Clave, ale to ty uczyniłeś ich takimi, jacy są teraz: mali i podejrzliwi. Kiedyś sobie ufaliśmy, my, Nefilim. Ty to zmieniłeś. Nigdy ci tego nie wybaczę. – Jej głos zadrżał. – Ani tego, że zmusiłeś mnie, żebym potraktowała Luciana, jakby już nie był moim bratem. Nie wybaczę również sobie, że cię słuchałam.

– Amatis. – Luke zrobił krok do przodu, ale siostra powstrzymała go gestem ręki. Jej oczy lśniły od łez, ale plecy miała wyprostowane, głos mocny i pewny.

– Kiedyś wszyscy chętnie cię słuchaliśmy. Wszyscy mamy tę uległość na swoim sumieniu. Ale teraz jest inaczej. Nigdy więcej. Twój czas się skończył. Czy ktoś się ze mną nie zgadza?

Clary rozejrzała się po zebranych Nocnych Łowcach. W jej oczach wyglądali w tej chwili jak szkic tłumu, z białymi plamami zamiast twarzy. Wyłowiła z niego Patricka Penhallowa z zaciśniętą szczęką, Inkwizytora, który trząsał się jak liść na wietrze, i Malachiego o nieodgadnionej minie.

Nikt nie odezwał się słowem.

Gdyby Clary spodziewała się, że Valentine będzie zły z powodu braku odpowiedzi Nefilim, którymi chciał rządzić, przeżyłaby rozczarowanie. Jego twarz pozostała bez wyrazu, nie licząc lekkiego drgania mięśnia na szczęce. Zupełnie jakby spodziewał się takiej reakcji. Jakby ją zaplanował.

– Dobrze, skoro nie chcecie słuchać rozsądku, będziecie musieli posłuchać siły – ostrzegł.  
– Już wam pokazałem, że potrafię unieszkodliwić obronę miasta. Widzę, że naprawiliście wieże, ale z łatwością mogę znowu je zepsuć. Spełnicie moje żądania albo przyjdzie wam walczyć z demonami wezwanymi przez Miecz Anioła. Powiem im, żeby nie oszczędzały nikogo, żadnego mężczyzny, kobiety czy dziecka. Wybór należy do was.

Przez salę przebiegł szmer. Luke wytrzeszczył oczy.

– Świadomie zniszczyłbyś swoją rasę?



– Czasami trzeba wyrwać chore rośliny, żeby uratować ogród – odparł Valentine. – A jeśli wszystkie są zarażone... – Odwrócił się twarzą do zmartwiałego tłumu. – Wybór należy do was. Mam Kielich Anioła. Jeśli będę musiał, zapoczątkuję nowy świat Nocnych Łowców, stworzonych i wyszkolonych przeze mnie. Ale mogę dać wam ostatnią szansę, jeśli Clave przekaże mi całą władzę i zgodzi się na moje jednoosobowe rządy. Wszyscy Nocni Łowcy złożą mi przysięgę posłuszeństwa i pozwolą sobie nałożyć znak lojalności, który ich ze mną zwiąże. Takie są moje warunki.

W sali zapadła cisza. Amatis zakryła ręką usta. Clary kręciło się w głowie. Widziała zgromadzonych jako jedną zamazaną plamę. Nie mogą się zgodzić, pomyślała. Nie mogą. Ale jakie mieli wyjście? Zostali schwytani w pułapkę przez Valentine'a. Tak jak Jace i ja tkwimy w pułapce przez to, co nam zrobił. Wszyscy jesteśmy z nim związani naszą własną krwią.

Choć Clary wydawało się, że minęła godzina, po chwili wysoki, piskliwy głos przerwał ciszę.

– Cała władza i rządy? Twoje rządy?

– Aldertree... – Konsul chciał go powstrzymać, ale Inkwizytor okazał się zbyt szybki.

Uwolnił się i ruszył w stronę podium. Wykrzykiwał wciąż te same słowa, jakby całkiem postradał rozum. Oczy miał wywrócone białkami do góry. Odepchnął Amatis i wgramolił się na podwyższenie.

– Jestem Inkwizytorem, rozumiesz, Inkwizytorem! Częścią Clave! Rady! Ja ustanawiam zasady, a nie ty! Ja rządę, a nie ty! Nie pozwolę ci przejąć władzy, ty uzurpatorze, miłośniku demonów, obmierzły...

Z wyrazem znudzenia na twarzy Valentine wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć ramienia Inkwizytora. Ale nie mógł niczego dotknąć, bo był tylko projekcją. Jego ręka przebiła skórę, ciało i kości Aldertreego, zniknęła w klatce piersiowej. Minęła sekunda – tylko jedna sekunda – w czasie której cała sala wpatrywała się w lewą rękę Valentine'a zanurzoną po nadgarstek w piersi Inkwizytora. Potem gwałtownie przekręcił dłoń, jakby obracał gałkę u drzwi.

Inkwizytor wydał okrzyk i padł jak kamień.

Valentine zabrał rękę; była umazana krwią, rękaw garnituru z drogiej wełny był szkarłatny aż po łokieć. Opuścił rękę, spojrzał na wstrząśnięty tłum i zatrzymał wzrok na Luke'u.

– Daję wam czas do jutrzejszego południa, żebyście rozważyli moje warunki. Wtedy sprowadzę całą moją armię na Równinę Brocelind. Jeśli nie dostanę od Clave wiadomości o

poddaniu się, wmaszeruję z wojskiem do Alicante i tym razem nie zostawię nikogo żywego.  
Mądrze wykorzystajcie ten czas.

I zniknął.

## W ciemnym lesie

– I co wy na to? – spytał Jace, nie patrząc na Clary. Nie spojrział na nią, odkąd w towarzystwie Simona pojawiła się na frontowych stopniach obecnego domu Lightwoodów. Opierał się o framugę jednego z wysokich okien w salonie i patrzył na szybko ciemniejące niebo.

– Człowiek idzie na pogrzeb dziewięcioletniego brata i przegapia całą zabawę.

– Jace, przestań – odezwał się Alec zmęczonym głosem.

Póллеżał w jednym ze sfatygowanych, wyściełanych foteli, które w tym pokoju były jedynymi miejscami do siedzenia. W domu panowała atmosfera obcości. W wystroju dominowały pastele, tkaniny w kwieciste wzory i falbanki, a wszystko wyglądało na lekko podniszczone albo wystrzępione. Na małym stoliku obok Aleca stała szklana misa z czekoladkami. Clary umierała z głodu, więc zjadła kilka i stwierdziła, że są pokruszone i suche. Zastanawiała się, jacy ludzie tutaj mieszkali. Uciekli, kiedy sytuacja przybrała zły obrót, pomyślała. Zasłużyli na to, żeby ktoś przejął ich dom.

– Co mam przestać? – burknął Jace.

Na dworze się ściemniło i Clary widziała jego odbicie w szybie. Miał na sobie biały żałobny strój. Nocni Łowcy nie ubierali się na pogrzeby na czarno, bo był to kolor strojów bojowych. W materiał kołnierza i mankietów białej marynarki, którą miał na sobie Jace, wpleciono runy. W przeciwieństwie do Znaków wojennych, które kojarzyły się z agresją i obroną, te przemawiały łagodniejszym językiem uzdrawiania i smutku. Metalowe bransolety na jego nadgarstkach również ozdobiono runami. Alec był ubrany podobnie, cały na biało, z czerwono-złotymi runami na tkaninie, co podkreślało czerń jego włosów.

Natomiast Jace w bieli wyglądał jak anioł. No, może jak anioł zemsty.

– Nie jesteś wściekły na Clary ani na Simona – stwierdził Alec i dodał pospiesznie: – Przynajmniej nie sądzę, żebyś był na niego wściekły.

Clary spodziewała się, że Jace warknie coś gniewnie, ale on odpowiedział tylko:

– Clary wie, że nie jestem na nią zły.

Simon, rozparty na kanapie, przewrócił oczami.

– Nie rozumiem, jak Valentine’owi udało się zabić Inkwizytora. Myślałem, że projekcje nie mogą wpływać na rzeczywistość.

– Nie powinny – zgodził się Alec. – To tylko złudzenia. Kolorowe powietrze, że się tak wyrażę.

– Nie w tym wypadku. Sięgnął do piersi Inkwizytora i przekręcił rękę... – Clary zadrżała.

– Było dużo krwi.

– Bonus dla ciebie – rzucił Jace, patrząc na Simona.

Simon go zignorował.

– Czy choć jeden Inkwizytor nie zginął straszną śmiercią? – spytał. – To zupełnie jak być perkusistą w Spinal Tap.

Alec przesunął dłonią po twarzy.

– Nie mogę uwierzyć, że moi rodzice jeszcze nic nie wiedzą. Nie powiem, żeby nie mógł się doczekać, aż ich uświadomię.

– A gdzie są twoi rodzice? – zapytała Clary. – Myślałam, że na górze.

Alec pokręcił głową.

– Nadal na cmentarzu. Przy grobie Maksa. Odesłali nas do domu. Chcieli przez chwilę być tam sami.

– A Isabelle? – zainteresował się Simon.

Jace spochmurniał.

– Nie chce wyjść z pokoju – powiedział. – Uważa, że to wszystko jej wina. Nie chciała nawet przyjść na pogrzeb.

– Próbowalesz z nią rozmawiać?

– Nie. Tłukliśmy ją pięściami po twarzy. Jak myślisz, dlaczego nie poskutkowało?

– Ja tylko pytałem – bąknął Simon skruszonym tonem.

– Powiemy jej prawdę o Sebastianie – rzekł Alec. – Może poczuje się lepiej. Izzy twierdzi, że powinna była zauważyć, że coś jest nie tak z Sebastianem, ale skoro okazał się szpiegiem... – Wzruszył ramionami. – Nikt nie nabrał żadnych podejrzeń. Nawet Penhallowowie.

– Ja uważałem go za palanta – oświadczył Jace.

– Tak, ale tylko dlatego, że... – Alec zapadł się głębiej w fotel. Wyglądał na wyczerpanego. Na tle białego ubrania jego skóra miała bladoszary odcień. – Zresztą nieważne. Kiedy Izzy się dowie, czym grozi nam Valentine, nic jej nie pocieszy.

– Ale czy on naprawdę to zrobi? – zastanowiła się Clary. – Wyśle armię demonów przeciwko Nefilim. Przecież on nadal jest Nocnym Łowcą, prawda? Nie mógłby zniszczyć swoich.

– Nie obchodziły go nawet własne dzieci – przypomniał Jace, patrząc na nią. – Dlaczego sądzisz, że obchodzą go Nocni Łowcy?

Alec obserwował ich bacznie, a po wyrazie jego twarzy Clary poznała, że Jace jeszcze nie powiedział mu o Ithurielu.

– Jace...

– To wyjaśnia jedną rzecz – ciągnął Jace, nie patrząc na Aleca. – Magnus próbował użyć znaku śledzącego, żeby w ten sposób odnaleźć szpiega, ale w końcu się poddał, mówiąc, że nie odczytuje z rzeczy, które Sebastian zostawił w swoim pokoju.

– Co to znaczy?

– Że to były rzeczy Verlaca. Fałszywy Sebastian prawdopodobnie mu je zabrał. I dlatego Magnus może nic z nich nie odczytać, bo prawdziwy...

– Prawdopodobnie nie żyje – dokończył Alec. – A Sebastian, którego znamy, jest zbyt sprytny, żeby zostawić jakiś trop. Jeśli się chce kogoś odnaleźć, trzeba mieć przedmiot w jakiś sposób związany z tą osobą. Rodzinną pamiątkę, stelę albo szczotkę do włosów. Coś w tym rodzaju.

– Wielka szkoda, bo gdybyśmy potrafili go wysledzić, zaprowadziłby nas prosto do Valentine'a. Na pewno popędził do swojego pana z pełnym raportem. I opowiedział mu o szalonej teorii Hodge'a na temat jeziora i Lustra.

– Może ta teoria wcale nie jest aż taka szalona – zaproponował Alec. – Na ścieżkach prowadzących do jeziora Clave postawiło strażników i rozmieściło czary ostrzegające.

– Fantastycznie – skomentował Jace, opierając się o ścianę. – Z pewnością wszyscy czujemy się teraz zupełnie bezpieczni.

– Nie rozumiem, dlaczego Sebastian został po tym, co zrobił Izzy i Maxowi – odezwał się Simon. – Przecież musiał zostać przyłapany, już nie mógł się dłużej maskować. Nawet jeśli

myślał, że zabił Isabelle, a nie tylko ją ogłuszył, jak zamierzał wyjaśnić, że oboje nie żyją, a on jest cały? Nie, był skończony.

Więc dlaczego nie uciekł, kiedy zaczęła się bitwa? Dlaczego przyszedł do Gard, żeby mnie dopaść? Jestem pewien, że nie obchodziło go, czy żyję, czy umarłem.

– Jesteś dla niego zbyt pobłażliwy – stwierdził Jace. – Na pewno wolałby, żebyś nie żył.

– Myślę, że został z mojego powodu – orzekła Clary.

Jace pomknął ku niej wzrokiem. Jego oczy jarzyły się złotem.

– Z twojego powodu? Miał nadzieję na następną gorącą randkę?

Clary poczerwieniała na twarzy.

– Nie. I nasza randka wcale nie była gorąca. Właściwie to nawet nie była randka. Zresztą nie w tym rzecz. Kiedy przyszedł do Sali Anioła, próbował wyciągnąć mnie na zewnątrz, żebyśmy mogli porozmawiać. Czegoś ode mnie chciał. Tylko nie wiem czego.

– A może po prostu chciał ciebie – podsunął Jace, a widząc minę Clary, dodał: – Nie w ten sposób. Może chciał zaciągnąć cię do Valentine’a.

– Ja nic nie obchodzę Valentine’a – odparła Clary. – Jemu zależy tylko na tobie.

Oczy Jace’a błysnęły.

– Tak twierdzisz? – Wyraz jego twarzy był niepokojąco ponury. – Po tym, co się stało na łodzi? Valentine właśnie tobą się interesuje. Co oznacza, że musisz być ostrożna. Bardzo ostrożna. Nie szkodziłoby, gdybyś spędziła kilka następnych dni w domu. Możesz zamknąć się w pokoju jak Isabelle.

– Nie zamierzam.

– Oczywiście, że nie, bo żyjesz po to, żeby mnie dręczyć, prawda?

– Nie wszystko kręci się wokół ciebie, Jace – odparowała ze złością Clary.

– Możliwe, ale musisz przyznać, że większość rzeczy tak.

Clary z trudem stłumiła impuls, żeby wrzasnąć.

Simon odchrząknął.

– Skoro już mowa o Isabelle... a muszę o tym wspomnieć, zanim dojdzie do prawdziwej kłótni, chyba powinienem pójść z nią porozmawiać.

– Ty? – zdziwił się Alec i, sam nieco zakłopotany własną reakcją, dodał pośpiesznie: – Ona nie wpuszcza nawet własnej rodziny. Dlaczego miałaby wpuścić ciebie?

– Może dlatego, że nie jestem rodziną – rzucił Simon.

Stał z rękami w kieszeniach i z wyprostowanymi plecami. Wcześniej, kiedy Clary siedziała obok niego, widziała cienką białą kreskę na jego szyi w miejscu, gdzie Valentine poderżnął mu gardło, i blizny na nadgarstkach. Spotkania z Nocnymi Łowcami zmieniły go nie tylko zewnętrznie. Zmiana sięgała dużo głębiej. Teraz z wysoko uniesioną głową i stoickim spokojem przyjmował wszystko, co mówili Jace i Alec. Zniknął Simon, który kiedyś czułby się przy nich nieswojo.

Clary poczuła nagle ból w sercu i ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że brakuje jej dawnego przyjaciela.

– Chyba spróbuję nakłonić Isabelle, żeby ze mną porozmawiała – oświadczył Simon. – Na pewno nie zaszkodzi.

– Ale jest już prawie ciemno – zauważyła Clary. – Obiecaliśmy Luke’owi i Amatis, że wrócimy przed zachodem słońca.

– Odprowadzę cię – zaoferował się Jace. – A jeśli chodzi o Simona, może sam wrócić po ciemku, prawda?

– Oczywiście, że może – powiedział Alec skwapliwie, jakby chciał nadrobić swoje wcześniejsze lekceważące uwagi. – Jest wampirem i... no tak, właśnie sobie uświadomiłem, że pewnie żartujesz. Nie zwracajcie na mnie uwagi.

Simon się uśmiechnął. Clary otworzyła usta, ale szybko je zamknęła. Po pierwsze, uznała, że jej protest byłby bezsensowny. Po drugie, do milczenia skłonił ją wyraz twarzy Jace’a, który patrzył na Simona. Rozbawienie mieszało się u niego z wdzięcznością i może nawet, o dziwo, z odrobiną szacunku.

\*\*\*

Nowe lokum Lightwoodów od domu Amatis dzielił krótki spacer. Clary żałowała, że droga nie jest dłuższa. Nie mogła pozbyć się uczucia, że każda chwila spędzona z Jace’em jest cenna, bo zbliża się nieunikniona chwila, kiedy rozstaną się na zawsze.

Spojrzała na niego z ukosa. Wpatrywał się przed siebie, zupełnie jakby jej przy nim nie było. Jego profil rysował się ostro i wyraźnie w blasku magicznych latarni. Włosy okalały policzek, nie całkiem zasłaniając białą bliznę po Znak widoczną na skroni. Na szyi lśnił zawieszony na metalowym łańcuszku pierścień Morgensternów. Kostki lewej dłoni miał zaczerwienione. A więc naprawdę leczył się jak Przyziemny. Alec mówił prawdę.

Zadrzała. Jace zerknął na nią i spytał:

– Zimno ci?

– Po prostu się zastanawiam. Dziwię się, że Valentine zabił Inkwizytora, a nie Luke’a. Inkwizytor to Nocny Łowca, a Luke jest Podziemnym. Poza tym Valentine go nienawidzi.

– Ale w pewnym sensie go szanuje – stwierdził Jace, a Clary pomyślała o spojrzeniu, którym niedawno obrzucił Simona. – Luke próbuje zmusić Clave do zmiany, do myślenia w nowy sposób. To samo robił Valentine, nawet jeśli jego cele były trochę inne. Luke to obrazoburca. Zależy mu na zmianach. W oczach Valentine’a Inkwizytor reprezentuje stare, skostniałe Clave, którego tak bardzo nienawidzi.

– I kiedyś byli przyjaciółmi – dodała Clary. – Luke i Valentine.

– „Znaki tego, co kiedyś było” – powiedział Jace, a po jego lekko drwiącym tonie Clary domyśliła się, że coś cytuje. – Niestety, człowiek najbardziej nienawidzi kogoś, na kim mu kiedyś zależało. Przypuszczam, że Valentine zaplanował dla Luke’a coś specjalnego, kiedy już przejmie władzę.

– Ale jej nie przejmie. – Gdy Jace milczał, Clary podniosła głos: – Nie wygra, nie może. On wcale nie chce wojny z Nocnymi Łowcami i Podziemnymi...

– A dlaczego uważasz, że Nocni Łowcy będą walczyć ramię w ramię z Podziemnymi? – zapytał Jace. Nadal na nią nie patrzył, tylko na wodę kanału, wzdłuż którego szli. – Dlatego że Luke tak mówi? On jest idealistą.

– A to coś złego?

– Nie, tylko że ja nie jestem idealistą.

Clary poczuła chłód w sercu, słysząc w jego głosie rozpacz, gniew i nienawiść. To są cechy demonów. On zachowuje się tak, jak jego zdaniem powinien się zachowywać.

Gdy dotarli do domu Amatis, Clary zatrzymała się u stóp schodów i odwróciła do Jace’a.

– Może, ale również nie jesteś taki jak on – powiedziała.

Jace drgnął na te słowa, a może chodziło jedynie o jej twarde ton. Spojrzał na nią po raz pierwszy, odkąd wyszli od Lightwoodów.

– Clary... – Zacerpnął tchu. – Masz krew na rękawie. Jesteś ranna?

Ujął jej nadgarstek. Clary spojrzała w dół i ku swojemu zdumieniu stwierdziła, że Jace ma rację. Na prawym rękawie płaszcz widniała nieregularna szkarłatna plama. Dziwne, że zachowała intensywny kolor. Czy zaschnięta krew nie powinna być ciemniejsza? Clary zmarszczyła brwi.



– To nie moja.

Jace trochę się odprężył i przestał ściskać jej rękę.

– Inkwizytora?

Clary pokręciła głową.

– Myślę, że Sebastiana.

– Sebastiana?

– Tak. Pamiętam, że kiedy przyszedł do Sali Anioła, jego twarz krwawiła. Pewnie Isabelle go podrapała. W każdym razie... dotknęłam ran i stąd ta krew. – Uważnie przyjrzała się plamie. – Myślałam, że Amatis wyprała płaszcz, ale najwyraźniej tego nie zrobiła.

Spodziewała się, że Jace ją puści, ale on przytrzymał jej rękę, jeszcze raz ją obejrzał i uwolnił dopiero po chwili, najwyraźniej usatysfakcjonowany.

– Dzięki.

Clary spojrzała na niego pytająco.

– Nie zamierzasz mi powiedzieć, o co chodzi?

– Nie ma mowy.

Clary z irytacją wyrzuciła ramiona w górę.

– Wchodzę do środka. Do zobaczenia.

Ruszyła po schodach do frontowych drzwi. Nie mogła wiedzieć, że w chwili, kiedy się odwróciła, uśmiech zniknął z twarzy Jace'a, a on sam jeszcze długo po jej odejściu stał w mroku i bawił się nitką, przeplatając ją między palcami.

\*\*\*

– Isabelle. – Simon zajrzał wcześniej do kilku pomieszczeń, zanim okrzyk: „Idź sobie!” przekonał go, że w końcu trafił dobrze. – Isabelle, wpuść mnie.

Rozległ się stłumiony stuk, drzwi zatrzęśły się lekko, jakby Isabelle czymś w nie rzuciła. Pewnie butem.

– Nie chcę rozmawiać z tobą ani z Clary. Nie chcę rozmawiać z nikim. Zostaw mnie w spokoju, Simon.

– Clary tu nie ma, a ja nie odejdę, dopóki ze mną nie porozmawiasz.

– Alec! – wrzasnęła Isabelle. – Jace! Zabierzcie go stąd!

Simon odczekał chwilę. Z dołu nie dochodziły żadne dźwięki. Alec wyszedł albo się ukrywał.

– Nie ma ich tutaj, Isabelle. Jestem tylko ja.

Zapadła cisza. Kiedy Isabelle w końcu się odezwała, jej głos dochodził z bliższej odległości, jakby stała tuż za drzwiami.

– Jesteś sam?

– Tak.

Drzwi się uchyliły. Isabelle miała na sobie tylko czarną halkę, włosy rozpuszczone i splątane. Simon jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie: bosej, nieuczesanej, bez makijażu.

– Możesz wejść.

Simon minął ją i wszedł do pokoju. W świetle padającym z korytarza zobaczył, że pokój wygląda, jakby przeszło przez niego tornado. Na podłodze wały się rozrzucone ubrania, worek marynarski leżał rozbebeszony, jakby eksplodował. Na jednej poręczy łóżka wisiał srebrno-złoty bicz, na drugiej koronkowy stanik. Simon odwrócił wzrok. Zastony były zaciągnięte, lampy zgaszone.

Isabelle rzuciła się na łóżko i spojrzała na niego z lekkim rozbawieniem.

– Rumieniący się wampir. Kto by pomyślał? – Uniosła brodę. – Czego chcesz?

Simon doszedł do wniosku, że mimo gniewnego spojrzenia Isabelle wygląda młodziej niż zwykle. Jej oczy były wielkie i czarne w ściągniętej, bladej twarzy. Jasną skórę pokrywały białe blizny: całe nagie ramiona, plecy, obojczyki, a nawet nogi. Jeśli Clary pozostanie Nocnym Łowcą, pewnego dnia też będzie tak wyglądać. Teraz ta myśl nie zdenerwowała go tak, jak mogłaby zdenerwować jeszcze niedawno. Isabelle niemal obnosiła się z bliznami, jakby była z nich dumna.

Dziewczyna obracała coś w palcach. Jakiś mały przedmiot, który słabo lśnił w półmroku. Simon przez chwilę myślał, że to bizuteria.

– To, co się stało z Makssem, to nie twoja wina – powiedział.

Isabelle wpatrywała się w drobiazg, który trzymała w rękach.

– Wiesz, co to jest? – zapytała, unosząc go.

Okazało się, że jest to mały drewniany żołnierzyk. Nocny Łowca w czarnym stroju. Srebrny połysk pochodził od małego miecza, z którego zeszła prawie cała farba.

– Należał do Jace’a – wyjaśniła Isabelle, nie czekając na odpowiedź. – Jedyna zabawka, którą miał ze sobą, kiedy przyjechał z Idrisu. Być może element większego zestawu. Sądzę, że sam ją zrobił, choć nigdy tego nie powiedział. Kiedy był mały, wszędzie zabierał ją ze sobą.

Zawsze trzymał tę figurkę w kieszeni. Pewnego dnia zauważyłam ją u Maksa. Jace miał wtedy jakieś trzynaście lat. Po prostu kiedy zrobił się na nią za duży, dał ją mojemu bratu. Max ścisnął ją w ręce, kiedy go znaleźli. Zupełnie jakby złapał żołnierzyka, kiedy Sebastian... kiedy... – Jej usta wykrzywił grymas, kiedy ze wszystkich sił starała się nie rozplakać. – Powinnam być przy nim i go chronić. To mnie powinien się trzymać, a nie jakiejś głupiej drewnianej zabawki. – Jej oczy lśniły.

– Byłaś nieprzytomna – zaprotestował Simon. – Sama omal nie zginęłaś, Izzy. Nic nie mogłaś zrobić.

Isabelle potrząsnęła głową. Jej splątane włosy podskakiwały na ramionach.

– Skąd wiesz? Max przyszedł do nas tamtej nocy i powiedział, że ktoś wdrapuje się na demoniczne wieże, a ja stwierdziłam, że mu się przyśniło, i odesłałam go do łóżka. A on miał rację. Założę się, że to ten drań Sebastian wspinał się na wieże, żeby unieszkodliwić czary. I potem go zabił, żeby Max nie mógł nikomu opowiedzieć, co widział. Gdybym go posłuchała, gdybym poświęciła choć jedną sekundę na to, żeby go wysłuchać, nic by się nie stało.

– Nie mogłaś wiedzieć – z przekonaniem rzekł Simon. – A jeśli chodzi o Sebastiana, on wcale nie jest kuzynem Penhallowów. Wszystkich oszukał.

Isabelle nie wyglądała na zaskoczoną.

– Wiem. Słyszałam, jak rozmawiałeś z Alekiem i Jasie.

– Podśluchiwałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Do chwili, kiedy oznajmiłeś, że idziesz ze mną porozmawiać. Wtedy wróciłam tutaj. Nie miałam ochoty się z tobą widzieć. – Zerknęła na niego z ukosa. – Ale muszę ci oddać to, że jesteś uparty.

– Posłuchaj, Isabelle. – Simon zrobił krok do przodu i nagle, o dziwo, uświadomił sobie, że Isabelle nie jest całkiem ubrana, więc powstrzymał się przed położeniem dłoni na jej ramieniu czy wykonaniem innego kojącego gestu. – Kiedy umarł mój ojciec, wiedziałem, że to nie moja wina, ale wciąż myślałem o tych wszystkich rzeczach, które powinienem był zrobić przed jego śmiercią.

– Tak, ale ja jestem winna – oświadczyła Isabelle. – Powinnam wysłuchać Maksa. Ale przynajmniej mogę jeszcze wytropić drania, który to zrobił, i go zabić.

– Nie jestem pewien, czy to pomoże...

– Skąd wiesz? – odparowała Isabelle. – Znalazłeś osobę odpowiedzialną za śmierć twojego ojca i zabiłeś ją?

– Mój ojciec zmarł na atak serca, więc nie.

– W takim razie nie wiesz, o czym mówisz, prawda? – Isabelle uniosła brodę i zmierzyła go wzrokiem. – Chodź tutaj.

– Co?

Skinęła na niego palcem wskazującym.

– Chodź tutaj, Simon.

Niechętnie ruszył w jej stronę. Był o krok od niej, kiedy chwyciła go za przód koszuli i przyciągnęła do siebie. Ich twarze dzieliły zaledwie cale. Skóra pod oczami Isabelle lśniła od śladów niedawnych łez.

– Wiesz, czego teraz naprawdę potrzebuję? – zapytała Nocna Łowczyni, wyraźnie wymawiając każde słowo.

– Ehm... – bąknął Simon. – Nie.

– Rozrywki. – Isabelle szarpnęła go za koszulę.

Simon wylądował na plecach wśród stosu jej ubrań.

– Isabelle, naprawdę myślisz, że dzięki temu poczujesz się lepiej? – zaprotestował słabo.

– Uwierz mi, że już czuję się lepiej – zapewniła Isabelle, kładąc dłoń na jego piersi, tuż nad niebijącym sercem.

\*\*\*

Clary leżała na łóżku i wpatrywała się w plamę światła księżycowego wędrującą po suficie. Nerwy nadal miała zbyt napięte po wydarzeniach dnia, żeby zasnąć, a nie pomagało jej również to, że Simon nie wrócił na kolację... ani później. Gdy w końcu wyraziła na głos swoje zaniepokojenie, Luke narzucił płaszcz i poszedł do Lightwoodów. Kiedy niebawem się pojawił, na jego twarzy malowało się rozbawienie.

– U Simona wszystko w porządku – oznajmił. – Możesz iść spać.

I znowu wyszedł, tym razem z Amatis, na kolejne z niekończących się posiedzeń w Sali Anioła. Clary była ciekawa, czy już zabrano stamtąd ciało Inkwizytora.

Nie miała nic innego do roboty, więc poszła do łóżka, ale sen nie przychodził. Wciąż widziała, jak Valentine sięga do piersi Inkwizytora i wrywa mu serce. Potem patrzył na nią i mówił: „Trzymaj buzię na kłódkę. Jeśli nie ze względu na siebie, to na brata”. Przede wszystkim

jednak ciążyły jej sekrety, których dowiedziała się od Ithuriela. A pod tymi wszystkimi lękami kryła się obawa, stała jak bicie serca, że jej matka umrze. Gdzie się podziewał Magnus?

Usłyszała szelest zasłon i do pokoju wpadł blask księżyca. Clary gwałtownie usiadła na łóżku i sięgnęła po seraficki nóż, który trzymała na nocnym stoliku.

– Wszystko w porządku. – Na jej ręce spoczęła szczupła dłoń, pokryta bliznami, znajoma.  
– To ja.

Clary gwałtownie nabrała powietrza i zabrała rękę.

– Jace, co tu robisz? Co się stało?

Przez chwilę nie odpowiadał, więc na niego spojrzała, podciągając kołdrę pod brodę. Zarumieniła się, kiedy sobie uświadomiła, że ma na sobie tylko spodnie od pizamy i cienką halkę. Ale kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy, zapomniała o wstydzie.

– Jace? – wyszeptała.

Stał obok jej łóżka, nadal w białym stroju żałobnym. W spojrzeniu nie miał ani śladu zwykłego sarkazmu. Był bardzo blady, w jego oczy malowała się udręka i napięcie, tak że wydawały się prawie czarne.

– Dobrze się czujesz?

– Nie wiem. – Sprawiał wrażenie, jakby dopiero się obudził. – Nie zamierzałem tu przychodzić. Włóczyłem się całą noc, nie mogłem zasnąć. Nagle stwierdziłem, że idę tutaj. Do ciebie.

Clary usiadła prosto, kołdra zsunęła się na jej biodra, ale nie zwróciła na to uwagi.

– Dlaczego nie mogłeś spać? Co się stało?

– Musiałem cię zobaczyć – powiedział Jace, jakby nie usłyszał jej pytania. – Wiem, że nie powinienem. Ale musiałem.

– Więc usiądź. – Clary podciągnęła nogi, żeby zrobić mu miejsce na brzegu łóżka. – Przerażasz mnie. Na pewno nic się nie stało?

– Nie mówiłem, że nic się nie stało. – Usiadł na łóżku, twarzą do niej.

Był tak blisko, że mogłaby się pochylić i go pocałować...

Poczuła ucisk w piersi.

– Złe wieści? Czy coś... czy ktoś...

– Ani złe, ani wieści. Raczej ich przeciwieństwo. To coś, o czym zawsze wiedziałem, i ty... pewnie też. Nie maskowałem się aż tak dobrze. – Powiódł wzrokiem po jej twarzy, jakby chciał ją zapamiętać. – Stało się to... – zawahał się – ...że coś sobie uświadomiłem.

– Jace – wyszeptała Clary. Przestraszyła się tego, co zamierzał powiedzieć. – Jace, nie musisz...

– Chciałem pójść gdzie indziej, ale wciąż wracałem tutaj. Nie mogłem przestać iść, nie mogłem przestać myśleć. O pierwszym razie, kiedy cię zobaczyłem, a potem nie mogłem zapomnieć. Zmusiłem Hodge'a, żeby pozwolił mi ciebie odszukać i sprowadzić do Instytutu. I nawet wtedy, w tym głupim barze, kiedy zobaczyłem cię na kanapie z Simonem, nie spodobało mi się to, bo ja powinienem tam z tobą siedzieć. Ja powinienem cię rozśmieszać. Nie umiałem pozbyć się uczucia, że to powinienem być ja. I im dłużej ciebie znałem, to przekonanie stawało się coraz silniejsze. Nigdy wcześniej tak ze mną nie było. Zawsze pragnąłem jakiejś dziewczyny, a kiedy ją poznawałem, już więcej jej nie chciałem. Ale uczucie do ciebie stawało się coraz silniejsze, aż do tamtej nocy, kiedy pojawiłaś się u Renwicka i ja już wiedziałem. Potem odkryłem powód, dla którego miałem wrażenie, jakbyś była częścią mnie, którą straciłem i nawet nie wiedziałem, że mi jej brakuje, dopóki znowu cię nie zobaczyłem. A tym powodem było to, że jesteś moją siostrą, co uznałem za coś w rodzaju kosmicznego żartu. Jakby Bóg na mnie splunął. Nawet nie wiem, za co, za myślenie, że mógłbym naprawdę cię mieć, że zasługuję na szczęście. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, co takiego zrobiłem, że zostałem ukarany...

– Jeśli ty zostałeś ukarany, to ja też – przerwała mu Clary. – Czuję to samo co ty, ale nie możemy... musimy przestać tak czuć, bo to nasza jedyna szansa.

Jace mocno zacisnął ręce po bokach.

– Nasza jedyna szansa na co?

– Żeby w ogóle być razem. Inaczej nie możemy przebywać blisko siebie, nawet w tym samym pokoju, a ja nie mogę tego znieść. Wolałabym ciebie mieć nawet jako brata niż wcale...

– I mam patrzeć, jak ty będziesz umawiać się z chłopcami, zakochasz się w którymś i wyjdiesz za męża? – Jego głos stwardniał. – A ja będę umierał po trochu każdego dnia.

– Nie. Wtedy już nie będzie cię to obchodziło – powiedziała Clary, zastanawiając się, czy mogłaby znieść świadomość, że Jace'owi już na niej nie zależy.

Nie wybiegała myślami tak daleko naprzód jak on, ale kiedy spróbowała sobie wyobrazić, że on się zakochuje w innej, żeni się z nią, ujrzała pusty, czarny tunel ciągnący się przed nią w nieskończoność. – Jeśli nic nie będziemy mówić, jeśli po prostu będziemy udawać...

– Żadnego udawania – uciął z absolutnym przekonaniem Jace. – Kocham cię i będę kochał aż do śmierci, a jeśli potem jest jakieś życie, wtedy też będę cię kochał. Clary wstrzymała oddech. Powiedział... słowa, od których nie było odwrotu. Próbowała jakoś zareagować, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Myślisz, że po prostu chcę być z tobą, żeby pokazać, jakim jestem potworem. I może jestem potworem. Nie znam na to odpowiedzi, ale wiem, że nawet jeśli mam w sobie krew demona, jest we mnie również krew ludzka. I nie mógłbym cię tak kochać, gdybym nie był choć trochę człowiekiem. Bo demony pragną, ale nie kochają. A ja...

Wstał raptownie i podszedł do okna. Wyglądał na zagubionego, tak jak w Wielkiej Sali Anioła, kiedy stał nad ciałem Maksa.

– Jace?

Kiedy nie odpowiedział, zaniepokojona wstała z łóżka. Podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Ich odbicia w szybie były prawie przezroczyste: sylwetki wysokiego chłopca i niższej dziewczyny stojącej u jego boku.

– Co się stało?

– Nie powinienem mówić takich rzeczy – wyrzucił z siebie, nie patrząc na nią. – Przepraszam. To za wiele jak na jeden raz. Wyglądałaś na... wstrząśniętą. – W jego głosie brzmiało napięcie.

– Tak – przyznała Clary. – Przez kilka ostatnich dni zastanawiałam się, czy mnie nienawidzisz. A kiedy zobaczyłam cię dziś wieczorem, byłam pewna, że nienawidzisz.

– Nienawidzę? – powtórzył Jace. Był wyraźnie oszołomiony. Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy, lekko, opuszkami. – Mówiłem ci, że nie mogłem zasnąć. Jutro przed północą albo będziemy toczyć wojnę, albo znajdziemy się pod rządami Valentine'a. To może być ostatnia noc w naszym życiu, a z pewnością ostatnia w miarę zwyczajna. Ostatnia noc, kiedy pójdziemy spać i wstaniemy jak zawsze. Mogłem więc myśleć tylko o tym, że chcę ją spędzić z tobą.

Serce Clary wykonało salto.

– Jace...

– Nie to mam na myśli. Nie dotknę ciebie, jeśli nie chcesz. Wiem, że to złe... Boże, jest tyle rodzajów zła. Ale ja po prostu chcę leżeć z tobą i obudzić się przy tobie, tylko raz, jeden jedyny raz w życiu. – W jego głosie było słychać nutę desperacji. – Tylko jedna noc. Ile w wielkim planie wszechświata może znaczyć jedna noc?

Pomyśl, jak się będziemy czuć rano. Pomyśl, o ile trudniej będzie udawać przed innymi, że nic dla siebie nie znaczymy, po tym, jak spędzimy noc razem, nawet jeśli będziemy tylko spać. To tak jak zażyć odrobinę narkotyku. Potem pragniesz więcej.

Ale właśnie dlatego to powiedział, uświadomiła sobie Clary. Nic nie mogło pogorszyć sytuacji, tak jak nic nie mogło jej poprawić. To, co Jace czuł, było równie ostateczne jak dożywocie. A czy jej sytuacja wyglądała inaczej? Nawet jeśli miała nadzieję, że kiedyś czas przyniesie ulgę, w tej chwili jeszcze niczego w życiu nie pragnęła bardziej niż tej nocy z Jace'em.

– Zasuń zasłony, zanim przyjdiesz do łóżka – powiedziała. – Nie mogę spać, kiedy w pokoju jest jasno.

Przez twarz Jace'a przemknął wyraz niedowierzania. Naprawdę nie spodziewał się takiej reakcji, z zaskoczeniem uświadomiła sobie Clary. Chwilę później Jace objął ją i przyciągnął do siebie, zanurzył twarz w jej potarganych włosach.

– Clary...

– Chodź już – wyszeptała. – Jest późno.

Odsunęła się od niego i wróciła do łóżka. Podciągnęła pościel do pasa. Patrząc na Jace'a, niemal mogła sobie wyobrazić, że jest wiele lat później, że są ze sobą bardzo długo, że robili to setki razy, że każda noc należała do nich, a nie tylko ta jedna. Oparła brodę na rękach i patrzyła, jak Jace zasłania okno, a potem zdejmując białą kurtkę i wiesza ją na oparciu krzesła. Miał na sobie jasnoszary T-shirt, Znaki na jego nagich ramionach lśniły, kiedy odpinał pas z bronią i kładł go na podłodze. Na koniec zrzucił buty, podszedł do łóżka i bardzo ostrożnie położył się obok niej na plecach. Odwrócił głowę i spojrzał na nią. Do pokoju wpadało bardzo niewiele światła przez szpary w zasłonach, tak że widziała tylko zarys jego twarzy i błysk oczu.

– Dobranoc, Clary – powiedział.

Ręce trzymał płasko po bokach. Wydawało się, że ledwo oddycha. Podobnie zresztą jak ona. Clary przesunęła dłonią po kołdrze, aż ich palce się zetknęły, tak lekko, że pewnie nawet by tego nie zauważyła, gdyby dotykała kogoś innego. Teraz zakończenia nerwów w czubkach



palców załaskotały ją, jakby trzymała dłonie nad niskim płomieniem. Poczowała, że z Jace'a powoli odpływa napięcie. Miał zamknięte oczy, rzęsy rzucały cień na kości policzkowe. Jego usta zadrżały w uśmiechu, jakby wyczuł, że jest obserwowany. Clary zastanawiała się, jak będzie wyglądał rano, z potarganymi włosami i zapuchniętymi oczami.

O dziwo, ta myśl sprawiła jej radość.

Splotła palce z jego palcami.

– Dobranoc – wyszeptwała.

Zasnęli, trzymając się za ręce.

## Wszystko się rozpada

Luke spędził większą część nocy na obserwowaniu księżyca, który przesuwał się po przezroczystym dachu Sali Anioła, jak srebrna moneta tocząca się po powierzchni szklanego stołu. Gdy zbliżała się pełnia, tak jak teraz, Luke'owi wyostrzał się wzrok i węch, nawet w ludzkiej postaci. Teraz, na przykład, wyczuwał pot, wątpliwości i kryjący się pod nimi ostry zapach strachu. Odbierał niepokój swojego stada, które czekało na wieści od niego w ciemnym Lesie Brocelind.

– Lucian. – Głos Amatis był cichy, ale natarczywy. – Lucian!

Wyrwany z zamyślenia Luke próbował skupić wzrok na małej grupce tych, którzy zgodzili się przynajmniej posłuchać jego planu. Mniejszej, niż miał nadzieję. Część z nich znał z dawnego życia w Idrisie: Penhallowów, Lightwoodów, Ravenscarsów. Z innymi los zetknął go niedawno, na przykład z państwem Monteverde, którzy uciekli z Instytutu w Lizbonie i mówili mieszaniną portugalskiego i angielskiego, czy z Nasreen Chaudhury, surową szefową Instytutu w Bombaju. Jej ciemnozielone sari było pokryte wymyślnymi runami wyszytymi srebrną nicią, tak że Luke odruchowo się wzdrygał, kiedy przechodziła zbyt blisko.

– Doprawdy, Lucianie – powiedziała Maryse Lightwood. Jej drobna, blada twarz była ściągnięta z wyczerpania i smutku. Luke nie spodziewał się jej ani Roberta, ale oboje prawie od razu zgodzili się przyjść, kiedy tylko wspomniał im o naradzie. Powinien być wdzięczny, że w ogóle tutaj są, nawet jeśli z powodu żałoby Maryse wydawała się jeszcze bardziej niecierpliwa niż zwykle. – To ty chciałeś nas tu widzieć. Mógłbyś przynajmniej się skupić.

– To nie wina Luciana, że przez ostatnią godzinę gonimy w piątkę – wstawiła się za nim Amatis. Siedziała z podwiniętymi nogami, jak młoda dziewczyna, ale wyraz twarzy miała twardy.

– I będziemy kręcić się w kółko, dopóki nie wymyślimy rozwiązania – odezwał się Patrick Penhallow z rozdrażnieniem w głosie.

– Z całym szacunkiem, Patricku, ale nie wiadomo, czy w ogóle istnieje rozwiązanie tego problemu – powiedziała Nasreen z lekkim obcym akcentem. – Możemy co najwyżej liczyć na jakiś plan.

– Plan, który nie zakłada masowego niewolnictwa ani... -wtrąciła Jia, żona Patricka, i przygryzła wargę.

Była ładną, smukłą kobietą, bardzo podobną do swojej córki Aline. Luke pamiętał, jak Patrick uciekł do Instytutu w Pekinie i tam się z nią ożenił. Wybuchł skandal, jako że Penhallow miał poślubić dziewczynę, którą w Idrisie wybrali dla niego rodzice. Ale on nigdy nie lubił robić tego, co mu kazano, z czego Luke bardzo się teraz cieszył.

– Ani przymierza z Podziemnymi? – dokończył. – Obawiam się, że nie da się go uniknąć.

– To nie jest problem i dobrze o tym wiesz – oświadczyła Maryse. – Chodzi o miejsca w Radzie. Clave nigdy się na to nie zgodzi. Całe cztery miejsca...

– Wcale nie cztery – zaprotestował Luke. – Po jednym dla faerie, Dzieci Księżyca i dzieci Lilith.

– Czarownicy, faerie i likantropy – odezwał się cichym głosem *senhor* Monteverde, unosząc brwi. – A co z wampirami?

– Niczego mi nie obiecały, a ja im również – odparł Luke. – Może nie będą chciały wejść do Rady. Nie przepadają za moim gatunkiem, tak jak za posiedzeniami i regulaminami. Ale drzwi są dla nich otwarte, jeśli zmienią zdanie.

– Malachi i jego ludzie nigdy się na to nie zgodzą, a bez nich może nam nie wystarczyć głosów w Radzie – zauważył Patrick. – Poza tym, jakie mamy szanse bez wampirów?

– Bardzo duże – odburknęła Amatis. Wyglądało na to, że wierzy w plan brata jeszcze bardziej niż on sam. – Jest wielu Podziemnych, którzy będą walczyć razem z nami, a są naprawdę potężni. Czarownicy...

*Senhora* Monteverde pokręciła głową i zwróciła się do męża:

– Ten plan jest szalony. Nigdy się nie powiedzie. Podziemnym nie można ufać.

– Udało się w czasie Powstania – przypomniał Luke.

Portugalka skrzywiła wargi.

– Tylko dlatego, że Valentine walczył z głupcami, a nie z prawdziwą armią. Nie z demonami. I skąd mamy wiedzieć, że dawni członkowie Kręgu nie wrócą do niego, kiedy ich wezwie?

– Proszę uważać na słowa, *senhora* – zagrzmiał Robert Lightwood.

Odezwał się po raz pierwszy od godziny. Przez większą część tego wieczoru trwał pogrążony w rozpacz. Twarz znaczyły mu zmarszczki, których, Luke mógłby przysiąc, nie było jeszcze trzy dni wcześniej. O jego udręce świadczyło napięcie ramion i zaciśnięte pięści. Luke nigdy nie przepadał za Robertem, ale widok tego potężnego mężczyzny zdjętego bezdennym żalem sprawiał mu ból.

– Jeśli pani myśli, że mógłbym przyłączyć się do Valentine’a po śmierci Maksa... po tym, jak kazał zabić mojego chłopca...

– Robercie – szepnęła Maryse, kładąc dłoń na ramieniu męża.

– Jeśli nie przyłączymy się do niego, wszystkie nasze dzieci mogą zginąć – stwierdził Monteverde.

– Skoro tak pan myśli, to co pan tu robi? – Amatis wstała. – Sądziłam, że wszyscy się zgodziliśmy...

Ja też. Luke’a bolała głowa. Zawsze tak z nimi jest, dwa kroki do przodu, jeden do tyłu. Niestety, nie potrafili dostrzec, że są tacy sami jak Podziemni. Może byłoby lepiej, gdyby rozwiązywali swoje problemy w walce, tak jak stado...

Ruch w drugim końcu sali nagle przyciągnął jego wzrok. Gdyby nie zbliżała się pełnia, mógłby go nie dostrzec ani nie rozpoznać postaci, która przemknęła za drzwiami. Zastanawiał się przez chwilę, czy to nie wyobraźnia. Czasami, kiedy był bardzo zmęczony, wydawało mu się, że widzi Jocelyn, na przykład w grze światła i cienia na ścianie.

Ale to nie była Jocelyn. Luke wstał.

– Idę na powietrze. Zaraz wracam.

Kiedy szedł do drzwi, czuł, że go obserwują, wszyscy, nawet Amatis. *Senhor* Monteverde wyszeptał coś do żony po portugalsku. Luke usłyszał słowo *lobo*, czyli „wilk”.

Pewnie myślą, że wychodzę, żeby pobiegać i powarczyć do księżyca.

Powietrze na dworze było świeże i zimne, niebo stalowoszare. Na wschodzie świt zabarwił je na czerwono, a białe marmurowe schody na różowo. U ich stop czekał na niego Jace. Białe żałobne ubranie, które miał na sobie, było dla Luke’a jak policzek, przypomnienie wszystkich śmierci, niedawnych i tych, które jeszcze ich czekały.

– Co tu robisz, Jonathanie?

Chłopak nie odpowiedział. Luke w duchu przeklął się za to, że zapomniał o jego niechęci do tego imienia. Tym razem jednak Jace nie zaprotestował ostro, jak to miał w zwyczaju. Na jego twarzy malowała się taka sama zawziętość jak na twarzach Nocnych Łowców zgromadzonych w Sali Anioła. Choć zgodnie z prawem Clave Jace'owi brakował jeszcze rok do pełnoletności, już widział w swoim krótkim życiu rzeczy gorsze, niż potrafił sobie wyobrazić większość dorosłych.

– Szukasz rodziców?

– Masz na myśli Lightwoodów? – Jace pokręcił głową. – Nie. Nie chcę z nimi rozmawiać. Szukałem ciebie.

– Chodzi o Clary? – Luke zszedł z ostatnich stopni. – Wszystko z nią w porządku?

– Tak. – Na wzmiankę o Clary Jace cały się spiął, co z kolei zaniepokoiło Luke'a, choć wiedział, że chłopak nie oszukiwałby go w tej sprawie.

– Więc o co chodzi?

Jace spojrzał na drzwi Sali Anioła.

– Jak wam idzie? Jakieś postępy?

– Niezupełnie – przyznał Luke. – Nie chcą poddać się Valentine'owi, ale jeszcze mniej podoba im się myśl o Podziemnych w Radzie. A bez obietnicy miejsc w Radzie moi ludzie nie będą walczyć.

Jace'owi zaiskrzyły się oczy.

– Clave nie spodoba się ten pomysł.

– Nie musi. Wystarczy, że przemówi do nich bardziej niż perspektywa samobójstwa.

– Będą zwlekać – ostrzegł Jace. – Na twoim miejscu dałbym im nieprzekraczalny termin. Clave działa lepiej, mając nóż na gardle.

Luke nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Wszyscy Podziemni, których mogę wezwać, o zmierzchu podejną pod Północną Bramę. Jeśli Clave zgodzi się walczyć z nimi ramię w ramię, wkroczą do miasta. Jeśli nie, zawrócą. Nie mogę dać im więcej czasu. Ledwo nam go wystarczy, żeby przed północą dotrzeć do Brocelind.

Jace zagwizdał.

– Zapowiada się dramatycznie. Myślisz, że widok tylu Podziemnych zainspiruje Clave czy je wystraszy?

– Pewne jedno i drugie. Wielu członków Clave jest związanych z Instytutami, tak jak ty, więc są bardziej przyzwyczajeni do widoku Podziemnych. Martwię się raczej o rdzennych

Idrisan. Armia Podziemnych u bram miasta może wywołać u nich panikę. Z drugiej strony, nie zaszkodzi im przypomnieć, jacy są słabi.

Jak na dany znak, Jace pomknął wzrokiem ku ruinom Gard, czarnej blizny na wzgórzu górującym nad miastem.

– Nie jestem pewien, czy potrzebują wyraźniejszego przypomnienia. – Wrócił spojrzeniem do Luke’a. – Chcę ci coś powiedzieć, w zaufaniu.

– Dlaczego mnie? – Luke nie ukrywał zaskoczenia. – Dlaczego nie Lightwoodom?

– Bo ty tutaj dowodzisz.

Luke się zawahał. Błada, zmęczona twarz Jace’a budziła w nim współczucie i pragnienie, by pokazać temu zdradzonemu i wykorzystanemu chłopcu, że nie wszyscy dorośli są źli. Że istnieją tacy, na których może polegać.

– Dobrze.

– Poza tym wierzę, że będziesz potrafił wyjaśnić to Clary – dodał Jace.

– Co wyjaśnić?

– Dlaczego musiałem to zrobić. – Oczy Jace’a były szeroko otwarte. Jarzyły się w blasku wstającego słońca. – Ruszam za Sebastianem. Wiem, jak go znaleźć. I zamierzam go tropić, aż zaprowadzi mnie do Valentina’a.

Zaskoczony Luke głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Wiesz, jak go znaleźć?

– Magnus pokazał mi działanie czaru tropiącego, kiedy mieszkałem u niego na Brooklynie. Teraz próbowaliśmy wykorzystać pierścień mojego ojca. Nie udało się, ale...

– Nie jesteś czarownikiem. Nie uda ci się rzucić czaru tropiącego.

– Są runy. Te, których użyła Inkwizytorka, kiedy odnalazła mnie na statku Valentine’a. Muszę tylko zdobyć coś, co należało do Sebastiana.

– Już sprawdzaliśmy z Penhallowami. Nic nie zostawił. Jego pokój był dokładnie uprzątnięty, pewnie właśnie z tego powodu.

– A ja coś znalazłem – oznajmił Jace. – Nitkę umoczoną w jego krwi. To niewiele, ale wystarczy.

– Nie możesz ścigać Valentine’a sam, Jace. Nie pozwolę ci.

– Nie możesz mnie powstrzymać. Chyba że chcesz bić się ze mną na tych schodach. Ale nie wygrasz. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. – W głosie Jace’a pobrzmiwała dziwna nuta, pewności i zarazem nienawiści do samego siebie.

– Posłuchaj. Wprawdzie jesteś zdecydowany odegrać samotnego bohatera...

– Nie jestem bohaterem – oświadczył Jace takim tonem, jakby stwierdzał najprostszy fakt.

– Pomyśl o Lightwoodach. Pomyśl o Clary...

– Sądzisz, że nie myślałem o Clary? Że nie myślałem o rodzinie? Uważasz, że dlaczego to robię?

– Myślisz, że nie pamiętam, jak to jest mieć siedemnaście lat? – odparł Luke. – Być przekonanym, że nie tylko potrafisz, ale masz obowiązek ratować świat...

– Spójrz na mnie – przerwał mu Jace. – Spójrz na mnie i powiedz, że jestem zwyczajnym siedemnastolatkiem.

Luke westchnął.

– Nie ma w tobie nic zwyczajnego.

– A teraz powiedz mi, że to niemożliwe. Powiedz, że tego, co zamierzam, nie da się zrobić.

Kiedy Luke milczał, Jace dodał:

– Posłuchaj, twój plan jest dobry. Sprowadzić Podziemnych, walczyć z Valentine’em, nie wpuścić go do Alicante. To lepsze niż siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż on was zdepcze. Tyle że on się tego spodziewa. Nie weźmiecie go przez zaskoczenie. Ja... ja bym mógł. Istnieje szansa, że on nie wie, że ktoś tropi Sebastiana, a my musimy wykorzystać każdą, jaka się nam trafia.

– Tak – przyznał Luke. – Ale nie można aż tyle oczekiwać od jednej osoby. Nawet od ciebie.

– Nie rozumiesz, że to mogę być tylko ja? – Do głosu Jace’a wkradła się nuta desperacji.

– Nawet jeśli Valentine wyczuje, że go tropię, dopuści mnie dostatecznie blisko...

– Dostatecznie blisko, żeby co?

– Żeby go zabił. A co innego?

Luke spojrzał na chłopca stojącego na schodach. Żałował w pewnym sensie, że nie potrafi dostrzec Jocelyn w jej synu, tak jak widział ją w Clary, ale Jace zawsze był samotny, zamknięty w sobie.

– Potrafiłbyś to zrobić? – spytał. – Zabić własnego ojca?

– Tak. – Głos Jace’a był odległy jak echo. – Teraz powiesz mi, że nie mogę go zabić, bo jest przecież moim ojcem, a ojcobójstwo to niewybaczalna zbrodnia?

– Nie. Teraz ci powiem, że musisz być pewien, że jesteś do tego zdolny. – Ku własnemu zaskoczeniu Luke uświadomił sobie, że właściwie już zaakceptował plan Jace’a i pozwoli mu go zrealizować. – Nie może być tak, że wytropisz Valentine’a na własną rękę, a w decydującej chwili zawiedziesz.

– Jestem do tego zdolny – oświadczył Jace. Spojrzał na plac, który aż do wczorajszego ranka był zasłany trupami. – Mój ojciec uczynił mnie tym, kim jestem. Nienawidzę go za to. I potrafię go zabić. Już on o to zadbał.

Luke pokręcił głową.

– Nieważne, jak zostałeś wychowany. On cię nie zepsuł...

– Nie musiał. – Jace spojrzał w niebo podzielone na niebieskie i szare pasy. Ptaki już rozpoczęły poranne śpiewy na drzewach rosnących wokół placu. – Lepiej już pójde.

– Chcesz, żebym coś powiedział Lightwoodom?

– Nie. Nic im nie mów. Obwinia cię, jeśli się zorientują, że wiedziałeś, co zamierzam, i mi na to pozwoliłeś. Zostawiłem listy. Sami się wszystkiego domyślą.

– Więc dlaczego...

– Bo chciałem, żebyś wiedział. Pamiętał, planując bitwę, że szukam Valentine’a. Jeśli go znajdę, przyślę ci wiadomość. – Jace uśmiechnął się. – Potraktuj mnie jako swój plan awaryjny.

Luke ujął jego dłoń.

– Gdyby twój ojciec nie był tym, kim jest, byłby z ciebie dumny – powiedział.

Jace przez chwilę patrzył na niego zaskoczony, a potem zarumienił się i zabrał rękę.

– Gdybyś wiedział... – zaczął i przygryzł wargę. – Mniejsza o to. Powodzenia, Lucianie Graymark. *Ave atque vale.*

– Miejmy nadzieję, że nie będzie prawdziwego pożegnania – odparł Luke.

Kiedy Jace uniósł głowę, mrużąc oczy przed nagłym jasnym blaskiem wschodzącego słońca, dostrzegł na jego twarzy mieszaninę wrażliwości, uporu i dumy. – Przypominasz mi kogoś – rzucił bez zastanowienia. – Kogoś, kogo znałem lata temu.

– Wiem. – Jace skrzywił się. – Valentine’a.



– Nie – zaprzeczył Luke, ale kiedy Jace się odwrócił, podobieństwo zbladło, przepędzając duchy wspomnień. – Nie, wcale nie myślałem o Valentinie.

\*\*\*

Od razu po przebudzeniu, ale jeszcze zanim Clary otworzyła oczy, wiedziała, że Jace'a nie ma obok niej. Jej ręka była pusta. Żadne palce nie odwzajemniały jej uścisku. Usiadła powoli.

Jace musiał rozsunąć zasłony, kiedy wychodził, bo na łóżko padały jasne pasy światła słonecznego. Clary zdziwiła się, dlaczego blask jej nie obudził. Sądząc po położeniu słońca, zbliżało się popołudnie. Głowę miała ciężką, oczy zaspane. Może po prostu tej nocy nie miała koszmarów, po raz pierwszy od dawna, więc jej ciało nadrobiło brak snu.

Dopiero kiedy wstała, zauważyła na nocnym stoliku złożoną kartkę. Sięgnęła po nią z uśmiechem błakającym się po wargach – Jace zostawił liścik – a kiedy coś ciężkiego wysunęło się spod papieru i z brzękiem spadło na podłogę, odskoczyła do tyłu.

U jej stóp leżał metalowy krążek. Wiedziała, co to jest, zanim schyliła się po tę rzecz. Łańcuszek i srebrny pierścień, który Jace nosił na szyi. Rodowy sygnet. Rzadko się z nim rozstawał. Nagle ogarnął ją strach.

Rozłożyła kartkę i przebiegła wzrokiem tekst.

*Mimo wszystko nie potrafię znieść myśli, że ten pierścień przepadnie na zawsze, podobnie jak myśli, że opuszczam Cię na wieki. I choć nic nie mogę poradzić na to drugie, przynajmniej w pierwszej kwestii mam wybór.* Reszta słów zlała się w bezsensowne morze liter. Clary musiała wiele razy przeczytać list, żeby cokolwiek zrozumieć. Kiedy wreszcie dotarło do niej jego znaczenie, tylko stała bez ruchu i gapiła się na papier drżący w jej ręce. Teraz pojęła, dlaczego Jace mówił, że jedna noc nie ma znaczenia. Komuś, kogo nigdy więcej się nie zobaczy, można powiedzieć wszystko.

Później nie pamiętała, żeby podejmowała decyzję, co robić dalej, ani żeby szukała czegoś do ubrania. Tak czy inaczej, zbiegła po schodach w stroju Nocnego Łowcy, z listem w ręce i pierścieniem na łańcuszku zawieszonym na szyi.

Salon był pusty, z ognia buzującego w kominku został szary popiół, natomiast z kuchni sączyło się światło, dobiegał gwar głosów i dolatywał zapach jedzenia. Naleśniki? zdziwiła się Clary. Nie przypuszczała, że Amatis umie je zrobić.

I miała rację. Kiedy weszła do kuchni, wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Przy piecu stała Isabelle. Ciemne lśniące włosy miała upięte w kok nisko na karku, była w fartuchu, w ręce

trzymała metalową łyżkę. Na stole, z nogami opartymi na krześle, siedział Simon. Amatis opierała się o blat kuchenny i wyglądała na rozbawioną.

Isabelle pomachała Clary łyżką.

– Dzień dobry. Chcesz śniadanie? Choć raczej jest już pora lunchu.

Oniemiała Clary spojrzała na gospodynię. Amatis wzruszyła ramionami.

– Niedawno przyszli i oznajmili, że zrobią śniadanie, a ja muszę przyznać, że nie jestem dobrą kucharką.

Clary pomyślała o okropnej zupie, którą Isabelle ugotowała kiedyś w Instytucie, i pohamowała się przed skrzywieniem ust.

– Gdzie Luke?

– W Brocelind ze swoim stadem – odparła Amatis. – Wszystko w porządku, Clary?

Wyglądasz trochę...

– Jak lunatyczka – dokończył za nią Simon. – Dobrze się czujesz?

Przez chwilę Clary nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź. „Niedawno przyszli”, rozbrzmiewały jej w uszach słowa Amatis. Co oznaczało, że Simon spędził chyba noc u Isabelle. Clary zmierzyła go wzrokiem. Wcale nie wyglądał inaczej niż zwykle.

– Tak. – Teraz naprawdę nie była odpowiednia pora, żeby się martwić o miłosne życie Simona. – Muszę porozmawiać z Isabelle.

– Więc rozmawiaj. – Isabelle dźgnęła łyżką niezidentyfikowany obiekt leżący na patelni.

Pewnie naleśnik, z obawą pomyślała Clary. – Słucham.

– Sam na sam.

Nocna Łowczyni zmarszczyła brwi.

– Czy to nie może poczekać? Już prawie skończyłam...

– Nie. – Ton Clary sprawił, że przynajmniej Simon usiadł prosto. – Nie może.

Simon wstał.

– Dobrze, dam wam trochę prywatności. – Spojrzał na Amatis. – Może obejrzałbym te zdjęcia Luke’a z dzieciństwa, o których pani mówiła?

Gospodyni zerknęła z niepokojem na Clary, ale ruszyła do wyjścia.

– Mogłabym...

Isabelle potrząsnęła głową, kiedy drzwi zamknęły się za Amatis i Simonem. Coś błyszczało na jej karku: cienki nożyk podtrzymujący kok. Mimo odgrywania gospodyni domowej nadal była Nocnym Łowcą.

– Posłuchaj, jeśli chodzi o Simona...

– Nie chodzi o Simona, tylko o Jace'a. – Clary podała jej liścik. – Przeczytaj to.

Isabelle z westchnieniem wyłączyła palnik, wzięła kartkę i usiadła. Clary sięgnęła po jabłko do kosza stojącego na stole i opadła na krzesło naprzeciwko Isabelle. Podczas gdy dziewczyna w milczeniu przesuwiała wzrokiem po kartce, Clary obierała owoc. Nie miała na niego ochoty, w ogóle na żadne jedzenie.

Isabelle podniosła wzrok znad listu i wygięła brwi w łuk.

– Wydaje się dość... osobisty. Na pewno powinnam to czytać?

Pewnie nie. Clary ledwo pamiętała słowa listu. W innej sytuacji nigdy nie pokazałaby go Isabelle, ale teraz lęk o Jace'a okazał się silniejszy niż wszelkie inne obawy.

– Przeczytaj do końca – powiedziała.

Isabelle wróciła do listu. W końcu odłożyła kartkę na stół.

– Tak myślałam, że on może coś takiego zrobić.

– Więc mnie rozumiesz. Ale nie mógł wyruszyć dawno ani daleko dotrzeć. Musimy iść za nim i... – Urwała raptownie, gdy jej umysł w końcu przetworzył to, co powiedziała Isabelle. – Dlaczego myślałaś, że on może coś takiego zrobić?

– Jak to dlaczego? – Isabelle odgarnęła kosmyk za ucho. – Odkąd zniknął Sebastian, wszyscy zastanawiali się, jak go dopaść. Przeszukałam jego pokój u Penhallowów, ale nie znalazłam ani jednej rzeczy, której można by użyć, żeby go wysledzić. Mogłam się spodziewać, że jeśli Jace natrafi na coś, co pozwoli mu wytropić Sebastiana, popędzi za nim jak strzała. – Przygryzła wargę. – Miałam tylko nadzieję, że weźmie ze sobą Aleca. Alec nie będzie szczęśliwy.

– Myślisz, że zechce wyruszyć na poszukiwania? – zapytała Clary z nadzieją.

– Clary, jak mamy go szukać? – W głosie Isabelle brzmiała lekka irytacja. – Skąd mamy wiedzieć, dokąd poszedł?

– Musi być jakiś sposób...

– Możemy spróbować go wytropić. Ale Jace jest sprytny. Na pewno coś wymyśli, żeby nas zmylić.

W piersi Clary zawrzał gniew.

– A ty w ogóle chcesz go znaleźć? Obchodzi cię to, że wybrał się na samobójczą misję?

Nie może sam wystąpić przeciwko Valentine'owi.

– To prawda – przyznała Isabelle. – Ale wierzę, że Jace ma swoje powody, żeby...

– Żeby co? Żeby chcieć umrzeć?

– Clary! – Oczy Isabelle zapłonęły. – Myślisz, że my jesteśmy bezpieczni? Wszystkim nam grozi śmierć albo niewola. Wyobrażasz sobie, że Jace siedzi i czeka, aż stanie się coś strasznego? Naprawdę myślisz...

– Myślę, że Jace jest twoim bratem, podobnie jak był nim Max – przerwała jej Clary. – A przecież obeszło cię to, co się z nim stało.

Pożałowała swoich słów w chwili, kiedy je wypowiedziała. Isabelle zrobiła się blada jak płótno.

– Max był małym chłopcem, a nie wojownikiem – oświadczyła z kontrolowaną furią. – Miał dziewięć lat. Jace jest Nocnym Łowcą, wojownikiem. Myślisz, że jeśli będziemy walczyć z Valentine'em, Alec nie stanie do bitwy? Nie wiesz, że my wszyscy przez cały czas jesteśmy przygotowani na śmierć za ważną sprawę? Jace to prawdopodobnie nasza jedyna szansa, żeby dotrzeć do Valentine'a. Zrobi to, co musi zrobić...

– Valentine zabije Jace'a, jeśli nie będzie miał innego wyjścia – stwierdziła Clary. – Na pewno go nie oszczędzi.

– Wiem.

– Ale liczy się tylko to, że odejdziesz w chwale? Nie będziesz za nim tęsknić?

– Będę za nim tęsknić każdego dnia do końca życia, które, spójrzmy prawdzie w oczy, jeśli Jace'owi się nie uda, potrwa pewnie jakiś tydzień. – Isabelle potrząsnęła głową. – Nie rozumiesz, Clary. Nie rozumiesz, jak to jest wciąż wojować, dorastać w bojach. To nie twoja wina. Po prostu tak zostałam wychowana...

Clary uniosła rękę.

– Rozumiem. Wiem, że mnie nie lubisz, Isabelle. Dla ciebie jestem Przyziemną.

– Myślisz, że to dlatego... – Oczy Nocnej Łowczyni załśniły, ale nie z gniewu, tylko, co Clary zauważyła ze zdziwieniem, od łez. – Boże, ty nic nie rozumiesz, prawda? Znasz Jace'a... Ile...? Miesiąc? Ja znam go od siedmiu lat. I przez cały ten czas nigdy nie widziałam, żeby się zakochał, nigdy nie widziałam, żeby w ogóle kogoś lubił. Jasne, że chodził z dziewczynami.

Dziewczyny zawsze się w nim zakochują, ale jemu nigdy na nich nie zależało. Pewnie dlatego Alec myślał... – Isabelle umilkła na chwilę.

Stara się nie rozplakać, ze zdumieniem pomyślała Clary. Wojowniczką, która nigdy się nie rozklejała.

– Zawsze mnie to martwiło i mamę też. Jaki nastolatek w nikim się nie durzy? Zupełnie jakby Jace był znieczulony na innych ludzi. Przypuszczałam, że to, co stało się z jego ojcem, wyrządziło mu nieodwracalną krzywdę. Taką, że może nigdy nie będzie w stanie naprawdę kogoś pokochać. Gdybym wiedziała, co naprawdę stało się z jego ojcem... Ale z drugiej strony, pewnie myślałabym to samo. Kto by nie ucierpiał po czymś takim? I wtedy poznaliśmy siebie i było tak, jakby Jace się przebudził. Nie mogłaś tego zauważyć, bo go innego nie znałaś. Ale ja zauważyłam. Hodge też. I Alec. Jak myślisz, dlaczego tak bardzo cię nie lubił od pierwszej chwili? Dziwiłaś się, że możesz nas widzieć, ale dla mnie najbardziej zdumiewające było to, że Jace też cię dostrzega. Mówił o tobie przez całą drogę do Instytutu. W końcu Hodge posłał go po ciebie. A kiedy Jace cię przyprowadził, nie chciał, żebyś wychodziła. Patrzył tylko na ciebie... Był nawet zazdrosny o Simona. Nie jestem pewna, czy sobie to uświadamiał, ale był. Ja to widziałam. Zazdrosny o Przyziemnego. A po tym, co spotkało Simona na przyjęciu, poszedł z tobą do Dumort, złamał Prawo, żeby uratować Przyziemnego, którego nawet nie lubił. Zrobił to dla ciebie. Bo gdyby coś stało się Simonowi, ty byś cierpiała. Byłaś pierwszą osobą spoza rodziny, której szczęście go obchodziło. Bo cię kochał.

Clary wydała z siebie zduszony dźwięk.

– Ale to było, zanim...

– Zanim odkrył, że jesteś jego siostrą. Wiem. I nie winię cię za to. Nie mogłaś wiedzieć. I zaraz potem zaczęłaś umawiać się z Simonem, jakby nigdy nie zależało ci na Jasie. Myślałam, że skoro Jace już wie, że jesteś jego siostrą, podda się i zapomni, ale tak się nie stało. Nie potrafił. Nie wiem, co Valentine zrobił mu w dzieciństwie. Nie wiem, czy właśnie dlatego jest, jaki jest, ale on z ciebie nigdy nie zrezygnuje, Clary. Nie potrafi. Zaczęłam nie znosić twojego widoku. W imieniu Jace'a nie miałam ochoty cię widywać. To jest tak jak z raną od demonicznej trucizny. Trzeba zostawić ją w spokoju i pozwolić jej się wygoić. Kiedy zdejmujesz bandaż, otwierasz ranę. Za każdym razem, kiedy Jace cię widzi, jest tak, jakby zrywał bandaż.

– Wiem – wyszeptała Clary. – A co ja czuję według ciebie?

– Nie mam pojęcia, co czujesz. Nie jesteś moją siostrą. Nie nienawidzę cię, Clary. Teraz nawet cię lubię. Wolałabym, żeby Jace był z tobą niż z kimś innym. Ale mam nadzieję, że zrozumiesz, kiedy powiem, że jeśli jakimś cudem ocalejemy, moja rodzina wyprowadzi się tak daleko, że nigdy więcej się nie zobaczymy.

Łzy zapiekły Clary pod powiekami. Sytuacja była dziwna. Razem z Isabelle siedziały przy kuchennym stole i płakały nad Jasie z powodów zupełnie różnych i zarazem takich samych.

– Dlaczego mi to wszystko teraz mówisz? – spytała.

– Bo oskarżasz mnie, że nie chcę chronić Jace’a. Ale ja chcę go chronić. Jak myślisz, dlaczego tak się zdenerwowałam, kiedy nagle pojawiłaś się u Penhallowów? Zachowujesz się, jakbyś nie należała do naszego świata. Stoisz z boku, ale jesteś jego częścią. Nie możesz wiecznie udawać statystki. Nie, kiedy jesteś córką Valentine’a. Nie, kiedy Jace robi to, co robi, między innymi ze względu na ciebie.

– Ze względu na mnie?

– A dlaczego ryzykuje życie, jak myślisz? Dlaczego nie obchodzi go, czy zginie?

Słowa Isabelle wbijały się w uszy Clary jak ostre igły. Wiem dlaczego, pomyślała. Dlatego że uważa się za demona, uważa, że nie jest człowiekiem, oto dlaczego. Ale ja nie mogę ci tego powiedzieć, nie mogę zdradzić jedynej rzeczy, która pozwoliłaby ci zrozumieć.

– Jace zawsze uważał, że coś z nim jest nie tak, a teraz, z twojego powodu, sądzi, że jest przeklęty na wieki. Słyszałam, jak mówił to Alecowi. Dlaczego nie miałby ryzykować, skoro i tak nie chce żyć? Dlaczego nie miałby ryzykować, skoro nigdy nie będzie szczęśliwy, niezależnie od tego, co zrobi?

– Isabelle, wystarczy. – Drzwi otworzyły się niemal bezszelestnie i w progu stanął Simon.

– To nie jest wina Clary.

Na twarz Nocnej Łowczyni wypłynął rumieniec.

– Nie wtrącaj się, Simon. Nie wiesz, o co chodzi.

Simon wszedł do kuchni i zamknął za sobą drzwi.

– Słyszałem większość z tego, co mówiłaś – oznajmił rzeczowym tonem. – Nawet przez ścianę. Powiedziałaś, że nie wiesz, co czuje Clary, bo nie znasz jej dostatecznie długo. Ja ją znam. Jeśli myślisz, że tylko Jace cierpi, to się mylisz.

W kuchni zapadła cisza. Twarz Isabelle stopniowo łagodniała. Clary wydawało się, że ktoś puka do frontowych drzwi. Pewnie Luke albo Maia z krwią dla Simona.

– To nie z mojego powodu zniknął – oświadczyła z dudniącym sercem.

Mogę im wyjawić sekret Jace’a, teraz kiedy go nie ma? Mogę im podać prawdziwy powód jego samotnej wyprawy, prawdziwy powód, dla którego nie dba o to, czy zginie? Słowa zaczęły się z niej wylewać niemal wbrew jej woli.

– Kiedy Jace i ja udaliśmy się do wiejskiej posiadłości Waylandów po Białą Księgę...

Urwała, kiedy drzwi kuchni otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich Amatis z bardzo dziwną miną. Przez chwilę Clary myślała, że gospodyni jest wystraszona, i jej serce zabiło mocniej. Ale na twarzy Amatis nie malował się strach. Wyglądała jak wtedy, kiedy Clary i Luke nagle zjawili się na progu jej domu. Jakby zobaczyła ducha.

– Clary, ktoś do ciebie przyszedł...

Zanim dokończyła zdanie, gość przepchnął się obok niej i wszedł do kuchni. Gdy Amatis się odsunęła, Clary zobaczyła smukłą kobietę ubraną na czarno. W pierwszej chwili widziała jedynie strój Nocnego Łowcy i dopiero kiedy spojrzała na twarz nieznajomej, poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła jak wtedy, gdy Jace zjechał motocyklem z dachu dziesięciopiętrowego hotelu Dumort.

To była jej matka.

# Część trzecia

## Droga do nieba

„O, tak, wiem, że droga do nieba była łatwa.”

– Siegfried Sassoon, „The Imperfect Lover”



## Zasady wiary

Od tamtej nocy, kiedy Clary wróciła do domu i stwierdziła, że jej matka zniknęła, tak często wyobrażała sobie, że widzi ją znowu całą i zdrową, że te obrazy zblakły jak zdjęcie, które często się wyjmuje i ogląda. Teraz znowu je ujrzała, z niedowierzaniem gapiąc się na zjawę. Wizje, w których matka, zdrowa i szczęśliwa, ścisła ją i mówi, że bardzo za nią tęskniła, i od tej pory wszystko będzie dobrze.

Jocelyn z jej wyobrażeń w bardzo niewielkim stopniu przypominała kobietę, która teraz przed nią stała. Clary pamiętała matkę jako łagodną osobę i artystkę z bohemy, w kombinezonie poplamionym farbą, z rudymi włosami związanymi w kucyki albo niedbale spiętymi w kok. Osoba, która pojawiła się w kuchni Amatis, była surowa i skupiona, z włosami gładko ściągniętymi do tyłu, tak że nie wymykał się żaden kosmyk. Błada twarz kontrastowała z czarnym strojem. Jej mina też okazała się inna, niż Clary sobie wyobrażała. Zamiast radości na twarzy Jocelyn malowało się coś w rodzaju przerażenia, kiedy patrzyła na córkę szeroko otwartymi zielonymi oczami.

– Clary – wyszeptała. – Twoje ubranie.

Clary spojrzała w dół. Miała na sobie czarny strój Nocnego Łowcy pożyczony od Amatis, dokładnie taki, w jakim nigdy nie chciała jej oglądać matka i przez całe życie robiła wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Clary głośno przełknęła ślinę i wstała, trzymając się brzegu stołu. Widziała swoje zbieleńskie kostki, ale ręce wydawały się odłączone od ciała, jakby należały do kogoś innego.

Jocelyn zrobiła krok w jej stronę, wyciągając ręce.

– Clary...

Lecz ona cofnęła się tak pospiesznie, że uderzyła plecami w blat szafki. Przeszył ją ból, ale go zignorowała. Patrzyła na matkę. Simon również gapił się na nią z lekko otwartymi ustami. Amatis wyglądała na wzburzoną.

Natomiast Isabelle stanęła między matką a córką i wsunęła rękę pod fartuch. Clary przyszło do głowy, że Nocna Łowczyni zaraz wyciągnie cienki bicz z elektrum.

– Co się tu dzieje? – zapytała Isabelle. – Kim pani jest?

Jej silny głos zadrżał lekko, kiedy dostrzegła wyraz twarzy nieznajomej. Jocelyn wpatrywała się w nią, trzymając rękę na sercu.

– Maryse – wyszeptała.

Isabelle popatrzyła na nią zdziwiona.

– Skąd pani zna imię mojej matki?

Na twarz Jocelyn nagle wróciły kolory.

– Oczywiście. Córką Maryse. Jesteś bardzo do niej podobna. – Wolno opuściła rękę. – Jestem matką Clary, Jocelyn Fr. Fairchild.

Isabelle wyjęła dłoń spod fartucha. W jej oczach malowała się konsternacja.

– Ale przecież pani była w szpitalu... W Nowym Jorku...

– Byłam – potwierdziła Jocelyn mocniejszym głosem. – Ale dzięki mojej córce już jestem zdrowa. I chciałabym chwilę z nią porozmawiać.

– Nie jestem pewna, czy ona tego chce – odezwała się Amatis, kładąc dłoń na jej ramieniu. – To musi być dla niej szok...

Jocelyn odsunęła się od Amatis i z wyciągniętymi rękoma ruszyła w stronę córki.

– Clary...

Clary w końcu odzyskała głos.

– Jak się tutaj dostałaś, Jocelyn? – Mówiła zimnym, lodowatym tonem, tak gniewnym, że nawet ją samą zaskoczył.

Matka zamarła w pół kroku. Po jej twarzy przemknął wyraz niepewności.

– Przez Bramę, z Magnusem Bane'em. Trafiliśmy pod miasto. Wczoraj przyszedł do mnie do szpitala. Przyniósł antidotum. Opowiedział, co dla mnie zrobiłaś. Jedyne, czego pragnęłam od chwili przebudzenia, to zobaczyć ciebie... – Jocelyn zawiesiła głos. – Coś jest nie w porządku, Clary?

– Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że mam brata? – Wcale nie zamierzała tego mówić, ale słowa same spłynęły z jej ust.

Jocelyn opuściła ręce.

– Myślałam, że on nie żyje. Myślałam, że tylko cię zranię, jeśli ci powiem.

– Wiedza jest lepsza niż niewiedza. Zawsze, mammo.

– Przepraszam... – zaczęła Jocelyn.

– Przepraszasz? – Czowała się tak, jakby w niej coś pękło i wylała się z niej cała gorycz, cała nagromadzona wściekłość. – Zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że jestem Nocnym Łowcą? Albo że mój ojciec żyje? A co z tym, że zapłaciłaś Magnusowi, żeby ukradł mi wspomnienia?

– Staralam się ciebie chronić...

– Wykonałaś świetną robotę! – Clary podniosła głos. – Kiedy zniknęłaś, pomyślałaś, co się ze mną stanie? Gdyby nie Jace i inni, już bym nie żyła. Nigdy mnie nie nauczyłaś, jak się bronić. Nigdy nie ostrzegłaś, jakie niebezpieczeństwa mi grożą. Co sobie myślałaś? Że jeśli nie widzę złych rzeczy, to znaczy, że one nie istnieją? – Jej oczy płonęły. – Wiedziałaś, że Valentine żyje. Luke'owi o tym powiedziałaś.

– I właśnie dlatego musiałam cię ukryć. Nie mogłam ryzykować, że Valentine się dowie, gdzie jesteś. Nie mogłam pozwolić, żeby...

– Bo twoje pierwsze dziecko zmienił w potwora, a ty nie chciałaś, żeby to samo zrobił mnie.

Jocelyn zaniemówiła na dłuższą chwilę.

– Tak – przyznała w końcu. – Ale to nie wszystko, Clary...

– Ukradłaś mi wspomnienia. Zabrałaś je. Zabrałaś mi wiedzę, kim jestem.

– Nie! – krzyknęła Jocelyn. – Nie chciałam, żebyś była tym, kim jesteś...

– Nie ma znaczenia, czego ty chciałaś! – odpowiedziała krzykiem Clary. – Chodzi o to, kim jestem! Zabrałaś mi coś, co nigdy nie należało do ciebie. Zabrałaś mi wszystko.

Jocelyn poszarzała na twarzy. W oczach Clary wezbrały łzy. Nie mogła znieść widoku zranionej matki, a to ona ją raniła. I wiedziała, że jeśli znowu otworzy usta, wydostaną się z nich jeszcze straszniejsze słowa, złe, bardziej nienawistne. Zakryła dłonią usta i popędziła do holu, omijając matkę i wyciągnięte ręce Simona. Pragnęła jedynie się stąd wydostać. Na oślep pchnęła frontowe drzwi, wypadła na ulicę. Słyszała, że ktoś woła jej imię, ale nawet się nie odwróciła. Pobiegła przed siebie.

\*\*\*

Jace był zaskoczony, kiedy odkrył, że Sebastian zostawił konia w stajni, zamiast na nim uciec. Może bał się, że Wędrowca można w jakiś sposób wytropić.

Osiadanie wierzchowca i wyjechanie nim z miasta sprawiło Jace'owi satysfakcję. To prawda, że gdyby Sebastianowi naprawdę zależało na Wędrowcu, nie zostawiłby go, choć w rzeczywistości zwierzę wcale do niego nie należało. Ale faktem było też, że Jace lubił konie. Miał dziesięć lat, kiedy ostatnio jeździł wierzchem, jednak z zadowoleniem stwierdził, że nie stracił tych umiejętności.

Pokonanie odległości od rezydencji Waylandów do domu Amatis zabrało jemu i Clary sześć godzin marszu. Jazda niemal galopem – jakieś dwie godziny. Kiedy Jace dotarł na grzbiet górujący nad domem i ogrodami, i on, i koń byli pokryci cienką warstewką potu.

Czary maskujące posiadłość uległy zniszczeniu razem z jej fundamentami. Z eleganckiego budynku została góra osmalonych kamieni. Ogrody, wypalone na brzegach, nadal budziły wspomnienia czasów, kiedy mieszkał tu jako dziecko. Pamiętał krzewy różane, teraz poprzerastane chwastami, kamienne ławki przy pustych sadzawkach, trawnik w zagłębieniu terenu, gdzie leżał z Clary w tę noc, kiedy zawalił się dom. Między drzewami widział niebieskawy błysk pobliskiego jeziora.

Zalała go fala goryczy. Włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej stelę. Przed wyjściem wstąpił do pokoju Aleca i „pożyczył” ją sobie, żeby zastąpić tę, którą zgubiła Clary. Alec bez trudu mógł postarać się o następną. Następnie ułożył na dłoni nitkę, którą zdjął z rękawa płaszcza Clary. W jednym końcu była poplamiona na czerwono-brązowo. Zamknął wokół niej pięść na tyle mocno, że pod skórą zarysowały się kości, i stelą nakreślił znak na wierzchu ręki. Poczł słabe ukłucia, raczej znajome niż bolesne. Obserwował przez chwilę, jak znak zagłębia się w skórze niczym kamień tonący w wodzie. Zamknął oczy.

Pod powiekami ujrzał dolinę. Stał na wzniesieniu i patrzył na nią z góry. Wiedział dokładnie, gdzie jest, jakby spoglądał na mapę wyznaczającą jego położenie. Inkwizytorka też bez trudu odnalazła łódź Valentine'a na środku East River. Zrozumiał teraz, że właśnie tak tego dokonała. Wyraźnie widział każdy szczegół, każde źdźbło trawy, brązowiejące liście u swych stóp, ale nie słyszał żadnych dźwięków. Było niesamowicie cicho.

Dolina miała kształt podkowy zwężającej się w jednym końcu. Przez jej środek biegła srebrzysta wstęga – strumień albo rzeczka – i znikwała w wąskiej części. Nad potokiem stał szary kamienny dom. Z komina unosił się biały dym. Był to sielski obrazek pod błękitną gazą nieba. Nagle w polu widzenia Jace'a pojawiła się smukła postać. Sebastian. Teraz, gdy już nie musiał

nikogo udawać, jego arogancja była widoczna w chodzie, ułożeniu ramion, lekkim uśmiešku na twarzy. Ukląkł przy strumieniu, nabrał w dłonie wody, spryskał nią twarz i włosy.

Jace otworzył oczy. Schował stelę i nić z powrotem do kieszeni. Rzucił ostatnie spojrzenie na ruiny domu, w którym dorastał, zebrał wodze i wbił pięty w boki wierzchowca.

\*\*\*

Clary leżała w trawie na wzgórzu Gard i z posępną miną spoglądała na Alicante. Musiała przyznać, że widok z tego miejsca był imponujący. Mogła sięgnąć wzrokiem ponad dachami, na których kręciły się wiatrowskazy pokryte runami, ponad iglicami Wielkiej Sali Anioła, w stronę czegoś, co lśniło w oddali jak brzeg srebrnej monety. Jezioro Lyn? Nad nią wznosiły się czarne ruiny Gard, demoniczne wieże lśniły jak kryształ. Clary wydawało się, że dostrzega migoczącą niewidzialną sieć czarów rozpiętą nad miastem.

Spojrzała na swoje dłonie. W ataku złości wyrwała kilka garści trawy. Palce miała ubrudzone ziemią i krwią w miejscu, gdzie naderwała sobie paznokieć. Gdy furia minęła, zastąpiło ją uczucie pustki. Clary nie zdawała sobie sprawy, jaka była wściekła na matkę, dopóki Jocelyn nie przekroczyła drzwi domu Amatis. Kiedy zniknął lęk o jej życie, uświadomiła sobie, co się pod nim kryło. Teraz, kiedy już się trochę uspokoiła, przyszło jej do głowy, że może chciała ukarać matkę za to, co spotkało Jace'a. Gdyby go nie okłamywano – gdyby ich obojga nie okłamywano – może wstrząs po odkryciu tego, co zrobił mu w dzieciństwie Valentine, nie skłoniłby go do samobójczego, zdaniem Clary, przedsięwzięcia.

– Mogę się do ciebie przyłączyć?

Clary drgnęła zaskoczona i podniosła wzrok. Nad nią stał Simon z rękami w kieszeniach. Ktoś – pewnie Isabelle – dał mu ciemną kurtkę z czarnego materiału, z którego Nocni Łowcy szyli swoje stroje. Wampir w rynsztunku bojowym, pomyślała Clary. Ciekawe, czy pierwszy w historii.

– Podkradłeś się do mnie – stwierdziła. – Wygląda na to, że kiepski ze mnie Nocny Łowca.

Simon wzruszył ramionami.

– Cóż, pocieszę cię, że poruszam się z cichą gracją pantery.

Clary uśmiechnęła się wbrew sobie. Usiadła i otrzepała ręce z ziemi.

– Śmiało, przyłącz się do mnie. Ta świątynia dumania jest otwarta dla wszystkich.

Simon usadowił się obok niej, spojrzał na miasto i gwizdnął.

– Ładny widok.

– Tak. – Clary zerknęła na niego z ukosa. – Jak mnie znalazłeś?

– Cóż, zabrało mi to kilka godzin. – Simon uśmiechnął się trochę krzywo. – Przypomniałem sobie, jak klóciliśmy się w pierwszej klasie, a potem ty szłaś nadąsana na mój dach i moja mama musiała cię później stamtąd ściągać.

– I co?

– Znam cię. Kiedy się wściekasz, szukasz wysokości.

Podał jej zielony płaszcz, starannie złożony. Clary wzięła go i włożyła na siebie. Był mocno sfatygowany. Na rękawie miał dziurę, w którą można by wetknąć palec.

– Dzięki, Simon. – Objęła rękami kolana i spojrzała na miasto. Słońce stało nisko na niebie, wieże zaczynały jaśnieć czerwonawą poświatą. – Mama cię tutaj przysłała?

Simon pokręcił głową.

– Luke. Poprosił mnie, żebym cię zapytał, czy nie zechciałabyś wrócić przed zachodem słońca. Dzieją się pewne ważne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Luke dał Clave czas do zachodu słońca na postanowienie, czy przydzielić Podziemnym miejsca w Radzie. O zmierzchu przybędą pod Północną Bramę. Jeśli Clave się zgodzi, będą mogli wejść do Alicante. Jeśli nie...

– Odejdą, a Clave podda się Valentine'owi – dokończyła Clary.

– Tak.

– Zgodzą się. Muszą. Nigdy nie wybiorą Valentine'a. Nikt by tego nie zrobił.

– Cieszę, że twój idealizm pozostał nienaruszony – stwierdził Simon i choć mówił lekkim tonem, Clary usłyszała głos Jace'a, który oświadczył, że nie jest idealistą. Zadrżała mimo płaszcza.

– Simon, mam głupie pytanie.

– Jakie?

– Spałeś z Isabelle?

Przyjaciel wydał zdławiony dźwięk. Clary obróciła się wolno i spojrzała na niego bacznie.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Chyba tak. – Simon z dużym wysiłkiem odzyskał panowanie nad sobą. – Pytasz poważnie?

– Nie było cię całą noc.

Simon milczał przez dłuższą chwilę. W końcu powiedział:

– Nie jestem pewien, czy to twoja sprawa.

– W porządku – rzuciła Clary po stosownej pauzie. – Chyba nie wykorzystałbyś jej, kiedy jest taka smutna, i w ogóle.

Simon prychnął.

– Jeśli kiedyś spotkasz mężczyznę, który potrafi wykorzystać Isabelle, daj mi znać. Chciałbym uściskać mu rękę. Albo bardzo szybko przed nim uciec. Sam nie wiem, czy jedno, czy drugie.

– Więc nie chodzisz z Isabelle?

– Clary, dlaczego wypytujesz mnie o Isabelle? Nie chcesz rozmawiać o swojej mamie? Albo o Jasie? Izzy mi powiedziała, że wyjechał. Wiem, jak musisz się czuć.

– Nie. Nie sądzę, żebyś wiedział.

– Nie jesteś jedyną osobą, która czuje się opuszczona. – W głosie Simona pojawiła się nuta zniecierpliwienia. – Ja tylko pomyślałem... to znaczy, jeszcze nigdy nie widziałem cię takiej rozgniewanej. I to na własną matkę. Myślałem, że za nią tęskniłaś.

– Oczywiście, że za nią tęskniłam! – Clary uświadomiła sobie teraz, jak musiała wyglądać scena w kuchni. Zwłaszcza w oczach jej matki. Odepchnęła tę myśl. – Po prostu byłam taka skupiona na ratowaniu jej przed Valentine'em, a potem szukaniu sposobu, jak ją uzdrowić, że nawet nie pomyślałam o tym, jaka jestem zła na to, że mnie okłamywała przez te wszystkie lata. Że ukrywała przede mną, kim naprawdę jestem.

– Ale nie to jej zarzuciłaś, kiedy weszła do kuchni – stwierdził Simon cicho. – Spytałaś: „Dlaczego mi nie powiedziałaś, że mam brata?”.

– Wiem. – Clary wyrwała źdźbło trawy i zaczęła obracać je w palcach. – Chyba nie mogłam przestać myśleć, że gdybym znała prawdę, nie zakochałabym się w Jasie.

Simon milczał przez chwilę.

– Nigdy wcześniej mi tego nie mówiłaś.

– Że go kocham? – Roześmiała się, co zabrzmiało fatalnie nawet w jej własnych uszach. –

W tym momencie nie ma sensu udawać, że nie. Pewnie nigdy więcej go nie zobaczę.

– On wróci.

– Może.

– Wróci – powtórzył Simon. – Do ciebie.

– Nie wiem. – Clary pokręciła głową. Po chwili zmrużyła oczy i pochyliła się. Słońce prawie dotykało horyzontu. – Simon, spójrz.

Przyjaciel podążył za jej wzrokiem. Przy Północnej Bramie miasta zbierały się setki ciemnych postaci. Niektóre tłoczyły się blisko siebie, inne stały osobno. Podziemni, których Luke wezwał do obrony Idrisu, czekali cierpliwie na wiadomość od Clave, że mogą wejść do miasta. Po plecach Clary przebiegł dreszcz. Nie tylko siedziała na szczycie stromego wzgórza i patrzyła z góry na Alicante, ale była świadkiem kryzysowej sytuacji, wydarzenia, które miało zmienić cały świat Nocnych Łowców.

– Są – powiedział Simon. – Ciekawe, czy to oznacza, że Clave już podjęło decyzję?

– Mam nadzieję, że tak. – Żdźbło zmieniło się w zieloną miazgę w palcach Clary. Odrzuciła je na bok i wyrwała następne. – Nie wiem, co zrobię, jeśli postanowią poddać się Valentine’owi. Może stworzę Bramę, która przeniesie nas gdzieś, gdzie Valentine nigdy nas nie znajdzie? Na bezludną wyspę albo coś w tym rodzaju.

– No dobrze, ja też mam do ciebie głupie pytanie – powiedział Simon. – Potrafisz tworzyć nowe runy, tak? Dlaczego nie możesz narysować takiego znaku, który zniszczy wszystkie demony na świecie? Albo zabije Valentine’a?

– To tak nie działa. Umiem tworzyć tylko runy, które potrafię sobie wyobrazić. Każdy musi pojawić się w mojej głowie jak obraz. Kiedy myślę: „zabij Valentine’a” albo „rządź światem” czy coś w tym rodzaju, nie widzę żadnych obrazów, tylko białe plamy.

– Ale skąd się biorą te obrazy, jak sądzisz?

– Nie wiem. Wszystkie runy, które znają Nocni Łowcy, pochodzą z Szarej Księgi. To dlatego można je nakładać tylko na Nefilim. Po to właśnie są. Ale wiem od Magnusa, że istnieją też inne, starsze runy. Na przykład Znak Kaina. To znak ochrony, tyle że nie z Szarej Księgi. Więc kiedy widzę runy takie jak nieustraszoneści, nie wiem, czy sama je wymyśliłam czy tylko przypominam sobie symbole starsze od Nocnych Łowców. Stare jak anioły. – Przed jej oczami stanął znak w kształcie węzła, który pokazał jej Ithuriel. Pochodził z jej własnego umysłu czy umysłu anioła? A może zawsze istniał, jak morze albo niebo? Ta myśl przyprawiła ją o dreszcz.

– Zimno ci? – spytał Simon.

– Tak, a tobie?



– Mnie nigdy nie jest zimno. – Objął ją i zaczął masować jej plecy. Zaśmiał się z goryczą.  
– Chyba to niewiele pomoże, skoro nie ma we mnie ani krzty ciepła, i w ogóle.

– Nie. To znaczy, tak, pomaga. Masuj dalej. – Zobaczyła, że Simon patrzy na Północną Bramę, wokół której nadal gromadziły się tłumy Podziemnych. W jego oczach odbijał się czerwony blask demonicznych wież. Wyglądał jak na zdjęciu zrobionym z fleszem. Słabe niebieskie linie żył odznaczały się pod jego skórą w miejscach, gdzie była najcieńsza: na skroniach i u nasady obojczyka. Clary wiedziała o wampirach dość, by się domyślić, że minęło trochę czasu od jego ostatniego posiłku. – Jesteś głodny?

Przeniósł na nią spojrzenie.

– Boisz się, że cię ugryzę?

– Wiesz, że możesz wypić moją krew, kiedy tylko zechcesz.

Simon zadrżał, ale nie z zimna. Przyciągnął ją mocniej do siebie.

– Nigdy bym tego nie zrobił – oświadczył i dodał szybko: – Poza tym, już piłem krew Jace’a. Wystarczy mi posilania się przyjaciółmi.

Clary pomyślała o srebrnej bliźnie na szyi Jace’a.

– Myślisz, że to dlatego...

– Co?

– Dlatego słońce nie robi ci krzywdy? Wcześniej cię parzyło, prawda? Przed tamtą nocą na łodzi?

Simon niechętnie skinął głową.

– Więc co jeszcze się zmieniło? – drażyla Clary. – Czy chodzi tylko o to, że wypieś jego krew?

– Masz na myśli to, że on jest Nefilim? Tak, ale nie tylko o to chodzi. Ty i Jace... nie jesteście całkiem normalni, prawda? To znaczy, nie jesteście normalnymi Nocnymi Łowcami. Tak więc to, co was wyróżnia, mnie również czyni innym. Coś specjalnego w was obojgu. Jak powiedziała królowa Jasnego Dworu, byliście eksperymentem. – Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczoną minę. – Nie jestem głupi. Umieję poskładać fakty. Ty masz moc tworzenia runów, a Jace, cóż... Bez nadnaturalnej pomocy nikt nie mógłby być aż tak irytujący.

– Naprawdę tak bardzo go nie lubisz?

– Nie to, że go nie lubię – zaprotestował Simon. – To znaczy, owszem, nienawidziłem go na początku. Wydawał się taki arogancki i pewny siebie, a ty zachowywałaś się, jakby to on zawiesił księżyc...

– Wcale nie.

– Pozwól mi dokończyć, Clary. – Simon mówił zdyszczonym głosem, jeśli można tak powiedzieć o kimś, kto nie oddycha. W każdym razie bardzo się spieszył. – Widziałem, jak bardzo go lubisz, i uważałem, że on cię wykorzystuje, bo jesteś głupią Przyziemną, na której robią wrażenie jego sztuczki Nocnego Łowcy. Na początku tłumaczyłem sobie, że nigdy byś się na takie chwytaki nie nabrała, a gdyby nawet, on w końcu się tobą znudzi i wtedy wrócisz do mnie. Nie jestem z tego dumny, ale zdesperowany człowiek wierzy we wszystko. A potem, kiedy się okazało, że jest twoim bratem, czułem się, jakby w ostatniej chwili dostał ułaskawienie. Byłem zadowolony, widząc, jak bardzo on cierpi. Aż do tamtej nocy w Jasnym Dworze, kiedy go pocałowałaś. Wtedy zobaczyłem...

– Co? – niecierpliwie ponagliła go Clary.

– To, jak na niego patrzysz. I zrozumiałem. On wcale cię nie wykorzystywał, tylko kochał, i to go zabijało.

– I dlatego poszedłeś do Dumort? – wyszeptowała Clary. Zawsze chciała to wiedzieć, ale nie miała odwagi spytać.

– Z powodu ciebie i Jace'a? Nie. Chciałem tam pójść od pierwszej wizyty w hotelu. Śniłem o tym. Kiedy się budziłem, wstawałem z łóżka, ubierałem czy wychodziłem z domu, wiedziałem, że chcę wrócić do Dumort. Najgorzej było w nocy i w tamtej okolicy. Nawet nie przyszło mi do głowy, że to coś nienaturalnego. Myślałem, że to stres pourazowy czy coś w tym rodzaju. Tamtej nocy byłem wyczerpany i zły, a znajdowaliśmy się tak blisko hotelu... Ledwo pamiętam, co się stało. Wiem tylko, że wyszedłem z parku, a potem... nic.

– Ale gdybyś nie był na mnie zły... gdybyśmy cię nie zdenerwowali...

– Nie jest tak, że miałaś wybór – zauważył Simon. – Nie jest tak, że nie wiedziałem. Można tylko do pewnego momentu odpychać od siebie prawdę, ale ona i tak wypłynie na wierzch. Mój błąd polegał nie na tym, że ci nie powiedziałem, co się ze mną dzieje, ale na tym, że nie opowiedziałem ci o snach. Ale nie żałuję, że z tobą chodziłem. Cieszę się, że spróbowałeś. I kocham cię za to, że próbowałaś, nawet jeśli nie mogło się udać.

– Bardzo chciałam, żeby nam wyszło – powiedziała cicho Clary. – Nie chciałam cię zranić.

– Niczego bym nie zmienił. Nie zrezygnowałbym z kochania ciebie. Za nic. Wiesz, co powiedział mi Raphael? Że nie mam pojęcia, jak być dobrym wampirem, bo wampiry akceptują fakt, że są martwe. Ale dopóki pamiętam, jak to było cię kochać, zawsze będę się czuł, jakbym żył.

– Simon...

– Patrz. – Pokazał ręką. Jego ciemne oczy się rozszerzyły. – Tam, w dole.

Słońce było czerwonym sierpem tuż nad horyzontem. Po chwili zamrugało i zniknęło za ciemną krawędzią świata. Demoniczne wieże Alicante nagle ożyły jasnym blaskiem. W ich świetle Clary zobaczyła tłum kłębiący się niespokojnie pod Północną Bramą.

– Co się dzieje? – wyszeptała. – Słońce już zaszło. Dlaczego nie otwierają bram?

Simon siedział bez ruchu.

– Clave – odparł krótko. – Pewnie odmówili Luke’owi.

– Nie mogą tego zrobić! – przeraziła się Clary. – To by oznaczało...

– Że poddadzą się Valentine’owi.

– Nie mogą! – krzyknęła Clary, ale zobaczyła, że grupki ciemnych postaci oddalają się od miasta.

Twarc Simoną była woskowa w gasnącym świetle dnia.

– Chyba rzeczywiście aż tak nas nienawidzą – stwierdził. – Wolą wybrać Valentine’a.

– To nie jest nienawiść. Oni się boją. Nawet Valentine się boi. – Powiedziała to bez zastanowienia, ale uświadomiła sobie, że ma rację. – Boi się i jest zazdrosny.

Simon spojrzał na nią zdziwiony.

– Zazdrosny?

Clary jednak wróciła myślami do snu, który pokazał jej Ithuriel. Usłyszała głos Valentine’a. „Marzyłem, że powiesz mi, dlaczego Razjel stworzył nas, rasę Nocnych Łowców, ale nie dał nam mocy, które mają Podziemni: szybkości wilków, nieśmiertelności faerie, magii czarowników, wytrzymałości wampirów.

Postawił nas przed piekielnymi zastępami nagich i bezbronnych, nie licząc tych kresk namalowanych na skórze. Dlaczego ich moce są większe niż nasze? Dlaczego nie możemy mieć tego samego, co oni? Dlaczego?”.

Patrzyła na miasto leżące w dole, ale tak naprawdę go nie widziała. Niejasno dotarło do niej, że Simon ją woła. Myślała gorączkowo. Anioł mógł pokazać jej wszystko, lecz z jakiegoś powodu wybrał akurat te sceny, te wspomnienia. Pomyślała o okrzyku Valentine'a: „Że też musimy być związani z Podziemnymi, z tymi istotami!”.

I znak. Ten, który się jej przyśnił. Znak prosty jak węzeł.

„Dlaczego nie możemy mieć tego samego, co oni?”.

– Wiązanie – powiedziała na głos. – To znak wiążący. Łączy ze sobą podobne i niepodobne.

– Co? – Simon gapił się na nią z osłupieniem.

Clary wstała z ziemi i otrzepała ubranie.

– Muszę iść na dół. Gdzie oni są?

– Kto? Clary...

– Clave. Gdzie się spotykają? Gdzie jest Luke?

Simon też zerwał się z trawy.

– W Sali Anioła. Clary...

Ale ona już pędziła w stronę krętej ścieżki, która prowadziła do miasta. Simon podążył za nią, klnąc pod nosem.

\*\*\*

„Mówi się, że wszystkie drogi prowadzą do piekła”. Słowa Sebastiana rozbrzmiewały w głowie Clary, kiedy biegła wąskimi zaułkami Alicante. Miała nadzieję, że to prawda, bo inaczej na pewno by się zgubiła. Ulice wiły się i przecinały pod dziwnymi kątami, zupełnie inaczej niż na Manhattanie. Tam człowiek zawsze wiedział, gdzie jest. Wszystko było jasno rozplanowane i ponumerowane. To miasto przypominało labirynt.

Przebiegła mały dziedziniec, potem skręciła w jedną z wąskich drózek ciągnących się wzdłuż kanału. Wiedziała, że jeśli będzie podążać zgodnie z jego biegiem, w końcu dotrze do Placu Anioła. Zdziwiła się, kiedy ścieżka doprowadziła ją do domu Amatis. Sapiąc, popędziła dalej szerszą, krętą, znajomą ulicą. Wkrótce ujrzała przed sobą dużą, białą Salę Anioła. Na środku placu lśnił posąg. Obok niego stał Simon ze skrzyżowanymi rękami. Zmierzył ją ponurym wzrokiem.

– Mogłaś na mnie poczekać – odezwał się z wyrzutem.

Clary schyliła się i oparła ręce na kolanach, łapiąc oddech.

– Ty... chyba żartujesz. Przecież... dotarłeś tutaj przede mną.

– Szybkość wampirów – powiedział Simon z nutą satysfakcji w głosie. – Gdy wrócimy do domu, chyba wybiorę się na bieżnię.

– To byłoby... oszustwo. – Clary w końcu się wyprostowała i odgarnęła z oczu spoczone włosy. – Wejźmy do środka.

Sala była pełna Nocnych Łowców. Clary jeszcze nigdy nie widziała ich tyłu w jednym miejscu, nawet w noc ataku Valentine'a. Większość zbiła się w kłócające się, rozkrzyczane grupki. Ich głosy brzmiały jak ryk lawiny. Podium było puste, na ścianie za nim wisiała mapa Idrisu.

Clary rozejrzała się za Lukiem. Po chwili wypatrzyła go opartego o kolumnę. Miał przymknięte oczy i wyglądał strasznie: śmiertelnie zmęczony, ze zgarbionymi plecami. Za nim stała Amatis i z troską klepała go po ramieniu. Natomiast nigdzie Clary nie dostrzegła matki.

Wahała się przez chwilę. Potem pomyślała o Jasie, który sam poszedł tropić Valentine'a, choć groziła mu śmierć. Wiedział, że jest Nocnym Łowcą, że należy do tego świata. Podobnie jak ona, nawet kiedy nie miała o tym pojęcia. Adrenalina nadal krążyła w jej żyłach, wyostrając zmysły. Wszystko wokół niej było bardzo wyraźne. Niemal zbyt wyraźne. Ścisnęła rękę Simona.

– Życz mi szczęścia – poprosiła.

Nogi same poniosły ją w stronę podium, niemal bez udziału woli. Chwilę później stała na podwyższeniu, zwrócona twarzą do zgromadzonych.

Nie była pewna, czego się spodziewała. Okrzyków zaskoczenia? Morza twarzy pełnych wyczekiwania? Zebrani ledwo ją zauważyli. Tylko Luke podniósł wzrok, jakby wyczuł jej obecność, i zamarł z osłupiałą miną. Ktoś ruszył ku niej przez tłum: wysoki, kościsty mężczyzna o ostrych rysach. Konsul Malachi. Idąc, pokazywał jej gestami ręki, żeby zeszła z podium, kręcił głową i coś krzyczał. W miarę jak konsul torował sobie drogę przez ludzki gąszcz, odwracali się w jej stronę kolejni Nocni Łowcy.

Teraz Clary wreszcie miała to, co chciała: wszystkie oczy były zwrócone na nią. Usłyszała szmer przebiegający przez tłum: „To ona. Córka Valentine'a”.

– Macie rację – powiedziała najgłośniejszym, jak zdołała. – Jestem córką Valentine'a. Jeszcze kilka tygodni temu nie wiedziałam, że on jest moim ojcem. W ogóle nie wiedziałam o jego istnieniu. Wielu z was w to nie uwierzy, ale trudno. Wierzcie, w co chcecie, tylko przyjmijcie do wiadomości, że wiem o Valentine'owej rzeczy, o których wy nie macie pojęcia. Rzeczy, które mogą wam pomóc z nim wygrać... Jeśli pozwolicie mi podzielić się z wami tą wiedzą.

– To niedorzeczne. – Malachi zatrzymał się u stóp podium. – Całkowicie niedorzeczne. Jesteś tylko dziewczynką...

– To córka Jocelyn Fairchild – odezwał się Patrick Penhallow. Przepchnąwszy się przed zgromadzonych, uniósł rękę. – Niech powie, co ma do powiedzenia, Malachi.

Tłum zabuczał.

– Pan i Inkwizytor wtrąciliście mojego przyjaciela Simona do więzienia... – rzuciła oskarżycielskim tonem Clary, zwracając się do Konsula.

Malachi uśmiechnął się szyderczo.

– Twojego przyjaciela wampira?

– Podobno wypytywał go pan, co się stało na statku Valentine’a tamtej nocy na East River. Sądziście, że Valentine zastosował jakiś rodzaj czarnej magii. Nie zrobił tego. Jeśli chcecie wiedzieć, co zniszczyło statek, zaspokoję waszą ciekawość. Ja to zrobiłam.

Gdy Malachi zaśmiał się z niedowierzaniem, zawtórowało mu kilka osób. Luke patrzył na nią, kręcąc głową, ale ona brnęła dalej.

– Dokonałam tego za pomocą znaku tak silnego, że statek rozpadł się na części. Potrafię tworzyć nowe runy. Nie takie jak z Szarej Księgi, tylko Znaki, których nikt wcześniej nie widział, potężne...

– Wystarczy! – ryknął Konsul. – To niedorzeczne. Nikt nie potrafi tworzyć nowych runów. To niemożliwe. – Odwrócił się do zebranych. – Ta dziewczyna kłamie, podobnie jak jej ojciec.

– Ona nie kłamie. – Głos dobiegł z głębi Sali, czysty, silny, zdecydowany. Wszyscy się odwrócili. To przemówił Alec. Obok niego stali Isabelle i Magnus. Razem z Simonem i Maryse Lightwood tworzyli małą, zdeterminowaną grupkę przy frontowych drzwiach. – Widziałem, jak Clary tworzy znak. Użyła go na mnie. Zadziałał.

– Kłamiesz – stwierdził Konsul, ale w jego oczach pojawił się cień wątpliwości. – Chronisz przyjaciółkę...

– Doprawdy, Malachi – przemówiła lodowatym tonem Maryse. – Dlaczego mój syn miałby kłamać w sytuacji, kiedy tak łatwo odkryć prawdę? Daj dziewczynie stelę i niech narysuje nowy znak.

Przez salę przebiegł szmer wyrażający zgodę. Patrick Penhallow wystąpił do przodu i wręczył stelę Clary. Przyjęła ją z wdzięcznością i odwróciła się z powrotem do zebranych.

W ustach jej zaschło. Adrenalina nadal się wydzielala, ale nie wystarczyło jej, żeby złagodzić treść. Co miała zrobić? Jaki znak mogła stworzyć, żeby przekonać ludzi, że mówi prawdę? Jak pokazać im prawdę?

Spojrzała ponad tłumem i zobaczyła, że Simon stojący z Lightwoodami, obserwuje ją z drugiego końca sali. Tak samo patrzył na nią Jace w rezydencji Waylandów. Jedno łączyło tych dwóch chłopców, których tak bardzo kochała; obaj wierzyli w nią, nawet kiedy ona nie wierzyła w siebie.

Patrząc na Simona i myśląc o Jasie, przyłożyła ostry czubek steli do wewnętrznej strony nadgarstka. Nie patrząc w dół, na ślepo przesunęła po nim ostrzem, przekonana, że stworzy właściwy znak. Pociągnęła stelą po skórze lekko, ale bez wahania.

Gdy skończyła, pierwszym, co ujrzała, była pobladła twarz Malachiego, który cofał się przed nią z przerażeniem w oczach. Powiedział coś, słowo w języku, którego nie rozpoznała. Potem dostrzegła za nim Luke'a, patrzącego na nią z otwartymi ustami.

– Jocelyn? – zapytał.

Pokręciła głową i spojrzała na tłum. Zobaczyła morze twarzy. Niektórzy Nocni Łowcy się uśmiechali, inni rozglądali zaskoczeni, jeszcze inni odwracali się do sąsiadów. Kilku z przerażeniem albo zdumieniem zasłaniało rękami usta. Alec zerknął na Magnusa, a potem na nią, z niedowierzaniem. Simon wpatrywał się w nią z osłupieniem. Amatis wystąpiła do przodu, przepchnęła się obok Patricka Penhallowa i podbiegła do podium.

– Stephen! – wykrzyknęła oszołomiona. – Stephen!

– Och, Amatis, nie! – Clary poczuła, że przestaje w niej działać runiczna magia, jakby zrzuciła z siebie cienką, niewidzialną szatę.

Rozgorączkowana Amatis cofnęła się od podium, zdumiona, wstrząśnięta, sposepniła.

Clary spojrzała na zebranych. Milczeli, wszystkie głowy były zwrócone ku niej.

– Wiem, co zobaczyliście – zaczęła. – I zdajecie sobie sprawę, że ten rodzaj magii to coś więcej niż czary czy iluzja. Dokonałam tego jednym znakiem, który sama stworzyłam. Powody, dla których mam tę zdolność, mogą się wam nie spodobać albo nawet nie zdołacie w nie uwierzyć, ale to nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, że mogę wam pomóc wygrać bitwę z Valentine'em, jeśli mi pozwolicie.

– Nie będzie żadnej bitwy z Valentine'em – oświadczył Malachi, nie patrząc jej w oczy. – Tak postanowiło Clave. Zgodzimy się na warunki Valentine'a i jutro rano złożymy broń.

– Nie możecie tego zrobić! – zaprotestowała Clary z nutą desperacji w głosie. – Myślicie, że wszystko będzie dobrze, jeśli się poddacie? Myślicie, że Valentine pozwoli wam żyć jak do tej pory? Myślicie, że ograniczy się do zabijania demonów i Podziemnych? – Powiodła wzrokiem po sali. – Większość z was nie widziała go od piętnastu lat. Może zapomnieliście, jaki on jest naprawdę. Ale ja wiem. Słyszałam, jak mówił o swoich planach. Wydaje się wam, że nadal będziecie żyć po swojemu pod jego rządami, ale tak nie będzie. On przejmie nad wami całkowitą władzę, bo zawsze będzie mógł wam zagrozić, że zniszczy was Darami Anioła. Oczywiście zacznie od Podziemnych, bo uważa, że są słabi i zepsuci. Ale potem przejdzie do Clave, najpierw do tych, którzy mają w rodzinie Podziemnego, na przykład, brata wilkołaka... – spojrzała na Amatis – zbuntowaną córkę nastolatkę, która czasami umawia się z rycerzem faerie... – przeniosła wzrok na Lightwoodów – albo przyjaźni się z Podziemnym. Następnie zajmie się tymi, którzy korzystają z usług czarownika. Ilu z was to dotyczy?

– To nonsens! – prychnął Malachi. – Valentine nie jest zainteresowany zniszczeniem Nefilim.

– Ale on nie uważa, żeby ktoś, kto zadaje się z Podziemnymi, był godny miana Nefilim – odparowała Clary. – Posłuchajcie, wy nie toczycie wojny z Valentine'em, tylko z demonami. Trzymanie demonów z dala od tego świata jest waszym zadaniem wyznaczonym przez niebiosa. A obowiązek nałożony przez niebo nie jest czymś, co można zlekceważyć. Podziemni też nienawidzą demonów. Też je niszczą. Ale jeśli Valentine postawi na swoim, poświęci tyle czasu na mordowanie wszystkich Podziemnych i wszystkich Nocnych Łowców, którzy się z nim zadają, że zapomni o demonach. I wy także, bo będziecie się bać Valentine'a. A wtedy demony opanują świat.

– Rozumiem, do czego zmierzasz – rzucił przez zęby Malachi. – Ale nie będziemy walczyć razem z Podziemnymi w bitwie, której nie możemy wygrać...

– Możecie ją wygrać – zaproponowała Clary. – Możecie. – Gardło miała suche. Twarze przed nią zlewały się w zamazaną plamę, naznaczoną tu i ówdzie przez rozbłyśki białego światła. Nie wolno ci teraz się wycofać. Musisz mówić dalej. Musisz spróbować. – Mój ojciec nienawidzi Podziemnych, bo jest o nich zazdrosny. I boi się tego, co oni potrafią, a on nie. Nie umie znieść myśli, że pod pewnymi względami oni są potężniejsi niż Nefilim. Założę się, że nie jest w tym osamotniony. Łatwo bać się tego, czego nie można mieć. – Wzięła wdech. – Ale co, jeśli będziecie to mieli? Jeśli potrafię stworzyć znak, który zwiąże Nocnego Łowcę z Podziemnym



walczącym u jego boku, tak że każdy z was zyska jego moc. Będziecie zdrowieć i odzyskiwać siły błyskawicznie jak wampiry, staniecie się twardzi jak wilkołaki albo szybcy jak rycerze faerie. Oni z kolei zdobędą wasze umiejętności walki. Możecie stworzyć razem armię nie do pokonania, jeśli pozwolicie, żebym nałożyła wam Znaki.

I jeśli będziecie walczyć razem z Podziemnymi, bo inaczej runy nie zadziałają. – Zrobiła pauzę. – Proszę. – Gardło miała tak wyschnięte, że to ostatnie słowo było ledwo słyszalne. – Proszę, pozwólcie, żebym zrobiła wam Znaki.

Po jej przemowie w sali zapadła dzwoniąca cisza. Świat wokół niej zawirował, a Clary uświadomiła sobie, że ostatnie zdania wygłosiła, patrząc w szklany sufit, i że białe eksplozje, które widziała, to gwiazdy kolejno zapalające się na niebie. W miarę jak cisza się przeciągała, Clary zaciskała pięści. A potem, bardzo wolno, opuściła wzrok i spojrzała na wpatrzony w nią tłum.

## Opowieść Nocnej Łowczyni

Clary siedziała na górnym stopniu schodów prowadzących do Wielkiej Sali Anioła. Wcześniej wzeszedł księżyc i teraz świecił nad dachami domów. Demoniczne wieże odbijały jego srebrno-biały blask. Ciemność zakrywała blizny i rany miasta, które pod nocnym niebem wyglądało spokojnie... jeśli nie patrzyło się na wzgórze Gard i ruiny cytadeli. Strażnicy patrolowali plac, pojawiając się i znikając w świetle magicznych latarni.

Kilka stopni niżej Simon chodził bezszelestnie w tę i z powrotem, trzymając ręce w kieszeniach. Kiedy zawracał na końcu schodów, blask księżyca odbijał się od jego bladej skóry jak od gładkiej powierzchni.

– Przestań tak krążyć – burknęła Clary. – Przez ciebie jeszcze bardziej się denerwuję.

– Przepraszam.

– Mam wrażenie, że siedzimy tutaj od wieków. – Clary wytężyła słuch, ale spoza zamkniętych podwójnych drzwi sali docierał do niej tylko przytłumiony szmer wielu głosów. – Słyszysz, co mówią w środku?

Simon w skupieniu zmrużył oczy.

– Trochę – powiedział po chwili.

– Chciałabym tam być. – Clary z irytacją kopnęła piętami w stopień. Luke poprosił ją, żeby poczekała na zewnątrz, podczas gdy Clave będzie obradować. Chciał wysłać z nią swoją siostrę, ale Simon uparł się, że to on pójdzie, bo lepiej, żeby Amatis została i poparła Clary. – Brać udział w naradzie.

– Nie, wcale nie.

Wiedziała, dlaczego Luke poprosił ją, żeby wyszła. Potrafiła sobie wyobrazić, co o niej tam mówią. Kłamczucha. Stuknięta. Szalona. Głupia. Kretynka. Potwór. Córka Valentine'a. Może lepiej, że tutaj siedziała, ale napięcie oczekiwania na decyzję Clave było niemal bolesne.

– Może dałbym radę wdrapać się na którąś i stamtąd podsłuchać – rzekł Simon, mierząc wzrokiem grube kolumny podtrzymujące nachylony dach Sali Anioła. Były na nich wyryte runy, ale nie miały żadnych uchwytów dla rąk.

– Och, przestań. Jesteś wampirem, a nie Spidermanem.

W odpowiedzi Simon wbiegł lekko na schody i zbliżył się do podstawy kolumny. Przez chwilę patrzył na nią w zamyśleniu, a potem objął ją i zaczął się wspinać. Clary obserwowała go z otwartymi ustami, podczas gdy on wyszukiwał na kamieniu najbardziej nieprawdopodobne miejsca dla palców rąk i stóp.

– Jesteś Spidermanem! – zawołała.

Simon spojrział w dół z połowy wysokości kolumny.

– A ty Mary Jane! – odkrzyknął. – Ona też ma rude włosy. – Spojrział na miasto i zmarszczył brwi. – Myślałem, że zobaczę stąd Północną Bramę, ale jestem za nisko.

Clary wiedziała, dlaczego Simon chce zobaczyć bramę. Wysłano tam posłańców z prośbą do Podziemnych, żeby zostali na czas obrad Clave. Clary mogła tylko mieć nadzieję, że się zgodzą. Wyobrażała sobie tłum, który czeka niecierpliwie, zastanawia się...

Podwójne drzwi sali uchyliły się i przez szczelinę wysunęła się smukła postać. Przez chwilę stała w cieniu i dopiero kiedy ruszyła do przodu, w światło magicznych latarni, Clary ujrzała burzę rudych włosów.

Jocelyn spojrziała w górę z rozbawioną miną.

– Cześć, Simon. Widzę, że... się przystosowujesz.

Simon zsunął się z kolumny i lekko wylądował u jej podstawy. Sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego.

– Witam, pani Fray.

– Nie wiem, czy jest sens tak się do mnie zwracać – stwierdziła matka Clary. – Może powinieneś mi mówić po prostu Jocelyn. – Zawahała się. – Wiesz, w tej... dziwnej sytuacji, dobrze cię tu widzieć razem z Clary. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byliście osobno.

Simon trochę się zmieszał.

– Panią też dobrze widzieć.

– Dziękuję, Simonie. – Jocelyn spojrziała na córkę. – Możemy chwilę porozmawiać? W cztery oczy?

Clary przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, patrząc na matkę. Czowała się tak, jakby obserwowała kogoś obcego. Gardło miała ściśnięte, niemal nie mogła mówić. Zerknęła na przyjaciela, który najwyraźniej czekał na znak od niej, czy ma zostać, czy odejść. Westchnęła.

– Dobrze.

Simon uniósł kciuki i ruszył do drzwi Sali Anioła. Clary odwróciła się i spojrzała na plac patrolowany przez strażników. Matka zbliżyła się i usiadła obok niej. W głębi duszy Clary miała wielką ochotę położyć głowę na jej ramieniu. Mogłaby zamknąć oczy, udawać, że wszystko jest w porządku. Wiedziała jednak, że nie da się żyć z zamkniętymi oczami.

– Clary – odezwała się w końcu Jocelyn. – Tak mi przykro.

Clary spojrzała na swoje dłonie. Nadal trzymała w nich stelę Patricka Penhallowa. Oby tylko nie pomyślał, że ją ukradła.

– Nigdy nie sądziłam, że jeszcze kiedyś zobaczę to miejsce – ciągnęła Jocelyn. Patrzyła na miasto i demoniczne wieże rzucające na niebo białawą poświatę. – Czasami o tym marzyłam. Chciałam nawet namalować swoje wspomnienia, ale nie mogłam. Pomyślałam, że gdybyś kiedyś zobaczyła te obrazy, zaczęłabyś się dopytywać, skąd mi przyszły do głowy te widoki. Tak się bałam, że się dowiesz, skąd naprawdę pochodzisz. Kim naprawdę jesteś.

– I teraz wiem.

– Teraz wiesz. – W głosie Jocelyn zabrzmiał żal. – I masz powody, żeby mnie nienawidzić.

– Nie nienawidzę cię, mamó. Ja tylko...

– Nie ufasz mi. Nie dziwię ci się. Powinam powiedzieć ci prawdę. – Dotknęła lekko ramienia Clary, a kiedy córka się nie odsunęła, nabrała odwagi. – Mogłabym się tłumaczyć, że jedynie chciałam cię chronić, ale wiem, jak to brzmi. Byłam w sali, obserwowałam cię...

– Byłaś tam? Nie widziałam cię.

– Stałam w głębi. Luke powiedział, żebym nie przychodziła na naradę, bo moja obecność tylko wszystkich zdenerwuje, i pewnie miał rację, ale ja tak bardzo chciałam tam być. Wśliznęłam się po rozpoczęciu zebrania i ukryłam w cieniu. Ale byłam tam. I chcę ci powiedzieć...

– Że zrobiłam z siebie głupka? – dokończyła z goryczą Clary. – Już to wiem.

– Nie. Chciałam ci powiedzieć, że jestem z ciebie dumna.

Clary spojrzała na matkę.

– Naprawdę?

Jocelyn kiwnęła głową.

– Oczywiście, że tak. Z tego, że stanęłaś przed Clave, że pokazałaś im, co potrafisz. Zmusiłaś ich, żeby na ciebie spojrzeli i zobaczyli osobę, którą kochali najbardziej na świecie, tak?

– Tak – przyznała Clary. – Skąd wiedziałaś?

– Bo słyszałam, jak wykrzykują różne imiona – odparła cicho Jocelyn. – Ale ja widziałam ciebie.

– Aha. – Clary spuściła głowę. – Cóż, nadal nie jestem pewna, czy mi wierzą z tymi runami. To znaczy, mam taką nadzieję, ale...

– A ja mogę go zobaczyć? – spytała Jocelyn.

– Co?

– Znak. Ten, który stworzyłaś, żeby związać ze sobą Nocnych Łowców i Podziemnych. – Zawahała się. – Jeśli nie możesz mi go pokazać...

– Nie, wszystko w porządku.

Clary nakreśliła stelę rysunek, który pokazał jej Ithuriel, a on zapłonął złotym blaskiem na marmurowym stopniu Sali Anioła. To był potężny Znak, mapa zawiłych linii nakładających się na matrycę utworzoną z prostszych kresek. Zwyczajny i skomplikowany jednocześnie. Clary teraz zrozumiała, dlaczego wydawał się jej niedokończony, kiedy wcześniej go sobie wyobrażała. Potrzebował drugiego Znak, żeby zadziałać. Bliźniaka. Partnera.

– Sojusz – powiedziała, cofając stelę. – Tak go nazwałam.

Jocelyn patrzyła w milczeniu, jak znak rozjarza się i blaknie, aż w końcu zostają po nim słabe czarne linie na kamieniu.

– Kiedy byłam młodą kobietą, walczyłam o to, żeby związać ze sobą Podziemnych i Nocnych Łowców, chronić Przymierze – odezwała się po dłuższej chwili. – Myślałam, że gonię za mrzonką, za czymś, czego większość Nocnych Łowców nawet nie potrafiła sobie wyobrazić. A teraz ty sprawiłaś, że ta mrzonka zmieniła się w konkretny, realny plan. – Zamrugnęła szybko. – Coś sobie uświadomiłam, obserwując cię na podium. Wiesz, przez wszystkie te lata próbowałam cię chronić, ukrywając przed światem. To dlatego nie znosiłam jak chodziłaś do Pandemonium. Wiedziałam, że spotykają się tam Podziemni i Przyziemni, a to oznaczało, że w klubie będą również Nocni Łowcy. Wyobrażałam sobie, że ciągnie cię do tego miejsca twoja krew, która

pozwołała ci ujrzeć Świat Cieni nawet bez Wzroku. Uważałam, że będziesz bezpieczna tylko wtedy, kiedy ten świat pozostanie przed tobą ukryty. Nie przyszło mi do głowy, żeby cię chronić, ucząc, jak być silną i walczyć. – W głosie Jocelyn pobrzmiwał smutek. – Ale i tak jakimś cudem stałaś się silna. Dostatecznie silna, żebym mogła wyznać ci prawdę, jeśli nadal chcesz ją poznać.

– Nie wiem. – Clary pomyślała o koszmarnych obrazach, które pokazał jej anioł. – Byłam na ciebie zła z powodu kłamstw. Ale nie jestem pewna, czy chcę się dowiedzieć jeszcze więcej strasznych rzeczy.

– Rozmawiałam z Lukiem. On uważa, że powinnaś poznać całą historię. Usłyszeć rzeczy, o których nigdy nikomu nie mówiłam, nawet jemu. Nie mogę obiecać, że ta prawda będzie przyjemna. Ale to jest prawda.

Była to winna sobie i Jace'owi. Mocniej zacisnęła stelę w ręce, aż zbieleły jej kostki.

– Chcę wiedzieć wszystko.

– Wszystko... – Jocelyn wzięła głęboki wdech. – Nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Może od poślubienia Valentine'a? Jak mogłaś wyjść za takiego człowieka, uczynić go moim ojcem. To potwór.

– Nie. Nie jest dobrym człowiekiem, ale to nie potwór. Jeśli chcesz wiedzieć, to poślubiłam Valentine'a dlatego, że go kochałam.

– Niemożliwe – stwierdziła Clary. – Nikt nie mógłby go pokochać.

– Byłam w twoim wieku, kiedy się w nim zakochałam – powiedziała Jocelyn. – Uważałam, że jest ideałem: błyskotliwy, cudowny, mądry, zabawny, czarujący. Widzę, że patrzysz na mnie, jakbym postradała rozum. Znasz Valentine'a takiego, jaki jest teraz. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jaki był wtedy. Kiedy chodziliśmy razem do szkoły, wszyscy go kochali. Emanował światłem, jakby istniała wyjątkowa, rozjarzona blaskiem część wszechświata, do której tylko on miał wstęp, i jeśli mieliśmy szczęście, mógł się z nami nią podzielić. Każda dziewczyna się w nim durzyła, a ja uważałam, że nie mam szans. Nie było we mnie nic szczególnego. Nie należałam do popularnych uczennic. Przyjaźniłam się Lukiem, spędzałam z nim większość czasu. Ale jakimś cudem Valentine wybrał właśnie mnie.

„Straszne”, chciała powiedzieć Clary, ale ugryzła się w język. Może powstrzymała ją tęsknota w głosie matki zmieszana z żalem. A może jej słowa o Valentinie emanującym światłem. Clary to samo myślała wcześniej o Jasie. Pewnie tak uważają wszyscy zakochani.

– Rozumiem – powiedziała. – Ale miałaś wtedy szesnaście lat. To nie oznacza, że musiałaś później wychodzić za niego za mąż.

– Miałam osiemnaście, kiedy się pobraliśmy, a on dziewiętnaście – wyjaśniła rzeczowym tonem Jocelyn.

– O, Boże! – wykrztusiła Clary. – Zabiłabyś mnie, gdybym chciała wyjść za mąż w wieku osiemnastu lat.

– Owszem – przyznała matka. – Ale Nocni Łowcy pobierają się wcześniej niż Przyziemni. Ich... nasze życie jest krótsze. Wielu z nas umiera gwałtowną śmiercią. Dlatego dużo rzeczy robimy wcześniej niż inni. Tak czy inaczej, rzeczywiście młodo wyszłam za mąż. Ale moja rodzina była szczęśliwa. Nawet Luke się cieszył. Wszyscy uważali, że Valentine jest cudownym chłopcem. I był wtedy zaledwie chłopcem. Jediną osobą, która odradzała mi ślub, była Madeleine. Przyjaźniłyśmy się w szkole, ale kiedy poinformowałam ją o zaręczynach, stwierdziła, że Valentine jest samolubny i pełen nienawiści, a jego urok tylko maskuje całkowitą amoralność. Wmówiłam sobie, że jest zazdrosna.

– A była?

– Nie. Miała rację. Po prostu nie chciałam jej usłyszeć. – Jocelyn spojrzała na swoje ręce.

– Ale potem żałowałaś, że go poślubiłaś, prawda? – zapytała Clary.

– Byliśmy szczęśliwi. Przynajmniej przez kilka pierwszych lat. – Jocelyn mówiła znużonym tonem. – Wprowadziliśmy się do rezydencji moich rodziców, w której się wychowałam. Valentine nie chciał zostać w mieście. Wolał, żeby Krąg unikał Alicante i wścibskich oczu Clave. Waylandowie mieszkali w wiejskiej posiadłości zaledwie milę czy dwie od naszej, inni też byli blisko: Lightwoodowie, Penhallowowie. Czuliśmy się jak w centrum świata, z całą tą aktywnością, całą pasją. I większość czasu spędzałam u boku Valentine’a. Nigdy nie dawał mi odczuć, że jestem niepotrzebna czy nieważna. Nie, odgrywałam kluczową rolę w Kręgu. Należałam do nielicznych członków, których opiniom Valentine wierzył. Wciąż mi powtarzał, że beze mnie nie mógłby nic zdziałać. Że beze mnie byłby nikim.

– Naprawdę? – Clary nie potrafiła sobie wyobrazić, że Valentine mówi takie rzeczy, że przyznaje się do słabości.

– Tak, ale oczywiście przesadzał. Nie mógłby być nikim. Był urodzonym przywódcą. Miał coraz więcej zwolenników. Przyciągała ich jego pasja i wzniosłość idei. W tamtych czasach rzadko mówił o Podziemnych. Chodziło mu przede wszystkim o zreformowanie Clave i zmianę

praw, starych, sztywnych i złych. Twierdził, że powinno być więcej Nocnych Łowców do walki z demonami, więcej Instytutów, że powinniśmy mniej zajmować się ukrywaniem, a bardziej ochroną świata przed demonami. Że powinniśmy chodzić po świecie dumnie wyprostowani. Jego wizja była uwodzicielska: świat pełen Nocnych Łowców, przed którymi demony uciekają przerażone, a Przyziemni, zamiast wierzyć, że one nie istnieją, dziękują nam za to, co dla nich robimy. Byliśmy młodzi. Uważaliśmy, że podziękowania są ważne. Nic nie wiedzieliśmy. – Jocelyn wzięła głęboki wdech, jakby miała zanurkować. – Potem zaszłam w ciążę.

Clary poczuła zimny dreszcz na karku i nagle straciła pewność, czy chce poznać prawdę. Już nie była pewna, czy chce usłyszeć od matki, jak Valentine zmienił Jace'a w potwora.

– Mamo...

Jocelyn potrząsnęła głową.

– Pytałaś mnie, dlaczego nigdy ci nie powiedziałam, że masz brata. Właśnie dlatego... Byłam taka szczęśliwa, kiedy się dowiedziałam. A Valentine... on zawsze chciał być ojcem. Wyszkolić syna na wojownika, tak jak ojciec wyszkolił jego. „Albo córkę”, mówiłam, a on się uśmiechał i mówił, że córka również może zostać wojownikiem i że on też będzie szczęśliwy. Uważałam, że jest idealnie. A potem Luke został ugryziony przez wilkołaka. Istnieje jedna szansa na dwie, że ugryzienie skończy się likantropią. Ja myślę, że to raczej trzy do czterech. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś uniknął choroby, a Luke nie okazał się wyjątkiem. Zmienił się w czasie następnej pełni. Rano stanął w naszych drzwiach, pokryty krwią, w podartym ubraniu. Chciałam go pocieszyć, ale Valentine odepchnął mnie na bok. „Jocelyn, dziecko”, powiedział. Jakby Luke miał się na mnie rzucić i wyrwać mi dziecko z brzucha. To był Luke, ale Valentine mnie odepchnął i zaciągnął go do lasu. Wrócił dużo później, sam. Pobiełam do niego, a on mi powiedział, że Luke zabił się z rozpacz. Że nie żyje.

W głosie Jocelyn pobrzmiwał głęboki, dojmujący smutek jeszcze teraz, kiedy wiedziała, że Luke żyje. Ale Clary pamiętała własną rozpacz, kiedy na stopniach Instytutu trzymała w ramionach umierającego Simona. Są uczucia, których nigdy się nie zapomina.

– On dał Luke'owi nóż i kazał mu się zabić – powiedziała cicho. – Potem zmusił męża Amatis, żeby się z nią rozwiódł, bo jej brat stał się wilkołakiem.

– Nie wiedziałam. Po śmierci Luke'a wpadłam w czarną otchłań. Spędziłam miesiące w swojej sypialni, śpiąc przez cały czas, jedząc tylko ze względu na dziecko. Przyziemni nazwaliby to depresją, ale Nocni Łowcy nie znali takich określeń. Valentine sądził, że mam trudną ciążę.



Mówił wszystkim, że jestem chora. I byłam chora, nie mogłam spać. Wciąż mi się wydawało, że słyszę dziwne hałasy, krzyki w nocy. Valentine dawał mi mikstury nasenne, ale po nich tylko miałam koszmary. Straszne sny, że Valentine wbija we mnie nóż albo że krztuszę się trucizną. Rano byłam wyczerpana i później spałam przez całą dzień. Nie miałam pojęcia, co się dzieje na zewnątrz, nie miałam pojęcia, że zmusił Stephena do rozwodu z Amatis i poślubienia Celine. Byłam otumaniona. A potem... – Jocelyn splótła drżące ręce na kolanach. – Potem urodziłam dziecko.

Umilkła. Gdy cisza się przedłużała, Clary zwątpiła, czy matka jeszcze się odezwie. Jocelyn wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w demoniczne wieże, palcami wybijając nerwowy rytm na kolanach.

– Moja matka była przy mnie, kiedy dziecko się urodziło – powiedziała w końcu. – Nie znałaś jej. Swojej babki. Była bardzo dobrą kobietą. Polubiłabyś ją. Podała mi syna, a ja zobaczyłam tylko, że idealnie mieści się w moich ramionach, że otulający go kocyk jest miękki i że on jest taki mały i delikatny, z puszką włosów na czubku głowy. A potem otworzył oczy.

Jej głos był monotony, niemal bezdźwięczny, ale Clary zadrżała ze strachu przed tym, co matka powie za chwilę. „Nie, nic mi nie mów!”, chciała krzyknąć. Ale słowa wylewały się z Jocelyn niczym trucizna.

– Ogarnęło mnie przerażenie. To było jak kąpiel w kwasie, skóra jakby odchodziła od kości. Tylko cudem nie upuściłam dziecka i nie zaczęłam wrzeszczeć. Mówią, że każda matka instynktownie poznaje swoje dziecko. Uważam, że przeciwne twierdzenie również jest prawdą. Każdy nerw mojego ciała krzyczał, że to nie jest moje dziecko, że to jakaś straszna i nienaturalna istota, równie nieludzka jak pasożyt. Jak moja matka mogła tego nie widzieć? Ale ona uśmiechała się do mnie, jakby nic się nie stało. „Ma na imię Jonathan”, usłyszałam głos dobiegający od drzwi. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Valentine obserwuje nas z uśmiechem. Dziecko znowu otworzyło oczy, jakby rozpoznało swoje imię. Oczy miało czarne jak noc, jak niezgłębione tunele wydrążone w czaszce. Nie było w nich nic ludzkiego.

Znowu zapadła długa cisza. Clary siedziała bez ruchu, z przerażeniem wpatrując się w matkę. Ona mówi o Jasie. O malutkim Jasie. Jak można coś takiego czuć do dziecka?

– Mamo – wyszeptwała. – Może... może byłaś w szoku, chora albo coś w tym rodzaju.

– Właśnie tak stwierdził Valentine – wyznała Jocelyn. – Że jestem chora. Uwielbiał Jonathana. Nie mógł zrozumieć, co jest ze mną nie tak. Byłam potworem, matką, która nie może

znieść własnego dziecka. Myślałam o samobójstwie. Może bym to zrobiła, ale dostałam wiadomość, ognisty list od Ragnora Fella, czarownika zawsze blisko związanego z moją rodziną. To jego wzywano, kiedy potrzebny był czar uzdrawiający i tego rodzaju rzeczy. Dowiedział się, że Luke został przywódcą stada wilkołaków w lesie Brocelind przy wschodniej granicy. Spaliłam liścik od razu po przeczytaniu. Valentine nie mógł się dowiedzieć. Ale dopiero kiedy poszłam do obozu wilkołaków i zobaczyłam Luke'a, upewniłam się, że Valentine okłamał mnie co do samobójstwa Luke'a. I wtedy zaczęłam naprawdę go nienawidzić.

– Ale Luke twierdzi, że wiedziałaś, że coś jest nie tak z Valentine'em, wiedziałaś, że on robi coś strasznego. Podobno wiedziałaś o tym jeszcze przed jego Przemianą.

Jocelyn milczała przez chwilę.

– Luke nie powinien zostać ugryziony. To nie powinno się wydarzyć w czasie rutynowego patrolu w lasach, z Valentine'em. Nie powinno.

– Mamo...

– Luke twierdzi, że jeszcze przed jego Przemianą mówiłam mu, że boję się własnego męża. Podobno zwierzyłam mu się, że słyszę krzyki przez ściany domu, coś podejrzewałam, obawiałam się czegoś. I Luke, ufny Luke, następnego dnia zapytał o to Valentine'a. Wieczorem Valentine zabrał go na polowanie i Luke został ugryziony. Myślę... myślę, że to Valentine sprawił, że zapomniałam, co widziałam. Co mnie przerażało. Wmówił mi, że to złe sny. Myślę, że to on postarał się, żeby Luke został ugryziony tamtej nocy. Chciał usunąć go z drogi, żeby nikt nie mógł mi przypomnieć, że boję się własnego męża. Ale ja nie zdawałam sobie z tego sprawy, nie od razu. Luke i ja widzieliśmy się bardzo krótko tamtego pierwszego dnia, a ja chciałam opowiedzieć mu o Jonathanie, ale nie mogłam, nie mogłam. Ostatecznie Jonathan był moim synem. Ale sam widok Luke'a dodał mi sił. Wróciłam do domu z postanowieniem, że się postaram i nauczę kochać Jonathana. Zmuszę się do kochania syna. W nocy obudził mnie płacz dziecka. Usiadłam na łóżku, byłam sama w sypialni. Valentine pojechał wcześniej na spotkanie Kręgu, więc nie miałam z kim podzielić się swoim zdumieniem. Widzisz, Jonathan nigdy nie płakał, nie wydawał żadnego dźwięku. To milczenie było jedną z cech, które najbardziej mnie w nim niepokoiły. Pobiegłam do jego pokoju, ale on cicho spał. A ja nadal słyszałam płacz dziecka. Byłam tego pewna. Ruszyłam za tym dźwiękiem. Dochodził z pustej, nieużywanej piwnicy win, ale jej drzwi okazały się zamknięte na klucz. Wiedziałam jednak, gdzie mój ojciec go chował, bo przecież wychowałam się w rezydencji...

Jocelyn nie patrzyła na Clary. Wydawało się, że zatonęła we wspomnieniach.

– Nigdy w dzieciństwie nie opowiadałam ci historii o żonie Sinobrodego? Mąż powiedział jej, żeby nigdy nie zaglądała do zamkniętego pokoju, ale ona zajrzała i znalazła tam szczątki jego poprzednich, zamordowanych żon, wystawione na widok jak motyle w szklanej gablocie. Kiedy otwierałam piwnicę, nie miałam pojęcia, co zobaczę w środku. Czy gdybym musiała zrobić to znowu, potrafiłabym zmusić się do otwarcia drzwi i zejścia w ciemność z magicznym kamieniem? Nie wiem, Clary. Po prostu nie wiem. Zapach, ten zapach na dole: krwi, śmierci i rozkładu. Valentine urządził pomieszczenie pod ziemią, w dawnej piwnicy win. Okazało się, że wcale nie słyszałam płaczu dziecka. W celach były uwięzione istoty. Demony związane łańcuchami z elektrum wily się, miały, charczały. Ale ujrzałam tam dużo, dużo więcej. Ciała Podziemnych w różnych stadiach rozkładu. Niektórzy jeszcze żyli. Wilkołaki o ciałach na pół rozpuszczonych srebrnym proszkiem. Wampiry trzymane głową w dół w wodzie święconej, o skórze odchodzącej od kości. Faerie przewiercone zimnym żelazem. Nawet teraz nie myślę o Valentinie jako o oprawcy. Niezupełnie. On prowadził jakieś badania naukowe. Przy drzwiach każdej celi znajdowały się staranne opisy jego eksperymentów, notatki, jak długo umierało każde stworzenie. Był jeden wampir, którego skórę palił wciąż od nowa, żeby się przekonać, czy jest moment, kiedy biedak przestanie się regenerować. Trudno było czytać jego zapiski i nie zemdleć albo nie zwymiotować. Ale jakoś mi się udało. Jedną stronę poświęcił doświadczeniom, które robił na sobie. Przeczytał gdzieś, że krew demonów może wzmocnić zdolności, z którymi rodzą się Nocni Łowcy. Próbował robić sobie zastrzyki z krwi, ale bez rezultatu. Nic się nie zmieniło oprócz tego, że go zemdlilo. W końcu doszedł do wniosku, że jest za stary. Żeby osiągnąć pełen efekt, trzeba podać krew dziecku, najlepiej jeszcze nienarodzonemu. Na drugiej stronie, obok tych wniosków, zaczynały się notatki z nagłówkiem w postaci mojego nazwiska. Jocelyn Morgenstern. Pamiętam, jak mi drżały palce, kiedy odwracałam kartki. Słowa wypalały się w moim mózgu. „Jocelyn wypła mieszankę dziś wieczorem. Żadnych widocznych zmian, ale interesuje mnie przede wszystkim dziecko... Po regularnych infuzjach demonicznej posoki może się okazać zdolne do największych wyczynów. Zeszłej nocy słyszałem bicie jego serca, silniejsze niż ludzkiego. Dźwięk był taki, jakby potężny dzwon wybijał początek nowej generacji Nocnych Łowców. Zmieszana krew aniołów i demonów wyprodukuje moce, o jakich nikomu wcześniej się nie śniło... Moc Podziemnych już nie będzie największa na ziemi...”. Było tego więcej, dużo więcej. Obracałam stronicę drżącymi

palcami, moje myśli galopowały. Wspominałam mikstury, które Valentine dawał mi co wieczór do picia, koszmary, że jestem dźgana nożem, duszona, truta. Ale to nie mnie truł, tylko Jonathana. Zmienił go w na pół demoniczną istotę. I właśnie wtedy zrozumiałam, jaki naprawdę jest Valentine.

Clary wypuściła powietrze z płuc. Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. To wszystko było potworne, ale zgadzało się z wizją, którą pokazał jej Ithuriel. Sama nie wiedziała, kogo żałuje bardziej: matki czy Jonathana – nie potrafiła myśleć o nim jako o Jasie, kiedy miała świeżo w pamięci opowieść Jocelyn – Jonathana, skazanego na to, żeby nie być w pełni człowiekiem, przez ojca, którego bardziej obchodziło mordowanie Podziemnych niż własna rodzina.

– Ale nie odeszłaś od niego, prawda? – zapytała Clary słabym głosem. – Zostałaś...

– Z dwóch powodów. Jednym z nich było Powstanie. To, czego się dowiedziałam tamtej nocy w piwnicy, było jak policzek, który obudził mnie z letargu i sprawił, że zobaczyłam, co się wokół mnie dzieje. Gdy zrozumiałam, co planuje Valentine – rzeź Podziemnych – od razu wiedziałam, że nie mogę do niej dopuścić. Zaczęłam w tajemnicy spotykać się z Lukiem. Nie mogłam mu wyznać, co Valentine zrobił mnie i naszemu dziecku. Wpadłby w szal i nic nie zdołałoby powstrzymać go przed próbą zabicia go. Jeszcze sam by zginął. Poza tym, nie mogłam pozwolić, żeby ktoś jeszcze wiedział, co zrobiono Jonathanowi. Mimo wszystko był moim synem. Ale opowiedziałam Luke'owi o potwornościach, które znalazłam w piwnicy, podzieliłam się swoim przekonaniem, że Valentine traci rozum, staje się coraz bardziej szalony. Razem zaplanowaliśmy, że udaremnimy Powstanie. Czułam się do tego zmuszona. Miał to być rodzaj pokuty, jedyny sposób, żeby odkupić grzech wstąpienia do Kręgu. Tego, że zaufałam Valentine'owi. Że go pokochałam.

– A Valentine się nie zorientował? Nie domyślił się, co robisz?

Jocelyn potrząsnęła głową.

– Kiedy ludzie cię kochają, ufają ci. Poza tym, w domu starałam się udawać, że wszystko jest normalnie. Zachowywałam się, jakbym już nie czuła niechęci do Jonathana. Zabierałam go do domu Maryse Lightwood, pozwalałam mu bawić się z jej synem Alekiem. Czasami przychodziła do nas Celine Herondale. Była wtedy w ciąży. „Twój mąż jest taki dobry”, mówiła mi. „Tak się interesuje Stephenem, mną i zdrowiem dziecka. Daje mi wywary i mikstury. Są świetne”.

– O, Boże! – wykrztusiła Clary.

– Też tak pomyślałam. Chciałam ją ostrzec, żeby nie ufała Valentine’owi ani niczego od niego nie przyjmowała, ale nie mogłam. Jej mąż był najbliższym przyjacielem Valentine’a, więc trzymałam usta na kłódkę. A potem...

– Zabiła się – dokończyła Clary, przypominając sobie tamtą historię. – Ale czy z powodu tego, co zrobił jej Valentine?

Matka pokręciła głową.

– Nie sądzę. Stephen zginął podczas wypadu, a ona podcięła sobie żyły, kiedy przekazano jej wieść. Była w ósmym miesiącu ciąży. Wykrwawiła się na śmierć. – Jocelyn zrobiła pauzę. – To Hodge znalazł jej ciało. Valentine sprawiał wrażenie zrozpaczonego śmiercią obojga. Zniknął na prawie cały dzień i wrócił do domu półprzytomny. Ale w pewnym sensie ucieszyła mnie jego reakcja. Przynajmniej nie zwracał uwagi na to, co robię. Z dnia na dzień coraz bardziej się bałam, że Valentine odkryje spisek i spróbuje torturami wydobyć ze mnie prawdę. Kto należy do naszego sekretnego przymierza? Ile z jego planów zdradziłam? Zastanawiałam się, jak wytrzymam tortury, czy dam radę. Strasznie się bałam, że nie. W końcu postanowiłam podjąć kroki, żeby nigdy nie znaleźć się w takiej sytuacji. Udałam się do Fella z moimi obawami, a on sporządził dla mnie wywar.

– Według przepisu z Białej Księgi – domyśliła się Clary. – Dlatego jej potrzebowałam. Chodziło o antidotum... Jak książka znalazła się w bibliotece Waylandów?

– Ukryłam ją tam pewnej nocy w czasie przyjęcia – odparła Jocelyn z cieniem uśmiechu na wargach. – Nie chciałam nic mówić Luke’owi. Wiedziałam, że nie spodoba mu się ten pomysł, a wszyscy, których znałam, należeli do Kręgu. Skontaktowałam się z Ragnorem, ale okazało się, że opuszcza Idris i nie wiadomo, kiedy wróci. Uspokoił mnie wprawdzie, że zawsze można wysłać do niego list, ale kto miałby to zrobić? W końcu uświadomiłam sobie, że jest jedna osoba, której mogę zaufać, osoba, która nienawidziła Valentine’a dostatecznie mocno, żeby nigdy mnie nie zdradzić. Napisałam do Madeleine list z wyjaśnieniem, co zamierzam zrobić. Upowiedziałam, że jedyny sposób, by przywrócić mnie do życia, to znaleźć Ragnora Fella. Nie dostałam od niej odpowiedzi, ale musiałam wierzyć, że przeczytała moje słowa i zrozumiała.

– Dwa powody – przypomniała Clary. – Mówiłaś, że miałaś dwa powody, żeby zostać. Jedynym było Powstanie, a drugim?

Spojrzenie Jocelyn było znużone, ale jej zielone oczy były szeroko otwarte i pałały jasnym światłem.

– Nie domyślasz się? Okazało się, że znowu jestem w ciąży. Z tobą.

– Aha – bąknęła Clary. Przypomniała sobie słowa Luke’a: „Nosila drugie dziecko i wiedziała o tym od tygodni”. – Ale czy z tego powodu jeszcze bardziej nie chciałaś uciec?

– Tak. Wiedziałam jednak, że nie mogę. Gdybym uciekła od Valentine’a, poruszyłby niebo i ziemię, żeby mnie odzyskać. Podążyłby za mną na koniec świata, bo należałam do niego, a on nigdy nie pozwoliłby mi odejść. I może zaryzykowałabym i pozwoliła, żeby mnie szukał, ale nie mogłam pozwolić, żeby dopadł ciebie. – Jocelyn odgarnęła włosy z twarzy. – Istniał tylko jeden sposób, żeby do tego nie dopuścić. Valentine musiał umrzeć.

Clary z zaskoczeniem spojrzała na matkę. Jocelyn nadal wyglądała na zmęczoną, ale jej twarz płonęła żarem.

– Myślałam, że zginie w czasie Powstania. Nie potrafiłabym sama go zabić. Ale nie sądziłam, że przeżyje bitwę. A później, kiedy spalił się dom, chciałam wierzyć, że Valentine nie żyje. Powtarzałam sobie wciąż, że on i Jonathan spłonęli w pożarze. Ale wiedziałam... – Zawiesiła głos. – Dlatego zrobiłam to, co zrobiłam. Uznałam, że jedynym sposobem, żeby cię chronić, będzie zabranie ci wspomnienia, uczynienie Przyziemną, ukrycie w ich świecie. Teraz wiem, że to było głupie. Głupie i niewłaściwe. Przepraszam, Clary. Mam nadzieję, że potrafisz mi wybaczyć. Jeśli nie teraz, to w przyszłości.

– Mamo. – Clary odchrząknęła. Od kilku minut zbierało się jej na płacz. – Wszystko w porządku. Jest tylko jedna rzecz, której nie rozumiem. – Zacisnęła dłonie na materiale płaszcza. – Wiedziałam, co Valentine zrobił Jace’owi, to znaczy Jonathanowi. Ale z twojego opisu wynika, że Jonathan to był potwór, a Jace taki nie jest. Zupełnie. Gdybyś go znała... gdybyś mogła go poznać...

– Clary. – Jocelyn ujęła jej dłoń. – Muszę jeszcze coś ci powiedzieć. Niczego więcej przed tobą nie ukrywałam ani nie kłamałam. Ale są rzeczy, o których wcześniej nie miałam pojęcia.

I może ci być trudno ich wysłuchać.

Są gorsze od tego, co już mi powiedziałaś? Clary przygryzła wargę i kiwnęła głową.

– Mów śmiało. Wolę wiedzieć.

– Kiedy Dorothea mnie poinformowała, że w mieście widziano Valentine’a, zrozumiałam, że przybył po mnie i po Kielich. Chciałam wyjechać, ale nie potrafiłam ci wyjaśnić, dlaczego musimy opuścić Nowy Jork. Nie winię cię, że uciekłaś ode mnie tamtej strasznej nocy. Dobrze, że cię nie było, kiedy twój ojciec i jego demony włamały się do naszego mieszkania. Zdążyłam jeszcze wypić magiczny napój. Słyszałam, jak wyważają drzwi... – Głos Jocelyn był pełen napięcia. – Miałam nadzieję, że Valentine uzna mnie za martwą, ale tak się nie stało. Zabrał mnie ze sobą do Renwick. Próbował różnych metod, żeby mnie obudzić, ale żadna nie poskutkowała. Znajdowałam się w stanie podobnym do snu. Zdawałam sobie sprawę z jego obecności, ale nie mogłam się poruszyć ani odpowiedzieć. Wątpię, czy myślał, że go słyszę albo rozumiem. A jednak siedział przy łóżku i do mnie mówił.

– Mówił do ciebie? O czym?

– O naszej przeszłości. Naszym małżeństwie. O tym, że mnie kochał, a ja go zdradziłam. Że od tamtej pory nikogo nie pokochał. Myślę, że mówił szczerze. To ze mną zawsze rozmawiał o swoich wątpliwościach, o poczuciu winy. Chyba rzeczywiście nikogo nie miał po tym, jak go zostawiłam. Nie mógł się powstrzymać od mówienia do mnie, choć wiedział, że nie powinien. Sądzę, że po prostu chciał z kimś porozmawiać. Można by przypuszczać, że będzie go dręczyć to, co zrobił tym biednym ludziom, czyniąc ich Wyklętymi, i co zamierza zrobić z Clave. Ale tak nie było. On chciał mówić o Jonathanie.

– Co takiego?

Jocelyn zacisnęła usta.

– Powiedział, że żałuje tego, co zrobił Jonathanowi przed jego narodzinami, bo omal mnie to nie zniszczyło. Wiedział, że byłam bliska samobójstwa z powodu Jonathana, ale nie podejrzewał, że rozpaczam również z powodu tego, czego dowiedziałam się o nim. Jakoś zdobył anielską krew, dla Nocnych Łowców bezcenny skarb. Wypicie jej podobno daje niesamowitą siłę. Valentine wypróbował ją na sobie i odkrył, że dała mu nie tylko większą moc, ale również uczucie euforii i szczęścia za każdym razem, kiedy wprowadzał ją do żył. Wziął więc trochę krwi, wysuszył ją na proszek i domieszał mi do jedzenia w nadziei, że to ukoji moją rozpacz.

Wiem, gdzie zdobył anielską krew, pomyślała Clary, ze smutkiem wspominając Ithuriela.

– Myślisz, że zadziałała?

– Zastanawiam się teraz, czy to nie dzięki niej tak nagle znalazłam w sobie siłę, żeby odejść i pomóc Luke’owi w sabotażu Powstania. Byłaby to ironia losu, zważywszy na intencje

Valentine'a. Ale on wtedy nie wiedział, że jestem w ciąży z tobą. Chyba dlatego potrafisz tworzyć runy.

– A ty ukryć Kielich Anioła na karcie tarota. A Valentine potrafi robić takie rzeczy, jak zdjęcie klątwy z Hodge'a...

– Valentine przez całe lata eksperymentował na sobie na wiele sposobów – powiedziała Jocelyn. – Jak na człowieka i Nocnego Łowcę niewiele mu brakuje do stania się czarownikiem. Ale to, co sobie robił, nie mogło mieć takich skutków, jak u ciebie czy Jonathana, czyli u dzieci jeszcze przed narodzeniem.

– Więc Jace... Jonathan i ja naprawdę oboje byliśmy eksperymentami.

– Ty przypadkowym. Jeśli chodzi o Jonathana, Valentine chciał stworzyć superwojownika, silniejszego, szybszego i lepszego niż inni Nocni Łowcy. W Renwick powiedział mi, że nasz syn naprawdę ma te wszystkie cechy. Ale jednocześnie jest okrutny, amoralny i pusty. Jonathan był wobec niego lojalny, ale Valentine chyba sobie uświadomił, że gdzieś po drodze, próbując stworzyć dziecko, które będzie lepsze od innych, stworzył potwora, który nigdy nie będzie w stanie naprawdę go pokochać.

Clary pomyślała o Jasie, o tym, jak wyglądał w Renwick, kiedy ścisnął kawałek rozbitej Bramy tak mocno, że krew ciekła mu po palcach.

– Nie, nie i jeszcze raz nie – zaprotestowała. – Jace nie jest taki. Kocha Valentine'a. Nie powinien, ale kocha. I wcale nie jest pusty. Żadna z cech, które wymieniłaś, do niego nie pasuje.

Jocelyn splótła ręce na kolanach. Jej dłonie były całe poznaczone cienkimi białymi bliznami jak u wszystkich Nocnych Łowców, pamiątkami po Znakach. Ale Clary nigdy wcześniej ich nie dostrzegła. Czary Magnusa sprawiały, że zawsze o nich zapominała. Jedna, na wewnętrznej stronie nadgarstka, w kształcie gwiazdy...

Matka przerwała jej rozmyślenia, mówiąc:

– Nie miałam na myśli Jace'a.

– Ale... – zaczęła Clary. Nagle świat zwolnił bieg jak w sennym marzeniu. Może rzeczywiście śnię? Może mama wcale się nie obudziła i to wszystko jest snem? – Jace jest synem Valentine'a. Kim innym mógłby być?

Jocelyn spojrzała jej w oczy.

– Tamtej nocy, kiedy Celine Herondale umarła, była w ósmym miesiącu ciąży. Valentine podawał jej wcześniej różne wywary i proszki sporządzone z krwi Ithuriela. Wypróbował na



niej to samo, co na sobie, w nadziei że dziecko Stephena okaże się również silne i niezwykle, jak zapowiadał się Jonathan, ale bez jego złych cech. Nie mógł znieść myśli, że jego eksperyment pójdzie na marne, więc z pomocą Hodge'a wyjął dziecko z łona Celine od razu po jej śmierci...

– To niemożliwe – wykrztusiła Clary.

– Valentine kazał Hodge'owi przenieść dziecko do jego rodzinnego domu w dolinie niedaleko jeziora Lyn – ciągnęła Jocelyn. – To dlatego nie było go przez całą noc. Hodge zajmował się chłopcem aż do Powstania. Potem Valentine udawał, że jest Michaellem Waylandem, więc wprowadził się z dzieckiem do rezydencji Waylandów i wychował je jako syna Michaela.

– Więc Jace nie jest moim bratem? – wyszeptła Clary.

Matka ścisnęła jej rękę współczującym gestem.

– Nie jest.

Clary zrobiło się ciemno przed oczami. Jej serce waliło jak młotem. Mamie jest mnie żal, pomyślała z roztargnieniem. Uważa, że to zła nowina. Ręce się jej trzęsły.

– Więc czyje kości znaleziono w zgliszczach? Luke powiedział, że należały do dziecka...

Jocelyn potrząsnęła głową.

– To były kości Michaela Waylanda i jego syna. Valentine zabił ich obu i spalił ciała. Chciał, by Clave uznało, że on i Jonathan nie żyją.

– Więc Jonathan...

– Żyje – powiedziała Jocelyn. Po jej twarzy przemknął wyraz bólu. – Valentine wyznał mi to w Renwick. Wychowywał Jace'a w posiadłości Waylandów, a Jonathana w domu przy jeziorze. Udawało mu się dzielić czas pomiędzy nich obu. Krążył między dwoma domami, czasami na długo zostawiał jednego albo drugiego chłopca samego. Zdaje się, że Jace nie wiedział o Jonathanie, ale Jonathan mógł słyszeć o Jasie. Nigdy się nie spotkali, choć mieszkali zaledwie parę mil od siebie.

– I Jace nie ma demonicznej krwi w żyłach? Nie jest... przeklęty?

– Przeklęty? – Jocelyn zrobiła zaskoczoną minę. – Nie, nie ma w sobie demonicznej krwi. Valentine eksperymentował na Jasie, kiedy ten był dzieckiem, ale podawał mu tę samą krew co tobie i mnie, anielską. Jace nie jest przeklęty. Jeśli już, to wręcz przeciwnie. Wszyscy Nocni Łowcy mają w sobie odrobinę krwi Anioła, a wy dwoje macie jej trochę więcej.

Clary kręciło się w głowie. Próbowała wyobrazić sobie Valentine'a wychowującego jednocześnie dwoje dzieci, jedno demoniczne, drugie anielskie. Dziecko światła i dziecko mroku. Może kochał obu chłopców, o ile w ogóle potrafił kochać. Jace nic nie wiedział o Jonathanie, ale czy tamten drugi wiedział o nim? O swoim przeciwieństwie i zarazem dopełnieniu? Nienawidził samej myśli o nim? Marzył, żeby go poznać? Pozostał obojętny? Obaj byli tacy samotni. I jeden z nich okazał się jej bratem, prawdziwym, rodzonym bratem.

– Myślisz, że jest taki sam jak wtedy? To znaczy Jonathan. Przypuszczasz, że mógł stać się... lepszy?

– Nie sądzę – odparła łagodnie Jocelyn.

– Skąd ta pewność? – Clary spojrzała na matkę, nagle zniecierpliwiona. – Może się zmienił. Minęły lata. Może...

– Valentine wyznał mi, że całe lata poświęcił na uczenie Jonathana, jak być miłym, wręcz czarującym. Chciał zrobić z niego szpiega. A nie można być szpiegiem, jeśli odstrasza się wszystkie spotykane osoby. Jonathan nauczył się również rzucać czary, żeby pokazać się ludziom jako chłopak sympatyczny i godny zaufania. – Jocelyn westchnęła. – Mówię ci to, żebyś się nie zdręczała, że dałaś się oszukać. Poznałaś Jonathana. Nie podał ci swojego prawdziwego imienia, bo udawał kogoś innego. Sebastiana Verlaca.

Clary wytrzeszczyła oczy. Przecież to kuzyn Penhallowów, upierała się część jej umysłu, ale Sebastian oczywiście nie był tym, za kogo się podawał. Wszystko, co mówił, było kłamstwem. Clary przypomniawszy sobie, co poczuła, kiedy pierwszy raz go zobaczyła. Odniosła wtedy wrażenie, jakby go znała przez całe życie. Przy Jasie nigdy tego nie czuła.

– Sebastian jest moim bratem?

Drobna twarz Jocelyn była ściągnięta, ręce splecione. Zaciskała je tak mocno, że zbieleły jej czubki palców.

– Dzisiaj długo rozmawiałam z Lukiem o wszystkim, co się wydarzyło w Alicante od twojego przybycia. Opowiedział mi o demonicznych wieżach i swoich podejrzeniach, że to Sebastian je unieszkodliwił, choć nie wiadomo jak. Wtedy uświadomiłam sobie, kim naprawdę jest ten chłopiec.

– Bo skłamał, że nazywa się Sebastian Verlac? I dlatego, że jest szpiegiem Valentine'a?

– To również, ale domyśliłam się wszystkiego, dopiero kiedy Luke mi powiedział, że Sebastian farbuje włosy. Mogłam się mylić, ale chłopak niewiele starszy od ciebie, jasnowłosa i

ciemnooki, bez rodziców, całkowicie lojalny wobec Valentine'a. Doszłam do wniosku, że to musi być Jonathan. I było coś więcej. Valentine zawsze uważał, że istnieje sposób na unieszkodliwienie czarów ochronnych, i usilnie starał się go znaleźć. Eksperymentując na Jonathanie, twierdził, że pragnie zrobić z niego silniejszego i lepszego wojownika, ale chodziło o coś więcej...

– Co masz na myśli? – spytała Clary, wpatrując się w matkę.

– O sposób na przedarcie się przez ochronę – odparła Jocelyn. – Nie można wprowadzić demona do Alicante, ale potrzeba jego krwi, żeby wyłączyć czary. Jonathan ma w żyłach demoniczną krew, a że jest Nocnym Łowcą, może wejść do miasta, kiedy chce. Użył własnej krwi, żeby unieszkodliwić czary. Jestem tego pewna.

Clary pomyślała o Sebastianie stojącym naprzeciwko niej na trawniku w ruinach rezydencji Fairchildów. O tym, jak wiatr zdmuchnął jego ciemne włosy na twarz. O tym, jak ścisnął jej nadgarstki, wbijając paznokcie w skórę. Jak mówił, że to niemożliwe, żeby Valentine kiedykolwiek kochał Jace'a. W tamtym momencie uznała, że po prostu nienawidzi Valentine'a. Myliła się jednak. On był o niego zazdrosny.

Pomyślała o czarnym księciu ze swoich rysunków, tak podobnym do Sebastiana. Wtedy zlekceważyła to podobieństwo, wzięła je za grę wyobraźni, ale teraz zastanawiała się, czy to nie związek krwi sprawił, że nadała nieszczęśliwemu bohaterowi jej historii twarz nieznanego brata. Próbowwała znowu wyobrazić sobie księcia, ale obraz rozmywał się przed jej oczami jak popiół rozwiewany przez wiatr. Widziała tylko Sebastiana i czerwony blask płonącego miasta odbity w jego oczach.

– Jace – odezwała się w końcu. – Ktoś musi powiedzieć mu prawdę.

Myśli kłębiły się w jej głowie. Gdyby Jace wiedział, że nie ma w sobie demonicznej krwi, może nie poszedłby tropić Valentine'a. Gdyby wiedział, że nie jest jej bratem...

– Sądziłam, że nikt nie wie, gdzie on jest. – W głosie Jocelyn współczucie mieszało się ze zdziwieniem.

Zanim Clary zdążyła odpowiedzieć, podwójne drzwi Sali Anioła otworzyły się szeroko. Na schody i arkady wylało się światło. Z wnętrza dobiegł gwar głosów. W progu stanął Luke. Wyglądał na bardzo zmęczonego, ale w jego postawie była lekkość, której wcześniej mu brakowało. Sprawiał wrażenie, jakby poczuł wielką ulgę.

Jocelyn wstała ze schodów.

– Co się dzieje?

Luke zrobił kilka kroków w ich stronę, ale zatrzymał się między drzwiami i schodami.

– Wybaczcie, że wam przeszkadzam, Jocelyn – zaczął.

– W porządku, Luke.

Mimo oszołomienia Clary pomyślała: Dlaczego w taki dziwny sposób wymawiają swoje imiona? Między nimi wyczuwało się teraz coś w rodzaju niezręcznego napięcia, którego wcześniej nie zauważyła.

– Coś się stało? – spytała Jocelyn.

Luke pokręcił głową.

– Nie, dla odmiany jest dobrze. – Gdy posłał Clary uśmiech, nie było w nim śladu zakłopotania. Wyglądało na to, że jest z niej zadowolony, a nawet dumny. – Ty tego dokonałaś, Clary.

## Witaj i żegnaj

Dolina była piękniejsza w rzeczywistości niż w wizji Jace'a. Może chodziło o blask księżyca posrebrzający rzekę, która przecinała jej zielone dno. Białe brzozy i osiki rosnące na zboczach potrząsały liśćmi w chłodnym wietrze. Na grani było zimno, żadnej ochrony przed podmuchami.

Bez wątpienia była to dolina, w której ostatnio widział Sebastiana. Wreszcie go dopadł. Przywiązawszy Wędrowca do drzewa, wyjął z kieszeni zakrwawioną nić i powtórzył rytuał tropienia, żeby się upewnić.

Gdy zamykał oczy, spodziewał się zobaczyć Sebastiana. Miał nadzieję, że jest gdzieś blisko... może nawet w dolinie...

Niestety, ujrzał tylko ciemność.

Serce zaczęło mu dudnić.

Przełożył nitkę do lewej ręki i niezdarnie, mniej sprawną prawą ręką wyciął na wierzchu dłoni znak tropiący. Wziął głęboki wdech i ponownie zamknął oczy.

Znowu nic oprócz rozchwianych cieni. Przez całą minutę stał bez ruchu, z zaciśniętymi zębami. Wiatr wciskał mu się pod kurtkę, przyprawiając go o gęsią skórkę. W końcu Jace zaklął, otworzył oczy i w napadzie bezsilnej wściekłości – również pięść. Wiatr porwał nić tak szybko, że nawet gdyby Jace od razu pożałował tego, co zrobił, nie zdołałby jej złapać.

Jego myśli galopowały. Najwyraźniej znak tropiący przestał działać. Może Sebastian zorientował się, że jest śledzony, i podjął jakieś kroki. Ale co mógł zrobić? Na przykład, znalazł duży zbiornik wodny. Woda zakłócała czary.

Niestety, Jace nie mógł sprawdzić każdego jeziora w kraju, żeby się przekonać, czy poszukiwany wróg po nim nie dryfuje. Był tak blisko... bardzo blisko. Widział dolinę, widział Sebastiana...

W zagajniku porastającym dno doliny stał dom, ledwo widoczny wśród drzew. Jace uznał, że warto zejść na dół i rozejrzeć się za jakimś śladem wskazującym na miejsce pobytu Sebastiana albo Valentine'a.

Zrezygnowany, narysował na ręce kilka szybko działających i szybko znikających Znaków bojowych: ciszy, szybkości i pewnego kroku. Potem, czując znajome pieczenie na skórze, schował stelę do kieszeni, poklepał Wędrowca po karku i ruszył na dół.

Zbocza doliny okazały się strome i zdradliwe z powodu luźnego rumoszu. Jace ostrożnie wybierał drogę, zsuwając się po kamieniach, co było szybkim, ale niebezpiecznym sposobem schodzenia na dół. Gdy dotarł na dno, ręce miał zakrwawione od niejednego upadku. Obmył je w czystej, lodowatej wodzie wartkiego strumienia.

Kiedy się wyprostował i rozejrzał, ujrzał dolinę z innej perspektywy niż w swojej wizji. Okna domostwa otoczonego wysokimi zboczami, ukrytego w zagajniku skarłałych drzew o splecionych gałęziach, były ciemne, z komina nie unosił się dym. Jace'a ogarnęły mieszane uczucia: ulgi i rozczarowania. Nie znalazł Sebastiana, ale łatwiej przeszukać dom, kiedy nikogo w nim nie ma.

Podszedłszy bliżej, zaczął się zastanawiać, co w jego wizji wydawało mu się dziwne. Z bliska zobaczył zwykły wiejski budynek z białego i szarego kamienia, typowy dla Idrisu. Okiennice kiedyś pomalowano na jasnoniebieski kolor, ale teraz wyglądały na nieodświeżane od lat. Zblakły i obłaziły z farby.

Jace zbliżył się do jednego z okien i zajrzał przez zaparowaną szybę. Zobaczył duży, lekko zakurzony pokój ze stołem roboczym biegnącym wzdłuż jednej ze ścian. Leżące na nim przedmioty nie służyły do majsterkowania. Były to narzędzia pracy czarownika: sterty zapisanego pergaminu, czarne woskowe świece, miedziane misy z wyschniętym czarnym płynem przyklejonym do brzegów, wszelkiego rodzaju noże: niektóre wąskie jak szpikulce, inne z szerokimi kwadratowymi ostrzami. Na podłodze widniał namalowany kredą, nieco rozmazany pentagram z runami na każdym z pięciu czubków. Jace'owi ścisnął się żołądek. Znaki wyglądały zupełnie jak te, które otaczały Ithuriela w piwnicy Waylandów. Czy mógł je narysować Valentine? Czy wszystkie te rzeczy należały do niego? Czy to była jego kryjówka, o której Jace nie miał pojęcia?

Zsunął się z parapetu i wylądował na skrawku suchej trawy w chwili, kiedy po tarczy księżycy przesunął się cień. Przecież tu nie ma żadnych ptaków, pomyślał. Gdy podniósł wzrok,

zobaczył krążącego w górze kruka. Błyskawicznie skoczył w cień drzewa i przez gałęzie spojrzął w niebo. Kiedy ptak obniżył lot, Jace zorientował się, że przecucia go nie myliły. To nie był zwykły kruk, tylko Hugo, którego Hodge wykorzystywał do przesyłania listów. Dużo później Jace dowiedział się, że Hugo kiedyś należał do jego ojca.

Przywarł do pnia drzewa. Jego serce dudniło, tym razem z podniecenia. Bardzo możliwe, że Hugo niósł wiadomość, tym razem nie dla Hodge'a, tylko dla Valentine'a. Musiało tak być. Dobrze byłoby go śledzić...

Hugo usiadł na parapecie i zajrzał przez okno. Gdy stwierdził, że dom jest pusty, wzbił się w powietrze z gniewnym krakaniem i poleciał w stronę strumienia.

Jace wyszedł z cienia i ruszył za ptakiem.

\*\*\*

– Zatem, formalnie rzecz biorąc, choć Jace nie jest twoim bratem, jednak całowałaś brata – stwierdził Simon.

– Zamknij się, Simon! – krzyknęła Clary.

Rozejrzała się pospiesznie, ale na szczęście chyba nikt ich nie usłyszał. Siedziała na wysokim krześle na podium w Wielkiej Sali Anioła, przyjaciel obok niej. Matka stała na skraju podwyższenia, nachylała się do Amatis i coś do niej mówiła.

W Sali panował chaos spowodowany przez Podziemnych, którzy napływali od Północnej Bramy, tłoczyli się pod ścianami. Clary rozpoznała kilkoro członków stada Luke'a, między innymi Maię, która się do niej uśmiechnęła szeroko. Były też faerie, ładne, blade i zimne jak sople lodu, czarownicy ze skrzydłami nietoperzy i kozimi racicami, jeden nawet z rogami. Z czubków ich palców sypały się niebieskie iskry. Wśród przybyszów kręcili się wyraźnie zdenerwowani Nocni Łowcy.

Clary rozglądała się z niepokojem, oburącz ściskając stelę. Gdzie się podział Luke? Zniknął gdzieś w tłumie. Wypatrzyła go po dłuższej chwili. Rozmawiał z Malachim, który gwałtownie kręcił głową. Stojąca obok brata Amatis słała Konsulowi spojrzenia jak sztylety.

– Obym nie żałowała, że w ogóle cokolwiek ci powiedziałam, Simon – wyburczała Clary, piorunując przyjaciela wzrokiem. Kiedy pomagał jej brnąć przez tłum w stronę podium, przekazała mu, głównie szeptem, skróconą wersję opowieści Jocelyn. Dziwnie się czuła, siedząc teraz na podwyższeniu i patrząc na salę jak królowa, którą wszyscy obserwują. Tyle że prawdziwa władczyni nie byłaby bliska paniki. – Poza tym, Sebastian fatalnie całował.

– A może to było tylko niesmaczne, no, bo wiesz, on jest twoim bratem. – Simon najwyraźniej bawiły te wieści bardziej niż Clary.

– Nie mów takich rzeczy przy mojej matce, bo cię zabiję – ostrzegła, łypiąc na niego groźnie. – Już się czuję, jakbym zaraz miała zwymiotować albo zemdleć. Nie pogarszaj sytuacji.

W tym momencie wróciła do nich Jocelyn. Gdy usłyszała słowa córki – na szczęście, tylko ostatnie – poklepała ją po ramieniu.

– Nie denerwuj się, dziecko. Wcześniej byłaś świetna. Przynieść ci coś? Koc, gorącą wodę...

– Nie jest mi zimno – odparła cierpliwie Clary. – I nie potrzebuję kąpieli. Wszystko w porządku. Chcę tylko, żeby Luke tu przyszedł i powiedział mi, co się dzieje.

Jocelyn pomachała do Luke'a, żeby przyciągnąć jego uwagę, i powiedziała coś do niego bezgłośnie, samymi ruchami warg.

– Mamo, nie! – syknęła Clary.

Niestety, za późno. Luke spojrzał w ich stronę... podobnie jak spora grupa Nocnych Łowców. Większość szybko odwróciła wzrok, ale Clary dostrzegła fascynację w ich spojrzeniach. Dziwnie się czuła, widząc, że jej matka jest tutaj legendarną postacią. Chyba wszyscy w Sali Anioła znali co najmniej jej nazwisko i mieli na temat Jocelyn Morgenstern jakąś opinię, złą albo dobrą. Ciekawe, dlaczego matka wcale się nie przejmowała tym zainteresowaniem. Nie była zdenerwowana, tylko chłodna, opanowana i niebezpieczna.

Chwilę później Luke przyszedł do nich na podium z Amatis u boku. Nadal wyglądał na zmęczonego, ale również czujnego i nawet trochę podekscytowanego.

– Jeszcze chwilę. Wszyscy już idą.

– Malachi robił ci trudności? – zapytała Jocelyn.

Luke machnął lekceważąco ręką.

– Uważa, że powinniśmy wysłać Valentine'owi wiadomość, że odrzucamy jego warunki. Moim zdaniem nie musimy nawet kiwnąć palcem. Niech Valentine przybędzie ze swoją armią na równinę Brocelind, sądząc, że się poddamy. Zdaniem Malachiego to nie będzie honorowe zagranie, ale kiedy powiedziałem, że wojna to nie gra w krykieta dla angielskich chłopców, odparł, że jeśli któryś z obecnych tu Podziemnych wyrwie się spod kontroli, on wkroczy i położy kres całej sprawie. Nie wiem, co według niego miałyby się wydarzyć. Zupełnie jakby Podziemni nie byli w stanie powstrzymać się od walki nawet przez pięć minut.



– On właśnie tak sądzi – odezwała się Amatis. – Pewnie martwi się, że zaraz zaczniecie pożerać się nawzajem.

– Amatis, ktoś może cię usłyszeć – skarcił ją brat.

Odwrócił się, kiedy po schodach zaczęli wchodzić dwaj mężczyźni. Jednym z nich był wysoki, smukły rycerz faerie o długich ciemnych włosach, które okalały pociągłą twarz, i oczach zielonych jak liście. Miał na sobie tunikę z jasnego, twardego metalu, zrobioną z małych, nakładających się na siebie, okrągłych płytek podobnych do rybich łusek.

Drugim był Magnus Bane. Nie witając się z Clary, stanął obok Luke'a. Miał na sobie długi ciemny płaszcz zapinany pod szyję. Jego czarne włosy były zaczesane do tyłu.

– Wyglądasz tak zwyczajnie – stwierdziła Clary, wytrzeszczając oczy.

Magnus uśmiechnął się słabo.

– Słyszałem, że masz nam znak do pokazania – zagaił.

Clary zerknęła na Luke'a, a kiedy ten skinął głową, powiedziała:

– Tak. Tylko potrzebuję czegoś do pisania.

– Masz tu papier. – Simon sięgnął do kieszeni dzinsów.

Podał jej zmiętą ulotkę zapowiadającą lipcowy występ jego zespołu w Knitting Factory. Clary wzruszyła ramionami. Kiedy pożyczoną stelą dotknęła kartki, narzędzie lekko zaiskrzyło. Przez chwilę obawiała się, że papier może spłonąć, ale mały płomek szybko zgasł. Zaczęła rysować, odcinając się od hałasu powodowanego przez tłum i wpatrzonych w nią oczu.

Na kartce pojawił się wzór z linii, które na początku mocno się ze sobą splatały, a potem ciągnęły się przez stronę, jakby spodziewały się dopełnienia, którego tam nie było. Dokończywszy rysunek, Clary uniosła papier. Czowała się idiotycznie. Zupełnie jakby w szkole chwaliła się pracą przed swoją klasą.

– Oto ten znak – oznajmiła. – Żeby zadziałał, wymaga drugiego, partnerskiego znaku.

– Wszyscy Podziemni i wszyscy Nocni Łowcy, którzy utworzą pary, muszą zostać naznaczeni – dodał Luke. Pospiesznie nabazgrał kopię Znak na dole kartki, przedał ją na pół i podał jedną część siostrze. – Zaczynij to rozdawać Nefilim.

Amatis kiwnęła głową i zeszła po schodach w tłum. Odprowadzając ją wzrokiem, rycerz faerie pokręcił głową.

– Zawsze mi mówiono, że tylko Nefilim mogą nosić Znaki Anioła – stwierdził z nutą niedowierzania w głosie. – Że nas runy mogą doprowadzić do obłądzenia albo śmierci.

– To nie jest jeden ze Znaków Anioła – wyjaśniła Clary. – Nie pochodzi z Szarej Księgi. Jest bezpieczny, zapewniam.

Rycerz nie wyglądał na przekonanego.

Magnus z westchnieniem podwinął rękaw i wyciągnął rękę do Clary.

– Śmiało.

– Nie mogę – oświadczyła Clary. – Nocny Łowca, który cię naznaczy, zostanie twoim partnerem, a ja nie biorę udziału w bitwie.

– Mam nadzieję – skwitował Magnus i spojrzał na Luke’a i Jocelyn. – Chodźcie tutaj i pokażcie faerie, jak to działa.

Jocelyn zamrugła zdziwiona.

– Co?

– Uznałem, że wy dwoje będziecie partnerami, ponieważ i tak praktycznie jesteście jak małżeństwo.

Na twarz Jocelyn wpłynął rumieniec.

– Nie mam steli... – Starannie unikała patrzenia na Luke’a.

– Weź moją. – Clary podała jej stelę. – No, śmiało, pokaż im.

Jocelyn odwróciła się do Luke’a, a on, całkowicie zaskoczony, wyciągnął do niej rękę, zanim zdążyła o to poprosić. Choć jego dłoń drżała, naznaczyła ją szybko i precyzyjnie, trzymając za nadgarstek. Widząc jego spojrzenie, Clary pomyślała o tym, co mówił o swoich uczuciach wobec jej matki. Ogarnął ją smutek. Zastanawiała się, czy Jocelyn w ogóle wie, że Luke ją kocha, i jak by zareagowała, gdyby się dowiedziała.

– Gotowe.

Luke uniósł rękę i pokazał czarny znak rycerzowi faerie.

– I co ty na to, Meliorn?

– Meliorn? – powtórzyła Clary. – My się poznaliśmy, prawda? Chodziłeś z Isabelle Lightwood.

Jego twarz pozostała bez wyrazu, ale Clary mogłaby przysiąc, że faerie jest lekko zakłopotany. Luke pokręcił głową.

– Meliorn to rycerz Jasnego Dworu. Jest mało prawdopodobne, żeby...

– Z całą pewnością umawiał się z Isabelle, a ona go rzuciła – wtrącił się Simon. – Przynajmniej mówiła, że ma taki zamiar. Cholerny pech, co?

Meliorn łypnął na niego spode łba.

– Ty jesteś przedstawicielem Dzieci Nocy? – zapytał z niechęcią.

Simon pokręcił głową.

– Nie, jestem tu przez nią. – Wskazał na Clary.

– Dzieci Nocy nie przybyły, Meliornie – powiedział po krótkim wahaniu Luke. – Przekazałem tę wiadomość waszej władczyni. Postanowiły... iść swoją drogą.

– Szkoda, że nie wiedziałem – odparł faerie. – Dzieci Nocy są mądre i rozsądne. Każdy plan, który wywołuje w nich gniew, we mnie budzi podejrzenia.

– Nic nie mówiłem o gniewie – zaczął Luke z wymuszonym spokojem, ale w jego głosie pobrzmiwała nuta irytacji.

Clary wątpiła, czy ktoś, kto go nie znał, w ogóle by się zorientował, że Luke jest zirytowany. Nagle wyczuła w nim zmianę nastroju. Patrzył na tłum. Idąc za jego wzrokiem, dostrzegła znajomą postać: Isabelle z rozkołysanymi czarnymi włosami i biczem, który wyglądał na jej nadgarstku jak złote bransolety.

Clary chwyciła Simona za rękę.

– Lightwoodowie. Właśnie widziałam Isabelle.

Simon zerknął na zatłoczoną salę.

– Nie wiedziałem, że ich szukasz.

– Idź z nią porozmawiaj, proszę – szepnęła Clary i rozejrzała się pospiesznie. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Luke kiwał na kogoś ze zgromadzonych, Jocelyn mówiła coś do Meliorna, a ten patrzył na nią z wyraźną obawą. – Muszę tu zostać, ale powtórz jej i Alecowi to, co powiedziała moja mama. O Jasie, o tym, kim on jest naprawdę, i o Sebastianie. Muszą wiedzieć. Niech przyjdą ze mną porozmawiać, jak tylko będą mogli. Proszę, Simon.

– Dobrze. – Zaniepokojony natarczywym tonem Simon uwolnił rękę z uścisku i dotknął kojąco jej policzka. – Zaraz wracam.

Zszedł po stopniach i zniknął w tłumie. Kiedy Clary się odwróciła, zobaczyła, że Magnus patrzy na nią z ustami zaciśniętymi w krzywą kreskę.

– Dobrze – odpowiedział na pytanie najwyraźniej zadane przez Luke'a. – Znam równinę Brocelind. Otworzę Bramę na placu. Duża nie przetrwa długo, więc lepiej niech wszyscy przejdą przez nią jak najszybciej, kiedy już dostaną Znaki.

Gdy Luke kiwnął głową i odwrócił się do Jocelyn, Clary nachyliła się do czarownika i wyszeptała:

– Przy okazji, dzięki za wszystko, co zrobiłeś dla mojej mamy.

Magnus uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie sądziłaś, że to zrobię, co?

– Zastanawiałam się – przyznała Clary. – Zwłaszcza kiedy zobaczyłam cię w tamtym domu, a ty nie uznałeś nawet za stosowne powiedzieć mi, że Jace zabrał ze sobą Simona do Alicante.

Nie miałam wcześniej okazji na ciebie nawrzeszczyć, ale powiedz, co sobie myślałeś? Że nie będę zainteresowana tą informacją?

– Że będziesz za bardzo zainteresowana – odparł Magnus. – Że rzucisz wszystko i popędzisz do Gard. A ja chciałem, żebyś poszukała Białej Księgi.

– To było okrutne – stwierdziła z gniewem Clary. – Poza tym się mylisz. Ja...

– Zrobiłabyś to, co każdy by zrobił. Ja również, gdyby chodziło o kogoś, na kim mi zależy. Nie winię cię, Clary. Nie zrobiłem tego, bo uważałem, że jesteś słaba. Zrobiłem to, bo jesteś człowiekiem, a ja znam zwyczaje ludzi. Długo byłem żywy.

– A ty nigdy nie zrobiłeś nic głupiego z powodu uczuć? – odparowała Clary. – Przy okazji, gdzie jest Alec? Dlaczego nie wybierasz go na partnera?

Magnus się skrzywił.

– Nie podejść do niego przy jego rodzicach. Przecież wiesz.

Clary oparła brodę na rękę.

– Robienie właściwych rzeczy dlatego, że się kogoś kocha, czasami jest beznadziejne.

– Owszem – przyznał Magnus.

\*\*\*

Kruk zataczał powolne, leniwe kręgi tuż nad koronami drzew. Księżyc stał wysoko na niebie, tak że Jace nie musiał używać magicznego kamienia, trzymając się skraju zagajnika.

Ptak podążał wzdłuż strumienia, który wił się na zachód i w końcu zniknął w wąskiej szczelinie w stromej szarej ścianie tworzącej zbocze doliny. Jace kilka razy omal nie skręcił kostki na mokrej skale. Żałował, że nie może zakląć głośno, bo Hugo na pewno by go usłyszał. Zachowując niewygodną pozycję, mocno pochylony, skupiał się na tym, żeby nie złamać sobie nogi.

Zanim dotarł do skraju doliny, koszulę miał moką od potu. Przez chwilę myślał, że zgubił Hugona, i serce mu zamarło, ale potem dostrzegł czarny kształt znikający w ciemnym, wąskim otworze. Przyspieszył kroku. Jak dobrze było biec zamiast się skradać. Kiedy zbliżył się do szczeliny, zobaczył za nią dużo większą, mroczną przestrzeń – jaskinię. Wyjął z kieszeni magiczny kamień i ruszył za krukiem.

Niewielka ilość światła sączącego się do jaskini po kilku krokach i tak została wchłonięta przez nieprzeniknioną ciemność. Gdy Jace uniósł czarodziejski kamień, spomiędzy jego palców wylał się biały blask.

Z początku sądził, że niechcący znalazł się z powrotem na zewnątrz i że widzi na niebie gwiazdy, które nigdzie nie świeciły tak jak w Idrisie. Teraz jednak to nie one lśniły w całej swojej migotliwej chwale. Blask runicznego kamienia wydobył z mroku iskrzące się osady miki, tak że cała skalna ściana ożyła jasnymi punkcikami.

Jace zobaczył, że stoi w wąskiej skalnej pieczarze, za sobą ma wejście do jaskini, a przed sobą dwa rozgałęziające się korytarze. Przypomniały mu się historie, które opowiadał mu ojciec.

O bohaterach zagubionych w labiryntach, którzy używali liny albo sznurka, żeby odnaleźć drogę powrotną. Zbliżył się do tuneli i przez długą chwilę stał bez ruchu, nasłuchując. Usłyszał dochodzące z daleka ciche kapanie wody, szum strumienia, szelest skrzydeł i... głosy.

Drgnął. Głosy dobiegały z lewego odgałęzienia, był tego pewien. Przesunął kciukiem po magicznym kamieniu, aż światło przygasło do słabej poświaty, ledwo oświetlającej drogę. Zanurzył się w ciemność.

\*\*\*

– Mówisz poważnie, Simon? To prawda? Fantastycznie! Cudownie! – Isabelle chwyciła brata za rękę. – Alec, słyszałeś? Jace nie jest i nigdy nie był synem Valentine’a.

– A czym? – zapytał Alec.

Był wyraźnie rozkojarzony. Błądził wzrokiem po sali. Jego rodzicie, którzy stali niedaleko, patrzyli na nich, marszcząc brwi. Simon martwił się, że im też będzie musiał wszystko wyjaśniać, ale oni dali mu kilka minut z Isabelle i Alekiem sam na sam.

– A kogo to obchodzi! – wykrzyknęła Isabelle, po czym zmarszczyła brwi. – Właściwie to dobre pytanie? Kto jest ojcem? Jednak Michael Wayland?

Simon pokręcił głową.

– Stephen Herondale.

– Więc Jace jest wnukiem Inkwizytorki – zauważył Alec. – To pewnie dlatego... – Urwał, patrząc w dal.

– Co dlatego? – ponagliła go siostra. – Alec, skup się. Albo przynajmniej powiedz nam, czego szukasz.

– Nie czego, tylko kogo. Magnusa. Chciałem go zapytać, czy będzie moim partnerem w bitwie. Tylko nie mam pojęcia, gdzie on jest. Widziałeś go?

Simon pokręcił głową.

– Był na podium z Clary, ale... – rozejrzał się... – teraz go tam nie ma. Pewnie jest gdzieś w tłumie.

– Naprawdę zamierzasz go poprosić, żeby był twoim partnerem? – spytała Isabelle. – Ta cała historia z partnerstwem to coś w rodzaju kotyliona, tyle że z zabijaniem.

– Czyli zupełnie jak kotylion – stwierdził Simon.

– Może ja ciebie poproszę, żebyś został moim partnerem – powiedziała Isabelle, lekko unosząc brew.

Alec zmarszczył brwi. Podobnie jak reszta Nocnych Łowców obecnych w sali, był w pełnym rynsztunku bojowym: w czarnym stroju, z liczną bronią zatknietą za pas. Przez plecy miał przewieszony łuk; nowy zamiast tego, który zniszczył mu Simon.

– Przecież ty nie potrzebujesz partnera, bo nie walczysz. Jesteś za młoda. A jeśli choćby o tym pomyślisz, zabiję cię. – Alec wyciągnął szyję. – Chwileczkę... czy to Magnus?

Isabelle powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i prychnęła.

– To ta dziewczyna wilkołak. Jak ona ma na imię...? May.

– Maia – poprawił ją Simon.

Stojąca trochę z boku likantropka miała na sobie brązowe skórzane spodnie i obcisły czarny T-shirt z napisem: „Co mnie nie zabije... niech lepiej ucieka”. Włosy splecione w warkoczyki były przewiązane tasiemką. Chyba wyczuła na sobie ich spojrzenia, bo odwróciła się i uśmiechnęła. Simon odwzajemnił uśmiech. Gdy Isabelle spiorunowała go wzrokiem, natychmiast spoważniał... Właściwie od kiedy życie stało się takie skomplikowane?

Alec się rozpromienił.

– Jest Magnus – powiedział i ruszył przez tłum, nie oglądając się na nich.

Na twarzy czarownika odmalowało się zaskoczenie na widok zbliżającego się Aleca.

– Jakie to słodkie! – skomentowała Isabelle, patrząc w ślad za bratem. – Na swój kaleki sposób.

– Dlaczego kaleki?

– Bo Alec chce, żeby Magnus traktował go poważnie, ale nie powiedział o nim rodzicom. Ani nawet o tym, że lubi... no wiesz...

– Czarowników? – podsunął Simon.

– Bardzo zabawne. – Isabelle łypnęła na niego groźnie. – Wiesz, co mam na myśli. To, co się tutaj dzieje...

– A co właściwie się dzieje? – zapytała Maia, podchodząc do nich. – Nie całkiem rozumiem, o co chodzi z tym partnerstwem. Jak to ma działać?

– Tak. – Simon wskazał na Magnusa i Aleca, którzy stali trochę na uboczu, w swojej małej osobistej przestrzeni. Nocny Łowca w skupieniu rysował znak na dłoni czarownika. Ciemne włosy opadały mu na oczy.

– I wszyscy musimy zostać naznaczeni? – spytała Maia.

– Tylko wtedy, gdy zamierzasz walczyć – odparła Isabelle, mierząc ją zimnym wzrokiem. – Nie wyglądasz na osiemnaście lat.

Maia uśmiechnęła się kwaśno.

– Nie jestem Nocnym Łowcą. Likantropy są uważane za dorosłe w wieku szesnastu lat.

– W takim razie Nocny Łowca musi narysować ci Znaki – stwierdziła Isabelle. – Lepiej poszukaj sobie jakiegoś.

– Ale... – Maia, która nadal patrzyła na Aleca i Magnusa, urwała raptownie i uniosła brwi.

Simon odwrócił się i... wytrzeszczył oczy.

Alec obejmował Magnusa i całował go w usta. Kompletnie zaskoczony czarownik stał bez ruchu jak wrośnięty. Grupki Nocnych Łowców i Podziemnych gapiły się na nich i coś szeptały między sobą. Simon zerknął w bok i zobaczył, że Lightwoodowie obserwują całą scenę z szeroko otwartymi oczami. Maryse zasłaniała ręką usta.

Maia wyglądała na skonsternowaną.

– Chwileczkę – wykrztusiła. – To też musimy zrobić?

\*\*\*

Clary po raz szósty przeszukała wzrokiem tłum, wypatrując Simona. Nigdzie go nie widziała. W sali roilo się od ludzi, tłum wylewał się przez otwarte drzwi na schody. Wszędzie błyskały stele, kiedy Nocni Łowcy i Podziemni dobierali się w pary i nawzajem nakładali sobie Znaki. Clary zobaczyła, że Maryse Lightwood wyciąga rękę do wysokiej faerie o zielonej skórze, równie bladej jak ona. Patrick Penhallow uroczyście wymieniał runy z czarownikiem, z którego włosów sypały się niebieskie iskry. Przez otwarte podwoje Wielkiej Sali Anioła Clary widziała plac i jasną poświatę Bramy. Blask gwiazd wpadający przez szklany świetlik przydawał wszystkiemu surrealistycznej atmosfery.

– Zdumiewające, prawda? – odezwał się Luke, który stał na brzegu podium i patrzył na salę. – Nocni Łowcy i Podziemni w tym samym pomieszczeniu. Działają zgodnie.

W jego głosie brzmiał nabożny podziw. Clary pomyślała o Jasie. Chciałaby, żeby on też mógł to zobaczyć. Nie potrafiła wyzbyć się strachu o niego. Myśl, że ryzykuje życie, występując przeciwko Valentine'owi, bo uważa się za przekłętą, że w każdej chwili może zginąć, nie znając prawdy...

– Clary, słyszałaś, co mówiłam? – zapytała matka z lekkim rozbawieniem.

– Tak, to naprawdę zdumiewające, wiem.

Jocelyn położyła rękę na jej dłoni.

– Mówiłam, że Luke i ja będziemy razem walczyć. Ty zostaniesz tutaj z Isabelle i innymi dziećmi.

– Nie jestem dzieckiem.

– Wiem, ale jesteś za młoda, żeby walczyć. A nawet gdybyś była dorosła, nie przeszłaś odpowiedniego szkolenia.

– Nie chcę tu siedzieć i nic nie robić.

– Nic? – powtórzyła Jocelyn ze zdziwieniem. – Clary, to wszystko nie działałoby się teraz, gdyby nie ty. Nawet nie mielibyśmy okazji walczyć. Jestem z ciebie bardzo dumna. Chciałam ci tylko powiedzieć, że Luke i ja wrócimy. Wszystko będzie dobrze.

Clary spojrzała w zielone oczy matki, takie same jak jej.

– Nie kłam, mammo.

Jocelyn gwałtownie zaczerpnęła tchu i cofnęła rękę. Ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Clary dostrzegła w tłumie znajomą postać, smukłą i ciemnowłosą. Nowo przybyły szedł w ich



stronę, z łatwością torując sobie drogę przez zatłoczoną salę. Jak dym snujący się przez dziury w płocie, pomyślała Clary.

To był Raphael, w tej samej białej koszuli i czarnych spodniach, w których widziała go przy pierwszym spotkaniu. Już zapomniała, jaki jest zwinny. Wyglądał na zaledwie czternaście lat. Jego chuda twarz była spokojna i anielska, jak u chłopca z chóru wchodzącego po stopniach na prezbiterium.

– Raphael! – W głosie Luke’a zabrzmiało zdumienie wymieszane z ulgą. – Nie sądziłem, że przyjdiesz. Czy Dzieci Nocy postanowiły walczyć z Valentine’em razem z nami? Nadal jest dla was miejsce w Radzie. – Wyciągnął rękę.

Wampir utkwiał w nim wzrok.

– Nie mogę uścisnąć ci dłoni, wilkołaku. – Kiedy Luke zrobił urażoną minę, Raphael uśmiechnął się, pokazując czubki białych kłów. – Jestem projekcją – wyjaśnił, unosząc rękę, żeby wszyscy zobaczyli, że prześwieca przez nią światło. – Nie mogę niczego dotknąć.

– Ale... – Luke spojrzał na blask księżycy wlewający się przez dach. – Dlaczego... – Opuścił rękę. – Cieszę się, że tu jesteś. Nieważne w jakiej postaci.

Raphael pokręcił głową. Przez chwilę przyglądał się Clary, po czym skierował wzrok na jej matkę. Jego uśmiech stał się szerszy.

– Żona Valentine’a. Moi pobratymcy, którzy walczyli z tobą w Powstaniu, opowiadali mi o tobie. Nie sądziłem, że kiedyś poznam cię osobiście.

Jocelyn skłoniła głowę.

– Dzieci Nocy mężnie się wtedy biły. Czy twoja obecność oznacza, że znowu będziemy walczyć ramię w ramię?

Dziwnie było słuchać matki przemawiającej w chłodny, oficjalny sposób, ale ten sposób mówienia wydawał się u niej całkiem naturalny. Równie naturalny jak siedzenie na ziemi w starym, poplamionym kombinezonie, z pędzlem w ręce.

– Mam nadzieję – odparł Raphael i znowu musnął wzrokiem Clary. – Jest tylko jeden warunek, drobna prośba. Jeśli zostanie spełniona, Dzieci Nocy z wielu krajów ściągną tutaj w ciągu godziny...

– Miejsce w Radzie – domyślił się Luke. – Oczywiście. Można to sformalizować, od razu podpisać dokumenty...

– Nie – przerwał mu Raphael. – Chodzi o coś innego.

– Innego? – zdziwił się Luke. – O co? Zapewniam cię, że jeśli spełnienie tego warunku jest w naszej mocy...

– O, tak. – Uśmiech Raphaela był olśniewający. – Obiekt naszego zainteresowania znajduje się w tej sali. – Wdzięcznym gestem wskazał na tłum. – Chcemy Simona. To Chodzący za Dnia.

\*\*\*

Tunel był długi i bardzo kręty. Jace czuł się tak, jakby pełził przez wnętrze ogromnego potwora. W środku pachniało mokrą skałą, pleśnią i popiołem, trochę jak w Mieście Kości.

Korytarz wreszcie doprowadził go do owalnej jaskini. Z pofałdowanego, kamiennego sklepienia zwisały ogromne stalaktyty o powierzchniach wygładzonych i lśniących jak klejnoty. Podłoga też była gładka, jak wypolerowane, ozdobione tu i ówdzie tajemniczymi inkrustacjami z błyszczącego kamienia. Pieczarę otaczały kręgiem szorstkie stalagmity. Na samym środku, niczym gigantyczny kiel, wyrastał pojedynczy, masywny, kwarcowy naciek z czerwonym deseniem. Przyjrawszy się mu uważniej, Jace zobaczył, że jego boki są przezroczyste, a wzór jest rezultatem tego, że w środku coś wiruje jak w szklanej rurce wypełnionej kolorowym dymem.

Przez okrągły otwór w wysokim stropie, naturalny świetlik, sączyło się światło. Jaskinia z całą pewnością była dziełem ludzkich rąk, a nie natury – zważywszy na skomplikowane desenie zdobiące dno – ale kto i po co wydrążył takie ogromne podziemne pomieszczenie?

Raptem ciszę zmaćliło ostre krakanie. Ledwo Jace uskoczył za wielki stalagmit i zgasił magiczne światło, z cienia zalegającego w drugim końcu pieczary wyszły dwie postacie i ruszyły w jego stronę, pogrążone w rozmowie. Dopiero kiedy dotarły na środek jaskini, w krąg blasku padającego z góry, Jace rozpoznał Sebastiana i Valentine'a.

\*\*\*

Żeby uniknąć największego tłumu, Simon wybrał długą drogę za rzędami kolumn biegnących wzdłuż boków sali. Zatopiony w myślach, opuścił głowę. Dziwne było, że Alec, zaledwie rok albo dwa lata starszy od siostry, wyruszał na wojnę, a oni mieli zostać w domu. Ale Isabelle wydawała się całkiem spokojna. Żadnych krzyków, żadnej hysterii. Zupełnie jakby się spodziewała takiego obrotu spraw. Może i tak. Może wszyscy się spodziewali.

Znalazłszy się blisko podium, uniósł wzrok i ku swojemu zaskoczeniu zobaczył, że naprzeciwko Luke'a stoi Raphael. Jak zwykle zachowywał kamienną twarz, natomiast Luke

gwałtownie kręcił głową, w proteście wyrzucał ręce w górę. Towarzysząca mu Jocelyn wyglądała na wzburzoną. Simon nie widział twarzy Clary – była odwrócona do niego plecami – ale znał ją dostatecznie dobrze, by rozpoznać napięcie po samym ułożeniu ramion.

Nie czekając, aż Raphael go zauważy, uskoczył za kolumnę i nadstawił uszu. Ponad gwarem tłumu wychwycił podniesiony głos Luke'a.

– Wykluczone! Nie mogę uwierzyć, że w ogóle o to prosisz.

– A ja nie mogę uwierzyć, że odmawiasz. – Głos Raphaela był chłodny i wysoki jak u młodego chłopca. – Przecież to drobiazg.

– To nie jest drobiazg, tylko Simon – obruszyła się Clary. – Człowiek.

– Nie człowiek, tylko wampir – sprostował Raphael. – O czym, zdaje się, wciąż zapominacie.

– A ty nie jesteś wampirem? – rzuciła Jocelyn lodowatym tonem, jak wtedy gdy przyłapywała Clary i Simona na robieniu czegoś głupiego. – Uważasz, że twoje życie nie jest nic warte?

Simon przycisnął plecy do kolumny. Co się działo?

– Moje życie ma dużą wartość, bo w przeciwieństwie do waszego jest wieczne – odparował Raphael. – Nie istnieje kres tego, czego mogę dokonać, podczas gdy wasz koniec jest oczywisty. Ale nie o to chodzi. Simon jest wampirem, jednym z nas, i proszę o wydanie go.

– Nie możecie dostać go z powrotem, bo, po pierwsze, nigdy nie należał do was – oświadczyła z gniewem Clary. – Nie interesowaliście się nim, dopóki się nie okazało, że może chodzić w świetle dziennym...

– Możliwe, ale nie z powodu, o jakim myślisz. – Raphael przekrzywił głowę. Jego ciemne oczy były błyszczące i ruchliwe jak u ptaka. – Żaden wampir nie powinien mieć takiej mocy, podobnie jak żaden Nocny Łowca nie powinien mieć takiej mocy, jaką masz ty i twój brat. Przez lata nam wmawiano, że jesteśmy źli i nienaturalni. Ale to... to dopiero jest nienaturalne.

– Raphaelu – zaczął Luke ostrzegawczym tonem. – Nie wiem, na co liczyłeś, ale nie ma mowy, żebyśmy pozwolili wam skrzywdzić Simona.

– Za to pozwolicie Valentine'owi i jego armii demonów skrzywdzić waszych sojuszników. – Raphael zatoczył ręką, wskazując na zgromadzonych w Sali. – Pozwolicie im ryzykować życie, ale Simonowi nie dacie żadnego wyboru? – Opuścił rękę. – Wiecie, że inaczej nie będziemy walczyć u waszego boku. Dzieci Nocy nie wezmą udziału w bitwie.

– Trudno – skwitował Luke. – Nie kupię waszego współdziałania za cenę niewinnego życia. Nie jestem Valentine’em.

– A ty, Nocna Łowczyni? – zwrócił się Raphael do Jocelyn. – Pozwolisz, żeby ten wilkołak decydował, co jest najlepsze dla twojej rasy?

Jocelyn spojrzała na niego jak na karalucha, którego znalazła na czystej podłodze kuchni.

– Jeśli tkniesz Simona, wampirze, każę cię posiekać na kawałki i nakarmię nimi mojego kota. Rozumiesz?

Raphael zacisnął usta.

– Doskonale. Kiedy będziesz umierać na równinie Brocelind, możesz zadać sobie pytanie, czy jedno życie naprawdę jest warte takiej ceny.

Po tych słowach zniknął. Luke odwrócił się do Clary, lecz Simon już ich nie obserwował. Patrzył na swoje ręce. Sądził, że będą drżeć, ale okazały się nieruchome jak u trupa. Bardzo powoli zacisnął je w pięści.

\*\*\*

Valentine wyglądał jak zwykle: potężny mężczyzna w zmodyfikowanym stroju Nocnego Łowcy, o szerokich barach kontrastujących z twarzą o ostrych rysach. Przez plecy miał przewieszony Miecz Anioła i wypchany worek. Za szeroki pas była zatknięta broń: szerokie noże myśliwskie, wąskie sztylety i noże do skórowania. Ukradkiem obserwując ojca zza skały, Jace czuł to samo, co zawsze kiedy o nim myślał: rodzinne przywiązanie skażone przez smutek, zawód i nieufność.

Natomiast Sebastian był jakiś inny. Też miał na sobie strój bojowy i przypasany długi miecz o srebrnej rękojeści, ale nie ryszunek przykuł uwagę Jace’a. Chodziło o jego włosy: jasne, lśniące, w kolorze białego złota. Pasowały do niego bardziej niż burza czarnych loków, kontrastujących ze zdumiewająco bladą skórą. Wcześniej musiał je farbować, żeby przypominać prawdziwego Sebastiana Verlaca. Jace’a zalała wrząca fala nienawiści. Z trudem opanował impuls, żeby wyskoczyć z kryjówki, rzucić się na Sebastiana i chwycić go za gardło.

Tymczasem Hugo znowu zakrakał i wylądował na barku Valentine’a. Jace’owi ścisnęło się serce na ten znajomy widok. Kruk praktycznie spędzał życie na ramieniu Hodge’a, więc teraz, u Valentine’a, wydawał się nie na miejscu mimo tego, co zrobił nauczyciel.

Valentine pogłaskał lśniące pióra ptaka, kiwając głową, jakby prowadził z nim rozmowę. Sebastian popatrzył na niego, unosząc brwi.

– Jakieś wieści z Alicante? – zapytał, kiedy Hugo wzbił się z ramienia Valentine’a i poszybował w górę, muskając skrzydłami czubki stalaktytów.

– Nie takie, jakich bym sobie życzył – odparł Valentine.

Dźwięk jego głosu, chłodnego i niewzruszonego, jak zawsze przeszył Jace’a niczym strzała. Mocno przycisnął drżące ręce do boków, zadowolony, że skała ukrywa go przed wzrokiem ojca.

– Jedno jest pewne. Clave sprzymierza się z Podziemnymi Luciana.

Sebastian zmarszczył brwi.

– Ale Malachi mówił...

– Malachi zawiódł – uciął Valentine.

Ku zaskoczeniu Jace’a Sebastian zbliżył się do Valentine’a i położył dłoń na jego ramieniu. Na widok tego gestu – serdecznego i poufalego – Jace’owi ścisnął się żołądek. Nikt nie dotykał Valentine’a w ten sposób. On również nigdy by się nie ośmielił.

– Jesteś zdenerwowany? – spytał Sebastian tonem wskazującym na dziwną zażyłość.

– Clave posunęło się dalej, niż sądziłem. Wiedziałem, że Lightwoodowie są zepsuci do szpiku kości i że to zepsucie jest zaraźliwe. Właśnie dlatego starałem się trzymać ich z dala od Idrisu. Ale że w umysły pozostałych tak łatwo wsączyła się trucizna Luciana, który nawet nie jest Nefilim... – Valentine mówił z odrazą w głosie, ale nie odsunął się od Sebastiana ani nie strząsnął jego dłoni ze swojego ramienia, co Jace obserwował z rosnącym niedowierzaniem. – Jestem rozczarowany. Myślałem, że posłuchają głosu rozsądku. Wolałbym nie kończyć sprawy w ten sposób.

Sebastian wyglądał na rozbawionego.

– Nie zgadzam się z tobą – oświadczył. – Pomyśl o nich, gotowych do bitwy, wyruszających po chwałę tylko po to, by odkryć, że ich gest jest daremny. Wyobraź sobie ich miny. – Jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Jonathanie. – Valentine westchnął. – Nie ma się z czego cieszyć. To nieprzyjemna konieczność.

Jonathanie? Jace przywarł do skały. Jego ręce nagle zrobiły się śliskie. Dlaczego Valentine nazwał tego chłopaka jego imieniem? Pomylił się? Ale Sebastian nie wyglądał na zdziwionego.

– Niedobrze, że cieszy mnie to, co robię? – zapytał Sebastian. – W Alicante naprawdę dobrze się bawiłem. Lightwoodowie okazali się lepszym towarzystwem, niż zapowiadałeś, zwłaszcza Isabelle. Rozstaliśmy się w dość burzliwych okolicznościach. A jeśli chodzi o Clary...

Kiedy Jace usłyszał imię Clary, jego serce zabiło gwałtownie.

– Wcale nie jest taka, jak przypuszczałem – ciągnął Sebastian z rozdrażnieniem. – Zupełnie nie jest do mnie podobna.

– Na świecie nie ma nikogo takiego jak ty, Jonathanie. Co do Clary, to zawsze była podobna do matki.

– Nie przyznaje się, czego naprawdę chce – stwierdził Sebastian. – Na razie. Ale to się zmieni.

Valentine uniósł brew.

– Co masz na myśli?

Gdy Sebastian uśmiechnął się szeroko, Jace z trudem pohamował gniew. Przygryzł wargę i poczuł w ustach smak krwi.

– No, wiesz, przejdzie na naszą stronę. Już nie mogę się doczekać. Oszukiwanie jej było najlepszą zabawą od wieków.

– Nie miałeś się bawić, tylko dowiedzieć, czego ona szuka. Kiedy znalazła tę rzecz – bez twojego udziału, muszę dodać – pozwoliłeś, żeby oddała ją czarownikowi. A potem, odchodząc, nie zabrałeś jej ze sobą, choć stanowi dla nas zagrożenie. Trudno to nazwać wielkim sukcesem, Jonathanie.

– Nie mogłem porwać jej z samego środka Sali Anioła. Nie spuszczała jej z oka. – Sebastian tłumaczył się urażonym tonem. – Mówiłem ci zresztą, że ona nie ma pojęcia, jak wykorzystać tę swoją moc. Jest zbyt naiwna, żeby stanowić dla nas niebezpieczeństwo...

– Cokolwiek planuje teraz Clave, ona znajduje się w centrum wydarzeń – zauważył Valentine. – Hugin widział ją na podium w Sali Anioła. Jeśli ta dziewczyna zdoła pokazać Clave swoją moc...

Jace'a ogarnął lęk o Clary zmieszany z dziwnym rodzajem dumy. Oczywiście, że była w centrum wydarzeń. Jego Clary.

– Więc będą walczyć – stwierdził Sebastian. – Przecież tego chcemy, prawda? Clary się nie liczy. Najważniejsza jest bitwa.

– Myślę, że jej nie doceniasz – powiedział cicho Valentine.

– Obserwowałem ją. Gdyby moc Clary była tak wielka, jak sądzisz, mogłaby jej użyć, żeby wydostać swojego przyjaciela wampira z więzienia... albo uratować tego głupca, Hodge'a, kiedy umierał...

– Moc nie musi być nieograniczona, żeby być śmiertelnie niebezpieczną – zauważył Valentine. – A jeśli chodzi o Hodge'a, mógłbyś okazać trochę więcej pokory, skoro to ty go zabiłeś.

– Już miał im powiedzieć o Aniele. Musiałem.

– Chciałeś. Zawsze tego chciałeś. – Valentine wyjął z kieszeni parę grubych skórzanych rękawic i wciągnął je powoli. – Może by im powiedział, a może nie. Przez wszystkie te lata, kiedy opiekował się Jace'em w Instytucie, musiał się zastanawiać, kogo właściwie wychowuje. Hodge należał do garstki osób, które wiedziały, że jest więcej niż jeden chłopiec. Byłem pewien, że mnie nie zdradzi, że jest na to zbyt wielkim tchórzem.

Więcej niż jeden chłopiec? O czym mówił Valentine?

Sebastian lekceważąco machnął ręką.

– A kogo obchodzi, co myślał Hodge? Teraz nie żyje, i krzyżyk mu na drogę! – Jego czarne oczy się rozjarzyły. – Idziesz nad jezioro?

– Tak. Wiesz, co trzeba zrobić? – Valentine wskazał brodą na miecz Sebastiana. – Użyj go. To nie Miecz Anioła, ale jest wystarczająco demoniczny do tego celu.

– Nie mogę pójść z tobą? – W głosie Sebastiana dała się słyszeć płaczliwa nuta. – Nie możemy już teraz wezwać armii?

– Powiedziałem, że daję im czas do północy. Jeszcze mogą zmienić zdanie.

– Nie zrobią tego...

– Dałem słowo i go dotrzymam. – Ton Valentine'a był stanowczy. – Jeśli do północy nie dostaniesz wieści od Malachiego, otwórz bramę. – Widząc wahanie Sebastiana, dodał z lekkim zniecierpliwieniem: – Musisz to zrobić, Jonathanie. Nie mogę czekać tutaj do północy. Dotarcie do jeziora tunelami zajmie mi prawie godzinę, a nie zamierzam pozwolić, żeby bitwa długo trwała. Przyszłe pokolenia muszą wiedzieć, jak szybko Clave przegrało i jak zdecydowane było nasze zwycięstwo.

– Po prostu mi żal, że nie zobaczę, jak wzywasz demony. Chciałbym przy tym być. – Sebastian miał zawiedzioną minę, ale krył się pod nią cień wyrachowania, szyderstwa, manipulacji i... dziwnego chłodu.

Valentine nie wyglądał na poruszonego jego reakcją.

Ku konsternacji Jace'a dotknął twarzy Sebastiana szybkim, ale nieskrywanie czułym gestem, po czym odwrócił się i ruszył w drugi koniec pieczary, ukryty w głębokim mroku. Tam się zatrzymał, blada postać na tle ciemności.

– Jonathanie! – zawołał. – Kiedyś zobaczysz twarz Anioła. Przecież odziedziczysz Dary Anioła, gdy ja odejdę. Może ty też pewnego dnia wezwiesz Razjela.

– Chciałbym – powiedział Sebastian, a kiedy Valentine skinął mu głową na pożegnanie i zniknął w ciemności, ściszył głos do półszepotu: – Bardzo bym chciał. Żeby splunąć draniowi w twarz. – Gdy się odwrócił, jego twarz wyglądała w nikłym świetle jak biała maska. – Możesz wyjść, Jace. Wiem, że tu jesteś.

Jace zamarł... ale tylko na krótką chwilę. Jego ciało zareagowało szybciej niż umysł. Puścił się biegiem w stronę wlotu tunelu, myśląc tylko o tym, żeby wydostać się na zewnątrz i dostarczyć wiadomość Luke'owi.

Ale wyjście okazało się zablokowane. Stał w nim Sebastian z triumfującą miną i wyciągniętymi rękoma, tak że palcami niemal dotykał ścian tunelu.

– Naprawdę uważałeś, że jesteś szybszy ode mnie?

Jace zatrzymał się gwałtownie. Jego serce biło nierówno, jak zepsuty metronom, ale głos zabrzmiał spokojnie.

– Było to całkiem rozsądne założenie, skoro jestem lepszy od ciebie pod każdym względem.

Sebastian tylko się uśmiechnął.

– Słyszałem, jak bije twoje serce, kiedy obserwowałeś mnie z Valentine'em. Czy ten widok cię zdenerwował?

– Że spotykasz się z moim ojcem? – Jace wzruszył ramionami. – Jesteś dla niego trochę za młody, szczerze mówiąc.

– Co? – Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Sebastian osłupiał. Prawie natychmiast odzyskał panowanie nad sobą, ale mroczne spojrzenie świadczyło o tym, że nie wybaczył Jace'owi chwilowej utraty pewności siebie. – Zastanawiałem się nad tobą czasami – ciągnął tym samym cichym głosem. – Czasami widać w tych twoich żółtych oczach przebłysk inteligencji, w przeciwieństwie do twojej adoptowanej rodziny. Sądzę jednak, że to tylko pozory. Mimo dobrego wychowania jesteś głupi jak cała reszta.



– Co ty wiesz o moim wychowaniu?

– Więcej, niż przypuszczasz. – Sebastian opuścił ręce. – Ten sam człowiek, który ciebie wychował, wychował również mnie. Tylko że mną nie znudził się po dziesięciu latach.

– Co masz na myśli? – wyszeptał Jace. Kiedy tak patrzył na niewzruszoną, poważną twarz Sebastiana, zdawało mu się, że widzi go po raz pierwszy: białe włosy, czarne oczy, surowe rysy, jakby wyciosane z kamienia. Dopiero teraz dostrzegł w niej podobieństwo do twarzy ojca z wizji anioła: młodej, czujnej, głodnej. I zrozumiał. – Valentine jest twoim ojcem. Ty jesteś moim bratem.

Ale Sebastiana już przed nim nie było. Stał za nim i otaczał go ramionami, jakby zamierzał go objąć, ale dłonie miał zaciśnięte w pięści.

– Witaj i żegnaj, bracie – powiedział i zacisnął ręce, pozbawiając Jace'a tchu.

\*\*\*

Clary była wyczerpana. W jej czole umiejscowił się tępy, pulsujący ból, skutek rysowania znaku przymierza. Miała wrażenie, jakby ktoś od środka kopał ją w czaszkę.

– Dobrze się czujesz? – Jocelyn położyła dłoń na jej ramieniu. – Nie wyglądasz najlepiej.

Clary spuściła wzrok i zobaczyła pajęczy czarny znak przecinający dłoń matki, taki sam jak u Luke'a. Na ten widok ścisnęła się jej żołądek. Z trudem radziła sobie z myślą, że za kilka godzin jej matka może walczyć z armią demonów.

– Zastanawiam się, gdzie jest Simon – powiedziała, wstając. – Idę go poszukać.

– Tam? – Jocelyn z niepokojem spojrzała na tłum, który stopniowo rzedł, w miarę jak naznaczeni wylewali się na plac przed Salą Anioła.

Przy drzwiach stał Malachi. Jego brązowa twarz była bez wyrazu, kiedy wskazywał drogę Podziemnym i Nocnym Łowcom.

– Poradzę sobie. – Clary precisnęła się obok matki i Luke'a i ruszyła w stronę schodów podium. – Zaraz wracam.

Ludzie gapili się na nią, gdy schodziła po stopniach. Czowała na sobie ciężar ich spojrzeń. Przeszukała wzrokiem tłum, wypatrując Lightwoodów albo Simona, ale nie dostrzegła żadnej znajomej twarzy. Zważywszy na wzrost, trudno jej było cokolwiek dojrzeć ponad głowami. Z westchnieniem skierowała się ku zachodniej części sali, gdzie panował mniejszy ścisk.

Kiedy zbliżyła się do rzędu marmurowych kolumn, spomiędzy nich wystrzeliła ręka i pociągnęła ją w bok. Clary zdążyła cicho krzyknąć z zaskoczenia i nagle znalazła się w mroku za największą kolumną, oparta plecami o zimny marmur. Simon ścisnął ją za ramiona.

– Nie krzycz, dobrze? To ja.

– Oczywiście, że nie będę krzyczeć. Nie bądź śmieszny. – Clary rozejrzała się, lekko zdezorientowana. Między kolumnami widziała tylko niewielki fragment Sali. – O co chodzi z tym zagranem w stylu Jamesa Bonda? I tak szłam cię poszukać.

– Wiem. Czekałem, aż zejdziesz z podium. Chciałem z tobą porozmawiać na osobności. – Simon nerwowo oblizał wargi. – Słyszałem, co mówił Raphael.

– Och, Simon! – Clary się zgarbiła. – Posłuchaj, nic ci nie grozi. Luke odprawił go z kwitkiem...

– Może niepotrzebnie. Może powinien dać Raphaelowi to, czego ten żądał.

Clary zamrugła.

– Masz na myśli siebie? Nie bądź głupi. Nie ma mowy...

Simon mocniej ścisnął ją za ramiona.

– Chcę to zrobić. Niech Luke powie Raphaelowi, że umowa stoi. Albo sam mu to powiem.

– Nie! – zaprotestowała Clary. – Szanuję i podziwiam twój gest, ale nie musisz tego robić, naprawdę. To, o co prosi Raphael, jest złe, i nikt nie będzie cię osądzał za to, że nie złożyłeś siebie w ofierze na nie twojej wojnie...

– Właśnie że mojej. Raphael ma rację. Jestem wampirem, a ty wciąż o tym zapominasz. Albo po prostu wolisz nie pamiętać. Ale ja jestem Podziemnym, a ty Nocnym Łowcą i ta wojna to nasza wspólna sprawa.

– Przecież ty nie jesteś taki jak oni...

– Jestem jednym z nich. – Simon mówił wolno, z namysłem, jakby chciał mieć pewność, że Clary rozumie każde jego słowo. – I zawsze nim będę. Jeśli Podziemni wystąpią w tej wojnie u boku Nocnych Łowców, ale bez udziału ludzi Raphaela, Dzieci Nocy nie wejdą w skład Rady. Zostaną wykluczone ze świata, który próbuje stworzyć Luke, świata, w którym Nocni Łowcy i Podziemni są razem i działają wspólnie. Wampiry będą wrogami Nocnych Łowców. Ja będę twoim wrogiem.

– Nigdy nie mogłabym być twoim wrogiem.

– To by mnie zabiło – powiedział Simon. – Nie mogę jednak stać z boku i udawać, że to nie moja sprawa. I nie proszę cię o pozwolenie. Przydałaby mi się twoja pomoc, ale jeśli mi jej nie udzielisz, poproszę Maię, żeby zaprowadziła mnie do obozu wampirów, i sam oddam się w ręce Raphaela. Rozumiesz?

Clary wytrzeszczyła oczy. Simon trzymał ją za ramiona tak mocno, że czuła pulsowanie własnej krwi pod jego dłońmi. Przesunęła językiem po suchych wargach. Smakowały gorzko.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytała szeptem.

Słuchając odpowiedzi, patrzyła na niego z niedowierzaniem.

Jeszcze nie skończył, a ona już zaczęła tak energicznie kręcić głową, że włosy smagały ją po twarzy.

– Nie, to szalony pomysł! To żadne poświęcenie, tylko kara...

– Nie dla mnie – przerwał jej Simon i popatrzył na tłum.

Clary powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i dostrzegła Maię. Likantropka obserwowała ich z otwarcie zaciekawioną miną. Najwyraźniej czekała na Simona. Za szybko. To wszystko dzieje się zbyt szybko.

– To lepsze niż alternatywa, Clary.

– Nie...

– Może wcale nie stanie mi się krzywda. Przecież już zostałem ukarany, tak czy nie? Nie mogę iść do kościoła, do synagogi, nie mogę wymówić... świętych imion, nie mogę się zestarzeć, jestem odcięty od normalnego życia. Może nic się nie zmieni.

– Ale może tak.

Simon puścił jej ramiona i wyjął stelę Patricka zza jej paska.

– Zrób to dla mnie, proszę, Clary.

Clary wzięła zdrętwiałymi palcami stelę i przytknęła jej koniec do skóry przyjaciela, tuż nad oczami. „Pierwszy Znak”, powiedział Magnus. Pierwszy. Na tę myśl narzędzie zaczęło się poruszać jak tancerz, kiedy zagra muzyka. Na czole Simona pojawiły się czarne linie niczym kwiat rozwijający się na przyspieszonym filmie. Gdy Clary skończyła, prawa ręka bolała ją i piekła, ale kiedy ją opuściła, ujrzała rysunek doskonały, dziwny, starożytny, z samego początku historii, płonący jak gwiazda. Simon przesunął palcami po czole, wyraźnie oszołomiony i dezorientowany.

– Czuję go – stwierdził. – Jest jak oparzenie.

– Nie wiem, co się stanie – wyszeptała Clary. – Nie wiem, jakie będą długofalowe skutki.  
Simon dotknął z krzywym uśmiechem jej policzka.  
– Miejmy nadzieję, że się dowiemy.

## Peniel

Maia milczała przez prawie całą drogę do lasu. Głowę trzymała opuszczoną i tylko od czasu do czasu zerkała na boki, marszcząc nos. Simon zastanawiał się, czy likantropka kieruje się węchem, i w końcu doszedł do wniosku, że z pewnością jest to pożyteczna umiejętność, choć może trochę dziwna. Stwierdził również, że bez trudu dotrzymuje jej kroku, mimo że poruszała się bardzo szybko. Nawet kiedy dotarli do ubitej ścieżki prowadzącej do lasu i Maia zaczęła biec – zwinnie, cicho i nisko przy ziemi – nie miał kłopotu z zachowaniem tempa. Choćby ze względu na tę jedną rzecz szczerze cieszyło go to, że jest wampirem.

Niestety, przyjemność nie trwała długo. Drzewa zgęstniały, tak że biegli po miękkiej ziemi poprzerastanej korzeniami i gęsto pokrytej liśćmi. Gałęzie tworzyły koronkowe wzory na tle nieba. Wkrótce dotarli na polanę usłaną dużymi głazami, które lśniły jak białe zęby. Tu i ówdzie leżały kupki liści, jakby ktoś zagrabił je gigantycznymi grabiami.

– Raphael! – Krzyk Mai, która przyłożyła stulone dłonie do ust, spłoszył ptaki z czubków drzew. – Raphael, pokaż się!

Przez dłuższą chwilę w lesie panowała cisza. Potem rozległ się szelest, a następnie ciche bębnienie, jakby deszcz uderzał o blaszany dach. Suche liście wzbily się w powietrze, tworząc małe cyklony. Maia zakaszła i uniosła ręce, jakby chciała odpędzić je od twarzy.

Wiatr ustał równie nagle, jak się zerwał. Parę kroków od Simona stał Raphael. Otaczała go grupa wampirów, białych w świetle księżyca i nieruchomych jak drzewa. Wyraz ich twarzy był zimny, wrogi. Simon rozpoznał małą Lily i jasnowłosego Jacoba o oczach wąskich jak noże. Pamiętał ich z Hotelu Dumort. Jednakże większości nigdy nie widział.

Raphael zrobił krok do przodu. Skórę miał ziemistą, oczy podkrążone, ale uśmiechnął się do Simona i powiedział cicho:

– Chodzący za Dnia. Przyszedłeś.

– Przyszedłem, a więc... sprawa załatwiona.

– Jeszcze do tego daleko, Chodzący za Dnia. – Raphael zerknął na Maię. – Likantropko, wracaj do przywódcy swojego stada i podziękuj mu, że zmienił zdanie. Powiedz mu, że Dzieci Nocy będą walczyć u boku jego ludzi na równinie Brocelind.

– Luke nie zmienił... – zaczęła dziewczyna.

– W porządku, Maiu, idź już – pospiesznie przerwał jej Simon.

Likantropka popatrzyła na niego błyszczącymi oczami.

– Zastanów się jeszcze, Simonie. Nie musisz tego robić.

– Muszę. – Jego ton był zdecydowany. – Dziękuję ci bardzo, że mnie tutaj przyprowadziłaś, ale teraz już idź.

– Simon...

– Daj spokój, bo zabiją nas oboje i wszystko pójdzie na marne – rzucił Simon ściszonego głosem. – Idź. Proszę.

Maia skinęła głową i odwróciła się, jednocześnie zmieniając. W jednej chwili była smukłą dziewczyną o ozdobionych koralikami warkoczach, a w następnej szybkim i cichym wilkiem. Przebiegła przez polanę i zniknęła w mroku.

Simon obrócił się z powrotem do wampirów. i omal nie krzyknął. Raphael stał tuż przed nim. Z bliska na jego skórze było widać wyraźne oznaki głodu. Simon pomyślał o nocy w Hotelu Dumort – twarze pojawiające się w mroku, przelotny śmiech, zapach krwi – i zadrżał.

Raphael wyciągnął ręce i wziął go za ramiona. Uścisk zwodniczo smukłych dłoni był żelazny.

– Unieś głowę i spójrz na gwiazdy – powiedział. – Tak będzie łatwiej.

– Więc mnie zabijecie – stwierdził Simon.

Ku własnemu zaskoczeniu nie czuł strachu ani nawet wzburzenia, a jednocześnie cały świat wokół niego wydawał się klarownie czysty. Widział każdy liść na gałęzi zwieszającej się nad jego głową, każdą wpatrzoną w niego parę oczu.

– A co sobie myślałeś? – W głosie Raphaela pobrzmiwał lekki smutek. – To nic osobistego, zapewniam cię. Jak już wcześniej powiedziałem, jesteś zbyt niebezpieczny, żeby pozwolić ci egzystować. Gdybyśmy wiedzieli, czym się staniesz...

– Nigdy nie pozwolilibyście mi wypełznąć z tamtego grobu – dokończył Simon.

Raphael spojrzał mu w oczy.

– Wszyscy robią to, co muszą, żeby przetrwać. Pod tym względem nawet my jesteśmy jak ludzie. – Zęby ostre jak brzytwy wysunęły się z osłon. – Nie ruszaj się. To nie potrwa długo. – Pochylił się.

– Zaczekaj – rzucił Simon, a kiedy Raphael cofnął się z grymasem niezadowolenia na twarzy, powtórzył z większym naciskiem: – Zaczekaj. Muszę ci coś pokazać.

– Lepiej, żeby to było coś więcej niż próba zyskania na czasie, Chodzący za Dnia – wysyczał Raphael.

– Tak. Jest coś, co powinieneś zobaczyć. – Simon odgarnął włosy z czoła. Gest wydawał mu się głupi, wręcz teatralny, ale przed oczami stanęła mu zdesperowana blada twarz Clary, która patrzyła na niego, trzymając w ręce stelę. Cóż, przynajmniej spróbowałem ze względu na nią, pomyślał.

Reakcja była natychmiastowa i zaskakująca. Raphael cofnął się gwałtownie, jakby Simon pokazał mu krucyfiks. Jego oczy się rozszerzyły.

– Kto ci to zrobił, Chodzący za Dnia?

Simon gapił się na niego bez słowa. Nie był pewien, jakiej reakcji się spodziewał, ale na pewno nie takiej.

– Clary – domyślił się Raphael. – Oczywiście. Trzeba do tego niezwyklej mocy. Wampir, naznaczony takim Znakiem...

– Jakim Znakiem? – odezwał się Jacob, smukły blondyn stojący tuż za Raphaelem.

Na twarzach reszty wampirów konsternacja mieszała się z rosnącym strachem. Nic dziwnego, że to, co przstraszyło Raphaela, przeraziło również ich, pomyślał Simon.

– Ten Znak nie pochodzi z Szarej Księgi – powiedział Raphael. – Jest starszy od nich. Starożytny, narysowany ręką samego Stwórcy. – Zrobił ruch, jakby chciał dotknąć czoła Simona, ale najwyraźniej nie zdołał się do tego zmusić. Jego ręka na chwilę zawisła w powietrzu, a następnie opadła. – Są wzmianki o takich Znakach, ale nigdy żadnego nie widziałem. Ten...

– „Ktokolwiek by zabił Kaina, siedmiokrotną pomstę poniesie. Położył też Pan na Kainie znak, aby nikt go nie zabijał, kto go spotka” – zacytował Simon. – Możesz spróbować mnie zabić, Raphaelu, ale nie radziłbym.

– Znak Kaina? – powtórzył ze zdumieniem Jacob. – To jest Znak Kaina?

– Zabij go! – rzuciła rudowłosa dziewczyna, która stała obok Jacoba. Mówiła z wyraźnym akcentem, chyba rosyjskim, choć Simon nie był tego pewien. – I tak go zabij.

Na twarzy Raphaela wściekłość mieszała się z niedowierzaniem.

– Nie – powiedział krótko. – Wyrządzona mu krzywda zostanie siedmiokrotnie pomszczona. Taka jest moc tego Znak. Oczywiście, jeśli ktoś chce ryzykować, proszę bardzo.

Nikt się nie odezwał ani nie poruszył.

– Tak myślałem. – Raphael przeszył Simona wzrokiem. – Lucian Graymark przysłał mi zatrute jabłko jak zła królowa z bajki. Pewnie miał nadzieję, że popełnię błąd i zasłużę na karę.

– Nie! – pospiesznie zapewnił go Simon. – Luke nawet nie wiedział, co zrobiłem. Uczynił swój gest w dobrej wierze. Musisz go uszanować.

– Więc to twój pomysł? – Po raz pierwszy w spojrzeniu Raphaela pojawiło się coś więcej niż tylko pogarda. – To nie jest prosty czar ochronny, Chodzący za Dnia. Wiesz, jaką karę poniósł Kain? – Mówił cicho, jakby dzielił się sekretem. – „Bądź więc teraz przeklęty na ziemi. Będziesz tułaczem i wędrowcem”.

– Więc zostanę tułaczem, jeśli tak trzeba. Zrobię to, co będę musiał.

– I to wszystko dla Nefilim – przypomniał mu Raphael.

– Nie tylko dla Nefilim – sprzeciwił się Simon. – Robię to również dla ciebie. Nawet jeśli tego nie chcesz. – Podniósł głos, żeby usłyszały go również milczące istoty, które otaczały ich kręgiem. – Bałeś się, że kiedy inne wampiry dowiedzą się, co mi się przydarzyło, pomyślą, że krew Nocnego Łowcy również im pozwoli chodzić w świetle dziennym. Ale ja nie dlatego mam tę moc. To skutek eksperymentów Valentine’a. Nie da się ich powtórzyć.

– Uważam, że on mówi prawdę – odezwał się Jacob ku zaskoczeniu Simona. – Znałem Dzieci Nocy, które posmakowały krwi Nocnego Łowcy. Żadne z nich nie polubiło słońca.

– Co innego kiedyś odmówić pomocy Nocnym Łowcom, ale teraz, kiedy mnie tu przysłali... – Simon nie dokończył zdania.

– Nie próbuj mnie szantażować, Chodzący za Dnia – ostrzegł go Raphael. – Kiedy Dzieci Nocy zawierają umowę, dotrzymują jej niezależnie od tego, jak źle zostaną potraktowane. – Uśmiechnął się lekko; jego ostre zęby zaślniły w ciemności. – Jest jeszcze jedna rzecz. Ostatni akt, którym udowodnisz, że naprawdę przybyłeś tutaj w dobrej wierze. – Ostatnie słowa wymówił z naciskiem, lodowatym tonem.

– Jaki? – zapytał Simon.

– Nie będziemy jedynymi wampirami, które wezmą udział w bitwie Luciana Graymarka – oznajmił Raphael. – Ty pójdiesz z nami.



\*\*\*

Jace otworzył oczy i ujrzał srebrny wir. Usta miał pełne gorzkiego płynu. Zakaszłał, sądząc przez chwilę, że tonie. Ale jeśli tak było, działo się to na suchym lądzie. Siedział oparty plecami o stalagmit, ręce miał związane z tyłu. Zakrztusił się i poczuł smak soli. Nie tonął, tylko dławił się krwią.

– Obudziłeś się, braciszku? – Sebastian klęczał przed nim z liną w rękach i uśmiechem ostrym jak nóż. – To dobrze. Już się bałem, że za wcześnie cię zabiłem.

Jace odwrócił głowę i splunął krwią na ziemię. Głowę miał jak nadmuchany balon, powietrze napierało od wewnątrz na czaszkę. Srebrzysty wir zwolnił i znieruchomiał, układając się w jasne wzory stworzone z gwiazd, widocznych przez dziurę w sklepieniu jaskini.

– Czekasz na specjalną okazję, żeby mnie zabić? Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Sebastian spojrzał na niego w zadumie.

– Jesteś pyskаты. Nie nauczyłeś się tego od Valentine'a. Czego się od niego nauczyłeś? Na pewno nie sztuki walki. – Przysunął się bliżej. – Wiesz, co mi dał na dziewiąte urodziny? Pokazał mi, że na plecach człowieka jest miejsce, gdzie, jeśli zatopisz tam ostrze, przebijesz serce i jednocześnie przetniesz rdzeń kręgowy. A ty co dostałeś na dziewiąte urodziny, aniołku? Ciasteczko?

Dziewiąte urodziny. Jace głośno przełknął ślinę.

– Powiesz mi, w jakiej dziurze cię trzymał, kiedy ja dorastałem? Bo jakoś nie pamiętam, żebyś widział cię w pobliżu rezydencji.

– Dorastałem w tej dolinie. – Sebastian wskazał brodą w stronę wyjścia z jaskini. – Ja też nie pamiętam, żebyś cię tu widział. Ale wiedziałem o tobie. Założę się, że ty o mnie nie.

Jace pokręcił głową.

– Valentine jakoś się tobą nie chwalił. Ciekawe, dlaczego?

Oczy Sebastiana zabłysły. Teraz łatwo było dostrzec jego podobieństwo do Valentine'a: takie samo niezwykle połączenie srebrzystobiałych włosów i czarnych oczu, takie same drobne kości, które w innej, mniej wyrazistej twarzy wyglądałyby zbyt delikatnie.

– Ja wiedziałem o tobie wszystko – oświadczył Sebastian, prostując się. – Ale ty nic o mnie nie wiesz, prawda? – Sebastian wstał. – Chciałem zachować cię przy życiu, żebyś sobie popatrzył. Więc patrz uważnie.

Ruchem tak szybkim, że prawie niewidocznym, wyciągnął miecz z pochwy zawieszanej przy pasie. Broń miała srebrną rękojeść i, podobnie jak Miecz Anioła, jaśniała ciemnym blaskiem. Kiedy na wzór z gwiazd, wyryty na czarnej powierzchni klingi, padło światło prawdziwych gwiazd, ornament zapłonął jak ogień.

Jace wstrzymał oddech. Gdyby prześladowca zamierzał go zabić, już by to zrobił, kiedy jeniec był nieprzytomny. Sebastian ruszył na środek jaskini, bez wysiłku trzymając broń w ręce, choć wyglądała na ciężką. W głowie Jace'a kłębiły się myśli. Jak Valentine mógł mieć drugiego syna? Z kim? Z jakąś kobietą z Kręgu? Był starszy czy młodszy od Jace'a?

Sebastian dotarł do ogromnego czerwonego stalagmitu wyrastającego pośrodku jaskini. Wydawało się, że skała pulsuje, dym znajdujący się w środku zaczął wirować szybciej. Chłopak przymknął oczy i uniósł miecz. Wymówił jakieś słowo z chrapliwego języka demonów i z rozmachem ciął bronią.

Czubek stalagmitu odpadł. Skała okazała się pusta w środku, jak próbówka. Buchnął z niej w górę czarny i czerwony dym jak gaz uciekający z przebitego balonu. Towarzyszył temu huk wybuchu. Jace'owi zatkały się uszy, zaparło mu dech w piersiach. Chciał rozchylić kołnierz koszuli, ale nie mógł poruszyć związanymi rękami.

Sebastiana przesłoniła czarno-czerwona, skłębiona, wirująca kolumna dymu.

– Patrz! – krzyknął z rozplómienną twarzą. Jego oczy się jarzyły, białe włosy trzepotały w silnym podmuchu. Jace zastanawiał się przez chwilę, czy jego ojciec też tak wyglądał w młodości: strasznie i jednocześnie fascynująco. – Patrz i strzeż się armii Valentine'a!

Jego głos został zagłuszony przez dźwięk przypominający ryk przyływu, ogromnej fali rozbijającej się o brzeg, niosącej ze sobą masę szczątków, roztrzaskanych kości całych miast, wielką i złą moc. Z rozbitego stalagmitu wystrzelił ogromny słup rozpedzonej ciemności, pomknął w górę ku dziurze w sklepieniu jaskini i wylał się przez nią na zewnątrz. Demony! Wznosząc się, wrzeszczały, wyły, warczały. Kotłująca się masa pazurów, szponów, zębów i płonących oczu. Jace przypomniał sobie, jak leżał na pokładzie statku Valentine'a, a niebo, ziemia i morze wokół niego zmieniły się w koszmar. Tutaj było jeszcze gorzej. Zupełnie jakby ziemia się rozstąpiła i wydostało się z niej piekło. Powietrze wypełnił odór tysięcy gnijących trupów. Jace zacisnął dłonie. Lina wpiła się w jego nadgarstki, tak że zaczęły krwawić. W ustach poczuł kwaśny smak. Dławił się krwią i żółcią, podczas gdy ostatnie demony znikwały w górze – ciemna przerażająca fala, która zasłoniła gwiazdy.

Jace miał wrażenie, jakby na chwilę zemdleł. Z pewnością przeżył krótki okres zaćmienia, kiedy wycie i wrzaski cichły w górze, a on jakby zawisł w przestrzeni między ziemią a niebem, zupełnie sam, całkowicie spokojny.

Niestety, błogi stan zbyt szybko się skończył. Jace raptownie wrócił do swojego ciała. Nadgarstki miał obolałe, ramiona naprężone, od gęstego odoru demonów tak go zemdleło, że odwrócił głowę i zwymiotował na ziemię. Gdy usłyszał śmiech, podniósł wzrok, przełykając kwaśną ślinę. Sebastian ukląkł nad nim, obejmując nogami jego nogi. Jego oczy błyszczały.

– W porządku, braciszku. Już sobie poszły.

Jace'owi ciekły po policzkach łzy, gardło miał obolałe. Jego głos zabrzmiał jak skrzeczenie.

– Valentine mówił, żebyś otworzył bramę o północy. Jeszcze nie ma północy.

– Uważam, że w takich sytuacjach zawsze lepiej jest prosić o wybaczenie niż o pozwolenie. – Sebastian spojrział w górę na puste niebo. – Dotarcie do równiny Brocelind powinno zająć im pięć minut, trochę mniej niż ojcu dotarcie do jeziora. Chcę zobaczyć krew Nefilim. Chcę, żeby wili się na ziemi i umierali. Zaslужują na wstyd przed śmiercią.

– Naprawdę myślisz, że Nefilim nie poradzą sobie z demonami? Są przygotowani...

Sebastian zbył go machnięciem ręki.

– Myślałem, że nas podsłuchiwałaś. Nie rozumiałaś planu? Nie wiesz, co zamierza zrobić mój ojciec?

Jace nie odpowiedział.

– Dobrze, że zaprowadziłaś mnie tamtej nocy do Hodge'a – stwierdził Sebastian. – Gdyby nie wyjawiał, że Lustrem, którego szukaliśmy, jest jezioro Lyn, nie wiem, czy dzisiejsza noc byłaby możliwa. Bo każdy, kto ma pierwsze dwa Dary Anioła i stanie przed Lustrem Anioła, może wezwać Razjela, tak to zrobił Jonathan Nocny Łowca tysiąc lat temu. A kiedy się wezwie Anioła, można zażądać od niego jednej rzeczy. Jednego zadania. Jednej... przysługi.

– Przysługi? – Jace poczuł nagły chłód. – Valentine zamierza poprosić o klęskę Nocnych Łowców na Brocelind?

Sebastian wstał.

– To byłoby marnotrawstwo życzenia. Nie. Ojciec zażąda, żeby wszyscy Nocni Łowcy, którzy nie napiją się z Kielicha Anioła, zostali pozbawieni swojej mocy. Już nie będą Nefilim.

A nosząc Znaki... – uśmiechnął się – staną się Wyklętymi, łatwą zdobyczą dla demonów. Ci Podziemni, którzy nie uciekną, zostaną wybici do nogi.

Uszy Jace'a wypełniło ostre dzwonięcie. Zakręciło mu się w głowie.

– Nawet Valentine nigdy czegoś takiego by nie zrobił – powiedział.

– Daj spokój! – prychnął Sebastian. – Naprawdę myślisz, że mój ojciec zrezygnowałby ze swoich planów?

– Nasz ojciec – poprawił go Jace.

Sebastian zmierzył go wzrokiem. Włosy tworzyły białą aureolę wokół jego głowy. Wyglądał jak zły anioł, który mógłby podążyć za Lucyferem z piekła.

– Wybacz – rzucił z rozbawieniem. – Modlisz się?

– Nie. Miałem na myśli Valentine'a. To nie twój ojciec, tylko nasz.

Przez chwilę Sebastian patrzył na niego. Potem wykrzywił kącik ust i uśmiechnął się szeroko.

– Aniołek. Mój ojciec miał rację, powtarzając, że jesteś głupcem.

– Dlaczego wciąż mnie tak nazywasz? – zapytał Jace. – Dlaczego bredzisz o aniołach...

– Boże, ty nic nie wiesz, prawda? Czy mój ojciec kiedykolwiek powiedział ci choć słowo, które nie byłoby kłamstwem?

Jace potrząsnął głową i szarpnął za liny krępujące jego nadgarstki. Niestety, za każdym razem, kiedy je ciągnął, zaciskały się mocniej. Czuł pulsowanie w palcach.

– Skąd wiesz, że ciebie nie okłamywał?

– Bo jestem z jego krwi, taki jak on. Kiedy odejdzie, ja będę rządził Clave.

– Na twoim miejscu nie przechwalałbym się tym podobieństwem.

– Nie udaję innego, niż jestem. – Głos Sebastiana był pozbawiony emocji. – Nie zachowuję się, jakby przerażało mnie to, co robi mój ojciec, żeby uratować Nocnych Łowców, nawet jeśli oni tego nie chcą albo jeśli, moim zdaniem, na to nie zasługują. Jakiego wolałbyś mieć syna: takiego, który jest dumny z ojca, czy takiego, który się ciebie wstydzi i boi?

– Nie boję się Valentine'a – oświadczył Jace.

– I słusznie, bo powinieneś bać się mnie.

W jego głosie zabrzmiała nuta, która sprawiła, że Jace przestał szarpać więzy i podniósł wzrok. Sebastian opuścił czarny lśniący miecz w taki sposób, że jego czubek spoczął tuż nad obojczykiem jeńca.

– I co teraz? – zapytał Jace, siląc się na spokój. – Zabijesz mnie, kiedy jestem związany?

Tak bardzo przeraża cię myśl o walce ze mną?

Błada twarz Sebastiana nie wyrażała żadnych uczuć.

– Nie stanowisz dla mnie zagrożenia. Jesteś zwykłym utrapieniem. Zawadą.

– Więc dlaczego nie rozwiążesz mi rąk?

Sebastian popatrzył na niego bez słowa. Przywodził na myśl posąg zepsutego księcia, który umarł młodo. Różnica między nim a Valentine'em polegała na tym, że choć mieli taki sam zimny wygląd marmurowych rzeźb, Sebastian kojarzył się z wyżartą od środka skorupą.

– Nie jestem głupi – powiedział. – Nie sprowokujesz mnie. Zostawiłem cię przy życiu tylko po to, żebyś mógł zobaczyć demony. Kiedy umrzesz i wrócisz do swoich anielskich przodków, możesz ich uprzedzić, że w tym świecie już nie ma dla nich miejsca. Zawiedli Clave i teraz Clave już ich nie potrzebuje. Mamy Valentine'a.

– Zabijesz mnie, żebym przekazał Bogu wiadomość? – Gdy Jace pokręcił głową, czubek klingi drasnął mu szyję. – Jesteś bardziej szalony, niż myślałem.

Sebastian tylko się uśmiechnął i mocniej przycisnął miecz do jego krtani, tak że ostrze przebiło skórę.

– Jeśli znasz jakieś prawdziwe modlitwy, braciszku, odmów je teraz – poradził.

– Nie chcę się modlić, tylko przekazać wiadomość naszemu ojcu. Powtórzysz mu ją?

– Oczywiście. – Sebastian uśmiechnął się, ale zdradziła go krótka chwila wahania, zanim się odezwał.

– Kłamiesz – stwierdził Jace. – Nie przekażesz mi wiadomości, bo nie zamierzasz się przyznać, co zrobiłeś. Nie kazał ci mnie zabić, więc nie będzie zadowolony, kiedy się dowie.

– Nonsens. Jesteś dla niego nikim.

– Uważasz, że nigdy nie pozna prawdy, jeśli mnie teraz zabijesz. Powiesz mu, że zginąłem w bitwie, albo Valentine po prostu założy, że tak właśnie się stało. Ale mylisz się, sądząc, że się nie dowie. On zawsze wie.

– Bredzisz – warknął Sebastian, ale jego twarz stężała.

– Niczego przed nim nie ukryjesz – ciągnął Jace, wykorzystując przewagę. – Jest świadek.

– Świadek? – Sebastian wyglądał na niemal zaskoczonego, co Jace uznał za drobne zwycięstwo. – Co ty gadasz?

– Mówię o kruku. Przez cały czas nas obserwował. Opowie wszystko Valentine'owi.

– Hugin? – Sebastian pobiegł wzrokiem ku górze i choć ptaka nigdzie nie było widać, przez jego twarz przemknął cień wątpliwości.

– Jeśli Valentine się dowie, że mnie zamordowałeś, kiedy byłem związany, poczuje do ciebie odrazę – ostrzegł Jace i usłyszał w swoim głosie miękkie, perswazyjne tony. Jak u ojca, kiedy czegoś chciał. – Nazwie cię tchórzem. Nigdy ci nie wybaczy.

Sebastian nie odpowiedział, tylko na niego patrzył. Jego wargi drgały, nienawiść jarzyła się w oczach jak trucizna.

– Rozwiąż mnie – rzucił Jace. – Rozwiąż i walcz ze mną. To jedyne wyjście.

Tym razem chyba posunął się za daleko. Sebastian zacisnął usta i uniósł miecz. Światło księżycy odbiło się od klingi tysiącem odprysków srebrnych jak gwiazdy, srebrnych jak jego włosy. Z jego gardła wydobył się okrzyk, broń ze świstem przecięła powietrze.

\*\*\*

Clary siedziała na stopniach podium, trzymając w rękach stelę. Nigdy nie czuła się tak samotna. Sala Anioła była całkowicie opustoszała. Kiedy wszyscy walczący przeszli przez Bramę, Clary wszędzie szukała Isabelle, ale nigdzie jej nie znalazła. Od Aline dowiedziała się, że Isabelle prawdopodobnie wróciła do domu Penhallowów, gdzie kilkoro nastolatków miało pilnować co najmniej dwunastki dzieci. Aline próbowała ją nakłonić, żeby poszła tam razem z nią, ale Clary odmówiła. Wolą być sama niż z grupą prawie obcych osób. Przynajmniej tak jej się wydawało, bo teraz cisza i pustka coraz bardziej jej doskwierały. Mimo to nie ruszyła się z miejsca. Usilnie starała się nie myśleć o Jasie, nie myśleć o Simonie, nie myśleć o matce, Luke'u czy Alecu. A jedynym sposobem, żeby nie myśleć, było trwać w bezruchu, gapić się na pojedynczy kwadrat marmuru na podłodze i wciąż od nowa liczyć pęknięcia.

Było ich sześć. Jeden, dwa, trzy. Cztery, pięć, sześć. I od początku. Jeden...

Nagle niebo eksplodowało.

Clary gwałtownie uniosła głowę i spojrzała na przezroczysty dach sali. Niebo, jeszcze chwilę wcześniej ciemne, teraz było skłębioną masą płomieni i czerni, rozproszonej przez brzydkie pomarańczowe światło. Na tle tego blasku poruszały się straszliwe istoty, których nie chciała oglądać. W zupełności wystarczało jej to, co widziała przelotnie, w chwilach jaśniejszych rozbłysków.

Światlik, po którym przechodził zastęp demonów, wyrzusał się i falował jak pod wpływem potwornego żartu. W końcu rozległ się dźwięk podobny do wystrzału z karabinu, w szkle pojawiło się wielkie pęknięcie i odchodząca od niego pajęcza sieć rys. Clary zakryła głowę rękami, kiedy z góry spadł deszcz odłamków.

\*\*\*

Prawie dotarli na pole bitwy, kiedy potężny dźwięk rozdarł noc. W jednej chwili las był cichy i ciemny, w następnej niebo rozjaśnił piekielny pomarańczowy blask. Simon zatoczył się i omal nie upadł. Chwyił się pnia drzewa i spojrzał w górę. Ledwo mógł uwierzyć własnym oczom. Wokół niego wampiry też gapiły się w niebo, a ich białe twarze wyglądały w świetle księżyca jak kwiaty rozkwitające nocą.

\*\*\*

– Wciąż mdlejesz – powiedział Sebastian. – To staje się nużące.

Gdy Jace otworzył oczy, ból przeszył mu głowę. Dotknął boku twarzy... i uświadomił sobie, że już nie ma rąk związanych na plecach. Z nadgarstka wisiał kawałek sznura. Kiedy odsunął dłoń od policzka, zobaczył, że jest czarna. Była na niej krew, ciemna w blasku księżyca.

Rozejrzał się i stwierdził, że już nie znajdują się w jaskini. Leżał na miękkiej ziemi porośniętej trawą, niedaleko kamiennego domu. Słyszał szum strumienia, płynącego tuż obok. Sękaty gałęzie drzew zasłaniały księżyc, ale mimo to było dość jasno.

– Wstawaj! – warknął Sebastian. – Masz pięć sekund, zanim cię zabiję.

Jace podniósł się najwolniej, jak mógł. Nadal kręciło mu się w głowie. Walcząc o utrzymanie równowagi, wbił pięty w ziemię.

– Dlaczego mnie tu przyniosłeś?

– Z dwóch powodów – odparł Sebastian. – Po pierwsze, lubię pozbawiać cię przytomności. Po drugiej, byłoby źle, gdybyśmy zostawili krew na dnie jaskini. A uwierz mi, że zamierzam utoczyć ci jej dużo.

Jace sięgnął do pasa i jego serce zamarło. Zgubił większość broni, kiedy wleczono go przez tunele, albo, co bardziej prawdopodobne, Sebastian ją wyrzucił. Został mu tylko sztylet, o wiele za krótki wobec miecza.

– Marna broń. – Sebastian uśmiechnął się szeroko. Twarz miał białą w ciemności rozjaśnionej przez księżyc.

– Nie mogę nią walczyć – powiedział Jace, starając się mówić drżącym, nerwowym głosem.

– Jaka szkoda. – Sebastian zbliżył się do niego, nadal uśmiechnięty od ucha do ucha.

Trzymał miecz luźno, nonszalancko, palcami wybijając rytm na rękojeści. Jace uznał, że ta chwila to dla niego jedyna szansa. Zamachnął się i z całej siły zdzielił go pięścią w twarz.

Pod jego kostkami zachrzęściła kość. Sebastian runął na ziemię, broń wyleciała mu z ręki. Jace złapał ją i chwilę później stał nad przeciwnikiem z mieczem w dłoni.

Z nosa Sebastiana ciekła krew, zostawiała szkarłatny ślad na jego twarzy. Chłopak rozchylił kołnierz, obnażając szyję.

– Śmiało – powiedział. – Zabij mnie.

Jace się zawahał. Nie chciał wykorzystywać przewagi nad bezbronnym człowiekiem leżącym na ziemi i jednocześnie irytowała go własna słabość. Pamiętał, jak Valentine prowokował go w Renwick, a on nie był w stanie go zabić. Ale przecież Sebastian był mordercą. Pozbawił życia Maksa i Hodge'a.

Jace uniósł miecz.

Sebastian zerwał się z ziemi szybko jak błyskawica. Niemal frunąc w powietrzu, wykonał zgrabne salto do tyłu i z wdziękiem wylądował na trawie. Jednocześnie wymierzył kopniaka w rękę Jace'a. Wytrącił mu miecz z ręki. W locie złapał broń i ze śmiechem zadał cios, celując w serce przeciwnika. Jace odskoczył do tyłu, tak że ostrze rozcięło przód jego koszuli. Poczul piekący ból, w płytkim draśnięciu zaczęła się zbierać krew.

Sebastian zachichotał i ponownie ruszył do ataku. Jace cofnął się, niezdarnie sięgając po sztylet. Rozejrzał się za czymś, co mogłoby posłużyć za broń, choćby za długim kijem, ale wokół siebie miał tylko trawę, wartką rzeczkę i drzewa o grubych konarach tworzących nad nim coś w rodzaju zielonej sieci. Nagle przypomniał sobie Konfigurację Malachiego, w której kiedyś uwięziła go Inkwizytorka. Nie tylko Sebastian potrafił skakać.

Gdy tamten zamachnął się mieczem, Jace wzbił się w powietrze. Najniższa gałąź znajdowała się na wysokości dwudziestu stóp. Chwycił się jej i podciągnął. Ukląkł na konarze, spojrzął w dół i rzucił sztyletem. Usłyszał krzyk. Wyprostował się i...

Ujrzał Sebastiana na gałęzi tuż przed sobą. Jego blada twarz płonęła gniewem, ręka ociekała krwią. Najwyraźniej wyrzucił miecz w trawę, choć w ten sposób dawał równe szanse bezbronnemu przeciwnikowi. Jace z pewną satysfakcją zauważył, że Sebastian wygląda na



wściekłego. Wściekłego i zaskoczonego, jakby ulubione zwierzę, które uważał na oswojone, ugryzło go podstępnie.

– Niezła zabawa, ale wystarczy – powiedział Sebastian.

Skoczył na Jace'a i złapał go w pasie. Szczepieni ze sobą w walce runęli z wysokości dwudziestu stóp. Uderzyli w ziemię tak mocno, że Jace zobaczył gwiazdy. Chwycił Sebastiana za zranione ramię i wbił w nie palce. Sebastian ryknął i zdzielił go pięścią w twarz. Usta Jace'a wypełnił słony smak krwi. Zakrztusił się nią, kiedy potoczyli się po ziemi, wymierzając sobie razy. Nagle poczuł lodowate zimno. W ferworze walki sturlali się po lekkim spadku do strumienia i teraz leżeli na pół zanurzeni w wodzie. Sebastian gwałtownie zaczerpnął tchu, a Jace wykorzystał okazję i ucapił go za gardło. Przeciwnik zaczął się dławić. Ścisnął prawy nadgarstek Jace'a i szarpnął go w tył, dostatecznie mocno, by złamać kość. Słyszając krzyk rannego, bezlitośnie wykręcił złamaną rękę, aż Jace go puścił i upadł plecami w zimne, wodniste błoto.

Kłęcząc na piersi Jace'a i wbijając kolano w jego żebra, Sebastian uśmiechnął się szeroko. Jego oczy jarzyły się bielą i czernią w masce z ziemi i krwi. Coś zabłysło w jego prawej dłoni. Sztylet. Musiał podnieść go z trawy. Przytknął jego czubek tuż nad sercem Jace'a.

– Jesteśmy dokładnie w tym samym miejscu, co pięć minut temu – stwierdził. – Miałeś swoją szansę. Wayland. Jakieś ostatnie słowo?

Jace czuł krew w ustach, oczy piekły go od potu. Był wyczerpany. Czy naprawdę w taki sposób miał umrzeć?

– Wayland? Wiesz, że tak się nie nazywam.

– Masz takie samo prawo do tego nazwiska jak do nazwiska Morgenstern – powiedział Sebastian. Pochylił się, tak że sztylet przebił skórę Jace'a. Zbliżył twarz do jego twarzy i wysyczał: – Naprawdę myślałeś, że jesteś synem Valentine'a? Naprawdę myślałeś, że jęczące, żalotne stworzenia takie jak ty zasługują na to, żeby być Morgensternem, moim bratem? – Odrzucił do tyłu białe włosy. Były mokre od potu i wody ze strumienia. – Jesteś odmieńcem. Mój ojciec pocałował trupa kobiety, żeby wydostać cię z jej brzucha i później dokonywać na tobie eksperymentów. Próbował wychować cię jak swojego syna, ale ty okazałeś się za słaby, żeby na coś mu się przydać. Nie mogłeś zostać wojownikiem. Byłeś bezużyteczny, więc wcisnął cię Lightwoodom, bo miał nadzieję, że później wykorzysta cię jako przynętę. Nigdy cię nie kochał.

Jace zamrugał.

– Więc ty...

– Jestem synem Valentine’a. Jonathanem Christopherem Morgensternem. Ty nigdy nie miałeś prawa do tego nazwiska. Jesteś duchem. Uzurpatorem. – Jego czarne oczy błyszczały jak pancerze martwych insektów.

Nagle Jace usłyszał głos matki... choć tak naprawdę to nie była jego matka: „Jonathan już nie jest dzieckiem. Nie jest nawet człowiekiem, tylko potworem”.

– To ty – wykrztusił Jace. – Ty masz w sobie demoniczną krew, a nie ja.

– Zgadza się. – Sztylet wbił się o kolejny milimetr w ciało Jace’a. Uśmiech Sebastiana był zastygłym grymasem, jak u trupiej czaszki. – Ty jesteś anielskim chłopcem. Ty, ze swoją ładną buzią, dobrymi manierami i wrażliwością. Nawet nie mogłeś bez płaczu patrzeć, jak umiera ptak. Nic dziwnego, że Valentine wstydził się ciebie.

– Nie. – Jace zapomniał o krwi w ustach, zapomniał o bólu. – To ciebie się wstydził. Myślisz, że nie zabrał cię ze sobą nad jezioro, bo byłeś mu potrzebny tutaj, żeby o północy otworzyć bramę? Jakby nie wiedział, że nie potrafisz czekać. Nie wziął cię ze sobą, bo wstydził się stanąć przed Aniołem i pokazać mu, co zrobił. Przedstawić mu istotę, którą stworzył. Ciebie. – Patrzył na Sebastiana z triumfem i jednocześnie z litością. – On wie, że nie ma w tobie nic ludzkiego. Może cię kocha, ale również nienawidzi...

– Zamknij się!

Sebastian skrzył rękojeść noża. Jace z krzykiem wygiął się w tył. Umrę, pomyślał. Umieram. To koniec. Nie wiedział, czy jego serce zostało przebite, ale nie mógł się ruszyć, nie mógł oddychać. Zrozumiał, jak to jest być motylem przyszpilonym do tablicy. Próbował coś powiedzieć, wymówić imię, ale z jego ust wydostała się tylko krew.

Jednakże Sebastian jakby czytał w jego oczach.

– Clary – domyślił się. – Prawie zapomniałem. Jesteś w niej zakochany, tak? Kazirodcze popędy omal cię nie zabiły. Szkoda, że nie wiedziałeś, że ona nie jest twoją siostrą. Mogłeś spędzić z nią resztę życia, gdybyś nie był taki głupi. – Pochylił się i napał na sztylet, tak że jego czubek zadrapał kość. Potem wyszeptał Jace’owi do ucha: – Ona też cię kochała. Pamiętaj o tym, kiedy będziesz umierał.

Ciemność nasunęła się z boków niczym farba rozlewająca się po fotografii. Ból nagle zniknął. Jace już nic nie czuł, nawet ciężaru zabójcy. Miał wrażenie, jakby szybował. Nad nim dryfowały biała twarz i uniesiony sztylet. Nagle na nadgarstku Sebastiana zabłysło coś złotego.

Ale to nie była bransoletka, bo się poruszała. Chłopak spojrzał zaskoczony w dół, kiedy sztylet wypadł mu z dłoni i poleciał w błoto.

Potem na ziemi obok noża wylądowała ręka oddzielona od nadgarstka.

Jace patrzył z osłupieniem, jak ucięta dłoń podskakuje i nieruchomieje obok pary wysokich czarnych butów. Kiedy wyżej uniósł wzrok, zobaczył smukłe nogi, szczupłą talię i znajomą twarz zwieńczoną kaskadą czarnych włosów. Isabelle ścisnęła bat poplamiony krwią i wbijała wzrok w twarz Sebastiana, który z rozdziawionymi ustami gapił się na kikut.

– To za Maksą, ty draniu – powiedziała z ponurym uśmiechem Nocna Łowczyni.

– Suka! – wyszczał Sebastian i zerwał się z ziemi.

Bicz Isabelle przeciął powietrze z niewiarygodną szybkością, ale Sebastian uskokczył w bok i zniknął wśród drzew. Jace domyślił się tego, słysząc szelest, ponieważ czuł zbyt silny ból, żeby odwrócić głowę.

– Jace! – Isabelle uklękła nad nim ze stelą w lewej ręce. W jej oczach lśniły łzy. Musiał naprawdę marnie wyglądać.

– Isabelle...

Próbował jej powiedzieć, żeby uciekała, bo choć była dzielna i świetnie wyszkolona, nie mogła mierzyć się z Sebastianem, który z pewnością nie daruje jej, że ucięła mu rękę. Niestety, z jego ust wydobył się tylko charkot.

– Nic nie mów – uciszyła go Isabelle, przykładając piekący czubek steli do jego skóry. – Wszystko będzie dobrze. Pewnie się zastanawiasz, co ja tutaj robię. Nie wiem, co powiedział ci Sebastian, ale nie jesteś synem Valentine'a. – *Iratze* już zaczął działać, ból powoli ustępował. Jace lekko skinął głową. – W każdym razie nie zamierzałam cię szukać po tym, jak zniknąłeś, bo napisałeś w liście, żeby tego nie robić. Ale nie mogłam pozwolić ci umrzeć ze świadomością, że masz w sobie krew demona i jesteś zły, choć, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak w ogóle mogłeś myśleć coś tak głupiego... – Jej dłoń zadrżała gwałtownie. Isabelle przestała rysować znak. Nie chciała go zepsuć. – A poza tym musiałeś się dowiedzieć, że Clary nie jest twoją siostrą. Tak więc namówiłam Magnusa, żeby cię wytropił. Użyłam tego drewnianego żołnierzyka, którego dałeś Maksowi. Magnus normalnie nie robi takich rzeczy, ale powiedzmy, że był w niezwykle dobrym nastroju, a ja zasugerowałam, że to prośba Aleca, co niezupełnie jest prawdą, jednak minie jakiś czas, zanim on to odkryje. Kiedy już wiedziałam, gdzie jesteś, zakradłam się do Bramy...

Isabelle krzyknęła. Jace próbował ją złapać, ale raptem znalazła się poza jego zasięgiem. Coś ją uniosło i cisnęło w bok. Bicz wypadł jej z ręki. Dźwignęła się na kolana, ale Sebastian już nad nią stał. Jego oczy płonęły wściekłością, kikut nadgarstka miał owiązany zakrwawioną szmatą. Nocna Łowczyni rzuciła się w stronę bata leżącego w trawie, ale przeciwnik poruszał się szybciej. Kopnął ją mocno, z półobrotu. Jace'owi wydawało się, że słyszy trzask pękających żeber. Isabelle poleciała do tyłu i wrzasnęła – wojowniczką, która nigdy nie krzyczała z bólu – kiedy Sebastian wymierzył jej następnego kopniaka i porwał z ziemi bicz.

Jace przetoczył się na bok. Niedokończony *iratze* pomógł, ale nadal dokuczał mu silny ból w piersi. Poza tym kaszel i plucie krwią oznaczały prawdopodobnie przebite płuco. Nie był pewien, ile ma czasu. Może minuty. Pomacał wokół siebie ziemię, szukając sztyletu upuszczonego przez Sebastiana. Wstał chwiejnie. Czując w powietrzu charakterystyczny zapach, pomyślał o wizji Magnusa, o świecie zamienionym w krew. Jego śliska dłoń zacisnęła się na rękojeści noża.

Zrobił krok do przodu. Potem następny. Miał wrażenie, jakby włókł stopy przez cement. Isabelle wyrzaskiwała przekleństwa, a Sebastian śmiał się, okładając ją biczem. Jej słabnące krzyki ponaglały Jace'a i mobilizowały go do wysiłku, ale świat wirował wokół niego jak na karuzeli.

Jeszcze jeden krok, nakazał sobie. I następny. Sebastian stał plecami do niego. Był skupiony na Isabelle. Pewnie myślał, że Jace już nie żyje. I rzeczywiście niewiele brakowało. Jeden krok, powtórzył sobie po raz kolejny, ale nie był w stanie go zrobić, nie mógł się ruszyć, zmusić do postawienia stopy przed sobą. Z obu stron zbliżała się do niego ciemność, głęboka czerń, która wkrótce miała pochłonąć wszystko i przynieść mu spokój i odpoczynek. Ale nagle przypomniało mu się, jak wyglądała Clary, kiedy ostatnio ją widział: spała z włosami rozrzuconymi po poduszce i dłonią pod policzkiem. Pomyślał wtedy, że jest to najbardziej beztroski i niezmacony obrazek, jaki w życiu widział. Lecz nie jej spokój go zaskoczył, tylko jego własny. Całkowite odprężenie, które czuł, będąc przy niej. Takiego uczucia nigdy wcześniej nie zaznał.

Nagły ból przeszył jego plecy. Jace uświadomił sobie z zaskoczeniem, że bez udziału woli jego nogi same ruszyły i zrobiły ostatni decydujący krok. Sebastian miał odchylone ramię, w jego dłoni lśnił bicz. Isabelle leżała nieruchomo na trawie, zwinięta w kłębek. Już nie krzyczała.

– Ty mała suko – mówił Sebastian – powinienem rozwalić ci twarz młotkiem, kiedy miałem okazję...

Jace zatopił sztylet w jego plecach.

Sebastian zatoczył się do przodu i wypuścił bat z ręki. Odwrócił się powoli i spojrzał na Jace'a, a on pomyślał ze zgrozą, że może ten chłopak naprawdę nie jest człowiekiem i nie można go zabić. Twarz Sebastiana była pusta, zniknęła z niej wrogość, a z oczu mroczny ogień. Już nie przypominał Valentine'a. Wyglądał... na przestraszonego.

Otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale runął na ziemię, gdy ugięły się pod nim kolana. Potoczył się po zboczu i wpadł do rzeki. Spoczął na plecach, z niewidzącymi oczami wpatrzonymi w niebo. Woda opływała jego ciało, unosząc ciemne nitki krwi w dół strumienia.

„Pokazał mi, że jest na plecach człowieka miejsce, gdzie, jeśli zatopisz tam ostrze, przebijesz serce i jednocześnie przetniesz rdzeń kręgowy”. Tamtego roku chyba dostaliśmy taki sam prezent urodzinowy, pomyślał Jace. Prawda, bracie?

– Jace! – Isabelle usiadła. Miała zakrwawioną twarz. – Jace!

Próbował odwrócić się w jej stronę, coś powiedzieć, ale osunął się na kolana. Na jego ramiona napierał wielki ciężar, ziemia go wzywała. Jeszcze usłyszał, jak Isabelle wykrzykuje jego imię, a potem otoczyła go ciemność.

Simon był weteranem niezliczonych bitew. To znaczy, jeśli liczyć bitwy stoczone podczas gry w „Dungeons And Dragons”. Jego przyjaciel Eric pasjonował się historią wojskowości, i to on zwykle organizował wojenne etapy gier, co oznaczało dziesiątki małych figurek poruszających się prostymi liniami po płaskim terenie narysowanym na papierze.

W taki sposób Simon zawsze myślał o bitwach. Albo uważał, że wyglądają jak na filmach: dwie grupy ludzi zbliżają się do siebie przez rozległe pole. Proste linie i uporządkowany marsz naprzód.

Tutaj było zupełnie inaczej.

Tu panowały chaos, wrzawa i bezładny ruch, a w dodatku wszystko działo się nie na płaskim, równym terenie, tylko w błocie wymieszanym razem z krwią w gęstą, ruchomą breję. Simon wyobrażał sobie, że Dzieci Nocy wkroczą na pole bitwy i zostaną powitane przez dowództwo. Sądził, że najpierw zobaczy bój z oddali i będzie mógł obserwować, jak dwie strony nacierają na siebie. Ale tutaj nie czekało go żadne powitanie ani nie było stron. Jakby przez przypadek trafił z opustoszałej ulicy na zamieszki na środku Times Square, nagle otoczyły go

napierające tłumy. Czyjeś ręce chwyciły go, odpychały. Wampiry rozbiegły się i włączyły do walki, nawet się na niego nie obejrzawszy.

I wszędzie były demony. Wydawały z siebie niesamowite dźwięki: wrzaski, pohukiwania, chrząkanie, wycie, które przewiercały jego uszy jak szpikulce. Najgorsze jednak okazały się odgłosy rozrywania i mlaskanie. Simon żałował, że nie może wyłączyć słuchu. Potknął się o ciało na pół zagrzebane w błocie i odwrócił się, żeby sprawdzić, czy nie jest potrzebna pomoc. Zobaczył, że z Nocnego Łowcy zostały od ramion w górę same kości bielejące na czarnej ziemi. Zrobiło mu się niedobrze.

Chyba jestem jedynym wampirem na świecie, którego mdli na widok krwi, pomyślał. Nagle coś uderzyło go mocno z tyłu. Przewrócił się i zsunął po błotnistym stoku do jamy.

Okazało się, że ma tam towarzystwo. Gdy przetoczył się na plecy, ujrzał nad sobą demona, który wyglądał jak śmierć ze średniowiecznego drzeworytu: ożywiony szkielet z zakrwawionym tasakiem w kościstej ręce. Simon rzucił się w bok, kiedy ostrze opadło, zaledwie cale od jego twarzy. Kościotrup wydał syk zawodu i ponownie uniósł tasak...

Został uderzony z boku drewnianą maczugą i rozpadł się jak *piñata* wypełniona gnatami. Kości posypały się na ziemię z dźwiękiem podobnym do grzechotu kastanietów i zniknęły w ciemności.

Nad jamą stał Nocny Łowca, którego Simon nigdy wcześniej nie widział. Wysoki, brodaty mężczyzna zbryzgany krwią przesunął brudną ręką po czole, zostawiając na skórze czarną smugę.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Oszołomiony Simon zaczął gramolić się z dziury.

– Dzięki.

Obcy pochylił się i podał mu rękę. Simon ujął ją... i pofrunął w górę. Wylądował na brzegu jamy, ślizgając się na mokrym błocie. Wojownik uśmiechnął się nieco zmieszany i powiedział:

– Przepraszam. Mój partner jest wilkołakiem. Nie jestem przyzwyczajony do siły Podziemnego. – Przyjrzał się Simonowi. – Jesteś wampirem, tak?

– Skąd wiesz?

Mężczyzna posłał mu znużony uśmiech, w którym nie było śladu wrogości.

– Chodzi o kły. Wysuwają się, kiedy walczyacie. Wiem, bo... – Urwał raptownie, ale bez trudu Simon domyślił się dalszej części zdania: „zabiłem w życiu trochę wampirów”. – Tak czy inaczej, dziękuję, że walczysz razem z nami.

– Ja... – Simon chciał powiedzieć, że właściwie jeszcze nie walczył, ale zdążył wymówić tylko jedno słowo, kiedy z nieba spadł ogromny stwór z postrzępionymi skrzydłami i wbił pazury w plecy Nocnego Łowcy.

Mężczyzna nawet nie krzyknął. Jego głowa odskoczyła do tyłu, jakby spojrzał w górę zaskoczony... a potem zniknął, porwany w puste, czarne niebo. Jego maczuga z głuchym hukiem spadła na ziemię.

Simon się nie poruszył. Wszystko od chwili, kiedy wpadł do jamy, trwało niecałą minutę. Rozejrzał się odrętwiały i zobaczył ostrza przecinające ciemność, pazury demonów, rozbłyски, które pojawiały się tu i ówdzie w mroku niczym świetliki wśród listowia. I nagle zrozumiał, co to jest. Jaśniejące serafickie noże.

Nie widział Lightwoodów, Penhallowów, Luke’a ani innych znajomych osób. Nie był Nocnym Łowcą. Ale tamten wojownik podziękował mu za walkę. I rzeczywiście Simon teraz poczuł, że jest to również jego bitwa, a on może się w niej przydać. Nie jako łagodny maniak komputerowy, nienawidzący widoku krwi, tylko wampir, istota, której sam jeszcze dobrze nie znał.

„Prawdziwy wampir wie, że jest martwy”, powiedział Raphael. Ale Simon nie czuł się martwy. Wprost przeciwnie, nigdy nie czuł się bardziej żywy. Nagle zamajaczył przed nim następny demon, podobny do jaszczurki, z łuskowatą skórą i zębami gryzonia. Rzucił się na Simona, wyciągając czarne pazury.

Simon skoczył na stwora i przywarł do jego potężnego boku, wbijając paznokcie w łuski. Kiedy zanurzał kły w karku przeciwnika, znak na jego czole pulsował.

Krew smakowała paskudnie.

\*\*\*

Kiedy odłamki przestały sypać się z góry, w suficie pojawiła się dziura szeroka na kilka stóp, jakby wybił ją meteor. Przez otwór wpadało zimne powietrze. Clary wstała, drżąc, i otrzepała szklany pył z ubrania.

Magiczne światło rozjaśniające salę zgasło. Wnętrze wypełniały teraz cienie i kurz. Przez otwarte frontowe drzwi było widać słabą, niknącą poświatę Bramy utworzonej na placu.

Pozostawanie tutaj nie jest bezpieczne, uznała Clary. Powinna pójść do Penhallowów i pomóc Aline. Znajdowała się w połowie sali, kiedy usłyszała odgłos kroków na marmurowej posadzce. Odwróciła się z dudniącym sercem i zobaczyła w półmroku wysoką, pająkową postać zmierzającą ku podium. Co tutaj robił Malachi? Czy nie powinien być z resztą Nocnych Łowców na polu bitwy?

Kiedy zbliżył się do podwyższenia, Clary przytknęła dłoń do ust, tłumiąc okrzyk zaskoczenia. Na ramieniu Konsula siedział czarny ptak. A dokładniej, kruk.

Hugo.

Clary ukucnęła za kolumną. Malachi zaczął wchodzić po stopniach, czujnie rozglądając się na boki. Gdy stwierdził, że nikt go nie obserwuje, wyjął z kieszeni coś małego i lśniącego. Wsunął to na palec. Sygnet? Kiedy go przekręcił, Clary przypomniała sobie, jak w bibliotece Instytutu Hodge bierze pierścień z ręki Jace'a...

Powietrze przed Konsulem zadrgało lekko, jakby było rozgrzane, i rozległ się głos, znajomy, chłodny i kulturalny, teraz naznaczony tonem irytacji.

– O co chodzi, Malachi? Nie jestem teraz w nastroju na pogawędki.

– Mój panie – zaczął Konsul. Jego zwykłą wrogość zastąpiła służalczość. – Hugin złożył mi przed chwilą wizytę, przynosząc wieść. Uznałem, że ty dotarłeś do Lustra, dlatego odszukał mnie. Pomyślałem, że może zechcesz to wiedzieć.

– Dobrze – burknął Valentine. – Co to za wiadomość?

– Chodzi o twojego syna, panie. Twojego drugiego syna. Hugin wytropił go w dolinie przy jaskini. Możliwe, że cię śledził, kiedy szedłeś tunelami do jeziora.

Clary zacisnęła zbielełe palce na kolumnie – rozmawiali o Jasie.

Valentine chrząknął.

– Spotkał tam swojego brata?

– Hugin mówi, że zostawił ich, gdy toczyli walkę.

Clary poczuła ściskanie w żołądku. Jace walczył z Sebastianem? Przypomniała sobie, jak w Gard Sebastian podniósł Jace'a lekko jak piórko i cisnął nim bez widocznego wysiłku. Ogarnęła ją panika, tak silna, że przez chwilę szumiało jej w uszach. Zanim sala przestała wirować, nie usłyszała tego, co Valentine odpowiedział Malachiemu.



– Martwię się o tych, którzy dostali Znaki, ale nie są jeszcze na tyle dorośli, żeby walczyć  
– mówił teraz Konsul. – Nie brali udziału w głosowaniu Rady. Uważam, że to niesprawiedliwe karać ich w taki sam sposób jak walczących.

– Zastanawiałem się nad tym. – Głos Valentine’a był jak basowe dudnienie. – Ponieważ nastolatki są słabiej Naznaczone, minie więcej czasu, nim zostaną Wyklętymi. Co najmniej kilka dni. Sądzę więc, że można odwrócić proces.

– A tym, którzy wypili z Kielicha Anioła, zupełnie nic nie grozi?

– Jestem zajęty, Malachi – powiedział Valentine. – Obiecałem ci, że będziesz bezpieczny.

Poświęciłem życie tej sprawie. Miej trochę wiary.

Konsul skłonił głowę.

– Mam wielką wiarę, panie. Od lat służę tobie w milczeniu i pokorze.

– I zostaniesz nagrodzony – zapewnił Valentine.

Malachi podniósł wzrok.

– Panie...

Powietrze przestało migotać. Valentine zniknął. Konsul zmarszczył brwi, po czym zszedł po stopniach podium i ruszył w stronę frontowych drzwi. Clary skuliła się za kolumną, w nadziei że Malachi jej nie zauważy. Serce tłukło się jej w piersi.

O co w tym wszystkim chodziło? Dlaczego mówili o Wyklętych? Odpowiedź kryła się w zakamarkach jej umysłu, ale była zbyt straszna, żeby się nad nią zastanawiać. Nawet Valentine nie mógłby...

Zobaczyła, że coś ciemnego leci ku jej twarzy. Ledwo zdążyła unieść ręce i zasłonić oczy, kiedy ptasie skrzydła zaczęły smagać wierzchy jej dłoni i nadgarstki. Usłyszała dzikie krakanie.

– Hugin, dość! – krzyknął Konsul ostrym głosem. – Hugin!

Znowu rozległo się krakanie, a po nim głuchy stuk. Clary opuściła ręce i zobaczyła kruka leżącego bez ruchu u stóp Malachiego. Nie wiedziała, czy ptak jest tylko ogłuszony, czy martwy. Konsul kopniakiem usunął go z drogi i zbliżył się do Clary z groźną miną. Chwycił ją za krwawiący nadgarstek i dźwignął z podłogi.

– Głupia dziewczyna. Od jak dawna podsłuchujesz?

– Od dość dawna, by wiedzieć, że należy pan do Kręgu – odwarknęła, próbując wyrwać rękę, ale Konsul trzymał ją mocno. – Jest pan po stronie Valentine’a.

– To jest jedyna strona. – Głos Malachiego zabrzmiał jak syk. – Clave jest głupie i zagubione, za bardzo hołubi półludzi i potwory. Ja chcę jedynie je oczyścić, żeby odzyskało poprzednią chwałę. Taki cel powinien mieć każdy Nocny Łowca, ale nie... oni wolą słuchać durniów i wielbicieli demonów takich jak ty i Lucian Graymark. Wysłaliście sam kwiat, najlepszych Nefilim, żeby zginęli w nedorzecznej bitwie. Pusty gest, który na nic się nie zda. Valentine już rozpoczął rytuał. Wkrótce przybędzie Anioł, a Nefilim zostaną Wyklętymi. Wszyscy, z wyjątkiem tych kilku, którzy znajdują się pod ochroną Valentine’a...

– To zbrodnia! On morduje Nocnych Łowców!

– Nie zbrodnia, tylko oczyszczanie. – W głosie Konsula pobrzmiwały nuty fanatycznej pasji. – Valentine stworzy nowy świat Nocnych Łowców, świat pozbawiony słabości i zepsucia.

– To nie świat jest słaby i zepsuty, tylko ludzie – odparowała Clary. – I zawsze tacy będą. Świat po prostu potrzebuje dobrych ludzi, żeby zrównoważyli zło. A wy zamierzacie ich wszystkich zabić.

Malachi patrzył na nią przez chwilę szczerze zaskoczony jej siłą.

– I to mówi dziewczyna, która jest gotowa zdradzić własnego ojca. – Malachi brutalnie przyciągnął ją do siebie za rozorany nadgarstek. – Może się przekonamy, czy Valentine wpadnie w gniew, kiedy dam ci nauczkę...

Ale Clary nie dowiedziała się, jaką nauczkę chciał jej dać Konsul, bo między nimi pojawił się ciemny kształt. Z rozpostartymi skrzydłami i wysuniętymi szponami.

Kruk zahaczył Malachiego czubkiem pazura i zostawił krwawą bruzdę na jego twarzy. Konsul z krzykiem puścił Clary i uniósł ręce, ale Hugo zaatakował ponownie, tnąc go wściekle pazurami i dziobem. Malachi zatoczył się do tyłu, machając ramionami. Uderzył mocno w brzeg ławki, ta przewróciła się z hukiem, Konsul stracił równowagę i runął na podłogę ze zdławionym okrzykiem... który raptownie ucichł.

Clary podbiegła do leżącego i zobaczyła, że wokół niego zebrała się kałuża krwi. Malachi wylądował na stosie szkła z rozbitego sufitu. Jeden z większych odłamków przebił mu gardło. Hugo, który krążył w powietrzu nad nieruchomym ciałem, zakrakał triumfalnie, kiedy Clary na niego spojrzała. Najwyraźniej nie spodobały mu się kopniaki Konsula. Malachi powinien mieć więcej rozumu. Ptak okazał się równie mściwy jak jego pan.

Ale nie było teraz czasu na rozmyślania o Malachim. Alec powiedział jej, że jezioro chronią czary i jeśli ktoś przeniesie się tam przez Bramę, włączy się alarm. Valentine zapewne

już dotarł na miejsce. Nie było czasu do stracenia. Clary cofnęła się wolno przed krukiem, a potem odwróciła się i popędziła do frontowych drzwi sali i migoczącej Bramy.

## Równowaga

Zetknięcie z wodą było jak cios w twarz. Clary wpadła w lodowatą ciemność. Krztusząc się, pomyślała, że Brama zniknęła i już nie da się jej naprawić, a ona utknęła w czarnej, wirującej otchłani.

Potem przyszło jej do głowy, że już nie żyje.

Zapewne była nieprzytomna tylko przez kilka sekund, choć wydawało się jej, że to koniec wszystkiego. Ocknęła się gwałtownie, jakby przebiła się przez warstwę lodu. Leżała na plecach na zimnej, wilgotnej ziemi i patrzyła w niebo tak usiane gwiazdami, że zdawało się, jakby na ciemną powierzchnię garściami rzucono srebro. Usta miała pełne słonawego płynu. Odwróciła głowę, zaczęła kaszleć i pluć. Po dłuższej chwili znowu mogła oddychać.

Kiedy jej żołądek przestał się kurczyć, przetoczyła się na bok. Nadgarstki miała związane paskiem słabego światła, nogi ciężkie i sztywne, jakby całe były pokłute igłami. Nie wiedziała, czy zdrętwiały, bo na nich leżała, czy to skutek uboczny tonięcia. Kark ją piekł jak po użądleniu przez osę. Dźwignęła się ze stęknięciem do pozycji siedzącej i rozejrzała.

Znajdowała się na samym brzegu jeziora Lyn. Za nią wznosiło się czarne urwisko, które pamiętała ze swojego wcześniejszego pobytu w tym miejscu z Lukiem. Ciemny, drobny piasek lśnił od ziarenek miki. Wetknięte w niego tu i ówdzie magiczne pochodnie rozsiewały srebrzysty blask i rzucały na wodę świetlistą sieć.

Na brzegu, kilka stóp od miejsca, gdzie Clary siedziała, stał niski stół z płaskich kamieni. Najwyraźniej ułożono je w pośpiechu, bo choć przerwy między nimi były uszczelnione wilgotnym piaskiem, niektóre się przekrzywiły. Gdy Clary ujrzała to, co stało na kamieniach, zaparło jej dech: Kielich Anioła, a na nim Miecz Anioła, jezior czarnego ognia otoczony magicznym światłem. Wokół ołtarza zobaczyła na piasku czarne linie runów, ale nie potrafiła ich odczytać. Wydawały się zupełnie pozbawione sensu...

Nagle przeciął je szybko poruszający się cień. Długi, czarny cień, niewyraźny i rozmyty w migotliwym blasku pochodni. Kiedy Clary uniosła głowę, nad nią stał Valentine.

Szok spowodowany jego widokiem był tak silny, że wprawił ją w odrętwienie. Clary nie czuła nic, patrząc na ojca, którego twarz wyglądała na tle ciemnego nieba jak księżyc: biała, surowa, z czarnymi oczodołami niczym kraterzyce po meteorach. Jego pierś przecinało kilka skórzanych pasów na broń, z tuzin rękojęści sterczało za jego plecami jak igły jeżozwierz. Valentine przypominał ogromny, groźny posąg wojownika, boga zniszczenia.

– Clarisso, podjęłaś spore ryzyko, przynosząc się tutaj przez Bramę – powiedział. – Masz szczęście, że dostrzegłem cię w wodzie. Byłaś nieprzytomna. Gdyby nie ja, utonąłabyś. – Mięsień przy jego ustach drgnął lekko. – Nie liczyłbym na alarmy, które Clave rozmieściło wokół jeziora. Unieszkodliwiłem je od razu po przybyciu. Nikt nie wie, że tutaj jesteś.

„Nie wierzę ci!”. Clary otworzyła usta, żeby cisnąć mu te słowa w twarz, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk, tylko bezgłośnie tchnienie, jakby chciała krzyknąć z poderżniętym gardłem. Podobnie było w nocnych koszmarach.

Valentine pokręcił głową.

– Nie próbuj mówić. Narysowałem na twoim karku znak milczenia, jeden z tych, których używali Cisi Bracia. Na nadgarstkach masz znak krępujący i kolejny na nogach. Na twoim miejscu raczej bym nie wstawał. Nogi nie utrzymają twojego ciężaru, a tylko poczujesz ból.

Clary przeszła go nienawistnym spojrzeniem, ale on nawet tego nie zauważył.

– Mogło być gorzej, wiesz. Zanim wyciągnąłem cię na brzeg, już zaczęła działać trucizna jeziora. Uzdrowiłem cię, tak przy okazji. Co prawda, nie oczekuję podziękowań. – Uśmiechnął się blado. – Jeszcze nigdy tak naprawdę ze sobą nie rozmawialiśmy, nie uważasz? Pewnie się zastanawiasz, dlaczego nie okazywałem ci ojcowskiego zainteresowania. Przepraszam, jeśli cię zraniłem.

Spojrzenie Clary zmieniło się z nienawistnego w niedowierzające. Jak mieli rozmawiać, skoro ona nie mogła się odezwać? Znowu usiłowała coś powiedzieć, ale z jej gardła wydostał się tylko pisk.

Valentine odwrócił się z powrotem do ołtarza i położył rękę na Mieczu Anioła. Broń rozjarzyła się czarnym blaskiem, jakby wchłaniał światło z powietrza.

– Nie wiedziałem, że twoja matka była w ciąży, kiedy mnie opuściła. – Przemawiał do niej w taki sposób, jak nigdy wcześniej.

Tonem spokojnym, wręcz konwersacyjnym, ale nie o ton chodziło. – Czułem, że coś jest nie w porządku. Jocelyn myślała, że dobrze przede mną ukrywa, że jest nieszczęśliwa. Wziąłem

więc trochę krwi od Ithuriela, wysuszyłem ją na proszek i domieszałem jej do jedzenia. Nie zrobiłbym tego, gdybym wiedział, że jest w ciąży. Postanowiłem więcej nie eksperymentować z własnym dzieckiem.

„Kłamiesz!”, chciała krzyknąć Clary, ale nie była pewna, czy tak jest rzeczywiście. Valentine nadal zwracał się do niej dziwnie. Inaczej. Może dlatego, że mówił prawdę.

– Kiedy uciekła z Idrisu, szukałem jej przez lata. Nie dlatego, że miała Kielich Anioła, tylko dlatego, że ją kochałem. Myślałem, że gdybym tylko mógł z nią porozmawiać, przemówiłbym jej do rozsądku. To, co zrobiłem tamtej nocy w Alicante, uczyniłem w napadzie wściekłości. Chciałem zniszczyć ją i wszystko, co wiązało się z naszym wspólnym życiem. Ale potem... – Potrząsnął głową i spojrzał na jezioro. – Gdy w końcu ją wytropiłem, usłyszałem plotki, że ma drugie dziecko. Uznałem, że jesteś córką Luciana. On zawsze kochał Jocelyn, zawsze chciał mi ją zabrać. Sądziłem, że w końcu mu uległa. Zgodziła się na dziecko z brudnym Podziemnym. – Jego głos stwardniał. – Kiedy znalazłem ją w waszym mieszkaniu w Nowym Jorku, była ledwo przytomna. Zarzuciła mi, że uczyniłem potwora z jej pierwszego dziecka, i powiedziała, że zostawiła mnie, zanim to samo zrobiłem z drugim. Potem zemdląła w moich ramionach. Przez wszystkie te lata jej szukałem, a dostałem tylko kilka sekund, w czasie których patrzyła na mnie z bezgraniczną nienawiścią.

I wtedy coś sobie uświadomiłem.

Unosił Maellartacha. Mięśnie na jego ramieniu napięły się jak postronki. Clary pamiętała, jaki ciężki jest ten miecz.

– Uświadomiłem sobie, że zostawiła mnie, żeby chronić córkę. Jonathana nienawidziła, ale dla ciebie zrobiłaby wszystko. Nawet zamieszkała wśród Przyziemnych, co musiało być dla niej wielkim poświęceniem. Musiało ją boleć, że nie będzie mogła wychować cię w naszej tradycji. Nie jesteś taka, jaka mogłabyś być. Masz talenty, ale zostały zaprzepaszczone przez przyziemne wychowanie.

Valentine opuścił miecz tak, że jego czubek znalazł się tuż przy twarzy Clary. Widziała go kątem oka, unosił się na skraju jej pola widzenia jak srebrna ćma.

– Wtedy zrozumiałem, że przez ciebie Jocelyn nigdy do mnie nie wróci. Ty jesteś jedyną istotą na świecie, którą ona kocha bardziej niż mnie kiedyś. Z twojego powodu mnie nienawidzi. Dlatego ja nie mogę znieść twojego widoku.

Clary odwróciła głowę. Jeśli zamierzał ją zabić, nie chciała widzieć nadchodzącej śmierci.

– Clarisso, spójrz na mnie – zażądał Valentine.

Nie. Patrzyła na jezioro. Daleko na wodzie widziała słabą czerwoną poświatę, jakby żar dogasającego ogniska. Wiedziała, że to może być luna nad polem bitwy. Byli tam jej matka i Luke. Może dobrze, że są razem, skoro jej przy nich nie ma.

Będę wpatrywać się w to światło, pomyślała. Będę patrzeć, choćby nie wiem co. To będzie ostatnia rzecz, którą zobaczę.

– Clarisso, wyglądasz jak ona, wiesz? Jak Jocelyn.

Clary poczuła ostry ból na policzku. Valentine przyciskał czubek Miecza do jej skóry, żeby ją zmusić do odwrócenia głowy w jego stronę.

– Zamierzam teraz wezwać Anioła – oznajmił. – I chcę, żebyś na to patrzyła.

Clary poczuła gorzki smak w ustach.

Wiem, dlaczego masz taką obsesję na punkcie mojej matki. Bo wydawało ci się, że masz nad nią całkowitą kontrolę, a ona cię ugryzła. Myślałeś, że jest twoją własnością, ale się pomyliłeś. To dlatego chcesz, żebym była teraz świadkiem twojego zwycięstwa. Dlatego rozprawisz się ze mną.

Miecz wbił się jeszcze głębiej w jej policzek.

– Spójrz na mnie, Clarisso – powtórzył Valentine.

Nie chciała spełnić jego żądania, ale ból okazał się zbyt silny. Głowa odwróciła się w bok niemal wbrew jej woli. Krew ciekła po jej twarzy, kapła wielkimi kroplami na piasek. Gdy Clary podniosła wzrok na ojca, chwyciły ją mdłości.

Valentine patrzył na nią wzdłuż ostrza Maellartacha, splamionego krwią. Kiedy odwzajemnił jej spojrzenie, w oczach miał dziwne światło.

– Do dopełnienia tej ceremonii potrzebna jest krew – powiedział. – Zamierzałem użyć swojej, ale kiedy zobaczyłem cię w jeziorze, zrozumiałem, że Razjel w ten sposób nakazuje mi użyć twojej. Dlatego oczyściłem ją z trucizny jeziora. Teraz jesteś gotowa, więc dziękuję ci, Clarisso, za ten cenny dar.

W pewnym sensie mówił szczerze, naprawdę był jej wdzięczny, doszła do wniosku Clary. Już dawno utracił zdolność odróżniania przymusu od współdziałania, strachu od ochoty, miłości od udręki. I wraz z tą myślą ogarnęło ją odrętwienie. Jaki był sens nienawidzić Valentine'a, skoro on nawet nie zdawał sobie sprawy, że jest potworem?

– A teraz potrzebuję jeszcze trochę – powiedział.

Jeszcze trochę czego? – pomyślała Clary, kiedy zamachnął się bronią i z klingi buchnęło światło gwiazd. Oczywiście. On chce nie tylko krwi, ale mojej śmierci. Miecz już nasycił się krwią. Pewnie ją lubił, tak jak Valentine. Podążyła wzrokiem za czarnym blaskiem Maellartacha, który przeciął powietrze, opadając ku niej...

I poszybował w ciemność. Valentine wytrzeszczył oczy. Następnie spojrzął na zakrwawioną dłoń... po czym uniósł wzrok i zobaczył, co wytrąciło mu Miecz Anioła z ręki.

Na skraju piaszczystego wzniesienia, zaledwie stopę od niego, stał Jace z Maellartachem w lewej ręce. Po wyrazie twarzy Valentine'a Clary zorientowała się, że nie słyszał wcześniej jego kroków.

Na widok Jace'a zamarło jej serce. Bok jego twarzy pokrywała zaschnięta krew, na szyi miał jaskrawoczerwony ślad. Jego oczy lśniły jak lustra, w magicznym blasku były tak czarne jak u Sebastiana.

– Clary, wszystko w porządku? – zapytał, nie odrywając wzroku od ojca.

Jace! Próbowała wymówić jego imię, ale tylko zaczęła się dławić.

– Ona ci nie odpowie – uprzedził go Valentine. – Nie może mówić.

Oczy Jace'a zapłonęły.

– Co jej zrobiłeś?

Zamachnął się mieczem, ale Valentine cofnął się o krok z wyrazem czujności na twarzy, bez śladu strachu. Malowało się na niej również wyrachowanie, które nie spodobało się Clary. Powinna czuć ulgę i radość, ale tak nie było... jeśli już, to bała się bardziej niż przed chwilą. Gdy zrozumiała, że Valentine ją zabije, pogodziła się z tą myślą, lecz teraz zjawił się Jace, a wraz z nim przerażenie, które objęło również jego. Wyglądał strasznie. Strój, cały ubrudzony ziemią, miał rozcięty na połowie długości ramienia, skórę pod spodem poznaczoną białymi liniami, koszulę rozdartą z przodu. Nad sercem widniał blaknący *iratze*, który nie całkiem zasłaniał znajdującą się pod nim wściekle czerwoną bliznę. Ale najbardziej wstrząsnęła Clary jego twarz. Była taka... posępna.

– Znak milczenia. Nic jej nie będzie. – Valentine utkwiał w Jasiu głodny wzrok, jakby napawał się jego widokiem. – Zapewne nie przyszedłeś tutaj, żeby się do mnie przyłączyć? Zostać pobłogosławionym przez Anioła razem ze mną?

Mina Jace'a nie zmieniła się ani trochę. Spojrzenie miał utkwione w ojcu i nie było w nich nic: nawet śladu miłości czy wspomnień. Nawet nienawiści. Tylko pogarda. Zimna pogarda.



– Wiem, co planujesz – odezwał się Jace. – Wiem, dlaczego wzywasz Anioła. I nie pozwolę ci na to. Już wysłałem Isabelle, żeby ostrzegła armię...

– Ostrzeżenia niewiele im pomogą. To nie jest rodzaj niebezpieczeństwa, przed którym można uciec. – Valentine powiódł wzrokiem ku broni Jace'a. – To nie jest twój miecz. To miecz Morgensternów.

Jace posłał mu mroczny uśmiech.

– Należał do Jonathana. On nie żyje.

Valentine popatrzył na niego z osłupieniem.

– Masz na myśli...

– Podniosłem go z ziemi – oznajmił Jace bez emocji. – Jonathan upuścił broń, kiedy go zabiłem.

– Zabiłeś Jonathana? – wykrztusił Valentine. – Jak mogłeś?

– Inaczej on zabiłby mnie. Nie miałem wyboru.

– Nie to miałem na myśli. – Valentine potrząsnął głową. Nadal wyglądał na oszołomionego jak bokser, który po silnym ciosie pada na deski. – Wychowałem Jonathana, sam go szkoliłem. Nie było lepszego wojownika od niego.

– Najwyraźniej taki się znalazł – skwitował Jace.

– Ale... – Valentine'owi załamał się głos. Clary po raz pierwszy usłyszała w nim nutę niepewności. – Był twoim bratem.

– Nie. – Jace zrobił krok do przodu. Ostrze miecza zbliżyło się o cal do serca Valentine'a.

– Co się stało z moim prawdziwym ojcem? Isabelle mówi, że zginął w czasie wypadu, ale czy rzeczywiście tak było? A może go zabiłeś, jak moją matkę?

Valentine nadal sprawiał wrażenie ogłuszonego, jakby walczył o odzyskanie panowania nad sobą? A może po prostu bał się zginąć?

– Nie zabiłem twojej matki. Sama odebrała sobie życie. Wyjąłem cię z jej martwego ciała. Gdybym tego nie zrobił, umarłbyś razem z nią.

– Ale dlaczego to zrobiłeś? Nie potrzebowałeś drugiego syna, bo już jednego miałeś! – Jace wyglądał groźnie w blasku księżyca, groźnie i dziwnie, jak ktoś obcy. Ręka, która przytknęła miecz do szyi Valentine'a, nie drżała. – Powiedz mi prawdę. Dość już kłamstw, że jesteśmy z tego samego ciała i krwi. Rodzice okłamują dzieci, ale ty... ty nie jesteś moim ojcem. Chcę prawdy.

– Nie potrzebowałem syna, tylko żołnierza – przyznał Valentine. – Myślałem, że będzie nim Jonathan, ale miał w sobie za dużo demonicznej natury. Był zbyt dziki, porywczy, za mało subtelny. Już wtedy, gdy ledwo wyrósł z pieluch, obawiałem się, że nigdy nie będzie miał cierpliwości ani współczucia, żeby po mnie przejąć władzę nad Clave. Dlatego spróbowałem z tobą, ale szybko się zorientowałem, że mam wręcz przeciwny kłopot. Okazałeś się zbyt łagodny. Zbyt empatyczny. Odbierałeś ból innych jak swój. Nie potrafiłeś znieść śmierci ulubieńców. Zrozum, synu. Kochałem cię za te cechy, ale one jednocześnie sprawiały, że byłeś dla mnie bezużyteczny.

– Uznałeś więc, że jestem miękki i bezużyteczny – stwierdził Jace. – Pewnie będziesz zaskoczony, kiedy twój miękki i bezużyteczny syn poderżnie ci gardło.

– Już to przerabialiśmy. – Głos Valentine’a był spokojny, ale Clary dostrzegła pot lśniący na jego skroniach i u nasady szyi. – Nie zrobisz tego. Nie zdobyłeś się na zabicie mnie w Renwick i teraz też nie dasz rady.

– Mylisz się. – Jace mówił odmierzoną tonem. – Od tamtego dnia żałowałem, że pozwoliłem ci odejść. Mój brat Max nie żyje, bo wtedy cię nie zabiłem. Dziesiątki, może setki ludzi nie żyją, bo w decydującej chwili powstrzymałem rękę. Znam twój plan. Wiem, że chcesz wymordować wszystkich Nocnych Łowców w Idrisie. I zadaję sobie pytanie, ile jeszcze osób musi umrzeć, zanim zrobię to, co powinienem był zrobić na Blackwell’s Island? Nie. Nie chcę cię zabijać, ale zabiję.

– Nie rób tego – powiedział Valentine. – Proszę. Nie chcę...

– Umierać? Nikt nie chce umierać, ojciec. – Czubek miecza przesunął się niżej, tuż nad serce Valentine’a. Twarz Jace’a była spokojna, jak oblicze anioła wymierzającego boską sprawiedliwość. – Jakieś ostatnie słowo?

– Jonathanie...

Krew splamiła koszulę Valentine’a w miejscu, gdzie było przytknięte ostrze miecza. Clary stanął przed oczami obraz drżącej ręki Jace’a, kiedy w Renwick nie chciał zrobić krzywdy ojcu, choć ten go prowokował: „Wbij ostrze, na trzy cale, może cztery”. Teraz dłoń Jace’a była pewna, a Valentine wyglądał na przestraszonego.

– Ostatnie słowa – ponaglił go Jace.

Valentine uniósł głowę i spojrzał na niego z powagą w czarnych oczach.

– Przepraszam – powiedział. – Tak mi przykro.

Wyciągnął rękę, jakby zamierzał dotknąć syna – dłonią zwróconą ku górze, z rozpostartymi palcami – i wtedy srebrny błysk przeszył ciemność jak kula wystrzelona z karabinu. Pęd powietrza musnął policzek Clary. Valentine chwycił w locie długi ognisty jęzor, Miecz Anioła, i wbił go w serce syna.

Po twarzy Jace'a przemknął wyraz niedowierzania, kiedy spojrzał w dół na Maellartacha, który sterczał z jego piersi. Wyglądał raczej dziwacznie niż strasznie, jak rekwizyt z nocnego koszmaru, w którym nie ma za grosz sensu. Valentine cofnął rękę, wyszarpując miecz z rany jak sztylet z pochwy. Jace osunął się na kolana, jakby tylko broń podtrzymywała go w pozycji stojącej. Broń wypadła mu z ręki na wilgotną ziemię. Jace spojrzał na nią ze zdumieniem. Gdy otworzył usta, jakby chciał spytać, co się dzieje, na jego brodę pociekła krew, splamiła podartą koszulę.

Później wszystko potoczyło się bardzo wolno, jakby czas się rozciągnął. Valentine opadł na ziemię i wziął Jace'a na kolana jak małe dziecko. Przytulił go do siebie i zaczął kołysać. Przycisnął twarz do jego ramienia. Clary myślała przez chwilę, że Valentine się rozpłaczę, ale kiedy uniósł głowę, jego oczy były suche.

– Mój syn – wyszeptał. – Mój chłopiec.

Spowolniony czas otoczył Clary jak duszący sznur, podczas gdy Valentine trzymał Jace'a w objęciach i odgarniał zakrwawione włosy z jego czoła. Kiedy światło w oczach umierającego syna zgasło, położył go delikatnie na ziemi i skrzyżował mu ręce na piersi, jakby chciał ukryć ziejącą w niej krwawą ranę.

– Ave... – rozpoczął nad nim modlitwę Nocnych Łowców, ale głos mu się załamał.

Odwrócił się gwałtownie i poszedł w stronę ołtarza.

Clary nie mogła się ruszyć. Z trudem oddychała. Słyszała bicie własnego serca, szmer oddechu w suchym gardle. Kątem oka widziała ojca stojącego na brzegu jeziora. Krew ściekała z ostrza Maellartacha i kapała do Kielicha Anioła, a Valentine śpiewał słowa, których nie rozumiała. Nawet nie próbowała ich zrozumieć. Niemal się cieszyła, że wkrótce będzie po wszystkim. Zastanawiała się, czy ma dość energii, by dowiec się do Jace'a, położyć się obok niego i czekać na koniec. Leżał nieruchomo na zakrwawionym piasku, z zamkniętymi oczami i spokojną twarzą. Gdyby nie rana na piersi, mogłaby sobie wmówić, że on tylko śpi.

Ale nie spał. Był Nocnym Łowcą. Zginął w bitwie, zasłużył na ostatnią modlitwę. *Ave atque vale*. Wymówiła te słowa, ale z jej ust wydostały się jako obłoczki pary. Co jeszcze

powinna powiedzieć? „Witaj i żegnaj, Jasie Wayland?”. Przecież wcale tak się nie nazywał. Właściwie nie miał swojego imienia ani nazwiska, pomyślała z rozpaczą. Dostał je po zmarłym dziecku, bo tak pasowało Valentine’owi. A w imieniu jest tyle mocy...

Odwróciła głowę i spojrzała na ołtarz. Otaczające go runy zaczęły się jarzyć. Były to znaki wezwania, nadania imienia i wiązania, podobne do tych, które pętały Ithuriela w piwnicach pod domem Waylandów. Clary pomyślała o tym, jak wtedy patrzył na nią Jace, z płomieniem wiary w oczach. Zawsze uważał, że jest silna. Okazywał to każdym czynem, spojrzeniem, gestem. Simon też w nią wierzył, ale kiedy ją obejmował, robił to tak, jakby była z kruchego szkła. Natomiast Jace brał ją w ramiona mocno i nigdy się nie bał, że zrobi jej krzywdę. Wiedział, że ona dorównuje mu siłą.

Valentine trzymał zakrwawiony Miecz nad wodą, śpiewał cicho i szybko. Powierzchnia jeziora falowała, jakby lekko przesuwiała się po niej ręka giganta.

Clary zamknęła oczy. Wspominając, w jaki sposób Jace patrzył na nią tamtej nocy, kiedy uwolniła Ithuriela, wyobraziła sobie, jak spojrzałby na nią teraz, gdyby spróbowała położyć się obok niego na piasku i umrzeć. Nie byłby wzruszony, nie uznalby tego za piękny gest. Byłby na nią zły, że się poddała. Byłby... rozczarowany.

Zaczęła pełznąć po ziemi, wlokąc za sobą bezwładne nogi, odpychając się kolanami i spętanymi rękami. Nadgarstki skrępowane świetlistymi pętami piekły ją coraz mocniej, koszula podarła się z przodu, tak że piasek szorował nagą skórę brzucha, ale ona prawie tego nie czuła. Czołganie się w taki sposób było ogromnym wysiłkiem. Pot ciekł jej po plecach, między łopatkami. Kiedy wreszcie dotarła do kręgu runów, sapała tak głośno, że Valentine musiał ją usłyszeć.

Ale on nawet się nie obejrzał. Trzymał Kielich Anioła w jednej ręce, w drugiej Miecz. W pewnym momencie wymówił kilka słów, które zabrzmiały jak z greki, i cisnął puchar. Naczynie załśniło jak spadająca gwiazda i z cichym pluskiem zniknęło pod powierzchnią jeziora.

Runy wydzielaly słabe ciepło, jak dogasające ognisko. Clary musiała dokonać cudu zręczności, żeby sięgnąć do steli zatkniętej za pasek. Ból w nadgarstkach się nasilił, kiedy zacisnęła palce na rękojeści i ze stłumionym sapnięciem ulgi wydobyła instrument.

Nie mogła rozłączyć nadgarstków, więc oburącz trzymała niezgrabnie stelę. Dźwignęła się na łokciach i spojrzała na runy. Gdy zaczęły migotać jak magiczne światło, poczuła na twarzy ich żar. Valentine uniósł Miecz Anioła i zaśpiewał ostatnie słowa wezwania. Resztką sił Clary

wbiła czubek steli w piasek, ale nie zamazała symboli, które narysował Valentine, tylko na tym, który oznaczał jego imię, nakreśliła własny znak. To taki mały znak, pomyślała, drobna zmiana wobec potężnego Znak Przymierza czy Znak Kaina.

Ale tylko tyle mogła zrobić. Wyczerpana przetoczyła się na bok, kiedy Valentine odchylił rękę do tyłu i cisnął Miecz Anioła.

Czarno-srebrny Maellartach, obracając się, poleciał wysokim łukiem i bezgłośnie połączył się z czarno-srebrnym jeziorem. Z miejsca, gdzie wpadł, wzbił się wielki pióropusz. Gejzer płynnego srebra rósł coraz wyżej, niczym deszcz padający w górę, aż rozległ się głośny huk, podobny do trzasku pękającego lodowca. Potem jezioro się rozstało i pod niebo wytrysnął słup wody.

Wraz z nim unosił się Razjel. Clary sama nie była pewna, czego się spodziewała. Może istoty podobnej do Ithuriela, ale tamten biedak skurczył się po latach niewoli i udręki. Ten anioł objawił się w całej swojej glorii. Kiedy powstał z jeziora, Clary zaczęły piec oczy, jakby patrzyła w słońce.

Valentine opuścił ręce. Spoglądał w górę z wyrazem zachwytu na twarzy, jakby wreszcie ziściło się jego marzenie.

– Razjel – wyszeptał.

Anioł nadal się wznosił, jakby jezioro się zapadało, odsłaniając wielką marmurową kolumnę, która wyrastała na jego środku. Najpierw z wody wynurzyła się głowa; falujące włosy wyglądały jak łańcuchy ze srebra i złota. Potem ukazały się ramiona, białe jak kamień, i nagi tors. Clary zobaczyła, że Razjel jest cały pokryty znakami jak Nefilim, ale te Znaki były złote i żywe, przemieszczały się po jego białej skórze jak iskry z ogniska. O dziwo, Anioł wydawał się zarazem ogromny i nie większy od człowieka. Clary rozbolały oczy, kiedy próbowała objąć go całego wzrokiem, a jednocześnie widziała tylko jego. W miarę jak wstawał, z jego pleców wyrosły skrzydła i rozpostarły się szeroko nad jeziorem. One też miały kolor złota, a na każdym piórze znajdowało się pojedyncze złote oko.

Był to piękny i równocześnie przerażający widok. Clary chciała odwrócić wzrok, ale tego nie zrobiła. Postanowiła, że będzie wszystko obserwować w imieniu Jace'a, bo on już nie mógł.

Jest tak jak na wszystkich obrazach, pomyślała. Anioł wstający z jeziora, z Mieczem w jednej ręce i Kielichem w drugiej. Oba Dary ociekały wodą, ale sam Razjel był suchy. Jego

stopy, białe i bose, spoczęły na wodzie, powodując małe zmarszczki. Twarz, piękna i nieludzka, zwróciła się ku Valentine'owi.

A potem Razjel przemówił.

Jego głos był jak krzyk i muzyka jednocześnie. Siła jego oddechu omal nie zdmuchnęła człowieka. Valentine wbił obcasy w piasek i odchylił głowę do tyłu, jakby opierał się wicherze. Clary też poczuła na sobie tchnienie Anioła. Gorące jak powietrze buchające z pieca, pachniało nieznanymi przyprawami.

*Minęło tysiąc lat od chwili, kiedy ostatni raz tutaj się zjawilem, przemówił Razjel bez słów. Wezwał mnie wtedy Jonathan Nocny Łowca i błagał, żebym zmieszał w Kielichu swoją krew z krwią śmiertelnych ludzi i stworzył rasę wojowników, którzy oczyszczą tę ziemię z demonów. Zrobiłem to, o co prosił, i zapowiedziałem, że nie zrobię nic więcej. Dlaczego mnie teraz wzywasz, Nefilim?*

– Minęło tysiąc lat, Wspaniały, ale demony nadal tu są. – Valentine mówił z przejęciem.

*A cóż to jest tysiąc lat? Dla anioła mijają między jednym mrugnięciem oka a drugim.*

– Nefilim, których stworzyłeś, to rasa wielkich ludzi. Przez wiele lat dzielnie walczyli, żeby usunąć demoniczną zarazę z tego świata. Ale zawiedli z powodu słabości i zepsucia w swoich szeregach. Zamierzam przywrócić im poprzednią chwałę...

*Chwałę?* – powtórzył Anioł z lekkim zdziwieniem, jakby to słowo było dla niego nowe. *Chwała należy się jedynie Bogu.*

– Clave stworzone przez pierwszych Nefilim już nie istnieje – odparł bez wahania Valentine. – Teraz zjednoczyli się z Podziemnymi, ze skażonymi przez demony nieludźmi, od których ten świat roi się jak trup szczura od much. Moim zamiarem jest oczyścić Ziemię, zniszczyć wszystkich Podziemnych i wszystkie demony...

*Demony nie posiadają dusz, ale mają je stworzenia, o których mówisz: Dzieci Nocy, Księżycy, Lilith i faerie. Zdaje się, że twoje kryteria oceny ludzkich istot są surowsze niż nasze.* Clary mogłaby przysiąc, że do głosu Anioła wkradł się suchy ton. *Chcesz rzucić wyzwanie niebu jak ten, którego nazwisko nosisz, Nocny Łowco?*

– Nie chcę rzucać wyzwania niebu, panie, tylko się z nim zjednoczyć...

*W twojej wojnie? My jesteśmy niebem, Nocny Łowco. Nie bierzemy udziału w waszych przyziemnych bitwach.*

– Z pewnością nie pozwoliłbyś, panie, żeby istniał rytuał, którym można cię wezwać, gdybyś nie chciał być wezwany. – Valentine mówił niemal z urazą. – My, Nefilim, jesteśmy twoimi dziećmi. Potrzebujemy twojego przewodnictwa.

*Przewodnictwa?* Teraz Anioł wydawał się rozbawiony. *Nie wydaje się, żebyś po to mnie tutaj sprowadził. Raczej szukasz sławy.*

– Sławy? – powtórzył Valentine ochryple. – Poświęciłem wszystko tej sprawie. Żonę. Dzieci. Nie zatrzymałem synów. Dałem wszystko, co miałem. Wszystko.

Anioł przez dłuższą chwilę patrzył na niego z góry dziwnymi, nieludzkimi oczami. Jego skrzydła poruszały się niespiesznie, jakby po niebie przesuwwały się chmury. W końcu rzekł: *Bóg poprosił Abrahama, żeby poświęcił swojego syna na ołtarzu takim jak ten, bo chciał się przekonać, kogo Abraham kocha bardziej, Izaaka czy Boga. Ale ciebie nikt nie prosił, żebyś poświęcił swojego syna.*

Valentine spojrział na kamienny ołtarz zbryzgany krwią Jace'a, a następnie z powrotem na Anioła.

– Jeśli nie będę miał wyjścia, zmuszę cię do spełnienia mojej prośby, ale wolałbym raczej dobrowolną współpracę – oświadczył.

*Kiedy Jonathan Nocny Łowca mnie wezwał, udzieliłem mu pomocy, bo widziałem, że jego marzenie o świecie wolnym od demonów jest szczere. Wyobraził sobie niebo na Ziemi. Ale ty marzysz tylko o własnej chwale i nie kochasz niebios. Mój brat Ithuriel może to poświadczyć.*

Valentine zbladł.

– Ale...

*Myślałeś, że się nie dowiem?* Anioł się uśmiechnął. Był to najstraszniejszy uśmiech, jaki Clary w życiu widziała. *To prawda, że twórca kręgu, który narysowałeś, może wymusić na mnie jedno działanie. Ale ty nie jesteś tym twórcą.*

Valentine wytrzeszczył oczy.

– Panie... nie ma nikogo innego...

*Jest. Twoja córka.*

Valentine się obejrzał. Clary, która leżała półprzytomna na piasku, odpowiedziała mu wyzywającym spojrzeniem. Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę. Kiedy ojciec na nią patrzył, ona uświadomiła sobie, że tak naprawdę zobaczył ją po raz pierwszy.

– Co zrobiłaś, Clarisso? – spytał.

Clary wyciągnęła rękę i palcem napisała na piasku u jego stóp słowa, które przy niej wypowiedział, kiedy się przekonał, co ona potrafi. Kiedy stworzyła znak, który zniszczył jego statek.

*Mene Mene Tekel Upharsin.*

Jego oczy się rozszerzyły, tak jak oczy Jace'a przed śmiercią. Valentine zbladł jak płótno i odwrócił się wolno do Anioła, unosząc ręce w błagalnym geście.

– Panie mój, Razjelu...

Anioł splunął. Albo przynajmniej tak się zdawało Clary, bo z jego ust wydobył się biały błysk. Płonąca strzała poleciała nad wodą i utkwiała w piersi Valentine'a. Może nie tyle „utkwiała”, ile przebiła się przez nią jak kamień przez cienki papier, zostawiając po sobie dziurę wielkości pięści. Przez chwilę Clary mogła spojrzeć na wylot przez pierś ojca. Po drugiej stronie zobaczyła jezioro i Anioła.

Chwila minęła. Valentine runął na ziemię jak ścięte drzewo i znieruchomiał z ustami otwartymi w niemym krzyku. Ślepe oczy zastygły na zawsze w wyrazie niedowierzania i zawodu.

*To była sprawiedliwość niebios. Mam nadzieję, że cię nie przeraziłem.*

Clary spojrzała w górę. Anioł wznosił się nad nią jak słup białego ognia, zasłaniający niebo. Jego ręce były puste. Miecz i Kielich leżały na brzegu jeziora.

*Możesz mnie zmusić do jednego działania, Clarisso Morgenstern. Czego chcesz?*

Clary otworzyła usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk.

*A, tak, znak,* powiedział Anioł. W jego głosie była teraz łagodność. Oczy na skrzydłach zamrugały. Clary musnęło coś miększego niż jedwab czy inna tkanina, delikatniejszego niż tchnienie szeptu. Tak wyobrażałaby sobie dotyk chmur, gdyby miały jakąś fakturę. Jednocześnie poczuła słaby zapach, przyjemny i słodki.

Ból ustąpił z nadgarstków. Ręce już nie były związane, opadły po bokach. Pieczenie na karku też ustało, zniknęła ociążałość nóg. Clary próbowała dźwignąć się na kolana, żeby popęznąć przez zakrwawiony piasek do ciała Jace'a, położyć się obok i objąć go, choć nie żył. Ale zatrzymał ją głos Anioła. Została na miejscu, patrząc na jaskrawe złote światło.

*Bitwa na równinie Brocelind dobiega końca. Wraz ze śmiercią Morgensterna demony uwolniły się spod jego władzy. Już wiele z nich ucieka. Reszta wkrótce zostanie wybita. Nefilim*



*zmierzają nad jezioro. Jeśli masz prośbę, Nocna Łowczyni, wypowiedz ją teraz. Anioł umilkł na chwilę. Ipamiętaj, że nie jestem dzinnem. Wybierz mądrze.*

Clary zawahała się i ta chwilą ciągnęła się jak wieczność. Mogła poprosić o wszystko, o cokolwiek: koniec cierpienia, głodu i chorób na świecie, o pokój. Z drugiej strony, może anioł nie miał aż takiej mocy, może te rzeczy już zostały zagwarantowane. Albo ludzie musieli sami się o nie postarać.

I tak nie miało to znaczenia, bo mogła poprosić tylko o jedną rzecz.

Spojrzała na Anioła.

– Jace – powiedziała krótko.

Wyraz twarzy Anioła się nie zmienił. Clary nie miała pojęcia, czy Razjel uznał jej prośbę za dobrą, czy złą. I czy w ogóle zamierza ją spełnić. Na tę myśl ogarnęła ją panika.

*Zamknij oczy, Clarisso Morgenstern,* rzekł Razjel.

Clary posłusznie zamknęła oczy. Nie odmawia się aniołowi, niezależnie od tego, jakie są jego zamiary. Serce jej dudniło. Siedziała bez ruchu, starając się nie myśleć o Jasie. Ale jego twarz pojawiła się na pustym ekranie jej zaciśniętych powiek. Nie uśmiechał się do niej, tylko patrzył z ukosa, tak że widziała tylko bliznę na jego skroni, skrzywienie kącika ust, srebrną kreskę na szyi, gdzie ugryzł go Simon, wszystkie ślady, skazy i niedoskonałości składające się na istotę, którą kochała najbardziej na świecie. Jasne światło zabarwiło wewnątrz jej powiek na szkarłatno. Clary upadła plecami na piasek. Czuła, że zaraz zemdleje. A może umierała. Ale nie chciała umrzeć, akurat teraz, kiedy tak wyraźnie widziała przed sobą twarz Jace'a. Niemal słyszała jego głos, powtarzający szeptem jej imię tak jak w Renwick. „Clary. Clary. Clary”.

– Clary – powiedział Jace. – Otwórz oczy.

Rozchyliła powieki.

Leżała na piasku w podartym, mokrym, zakrwawionym ubraniu. Wszystko było takie samo jak przed chwilą, tylko Anioł zniknął, a wraz z nim oślepiające białe światło, które zmieniło noc w dzień. Clary spojrzała na nocne niebo, na gwiazdy lśniące jak lustra na tle czerni. Nad nią pochylał się Jace, ze światłem w oczach jaśniejszym od blasku gwiazd.

Wbiła w niego wzrok, chłonąc wszelkie szczegóły, od zmierzwionych włosów przez zakrwawioną, brudną twarz po błyszczące oczy; od siniaków przeświecających przez podarte rękawy po wielką, zakrwawioną dziurę z przodu koszuli. Widziała przez nią nagą skórę, ale nie

było nawet śladu rany w miejscu, gdzie wbił się Miecz. Widząc puls na jego szyi, Clary omal nie objęła go z radości, że jego serce bije, co oznaczało...

– Żyjesz – wyszeptała. – Naprawdę żyjesz.

Jace powoli wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy.

– Przebywałem w ciemności – powiedział cicho. – Nie było tam nic oprócz cieni i ja też byłem cieniem. Wiedziałem, że nie żyję, że wszystko się skończyło, wszystko. A potem usłyszałem twój głos. Usłyszałem, jak wymawiasz moje imię, i to sprowadziło mnie z powrotem.

– Nie ja. – Clary miała ściśnięte gardło. – To Anioł sprowadził cię z powrotem.

– Bo go o to poprosiłaś. – Powiódł palcami po jej twarzy, jakby się upewniał, że jest prawdziwa. – Mogłaś dostać wszystko na świecie, a poprosiłaś o mnie.

Clary uśmiechnęła się do niego. Choć ubrudzony krwią i ziemią, był najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziała.

– Ale ja nie chcę niczego innego na świecie.

Po tych słowach światło w jego oczach, już jasne, rozbłysło tak mocno, że ledwo mogła w nie patrzeć. Pomyślała o Aniele, o tym, że płonął jak tysiąc pochodni i że Jace ma w sobie tę samą krew. I teraz ten płomień przeświecał przez niego jak światło sączące się przez szpary w drzwiach.

„Kocham cię”, chciała powiedzieć. „I zrobiłabym to znowu. Zawsze poprosiłabym o ciebie”. Ale nie takie słowa wymówiła na głos.

– Nie jesteś moim bratem – wyrzuciła z siebie bez tchu, jakby uświadomiła sobie, że powinna zrobić to jak najszybciej. – Wiesz o tym, prawda?

Jace uśmiechnął się lekko.

– Tak. Wiem.

# Epilog

## Gwiazdami na niebie

„Kochałem cię, więc wziąłem w ręce te ludzkie fale i spisałem swoją wolę gwiazdami na niebie”.

– T.E. Lawrence

Dym unosił się w niebo leniwą spiralą, kreśląc delikatne, czarne linie w czystym powietrzu. Jace obserwował je ze wzgórza górującego nad cmentarzem. Nie umknęła mu ironia sytuacji, że ogląda szczątki ojca.

Z miejsca, gdzie siedział samotnie, z łokciami na kolanach, widział katafalk przez dym i płomienie oraz zgromadzoną wokół niego małą grupkę żałobników. Z daleka rozpoznał jasne włosy Jocelyn i Luke’a, który stał obok i trzymał rękę na jej plecach. Matka Clary odwracała głowę od płonącego stosu pogrzebowego.

Jace mógłby znaleźć się w tym gronie, gdyby chciał. Ostatnie dni spędził w szpitalu. Wypuścili go dopiero dziś rano, między innymi po to, żeby mógł wziąć udział w pogrzebie ojca. Ale w połowie drogi do stosu ułożonego z drewna białego jak kości, uświadomił sobie, że nie może iść dalej. Odwrócił się i ruszył na wzgórze, oddalając się od procesji. Luke go zawołał, lecz on nawet się nie obejrzał.

Siedział i patrzył z góry, jak żałobnicy zbierają się wokół katafalku, jak Patrick Penhallow w białym stroju podkłada ogień pod drwa. Już drugi raz w tym tygodniu obserwował ceremonię pogrzebową, ale Max był żałośnie mały, natomiast Valentine wyglądał potężnie, nawet kiedy leżał na plecach, z rękami skrzyżowanymi na piersi i serafickim nożem w dłoni. Zgodnie ze zwyczajem oczy miał przewiązane białym jedwabiem. Mimo wszystko się postarali, pomyślał Jace.

Sebastianowi nie wyprawili pogrzebu. Grupa Nocnych Łowców udała się do doliny, ale nie znalazła jego ciała. Stwierdzili, że zostało uniesione przez rzekę, jednak Jace miał co do tego wątpliwości.

Na próżno wypatrywał Clary w tłumie zebranych wokół stosu. Minęły prawie dwa dni od chwili, kiedy ostatnio widział ją nad jeziorem, i teraz zżerała go tęsknota. To nie była jej wina, że musieli się rozstać. Clary martwiła się tamtej nocy, że jest zbyt słaby, żeby wrócić Bramą do Alicante. Okazało się, że miała rację. Zanim dotarli do nich pierwsi Nocni Łowcy, stracił przytomność. Obudził się następnego dnia w miejskim szpitalu. Magnus Bane patrzył na niego z dziwną miną, która mogła wyrażać zarówno głęboką troskę, jak i zwykłą ciekawość. Czarownik powiedział, że choć Anioł uzdrowił go fizycznie, jego dusza i umysł są tak wyczerpane, że tylko odpoczynek może je uleczyć. W każdym razie teraz Jace czuł się lepiej. Akurat na pogrzeb.

Nagle zerwał się wiatr i rozwiął dym. W oddali Jace widział lśniące wieże Alicante, które odzyskały poprzednią moc. Nie był pewien, dlaczego właściwie siedzi tutaj i obserwuje, jak płonie ciało jego ojca. Ani co by powiedział, gdyby znajdował się na dole wśród żałobników, wygłaszających mowy pożegnalne. „Nigdy tak naprawdę nie byłeś moim ojcem” albo: „Byłeś jedynym ojcem, jakiego znałem”. Oba stwierdzenia równie prawdziwe, choć sprzeczne.

Kiedy po raz pierwszy otworzył oczy nad jeziorem – ze świadomością, że przez jakiś czas był martwy – mógł myśleć tylko o Clary, która leżała niedaleko od niego na zakrwawionym piasku, z zamkniętymi oczami. Podpełzł do niej przerażony, że jest ranna albo nie żyje, a kiedy otworzyła oczy, ogarnęła go niewysłowiona ulga. Dopiero kiedy dotarli do nich Nocni Łowcy i pomogli mu wstać, zobaczył na brzegu jeziora ciało Valentine’a i poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go pięścią w żołądek. Wiedział, że ojciec nie żyje – sam chciał go zabić – ale mimo to widok był bolesny. Clary popatrzyła na niego smutnym wzrokiem, a on zrozumiał, że choć nienawidziła Valentina’a, rozumiała jego żal.

Gdy przymknął oczy, pod powiekami przesunęły się obrazy: Valentine podnosi go z trawy i chwyta w objęcia, ojciec trzyma go mocno na dziobie łodzi płynącej po jeziorze i pokazuje mu, jak łapać równowagę. I inne, mroczniejsze wspomnienia: ręka Valentine’a wymierzająca policzek, martwy sokół, anioł zakuty w łańcuchy w piwnicy Waylandów.

– Jace.

Podniósł wzrok. Nad nim stał Luke. Jego ciemna sylwetka rysowała się na tle słońca. Jak zwykle miał na sobie dżinsy i flanelową koszulę; nie uznawał żałobnych bieli.

– Już po wszystkim – powiedział. – Ceremonia była krótka.

– Na pewno. – Jace wbił palce w ziemię. – Ktoś coś powiedział?

– Zwykle słowa.

Luke usiadł obok niego, krzywiąc się lekko. Jace nie pytał go, jak wyglądała bitwa. Nie chciał znać szczegółów. Wiedział jedynie, że skończyła się dużo szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał. Po śmierci Valentine'a demony, które wezwał, rozpląnęły się w nocnej ciemności jak mgła. Ale to nie oznaczało, że nie było ofiar. Nie tylko ciało Valentine'a spalono w Alicante w ciągu ostatnich dni.

– A Clary nie była... to znaczy... ona...

– Przyszła na pogrzeb? Nie. Nie chciała. – Jace wyczuł, że Luke zerka na niego z ukosa. – Nie widziałeś jej? Od kiedy...

– Od powrotu znad jeziora – odparł Jace. – Dopiero wypuścili mnie ze szpitala, a ja musiałem tutaj przyjść.

– Nie musiałeś.

– Chciałem – powiedział Jace. – O czymkolwiek to świadczy.

– Pogrzeby są dla żywych, a nie dla umarłych. Valentine był bardziej twoim ojcem niż Clary, nawet jeśli nie masz w sobie jego krwi. To ty musiałeś go pożegnać. Ty będziesz za nim tęsknić.

– Nie sądziłem, że wolno mi za nim tęsknić.

– Nie znałeś Stephena Herondale'a. I przeszedłeś pod opiekę Roberta Lightwooda, kiedy byłeś jeszcze dzieckiem. Valentine był ojcem twojego wczesnego dzieciństwa. Powinieneś za nim tęsknić.

– Wciąż myślę o Hodge'u – wyznał Jace. – W Gard pytałem go, dlaczego mi nie powiedział, kim jestem – wtedy myślałem, że po części demonem – a on się upierał, że nic nie wiedział. Uznałem, że kłamie. Ale teraz myślę, że mówił prawdę. Był jednym z niewielu ludzi, którzy wiedzieli, że dziecko Herondale'a przeżyło. Kiedy zjawiłem się w Instytucie, nie miał pojęcia, którym synem Valentine'a jestem. Prawdziwym czy adoptowanym.

Mogłem być jednym albo drugim. Demonem albo aniołem. I nie sądzę, żeby znał prawdę, dopóki nie zobaczył Jonathana w Gard. Wtedy zrozumiał. Więc po prostu starał się, jak mógł, przez te wszystkie lata, póki Valentine znowu się nie pojawił. Wymagało to wiary, nie uważasz?

– Tak – potwierdził Luke.

– Hodge uważał, że wychowanie ma znaczenie, bez względu na krew. A ja się zastanawiam... gdybym został z Valentine'em, gdyby nie odesłał mnie do Lightwoodów, może byłbym taki jak Jonathan? Nie sądzisz?

– Czy to ma znaczenie? Jesteś, kim jesteś. I jeśli pytasz mnie o zdanie, myślę, że Valentine cię odesłał do Lightwoodów, bo wiedział, że to dla ciebie najlepsze wyjście. Może miał również inne powody. Zauważ jednak, że wysłał cię do ludzi, o których wiedział, że pokochają cię i wychowają z miłością. Może to była jedna z niewielu rzeczy, które naprawdę dla kogoś zrobił. – Luke poklepał go po ramieniu gestem tak ojcowskim, że Jace omal się nie uśmiechnął. – Nie zapominałbym o tym na twoim miejscu.

\*\*\*

Clary stała w oknie pokoju Isabelle i patrzyła na dym zasnuwający niebo nad Alicante. Dzisiaj palono ciało Valentine’a. Palono jej ojca w nekropolii tuż za bramami miasta.

– Wiesz o dzisiejszej ceremonii, prawda? – spytała Isabelle, przykładając do siebie na zmianę dwie sukienki: granatową i stalową. – Którą powinnam włożyć?

Clary się odwróciła. Dla Isabelle ubrania zawsze będą terapią, pomyślała.

– Granatową.

Isabelle położyła obie suknie na łóżku.

– A ty w co się ubierzesz? Bo idziesz, prawda?

Clary pomyślała o srebrnej kreacji leżącej na dnie szuflady Amatis, pięknej i cienkiej jak pajęczyna. Ale Amatis nigdy jej nie pożyczy.

– Nie wiem. Pewnie dzinsy i zielony płaszcz.

– Nudne. – Isabelle zerknęła na Aline, która siedziała na krześle przy łóżku i czytała. – Nie sądzisz, że to nudne?

– Myślę, że powinnaś pozwolić Clary włożyć to, co chce. – Aline nawet nie podniosła wzroku znad książki. – Poza tym, ona dla nikogo się nie stroi.

– Dla Jace’a – stwierdziła Isabelle, jakby to było oczywiste. – I powinna.

Aline popatrzyła na nią oszołomiona, a potem się uśmiechnęła.

– A, racja. Wciąż zapominam. To musi być dziwaczne uczucie wiedzieć, że nie jest twoim bratem?

– Nie – odparła zdecydowanie Clary. – To przekonanie, że jest moim bratem, było dziwaczne. Teraz jest... w porządku. – Spojrzała za okno. – Choć go nie widziałam, odkąd wróciliśmy do Alicante.

– Dziwne – skomentowała Aline.

– Wcale nie – zaprotestowała Isabelle, rzucając jej znaczące spojrzenie, lecz Aline najwyraźniej go nie zauważyła. – Był w szpitalu. Wypuścili go dopiero dzisiaj.

– I nie przyszedł tutaj od razu, żeby się z tobą zobaczyć? – zdziwiła się Aline, patrząc na Clary.

– Nie mógł – odparła Clary. – Musiał pójść na pogrzeb Valentine’a.

– Może – powiedziała wesoło Aline. – Albo już nie jest tobą zainteresowany. To znaczy, teraz, kiedy to nie jest zakazane. Niektórzy ludzie pragną tylko tego, czego nie mogą mieć.

– Nie Jace – wtrąciła szybko Isabelle. – On taki nie jest.

Aline wstała i rzuciła książkę na łóżko.

– Powinnam iść się ubrać. Zobaczymy się wieczorem?

I wymaszerowała z pokoju, nucąc pod nosem.

Isabelle pokręciła głową, odprowadzając ją wzrokiem.

– Myślisz, że ona cię nie lubi? To znaczy, że jest zazdrosna? Nie wyglądała na zainteresowaną Jace’em.

– Ha! – prychnęła Clary. – Nie, nie jest zainteresowana Jace’em. Myślę, że należy do tych osób, które od razu mówią to, co myślą. I kto wie, może ma rację.

Isabelle wyciągnęła szpilkę z włosów i rozpuściła je na ramiona. Przeszła przez pokój i stanęła przy oknie obok Clary. Niebo za demonicznymi wieżami było teraz czyste. Dym zniknął.

– Myślisz, że ma rację?

– Nie wiem. Będę musiała zapytać Jace’a. Chyba zobaczę się z nim dzisiaj na przyjęciu. Albo na ceremonii zwycięstwa czy jak tam ona się nazywa. – Clary spojrzała na Isabelle. – Wiesz, jak to będzie wyglądać?

– Będzie parada i prawdopodobnie sztuczne ognie. Muzyka, tańce, gry i tego rodzaju rzeczy. Coś jak wielki uliczny jarmark w Nowym Jorku. – Wyjrzała przez okno ze smutkiem na twarzy. – Maksowi by się podobało.

Clary pogłaskała ją po włosach, tak jak pogłaskałaby siostrę, gdyby ją miała.

– Na pewno.

\*\*\*

Jace musiał dwa razy zapukać do drzwi starego domu nad kanałem, zanim usłyszał szybkie kroki. Jego serce podskoczyło na ten dźwięk, ale uspokoiło się, kiedy w progu stanęła

Amatis i popatrzyła na niego zaskoczona. Była już gotowa do wyjścia. Miała na sobie długą szarą suknię i jasne metaliczne kolczyki, które podkreślały srebrne pasma w jej włosach.

– Tak?

– Clary... – Jace urwał raptownie. Gdzie się podziała jego elokwencja? Czego jak czego, ale jej nigdy mu nie brakowało, natomiast teraz miał pustkę w głowie. – Czy jest tu Clary? Miałem nadzieję, że z nią porozmawiam.

Amatis pokręciła głową, wpatrując się w niego tak intensywnie, że poczuł się nieswojo.

– Nie ma jej. Chyba jest u Lightwoodów.

– Aha. – Jace’a zaskoczyło własne rozczarowanie. – Przepraszam, że panią niepokoiłem.

– Drobiazg – odparła szybko Amatis. – Cieszę się, że jesteś. Chciałam o czymś z tobą porozmawiać. Wejdz. Ja zaraz wrócę.

Czekając w holu na gospodynię, Jace zastanawiał się, jaką ma do niego sprawę. Może Clary doszła do wniosku, że nie chce mieć więcej z nim do czynienia, i wybrała Amatis, żeby przekazała mu tę wieść.

Amatis wróciła chwilę później, ale ku uldze Jace’a nie trzymała w ręce żadnego liściku, tylko małe metalowe pudełko. Był to delikatny przedmiot z wygrawerowanymi sylwetkami ptaków.

– Wiem, że jesteś... że Stephen Herondale był twoim ojcem. Luke wszystko mi opowiedział.

Jace kiwnął głową. Wieść rozchodziła się wolno, i bardzo dobrze. Zanim wszyscy w Idrisie poznają prawdę i zaczną się na niego gapić, on będzie już z powrotem w Nowym Jorku.

– Wiesz, że byłam żoną Stephena przed twoją matką – ciągnęła Amatis zduszonym głosem, jakby wypowiedanie tych słów ją bolało. Czyżby nie lubiła go za to, że przywoływał niedobre wspomnienia o kobiecie, która umarła, zanim on się urodził? – Ze wszystkich żyjących ludzi pewnie ja najlepiej znałam twojego ojca.

– Tak. – Jace wolałby w tej chwili znajdować się w innym miejscu. – Z pewnością.

– Zapewne masz wobec niego mieszane uczucia – stwierdziła Amatis, zaskakując go, bo rzeczywiście tak było. – Nie znałeś go. To nie on cię wychował. Nawet nie jesteś do niego podobny, nie licząc jasnych włosów. Jeśli chodzi o oczy, nie wiem, po kim je masz. Więc może źle robię, że zwracam ci głowę. Może nie chcesz nic wiedzieć o Stephenie. Ale on był twoim ojcem i gdyby cię znał... – Wyciągnęła w jego stronę pudełko tak gwałtownym gestem, że omal



nie odskoczył do tyłu. – Oto parę jego rzeczy, które zachowałam przez te lata. Listy, zdjęcia, drzewo genealogiczne, magiczny kamień. Teraz pewnie nie masz żadnych pytań, ale może któregoś dnia przyjdą ci jakieś do głowy, a wtedy... wtedy będziesz miał to. – Wręczyła mu pudełko jak cenny skarb.

Jace wziął je bez słowa. Było ciężkie i chłodne w dotyku.

– Dziękuję – wykrztusił i po chwili wahania dodał: – Zastanawiałem się nad pewną sprawą.

– Tak?

– Jeśli Stephen był moim ojcem, w takim razie Inkwizytorka... Imogen, była moją babką.

– To... – Amatis zrobiła pauzę – bardzo trudna kobieta. Ale tak, była twoją babką.

– Uratowała mi życie. Przez długi czas zachowywała się, jakby mnie nie cierpiała. Ale potem zobaczyła to. – Jace odsunął kołnierz koszuli i pokazał białą bliznę w kształcie gwiazdy na ramieniu. – I uratowała mi życie. Co mogła dla niej znaczyć ta blizna?

Oczy Amatis się rozszerzyły.

– Nie pamiętasz, skąd ją masz?

Jace pokręcił głową.

– Valentine mówił, że to skaleczenie z czasów, kiedy byłem za mały, żeby coś pamiętać, ale teraz... chyba w to nie wierzę.

– To nie jest blizna, tylko znamię. Istnieje stara rodzinna legenda, że jednego z pierwszych Herondale'ów, który został Nocnym Łowcą, nawiedził we śnie anioł i dotknął jego ramienia, a kiedy Herondale się obudził, miał na ciele taki znak. A później wszyscy jego potomkowie. – Amatis wzruszyła ramionami. – Nie wiem, czy ta historia jest prawdziwa, ale wszyscy Herondale'owie mają to znamię. Twój ojciec też miał. – Musnęła swoje prawe ramię. – Podobno oznacza ono kontakt z aniołem i błogosławieństwo. Imogen zobaczyła znak i domyśliła się, kim jesteś naprawdę.

Jace patrzył na Amatis, ale widział noc na statku: mokry, czarny pokład i Inkwizytorkę umierającą u jego stóp.

– Powiedziała coś do mnie przed śmiercią. „Twój ojciec byłby z ciebie dumny”. Pomyślałem wtedy, że jest okrutna. Sądziłem, że ma na myśli Valentine'a...

Amatis pokręcił głową.

– Mówiła o Stephenie. I miała rację. Byłby z ciebie dumny.

\*\*\*

Gdy Clary otworzyła frontowe drzwi i weszła do holu, przysła jej do głowy refleksja, jak szybko ten dom stał się dla niej swojski. Już nie miała kłopotów z trafieniem do niego, pamiętała, że gałka lekko zacina się przy otwieraniu. Znajome było odbicie światła słonecznego od kanału i widok Alicante za oknem. Niemal potrafiła sobie wyobrazić, że tu mieszka, że Idris jest jej domem. Zastanawiała się, za czym zaczęłaby tęsknić najpierw. Za chińskim jedzeniem na wynos? Za filmami? Za Midtown Comics?

Już miała skierować się do schodów, kiedy usłyszała głos matki dochodzący z salonu: ostry i lekko wzburzony. Ale z jakiego powodu Jocelyn mogła się denerwować? Nic złego się nie działo. Pod wpływem impulsu Clary przywarła do ściany przy drzwiach salonu i wytrzymała słuch.

– Co to znaczy, że zostajesz? – pytała Jocelyn. – Masz na myśli to, że w ogóle nie wracasz do Nowego Jorku?

– Poproszono mnie, żebym został w Alicante i reprezentował wilkołaki w Radzie – odparł Luke. – Obiecałem, że dam im odpowiedź dzisiaj wieczorem.

– Nie mógłby ktoś inny się tym zająć? Któryś z przywódców tutejszego stada?

– Ja jestem jedynym przywódcą stada, który kiedyś był Nocnym Łowcą. Dlatego chcę mnie. – Luke westchnął. – Ja to wszystko zacząłem, Jocelyn. Powinienem zostać i doprowadzić sprawę do końca.

Nastąpiła krótka cisza.

– Jeśli tak uważasz, oczywiście powinieneś zostać – stwierdziła w końcu Jocelyn, ale jej głos nie brzmiał pewnie.

– Muszę sprzedać księgarnię. Uporządkować swoje sprawy. – Luke mówił szorstkim tonem. – Nie jest tak, że od razu się przeniosę.

– Ja mogę się tym zająć. Po tym wszystkim, co zrobiłeś...

Wydawało się, że Jocelyn nie ma dość energii, żeby zachować pogodny ton. Gdy umilkła, cisza tak się przedłużała, że Clary pomyślała o tym, by odchrząknąć i wejść do salonu.

Chwilę później była zadowolona, że tego nie zrobiła.

– Posłuchaj – odezwał się Luke. – Chciałem ci to powiedzieć od dłuższego czasu, ale uważałem, że to nic nie zmieni, bo jestem, kim jestem. Nigdy nie chciałem, żeby Clary poznała prawdę. Ale ona teraz już wie, więc równie dobrze mogę ci powiedzieć. Kocham cię, Jocelyn. Kocham od dwudziestu lat.

Clary wytężyła słuch, czekając na odpowiedź matki, ale Jocelyn milczała. W końcu Luke przemówił ze znużeniem.

– Już pora, żebym przekazał Radzie swoją decyzję. Nie musimy więcej o tym rozmawiać. I tak czuję się lepiej, że w końcu to powiedziałem.

Clary mocniej przycisnęła plecy do ściany, kiedy Luke ze spuszczoną głową wyszedł z salonu. Nie zauważył jej. Pomaszerował prosto do frontowych drzwi i otworzył je szarpnięciem. Stał w nich przez chwilę, wpatrując się w blask słońca na wodzie kanału, po czym zatrzasnął je za sobą.

Clary nie ruszyła się z miejsca. Czuła wielki smutek z powodu Luke'a i matki. Wyglądało na to, że Jocelyn naprawdę go nie kocha i może nigdy nie pokocha. Było tak jak z nią i Simonem, tyle że ona nie widziała sposobu, w jaki tych dwoje mogłoby naprawić sytuację, skoro Luke zamierzał zostać w Idrisie. Do jej oczu napłynęły łzy. Już miała wejść do salonu, kiedy usłyszała dźwięk otwieranych drzwi kuchni i kolejny głos, zmęczony i trochę przygnębiony.

– Przepraszam, że podsłuchałam waszą rozmowę, ale cieszę się, że Luke zostaje. Nie dlatego, że będzie blisko mnie, ale dlatego, że może zapomni o tobie.

– Amatis.

– Minęło dużo czasu, Jocelyn. Jeśli go nie kochasz, powinnaś pozwolić mu odejść.

Odpowiedziało jej milczenie. Clary żałowała, że nie widzi wyrazu twarzy matki. Była smutna? Zła? Zrezygnowana?

Amatis westchnęła.

– Chyba że... Kochasz go?

– Nie mogę...

– Kochasz! Kochasz! – Rozległ się ostry dźwięk, jakby Amatis klasnęła w dłonie. – Wiedziałam, że tak! Zawsze wiedziałam!

– To nie ma znaczenia. – Jocelyn sprawiała wrażenie zmęczonej. – To nie byłoby uczciwe wobec Luke'a.

– Nie chcę tego słuchać. – Rozległ się szelest i cichy protest Jocelyn. – Jeśli go kochasz, biegnij za nim i mu to powiedz. Natychmiast, zanim pójdzie do Rady.

– Ale oni chcą, żeby został członkiem Rady, a on...

– Lucian najbardziej chce ciebie – przerwała jej Amatis. – Ciebie i Clary. Tylko tego zawsze pragnął. Idź już.

Zanim Clary zdążyła się ruszyć, Jocelyn wypadła do holu. Ruszyła do drzwi i... zobaczyła córkę rozplaszczoną przy ścianie. Zatrzymała się w pół kroku.

– Clary! – Siłała się na pogodny i wesoły ton, niestety, bez powodzenia. – Nie wiedziałam, że tu jesteś.

Clary odsunęła się od ściany i szeroko otworzyła drzwi frontowe. Do holu wlał się blask słońca. Jocelyn zamrugła.

– Jeśli zaraz nie pójdziesz za Lukiem, osobiście cię zabiję – oświadczyła Clary z determinacją w głosie.

Przez chwilę Jocelyn patrzyła na nią ze zdumieniem. Potem się uśmiechnęła.

– Dobrze, skoro tak stawiasz sprawę.

Wyszła z domu i ruszyła szybkim krokiem ścieżką nad kanałem w stronę Wielkiej Sali Anioła. Clary zamknęła za nią drzwi i oparła się o nie z ulgą.

Amatis, która tymczasem wyszła z salonu, pospieszyła do okna i wyjrzała na ulicę.

– Myślisz, że go dogoni?

– Przez całe życie za mną biegła – powiedziała Clary. – Porusza się szybko.

Amatis spojrzała na nią z uśmiechem.

– Och, coś mi się przypomiñało. Jace tu wpadł, żeby się z tobą zobaczyć. Chyba liczy na to, że spotkacie się na wieczornej uroczystości.

– Tak? – mruknęła Clary w zamyśleniu. Co szkodzi zapytać? Bez ryzyka nie ma wygranej.

– Amatis?

Siostra Luke'a odwróciła się od okna i popatrzyła na nią z zaciekawieniem.

– Tak?

– Ta twoja srebrna suknia z kufra. Mogę ją pożyczyć?

\*\*\*

Ulice już zaczynały zapełniać się ludźmi, kiedy Clary szła przez miasto w stronę domu Lightwoodów. Był zmierzch, zapalały się światła. Z koszy umocowanych na ścianach zwieszały się kiście białych kwiatów, przesycając powietrze korzennymi zapachami. Na drzwiach mijanych przez nią domów jarzyły się ciemnozłote runy, które mówiły o zwycięstwie i radości.

Nocni Łowcy nie mieli na sobie rynsztunku bojowego, tylko wszelkiego rodzaju stroje: od współczesnych po zbliżone do kostiumów historycznych. Noc była niezwykle ciepła, więc

niewiele osób włożyło płaszcze, ale widziało się dużo kobiet w sukniach balowych o pełnych spódnicach zamiatających ulice. Kiedy Clary skręciła w ulicę Lightwoodów, smukła, ciemna postać przecięła jej drogę. Raphael, pod rękę z wysoką, ciemnowłosą kobietą w czerwonej sukni koktajlowej. Obejrzał się przez ramię i posłał jej uśmiech, który przyprawił Clary o lekki dreszcz. To chyba prawda, że w Podziemnych jest czasami coś obcego i niepokojącego, pomyślała. Tyle że nie wszystko co przerażające od razu musi być złe.

Choć akurat co do Raphaela miała wątpliwości.

Frontowe drzwi domu Lightwoodów były otwarte. Kilku członków rodziny stało na chodniku. Maryse i Robet Lightwood gawędzili z dwójką innych dorosłych. Kiedy tych dwoje się odwróciło, Clary stwierdziła z lekkim zaskoczeniem, że to Penhallowowie, rodzice Aline. Maryse uśmiechnęła się do niej. Wyglądała elegancko w granatowej jedwabnej sukni, z włosami przewiązаныmi z tyłu grubą srebrną opaską. Bardzo przypominała swoją córkę. Do tego stopnia, że Clary chciała położyć dłoń na jej ramieniu. Nadal jednak wydawała się smutna, nawet kiedy się uśmiechała. Wspomina Maksa i tak jak Isabelle myśli, jak bardzo by mu się to wszystko podobało.

– Clary! – Isabelle zbiegła z frontowych schodów, powiewając czarnymi włosami.

Nie zdecydowała się na żaden ze strojów, które wcześniej pokazywała Clary, tylko na niesamowitą suknię ze złotej satyny, która otulała jej ciało jak zamknięte płatki kwiatu. Na nogach miała sandaalki na szpilce. Clary przypomniała sobie słowa Isabelle, że bardzo lubi obcasy. Roześmiała się.

– Wyglądasz fantastycznie! – wykrzyknęła Isabelle.

– Dzięki.

Clary z lekkim skrępowaniem poprawiła na sobie przezroczystą srebrną tkaninę. Był to chyba najbardziej dziewczęcy strój, jaką w życiu na sobie miała. Za każdym razem, kiedy czuła, że końcówki włosów muskają jej odkryte ramiona, musiała zwalczać chęć, żeby otulić się swetrem albo bluzą.

– Ty też.

Isabelle nachyliła się i szepnęła jej do ucha:

– Jace'a tu nie ma.

Clary się cofnęła.

– A gdzie...?

– Alec mówi, że może być na placu, gdzie będzie pokaz sztucznych ogni. Przykro mi, nie mam pojęcia, co się z nim dzieje.

Clary wzruszyła ramionami, starając się ukryć rozczarowanie.

– W porządku.

Tymczasem z domu wyszli Alec i Aline – ona w jasnoczerwonej sukni, przy której jej włosy wydawały się jeszcze bardziej czarne. Alec włożył to co zwykle: sweter i ciemne spodnie, choć Clary musiała przyznać, że przynajmniej na łokciach nie widać dziur. Uśmiechnął się do niej, a ona stwierdziła zaskoczona, że Nocny Łowca wygląda jakoś inaczej. Lżej, jakby zdjęto mu z pleców wielki ciężar.

– Nigdy nie byłam na żadnej uroczystości razem z Podziemnymi – powiedziała Aline, patrząc z niepokojem na ulicę, gdzie dziewczyna faerie o długich włosach z wplecionymi kwiatami – nie, jej włosy były kwiatami na delikatnych zielonych pędach – skubała białe roślinki z wiszącego kosza. Przyjrzała się im uważnie, a potem je zjadła.

– Spodoba ci się – zapewniła Isabelle. – Oni potrafią się bawić.

Pomachała do rodziców i ruszyła w stronę placu. Clary wciąż korciło, żeby zakryć górną połowę ciała, krzyżując ręce na piersi. Suknia wirowała wokół jej stóp jak dym kłębiący się na wietrze. Clary zadrżała na wspomnienie dymu, który wcześniej tego dnia unosił się nad Alicante.

– Hej! – wykrzyknęła Isabelle.

Clary podniosła wzrok i zobaczyła, że w ich stronę idą Simon i Maia. Nie widziała przyjaciela przez cały dzień. Poszedł do Sali Anioła, żeby obserwować zebranie Clave, bo był ciekawy, kogo wybiorą na miejsce zarezerwowane w Radzie dla wampirów. Clary nie potrafiłaby wyobrazić sobie Mai w czymś tak dziewczęcym jak suknia i rzeczywiście likantropka była ubrana w opadające bojówki i czarny T-shirt z napisem „Wybierz broń” i wzorem w postaci kości do gry pod spodem. Takie koszulki nosili gracze. Ciekawe, czy Maia naprawdę lubiła gry komputerowe, czy włożyła ten T-shirt, żeby zrobić wrażenie na Simonie. Jeśli tak, to był dobry wybór.

– Idziecie na Plac Anioła?

Gdy oboje potwierdzili, wszyscy razem ruszyli w stronę Sali Anioła. Po chwili Simon został z tyłu i zrównał się z Clary. Szli dalej w milczeniu. Clary dobrze się czuła w towarzystwie Simona. To jego najpierw chciała zobaczyć zaraz po powrocie do Alicante. Uściskała go wtedy mocno z radości, że przyjaciel żyje. I dotknęła Znaku na jego czole.

– Uratował cię? – spytała, chcąc usłyszeć potwierdzenie, że dobrze zrobiła.

– Uratował mnie – odparł krótko Simon.

– Szkoda, że nie mogę go usunąć – powiedziała Clary. – Chciałabym wiedzieć, co cię może spotkać z jego powodu.

Simon wziął ją za nadgarstek i łagodnie opuścił jej rękę wzdłuż boku.

– Poczekamy, zobaczymy.

Obserwowała go uważnie, ale musiała przyznać, że znak nie wpłynął na niego w żaden widoczny sposób. Simon wydawał się taki jak zawsze. Po prostu Simon. Tylko nabrał zwyczaju czesania włosów trochę inaczej, żeby zasłonić Znak. Jeśli się o nim nie wiedziało, trudno było się domyślić jego istnienia.

– Jak zebranie? – spytała Clary, taksując go wzrokiem, czy jest ubrany stosownie do okazji. Nie był, ale nic dziwnego. Nie miał tutaj innych ubrań oprócz dżinsów i T-shirtu. – Kogo wybrali?

– Nie Raphaela – odparł Simon takim tonem, jakby był z tego zadowolony. – Jakiegoś innego wampira o pretensjonalnym nazwisku. Nightshade czy coś w tym rodzaju.

– Wiesz, zapytali mnie, czy chciałabym narysować symbol Nowej Rady – powiedziała Clary. – To zaszczyt. Zgodziłam się. To będzie znak Rady otoczony symbolami czterech ras Podziemnych. Księżyc będzie oznaczał wilkołaki, czterolistna koniczyna – faerie, księga czarów – czarowników, ale nie mogę nic wymyślić dla wampirów.

– Może kiel? – podsunął Simon i obnażył zęby. – Ociekający krwią.

– Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś.

– Cieszę się, że cię poprosili – rzekł Simon poważniejszym tonem. – Zasłużyłaś na ten zaszczyt. Zasłużyłaś na medal za to, co zrobiłaś. Za Znak Przymierza i za wszystko.

Clary wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem, na ile pomógł. Bitwa trwała zaledwie dziesięć minut.

– Brałem w niej udział – przypomniał Simon. – Może i trwała dziesięć minut, ale było to dziesięć najgorszych minut w moim życiu. Nie chcę o tym rozmawiać. Ale powiem ci, że nawet w ciągu tych dziesięciu minut byłoby więcej ofiar, gdyby nie ty. Poza tym, bitwa to był tylko wstęp. Gdybyś nie zrobiła tego, co zrobiłaś, nie powstałaby Nowa Rada. Nocni Łowcy i Podziemni nadal by się nienawidzili, a tak wybierają się razem na przyjęcie.

Clary poczuła ucisk w gardle. Spojrzała prosto przed siebie z mocnym postanowieniem, że się nie rozklei.

– Dzięki, Simon. – Jej krótkiego wahania nie zauważyłby nikt oprócz przyjaciela.

– O co chodzi? – zapytał.

– Po prostu się zastanawiam, co zrobimy po powrocie do domu. Wprawdzie Magnus zajął się twoją mamą, żeby nie szalała z niepokoju, że cię nie ma, ale... co ze szkołą? Mnóstwo opuściliśmy. Nawet nie wiem...

– Ty nie wracasz – powiedział cicho Simon. – Myślisz, że nie wiem? Jesteś teraz Nocnym Łowcą. Dokończysz edukację w Instytucie.

– A co z tobą? Jesteś wampirem. Zamierzasz tak po prostu wrócić do szkoły?

– Tak – odparł Simon, zaskakując ją. – Chcę normalnego życia, na ile to możliwe. Chcę chodzić do szkoły, potem do college'u, i tak dalej.

Clary ścisnęła jego dłoń.

– Więc będziesz to miał. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście wszystkie dziewczyny padną z wrażenia, kiedy pokażesz się w szkole.

– Dlaczego?

– Bo teraz jesteś gorącym towarem. – Wzruszyła ramionami. – Pewnie chodzi o to, że wampiry coś w sobie mają.

Simon był szczerze zdumiony.

– Naprawdę?

– Jasne. Spójrz na nie. Obie na ciebie lecą. – Wskazała Isabelle i Maię, które szły kilka metrów przed nimi i rozmawiały z pochylonymi ku sobie głowami.

Simon popatrzył na dziewczyny. Clary niemal mogłaby przysiąc, że się zarumienił.

– Rzeczywiście czasami coś do siebie szepczą i gapią się na mnie. Nie mam pojęcia, o co im chodzi.

– Jasne, że nie wiesz, biedaku. – Clary uśmiechnęła się szeroko. – Dwie ładne dziewczyny rywalizują o twoją miłość. Masz ciężkie życie.

– Dobrze. Powiedz mi w takim razie, którą wybrać.

– Nie ma mowy. To twoja sprawa. – Clary ściszyła głos. – Posłuchaj, możesz umawiać się, z kim chcesz, a ja będę cię wspierać. Wsparcie to moje drugie imię.



– Więc to dlatego nigdy mi nie mówiłaś, jakie jest twoje drugie imię. Domyślałem się tylko, że to coś wstydliwego.

Clary zignorowała zaczepkę.

– Ale obiecaj mi coś, dobrze? Wiem, jakie są dziewczyny. Wiem, że nie znoszą, kiedy ich chłopcy mają przyjaciółki. Obiecaj, że nie wytniesz mnie całkiem ze swojego życia. Że nadal czasami będziemy gdzieś razem wychodzić.

– Czasami? – Simon pokręcił głową. – Chyba zwariowałaś.

Clary zamarło serce.

– Masz na myśli...

– Mam na myśli, że nigdy nie będę umawiał się z dziewczyną, która każe mi wyciąć cię ze swojego życia. Ta kwestia nie podlega negocjacjom. Chcesz to чудо? – Wskazał na siebie. – Cóż, tylko w pakiecie z moją najlepszą przyjaciółką. Nie usunę cię ze swojego życia, tak jak nie mógłbym odciąć sobie prawej ręki i podarować jej komuś na Walentynki.

– Obrzydliwe – skrzywiła się Clary. – Musiałeś?

Simon się wyszczerzył.

– Musiałem.

\*\*\*

Plac Anioła zmienił się nie do poznania. Wielka Sala Anioła jaśniała bielą w jego drugim końcu, częściowo zasłonięta przez las ogromnych drzew, które raptem wyrosły pośrodku. Musiały być dziełem magii, choć Clary wcale by się nie zdziwiła, gdyby okazały się prawdziwe. Dobrze pamiętała, jak Magnus w mgnieniu oka przeniósł meble i filiżanki kawy przez pół Manhattanu. Drzewa wznosiły się prawie na wysokość demonicznych wież. Ich srebrzyste pnie opleciono wstążkami, w szumiących zielonych sieciach gałęzi migotały kolorowe światełka. Plac pachniał białymi kwiatami, dymem i liśćmi. Na jego obwodzie były ustawione stoły i długie ławy. Wokół nich grupki Nocnych Łowców i Podziemnych śmiały się, piły i rozmawiały. Lecz atmosfera świętowania mieszała się z powagą, smutek z radością.

Sklepy wokół placu miały otwarte drzwi, na chodniki wylewało się z nich światło. Uczestnicy zabawy przechadzali się, trzymając w rękach talerze z jedzeniem albo wysokie kieliszki z winem i kolorowymi napojami. Na widok przemykającej obok niego kelpie z naczyniem, w którym kołysał się niebieski płyn, Simon uniósł brew.

– To nie przyjęcie u Magnusa – uspokoiła go Isabelle. – Tutaj możesz wszystko bezpiecznie pić.

– Bezpiecznie? – Aline zerknęła na nią wyraźnie zaniepokojona.

W tym momencie Alec pobiegł spojrzeniem ku czarodziejskiemu lasowi; kolorowe światła odbiły się w jego niebieskich tęczęwkach. W cieniu drzewa stał Magnus i rozmawiał z dziewczyną w białej sukni, z burzą jasnobrązowych włosów. Odwróciła głowę, kiedy czarownik na nich popatrzył. Clary zwarła się z nią na moment wzrokiem przez dzielącą je przestrzeń. Jest w niej coś znajomego, pomyślała.

Magnus ruszył w ich stronę, a dziewczyna, z którą rozmawiał, zniknęła wśród drzew. Czarownik był ubrany jak wiktoriański dżentelmen, w długi czarny frak i fioletową jedwabną kamizelkę. Z kieszonki wystawała chusteczka z wyhaftowanymi inicjałami M.B.

– Ładna kamizelka – pochwalił z uśmiechem Alec.

– Chciałbyś taką samą? – spytał Magnus. – Oczywiście w dowolnym kolorze.

– Nie interesują mnie ciuchy – burknął Alec.

– I to w tobie kocham – stwierdził Bane. – Choć kochałbym również w garniturze od projektanta. Dolce? Zegna? Armani? Co ty na to?

Alec prychnął, a Isabelle się roześmiała. Tymczasem Magnus wykorzystał okazję, zbliżył się do Clary i szepnął jej do ucha:

– Schody Sali Anioła. Idź.

Clary chciała go zapytać, o co chodzi, ale on już odwrócił się do Aleca i reszty towarzystwa. Zresztą miała wrażenie, że wie. Ścisnęła nadgarstek Simona, a przyjaciel spojrzał na nią z uśmiechem i zaraz wrócił do rozmowy z Maią.

Clary ruszyła przez plac, idąc skrajem zaczarowanego lasu. Drzewa dochodziły do samych schodów Sali Anioła i pewnie dlatego stopnie były puste. Choć nie całkiem. Niedaleko drzwi, w cieniu kolumny Clary dostrzegła znajomą postać. Jej serce przyspieszyło. Jace.

Musiała wziąć suknię w ręce, żeby przy wchodzeniu po schodach nie nadepnąć na nią i nie rozedrzeć delikatnego materiału. Niemal żałowała, że nie włożyła normalnego ubrania. Jace siedział oparty plecami o kolumnę i patrzył na plac. Miał na sobie zwykły strój Przyziemnego: dżinsy, białą koszulę i ciemną marynarkę. I po raz pierwszy, odkąd go poznała, nie nosił żadnej broni.

Nagle poczuła się przesadnie wystrojona. Zatrzymała się w pewnej odległości od niego, niepewna, co powiedzieć.

Jace podniósł wzrok, jakby wyczuł jej obecność. Trzymał coś na kolanach. Srebrne pudełko. Wyglądał na zmęczonego. Miał cienie pod oczami, jego jasnozłote włosy były potargane.

– Clary?

– A któżby inny?

Nie uśmiechnął się.

– Nie przypominasz siebie.

– To przez tę suknię. – Skrępowana wygładziła materiał. – Zwykle nie noszę takich ładnych rzeczy.

– Zawsze wyglądasz pięknie – zapewnił, a Clary przypomniała sobie, że to samo powiedział w szklarni Instytutu, lecz nie jako komplement, tylko stwierdzenie faktu z rodzaju tych, że jest ruda i lubi rysować. – Ale jakoś... obco. Aż bałbym się ciebie dotknąć.

Podeszła do niego i usiadła przy kolumnie na najwyższym stopniu. Kamień ziębił jej skórę przez cienką tkaninę. Clary wyciągnęła do niego lekko drżącą rękę.

– Dotknij mnie, jeśli chcesz.

Wziął jej dłoń, przytulił ją na chwilę do policzka i odłożył na jej kolana. Clary zadrżała, wspominając słowa Aline. „Albo już nie jest tobą zainteresowany. To znaczy, teraz, kiedy to nie jest zakazane”. Zarzucił jej, że wygląda obco, ale wyraz jego oczu był daleki jak najdalsza galaktyka.

– Co jest w tej szkatułce? – spytała.

Był to kosztowny przedmiot, z delikatnie wyrzeźbionymi podobiznami ptaków.

– Szukając cię dzisiaj, wstąpiłem do Amatis – wyjaśnił Jace. – Ciebie nie było, więc porozmawiałem z Amatis, a ona dała mi to. – Wskazał na pudełko. – Należało do mojego ojca.

Przez chwilę Clary patrzyła na niego ze zdziwieniem. Do Valentine'a? A potem zrozumiała, że nie jego miał na myśli.

– Oczywiście. Amatis była żoną Stephena Herondale'a.

– Przejrzałem wszystko. Przeczytałem listy, wycinki z gazet. Pomyślałem, że jeśli to zrobię, może poczuje z nim jakąś więź. Że te kartki powiedzą mi: tak, to jest twój ojciec. Ale nic nie czuję. To tylko świstki papieru. Każdy mógł je napisać.

– Jace – wyszeptała Clary.

– I jest jeszcze jedna rzecz. Już nie mam imienia, prawda? Nie jestem Jonathanem Christopherem. To był ktoś inny. Ale do tych imion się przyzwyczailem.

– A kto wymyślił „Jace’a”? Ty sam?

Jace potrząsnął głową.

– Nie. Valentine zawsze mówił do mnie Jonathan. I tak się do mnie zwracali, kiedy przyjechałem do Instytutu. Na imiona Jonathan Christopher przypadkiem trafiłem w dzienniku ojca, ale to nie o mnie pisał. Nie moje postępy rejestrował, tylko Seb... Jonathana. Tak więc kiedy powiedziałem Maryse, że na drugie mam Christopher, uznała, że właśnie tak brzmiało drugie imię syna Michaela. Ostatecznie od tamtych wydarzeń minęło dziesięć lat. Ale wtedy zaczęła nazywać mnie Jace, jakby chciała nadać mi nowe imię, wiążące się z jej rodziną i życiem w Nowym Jorku. Spodobało mi się. Nigdy nie lubilem „Jonathana”. – Obrócił pudełko w rękach.

– Ciekawe, czy Maryse wiedziała albo się domyślała, czy po prostu nie chciała wiedzieć. Kochała mnie... i nie chciała wierzyć.

– I dlatego była taka zdenerwowana, kiedy odkryła, że jesteś synem Valentine’a – stwierdziła Clary. – Bo uważała, że powinna wiedzieć. I w pewnym sensie wiedziała. Ale człowiek nigdy nie chce wierzyć w takie rzeczy, jeśli dotyczą ludzi, których kocha. A co do ciebie miała rację. Twoje imię to Jace. Nie nadał ci go Valentine, tylko Maryse, osoba, która cię kocha, i tylko to się liczy.

– Jaki Jace? Jace Herondale?

– Och, przestań! Jesteś Jace Lightwood. Dobrze wiesz.

Gdy spojrział na nią swymi złotymi oczyma, gęsto ocienionymi rzęsami, Clary pomyślała, że wygląda trochę mniej obco, ale może tylko tak się jej zdawało.

– Może jesteś kimś innym, niż sądziłeś – ciągnęła, mając nadzieję, że Jace ją zrozumie. – Ale nie można całkiem się zmienić przez jedną noc. Samo odkrycie, że twoim biologicznym ojcem był Stephen, nie sprawi, że automatycznie go pokochasz. I nie musisz. Valentine nie był twoim prawdziwym ojcem, ale nie dlatego, że nie masz jego krwi w swoich żyłach. Nie był twoim prawdziwym ojcem, bo nie zachowywał się jak ojciec. Nie dbał o ciebie. To zawsze Lightwoodowie się tobą opiekowali. Oni są twoją rodziną. Tak jak mama i Luke są moją. – Dotknęła jego ramienia i szybko zabrała rękę. – Przepraszam. Robię ci wykłady, a ty pewnie przyszedłeś tutaj, żeby być samemu.

– Masz rację.

Clary zaparło dech.

– W porządku, już idę. – Wstając, zapomniała przytrzymać suknię. Omal nie nadepnęła na rąbek.

– Clary! – Jace odłożył pudełko i też wstał. – Zaczekaj. Nie to miałem na myśli. Nie chodziło mi o to, że chcę być sam, tylko o to, że masz rację co do Valentine’a... i co do Lightwoodów.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Stał do połowy ukryty w cieniu, kolorowe światła przyjęcia tworzyły dziwne wzory na jego skórze. Clary przypomniało się ich pierwsze spotkanie. Pomyślała wtedy, że wygląda jak lew. Piękny i śmiertelnie niebezpieczny. Teraz był inny. Zniknęła twarda, obronna skorupa, którą przywdziewał jak zbroję. Zamiast niej dumnie obnosił się z ranami. Nie użył steli, żeby usunąć siniaki z twarzy i szyi. Ale dla niej był teraz jeszcze piękniejszy, bo ludzki. Ludzki i prawdziwy.

– Wiesz, Aline powiedziała, że może już nie będziesz mną zainteresowany, skoro to nie jest zakazane. Skoro możesz być ze mną. – Zadrżała i objęła się rękoma. – Czy to prawda? Nie jesteś... zainteresowany?

– Zainteresowany? Jak książką albo sensacyjną wiadomością? Nie, nie jestem zainteresowany, tylko... – Szukał odpowiedniego słowa jak włącznika światła w ciemności. – Pamiętasz, co ci mówiłem? Że fakt, że jesteś moją siostrą, jest jakimś kosmicznym żartem zrobionym nam obojgu?

– Pamiętam.

– Nigdy w to nie wierzyłem. A właściwie wierzyłem i doprowadzało mnie to do rozpacz, ale nie czułem, że jesteś moją siostrą. Bo nie czułem do ciebie tego, co powinienem czuć do siostry. Co nie znaczy, że nie miałem wrażenia, jakbyś była częścią mnie. – Widząc jej pytające spojrzenie, urwał z niecierpliwym prychnięciem. – Nie potrafię się dobrze wysłowić. Nienawidziłem każdej sekundy, w której myślałem, że jesteś moją siostrą. Nienawidziłem każdego momentu, kiedy myślałem, że to, co czuję do ciebie, oznacza, że jest coś ze mną nie w porządku. Ale...

– Ale co? – Serce Clary biło tak mocno, że aż kręciło się jej w głowie.

– Widziałem, jaką radość Valentine czerpał z moich uczuć do ciebie. I z twoich do mnie. Wykorzystywał je jako broń przeciwko nam. I przez to go nienawidziłem. Bardziej niż z powodu

innych rzeczy, które mi robił. I może właśnie tego potrzebowałem, żeby zwrócić się przeciwko niemu. Bo czasami nie wiedziałem, czy chcę go słuchać, czy nie. To był trudny wybór, bardzo trudny. – W głosie Jace’a brzmiało napięcie.

– Kiedyś cię spytałam, czy mam wybór – przypomniała Clary. – A ty odpowiedziałeś: „Zawsze mamy wybór”. Ty wystąpiłeś przeciwko Valentine’owi. Dokonałeś właśnie takiego wyboru i nie ma znaczenia, czy był trudny. Najważniejsze, że go dokonałeś.

– Wiem. Ja tylko mówię, że postąpiłem tak, a nie inaczej ze względu na ciebie. Odkąd cię poznałem, wszystko robiłem z twojego powodu. Nie mogę się od ciebie uwolnić, Clary. Ani sercem, ani duszą, ani umysłem. I wcale nie chcę.

– Nie chcesz? – wyszeptwała.

Jace zrobił krok w jej stronę, wpatrując się w jej twarz, jakby nie mógł odwrócić od niej oczu.

– Zawsze uważałem, że miłość ogłupia, osłabia, czyni złym Nocnym Łowcą. Miłość jest niszcząca. Wierzyłem w to.

Clary przygryzła wargę, ale ona też nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Myślałem, że dobry wojownik to taki, który nie kocha. Nie dba o nic, a zwłaszcza o siebie. Podejmowałem każde ryzyko. Rzucałem się na demony. Chyba przyprawiłem Aleca o kompleksy, bo on wolał przeżyć. – Jace uśmiechnął się krzywo. – A potem poznałem ciebie. Byłaś słabą Przyziemną, niewyszkoloną na wojowniczkę. Ale później zobaczyłem, jak bardzo kochasz matkę i Simona. Tak, że jesteś gotowa iść do piekła, żeby ich ratować. Poszłaś do hotelu wampirów. Nie odważyliby się na to Nocni Łowcy z wieloletnim doświadczeniem. Miłość nie uczyniła cię słabą, tylko silniejszą od ludzi, których znałem.

I uświadomiłem sobie, że to ja jestem słaby.

– Nie. – Clary była wstrząśnięta. – Wcale nie.

– Może już nie. – Jace zrobił następny krok i znalazł się dostatecznie blisko, żeby jej dotknąć. – Valentine nie mógł uwierzyć, że zabiłem Jonathana, bo to ja byłem tym słabym, a jego syn tym lepiej wyszkolonym. Według wszelkiego prawdopodobieństwa to on powinien był zabić mnie. I omal tego nie zrobił. Ale ja pomyślałem o tobie, zobaczyłem cię tak wyraźnie, jakbyś stała przede mną, i zrozumiałem, że chcę żyć choćby po to, żeby jeszcze raz zobaczyć twoją twarz.

Clary chciała się ruszyć, wyciągnąć rękę, dotknąć go, ale ręce miała jak przymarzniete do boków. Twarz Jace'a znajdowała się tak blisko jej twarzy, że widziała swoje odbicie w jego źrenicach.

– I teraz patrzę na ciebie, a ty pytasz, czy nadal mnie obchodzisz, jakbym mógł przestać cię kochać. Jakbym mógł zrezygnować z tego, co czyni mnie silniejszym niż kiedykolwiek. Nigdy nie odważyłem się dać z siebie dużo innej osobie, co najwyżej jakieś okruchy Lightwoodom, Isabelle i Alecowi, i to po wielu latach, ale odkąd się poznaliśmy, cały należę do ciebie. I będę należał, jeśli mnie zechcesz.

Przez ułamek sekundy Clary stała bez ruchu. Potem chwyciła go za przód koszuli i przyciągnęła do siebie. Jace objął ją, niemal uniósł z ziemi i pocałował. Albo ona jego, nie była pewna, ale nie miało to znaczenia. Dotyk jego ust był elektryzujący. Clary objęła go i przytuliła mocniej. Dudnienie jego serca przyprawiało ją o zawrót głowy.

Gdy w końcu ją puścił, gwałtownie zaczerpnęła powietrza, bo całkiem zapomniała o oddychaniu. Jace ujął w dłonie jej twarz, zaczął wodzić palcami po kościach policzkowych. Jego oczy odzyskały blask i jarzyły się jak nad jeziorem, ale pojawiły się w nich złośliwe iskierki.

– Nie było tak źle, choć to już nie jest zakazany owoc, nie uważasz?

– Bywało gorzej – odparła z drżącym śmiechem Clary.

– Wiesz – musnął wargami jej usta – jeśli o to się martwiłaś, możesz mi zabraniać różnych rzeczy.

– Jakich?

Clary poczuła jego uśmiech na ustach.

– Na przykład takich.

\*\*\*

Po jakimś czasie zeszli po schodach na plac, gdzie już zebrał się tłum oczekujących na pokaz ogni sztucznych. Isabelle i pozostali znaleźli stolik w rogu placu i teraz tłoczyli się wokół niego na ławach i krzesłach. Zbliżając się do grupki znajomych, Clary chciała zabrać rękę z dłoni Jace'a, ale się powstrzymała. Jeśli chcieli, mogli trzymać się za ręce. Nie było w tym nic złego. Na tę myśl niemal zapało jej dech.

– Jesteście! – Isabelle podbiegła do nich tanecznym krokiem i podała Clary kieliszek. – Spróbuj tego!

Clary podejrzliwie zerknęła na napój koloru fuksji.

– Nie zmieni mnie w gryzonia?

– A gdzie zaufanie? – obruszyła się Isabelle. – To chyba sok truskawkowy. Tak czy inaczej, jest pyszny. – Wręczyła kieliszek Jace’owi.

– Jestem mężczyzną, a mężczyźni nie piją różowych napojów – oświadczył. – Zmykaj, kobieto, i przynieś mi coś brązowego.

– Brązowego? – Isabelle się skrzywiła.

– Brązowy to męski kolor – odparł Jace. – Popatrz na brata.

Alec spojrzał na swój sweter.

– Był czarny, ale zbladł – wyjaśnił z ponurą miną.

– Mógłbyś do niego nosić cekinową opaskę – doradził Magnus, podając mu coś niebieskiego i połyskującego. – To tylko taki pomysł.

– Oprzyj się pokusie, Alec. – Simon siedział na niskim murku razem z Maią, ale likantropka była pogrążona w rozmowie z Aline. – Przypominałbyś Oliwię Newton-John z „Xanadu”.

– Są gorsze rzeczy – skwitował Magnus.

Simon zeskoczył z murku i podszedł do Clary i Jace’a. Trzymając ręce w tylnych kieszeniach džinsów, przyglądał się im w zamyśleniu przez dłuższą chwilę. W końcu się odezwał.

– Wyglądasz na szczęśliwą. – Przeniósł wzrok na Jace’a. – I dobrze dla ciebie, że tak jest.

Jace uniósł brew.

– Czy teraz usłyszę kwestię, że mnie zabijesz, jeśli ją skrzywdzę?

– Nie. Jeśli skrzywdzisz Clary, ona sama cię zabije. Dowolną bronią.

Jace’a najwyraźniej zadowolili ta odpowiedź.

– Chciałem tylko powiedzieć, że nie szkodzi, że mnie nie lubisz – ciągnął Simon. – Jeśli uczynisz Clary szczęśliwą, nie będę miał nic do ciebie. – Wyciągnął rękę, a Jace ujął ją i potrząsnął z rozbawioną miną.

– Nie to, że cię nie lubię – powiedział. – Bo tak naprawdę to lubię. Ale udzielę ci rady.

– Rady? – Simon łypnął na niego czujnie.

– Widzę, że z powodzeniem korzystasz z tego, że jesteś wampirem. – Jace wskazał głową na Isabelle i Maię. – Gratulacje. Dziewczyny kochają takich martwych wrażliwców, ale na twoim



miejscu porzuciłbym muzyczne ambicje. Wampiry jako gwiazdy rocka to już przeżytek, a poza tym, chyba nie jesteś w tym najlepszy.

Simon westchnął.

– Ciekawe, czy mógłbyś jeszcze raz się zastanowić, czego we mnie nie lubisz?

– Dość, wy obaj! – włączyła się Clary. – Nie możecie wiecznie być wobec siebie kompletnymi dupkami.

– Właściwie to ja bym mógł – stwierdził Simon.

Jace wydał z siebie nieelegancki dźwięk, a Clary dopiero po chwili się zorientowała, że on jedynie z trudem powstrzymuje się od parsknięcia śmiechem.

Simon uśmiechnął się szeroko.

– Mam cię.

– Cóż, to piękna chwila – powiedziała Clary i obejrzała się na Isabelle, która zapewne też byłaby zadowolona, że Jace i Simon się dogadują, choć na własny dziwaczny sposób.

Ale zamiast Nocnej Łowczyni zobaczyła kogoś innego.

Na samym skraju zaczarowanego lasu, gdzie światło trochę rozpraszało mrok, stała smukła kobieta w sukni koloru liści, o długich szkarłatnych włosach spiętych z tyłu złotym diademem.

Królowa Jasnego Dworu patrzyła wprost na nią, a widząc, że Clary również na nią patrzy, skinęła do niej szczupłą dłonią.

Nie wiadomo, czy sama tego chciała, czy chodziło o magiczne przyciąganie faerie, ale Clary wymamrotała przeprosiny i ruszyła w stronę lasu, torując sobie drogę między rozbawionymi balowiczami. Zbliżając się do władczyni, zobaczyła, że otaczają ją kręgiem liczni dworzanie. Widać królowa nie mogła się obejść bez ich obecności, nawet jeśli chciała sprawiać wrażenie, że jest sama.

Pani Jasnego Dworu uniosła rękę we władczym geście.

– Stań tam i ani kroku bliżej.

Clary zatrzymała się we wskazanym miejscu.

– Dlaczego mnie pani wezwała, milady? – spytała Clary, zwracając się do niej w oficjalny sposób, tak jak Jace w czasie wizyty na dworze.

– Chcę od ciebie przysługi – oznajmiła królowa bez wstępów. – I oczywiście obiecuję przysługę w zamian.

– Przysługę ode mnie? – zdziwiła się Clary. – Ale... pani mnie nawet nie lubi.

Władczyni w zamyśleniu dotknęła ust długim białym palcem.

– W przeciwieństwie do ludzi lubienie czy nielubienie nie ma dużego znaczenia dla faerie. Miłość – być może. I nienawiść. Oba to użyteczne uczucia. Ale sympatia... – Wzruszyła ramionami. – Rada jeszcze nie postanowiła, kto z naszej rasy ma w niej zasiadać. Wiem, że Lucian Graymark jest dla ciebie jak ojciec. Na pewno chętnie spełni twoją prośbę, żeby wybrali do Rady mojego rycerza Meliorna.

Clary przypomniała sobie spotkanie w Sali Anioła i oświadczenie Meliorna, że nie chce brać udziału w bitwie, jeśli Nocne Dzieci również nie będą walczyć.

– Luke raczej za nim nie przepada – stwierdziła.

– Znowu mówisz o lubieniu – zauważyła królowa.

– Kiedy składaliśmy wizytę w Jasnym Dworze, wiedziała pani, że Jace i ja nie jesteśmy rodzeństwem. Prawda?

Faerie uśmiechnęła się i rzekła:

– W waszych żyłach płynie ta sama krew. Krew Anioła. Wszyscy, którzy ją w sobie mają, są braćmi i siostrami.

Clary zadrżała.

– Mogła nam pani powiedzieć prawdę. Ale nie zrobiła pani tego.

– Powiedziałam ci swoją prawdę. Wszyscy tak robimy, czyż nie? Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, jakie nieprawdy kryją się w opowieściach twojej matki, służące jej celom? Naprawdę myślisz, że znasz każdy sekret ze swojej przeszłości?

Clary się zawahała. Nagle, nie wiadomo dlaczego, usłyszała głos Madame Dorothei, która przepowiedziała Jace'owi: „Zakochoasz się w niewłaściwej osobie”. Clary pomyślała wtedy, że sąsiadka ostrzega go przed kłopotami, które im obojgu przyniesie uczucie Jace'a. Teraz jednak wiedziała, że w jej pamięci są puste miejsca. Że są tajemnice, których już nigdy nie pozna. Uznała je za stracone i nieważne, ale może...

Nie. Zacisnęła dłonie. Trucizna królowej działała subtelnie, ale była silna. Czy ktokolwiek na świecie mógł zgodnie z prawdą powiedzieć, że zna każdy sekret o sobie? I czy nie lepiej niektóre tajemnice zostawić w spokoju?

Clary potrząsnęła głową.

– Może pani nie skłamała wtedy wprost, ale była nam pani nieprzychylna. – Zaczęła się odwracać. – Mam dość nieżyczliwości.

– Naprawdę odrzucasz propozycję królowej Jasnego Dworu? – spytała władczyni. – Nie każdy śmiertelnik dostaje taką szansę.

– Nie chcę od pani żadnej przysługi – oświadczyła Clary. – Mam wszystko, czego potrzebuję.

Pokazała królowej plecy i odeszła.

Kiedy wróciła do swojej grupki, zobaczyła, że dołączyli do nich Lightwoodowie. Patrzyła ze zdziwieniem, że oboje wymieniają uścisk dłoni z Magnusem Bane'em, który schował cekinową opaskę i stał się wzorem dobrego wychowania. Maryse objęła ramieniem plecy Aleca. Reszta przyjaciół siedziała pod murem. Clary już miała do nich podejść, kiedy ktoś klepnął ją w ramię.

– Clary! – To była jej matka. Uśmiechała się do niej.

Obok niej stał Luke i trzymał ją za rękę. Jocelyn nie wystroiła się jak na bal. Miała na sobie dzinsy i luźną koszulę, na szczęście niepoplamioną farbą, ale Luke wpatrywał się w nią jak w chodzący ideał.

– Cieszę się, że wreszcie cię znaleźliśmy.

Clary uśmiechnęła się do Luke'a.

– Więc nie zostajesz w Idrisie?

– Nie. – Wyglądał na szczęśliwego jak nigdy. – Pizza jest tutaj okropna.

Jocelyn roześmiała się i poszła porozmawiać z Amatis, która obserwowała szklaną bańkę wypełnioną dymem wciąż zmieniającym kolory. Clary spojrzała na Luke'a.

– Naprawdę zamierzałeś opuścić Nowy Jork czy tylko tak mówiłeś, żeby w końcu zmusić ją do podjęcia decyzji?

– Clary, jestem wstrząśnięty takim podejrzeniem. – Luke uśmiechnął się szeroko i zaraz spowaźniał. – Wszystko w porządku? Wiem, że czeka cię duża zmiana w życiu. Zamierzałem dopilnować, żebyście mogły przeprowadzić się do mnie, bo wasze mieszkanie nie nadaje się do użytku...

Clary prychnęła.

– Duża zmiana? Moje życie już zmieniło się całkowicie. I to kilka razy.

Luke zerknął na Jace'a, który patrzył na nich ze swojego miejsca pod murem, a kiedy zobaczył ich spojrzenia, kiwnął im głową i wykrzywił w uśmiechu kącik ust.

– Chyba tak – przyznał Luke.

– Zmiany są dobre – stwierdziła Clary.

Luke uniósł rękę i w zamyśleniu spojrzął na Znak. Znak Przymierza już zbladł, jak u wszystkich, ale na skórze został biały, wiele mówiący ślad, blizna, która nigdy nie zniknie.

– Tak.

– Clary! – zawołała Isabelle. – Ognie sztuczne!

Clary klepnęła Luke'a w ramię i poszła do przyjaciół, którzy siedzieli rzędem pod ścianą: Jace, Isabelle, Simon, Maia i Aline. Zatrzymała się przy Jasie.

– Nie widzę żadnych fajerwerków – stwierdziła, łypiąc groźnie na Isabelle.

– Cierpliwości, pasikoniku – powiedziała Maia. – Dobre rzeczy przytrafiają się tym, którzy potrafią czekać.

– A ja zawsze myślałem, że „dobre rzeczy przytrafiają się tym, którzy nie potrafią czekać” – wtrącił Simon. – Nic dziwnego, że przez całe życie jestem taki pogubiony.

– „Pogubiony” to dobre słowo – odezwał się Jace, ale zrobił to z wyraźnym roztargnieniem. Przyciągnął Clary do siebie. Ten gest również wyglądał na odruchowy.

Clary oparła się o jego ramię i spojrzała w niebo. Rozświetlały je tylko demoniczne wieże, jaśniejące w ciemności srebrnobiałą poświatą.

– Gdzie byłaś? – zapytał cicho Jace, tak że tylko ona usłyszała.

– Królowa Jasnego Dworu chciała, żebym wyświadczyła jej przysługę. Powiedziała, że się odwdzięczy. – Clary poczuła, że mięśnie Jace'a się napinają. – Spokojnie. Odmówiłam.

– Niewielu ludzi odrzuca przysługę królowej Jasnego Dworu – zauważył Jace.

– Powiedziałam jej, że niczego od niej nie potrzebuję, bo mam wszystko, czego chcę.

Jace roześmiał się cicho i przesunął dłonią po jej ramieniu. Leniwie bawił się łańcuszkiem wiszącym na jej szyi. Clary spojrzała na srebrną ozdobę. Czasami zastanawiała się, dlaczego nosi pierścień Morgensternów, odkąd Jace go jej zostawił. Naprawdę chciała pamiętać o Valentine? Z drugiej strony, czy powinna zapomnieć o nim na zawsze?

Nie można wymazać z pamięci wszystkiego, co sprawia ból. Clary nie chciała zapomnieć Maksa, Madeleine, Hodge'a i Inkwizytorki ani nawet Sebastiana. Każde wspomnienie, nawet złe, było cenne. Valentine chciał zapomnieć, że świat musi się zmieniać, a Nocni Łowcy wraz z nim,

chciał zapomnieć, że Podziemni mają dusze i że wszystkie dusze są ważne. Wolał myśleć o tym, co różni Nocnych Łowców od Podziemnych. Zgubiło go to, że okazali się tacy sami.

– Clary, patrz – powiedział Jace, wrywając ją z zamyślenia. Objął ją ramieniem, a ona uniosła głowę w chwili, gdy wystrzeliły pierwsze race i tłum zaczął wiwatować.

Fajerwerki eksplodowały fontanną iskier, a te zabarwiły chmury smugami złotego ognia jak aniołowie spadający z nieba.